

**Jarosław Abramow-Newerly**

## **Alianci**

Wydawnictwo "Versus", Białystok 1990

Jarosław Abramow-Newerly największą popularność zdobył jako dramaturg, twórca takich głośnych sztuk teatralnych jak "Anioł na dworcu" (1965), "Derby w pałacu" (1966), "Darz Bór" (1974), czy "Maestro" (1982). Jest też autorem licznych słuchowisk radiowych, z których "Licytacja" i "Pięć minut sławy" reprezentowały Polskę na Konkursie "Prix Italia" i nadane zostały przez wiele radiofonii zagranicznych.

"Klik-Kklak" (1972) wystawiony przez dwadzieścia teatrów w Polsce, grany ponad osiem lat na Scenie Kameralnej Teatru Polskiego w Warszawie (osiągając rekordową liczbę blisko 500 przedstawień) uznano za największy sukces powojennej komedii polskiej. Sukces ten zawdzięczał autor w dużym stopniu odwadze politycznej, dzięki wprowadzeniu na scenę pułkownika Legionów i przedwojennego dyplomaty jako równoprawnych partnerów dyskusji z komunistycznym ministrem.

Jarosław Abramow-Newerly jest współtwórcą Studenckiego Teatru Satyryków "STS" w Warszawie. Tam debiutował jako autor skeczów i piosenek. Jest kompozytorem wielu popularnych melodii, w tym słynnych "Okularników" Agnieszki Osieckiej. Utwory pisane dla "STS-u" opublikował w tomie "Co pan zgłasza?" ("Czytelnik", 1977). Ostatnio, po dłuższym pobycie w Kanadzie znów przypomniał się jako satyryk, wydając cykl opowieści "Pan Zdzich w Kanadzie".

Powieść "Alianci" czytana w Radio Wolna Europa w znakomitej interpretacji Andrzeja Chomińskiego wzbudziła olbrzymie zainteresowanie. Choć opisana w niej historia amerykańskiej załogi superfortecy B-29 w rzeczywistości nie miała miejsca, podobny wypadek zdarzył się w 1944 roku. "Alianci" mimo że są dziełem literackiej fikcji, ściśle trzymają się faktów i oparły się na szczegółowej dokumentacji historycznej, w tworzeniu której współuczestniczył Krzysztof Topolski.

Krzysztofowi Topolskiemu – pomysłodawcy i twórcy dokumentacji historycznej tej książki

Autor

## **Wstęp**

Pomysł napisania tej książki nie jest mój. Powstał w głowie Krzysztofa Topolskiego. Od dawna był jego marzeniem i obsesją. Szczególnie gdy znalazł się na Zachodzie. Krzysztof, zanim wyjechał z Polski w 1969 roku, zdążył przesiedzieć rok w więzieniu jako młody student zamieszany w tak zwane Wypadki Marcowe. Potem wyemigrował do Szwecji, a stamtąd do Kanady. W Polsce znaliśmy się słabo. Dzieliła nas spora różnica wieku. Co prawda, Krzysztof z całą pewnością twierdzi, że dał mi kiedyś do oceny swój kabaretowy tekst, a ja skwitowałem go słowami: – "Zdolny chłopiec, tylko niepotrzebnie się tak wychyla". Absolutnie jednak sobie tego

nie przypominam.

Nasza właściwa znajomość i przyjaźń zaczęła się po moim przyjeździe do Toronto w roku 1985. Moja żona otrzymała propozycję stypendium podoktoranckiego od znanego profesora Johna Ropera. Badania te prowadzi do dziś w nowoczesnym ośrodku naukowym, w słynnym szpitalu Mount Sinai Hospital. Wzięliśmy ze sobą naszą małą córeczkę Marysię, która tu zaczęła chodzić do szkoły. Rodzina więc pracowała, tylko ja jeden nie bardzo wiedziałem co ze sobą robić. Trochę uczyłem się angielskiego, trochę pracowałem nad przeróbką mojej ostatniej sztuki "Maestro", która w wersji angielskiej byłaby bardziej zrozumiała dla tutejszej publiczności.

Krzysztof w tym okresie bardzo mi pomógł. Przede wszystkim wciąż przypominał, że powinienem pisać i nie wpadać w niepotrzebne frustracje z powodu braku konkretnego zajęcia. Dla otuchy tłumaczył teksty moich piosenek na angielski i próbował je gdzieś uplasować. Sam osiągnął wysoką pozycję materialną, stał się wziętym biznesmenem, fakt ten jednak (co rzecz rzadka) nie zabił w nim duszy artysty i skłonności do marzeń. Dalej dysponował chłopięcym zapałem i niespożytym źródłem entuzjazmu.

W lecie 1986 roku zaproponował mi krótki wypad na wakacje. Ruszyliśmy na północ. Wkrótce znaleźliśmy się nad pięknym jeziorem "Loon", które w swej melancholijnej krasie przypominało nieco nasze jeziora augustowskie z dawnej, dziewiczej ery. Nad wysokim urwistym brzegiem rozbiliśmy namiot. "Loon" to nazwa ptaka zbliżonego do naszego perkoza. Może oznaczać również głupca, człowieka, który zrobił nagle coś niedorzecznego. Pasowała do nas jak ulał. Była księżycowa noc, popijaliśmy ostro koniak, przegryzając go chałwą (kto mądry tak robi?) i jak dwaj lunatycy błądziliśmy w myślach nad tym jeziorem "Loon". Tylko szelest rakunów, czyli szopów pracy, które nic nie robiąc sobie z naszej obecności, bezczelnie dobierały się do spiżarni, przywoływał nas czasem do rzeczywistości. Na szczęście chałwę trzymaliśmy przy sobie. I w tej niezwyklej scenerii Krzysztof zwierzył mi się ze swego pomysłu napisania scenariusza filmowego na temat stosunków Wschód-Z Zachód. Rzecz miała dotyczyć Rosji i Ameryki, dzieć się w roku 1945, opierać na historycznej dokumentacji i być tak atrakcyjna, by porwała przeciętnego amerykańskiego widza. Co ważniejsze, ten prosty film miał ukazać straszliwy mechanizm grozy w społeczeństwie totalitarnym i przeciwstawić go wielkiej naiwności Zachodu, ujawnić nieadekwatność tych samych słów, które w obu systemach tak bardzo co innego znaczą. Każdy, kto poznał na własnej skórze rzeczywistość realnego socjalizmu, zna tę wściekłą bezradność, kiedy próbuje swoje doświadczenia przekazać komuś z Zachodu, i ten, pełen najlepszej woli, słucha tych wywodów z uprzejmym uśmiechem, nic absolutnie nie rozumiejąc.

Pomysł uznałem za świetny, tylko nie na moje siły. Krzysztof przekonywał mnie, żebyśmy spróbowali. Sam zaczął snuć pierwsze zręby fabuły. Wydała mi się interesująca. Zabawa powoli zaczęła wciągać. W parę dni naszkicowaliśmy pierwszy zarys akcji i wymyślili głównych bohaterów. Teraz pozostawało to napisać. W pierwotnym zamierzeniu ten scenariusz miał liczyć około stu stron. Na dowód tego, że wszystko traktuje poważnie, Krzysztof zaproponował mi coś w rodzaju prywatnego stypendium, które umożliwiłoby mi pracę nad scenariuszem. Jednocześnie obiecał pomóc we wszystkich sprawach merytorycznych i dostarczyć pełną dokumentację historyczną. Wszystkie potrzebne realia. Mimo iż z zawodu biznesmen, wiedzę z zakresu najnowszej historii, szczególnie zaś II wojny światowej miał taką, że z powodzeniem zapewniłaby mu katedrę na tutejszym Uniwersytecie.

Tak więc mając żmudny "research", jak mówią dumnie Amerykanie, z głowy, przystąpiłem do pracy. Normalnie zbieranie materiałów zajęłoby mi mnóstwo czasu, mając pod bokiem Krzysztofa, poszło mi dużo szybciej.

Po napisaniu pierwszej sceny, która liczyła sobie piętnaście stron, szybko zorientowaliśmy się, że temat przerósł zamiary i scenariusz ten nie będzie krótki, ale długi, w ogóle przestanie być scenariuszem, a zmieni się w powieść-rzekę. W tym miejscu się załamalem i oświadczyłem, że całe życie pisałem sztuki teatralne, powieści nigdy nie popelnilem, scenariusz, to jeszcze, ale proza to nie moja specjalność. Krzysztofa jednak perspektywa epopei wcale nie przeraziła i z wrodzonym entuzjazmem zachęcał mnie dalej: – To będzie powieść. Najpierw powieść, potem film. Co za różnica? Czym ty się przejmujesz!? Dasz radę. Kto ma dać radę jak nie ty!? Wobec takiego diktum nie wypadało się wycofać. Podjąłem tę szaloną rękawicę.

Prawdę mówiąc, ta nieoczekiwana praca przyniosła mi uspokojenie. Stawała się swoistego rodzaju terapią na ostro przeżywany stress emigracyjny. Uciekłem całkowicie w świat swoich bohaterów. Fakt, że tworzę odważną powieść wyzwolony całkowicie z autocenzury, łagodził moje nieustające wyrzuty sumienia, że zdradziłem Polskę w trudnej historycznej chwili. Nie mogłem się pozbyć uczucia szczonego uciekającego z tonącego okrętu. To pisanie przywróciło mi własną wartość.

Trzeba od razu szczerze powiedzieć, że pisząc "Aliantów", do głowy nam obu nie przyszło, że polski tekst będzie się mógł normalnie ukazać w kraju. W planie był przekład angielski i wydanie książki jako utworu amerykańskiego autora. Taki swoisty bluff. Pisząc więc pierwszą wersję "Aliantów", traktowałem ją jako pewnego rodzaju surogat. Z żalem rezygnowałem z językowych smaczków, o których wiedziałem, że w przekładzie muszą zginąć. Po ukończeniu całości, na jesieni 1987 roku Krzysztof oddał tekst do tłumaczenia, opłacając angielski przekład. Ja jako autor ukrywałem się wciąż głęboko. Tłumacz – absolwent wydziału slawistycznego University of Toronto i uczeń profesora Luisa Iribarna (polecony nam przez niego), John Desantis – przystąpił do pracy z zapalem. Zajęło mu to blisko pół roku. Mimo że z zadania wywiązał się doskonale, oddaliśmy jeszcze tutejszym zwyczajem książkę do redaktora, który przejrzał ją pod kątem edytorskim. Redaktor ten zaproponował pewne zmiany i skróty oraz przeróbki konstrukcyjne, które uatrakcyjniłyby rzecz z punktu widzenia amerykańskiego czytelnika. Greg Ioannou, szef "The Editorial Centre", był fachowcem wysokiej próby i współpraca z nim dała mi wiele korzyści. Greg nie znał polskiego i sprawy polityczne naszego obozu mało go obchodziły. To co mnie pasjonowało, jego często nudziło. Był więc znakomitym przykładem przyszłego czytelnika amerykańskiego. Wiadomo było, że jak Greg (z pochodzenia Australijczyk, mający w swojej krwi domieszkę rumuńsko-grecką) jakiegoś fragmentu nie rozumie czy wydaje mu się niedorzeczny, to tym bardziej podobnie będzie sądził każdy czytelnik amerykański. Greg miał talent w błyskawicznym wyszukiwaniu angielskich idiomów, które byłyby w stanie zastąpić trudne, zdawałoby się nieprzetłumaczalne, polskie zwroty. Z upodobaniem też pozostawiał w angielskim tekście oryginalne rosyjskie słowa, twierdząc słusznie, że swoim egzotykiem dodają całości autentyczności.

Tak minął kolejny rok i kiedy angielska wersja książki była w pełni gotowa, wymyśliłem dźwięczny pseudonim – Nikolai Gorn oraz tytuł "Flying through the curtain" i zarejestrowaliśmy rzecz w Gildii Autorów Amerykańskich w Nowym Jorku. I wtedy właśnie w Polsce rozpoczął się "okrągły stół" i trzęsienie ziemi, które wkrótce doprowadziło do upadku komunizmu w większej części naszego obozu.

Cenzura w Polsce przestała istnieć i książka w obecnym kształcie mogła się bez przeszkód ukazać. I znów Krzysztof zagrzeżał mnie swoim entuzjazmem: – Jedź do Polski, siadź spokojnie nad tekstem, wyszlifuj i przygotuj książkę do druku.

Tak też się stało. Mając do dyspozycji dwie wersje, angielską i polską, jeszcze raz siadłem do pisania. Upływ czasu sprawił, że pewne niedoróbki i dłuższy widziałem wyraźniej. Zająłem się też dokładniejszą indywidualizacją języka moich bohaterów i stylistycznym szlifem. Wiele pomógł mi swymi uwagami mój przyjaciel, Włodzimierz Odojewski, który prezentując "Aliantów" w odcinkach na antenie rozgłośni Radia Wolna Europa – w znakomitej interpretacji Andrzeja Chomińskiego – dokonał skrótów i korekt, z których często korzystałem w wydaniu książkowym. Wreszcie wiele własnej inwencji wniosła redaktorka "Aliantów", pani Dorota Bielik-Szlajfer, której tą drogą chciałem serdecznie podziękować. Za pomoc w opracowaniu słów i zwrotów w jidisz serdecznie dziękuję mecenasowi Anatolowi Wertheimowi.

Okazałbym się wielkim niewdzięcznikiem, gdybym obok Krzysztofa Topolskiego – w jakimś sensie współautora tej książki – twórcy pełnej dokumentacji historycznej (a nawet szkicu niektórych specjalistycznych rozdziałów, z którymi nie mogłem sobie poradzić), nie wymienił jeszcze jednej osoby, która walczyła przyczyniła się do powstania "Aliantów". Jest nią pan Nick Palalas, biznesmen z Toronto, który, podobnie jak Krzysztof Topolski, prowadząc udane interesy, nie stracił zamiłowania do marzeń. Pomagając sfinansować angielską wersję "Aliantów", wykazał wiele dobrej woli i prawdziwej fantazji.

Pozostaje pytanie najważniejsze. Na ile przedstawione w "Aliantach" wypadki i postaci są prawdziwe. Odpowiedź jest prosta. Sam kluczowy dla akcji incydent przymusowego lądowania amerykańskiej superfortecy na terenie ZSRR w roku 1945 jest wymyślony. Podobnie jak fikcyjni są główni bohaterowie załogi "Poteen". Natomiast podobny wypadek w rzeczywistości miał miejsce wcześniej.

W 1944 roku amerykańska superforteca B-29 startująca z lotniska w Chinach przymusowo lądowała na terenie Rosji. Załoga przetrzymywana była ponad trzy miesiące mimo protestów amerykańskiego sztabu generalnego, a samego samolotu nigdy nie zwrócono. Jako ciekawostkę można dodać, że w 1946 roku w Los Angeles aresztowany został szpieg radziecki, który usiłował zakupić układ hamulcowy do B-29. Przechwycony przez Rosjan samolot takiego układu nie posiadał. Zniszczony został wraz z podwoziem w czasie lądowania. Kopia superfortecy B-29 pod firmą radzieckiego konstruktora Tupolewa zademonstrowana została na defiladzie pierwszomajowej przed Stalinem w Moskwie w 1948 roku.

Mimo więc fikcyjnej osi akcji sama chronologia wypadków historycznych rozgrywających się ówczesnie na arenie międzynarodowej, szkolenie załóg w Wendover i na Kubie, plany budowy i zrzucenia bomby atomowej, jak i penetracja "Project Manhattan", przez wywiad radziecki, oparte są na faktach. Zamieszczone na końcu książki przypisy dotyczące postaci i najważniejszych wydarzeń wyraźnie starają się oddzielić fikcję od rzeczywistości. Podział ten w zasadzie jest nieco sztuczny. Wiadomo, że w literaturze liczy się przede wszystkim prawda artystyczna. Ona bowiem najsilniej przemawia do wyobraźni czytelnika. Aby ją osiągnąć, trzeba rzecz nasycić realiami z życia. I to starałem się zrobić.

Z tego przydługiego wstępu dość jasno wynika, że do napisania tak prostej wydawałoby się powieści z gatunku przygodowo-sensacyjnych potrzebowałem sporo czasu i wsparcia wielu osób. Rozpoczynając pracę przed czterema laty w Toronto, nie przypuszczałem, że książka ukaże się w Polsce. I to w takim tempie. Iście

amerykańskim. Tu ukłon w stronę pana Dariusza Boguskiego i jego nowych preżnych Zakładów Wydawniczych "Versus".

Okazuje się więc, że warto marzyć. Miał rację Doktor Janusz Korczak, kiedy pisał w swej książce "Sława": "Dzieci. Miejcie dumne marzenia. Zawsze coś z tego potem w życiu zostanie".

Krzysztof Topolski zaraził mnie swoim marzeniem. Spróbowałem. Czy coś z tego wyszło? Nie mnie sądzić. Już jednak prywatne dzieje tej książki, które próbowałem tu przedstawić, są wystarczającą przygodą i dowodem na to, że marzyć warto. Nawet nad jeziorem "Loon".

Jarosław Abramow-Newerly

## I

Błyszcząca superforteca B-29 stała gotowa do startu. Ekipy naziemne skończyły ręczny rozruch śmigieł i wyprowadziły zbędny olej z cylindrów. Cztery potężne silniki Cyklona-Wrighta kolejno zagrały z hukiem. Samolot drgnął. Był to wspaniały widok.

Rick z Bobem lubili patrzeć na te olbrzymy o rozpiętości skrzydeł większej niż niejeden most, dygocące jak rozjuszony byk przed walką. Miało to w sobie coś z hazardu, coś z wielkiej gry. Wiadomo było, że wszystkie pasy startowe północnego lotniska na Wyspie Tinian są za krótkie dla tych przeciążonych paliwem i bombami kolosów. Margines bezpieczeństwa równał się zeru.

Wiedzieli o tym zarówno chłopcy w kabinie, jak i oni, obserwujący start samolotu. Wiedzieli o tym wszyscy z 393 Eskadry Ciężkich Bombowców. Dlatego wsłuchiwali się w dźwięk motorów bardziej niż dyrygent w swoją orkiestrę. Dla niego fałsz był tylko niemiłym dla ucha zgrzytem. W tej grze chodziło o życie.

Wszystko grało normalnie. Silniki zwiększyły obroty i superforteca potoczyła się z wolna, by przy szybkości 95 mil na godzinę wreszcie oderwać się od ziemi. Na ten moment czekali przed swoim samolotem w zapiętych meawestkach, nerwowo paląc papierosy.

Pilot superfortecy zdawał się już przekroczyć niewidzialną granicę bezpowrotności, gdy nagle usłyszeli jakby niższy gwizd. Bob chciał krzyknąć: "Jeden motor...!" – kiedy powietrze przeciął pisk blokujących się hamulców.

Jak na zwolnionym filmie zobaczyli pękające podwozie, kadłub w iskrach, wybuch bomb z paliwem i gęsty dym, który przykrył wszystko czarnym całunem. Nim dokończyli papierosy, było już po wszystkim.

Po chwili buldożery zepchnęły na pobocze żarzące się jeszcze szczątki i pas startowy znów był wolny. Czekał na kolejną załogę. Tą załogą mieli być oni. – Ich B-29 z dumnym napisem "Poteen" startowała w następnej kolejności. Do tego pierwszego lotu na Japonię przygotowywali się już od września 1944 roku.

– Tym razem matka ziemia puściła – mruknął Rick, gdy szczęśliwie wystartowali.

– Teraz tylko aby na nią wrócić – westchnął Bob, patrząc na oddalającą się wyspę. Był w kiepskim nastroju. Wypadek przygnębił go mocno, rozmyślał ponuro. Spojrzał na zdjęcie Kate. Pogodna twarz żony uspokoiła go nieco. Przypomnił sobie, jak dobrze parodiuje głos jego matki i uśmiechnął się.

– Ciekawe, co będzie na obiad? – usłyszał wiecznie głodnego Glenna.

– Coś lekkiego, bo kąpiel z pełnym żołądkiem niezdrowa – odparł mu Aron.

– Też masz żarty, głupku – obciął go Glenn. W słuchawkach znów zapadła cisza.

Pogodę mieli fatalną. Rick próbował zejść poniżej pułapu chmur, ale było to niemożliwe. Przez dobre parę godzin tylko w przybliżeniu orientowali się w swojej pozycji.

– Najwyższy czas coś zobaczyć – burknął Bob. Jakby słysząc to "Poteen" wyszła z chmur. Byli jeszcze nad wodą, na prawo od kursu leżała mała wyspa, a za nią rozciągał się już stały ląd.

– Nawigator pozycja! – rzucił Rick, zwiększając obroty silnika.

Byli zaledwie na pięciu tysiącach stóp i na tej wysokości każdy mógł ich trafić. Nawet dla przestarzałego myśliwca "Zero" byli łatwą zdobyczą.

– Wyspa to Oshima – zameldował Mario. – Pod nami Morze Sagamskie. Północ – północ, wschód – Zatoka Tokijska. Północ – północ, zachód – góra Fuji. Niigata na kursie!

– Brawo, Mario – pochwalił go Rick.

– Uwaga, są! – zelektryzował wszystkich głos Stana. – Powyżej para "Zer". Mają przewagę wysokości. Daj im zejść od ogona – błagał nieomal.

Rick wiedział, że najgroźniejszy atak byłby od czoła, poza tym miał zaufanie do snajpera.

– Okay. Tylko dubleta, Stan. Jak te dwa Focke-Wolfy nad Bremą – próbował bagatelizować groźbę sytuacji. Wstęgi markerów pojawiły się obok prawego skrzydła. Rozległo się urwane gdakanie karabinów maszynowych i dwudziestomilimetrowego działka Stana.

– Jedno "Zero" z głowy! Pali się! – krzyknął Stan. – Uwaga, drugi! W prawo trzydzieści, Rick – komenderował. – O, tak. I w dół. Mam go na muszce. Weteran się znalazł. Czekać draniu...

Znów zaterkotało. Poczuli, że wyraźna seria przeszła po ich kadłubie. Nakrył ją zwycięski ryk Stana:

– Dostał! Kopci się! Skacze! – pióropusz japońskiego spadochronu wykwił w powietrzu, zanim płonący kadłub runął do wody.

– Brawo, Snajper! Daj meldunek o uszkodzeniach! – rzucił Rick w intercom.

– Parę dziur w kadłubie – usłyszał w odpowiedzi.

– Tudno nas trafić po ślubie, co? – zakpił Bob.

– Gadasz – powstrzymał go Rick i poprawił apaszkę. Bierzemy ptaszka w górę, bo za moment będziemy mieli tu całą żółtą szarańczę – zdecydował.

"Poteen" posłusznie zaczęła się piąć jak winda. Za pół godziny byli na bezpiecznej wysokości trzydziestu czterech tysięcy stóp. Niestety ponownie wpadli w chmury.

– Co za cholera! – wściekał się Bob.

Wiedzieli, że poniżej dwudziestu tysięcy stóp czeka ich gorące przyjęcie myśliwców japońskich, a nad samym celem nieprzyjacielska artyleria przeciwlotnicza. Nie mieli jednak wyjścia. Cel musiał być sfotografowany.

– Regis! – rozkazał Rick. – Prowadź mnie na radarze! Będę w chmurach!

– Spróbuję – odparł tamten. – Jak złapię na ekranie rzekę Shinano, to dalej pójdzie. Wzdłuż koryta do samej Niigaty będę miał echo – objaśniał pedantycznie. – Okay – rzekł po chwili. – Jest. Weź kurs dziesięć stopni na wschód...

Rick łagodnie położył superfortecę w prawy wiraż i wyrównał kurs.

– Dobra, trzymaj tak. Widzę już na radarze pierwsze miasta. To chyba Nagoaka. Tak jest. A dalej Sanjo. Niigata za jakieś dwadzieścia minut...

Rick powoli opuszczał ster. Poszarpane kawałki chmur przelatowały za oknami kabiny. Ułamki ziemi migały w dole.

– Pomału, stary. Im później nas zobaczą tym lepiej – powstrzymywał go Bob.

W napięciu czekali na pierwsze wybuchy artylerii przeciwlotniczej. Musiała już być zaalarmowana.

– Cel na kursie – zameldował nawigator.

– Okay, Mario – Rick opuścił zdecydowanie ster.

Minęły ostatnie pasma chmur. Bob włączył centralnie wszystkie kamery. Jakby w odpowiedzi runęła ściana ognia. Artyleria waliła w nich jak w kaczy kuper.

– Ażebyście wy głowami do ziemi rośli. Jak cebula! – klął Japończyków Kaplanowicz. – I o co ten cały aj-waj?! O jedno zdjęcie?! Czego te szmoki tak fotografii się boją?! Wielkie mecyje! – dziwił się wstrząsany wybuchami.

Rick gwałtownie położył maszynę w prawy wiraż, jednocześnie stawiając ją na nosie. Strząsnął w ten sposób z siebie niejedną baterię. Tym razem byli jednak zupełnie sami. Widoczni jak na dłoni. Każde działo, każdy głupi karabin maszynowy mogły ich trafić. Rick był już na czterech tysiącach stóp i zaczął wyrównywać lot. Jeszcze trzydzieści sekund i będą nad upragnioną wodą. Dookoła wybuchały pociski, wykwiwały smugi szybkostrzelnych działek, pękały race ognia.

– Jeszcze piętnaście sekund, jeszcze dziesięć – modlili się w duszy. Byli prawie pewni, że się wywiną. Nagle "Poteen" targnęła straszliwy wstrząs bezpośredniego trafienia. Poczuli swąd benzyny i palących się przewodów:

– Dostaliśmy wabinę. Co z resztą? – rozległ się spokojny głos Ricka.

– Zewnętrzny prawy silnik w ogniu, radar okay, podwozie zablokowane –

posypały się meldunki w intercomie. Rick wyłączył płonący motor. Pomarańczowy płomień lizał stalową blachę.

– Spróbuję zgasić wiatrem. Trzymać się! – krzyknął, gwałtownie posuwając ster w dół.

Desperacko zwiększył szybkość, pikował ostro. Był to samobójczy manewr, w każdej chwili coś się mogło urwać. – "Lepiej się utopić niż upiec. Szybsza śmierć" – pomyślał w rozpacz. Samolot drżał i dygotał. Wiatr wył przez strzaskane szyby.

– Trzy tysiące, dwa pięćset, dwa – liczył.

Ogień jakby się rozwiewał. Lizał już tylko tył skrzydła.

– Tysiąc pięćset, tysiąc – pędził dalej.

Ostatnie płomyki zniknęły z rur wydechowych.

Rick ostro ściągnął drążek sterowy aż do oporu. "Poteen" jęknęła od gwałtownego przeciążenia. Przez moment wydawało się, że jest już za późno i runą do wody. Niemal pięćdziesiąt stóp od powierzchni morza posłuszna sterom superforteca wyszła ze śmiertelnego nurkowania.

– Jest ranny? – zapytał Rick.

– Dostałem w nogi. Nic takiego – odparł Bob.

– Zajmij się nim, Glenn! – rozkazał Rick. Glenn sięgnął po podręczną apteczkę. Bob wyraźnie nadrabiał miną. Spokojnie patrzył na zaplamione nogawki i kałuże krwi pod nogami.

– Liczę na miękkie lądowanie – zakpił basem. Wszyscy w to wierzyli.

Kapitan skupił się na dowodzeniu:

– Co z radiem? – zapytał radiotelegrafistę.

– Sygit – odparł Aron.

– Łącz się z bazą. Melduj, że lecę na trzech silnikach. Jest ranny. Nawigator! – zwrócił się teraz do Regisa. – Podaj dokładną pozycję!

Regis miał kłopoty z przyrządami. Trudno mu było określić położenie. Wyglądało, że byli najbliżej Rosji. W tym stanie nie mogli marzyć o powrocie do bazy. Jedynie Rosja wchodziła w grę. Jeśli oczywiście nie zbroczą.

– Kieruj dokładnie na północ, a wtedy wylądujesz gdzieś w okolicach Władywostoku – informował go, z grubsza podając namiary.

Żaden zegar nie działał. Wiatr wył i przez przestrelone szyby wdzierał się do kabiny. Wpadali w powietrzne dziury. Rzucano nimi strasznie. Rick leciał prawie na oślep. Aron na próżno szukał kontaktu z bazą. Sygnały ginęły w przestrzeni. Żadnego okrętu nie było w pobliżu. Na domiar złego drugi silnik zaczął przerywać. Teraz Rick każdą stopę wysokości starał się maksymalnie wydłużyć. Po pół godzinie lotu z mgły horyzontu wychylił się daleki brzeg. Jednocześnie rozległ się krzyk Arona:

– Zol ich azoj gezond zain! (Zol ich... (jidisz) – Żebym tak zdrów był – (słowa i zwroty w jidisz w pisowni fonetycznej, tłumaczenie niedosłowne, starające się oddać sens użytego słowa lub zdania – oprac. Anatol Wertheim). Mam kontakt z łodzią



podwodną! – zawołał radośnie.

– Melduj, że schodzę do lądowania, że jesteśmy trafieni i lecimy na Rosję... albo Mandżurię. Niech nam...

W tym momencie drugi silnik zamilkł.

"Poteen" przechylona na jednym skrzydle zaczęła raptownie tracić wysokość. Z napięciem wpatrywali się w zbawienny brzeg, ich niebo. Wreszcie skończyła się przeklęta woda i mieli pod sobą ścianę lasu. Żadnego miejsca do lądowania. Ani pola, ani szosy, jedynie zwarty blok zieleni.

Szalejący wiatr nie ułatwiał zadania. Rick szukał gwałtownie skrawka lądowiska. Nie miał wyboru. Śmierć zaglądała im w oczy. Nagle jaśniejszy pas błysnął wśród wierzchołków drzew. Zobaczył jakby polanę zakończoną wąskim przesmykiem porośłym drobnymi krzakami. Postanowił ryzykować, lądować na brzuchu.

Ostro zszedł w dół ocierając się niemal o korony drzew. W ostatniej chwili wyprostował samolot i łagodnie uniósł nos w górę. To była ich jedyna szansa.

– Siadamy! Trzymać się! – krzyknął tylko.

Zanim tył kadłuba dotknął ziemi wyłączył motory. Samolot odbił się jak piłka i zaczął szorować brzuchem po ziemi, ścinając jak brzytwą krzaki. Z olbrzymią szybkością "Poteen" zbliżała się do wąskiego przesmyku polany. Wielkie skrzydła rąbnęły o dwa najbliższe cedry. Superfortecą zatrzęsło, ale cel został osiągnięty – łamiące się skrzydła spełniły rolę amortyzatorów. Byli uratowani. Pierwszy odezwał się Rick:

– Aron, co z radiem?

– Cudem gra. Mam łączność z łodzią...

– Melduj im zatem! – rozkazał Rick i zajął się rannym przyjacielem. Bob po szczęśliwym wylądowaniu był bardziej podniesiony na duchu, ale jego rana nie wyglądała dobrze. Pocisk rozerwał łydkę. Odłamki tkwiły w ciele. Kość była chyba ruszona. Bob próbował wstać, ale zaraz poszarzały z bólu opadł.

– Do wesela się zagoi, chociaż już po weselu...

– Wszystko będzie okay – pocieszył go Rick – grunt, że krew zatamowana...

Dopiero teraz poczuł, że jest ranny. Z trudem poruszał barkiem. Nie przejął się tym, zgnębiony stanem Boba.

Ostrożnie wynieśli go z samolotu i ułożyli pod drzewem. Słońce przebijało się przez gęste igły i tańczyło po bladym czole rannego. Mario dał mu pić, a Barney odganiał chmary dokuczliwych muszek.

Miejsce, na którym wylądowali, było naprawdę dziewicze. Gdyby nie parę ściętych pni, można by sądzić, że nigdy nie było tu człowieka. Aron meldował właśnie o tym łodzi podwodnej, gdy z głębi lasu dobiegł ich warkot motoru. Nadjeżdżał wóz. Kaplanowicz kończył pośpiesznie:

– Jeśli to żółtki, żegnajcie, jeśli Rosjanie...

Na polanie ukazała się ciężarówka, którą od razu poznali. Był to ich Studebaker z czerwoną gwiazdą na szoferce. Ryknęli z radości.

– Rosjanie! Jesteśmy w Rosji! – meldował Aron. – Wśród sojuszników! Kończę. Czekajcie na tej samej fali za pół godziny. Powtarzam. Na tej samej fali za pół godziny! – po potwierdzeniu odbioru zdjął słuchawki.

Rick stanął na pniu i dawał sygnały rękami. Rosjanie zbliżali się ostrożnie, ale kiedy usłyszeli: American! – ośmielili się. To rozumieli.

– Amierikancy! Wot mołodcy! – krzyčili rzucając w górę furazerki – Dawaj! – szczerze wyciągali ręce.

Sojusznicze armie rzuciły się sobie w ramiona.

## II

Parę miesięcy wcześniej kapitan Richard O'Sullivan wraz ze swym przyjacielem Robertem Fultonem szli przez środek bazy lotniczej w Wendover. Szli wolno w rozpiętych bluzach. Mimo połowy września dzień zapowiadał się upalny.

Rick w swej nieodłącznej zielonej apaszce i zsuniętej na czoło czapce z uwagą słuchał przyjaciela. Co i raz poprawiał czapkę jakby na znak, że się zgadza.

Wysoki i szczupły, o ciemnych włosach i jasnej cerze Irlandczyka, z natury milkliwy, był przeciwieństwem krępego Boba, który strzelał seriami zdań jak z działka pokładowego. Stanowili zgraną parę nie tylko w powietrzu, gdzie Rick był pilotem, a Bob co-pilotem, ale i na ziemi. Zdążyli się nieźle zżyć przez dwa lata wojny nad Niemcami, zrzucić wiele bomb, wypić jeszcze więcej whisky i wylądować tu, w tej dziwnej bazie na granicy Utah i Nevady. Do najbliższego miasta mieli "tylko" sto mil, a otaczający ich krajobraz przypominał dno słonego, wyschniętego jeziora.

Gdyby nie fakt, że znaleźli się tu w doborowym gronie, wśród chłopców z najwyższymi bojowymi odznaczeniami, można by sądzić, że wpakowano ich tu za karę, a nie w nagrodę, i że ten cały Wendover to raczej obóz dla jeńców wojennych, a nie zgrupowanie asów lotnictwa bombowego. Tak by można sądzić, patrząc na kolczaste druty, wieżę strażniczą i wiecznie strzeżoną bramę. Wszędzie roiło się od napisów: "Ścisłe tajne", "Wstęp surowo wzbroniony", "Strefa strzeżona", "Zakaz wjazdu" itp. Atmosfera wielkiej tajemnicy panowała w bazie, w której miała się znaleźć ich 393 Eskadra Ciężkich Bombowców. Czego jednak strzeżyły te jeepy MP, Bóg raczył wiedzieć. Rozsiewały tylko piach, jakby go mało było na tej przeklętej pustyni.

Właśnie kolejny jeep uszczęśliwił ich żółtą chmurą. Musieli wstrzymać oddech, by nowa fala piasku nie wcisnęła im się między zęby. Bez tego zgrzytali. Wściekało ich, że nie ma żadnej nadziei na wyrwanie się z tej kurzawy w wyższe regiony nieba. Na razie żadnych samolotów nie przysłali do bazy poza trzema gruchotami.

Piach wdzierający się ze wszystkich stron nie przeszkadzał radarzyście Regisowi Cardwellowi czyścić butów na progu baraku. Była to syzyfowa praca. Regis słynął z opinii wielkiego pedanta i nawet spadając na spadochronie – jak twierdzono – przy lądowaniu z gracją podciągał kanty swych spodni.

W umywalni Barney Maxwell kończył swą poranną toaletę. Z wprawą wycisnął drobnego pryszczka i krytycznie przyjrzał się swej dziewczęcej buźce. Pierwsze blond

włoski nieśmiało kielkowały z podbródka. Koledzy nazywali go Grzdyl.

Z rezygnacją otworzył kran – pociekła rdzawo-brązowa woda. Sięgnął więc po dyżurną butelkę "Coca-Coli". Obydwie ciecze były tej samej barwy, uznał więc, że pewniej trzymać się znanej firmy. Wlał na szczoteczkę spieniony płyn i wycisnął z tubki pastę do zębów.

Tymczasem w sypialni Stan Huston, zwany przez kolegów Snajperem, od dłuższego czasu walczył ze szczurem. Zagnał go do narożnika, zastawił łóżkiem i kijem baseballowym starał mu się zadać śmiertelny cios. Szczur uskakiwał zręcznie walcząc o życie. O knockout było więc trudno. Przyzwyczajeni do tych zawodów koledzy nie zwracali na to uwagi.

Glenn Borsuk, imponujący osiłek, przejmował się bardziej elektrykiem, który od godziny próbował naprawić kontakt. Wyjątkowo wściekał go ten typ i Glenn nerwowo napręzał biceps:

– Co on tak gmera, ciul – skarżył się do Mario Lombardi. Pojęcia o niczym nie ma. Światło popsuje...

Mario nie podzielał tych obaw, chrapiąc w najlepsze:

– Ten makaroniarz ma sen – westchnął Glenn i z żalu napiął kolejny biceps. Oprócz własnych mięśni nic mu się nie podobało.

Kolejny atak na szczura i huk kija sprawił, że radiotelegrafista Aron Kaplanowicz oderwał się od zdjęcia zmysłowej blondynki, którą namiętnie studiował w magazynie filmowym i ostro zaprotestował:

– Strasznie się tłuczesz, Stan. Nie idzie czytać. Nie wiem, z której strony jest kropka...

Stan jednak tłukł się dalej, pracując aż do zwycięstwa. Aron machnął ręką i wrócił do lektury.

Skromna buzia narzeczonej nad łóżkiem nie przeszkadzała mu podziwiać urody innych dziewcząt:

– Co za pikantna główka?! I sznyt w biuście! – cmokał ze znanstwem. – Lubię tę płeć i ona mnie też – stwierdzał otwarcie, gładząc kręcone włosy, które nawet na mokro nie chciały układać się w przedziałek. Aron pod wpływem Clarka Gable zapuścił hiszpański wąsik i naśladowując kapryśny uśmiech słynnego amanta, dodawał zabójczym tonem: – Lecą na mnie te siksy. Jak pszczoły na miód! – i Kaplanowicz łowił je namiętnie.

Na inne zgoła polowanie wyruszył tego ranka główny strzelec Howard Stanford. Od dawna intrygował go hangar numer 6, zazwyczaj pilnowany przez wartownika. Wielki napis "Ściśle tajne" nie dawał mu spokoju. Tym razem wartownik szczęśliwie zniknął, a wrota hangaru były uchylone. Upewniwszy się, że nikt go nie widzi, wślizgnął się do środka.

To co zobaczył zaskoczyło go. Stała przed nim autentyczna niemiecka V1. Co do tego nie miał wątpliwości. Jej kształt znał z wielu planszy rozwieszonych w angielskich koszarach.

Major Kent Sydney, szef specjalnego oddziału FBI w bazie, rozglądał się ciekawie z wieży strażniczej. Patrzył na plac, przez który szli kapitan Rick O'Sullivan

ze swym przyjacielem Bobem, na chaty Quonseta z falistej blachy, wojsko i wozy kręcące się w tumanie kurzu i dalej na lotnisko z trzema Dakotami. Za drutami obozu widać było wyraźnie ubitą drogę, kaktusową pustynną roślinność i na horyzoncie pojedyncze domki Wendover.

Major Sydney sięgnął po lornetkę. Przesuwał ją, wolno studiując teren, gdy w szklach błysnęła skurczona postać Howarda Stanforda, który właśnie teraz postanowił wyjść z hangaru. Major przyglądał mu się uważnie i w chwili, gdy Howard różnym krokiem zmierzał do swego baraku, zanotował coś szybko w notesie.

Tymczasem Stan Hudson uporał się ze swoim szczurem i trzymając zwycięsko za ogon, zamierzał wyrzucić na śmietnik.

– Zostaw go – wstrzymał go Aron. – Zdechły szczur też szczur – zawyrokował. Stan, znając dobrze Arona, chętnie mu dał, wierząc, że nie zmarnuje jego zdobyczy.

Do baraku wszedł porucznik Fulton i już od progu wykrzyknął tubalnym głosem:

– Chłopaki zbierać się! Za pięć minut odprawa w dowództwie! Wreszcie się czegoś dowiemy!

– Ja wiem bez tego – przerwał mu Howard. – Będziemy rąbać niemieckie wyrzutnie rakietowe – rzekł z przekonaniem.

– To po co by nas wycofywali z Europy? – spytał Barney.

– Nie wiem po co, Grzdylku, wiem tylko, że mam rację – i Howard przystąpił do szczegółowej opowieści o tym, co ujrzał.

Elektryk przerwał pracę i pilnie zaczął się przysłuchiwać.

Jako ostatni do sypialni wszedł Rick O'Sullivan. Swoim zwyczajem poprawił czapkę i rzekł cicho do rozognionych kolegów: – Proponuję przerwać ten spór, panowie, i iść na odprawę. Uważam, że pułkownik Tibbets będzie miał coś do dodania...

W sali baraku dowództwa zgrupowały się wszystkie załogi w nadziei, że wreszcie usłyszą, po co je tu sprowadzono. Tibbets w otoczeniu swych najbliższych współpracowników, majora Thomasa Forebee \* i kapitana "Dutch" Van Kirka, \* przystąpił do rzeczy:

Thomas Forebee – major lotnictwa, bombardier, członek załogi "Enola Gay".

Theodore Van Kirk "Dutch" – major lotnictwa, nawigator, brał udział w nalocie na Hiroszimę.

– Zdaję sobie sprawę, że pożera was ciekawość. Niestety na mało pytań będę mógł odpowiedzieć. Nie przypadkiem zebrani tu zostali najlepsi piloci naszego lotnictwa bombowego. Powierzono nam bowiem misję, która jeśli się uda, będzie zdolna skończyć wojnę. Ci z was, którzy ze mną zostaną, przetrzuceni będą za ocean...

W tym miejscu Howard Stanford trącił siedzącego obok Boba Fultona. Pułkownik w pełni potwierdzał jego tezę.

– Rozumiem, że mało to wam wyjaśnia – ciągnął dalej Tibbets – jednak tak musi być. Nie zadawajcie żadnych pytań. Nie odpowiadajcie na żadne pytania. Jedno słowo niedyskrecji i wylądujecie na najdalej wysuniętej bazie Alaski, uprzedzam. Wstęp do naszej jednostki jest najściślej strzeżony. Za zgubienie przepustki grozi sąd

wojenny. Pod żadnym pozorem nie wolno wam zdradzić lokalizacji naszej bazy. Tym jednak, którzy zastosują się ściśle do moich rozkazów, nie stanie się krzywda. Zgłosiliście się do mnie na ochotnika i dobrowolnie możecie się również wycofać. Jest to ostatni moment. Potem będzie za późno. Słucham więc. Kto się rozmyślił?

Nikt nie drgnął. Nawet Glenn, który wciąż się odgrażał, że dość ma tego burdelu, siedział teraz bez ruchu. Nagle czyjaś ręka uniosła się w górę. Był to Aron.

– Wasze nazwisko, sierzancie? – spytał wolno Tibbets.

– Sierżant Aron Kaplanowicz, Sir – zameldował służbiście Aron.

– Rozumiem... – pułkownik taksował go z ironią. – Po tym co usłyszeliście wolicie raczej odejść...

– Nie, panie pułkowniku, po tym co usłyszałem wolę raczej zameldować, że nasz obóz i tak już został spenetrowany przez agentów osi...

Tym razem Tibbets wydawał się zaskoczony:

– Jesteście aby pewien? – spytał z wahaniem?

– Mam na to niezbite dowody! – rzekł Aron! – Chcą nas tu formalnie zgładzić. Otruć. A oto żywy fakt! – z triumfem podniósł zdechłego szczura. – Nakarmiłem to biedne stworzenie porcją naszego obiadku, i proszę! – potrząsnął za ogon zwycięsko.

Sala ryknęła śmiechem. Gdy się trochę uciszyło, pułkownik próbował możliwie zręcznie wybrnąć z kłopotliwej sytuacji:

– Dziękuję za czujność, sierzancie. Kuchnia przestanie być na usługach wroga. Przyrzekam. Przekażę sprawę do FBI – zażartował.

"Wystarczy przekazać to temu elektrykowi, który dłużył w ścianie" – pomyślał Aron, ale nawet on bał się powiedzieć to głośno. Atmosfera na sali wyraźnie się ociepliła.

– Rozumiem więc, że mimo złej kuchni wszyscy zostają? – pułkownik spokojnie zlustrował salę. Po chwili zaczął o najważniejszym. – W razie osobistego zagrożenia ze strony jakichkolwiek władz wojskowych dwa słowa hasła "Srebrna taca" \* otworzą wam wszystkie drzwi. Jego użycie pozostawiam waszemu wyczuciu. Zastosujecie źle, znów grozi Alaska. Tylko w wyjątkowych wypadkach należy się nim posługiwać. A teraz udzielam wszystkim dwutygodniowego urlopu dla pożegnania się z rodzinami. Będzie to wasz ostatni urlop aż do zwycięstwa. Radzę go więc dobrze wykorzystać. Meldujecie się z powrotem w bazie szóstego października o godzinie dwudziestej. Życzę powodzenia, panowie – dokończył.

"Silverplate" – (w tłumaczeniu "Srebrna Taca" lub "Platera") – kryptonim części militarnej "Project Manhattan".

Niewiele się dowiedzieli, jednak wszystko przysłonił fakt, że idą do domu. Nastroje z miejsca się poprawiły.

Aron przyjmował gratulacje. Szczególnie Stan był zadowolony: – Gdybym go nie utłukł, dziada, numer by nie wyszedł – powtarzał dumnie. – A tak, dzięki szczurowi jedzonko będzie cycuś. Zobaczycie – cieszył się z góry.

Bob Fulton tknięty nagłą myślą zatrzymał się przed progiem baraku:

- Idę za radą Tibbetsa, chłopaki! – wykrzyknął basem.
- To znaczy? – spytał zawsze ciekawy Howard.
- To znaczy żenię się. Skoro mamy ten urlop wykorzystać zgodnie z rozkazem Tibbetsa. Masz jakieś zastrzeżenia?
- No, nie – bąknął Howard. – Tylko czy Kate o tym wie?
- Jak nie wie, to się dowie. Po to dali nam urlop.
- Niewątpliwie – przyznał Howard – Kate jest za tobą...
- Ty mniej. Lecz cóż? Szwagrów się nie wybiera. Musisz się poświęcić dla dobra siostry, stary – zażartował.
- Czekał. Daj mi zebrać myśli...
- Tu nie ma co zbierać. Najwyżej łachy – przerwał mu Bob i zwrócił się do Ricka:
- Czuj się zaproszony na mój ślub z Kate Stanford, piękną siostrą tego potwora. Dnia i godziny operacji jeszcze nie zdradzam, bo sam nie znam – strzelił wesoło.
- Dziękuję, Bob – odparł Rick i z zakłopotaniem uniósł czapkę. – Tylko...
- Żadne tylko, kapitanie. To rozkaz. W bazie ty rządzisz, a na urlopie ja.
- Okay – zgodził się Rick.
- Zatem do dzieła – krzyknął Bob i wszedł do baraku. – Pakujmy ciuchy i więcej jak duchy! – zdecydował.

\* \* \*

Zaraz po odprawie pułkownik Tibbets opuścił Wendover i udał się do Los Alamos. \* Tam wraz z generałem Leslie Grovesem, \* czuwającym nad całością "Projekt Manhattan", \* mieli się spotkać z naukowcami. Generał wprowadził Tibbetsa w plany zrzuć pierwszej bomby atomowej, nie był jednak w stanie wyjaśnić wszystkich szczegółów technicznych. Te Tibbets miał nadzieję uzyskać od naukowców, którzy od roku tu w Los Alamos intensywnie pracowali nad jej konstrukcją pod kierownictwem Roberta Oppenheimera. \*

Los Alamos – tajne laboratorium w Stanie Nowy Meksyk stworzone specjalnie od podstaw dla "Project Manhattan".

Leslie Groves – absolwent amerykańskiej Akademii Wojskowej West Point, generał korpusu inżynieryjnego, budowniczy Pentagonu, szef całości "Project Manhattan".

"Project Manhattan" – kryptonim obejmujący całość amerykańskich przygotowań nad badaniami, produkcją, szkoleniem i zrzuć pierwszej bomby atomowej. Nigdy nie odkryty przez agentów III Rzeszy, natomiast głęboko spenetrowany przez wywiad radziecki.

Robert Oppenheimer – wybitny amerykański fizyk jądrowy, kierownik

laboratorium w Los Alamos, odpowiedzialny za całokształt prac naukowych "Project Manhattan". Popularnie zwany ojcem bomby atomowej.

Wybierając Tibbetsa do tego odpowiedzialnego zadania, Groves wziął pod uwagę wszystkie jego dotychczasowe sukcesy, zalety i cechy charakteru. Spore znaczenie miał fakt, że Paul Tibbets był jednym z najsławniejszych asów lotnictwa bombowego, pierwszym, który w tej wojnie przeleciał kanał La Manche na swoim B-17 i bombardował Niemcy. On wioził generała Eisenhowera do Gibraltaru w czasie planowanej inwazji Aliantów w północnej Afryce, on też wslawił się brawurowym lądowaniem na zbombardowanym lotnisku w Algierze, wioząc generała Marka Clarka na pokładzie.

Borykając się teraz z różnymi kłopotami, Tibbets z rozrzewnieniem wspominał słowa generała Henry'ego Arnolda, \* który powierzając mu ciężar szkolenia załóg mających tę bombę zrzucić, zapewnił go, że we wszystkim może na niego liczyć. Tibbets wiedział, że w większości wypadków nikt nie jest w stanie mu pomóc. Sam będzie musiał wszystko rozwiązać. W końcu on odpowiada za tych chłopców. Teraz, przechodząc przez większą jeszcze niż w Wendover liczbę straży, liczył, że tu wreszcie zdradzą mu prawdziwą tajemnicę.

Henry Arnold – popularnie określany przydomkiem Hap – dowódca amerykańskich sił powietrznych w II wojnie światowej. Generał pięciogwiazdkowy (najwyższy amerykański stopień wojskowy odpowiedni w innych armiach randze marszałka).

Inaczej sobie to Los Alamos wyobrażał. Był pewien, że ujrzy coś w rodzaju uczelni, tymczasem ośrodek przypominał mu jego bazę. Podobnie był zgubiony na końcu świata, tyle, że nie w pustynnej Nevadzie, a w dzikich górach Nowego Meksyku.

Wśród kamiennych domków zwracał uwagę duży budynek "Ranch School". Właśnie wychodził z niego przystojny mężczyzna koło czterdziestki z aureolą czarnych, kręconych włosów wokół wysokiego czoła. Mężczyzna szedł im na spotkanie szybkim, tanecznym krokiem przypominającym trucht.

– To właśnie Robert Oppenheimer. Słynny Oppie – szepnął mu Groves.

Pułkownika zaskoczył wygląd tego profesora. W farmerskim stroju przypominał przeciętnego hodowcę, a nie kierownika tak ważnego projektu. Jedyne przenikliwe spojrzenie zdradzało nieprzeciętną inteligencję. Oppenheimer serdecznie przywitał się z nimi i zaprosił do siebie:

– Cieszę się, że udało mi się pana przekonać do tego cudownego zakątka, generale – Oppenheimer wskazał wspaniałą panoramę gór. Los Alamos położone było jakby na dnie szczytu stołowej góry wznoszącej się siedem tysięcy stóp nad poziomem morza.

– Mam dwie pasje – ciągnął Oppenheimer – fizykę i dziką przyrodę. Dotąd trudno je było ze sobą pogodzić. Dopiero tu udało mi się...

Z oddali doleciały dźwięki fortepianu:

– To Edward Teller \* szuka natchnienia – wyjaśnił Oppenheimer, prowadząc ich do biura, gdzie czekała już grupa naukowców, a wśród nich Enrico Fermi, \* Niels Bohr, \* Hans Bethe, \* George Kistiakovsky \* i Stanisław Ulam. \* Byli to przeważnie uciekinierzy z Europy. Chęć szybkiego zakończenia wojny była im szczególnie

bliska. Przedstawiając pułkownika swoim kolegom, Oppenheimer powiedział:

Edward Teller – wybitny fizyk jądrowy urodzony na Węgrzech, członek grupy teoretycznej w Los Alamos, późniejszy współtwórca bomby wodorowej. Już w opisywanym czasie studiował teoretyczne możliwości budowy bomby termojądrowej pod kryptonimem "Super". Powszechnie znany jako ojciec bomby wodorowej.

Enrico Fermi – słynny fizyk włoski, laureat Nagrody Nobla, twórca pierwszego reaktora atomowego. Współpracownik "Project Manhattan".

Niels Bohr – jeden z pionierów nowoczesnej fizyki jądrowej, zastosował teorię kwantową Plancka do swojego modelu budowy atomu. Laureat Nagrody Nobla. Po dramatycznej ucieczce z okupowanej Danii konsultant "Project Manhattan".

Hans Bethe – fizyk niemiecki, współpracownik "Project Manhattan". Po wojnie laureat Nagrody Nobla.

George Kistakowsky – chemik pochodzenia ukraińskiego, konstruktor implozji (wybuch dośrodkowy), który umożliwił budowę bomby atomowej z użyciem pierwiastka transuranowego Pluton 239.

Stanisław Ulam – polski uczonek, absolwent Uniwersytetu Lwowskiego im. Jana Kazimierza, światowej sławy matematyk, członek grupy teoretycznej w Los Alamos. Współtwórca wraz z Von Neumanem wszystkich obliczeń związanych z wybuchem materiałów rozszczepialnych Uran 235 i Pluton 239. W latach późniejszych twórca teorii, która umożliwiła produkcję bomby termonuklearnej (Ulam-Teller Effect".

– Skoro jest wśród nas lotnik, to znaczy, że powoli zbliżamy się do końca... Siły ukryte w jądrze atomu, które dotąd były tajemnicą kosmosu, nagle zostaną wyzwolone. Jedna bomba zrzucona z pańskiego samolotu, pułkowniku, będzie w stanie zmieść z powierzchni ziemi całe miasto. Musi pan sobie zdawać z tego sprawę – tłumaczył wolno. Tibbets wiedział, że będzie to bomba o wielkiej mocy, takiej się jednak nie spodziewał.

– Jaka siła wybuchu?

– Trudno powiedzieć – odparł Oppenheimer. – Zakładamy, że mieścić się będzie w granicach dziesięciu do dwudziestu tysięcy ton dynamitu.

– Kilogramów – poprawił go Tibbets.

– Nie. Ton – powtórzył Oppenheimer.

– I to raczej bliżej tej górnej granicy – wtrącił Kistiakowsky, który był projektantem urządzenia zapłonowego.

– Cokolwiek nie powiemy, będzie to całkowicie nowa jakość nie dająca się z niczym porównać. I musi pan stale o tym pamiętać, pułkowniku – ciągnął dalej Oppenheimer.

Dla Tibbetsa najważniejszą rzeczą była szansa usunięcia samolotu z bezpośredniej strefy wybuchu i zagwarantowanie mu bezpieczeństwa. Niestety zebrani naukowcy nie umieli mu udzielić dokładnej odpowiedzi.

– Jesteśmy empirykami – oznajmił mu Enrico Fermi. – Przed wybuchem nie możemy niczego na sto procent ustalić. Wszystko pozostaje w sferze teorii. Praktyka może wiele zmienić...



W wywiązanej potem dyskusji uwagę Tibbetsa zwrócił przystojny brunet w okularach, którego Oppenheimer przedstawił jako członka grupy brytyjskich fizyków, wspierających zespół w Los Alamos. Jego nazwisko brzmiało Klaus Fuchs. \* Był on emigrantem z Niemiec. Dwa razy zabrał głos i dwa razy uderzał w serdeczny ton i zainteresowanie losem lotników. To bardzo ujęło Tibbetsa.

Klaus Fuchs – niemiecki uczoney, komunista, znalazł azyl w Anglii. Jeden z twórców brytyjskiego programu uranowego "Tube Alloys". Członek brytyjskiej grupy uczonych dokooptowanych do laboratorium w Los Alamos. Radziecki agent operujący pod kontrolą Harrego Golda (w książce Harry Silver). Sądzony po wojnie w Anglii za szpiegostwo, skazany na długoletnie więzienie. Po odbyciu kary zamieszkał w Berlinie, w NRD. Zmarł w 1989 roku.

– W żadnym wypadku nie wolno wam patrzeć w stronę wybuchu – ostrzegał go Fuchs – bo możecie stracić wzrok – dla podkreślenia grozy poprawił swe okulary w oryginalnej oprawce z pancerza żółwia.

Na zakończenie generał Graves jeszcze raz zaapelował do wszystkich o zachowanie tajemnicy.

– Ja wiem, panowie, że jest to wbrew przyjętej praktyce i etyce zawodowej – mówił twardo. – Dotychczas wiedza była jawna. Jednakże, jak słusznie stwierdził Robert Oppenheimer, tu zetknęliśmy się z czymś zupełnie nowym. I musimy tego strzec jak źrenicy oka. Byłoby bowiem niewybaczalnym błędem, wręcz zbrodnią, gdyby dla własnego komfortu duchowego choć część tych wyników wymknęła się nam z rąk. Mogłoby to mieć dla przyszłych losów świata katastrofalne skutki!

Groves kierował te słowa głównie do Nielsa Bohra, który wciąż, jako wyznawca czystej nauki, przeżywał duże rozterki duchowe. Generał pomny niedawnych kłopotów z Leo Szilardem, \* który jawnie sprzeciwił się użyciu bomby i atomowemu monopolowi, był na tym punkcie szczególnie uczulony. Dla pułkownika Tibbetsa zaś zachowanie tajemnicy było rzeczą oczywistą. Natomiast inne rzeczy, o których usłyszał, wstrząsnęły nim do głębi: "Jedna bomba zdolna zmieść całe miasto? Błysk, który może oślepić?" Trudno było w to wszystko uwierzyć. Postanowił skoncentrować się nad samą techniką zrzutu. Zbadać możliwości najszybszego oddalenia się od "Punktu Zero", jak oni określali cel. Pełen sprzecznych myśli wracał do Wendover.

Leo Szilard – fizyk jądrowy, emigrant z Węgier, pierwszy opatentował w latach trzydziestych w Anglii zasadę reakcji łańcuchowej. Współtwórca pierwszego reaktora atomowego. Konsultant "Project Manhattan".

### III

Jechali na urlop z prawdziwym fasonem. W jednym jeepie Rick, w drugim Bob. Pędzili po wyschłej, pustynnej drodze na łeb na szyję, byle tylko szybciej dopaść Salt Lake City. Gdyby nie jeepy, można by sądzić, że to dwaj kowboje ścigają się po prerii. Co i raz zbliżali się do siebie i wychyleni z siedzeń jak z siodeł przerzucali butelkę whisky:

– Zdrowie pana młodego! – wołał Rick.

– I pierwszego gościa! – odkrzykiwał Bob, łapiąc flaszkę w powietrzu. Wozy

podskakiwały na wykrotach, a tymi z tyłu trzęsło niemiłosiernie:

– Bebech mi odbije – skarżył się Stan, powstrzymując kawaleryjską jazdę Boba.

– Dziki zbój – wtórował mu w drugim samochodzie Aron, podskakując na walizce. Rick w zielonej apaszcze na czole, z rozwianą grzywą włosów rzeczywiście przypominał teraz dzikiego Apacza. Zaczęli piąć się wąską koleiną wrytą w piasku. Bob pędzący przed Rickiem kurzył mu w nos, pokazując zgiętą ręką, co o nim myśli. Rick postanowił dać mu szkołę. W chwili gdy oba jeepy walczyły ze sobą łeb w łeb, zza jednej z wydm wypadł rozpędzony wóz majora Forebee. Rick w ostatnim momencie uskoczył. Wściekły major pogroził mu pięścią. Rick odsalutował służbiście.

– Masz refleks – pochwalił go Howard. – Mały włos, a byłoby po nas... I po ślubie...

– O, kurwa! W łeb dostałem! – jęknął Glenn, którego atletycznym ciałem rzuciło o kant walizki Arona.

– Łeb to frajer, gorzej jakbyś swą piękną klatę stracił. Łbem i tak nie ruszasz – odciął się Barney za wszystkie żarty na temat dziewczęcej buźki.

– Zabić się chcą, ciule. Mało mata śmierci w powietrzu?! – pomstował Glenn, rozcierając obolałe czoło.

– Masz rację – poparł go Aron. – Ginący pilot w jeepie to tak jak rabin zabity przez spadającą torę. Pech i straszliwa niesprawiedliwość losu – stwierdził ponuro.

Wkrótce ujrzeni pierwsze zabudowania Salt Lake City. Szybko dotarli na dworzec. Ponieważ do najbliższego pociągu mieli trochę czasu, Bob zaprosił wszystkich do bufetu. Wznosząc kufel powiedział:

– Jesteście dla mnie jak rodzina. A może czymś więcej. Z rodziną się bowiem żyje, a z wami można zginąć, przy odrobinie szczęścia...

Jak na toast weselny, nie wypadło to najlepiej i Glenn słusznie zaprotestował:

– O czym ty mówisz, trąbo?! Na ślub nas zapraszasz, czy na stypę?

– Sorry – poprawił się Bob. – Traktuj to jako makabryczny żart pana młodego. W każdym razie chcę was wszystkich u siebie widzieć – dokończył.

Mario i Stan z góry przeprosili, że nie będą.

Jakiś pijaczek próbował się do nich dosiąść, ale Rick splawił go szybko. Mocno rozczarowany odszedł na chwiejnych nogach. Aron, widząc pulchną blondynkę podobną do tej, którą "studiował" w magazynie filmowym, opuścił swą załogę i poszybował w drugi kąt sali. Blondyna nudiła się z jakimś sierżantem, który po kilku słowach zmył się, na szczęście taktownie. Aron fundnął dziewczynie lody i przystąpił do akcji. Dowiedział się, że nazywa się Suzie i jest samotną mężatką. Mieszka niedaleko stąd.

– A ty gdzie? – spytała niewinnie.

– W Salt Lake City? – udał wariata Aron.

– Nie. W jednostce, w której służysz – wyjaśniła.

– Każdy gdzieś służy. Ty też – odparł z mgławicowym uśmiechem. Aron lubił tę płeć, ale nie lubił takich pytań, szczególnie po odprawie u Tibbetsa.

– I tak wiem, że jesteś w lotnictwie – podjęła znów Suzie.

– To mało wiesz – przerwał jej Aron. – Mam mundur lotnika, ale służę w konnicy...

– To jest jeszcze konnica? – zdziwiła się Suzie.

– Nie tylko jest, ale czuje się dobrze – oznajmił Aron i uśmiechnął się zalotnie jak Clark Gable w "Przeminęło z wiatrem".

– I konia masz też?

– Tyż – potwierdził Aron. – Tylko mi zdechł. Chwilowo.

– Zdechł? – wykrzyknęła z żalem.

– No właśnie. Otruli go. Piękny był rumak. Kasztanek. Bardzo po nim cierpiałem. I pułkownik na pocieszenie dał mi urlop. – Aron powiedział to z taką miną, jakby pochował nie tylko konia, ale całą rodzinę.

Do Howarda Stanforda podszedł w barze oficer i krzyknął radośnie: – Kopę lat, stary! – i wyciągnął serdecznie rękę.

Howard nie bardzo wiedział z kim mówi, ale oficer szybko się przypomniał:

– Dick Simpson. Trzecia Dywizja Powietrzna. Graften-Unterwood. Zgadza się?

Howard w dalszym ciągu nie bardzo kojarzył, ale wszystko się zgadzało. Służył w 384 Grupie Ciężkich Bombowców. Oficer nie zrażony jego sztywną postawą ciągnął dalej.

– To były czasy! Pamiętasz Schweinfurt?! \* Siedemnastego sierpnia czterdziestego trzeciego roku?

Schweinfurt – centrum niemieckiej produkcji łożysk kulkowych kluczowych dla produkcji zbrojeniowej. Miejsce wielkiego zmasowanego dziennego nalotu lotnictwa amerykańskiego 17 sierpnia 1943 roku, połączonego z olbrzymimi stratami własnymi. Na ogólną ilość 376 bombowców biorących udział w nalocie 60 zostało strąconych.

Howardowi nie trzeba było przypominać. To było piekło. Połowa załóg z jego Grupy B-17 nie wróciła w tym dniu do bazy.

– Chodź! Takie spotkanie trzeba oblać! Dwie whisky! – zadysponował Dick Simpson – Strasznie się cieszę. Nie ma jak stary kumpel. Twoje zdrowie!

Teraz Howardowi wydało się, że zna tę twarz. Zrobiło mu się głupio, że był taki sztywny.

– Ja też idę do waszej bazy – pochwalił się Dick.

– Do Wendover? – spytał Howard.

– Yhm – na dowód wyjął skierowanie. – Kto tam u was jest dowódcą? Dalej MacKenzie?

– Nie. Tibbets – wyjaśnił Howard.

- Ach, Tibbets. Straszny służbista – rzekł z niechęcią.
- Nie tylko służbista, ale maniak. Wszędzie węszy szpiegów. Wszystko tajne, cholera. A ja na to mam swoją teorię – oznajmił Howard, gdy wypili kolejną whisky.
- Jaka – zainteresował się Simpson.
- Powtórzmy Schweinfurt, stary – krzyknął Howard i z satysfakcją podzielił się tym, co ujrzał w pilnie strzeżonym hangarze.
- Rick opuścił kolegów i udał się do toalety. Kiedy stał pochylony nad muszlą, dostrzegł wchodzącego pijaczka, który bezskutecznie próbował się do nich dosiąść. Tym razem pijaczek szedł pewnym krokiem. Zaczął myć ręce. Gdy zauważył Ricka, zatoczył się znowu i wymamrotał serdecznie:
  - Ja do Chicago, cholera. A kolega gdzie?
  - Do Nowego Jorku – wybełkotał Rick i dziarsko klepnął go w plecy. – Jesteś najlepszym gliną jakiego znam! Pochwalę cię przed twoim dowódcą. Nawet szczając, nie zapominasz o obowiązkach służbowych! – oświadczył, zostawiając w klozecie całkiem oszołomionego agenta FBI.
- Zbliżał się czas odjazdu. Zaczęli się żegnać z Mario i Stanem. W pociągu do Nowego Jorku był tłok, ale udało im się znaleźć miejsca.
  - Załoga w komplecie – stwierdził Bob.
  - Tylko radiotelegrafista, przepadł – rzekł Howard, układając torbę na półce.
  - Jak zwykle pomknął za dupą, byk – mruknął niechętnie Glenn, wskazując żegnającego się z Suzie Arona. Kaplanowicz wszedł do przedziału i otworzył okno.
  - Gdzie mam pisać? – spytała z peronu Suzie.
  - Pisz Aron Kaplanowicz. Lower East Side. Nowy Jork. Tam mnie wszyscy znają! – zapewnił ją.
- Tuż przed odjazdem wszedł do przedziału oficer MP z dwoma żołnierzami i zwrócił się do siedzącego w kącie Howarda:
  - Pańskie dokumenty, poruczniku – i po sprawdzeniu tożsamości rzucił krótko:
    - Pozwólcie z nami...
    - To chyba jakaś pomyłka – bronił się Howard.
    - Zbierajcie rzeczy – powtórzył oficer.
  - Porucznik Stanford jest członkiem mojej załogi – zwrócił się do oficera Rick. – I razem udajemy się na urlop...
  - Przykro mi, ale jego urlop został odwołany, kapitanie. Mam rozkaz zatrzymania porucznika – oświadczył oficer.
  - Ależ panowie! Nie psujcie mi wesela. To brat mojej narzeczonej! Co ja bez niego zrobię?! – krzyknął Bob.
  - Z nim ślubu nie bierzesz. Więc o co chodzi? – odparł sucho oficer i ponaglił ociągającego się Howarda. – Zbierajcie się, poruczniku. Nie wstrzymujcie pociągu.

– A "Srebrna Taca"? – Howard uczepił się podanego przez Tibbetsa hasła jak ostatniej deski ratunku.

– No właśnie. Mam rozkaz dostarczenia was z nią lub na niej. – Uśmiechnął się ironicznie oficer i wymownie położył rękę na kaburze. Zrozumieli.

– Powiedz Kate, że postaram się przyjechać następnym pociągami – Howard, biorąc swoją torbę, zapewnił Boba ponuro. – Cześć, chłopcy – rzucił na pożegnanie.

– Na pewno wrócisz. Tibbets cię wybroni – próbował go pocieszać Bob. Jego niski głos zawisł w powietrzu.

Howard ruszył do przodu. Za nim podążyła jego eskorta. Pod drzwiami wagonu czekał już na niego jego nowy przyjaciel Rick Simpson, a w kancelarii służbowe przeniesienie na Alaskę.

\* \* \*

Albert Heath \* dyrektor Urzędu Politycznych Spraw Socjalnych w Departamencie Stanu, przerzucał artykuł swego przyjaciela Dawida Dresdnera w ostatnim numerze "New York Times". Widząc jednak, że nic nie rozumie z tego co czyta, odłożył gazetę i spojrzął na zegarek: "Najwyższy czas" – pomyślał.

Algier Hiss – (w powieści Albert Heath) jedna z najbardziej kontrowersyjnych postaci w historii amerykańskiej dyplomacji. Bliski współpracownik Podsekretarza Stanu Deana Achesona i przyjaciel Deana Ruska, późniejszego Sekretarza Stanu. Doradca prezydenta Roosevelta w Jalcie. Proponowany przez rząd ZSRR na pierwszego sekretarza generalnego ONZ. Sądzony i skazany jedynie za krzywoprzysięstwo z powodu przedawnienia bezpośrednich dowodów winy. Udowodnienie działalności szpiegowskiej Algiera Hissa przez nie znanego szerszej opinii publicznej młodego członka Izby Reprezentantów, Richarda Nixona, dało początek jego wielkiej karierze politycznej.

Już od dwóch dni na próżno przesiadywał w kawiarni od szóstej do siódmej, oczekując kuriera. Harry Silver \* nie zjawił się. Albert Heath zaczął się niepokoić. Przed wejściem do kawiarni zatrzymał się przy wystawie i sprawdził, czy nie ciągnie za sobą ogona. Nie był śledzony. Od 1938 roku, kiedy Whittaker Chambers zerwał z nim kontakt, Heath drżał przed możliwością wsypy. Działał jednak dalej w głębokim przeświadczeniu o słuszności sprawy, której służy. Każde takie tajne spotkanie kosztowało go mnóstwo zdrowia. Uważał jednak, iż są wartości wyższe niż zdrowie, spokój, a nawet życie. Tą wartością jest wiara w zbudowanie lepszego, sprawiedliwszego świata. Wiara ta była droższa od osobistej kariery i wysokiej pozycji, jaką zajął w tak młodym wieku.

Harry Gold – (w powieści Harry Silver). Szef jednej z radzieckich siatek wywiadowczych związanych z penetracją "Project Manhattan". Syn emigrantów rosyjskich, urodzony w Bernie w Szwajcarii w 1912 roku. Działał pod pseudonimem Raymond. Wieloletni radziecki agent przekazujący wiadomości zarówno od Klause Fuchsa, jak i Dawida Greenglassa (w powieści Greenspan).

Znów zabrał się do czytania artykułu Dresdnera, gdy do kawiarni wszedł gruby, piegowaty mężczyzna. Był to Harry Silver. Albert wyciągnął paczkę chesterfieldów,

dając znak, że nie jest śledzony i spotkanie jest bezpieczne.

Silver zajął miejsce przy sąsiednim stoliku i zamówił kawę. Zapalił papierosa. Wtedy Heath wstał i poprosił, czy może skorzystać z ognia. Silver podał mu zapalki, a gdy Albert zamierzał mu je oddać, odparł krótko:

– Może je pan zatrzymać. Mam jeszcze jedno...

Heath podziękował i wsadził pudełko do kieszeni. Wolno dopił kawę, uregulował rachunek i opuścił kawiarnię.

Po przyjeździe do domu, wszedł do gabinetu. Usiadł przy biurku. Zapalił lampę. Położył przed sobą pudełko zapalek, powiększył mikrokropkę i odczytał tekst.

Centrala informowała go, że od dłuższego czasu prowadzone są ściśle tajne badania nad stworzeniem nowej bomby o ogromnej sile wybuchu. Badania te ukryte są pod kryptonimem "Projekt Manhattan". Na jego czele stoi generał Groves, a kierownikiem badań jest Robert Oppenheimer. Wszelkie informacje na ten temat są bardzo pożądane. Heath zdziwił się, że przedsięwzięcie to jest tak tajne, że nawet on i nikt w Departamencie Stanu o nim nie słyszał.

Po paru dniach Harry Silver znalazł w swej skrzynce pocztowej, wśród bieżącej korespondencji, widokówkę z ośnieżonym szczytem Lake Peak. Obejrzał ją natychmiast i mimo iż nie zawierała niczego szczególnego, ożywił się bardzo. Szybko wyciągnął zapalniczkę, podgrzał kartę nad płomykiem i odczytał dopisek skreślony sympatycznym atramentem: "Wycieczka do Stones Lions aktualna. Niedziela. Dziesiąta. K."

Silver był wściekły. Niedawno widział się z Greenspanem \* i znów czeka go wyprawa do Nowego Meksyku. Nie było jednak wyjścia. Najbliższym pociągiem opuścił Waszyngton.

Dawid Greenglass – w powieści Greenspan, szwagier Ethel Rosenberg, pracował w Los Alamos na podrzędnym stanowisku w grupie George'a Kistakowsky'ego. Przekazał Juliuszowi Rosenbergowi szkice dotyczące implozji. Skazany po wojnie na wieloletnie więzienie. Przyznał się do winy. Występował w procesie małżonków Rosenbergowów jako główny świadek oskarżenia. Rosenbergowie, jak wiadomo, skazani zostali w tym głośnym procesie na karę śmierci.

Spotkali się w bezludnej okolicy nad Rio Grande. Klaus Fuchs czekał już na niego. Rozbił biwak u stóp Stones Lions. Siadł na skraju przepaści. W dole rozciągał się groźny widok. Rzeka wiła się w wąskim kanionie i pieniała na wystających kamieniach. W górze poszarpane, skalne szczyty w swej ostrej rzeźbie naprawdę przypominały dzikie lwy. Fuchs przetaił chusteczką okulary i przytknął lornetkę do oczu. W zachwycie wodził wzrokiem po panoramie gór: "Zabawne – pomyślał. – Nie widziałem Nowego Jorku, nie byłem w Chicago, lecz widzę Stones Lions. I to mi wystarcza..." Rozpalił spirytusowy prymus i zagrzał wodę na herbatę. Parę minut po dziesiątej ujrzał krępa postać drapiącą się niezdarnie po stromych kamieniach. Silver był cały zgrzany, a jego piegowaty nos perlił się kroplami potu. Nie miał górskiej zaprawy jak Fuchs, który mieszkając w Los Alamos przywykł do takich wspinaczek. Ciężko zmachany usiadł na kamieniu. Nawet nie miał chęci podziwiać przyrody, która tak zachwycała Fuchsa. Chustką ocierał spocony kark. Klaus poczęstował go herbatą. Wypił ją łączywie.

Przez chwilę milczeli. Harry odpoczywał, a Fuchs sycił wzrok górskim

widokiem. Wreszcie sięgnął do plecaka i wyjął małą paczuszkę. Wolno podał Silverowi:

– Sądzę, że to da wam pewien wgląd w sprawę... W najbliższym czasie postaram się o więcej – rzekł cicho swoim gardłowym, niemieckim akcentem. Silver wiedział, że Fuchs robi to wszystko z głębokich ideowych pobudek, niemniej na wszelki wypadek napomknął:

– Oni mają fundusze. Mogą zawsze...

– Nie jestem agentem – przerwał mu urażony Fuchs. – Robię to wszystko dlatego, albowiem – kopnął kamień, który z łoskotem potoczył się w dół – istnieje obawa, że nasza bomba może spaść również na Moskwę. A tego bym bardzo nie chciał – dokończył z nieśmiałym uśmiechem i wolno nałożył plecak.

## IV

Przed rozstaniem na dworcu w Nowym Jorku Bob zaprosił wszystkich na ostatnie kawalerskie przyjęcie w najbliższą niedzielę. Rick zamierzał jechać prosto do Pittsburga, ale Bob nie chciał o tym słyszeć:

– Mowy nie ma! – ryczał swym potężnym basem. – Idziesz do mnie! Ja tu rozkazuję...

Chcąc nie chcąc, Rick musiał się podporządkować nowemu dowódcy.

Na progu kremowej willi przywitała ich stara Murzynka w czepeczku i białym fartuszk.

– Szykuj podwójny obiad, Lilly – zadysponował Bob, obejmując ją serdecznie. – Wał śmiało! I czuj się jak u siebie w baraku – rozkazał Rickowi, popychając go do przodu.

Łatwo było powiedzieć. Rick nigdy nie przypuszczał, że jego przyjaciel żyje w takim komforcie. Willa położona była na niewielkim wzgórzu nad samym brzegiem oceanu. Z ogrodu rozciągał się imponujący widok na cały Rockway Beach, a dalej na Point, który ginął we mgle horyzontu. Wystarczyło zejść parę kroków w dół i już się było na plaży. Na schodach czekali państwo Fultonowie. Przyjazd jedynaka był dla nich wielkim świętem.

– Och, Bob! – krzyknęła Mary Fulton i już była w objęciach syna. Bob od razu zmiękł, stał się chłopcem. Długo nie odrywali się od siebie. Potem przywitał się z ojcem. Stary Fulton objął syna bez słowa. Dopiero teraz Rick spostrzegł, jak bardzo obydwaj Fultonowie są do siebie podobni. Te same krępe sylwetki i identyczny profil. Z radości zapomnieli o Ricku, który lekkim chrząknięciem przypomniał o swojej obecności. Bob przedstawił go szybko:

– Kapitan Richard O'Sullivan, tak zwany Rick Ryzykant, mój dowódca...

– Och, to pan?! – zawołała Mary Fulton. – To ja o panu tyle wiem. Bobuś w każdym liście o panu pisał. Proszę się nie gniewać, ale będę traktować pana jak syna. Jesteście tacy młodzi. A propos wiek, w piątek kończysz dwadzieścia dwa lata, mój drogi...

– Wiem mam – odparł Bob – i z tej okazji mam zamiar wydać gigantyczne

przyjęcie. Zresztą nie tylko z tej – mrugnął porozumiewawczo do przyjaciela.

– Nie trzymajmy tak gościa, Mary – mecenas Fulton serdecznym gestem zaprosił Ricka do środka. Weszli do przestronnego hallu, łączącego się z oranżerią. Gospodarze poprowadzili go na pierwsze piętro. Za chwilę pokazano mu uroczy salonik, w którym miał zamieszkać.

– Proszę się łaskawie rozgościć. Zaraz podamy obiad – dokończyła pani Fulton i taktownie wycofała się z salonu.

Rick z ciekawością rozejrzał się dookoła. Sprawdził twardość swego łóżka. Ręka zapadła mu się po łokieć. W takich puchach jeszcze nie sypiał. Przypomniał sobie swoich rodziców i zrobiło mu się wstyd, że jeszcze do nich nie dotarł. Postanowił, że najdalej jutro pojedzie. Z lubością zagłębił się w fotel.

Tymczasem Bob kończył wprowadzać rodziców w swe małżeńskie plany. Od dawna zamierzali się pobrać z Kate i dla rodziców nie było to zaskoczeniem. Niemniej matka próbowała oponować:

– Ty wiesz, że nie mam nic przeciwko Kate, ale uważam, że powinniście poczekać do końca wojny...

– Po co?! Bo mogę nie wrócić?!

– Przestań! – przeraziła się pani Fulton. – Nawet w żartach nie wolno ci tak mówić...

– Zapewniam mamę, że Kate nie będzie wdową – Bob czule uściśkał matkę. Pod wpływem tego pocałunku pani Fulton zmiękła, westchnęła tylko: – Moja szalona głowo – i spojrzała na milczącego męża. – Co ty na to, Art?

– Cóż ja, kocik – mecenas zakręcił młynka. – Ja tylko w sądzie się liczę – odparł z udaną pokorą.

– Zatem się żenię! – zawyrokował Bob i spokojnie poszedł pod prysznic.

Odkąd Rick przybył do domu Fultonów, znalazł się jakby w innym świecie. Baraki z Wendover odplynęły daleko i zdawały się nie istnieć. Wychowany w fabrycznym Pittsburgu, z rozkoszą przechadzał się po plaży i chłonał widok oceanu. Tylko mewy krążące nad jego głową przypominały mu, że i on przecież latał. Babie lato było wyjątkowo piękne, Bob nie mógł sobie wybrać lepszego dnia na swoje dwudzieste drugie urodziny.

Kate Stanford okazała się śliczną dziewczyną i trudno było uwierzyć, że kłapouchy Howard ma tak piękną siostrę. Niezbadane są kaprysy natury. Ponieważ obecność Howarda stała się pod znakiem zapytania, Bob poprosił Ricka, aby był jego drużbą na ślubie. W tej sytuacji nie wypadało nazajutrz wyjeżdżać, a prawdę mówiąc, nie bardzo mu się chciało.

Przyjęcie zapowiadało się wspaniale.

Już od wczesnego popołudnia zaczęli się schodzić pierwsi goście. Z początku była to rodzina, różne bliższe i dalsze ciocie Boba, które traktowały go tak, jakby wciąż jeździł w wózku, a nie na ciężkim bombowcu:

– Pamiętasz Bobuś – wypominały mu, ale Bob nic sobie z tego nie robił. Wśród tych zacnych cioć prym wiodła Margaret Fulton, tak zwana Boska Mimi, żona



ambasadora Roberta Fultona, ojca mecenasa, a dziadka Boba, po którym porucznik odziedziczył imię.

Właśnie zajechał wielki czarny packard. Szofer w granatowym uniformie usłużnie otworzył drzwi. Z samochodu wysiadł potężny mężczyzna w niedbale nałożonym słomkowym kapeluszu i z cygarem przyklepionym do kąta warg. Za nim wyskoczyła drobna dama w woalce, a na końcu sportowo odziany młodzian. Przybyli serdecznie przywitali się z Fultonami. Widać było, że są z nimi w świetnej komitywie.

– Co to za ludzie? – spytał Rick.

– Słyszałeś o zakładach Vanderzaana?

– Pewnie. Latamy przecież z ich przyrządami...

– No to to jest właśnie właściciel firmy, Oscar Vanderzaan z żoną i synem. Nie widzę tylko Betty – dokończył bob. – Przepraszam, sprawdzę. Obiecała, że przyjedzie na pewno. – Bob zbliżył się do przybyłych gości.

Rick od dawna znał instrumenty Vanderzaana, podobnie jednak jak Chevroleta czy Forda nie kojarzył nigdy z żywą osobą. Teraz, patrząc na niedbale ubranego mężczyznę z poluzowanym dla wygody krawatem, pomyślał zdziwiony: "Więc tak wygląda prawdziwy magnat przemysłowy?" I musiał przyznać, że inaczej go sobie wyobrażał.

Bob po chwili wrócił i z ulgą oświadczył: – Wszystko jasne. Przyjdzie z Dawidem...

Rick domyślił się, że chodzi o córkę Vanderzaana. Imię Dawid, jak wiele innych, nic mu nie mówiło. Dowiedział się jeszcze, że biuro prawne prowadzone przez ojca Boba reprezentuje zakłady Vanderzaana i obaj panowie są ze sobą w wielkiej przyjaźni. Rick podziwiał takt przyjaciela. W końcu latali razem ponad dwa lata i Bob ani słowem nie zdradził się, na jakich szczytach szybuje. Podobna dyskrecja nawet u Tibbetsa wzbudziłaby respekt. Ta skromność bardzo go ujęła.

Tak rozmyślając nie spostrzegł nawet, że Mary Fulton wskazuje go głową: – To dowódca mego Bobusia. Ponoć bardzo dzielny chłopiec – wyjaśniła Vanderzaanom i zaraz wróciła do najważniejszego tematu: – Więc żenią się te moje dzieci. Co wy na to? Uważam, że to szaleństwo. Mogliby poczekać do końca wojny – powtórzyła swój argument.

– Ależ młodym się spieszy, Mary. Dla nich "do końca wojny" to wieczność – tłumaczyła przyjaciółce Debbie Vanderzaan. – Takie szalone związki są często najtrwalsze. Będą mieli co wspominać na starość. Ja bym się tym nie przejmowała...

Dalsze wywody przerwało wejście czterech lotników w osobach Arona, Regisa, Glenna i Barneya. Chłopcy prezentowali się świetnie, szczególnie Regis w swym wyjściowym mundurze kroczył zwycięsko jak sam MacArthur, \* nic więc dziwnego, że zgotowano im owację, jakby już wygrali wojnę. Powoli zrobił się ścisk jak na dyplomatycznym przyjęciu. Bob z Kate stali pośrodku i ściskali ręce wchodzącym. W przesuwającej się przed nimi kolejce uwagę Ricka zwróciła piękna para: on – wysoki brunet w okularach, w białej marynarce z czerwoną różą w klapie i ona – jasna blondynka z dużymi kolczykami w uszach.

Douglas MacArthur – amerykański generał pięciogwiazdkowy, naczelny

dowódca sił alianckich na południowo-wschodnim Pacyfiku (Supreme Allied Commanders South-East Pacific). Po wojnie główny dowódca sił okupacyjnych w Japonii. Naczelnny wódz armii Narodów Zjednoczonych w wojnie koreańskiej. Jeden z najślynniejszych i najwybitniejszych generałów w historii Stanów Zjednoczonych.

Dziewczyna spalona była przez słońce, bladeść zaś twarzy jej przyjaciela zdradzała typowego intelektualistę. Z okrzyków Boba i Kate Rick domyślił się, że to jest właśnie ten Dawid i Betty. Nie był jednak pewien. Dopiero gdy dziewczyna czule objęła Vanderzaana, stracił wątpliwości.

Patrząc na jej morelową cerę, dziecięco wydęte usta, złote, skośne oczy, musiał przyznać, że panna Vanderzaan warta jest grzechu, nawet gdyby nie była córką swego wszechmocnego ojca. Spodobała mu się. Miał chęć zamienić z nią kilka słów, ale wrodzona duma powstrzymywała go. Stał więc tylko w gronie kolegów i udawał, że słucha Arona. W rzeczywistości był gdzie indziej.

– Ty byś zrobił tak też? – spytał go Aron.

– Jasne – mruknął i dopiero gdy Aron strasznie się zdziwił, zorientował się, że nie wie, o co chodzi. Na szczęście Lilly podała trunki i Aron więcej nie pytał. Tymczasem Bob wskoczył na estradę i pociągnął za sobą Kate. Swym tubalnym głosem oznajmił wszystkim:

– Nie będzie to jeszcze komunikat o końcu wojny, ale równie ważny. Oto mam zaszczyt poinformować państwa, iż postanowiliśmy wziąć ślub! Uroczystość odbędzie się w katedrze Saint John the Divine przy 110 Street i Morningside Avenue. W niedzielę, pierwszego października o godzinie dwunastej. Wszystkich obecnych, w imieniu własnym i narzeczonej, najserdeczniej zapraszam! – dokończył wśród burzy oklasków.

Po tym komunikacie stało się jasne, że drużba musi się poznać z drużką. Nieoczekiwanie była nią panna Vanderzaan. Bob pchnął zaskoczonego Ricka w objęcia Dawida i Betty: – Kapitan Richard O'Sullivan, as naszego lotnictwa, jeden z najlepszych...

– Oprócz ciebie – przerwał mu Dawid, serdecznie witając się z kapitanem.

– Dawid Dresdner jest moim kumplem ze studiów, świetnie zapowiadającym się dziennikarzem – wyjaśnił Bob. – A Betty to sam widzisz. Nie muszę jej reklamować. Gdyby nie Kate dawno bym się z nią ożenił...

– Bez dywersji wśród przyjaciół – skarcił go Dawid.

Rozmowa zesłała na sprawy wojenne i Dawid, który pasjonował się wojną w Europie stwierdził, że jak Rosjanie dalej tak będą szli, to wkrótce zajmą Berlin.

Dyskusję przerwała Mary Fulton, która otwierając drzwi jadalni, zaprosiła wszystkich do środka. Goście runęli do stołu. Rick postanowił przeczekać ten szturm. Zamierzał podejść, gdy oblężenie się nieco zmniejszy, ale Kate ponagliła Boba, że powinni dbać o swoich ślubnych świadków.

– Świadkowie dadzą sobie radę – odparła za nich Betty i śmiało wzięła Ricka pod rękę. Obydwoje podeszli do stołu.

Dawid z Bobem wciąż dyskutowali o sytuacji na froncie, a ich rozmowie przysłuchiwali się koledzy z załogi.

– Rosjanie prą jak burza – zachwycał się Dawid – są zdolni zrobić czterdzieści kilometrów dziennie...

– Na naszych Studebackerach – dodał sceptycznie Bob. – Trochę im pomogliśmy...

– W sprzeczcie. A na wojnie liczy się duch. To paradoks. Komuniści w Boga nie wierzą...

– Starczy im Stalin – wtrącił Aron.

– Wujek Joe \* nie jest zły...

Wujek Joe – woryginale Uncle Joe. Sympatyczny przydomek Józefa Stalina nadany mu w krajach alianckich i bardzo popularny w czasie II wojny światowej.

– Ja tam takiego wujka wolę nie mieć – przeciął to Aron.

Dawid, wykształcony, pochodzący z bogatej rodziny Żydów niemieckich z Hamburga, mimo całej swej postępowości nie mógł ukryć uśmiešku wyższości na widok tego prostackiego Żydka ze Wschodniej Europy:

– Niby dlaczego? – spytał pobłaźliwie.

– To ja się pytam dlaczego? Żyd, mający się za Cadyka \* zadaje mi tak idiotyczne pytanie?

Cadyk – tu w znaczeniu święty mędrzec.

– Niemniej zadaje je – powtórzył Dawid zaskoczony tą niezwykłą hucpą Arona.

– Bo to po prostu zbój i ohydnyk. Nikt nie chce ohydnyka w rodzinie...

– Nie formułowałbym tego tak ostro, kolego – Dawid skarcił go jak profesor i nie tracąc uprzedniej swady wskazał Arona za przykład. – Oto te klasyczne stereotypy, które pokutują o Rosji i komunistach od lat. O ile wiem...

– Ty wiesz, a ja tam byłem – zdenerwował się Aron, którego ton Dawida zezłościł. – Do dziś błogosławię tatusia, że wyrwał nas z tego rajku. Rodzina zmarła z głodu za rządów tegoż ukochanego Wujka Joe w trzydziestym drugim roku. Mam nadzieję, że ten kwiatek nie na jego cześć? – Aron dotknął czerwonej róży w klapie Dawida.

– Nie. To na cześć solenizanta – odparł Dawid, którego wybuch Kaplanowicza tylko rozbawił. – Nie zawsze trzeba być komunistą, aby nosić różę. Noszę ją nie dlatego, że jest czerwona, tylko, że jest różą. Interesuję się Rosjanami nie dlatego, że są komunistami, tylko po prostu ludźmi – pouczył z wrodzoną wyższością.

– Nie bądź ty taki szwicer (hochsztapler, blagier)! Najwyższy czas przejrzeć na oczy! Czerwony terror nie jest lepszy od brunatnego. Szczególnie dla tych, co siedzą...

– Każdy ma prawo do swoich poglądów, sierżancie – rzucił z niezmaconym spokojem Dawid. O głowę wyższy od Arona, spoglądał teraz na niego jak na karła.

– Obyś się sam przekonał, szmoku – westchnął Aron i widząc bezsens dalszej dyskusji, dał spokój.

Tymczasem orkiestra zaczęła grać i pierwsze pary pojawiły się na parkiecie.

Betty poprosiła Ricka do tańca. Bob trącił dyskretnie Dawida:

– Ty tu o Stalinie, a tam nasi porywają ci dziewczynę. Uważaj. On świetnie lata – ostrzegł go i sam oddalił się z Kate.

– Nie ma obawy – rzucił za nim Dawid, nabijając tytoniem fajkę.

"No nie – pomyślał Aron. – Jak on mi jeszcze zacznie pykać fajeczką jak Wujek Joe, to ja skonam! – i powtarzając w duchu – Goteniu (mój Boże)! Jak ja kocham tych postępowych Cadyków! Łyżkami bym ich jadł!"

Rick cały czas bał się, by nie wypaść z rytmu. W tangu jakoś mu szło, ale jak zaczęli grać boogie-woogie – groziło kłęską. Tak mu się zdawało. Pannie Vanderzaan jakoś to jednak nie przeszkadzało. Skupiona była na rozmowie. Małomówny kapitan coraz bardziej ją intrygował. Zdażyła już o nim słyszeć od Kate, teraz chciała wiedzieć nieco więcej. Zadawała mu wciąż nowe pytania, na które on odpowiadał zwięźle, czasami dowcipnie. Pochłonięci rozmową nie zauważyli nawet, że orkiestra przestała grać i tylko oni zostali na parkiecie. Gdy wreszcie to spostrzegli, Betty wzięła go pod rękę i doprowadziła do reszty towarzystwa. Rick podejrzewał, że Betty specjalnie tak robi, żeby wzbudzić zazdrość swego przystojnego partnera. Dawid jednak nie zwracał na to uwagi. Pochłonięty był streszczaniem swego najnowszego artykułu z "New York Times", który wzbudził zainteresowanie w Departamencie Stanu.

– Według mojej oceny taka tendencja przeważa. I niewątpliwie zwycięży!

Bob widząc radosną twarz Betty, rzucił półzartem:

– Nie masz, widzę, żalu, że go wybrałem na drużbę?

– O nie! Kapitan nie tylko świetnie prowadzi bombowiec, ale mnie też – zaśmiała się serdecznie.

– Nieźle wyszedłeś na tym nagłym zastępstwie – mruknął do niego Bob.

– No właśnie. Co z nim. Dlaczego go tu nie ma? – zainteresował się Dawid.

– To tajemnicza sprawa! – krzyknęła Shirley Stanford, której nie mieściło się w głowie, że na ślubie siostry może zabraknąć jej ukochanego brata.

– Oni coś ukrywają! – mówiła zapalczywie, popychając niemal Kate, żeby wydusiła z nich prawdę. Ogólnikowe zapewnienia Boba w ogóle jej nie wystarczały. Dawid, który nie mógł otrzymać jasnej odpowiedzi, też nabrał dziwnych podejrzeń.

Na szczęście orkiestra zagrała tango. Rick poprosił znów do tańca Betty, w strachu, by któryś z kolegów go nie ubiegł. Z ulgą stwierdził, że Betty przyjęła to tak normalnie, jakby stanowili od dawna zgraną parę. W tańcu zwierzała mu się ze swoich planów:

– W życiu trzeba robić to, co się chce – twierdziła. – Dlatego pójdę na malarstwo...

– Nie zawsze można – przerwał jej. – Ja na przykład chcę studiować na M.I.T. \* i na chceniu się kończy...

MIT – skrót od Massachusetts Institute of Technology. Wiodąca słynna uczelnia w USA, w Cambridge, Mass. Cieszy się zasłużoną renomą na całym świecie. Kształci

studentów od 1865 roku.

– Bo jest wojna. Po wojnie będziesz mógł – oświadczyła naiwnie.

– Na pewno – bąknął. Co miał jej mówić, że po wojnie też nie będzie go stać. I tak by nie zrozumiała.

Bob z Dawidem przeszli na taras. Fale wolno uderzały o brzeg.

– Taki zachód zawsze ma w sobie coś wielkiego – Dawid urwał, nie chcąc płoszyć uroku chwili.

Na pozór trzeźwy, łatwo ulegał nastrojom. Bob znał go dobrze. Wiedział, że Dawid często udaje twardego. Jak w wypadku Betty. Kochał ją bardzo, pozorując, że to ona o niego zabiega. Robił to świetnie. Nawet rodzice zgubili się w tym, które z nich odkłada datę ślubu. Tylko Bob wiedział, ile Dawida kosztuje ta gra, i co by dał, żeby Betty wypowiedziała wreszcie owo sakramentalne "tak".

Potężny ród Dresdnerów, dawno zasymilowany, mający w swym gronie Sędziego Sądu Najwyższego i znanych bankierów, nie miał nic przeciwko temu, by wejść w bliższy związek z bogatym Vanderzaanem. A i Oscar Vanderzaan, wprawnym okiem szacujący ludzi, wiedział, że ten przystojny wielkolud, król Dawid, jak go nazywał, ma wszelkie szanse zostać królem, może nie Anglii, ale prasy na pewno. Już to, co dotąd działo się, było obiecujące. Wszystko leżało więc w rękach Betty.

Jakby odgadując myśli Boba, Dawid odezwał się: – Zatem w niedzielę ślub? Ostatni kawalerski wieczór...

Bob kiwnął głową.

Dawid objął go serdecznie swym olbrzymim ramieniem: – Wiesz, jak ci dobrze życzę. Tobie i Kate – jakby zawstydzony cofnął rękę, potem przetarł zamglone okulary. Dziwna rzecz. Podczas występów publicznych wena go nie opuszczała, a w intymnych wyznaniach często dukał jak sztubak. Bob wyobrażał sobie, jak Dawid musiał się jąkać, wyznając miłość Betty.

– A wy? – spytał głośno – Też pewnie pójdziecie w nasze ślady...

Dawid z powrotem nałożył okulary i pociągnął łyk whisky. Pił dziś wyjątkowo dużo. Bob prawie zwątpił w jego odpowiedź, gdy oparty o balustradę Dawid rzucił w daleką przestrzeń:

– Warto poczekać. Za chwilę zupełnie zajdzie. To zawsze jest piękne...

Bob dopiero teraz zrozumiał, że Dawid mówi o słońcu. Za jego ostatnimi promieniami chciał widać ukryć swoje własne uczucia.

Kiedy schodzili z tarasu, Dawid znów spytał o Howarda: – Więc nie będzie go na ślubie? Co to za historia? Mnie możesz powiedzieć...

Bob miał zaufanie do Dawida, niemniej stawka była zbyt duża. Odparł więc wymijająco:

– No wiesz. Nasz oddział nie jest zwykłym oddziałem. Zgrupowano w nim wszystkich najbardziej zasłużonych pilotów z całego lotnictwa bombowego...

– Jakaś tajemnicza misja? Nowe bombardowanie Zagłębia Ruhry? – dopytywał się Dawid.

– Nie wiem. W każdym razie jednym uderzeniem zdolne jest zakończyć wojnę. Brzmi to nieprawdopodobnie, ale tak nam powiedziano...

– Ciekawe – mruknął Dresdner.

– Chodźmy lepiej do naszych pań. Bezpieczniej. Może nie dojdź do ślubu – bąknął Bob, przypominając sobie groźby Tibbetsa.

Gdy wrócili na salę, zyrandole już się świeciły i służba opuściła właśnie rolety. Rozkaz zaciemnienia okien obowiązywał na całym wybrzeżu ze względu na groźbę nieprzyjacielskich łodzi podwodnych. Starzy Vanderzaanowie wyszli wcześniej. Betty została pod opieką rodziców Boba. Dawid spojrzął na zegarek:

– Wybacz, że ci nie będę towarzyszył do końca, kochanie – zwrócił się do Betty.  
– Ale muszę już iść. Mam pilny artykuł na jutro...

– Ja bym jej tak nie zostawiał. Artykuł nie ucieknie, a z dziewczynami różnie bywa – zaśmiał się Bob.

– Może nie będzie tak źle – Dawid uściskał rękę Ricka. – Cieszę się, że pana poznałem, kapitanie – rzucił na pożegnanie i odprowadzany przez gospodarzy opuścił salę.

Po wyjściu Dawida Betty zrezygnowała z tańców i przeszli do przyległego salonu. Siedli na miękkiej, skórzanej sofie. Rick z ulgą rozprostował nogi. Pomimo że spędzili ze sobą zaledwie chwilę, a już czuli, że to dopiero początek, że coś wielkiego zaczyna się między nimi. Rick nigdy tyle nie mówił, a teraz słowa same płynęły mu z ust. "Zwierzam się jej jak księdzu" – złościł się na siebie i znów przystępował do generalnej spowiedzi.

A ten dziwny ksiądz nerwowo poprawiał kolczyk i w jego oczach pojawiał się błysk zachęty. Pod wpływem tego wzroku wpadł w trans.

– Każdemu Stwórca coś dał! – perorował. – Mnie skrzydła! I nawet po wojnie nie dam ich sobie obciąć. Będę zawodowym pilotem! – i zaraz dodał coś, co uważał za rzecz wstydliwą. Jej jednak dziwnie się nie krępował: – Mnie nie będzie stać na studia. Wojna jest moją uczelnią...

– Dobra uczelnia – przyznała Betty.

– Nie wiem czy dobra. Ciekawa. W każdym razie nie nudzę się na niej. To pewne – odparł w zamyśleniu.

Nagle głos Boba zabrzmiał nad nimi jak dzwon:

– Co z wami? – zawołał.

– No właśnie, sama nie wiem – odparła Betty i wolno wstała z sofy.

## V

Kiedy wrócili do salonu było już po przyjęciu. Ostatni goście zdążyli opuścić dom Fultonów.

– Nieźle się zagadaliśmy – pomyślał Rick, patrząc jak senna orkiestra zbiera instrumenty, a służba uprząta stoły. Pośrodku tego pobjowiska Mary Fulton, jak

oficer, wydawała rozkazy. Kiedy ich zobaczyła, stanowczym tonem oświadczyła:

– Dziewczęta nocują u nas. Kazałam już Lilly pościelić. Ty śpisz z Rickiem – oznajmiła synowi.

– Wolałbym z Kate, niż z tym drabem, mamó...

– Po ślubie, Bobusiu – odrzekła twardo pani Fulton. Do niedzieli jakoś wytrzymasz. Gdybyście czegoś chcieli, to Lilly wam poda. A ja już pójdę. Głowa mi pęka. Wybaczcie. Pa, moje dzieci – i Mary Fulton, przykładnie, najpierw pocałowała Kate, a potem syna. Widać do roli teściowej przygotowywała się starannie.

Po wyjściu matki Bob chwycił Kate i pocałował. Dziewczyna wyrwała się i przedrzeźniając panią Fulton, zamiauczała wytwornie: – Do niedzieli jakoś wytrzymasz, Bobuś – wybuchnęli śmiechem.

Noc była ciepła, prawie letnia. Lekki wiatr dął od oceanu. Lamy w ogrodzie wygaszono i żaden promień światła nie przebijał się przez zaciemnione okna. Bob zaproponował, żeby się trochę przeszli.

– Strach iść – szepnęła Betty, chwytając się ręki Ricka.

– Boisz się duchów? – spytał Rick. Bardziej niż duchów bał się swego ciała, nad którym nie panował zupełnie. Betty w odpowiedzi przywarła do niego silniej. Czuł jak wewnątrz dygoce.

Z ciemności parku wypłynęła biała zjawa, która co jakiś czas przystawała. Po chwili Rick wyłowił mglistą plamę, która zwierzała się z tym widmem w długim pocałunku.

– Idź przodem! – huknął krępy duch porucznika Fultona i znów objął swoją zjawę.

– Pierwszy raz mnie przepuszczasz – zakpił Rick. Trudno było jednak krępować przyjaciela. Posłuchali rozkazu i wkrótce poczuli piach pod stopami. Byli na plaży.

– Rockway Beach – szepnęła Betty. – Lubię tu chodzić.

– Ja też – mruknął Rick i swoim zwyczajem poprawił czapkę.

Betty zdjęła pantofle i podciągając wysoko suknię, badała temperaturę wody: – Ciepła jak w wannie! – ucieszyła się.

Pozostałe widma wyłoniły się z głębi. Bob niósł na rękach Kate, która z odchyłoną do tyłu głową zwycięsko fikała nogami. "Dostał skrzydeł" – pomyślał Rick, patrząc na tego czarnego ptaka. – Nieźle startujesz! – krzyknął głośno.

– Muszę – odparł Bob pokornym głosem swego ojca. – Madame Fulton ma delikatne stópki – wysapał, stawiając Kate na skraju obmytego przez wodę piasku.

Bob rozprostował zboląły kark i z rozmachem cisnął czapką o ziemię. – Wypada uczcić urodziny i zmyć kawalerskie grzechy. Wam radzę to samo – stał już w samych kąpielówkach. – I co pani na to?! Pani Fulton? – raptownie chwycił Kate na ręce i wszedł po kostki w wodę. – Zaraz będziesz miała chrzest, babo! – zamachnął się nią jak wahadłem.

– Jeśli wrzucisz to koniec, rozumiesz?!

W Betty wstąpił jakiś bies i z rozpędu pchnęła ich do wody. Runęli jak zgodne małżeństwo, pierwsza podniosła się Kate. Wściekła otrząsnęła się z wody. Strąki włosów leciały jej do oczu, suknia wisiała jak szmata.

– Czekaj! – fuknęła i jak rakietą runęła w kierunku Betty, która ze śmiechu nie mogła uciekać i okręcała się tylko wokół stojącego Ricka. Kate dopadła ją wreszcie i powaliła na ziemię. Zaczęły się turlać i tarzać po piasku.

– Zostaw te czarownice i chodź! – krzyczał z wody Bob. – Pościgamy się!

– Poddaję się. Nie jestem mistrzem Harvardu!

– Ale pływasz?

– Jak siekiera do dna! – odkrzyknął Rick.

Dziewczyny zrzuciły z siebie zapiaszczone sukienki i w samych tylko majtkach i stanikach z piskiem wskoczyły do wody. Bob pruł jak torpeda efektywnym crowlem, zostawiając za sobą białą smugę piany. Wyciągniętą ręką zamachał na przyjaciela:

– No, nie stój jak chuj na weselu! Jeszcze go nie ma!

Obydwie nimfy wodne również zachęcały go do nocnej kąpieli:

– Cudowna woda! – kusily go syrenim głosem.

Kapitan odpiął zegarek, położył na kamieniu, poprawił czapkę i, jak stał, w mundurze zaczął wchodzić do wody.

– Zwariowałeś?! Co robisz?! – krzyknął z daleka Bob.

Rick pokiwał mu ręką i szedł coraz głębiej. Fala sięgała mu po pierś, po szyję, a on ciągle szedł samobójczo, nie myśląc o pływaniu. Woda zakryła mu już głowę i tylko wyciągnięta ręka sterczała w górze jak maszt tonącego okrętu. Wkrótce jednak i ona zniknęła w odmętach. Po Ricku została tylko czapka, która unosiła się na fali. Betty wyłowiła ją zręcznie. Żart spodobał się wszystkim. Czekali teraz gdzie się wynurzy, kiedy jednak zbyt długo nie wypływał, zaczęli się niepokoić. Był po paru kieliszkach i nie wiedzieli, czy umie pływać. Do tego noc. Bob pierwszy krzyknął.

– Rick! Wyłaź! Stary, bez draki!

Głucha cisza. Nic nie odpowiadało z otchłani. Wtedy naprawdę się przestraszyli. Zaczęli krzyczeć ze wszystkich sił:

– Rick! Gdzie jesteś?! – wołała Betty.

– Bob! Ratuj go! – wrzeszczała histerycznie Kate.

– Ale co robić? – kręcił się bezradnie, parę razy nurkując – Noc! Nic nie widzę, kurwa! – kłął, nie licząc się ze słowami. Strach podsuwał mu najgorsze obrazy. Widział już zieloną, wzdętą twarz Ricka i ciało w oślizłych wodorostach. Topielec na urodziny. Niezły prezent. Nagle rozległ się wesoły ryk kapitana:

– Bobusiu?!

– Ja go zaraz zabiję! Teraz naprawdę pójdzie na dno! – wrzasnął Bob i runął w kierunku głosu.

– Już dajcie spokój! – powstrzymywały ich dziewczyny.



– Grunt, że żyje – rzekła z ulgą Kate. – Bałam się, że utonął...

– Ja też – przyznała Betty, z przerażeniem myśląc, jakie to byłoby straszne. Ze zdziwieniem odkryła, jak bliski stał się jej, ten obcy jeszcze wczoraj, kapitan. Obydwie były zziębnięte i miały dość tej kąpieli. Marzyły, by znaleźć się w domu. Rick i Bob, jak gdyby nigdy nic, wracali ścigając się. Bob pierwszy wyszedł na brzeg.

– Niezły z ciebie szaleniec – mruknęła z wyrzutem Betty.

– Tylko szaleńcy wybijają dziury w niebie. Nie byłbym pilotem – odparł, wyciskając wodę z nogawek. W mokrym, obwisłym mundurze wyglądał jak zwiędły strąk.

– Nie dam ci czapki. Wyłowiłam i jest moja – Betty nałożyła ją na głowę. Było jej w niej diablo ładnie. – Jedyne suche rzecz jaką mam na sobie – powiedziała, głośno szczękając zębami.

– Wracamy, szybko – zarządził Bob i ruszył truchtem, rozgrzewając zmarzniętą Kate.

Rick objął Betty, przywarła do niego mokrym ciałem. Trzęsła się cała. Fala radości rozszała go. Mógł teraz pół świata przygarnąć do serca, a drugie pół ogrzać swą młodą, gorącą krwią.

Stojąca na schodach górnego hallu Lilly zdziwiła się mocno, gdy ujrzała cztery ociekające zmory. Chciała krzyknąć, ale Bob położył jej palec na ustach:

– Wanna i cztery szlafroki, Lilly – wyszeptał.

– I cztery poteen. Niezawodna recepta mego ojca – dodał Rick.

– Słuchajmy się rodziców – zachichotała Kate głosem pani Fulton. To widać wzbudziło czujność przyszłej teściowej, bo usłyszeli jej senny głos:

– To ty, Bobusiu?

– Tak, mamu – odkrzyknął Bob.

– Wszystko w porządku?

– Największym, mamu – uspokoił ją Bob.

– Wybacz, że nie schodzę – sumitowała się dalej.

– Nie musi się mamusia fatygować. Lilly nam wszystko poda – zapewnił pospiesznie.

– No właśnie. Lilly! – przypomniała sobie pani Fulton. – Nie zapomnij panom odprasować spodni! Wiesz, jak w wojsku o to dbają...

– Wiem, proszę pani – odparła wierna Lilly, patrząc smętnie na zmarnowane mundury obu panów.

– No to pa, moje dzieci. Idźcie spać – dokończyła uspokojona pani Fulton.

– Dobranoc, mamu – zawołał Bob i poprowadził mokre towarzystwo do bocznego salonu, najbardziej oddalonego od pokoju rodziców.. Tu mogli czuć się swobodnie. Lilly podała szlafroki i każde z nich z rozkoszą weszło pod ciepły prysznic.

– Nareszcie się rozgrzałam – stwierdziła Kate, sadowiac się w głębokim fotelu. Niezawodna Lilly napaliła w kominku i przyniosła zamówioną whisky. Bob rozlał. Tylko szklanki Ricka nie uzupełniał niczym.

– Pijesz samą? Nawet bez lodu? – zdziwiła się Betty.

– Lód szkodzi. Ojciec mi zabronił...

Bob stawiając whisky na tacy, uświadomił sobie, że to ona stała się hasłem ich dziwnej operacji:

– Srebrna taca – mrugnął do Ricka.

– No właśnie. Srebrna taca – powtórzył jak echo kapitan.

– Co wy tam zów knujecie? – przerwała im Kate.

– Masz rację – Bob uniósł tacę w górę jak szampan i z tajemniczą miną oświadczył:

– Całe nasze życie kryje się pod nią. Jest jak zaklęta karta. Nie wiadomo, jaki los nam zgotuje...

– Cóż za bajdy! – zniecierpliwiła się Kate.

– Najgorsze, że to smutna prawda – Bob w milczeniu odstawił tacę. Podszedł do okna: – Nasz ostatni urlop, a potem... – nie dokończył.

– Masz mi przywieźć męża – zaapelowała do Ricka Kate.

– Bądź spokojna. Wróciliśmy znad Schweinfurtu to i z piekła wrócimy... – zapewnił ją.

Nagle, czego się nie spodziewał, Betty ujęła go lekko za ramię i dorzuciła cicho:

– Ty też wróc. Proszę...

Bob zgasił światło i tylko blask kominka oświetlał ich twarze. Przez chwilę milczeli zapatrzeni w żagwiące się główne, które strzelały z sykiem, przypominając im, że gdzieś na świecie szaleje śmierć i szkoda każdej minuty. Bob z Kate zwarli się w pocałunku.

– O dwie osoby za dużo – powiedziała nie bez zazdrości Betty.

– To prawda – odparł Bob, nie wypuszczając z objęć Kate. – U nas komplet. Powinniście zmienić kabinę – zaśmiał się szelmowsko.

– Ależ Bobusiu?! Jak możesz, do niedzieli jakoś wytrzymasz! – zamiauczała głosem Mary Fulton Kate.

– Jutro wymienimy załogę i mama się nie kapnie... Bez żartów.

– Rick z pasją atakuje tylko obiekty wroga. Nic ci nie grozi, Betty. W sypialni po pięciu minutach śpi jak zabity – spokojnie wyjaśnił Bob.

\*

\*\*

Bob przesadził. Od godziny już siedzieli w tym pokoju i żadne nie myślało o

spaniu. Rick palił papierosa i opowiadał Betty o nalocie na Essen. Kiedy skończył, Betty podeszła do niego i czule pogładziła go po głowie:

– Więc tak wygląda lotniczy as? – powiedziała cicho. Nieco zakłopotany podniósł się z fotela. Stali teraz naprzeciw siebie. Betty patrzyła mu prosto w oczy, z lekko odchyłoną głową czekała na jego gest. Zmieszany zajął się gaszeniem papierosa.

– Nie wiedziałam, że bohaterowie są tak strachliwi? – delikatnie pocałowała go w policzek. – To w imieniu wszystkich Amerykanów – szepnęła – a to w moim własnym – mocno objęła go za szyję. Poczł jej wargi. A potem, kiedy oderwali się od siebie, dziewczyna pociągnęła go na łóżko.

– Wierzę w przeznaczenie i instynkt – mówiła spokojnie. – Kiedyś śnił mi się chłopak – a może to ty – miał twoje oczy, twój nos, twoje włosy – wodziła dłonią po jego twarzy. – Wiedziałam, że przyjdiesz – znów zaczęła go całować. Prędko wstał z łóżka.

– Nie róbmy głupstw, Betty – próbował się opanować. Nerwowo zapalił papierosa, ale ona wyjęła mu go z ust. Znowu w jej ruchach był jakiś bezbrzeżny spokój, gdy naturalnym gestem zsunęła z ramion szlafrok.

– Ja tego chcę, rozumiesz? – spojrzała na niego zdecydowanie.

W blasku kominka jej piersi stawały się złote. I teraz wiedział, że przepadł. Że został trafiony. A potem, gdy już leżeli obok siebie, w tej długiej, przedłużającej się w nieskończoność chwili bliskości, i później jeszcze bliżej, i wreszcie najbliżej, kiedy nie było między nimi nic, tylko skóra, to wydawało mu się, jakby uleciał do słońca i że przyjdzie mu za to zapłacić. Jego samolot runął w dół. I kiedy pruł wściekle naprzód, chcąc się przebić przez zwal chmur skłębionych nad tą oszalałą od wojny ziemią, to wiedział, że tam w dole jest jego przystań. Już mrugają do niego zielonym światłem tamte wzgórza, a za nimi bezpieczne lądowisko. I Rick, płonąc jak żywa pochodnia, ciął nosem samolotu wprost na nie, a one przyciągały go swą kojącą obietnicą, pewne, że on, kapitan Richard O'Sullivan, roztrzaskując się o nie, będzie tak bardzo szczęśliwy.

Kiedy się ocknął, był świt. Słyszał szepty Betty o miłości i o tym, że chce być jego żoną. Wziął to za sen i pogrążył się w swym szczęśliwym szybowaniu. Gdy znów otworzył oczy, Betty już była ubrana. Tarmosiła go za nos:

– Wstawaj śpiochu! Pobudka! – całowała go na dzień dobry. – Zaraz madame Fulton przyjdzie na inspekcję. Pośpiesz się. Mamy dziś wiele spraw...

– O czym ty mówisz? – mruknął sennie.

– O naszym ślubie. Zapomniałeś już? – Ja jestem gotowa. A ty...? – spojrzała na niego władczo.

Wyskoczył jak z katapulty. – Ja po prostu nie wierzę. Wciąż biorę to za sen – podrzucił ją jak dziecko w górę.

– To czas się obudzić – ofuknęła go.

W tym momencie rozległo się ciche pukanie i Bob wsunął odprasowany przez Lilly mundur:

– Wbijaj się – szepnął możliwie najciszej. – Czekamy w salonie – dyskretnie

zamknął drzwi.

Rick zaczął ubierać się jak na alarm bojowy. Golił się i czesał prawie równocześnie. Po pięciu minutach byli już w jadalni.

Mecenas urzędował już w swej kancelarii, pani Fulton zaś zmęczona trudami wczorajszego dnia kazała sobie przynieść śniadanie na górę. Tak więc zasiedli do stołu sami. Lilly podała kawę. Bob, łuskając skorupkę jajka, spytał Betty wesoło:

– No, jak mój przyjaciel? Mam nadzieję, że nie chrapał zbyt mocno...

– W sam raz – odparła dwuznacznie.

– To znaczy?

– Akurat tyle, by dochrapać się własnego wesela – rzuciła obojętnie.

– Cooo?! – Bob z wrażenia wypuścił jajko. Wodził po nich osłupiałym wzrokiem.

– Bierzemy ślub – powtórzyła Betty.

– Rick?! – Bob spojrział na przyjaciela – To prawda?! Odezwij się, do cholery?!

– No właśnie – chrząknął Rick. – Betty uznała, że nie mogą być gorszy od ciebie i łaskawie podała mi rękę...

– A to gad! – huknął Bob, zrywając się z krzesła. – Zawsze musi być pierwszy. Nawet przed ołtarzem. I po kim ta ambicja?!

– Po Harrym O'Sullivanie. Będziesz miał zaszczyt go poznać – wyjaśnił Rick.

– A co z Dawidem? – Bob przypomniał sobie Dresdnera i zrobiło mu się trochę żal.

– No cóż. Postaram się mu wytłumaczyć. Powinien zrozumieć – westchnęła Betty.

– A mówiłem, nie lekceważyć lotników – Bob nie ukrywał, że bardziej cieszy go sukces Ricka. – No to musimy to oblać, kochani! Szampana, Lilly! – ryknął basem.

Kate rzuciła się przyjaciółce na szyję: – To kto będzie teraz naszymi друзbami?

– Jak to kto?! Razem pomaszerujemy do niewoli – zdecydował Bob.

– Wesele wyprawimy u mnie – oznajmiła Betty.

– Jeśli cię ojciec nie wygna z domu – zażartował Bob. – Cenię bardzo mego przyjaciela, ale obawiam się, że papa Vanderzaan innego zięcia sobie wymarzył...

– To się okaże. Zostaw to mnie – rzekła spokojnie Betty i wolno dopiła szampana.

## VI

Żaden nalot nie kosztował Ricka tyle zdrowia, co pierwsza wizyta w domu Vanderzaanów. Od rana szykował się do tej akcji i wciąż nie wyobrażał sobie, jak to będzie. Mimo że Betty zapewniała go, że wszystko jest na najlepszej drodze, liczył się z najgorszym. Nie mógł uwierzyć, żeby Oscar Vanderzaan zgodził się na jego

kandydaturę. Próbował tłumaczyć to Betty, ale ona była nieprzejednana: – Masz przyjść i oświadczyć się – powtarzała. Nie było więc wyjścia.

Od godziny krążył po kwaciarniach i nie mógł się zdecydować jakie kwiaty wybrać.

– Wyśmiej mnie – snuł najgorsze prognozy, taszcząc przed sobą wspaniałą bukiet z jedenastu róż.

Urodził się jedenastego i przesądnie wierzył, że liczba ta uchroni go przed totalną klęską. Ze zwycięstwem nie liczył się wcale. Wszystko było tak niezwykle, że nawet jemu wydało się szaleństwem, a cóż dopiero starym Vanderzaanom. Szedł więc jak na ścieżce, coraz lepiej rozumiejąc straceńczy rajd pułkownika Doolittle \* na Tokio.

James H. Doolittle – amerykański pilot bombowy, dowódca pierwszego, samobójczego niemal nalotu na Tokio dokonanego z lotniskowców samolotami B-25. Ryzyko operacji polegało na tym, że samoloty te przystosowane były jedynie do startu z lotniskowców, nie mogły natomiast powtórnie na nich lądować. Po dokonaniu akcji szukały dla siebie bezpiecznych lądowisk trochę na ślepo na terytorium Chin nie zajętych przez Japończyków. Po klęskach na wszystkich frontach ten desperacki rajd miał niezwykle znaczenie moralne dla armii amerykańskiej i walenie przyczynił się do podniesienia jej bojowego ducha.

Kiedy stanął przed bramą rezydencji Vanderzaanów w ekskluzywnej dzielnicy Grammercy Park – nogi się pod nim ugięły.

– Jezus Maria! – wyszeptał i już chciał się cofnąć, ale portier z dystynkcją otworzył bramę. Nie było wyjścia. Ruszył do przodu. Wchodząc po kamiennych schodach, nie mógł się pozbyć myśli, że zaraz z nich zleci. – "Spuszczą mnie na łeb".

W czasie tej udreki frontowe drzwi otworzyły się i stanął w nich lokaj o wyglądzie angielskiego lorda. Poprawiając szamerowaną liberię zapytał godnie:

– Czy mam zaszczyt z kapitanem Richardem O'Sullivanem, Sir?

– Tak – bąknął i nerwowo poprawił czapkę.

– Państwo już czekają – wystudiowanym ruchem wskazał kolejne, tym razem marmurowe schody.

Rick nie bardzo wiedział, co począć z kwiatami, ale lokaj wiedział. Delikatnie wyjął je z papieru i wręczył mu z powrotem.

– Proszę za mną, kapitanie – rzekł wolno, pilotując go dalej majestatycznie.

Rick sztubackim gestem schował bukiet za siebie. Na szczęście na górze czekała już Betty. W nowej, turkusowej sukni zmieniona była nie do poznania. Przywitała Ricka, jakby był tu stałym bywalcem.

– Dziękuję, Fitzgerald.

Fitzgerald skłonił się i oddalił godnie.

Betty wzięła Ricka pod rękę: – Wszystko okay. Ja swoje zrobiłam. Reszta zależy od ciebie...

Rickowi pociemniało w oczach. Lekko poluzował apaszkę jakby to była pętla wisielca.

Weszli do obszernego salonu obwieszzonego starymi, ciężkimi obrazami flamandzkich mistrzów. Mimo słonecznego dnia panował tu półmrok. Dwa okna zasłonięto kotarami, a trzecie zacienione było liśćmi winogrodu. Wszystko sprawiało wrażenie dość ponure.

W fotelu dostojnie siedział Oscar Vanderzaan i palił cygaro. Zobaczywszy córkę i Ricka, powstał i wskazał ręką szeroką kanapę. Podniosła się z niej Debora Vanderzaan. Minę miała, jakby grzebała własną córkę. Nie wróżyło to nic dobrego.

– To jest właśnie Rick – przedstawiła go Betty – kapitan Richard O'Sullivan...

– O'Sullivan? – powtórzyła grobowym głosem Debbie Vanderzaan, przesuwając palcami po emeraldach swego naszyjnika.

– O'Sullivan – potwierdziła dobitnie Betty, przesadnie literując matce: – O jak Oscar, S jak Samson, U jak Ulisses...

– Słyszę – przerwała jej zniecierpliwiona Debbie i zwróciła się do Ricka. – To jakieś irlandzkie nazwisko?

– Tak, proszę pani.

– No właśnie – rzekła z politowaniem – tak myślałam, że irlandzkie...

– A nasze flamandzkie – rzuciła zaczepnie Betty.

Zapadła nieznośna cisza. Po chwili Debbie podjęła znowu: – Ameryka to kraj emigrantów – stwierdziła odkrywczo i żeby całkiem dobić biednego Ricka i uprzytomnić mu z kim ma zaszczyt, przystąpiła do małego wykładu: – Nasza rodzina wywodzi się z rodu dzielnych żeglarzy, którzy przybyli tu już w siedemnastym wieku. Peter Vanderzaan, kapitan brygantyny "Mirande" z Rotterdamu dał początek amerykańskiej dynastii Vanderzaanów...

– To ten pirat – przerwała matce Betty, wskazując portret ponurego brodacza o mięsistych wargach i nosie jak dojrzała truskawka. – Szuler, pijak i frant! Zbił trzos na handlu niewolnikami, a potem dobrze się wzenił. To po nim Peter nosi imię...

– Betty! Jak możesz?! – krzyknęła zgorzonna Debbie.

– Mama wskoczyła na drzewo genealogiczne i muszę ją z niego ściągnąć – ucięła ironicznie.

Oscar Vanderzaan, który dotąd bacznie obserwował Ricka, postanowił włączyć się do rozmowy:

– Pan pali? – wskazał inkrustowaną kasetkę z cygarami.

– Tylko papierosy – odrzekł Rick, który po tym wstępie miał chęć wyjść.

– Zatem służę – Vanderzaan wyjął srebrną papierośnicę. Złotymi munsztukami skierował ją w stronę Ricka. Udręczony tym wszystkim kapitan postanowił wziąć odwet. Wrodzona duma O'Sullivanów dała o sobie znać.

– Niestety, jako zwykły oficer palę tylko zwykłe papierosy. Te są za słabe na moje proste podniebienie – to mówiąc, sięgnął po zmiętą paczkę cameli.

Vanderzaana nie zraziła ta ostentacja, ze spokojnym pstryknięciem zamknął papierośnicę:

– To dziwne. Betty twierdzi, że jest pan niezwykłym oficerem. Asem... A asy powinny palić cygara. Jak Winston Churchill...

– Albo tatuś...

– Ty milcz! Dość się nagadałaś – skarcił ją ojciec, ale w jego głosie nie było złości. Zwrócił się teraz do żony: – To niezupełnie tak, Debbie. Vanderzaanowie wydali dzielnych żeglarzy, a O'Sullivanowie pilota. I to się też liczy. W dzisiejszych czasach...

– Ależ Oscar! To szaleństwo – rzekła Debbie, czując, że przegrywa.

– Ty lubisz takie szalone związki. Sama mówiłaś o tym u Fultonów – przypomniał jej nie bez satysfakcji.

– No dobrze, ale Kate z Bobem znali się od dziecka. Poza tym Stanfordowie...

– Co Stanfordowie?! Gówno! – spojrzał na żonę miażdżącym wzrokiem i wyjął cygaro z ust.

Debbie wiedziała, że przegrała. Zbyt dobrze znała swego męża. Zrezygnowana siadła na kanapie. Wtedy Oscar, jak najlepszy aktor, zmienił ton i zwrócił się do niej słodkim głosem:

– Zdaje się, że kapitan coś dla ciebie ma. Z tym zamiarem tu przyszedł...

Rick szczerwieniał jak róże, które krył za sobą. Ze zgrozą spojrzał na kamienną twarz Debory Vanderzaan. Czuł swą śmieszność. Oscar Vanderzaan postanowił przyjść mu z pomocą:

– Podobno bombardował pan Essen? To i tę bombę spuść pan! Nasz dom się od tego nie rozwali – zakpił głośno.

Rick wysunął zza siebie bukiet i zbliżając się do zbolałej Debory Vanderzaan, oświadczył możliwie dźwięcznym głosem:

– Szanowna pani. Mam zaszczyt poprosić... – tu lekko zahaczył się – o rękę pani córki, Betty. Pani mąż, o ile dobrze zrozumiałem...

– Zgadza się – rąbnął za niego Vanderzaan, nie mogąc ścierpieć tego dukania.

– No właśnie – westchnął Rick i z ulgą wręczył swój bukiet.

– Cóż... – Debora Vanderzaan wstała, jakby przyjmowała kondolencje – obyście byli szczęśliwi...

Betty skoczyła ojcu na szyję. Oscar przytulił ją i szepnął czule:

– Wygrałaś, bąku, ale może i ja nie przegrałem...

Wolno podszedł do Ricka:

– Kapitanie, pierwszy nalot udany. Zobaczmy, co będzie dalej – przyjaźnie klepnął go w plecy.

Betty z dumą wodziła po nim wzrokiem. W jej skośnych oczach znów mignęły zwycięskie błyski:

– "No widzisz. A tak się bałeś..." – zdawały się mówić.

Oscar Vanderzaan zadzwonił po Fitzgeralda. Stary lokaj wniósł srebrną tacę z trunkami. Napelnił kieliszki na szczęście.

\*

\*

\*

Umówili się u Gallaghersa. Tam najczęściej się spotykali ze względu na bliskość redakcji "New York Times". Nie było to łatwe spotkanie. Betty wiedziała, że dla Dawida będzie to grom z jasnego nieba i że jej czyn wyda mu się całkiem bez sensu. Nie miała jednak zamiaru się usprawiedliwiać. W końcu byli tylko przyjaciółmi. – "Bardzo go lubię, ale... zjawił się Rick" – rozmyślała, wchodząc do kawiarni.

Dawid pochłonięty korektą nie zauważył jej wejścia i dopiero, gdy stanęła nad nim, poderwał się raźnie:

– Jesteś wreszcie! W takim razie zamawiam tort z kawą – kiwnął na znajomą kelnerkę.

Betty odsunęła stojącą przed nią popielniczkę. Dawid wytrząsnął popiół i schował fajkę do etui. Wiedział, że Betty nie znosi dymu i starał się przy niej nie palić.

– No cóż – włożył do teczki artykuł – jak zwykle piękna i ravissante – wybił francuskie "er" i powiódł po niej ciemnym, uciekającym nieco w górę okiem. – Wybacz, że nie będę zbyt długo – zsunął z czoła na nos okulary – ale zadzwoniłaś tak nagle, że nie mogłem już przenieść odczytu – usprawiedliwił się.

– No właśnie. Wszystko tak nagle, że nie wiem od czego zacząć... – urwała niezdecydowanie.

– Ależ mów – zachęcał ją. – To coś poważnego?

– Raczej.

– Chyba nie zdrowie? – zaniepokoił się.

– Nie. Nic z tych rzeczy. Chciałam po prostu porozmawiać z tobą o ślubie... – podjęła, starając się, by wypadło możliwie naturalnie.

– To świetnie – przerwał jej. – Ja też myślę, że czas najwyższy o tym pomówić – łagodnie wziął ją za rękę.

– Myślę o moim ślubie – wyjaśniła, cofając ostrożnie dłoń.

– No jasne – przytaknął Dawid, któremu do głowy nie przyszło, że wszystko może się odbyć bez niego.

Ta jego pewność wyzwoliła w Betty ducha przekory. Postanowiła postawić sprawę jasno:

– Wychodzę za męża. Biorę ślub – stwierdziła wprost.

Dawid jakby się ocknął i zapytał konkretnie: – Z kim?

– Z Richardem O'Sullivanem. Tym lotnikiem, którego poznałeś u Boba – wyjaśniła.



Twarz Dawida rozjaśniła się. Wyraźnie odetchnął:

– To jakiś żart?! Kawał?! – zawołał ubawiony absurdem sytuacji.

– Nie, nie żart – odparła, lekko urażona reakcją przyjaciela. Nie pokazała jednak tego po sobie, tylko mocniej zacisnęła wargi. Mam nadzieję, że to nie zmieni naszych stosunków. Cenię sobie twoją przyjaźń – dokończyła przysuwając tort, który kelnerka właśnie przed nią postawiła.

Dawid podał jej cukiernicę: – Czy to zdecydowane? Nie słodzisz? – dodał, widząc, że nie spostrzega jego gestu.

– Tak – odparła – wsypując jak zwykle półtorej łyżeczki.

Dawid przez chwilę łudził się, że odpowiedź dotyczy cukru, ale kiedy podała datę – wiedział, że los jego jest przesadzony.

– Spieszymy się tak ze względu na urlop Ricka – dodała, wolno mieszając kawę.

– Zaiste tempo jak na alarm bojowy – rzekł z widocznym sarkazmem, ale Betty tego nie zauważyła.

– Rick niestety musi wracać do koszar – rzuciła ze smutkiem.

Dopiero teraz, gdy drugi raz wymówiła to imię tak ciepło, Dawid poczuł, że ogarnia go złość, a nawet wściekłość. Zawsze sądził, że jeśli ktoś będzie w stanie ją zdmuchnąć, to będzie to naprawdę ktoś wielki. "A tu takie nic, taki szmok". Nie wiadomo skąd wyrwało mu się to słowo w jidisz, którego użył na balu ten mały Żydek. "No nie – myślał dalej, sięgając po fajkę. – To ja starałem się, zabiegałem, a ten zakręcił się parę razy i ma. Nie jesteś ty więc taką twierdzą nie do zdobycia" – spojrzał na Betty, jedząc spokojnie ostatni kawałek tortu. Demonstracyjnie puścił gęsty kłęb dymu z fajki. "No proszę. Teraz jej nie szkodzi, też ciekawe" – zauważył nie bez goryczy.

– To pierwszego października ten wasz ślub? – rzekł z odcieniem drwiny.

Betty pospiesznie sięgnęła po torebkę:

– Tak. W niedzielę. Właśnie chciałam cię zaprosić – położyła przed nim białą kopertę.

– Dziękuję – wycedził, nie wyjmując fajki z ust. – Zawsze milej dowiedzieć się o tym od ciebie niż z rubryki towarzyskiej mojej gazety...

Betty udała, że nie słyszy tej złośliwości i obrzucając go najbardziej złotym spojrzeniem, dodała z uśmiechem: – Mam nadzieję, że przyjdiesz.

– No wiesz... – zawahał się – przyjąłem do wiadomości, a czy przyjdę... – ostro kiwnął na kelnerkę. Czuł, że jeszcze chwila, a ten cały lokal Gallaghersa wyleci w powietrze. Tej satysfakcji nie chciał jej jednak dać. Mimo wszystko.

## VII

Molly O'Sullivan właśnie przygotowywała ulubioną pieczeń dla swego męża Harrego, gdy jak bomba wpadł chłopak od rzeźnika i krzyknął: – Syn dzwoni! Z Nowego Jorku!

Molly wybiegła jak stała, zostawiając wszystko na ogniu. Nawet nie nałożyła chustki na świeżo nakręcone lokówki.

Od początku wojny na przemian drżała o swoich dwóch synów. Starszy służył w lotnictwie, a młodszy w marynarce. Zazdrościła mężowi, który niczym się nie przejmował i prostym zdaniem "Jak wyszli to wrócą." kwitował wszystko. Jej zaś codziennie zamierało serce na widok listonosza.

Kiedy zdyszana dopadła słuchawki i usłyszała wesoły głos Ricka, odetchnęła z ulgą:

– Już się bałam, że to Ryan nie daj Bóg zatonał! Od miesiąca nie mam od niego listu. Że też ja się muszę tak o was denerwować! Przeokropność świata! – wyżałała się synowi na powitanie. – To kiedy tu będziesz? – zapytała trzeźwiej, gdy nieco ochłonęła. – Co?! W ogóle nie będziesz?... Gdzie? My mamy przyjechać? Z jakiej racji?! Przecież wiesz, że ojciec pracuje – krzyknęła mocno zdziwiona, a kiedy syn zawiadomił ją, że się żeni, wpadła w prawdziwy popłoch.

"Nic tylko złapała go jakaś lafirynda w kasynie i chcą to załatwić po cichu. W Nowym Jorku, a nie w naszym kościele, na oczach ludzi" – pomyślała.

– Dlaczego nie któraś z naszych panien – wyrzucała synowi – na przykład Winny O'Kelly?! Przynajmniej wiadomo co za jedna. Przyzwoita rodzina. A ta jakaś Vander... – Molly nawet nie potrafiła wymówić jej nazwiska.

– Holenderka, mówisz? Dobrze, że nie Włoszka – odetchnęła. – Tego bym nie zniosła. Co?! Protestantka?! Jezus Maria! – wykrzyknęła ze zgrozy.

Rick nastawał, żeby przyjechali wcześniej i przywieźli ze sobą potrzebne dokumenty – metrykę, świadectwo chrztu i tak dalej.

– Kiedy to?! – Molly wciąż nie mogła uwierzyć – W niedzielę?! Przyszłą?! Tą?! Tyś chyba oszalał! A w co ja się ubiorę?! Muszę sobie coś uszyć. Nie wystąpię jak kuchta...

Rick zapewniał matkę, że do piątku ma kupę czasu i dyktował nazwę stacji, podawał godzinę przyjazdu pociągu i – na wszelki wypadek – też numer telefonu Vanderzaanów.

– Stacja Pen, czekaj! Nie tak szybko – sylabizowała Molly, której z nerwów złamał się ołówek.

Ben Cusack, podobnie przejęty jak ona, odszedł od lady i pospieszył na ratunek.

– Tylko Rick! Pamiętaj! Wyjdź! – Molly apelowała rozpaczliwie do serca syna, odkładając wreszcie słuchawkę.

– Co ty na to, Ben? – bezradnie spojrzała na rzeźnika.

– Wojna, Molly. Dzieci robią teraz, co chcą – wytarł ręce o biały fartuch i z powrotem spokojnie zaczął ćwiartować mięso.

– Najgorsze, że nie katoliczka...

– To mówię – mruknął Ben, którego cienki kobiecy głos nie pasował absolutnie do krzepkiej, męskiej sylwetki.

– A szkoda – dodał, rozrabując cielecy mostek – wyjątkowej krasy trafił mi się

byczek. W sam raz byłby na wesele. Aż radość było skórować – mlasnął ze smakiem i wbił siekierę w potężny pień.

– Tamten kawalek, który mi ostatnio dałeś na kartkę, też był dobry – pochwaliła go Molly i raptem skoczyła jak oparzona. – Chryste! Moja pieczeń! Harry mnie zabije! – i jak z procy wyskoczyła ze sklepu.

– Szkoda by takiego mięska – westchnął za nią Ben, a na jego zawodowo zdrowej twarzy koloru surowej polędwicy pojawił się szary cień smutku.

Tymczasem nieświadomy niczego Harry rażno pedałowal do domu. Jego zmiana skończyła dziś wcześniej i Harry cieszył się, że będzie miał więcej czasu dla siebie. Miał trochę prac w swoim "ogrodzie zwycięstwa", \* który teraz naprawdę stawał się dla nich wielkim ratunkiem. Łatwiej było znieść niedostatek wojny. Harry uprawiał w nim nie tylko warzywa, ale hodował również króliki i kury. Ponadto ciekaw był jak wypadła nowa seria poteen, słynnej whisky, którą pędził od lat. Cieszyła się wielkim uznaniem u najbliższych przyjaciół.

Ogrody zwycięstwa – tak nazywano prywatne ogródki i działki, które wyrastały przy domach podczas wojny i walczyły przyczyniły się do przezwyciężenia kryzysu żywnościowego. W ostatnim roku wojny 40% produkcji jarzyn pochodziło z dwudziestu milionów takich prywatnych ogródków. Zakładając je w nadziei szybkiego zwycięstwa nazywano je "Victory Gardens". Najwięcej było ich w Kalifornii.

Harry mieszkał na peryferiach Pittsburga i dojazd do stalowni zabierał mu sporo czasu. O tej porze roku szczególnie lubił tę drogę, kiedy krwawoczerwone liście, cicho umierając, ze smutkiem opadały na ziemię. Z daleka zobaczył swój mały, drewniany dom. Stawiał go sam, tylko z pomocą sąsiada i dwóch swoich drabów, jak nazywał synów. Był bardzo dumny z tej roboty. Ostatnio w ogródku wznosił jeszcze szopę, w której umieścił swoją destylatornię produkującą słynną poteen.

Już na schodach werandy ostro krzyknął na żonę: – Złazę z rowera, jeść chce, cholera!

Molly lubiła ten rubaszny okrzyk męża – świadectwo wielkiego przywiązania do jej kulinarnej sztuki. Zawsze w odpowiedzi wszystkie pokrywki szły w górę. Harry był surowym sędzią. Apetyt miał zawsze i po ciężkiej pracy lubił dobrze zjeść.

– Jak każdy chłop – twierdziła Molly – któremu do serca można trafić tylko przez żołądek.

Tym razem Harry poczuł lekki swąd, który obudził w nim czujność: – Cóż u diabła? – zapytał na progu. Szybko zdjął buty i w skarpetach wszedł do kuchni. Nieufnie pociągnął nosem:

– Nie pali ci się tam coś?

– Pali się, pali. Ale twojemu synowi – odburknęła znad pieca Molly.

Harry nie dosłyszał i starannie odwiesił bluzę. Umył nad zlewem ręce i przyczesał włosy, sięgnął po szklankę i nalał sobie poteen. Wygodnie zasiadł do nakrytego stołu. Molly zawiązała mu serwetkę pod brodą. Harry spojrzał na krzyż wiszący na ścianie i nabożnie przeżegnał się. Z westchnieniem ulgi gołnął łyk sullivanówki:

– Udała się – przyznał, mlaskając ze znawstwem. – A teraz spróbujemy twego wyrobu, mała – klepnął żonę w ciągle apetyczny zadek. Zajęta rozlewaniem zupy, Molly skarciła go niegroźnie:

– Oj, tatuś, przestałbyś. Ty w ogóle nie słuchasz, co ja mówię?

– A co znów? Uuum. Pieczarkowa – z radością poprawił serwetkę pod brodą i nie próbując zupy, posolił ją zdrowo.

Ten zwyczaj mocno irytował Molly, ale tym razem nie zwróciła uwagi skupiona na wyrzuceniu z siebie niezwyklej nowiny. Przysiadła się do męża i opierając głowę na łokciu, oświadczyła uroczystym tonem:

– Nasz Rick żeni się. Co ty na to?

– Żeni się, mówisz – mruknął Harry bez większego wrażenia. – A kiedy to? – chlipnął znad talerza.

– Już w najbliższą niedzielę! Czy ty to rozumiesz?! – krzyknęła, szukając w mężu oparcia.

O'Sullivan seniora nic jednak nie zdołało oderwać od jego ukochanej zupy i dopiero po paru łyżkach wysiorbał:

– Dziecko widać zmachał drab. Dlatego – skonstatował.

– Co też ty, tatuś?! – przeraziła się Molly – Znają się kilka dni...

– Kilka dni? To my przynajmniej kilka tygodni – wyczyścił dokładnie talerz skórką chleba. – Ale cóż?! Wojna. Na wojnie wszystko szybciej – rzekł, połykając ze smakiem skórkę. – Ciekawe jak wypadła moja pieczeń?! Dodałaś porów jak prosiłem? – zapytał.

Wyprowadzona z równowagi Molly z pasją zaczęła wyliczać wszystkie groźby tego małżeństwa:

– I do tego Holenderka. Jakaś Vanderzaan – odczytała z kartki.

– Nie znam – mruknął Harry, dopominając się o swoją pieczeń. Gdy Molly wreszcie postawiła ją na stole, obwąchał talerz uważnie, następnie posolił i przystąpił do oceny: – Uuum. No tak. Miałem rację – westchnął z zawodem. – To że Rick bierze ślub nie znaczy, że ja muszę jeść spaloną pieczeń – podsunął talerz pod nos żonie. Widząc jednak, że nie w głowie jej ta kuchenna dyskusja, rzucił wesoło: – Nie ma co zawczasu rozpaczać. Pojedziemy, zobaczymy – i swoim zwyczajem dołał sobie poteen.

– Ty zawsze tak. Wszystko na mojej głowie – rozżaliła się na dobre Molly.

– No, no, matka. Żeby cię Bóg nie skarał – przestrzegł żonę Harry i przystąpił do pocieszania: – Ja tam w niego wierzę. Wie, co robi, drab. Skoro sprzedaje głowę, to musi to być dziewczucha... Jak ty! – krzyknął z dumą, licząc, że tym dowodem uznania ostatecznie ją rozbroi.

Na próżno. Molly była niepocieszona:

– Że też ja muszę się tak męczyć. Przeokropność świata – płakała, ocierając łzy fartuchem.

– Nie bzikuj, kobito! – zdenerwował się Harry. – Wszystko będzie okay. Zobaczysz. Jeśli oni biorą ten ślub w niedzielę, to ja mam dla nich wyborny prezent. W sam raz zdążę! – radośnie zatarł ręce i poprosił o dokładkę. W sumie pieczeń nie była wcale taka zła.

\*

\* \*

Podwójny ślub stał się sporą sensacją miasta. Nie tylko ze względu na rody Fultonów i Vanderzaanów, ale na niezwykłość sytuacji. Wieść, że panna Vanderzaan wychodzi za mąż za jakiegoś nieznanego pilota, lotem błyskawicy obiegała miasto, wzbudzając olbrzymią ciekawość.

Tłum wypełnił katedrę po brzegi. Uroczystość zaszczycił, będący akurat przejazdem z Waszyngtonu, generał Henry Arnold, dowódca lotnictwa i Fiorello Laguardia, \* burmistrz Nowego Jorku. W tłumie widziało się wiele znakomitości, znanych przemysłowców i aktorów, paru wyższych urzędników państwowych, wśród nich młodego dyrektora w Departamencie Stanu, Alberta Heatha. Stał w rogu nawy, w ciemnej marynarce i sztuczkowych spodniach, z nieodłącznym parasolem w ręku. Wymieniał uwagi z Dawidem Dresdnerem.

Fiorello Laguardia – słynny burmistrz Nowego Jorku.

Rodzice państwa młodych byli już gotowi.

Harry O'Sullivan w przyciasnym garniturze tenis prezentował się nad wyraz godnie, a Molly w seledynowym kostiumie uszytym specjalnie przez znajomą krawcową i kapeluszu z rafii wyglądała wręcz wspaniale. "Nie do zdarcia ta moja baba" – oceniał walory żony z męską próżnością Harry. Mężnie znosił pętlę krawata. Tylko częste kręcenie głową zdradzało, jak bardzo źle się czuje w tej psiej obroży.

Rozległ się "Romans" Dworzaka. Rozpoczęła się ceremonia ślubna.

Wszedł celebrujący uroczystość biskup. Wszystkich ogarnął podniosły nastrój. Dwaj młodzi piloci i ich narzeczone budzili powszechną sympatię. W tej niecodziennej ceremonii widziano nie tylko zwykły ślub, ale podwójne zwycięstwo miłości nad wojną, życia nad śmiercią. Chociaż gałązka oliwna królowała w katedrze, wiadano, że dla tych oficerów są to darowane chwile, że za moment twardy rozkaz znów wezwie ich na front.

W głębokiej ciszy wysłuchano powitalnych słów biskupa i fragmentu Pisma Świętego.

Rick czuł się tak, jakby mu trzy motory wysiadły naraz. Wolno nałożył obrączkę na palec Betty. Widział jej pobladłą twarz. I dopiero teraz dotarły do niego z przedziwną siłą słowa z Księgi Eklezjasty i poraziły swą prostotą i prawdą: "Dwoje jest zawsze lepiej niż jedno. Gdy jedno upadnie, drugie pomoże mu. Biada jednak temu, który upadając nie ma obok siebie nikogo, kto może mu pomóc". Zrozumiał nagle, że nie jest sam. Biskup ogłosił wreszcie ich związek za zawarty i rozległ się "Marsz Weselny" Mendelssohna.

Tłum powoli wytoczył się z katedry. Państwo młodzi przyjmowali gratulacje. Fotoreporterzy złapali moment, kiedy burmistrz Laguardia składa życzenia nowożeńcom, a generał Henry Arnold ściska ręce swym pilotom.

Dawid taktownie odczekał pierwszą falę gratulacji i powoli zbliżył się do Betty:

– No, to... – rozpoczął, ale wzruszona przerwała mu szybko.

– Dziękuję, Dawid. Jesteś prawdziwym przyjacielem.

Wręczył jej wspaniały bukiet.

– A co mi zostało? – zakpił sam z siebie. – To był prawdziwy blitz-krieg. Kapitanie, gratuluje – wyciągnął do Ricka swą białą dłoń, którą ten mocno uściśnął.

Harry O'Sullivan, obserwując swojego draba, z satysfakcją trącił żonę:

– I kto miał rację, matka?! Mówiłem. Przyjedziemy, zobaczymy. I jest na co popatrzeć, piernika...

– Ciszej! Tatuś! – szarpnęła go Molly, hamując te wybuchy ojcowskiej dumy.

Aron musiał przyznać, że ślub w tej katedrze nie był gorszy niż u nich w synagodze na Lower East Side.

"Tu miło jest tyż – rozmarzył się. – I można by właściwie... – zaraz zmitygował się. – Sza, Aron. Nie bądź ty taki Mojsze katolik. Żeby ci baldachim na ślubie nie spadł na głowę" – i lekko rozgrzeszony podszedł do młodożeńców:

– Najważniejsze, żebyśmy wszyscy zdrowi byli – wykrzyknął – Zol'n mir azoj gesund zajn (żebyśmy tak zdrowi byli)!

Rick z Bobem roześmieli się serdecznie.

Za chwilę czekał ich bankiet w hotelu "Waldorf-Astoria". Oscar Vanderzaan stał na stopniach katedry i zaciągał się świeżym powietrzem, ściślej mówiąc cygarem, które wreszcie mógł swobodnie zapalić.

Fitzgerald, który czuwał nad dalszym rozkładem jazdy, kiwnął na czarnego packarda. Otworzył drzwi.

– Proszę, Sir – zwrócił się do Harrego O'Sullivana. Oscar Vanderzaan ujął serdecznie pod łokieć świeżego teścia swojej córki: – Wsiadaj, mój drogi – rzekł ciepło.

– Taką bryczką nie jechałem – przyznał prostodusznie Harry. – Twój czy wynajęty?

– Mój – odparł skromnie Oscar, zagryzając w ustach cygaro.

Harry gwizdnął z podziwem: – To nieźle. Biedakiem nie jesteś, kurna – z uznaniem klepnął Oscara w plecy. Na szczęście Molly zajęta rozmową z Debbie nie spostrzegła tej spontanicznej reakcji.

– Jedź za nimi, Frank – rozkazał Oscar kierowcy, wskazując wozy młodych par, które właśnie ruszały z placu przed katedrą. Ponownie zaprosił O'Sullivanów do swego packarda.

– To mi się coraz bardziej podoba, cholera... – Harry sadowił się w wytwornej limuzynie. Chciał jeszcze coś dodać, ale Molly szturchnęła go w bok, z gracją zajmując miejsce obok Debory Vanderzaan.

Bob jechał pierwszy, za nim Rick i pozostała kawalkada aut. Pędzili coraz

szybciej z fasonem trąbiąc po drodze Piątej Alei, jak wtedy jeepami po pustynnej drodze do Salt Lake City.

Sala cesarska hotelu "Waldorf-Astoria" drżała w ażurowych światłach. Ustawione w podkowę stoły mimo trudności wojennych kuściły królewską zastawą. Kelnerzy czekali usłużnie. Panie młode zniknęły na chwilę, by z białych aniołów przemienić się w wytworne dcamy. Ich ponowne pojawienie się powitano oklaskami uznania.

Fitzgerald czuwał nad wyższą etykietą bankietu. Dał znak kierownikowi sali, że można zaczynać. Kelnerzy ruszyli z tacami, barmani przystąpili do serwowania trunków. Co chwila któryś pochylał się nad Rickiem i kazał mu degustować zawartość butelki. Musiał skinieniem głowy potwierdzić, czy rocznik wina jest aby godny tej znamienitej okazji. "I tak nie rozróżniam tych kompotów" – ale dla świętego spokoju łaskawie akceptował wszystkie.

Wśród licznych toastów wyróżnił się generała Arnolda, który na zakończenie powiedział: – Wracajcie do domu szczęśliwie, chłopcy. Wasze zdrowie i waszych żon, które tak dzielnie was wspierają. Za zwycięstwo w powietrzu i długie, nowe życie w pokoju...

Trudno było uniknąć tematu wojny. Henrietta Stanford, rozżalona nieobecnością męża i syna na ślubie, nie dokończyła swego toastu, wybuchając płaczem: – Wojna jest nieludzka. Nieludzka. Szczególnie dla nas matek – powtarzała w rozpacz.

Harry O'Sullivan, pragnąc ją pocieszyć, wykrzyknął: – Toć wesele nie stypa, ludzie!

Kelner, widząc, że szykuje się do toastu, usłużnie podbiegł napełnić jego kieliszek, ale Harry demonstracyjnie zasłonił go ręką:

– Tego gówna nie piję – oświadczył osłupiałemu barmanowi i śmiało sięgnął po swoją własną whisky w ozdobnej butelce, którą uroczyście wręczył synowi: – Specjalnie pędziłem na wasz ślub.

Rick z miejsca otworzył butelkę i nalał, o dziwo, wielu chętnym. Szczególnie chłopcy z załogi chcieli skosztować słynną poteen.

– Niech wiem, na czym latam – rzekł Aron, i po wypiciu oświadczył – ta superforteca jest dobra też...

Zachęcony tą pochwałą Harry wznosił szklanekę i nie speszony wytwornym towarzystwem rąbnął krótko:

– Nigdy nie przypuszczałem, że mój drab zaleci tak wysoko. Ale w życiu pieniądz nie wszystko. Liczy się jeszcze honor. I kark! – Harry klepnął się wymownie w tył szyi – i my O'Sullivanowie nigdy go przed nikim nie zginaliśmy. Gdybym ja wiedział, że mój Rick na twoje dolary leci – zwrócił się do Vanderzaana – to ja bym mu pierwszy nogi z dupy powyrywał...

– Boże, tatuś! Przeokropność świata! – krzyknęła Molly, łapiąc się za głowę. Głos żony powstrzymał Harrego przed rozwinięciem tematu. Kaszlnął tylko i dokończył ojcowskim błogosławieństwem: – Bądź dla niej dobry, Rick, macie się kochać, dać nam wnuki, żyć w wierze, zgodzie i poszanowaniu do końca dni waszych, kur..., eee..., amen.

Molly już prawie nie żyła, ale ten szczerzy ton Harrego poparty własną

sullivanówką bardzo się spodobał i przełamał ostatnie lody. Ci, których krępowała etykieta, przestali się nią przejmować. Zajęli się bardziej treścią niż formą.

Wiecznie głodny Glenn Borsuk mógł wreszcie napychać się do syta. Kelnerzy nie nadążali z talerzami. Olbrzym zmiatał wszystko. Błogi uśmiech nie schodził mu z twarzy. Pstrykał tylko palcami na kelnerów i pytał:

– Co tam masz, stary? Daj no, zafasujemy – i kolejna porcja znikła w jego nienasyconych czeluściach.

– Masz ten spust, Borsuku. Wszystkie artykuły kolonialne na łap carap do swej nory ładujesz. – Aron jeden rozumiał prawdziwe znaczenie polskiego nazwiska Glenna. – A ja niestety co do mięsa mam duży sęk – westchnął z rozterką.

Kiedy jednak kelner zapewnił go, że gust religijny został uwzględniony i je ten sam kawałek wołu co rabin Nowego Jorku Ichener, Aron odetchnął i poprosił o dokładkę.

Oscar Vanderzaan poinformował swego przyjaciela Hapa, że wkrótce będzie miał udoskonalony wizjer celowniczy Nordena, na który z taką niecierpliwością czekał. Zainstalowany na superfortecy powinien zasadniczo usprawnić celność zrzutów. Rozmowa zeszła na tematy techniczne. Inżynier Henderson, główny konstruktor zakładów, objaśniał generałowi zasady działania nowego przyrządu. Przysłuchujący się rozmowie Harry wtrącił z uznaniem:

– Aparatura to grunt! – i już z serdecznością chciał się podzielić swymi doświadczeniami w doskonaleniu cyklu produkcyjnego poteen, ale czujna Molly w porę go wyhamowała.

Nie mogła darować mężowi, że spytał Oscara, ile ma sypialni, a jak ten odparł mu, że nie wie, pochwalił się zaraz, że on Harry ma co prawda tylko trzy, ale za to własne. Sam je robił. I nie czuł, że to śmieszne.

Generał Arnold nie mógł zostać do końca uroczystości. Spieszył się do Waszyngtonu. Żegnając się ze swymi lotnikami, zaznaczył dyskretnie, że wie o ich misji i cieszy się, że poznał ich osobiście.

Dawid Dresdner też musiał wyjść wcześniej. Czekало go zebranie Towarzystwa Pomocy Rosji. \*

Towarzystwo Pomocy Rosji – w oryginale "Russian Relief". Organizacja powołana do życia w Ameryce po wybuchu wojny radziecko-niemieckiej wyznaczająca sobie za główny cel niesienie pomocy materialnej i humanitarnej walczącej Rosji. Szybko opanowana przez wywiad radziecki, stała się skutecznym narzędziem w rękach propagandy stalinowskiej. Skupiała w swoich szeregach wielu naiwnych i szlachetnych lewicujących idealistów, między innymi żonę prezydenta Roosevelta – Eleonorę Roosevelt.

– Już nie ma komu pomagać. Ślub z Rosją dla niego ważniejszy – zaatakował go Aron. Nie mógł strawić tego czerwonego cadyka. Dawid nie myślał jednak wdawać się w spór z tym prymitywnym ziomkiem i żegnając się, udał że nie słyszy tej zaczepki.

Przyszedł czas na tort weselny. Było to prawdziwe i olbrzymie dzieło sztuki z marcepanowym śmigłem. Polewa z lukru lśniła jak stal samolotu. Błysnęła magnezja. Każdy chciał być uwieczniony przy tym słodkim pomniku.



Betty i Kate jako ochmistrzynie ceremonii dokonały częściowego demontażu silnika, wykrawając z niego pierwszy smakowity kawałek. Dwaj piloci otrzymali marcepanowe śmigło. Przelamali się nim przykładnie i postanowili zachować je na pamiątkę.

W pokoju dla nowożeńców Rick i Betty rzucili się na siebie szczęśliwi, że są sami. Z pasją skryli się w sobie, jakby w nadziei, że uchroni ich to przed zemstą czasu, która zbliżała się z każdą minutą. Każdą sekundą.

Rick wstał z łóżka i z wolna podszedł do okna. Klony w Central Parku złościły się ścięte pierwszym chłodem październikowego poranka. Martwe liście sucho opadały na ziemię. Smutek babiego lata ogarniał duszę. Baraki z Wendover wypłynęły zza mgły. Za parę dni będą na poligonie.

– Co będzie za miesiąc, za rok? – pomyślał z goryczą.

Wyjęła mu z ust papierosa i sama zaczęła palić. Lubiła tak robić.

– Dość tego błędzenia w chmurach – pociągnęła go ku sobie. Znów kochali się bez opamiętania.

Nazajutrz opuścili hotel.

Kate i Betty miały zamieszkać z rodzicami. Łatwiej im będzie znieść rozłąkę. Rick spojrzął na swą walizkę. Nie mógł uwierzyć, że za chwilę go tu nie będzie, a z dwóch tygodni szczęścia zostaną tylko fotografie Betty i parę drobiazków smutno ułożonych na dnie walizki.

## VIII

Sala Towarzystwa Pomocy Rosji wypełniona była po brzegi. Dawid znalazł dla siebie jakieś miejsce. Heroizm Rosji budził podziw. Każdy chciał wesprzeć kraj, który toczył śmiertelny bój z Hitlerem. Na sali było wielu emigrantów z Europy, wybitnych artystów i uczonych, którzy z niecierpliwością czekali na koniec wojny i powrót do swych krajów. Rosja dawała im tę nadzieję. W jej nowe, demokratyczne oblicze nikt nie wątpił. Uśmiechnięta twarz Stalina wisząca obok portretu prezydenta Roosevelta zdawała się to gwarantować.

Bohaterem spotkania był radziecki pisarz, słynny korespondent wojenny, Aleksander Siergiejewicz Nowikow, który świeżo wrócił z frontu. Relacje Nowikowa z oblężonego Leningradu i walk pod Stalingradem, gdzie w śniegu i mrozie radziecki żołnierz w straszliwych warunkach bronił swej ziemi, przyniosły mu ogromny rozgłos.

– ...Matrosow nie był jeden. Inni też własną pierśią zasłaniali gniazda karabinów maszynowych – tłumaczył teraz słuchaczom. – Małe dzieci rzucały cocktaile Mołotowa na czołgi. I to właśnie dzięki nim tysiące ludzi uniknęło śmierci. Odkryte przez nas groby najlepiej świadczą o tym, co Hitler szykował światu. To miejsce nazywa się Treblinka – wskazał dużą fotografię. – Zapamiętajcie nazwę. Nigdy przedtem ludzkość nie przeżyła takiej hańby. Tu w krematoriach zagazowano miliony Żydów z całej Europy. Miliony niewinnych ludzi, kobiet, starców i dzieci zginęło w tej fabryce śmierci. A to inny obóz. Majdanek. Również odkryty przez nas na terenach Polski. Tak wyglądał po naszym wyzwoleniu.

Wszyscy ujrzeli teraz doły pełne szkieletów i twarze żywych trupów, którym cudem udało się przeżyć.

– Oto nowy ład Hitlera – ciągnął Nowikow – i wynik jego rządów. Przeliczył się jednak. Godności ludzkiej nie da się podeptać. Faszizm nie przejdzie! Dni Hitlera są policzone! Wkrótce znajdziemy go w Berlinie! I postawimy przed sądem! Po to walczymy, by nigdy zbrodnie takie się nie powtórzyły! I zwyciężymy. Taka jest bowiem woła wolnych narodów! Niech żyje sojusz demokratycznych sił postępu! Niech żyją przywódcy wolnego świata: prezydent Roosevelt i marszałek Stalin! – dokończył z wiarą i patosem.

Gromki okrzyk sali był jedyną odpowiedzią. Wszyscy wstali z miejsc i hucznymi oklaskami nagrodzili mówcę. Młoda dziewczyna wręczyła mu kwiaty. Bukiet czerwonych goździków. Nowikow zamachał nim zwycięsko nad głową i wznosił dwa palce na znak wiktorii. Potem odpowiadał na pytania. Jego proste, szczere odpowiedzi ujęły słuchaczy.

Pewnym dysonansem w tej harmonii był tylko głos jakiegoś Polaka, który zapytał Nowikowa, dlaczego Rosjanie, wchodząc do Polski, aresztują dowódców Armii Krajowej i dlaczego, stojąc beczynn timer wrót stolicy, odmawiają nawet prawa lądowania sojuszniczym samolotom lecącym na pomoc walczącej Warszawie. I czy aby upadek Powstania nie leży w interesie, tak chwalonego tu przez wszystkich Wujka Joe. Kiedy zaczął mówić o oficerach polskich zamordowanych w Katyniu w 1940 roku, podniósł się wrzask zagłuszający nietaktownego mówcę.

Nowikow podziękował za wsparcie i gładko wyjaśnił, że Powstanie w Warszawie wywołała garstka bankrutów politycznych dla siebie tylko wiadomych reakcyjnych celów. Swych planów nie uzgodniła z dowództwem radzieckim. Wyczerpana ofensywą Armia Czerwona nie jest w stanie nic zrobić. Bój o Warszawę przerasta obecnie jej możliwości. Natomiast Katyń jest typową goebelsowską prowokacją, pragnącą ukryć własne zbrodnie, o których przed chwilą była mowa.

– Boli mnie, panowie – kontynuował Nowikow – że znaleźli się wśród nas ludzie szermujący faszystowską propagandą...

Oburzona publiczność zaczęła tupać i niefortunny dyskutant musiał opuścić salę. Jego występ uznano za wysoce niesmaczny.

Podczas przerwy Albert Heath przedstawił Dawida attach~e prasowemu ambasady radzieckiej – Gorodence. Ten, usłyszawszy nazwisko Dresdner, ucieszył się wielce. Od dawna śledził artykuły Dawida w "New York Times" i bardzo je cenił:

– Dzięki panu Amerykanie przestaną wreszcie wyobrażać sobie nas z nożem w zębach – zaśmiał się serdecznie.

– Światła część naszego społeczeństwa dawno tak nie myśli – zapewnił Gorodenkę Heath. – Czego dowodem dzisiejsza reakcja sali...

Trudno było się z tym nie zgodzić.

Gdy następnie już sami popijali kawę w bufecie, Heath wyjaśnił Dawidowi, że Departament Stanu przywiązuje olbrzymią wagę do dobrych stosunków z Rosją.

– Liczymy na jej pomoc w inwazji wysp japońskich – powiedział. – Klęska Rzeszy to zaledwie połowa wygranej. Do końca wojny jeszcze daleko...

– O koniec wojny się nie martw – przerwał mu Dawid. – Załatwią to nasi lotnicy. Bob z Rickiem...

– Co Bob z Rickiem? – zainteresował się Heath.

– E, żartuję. Takie tam. Bob wspominał mi, że służy w zgrupowaniu lotniczych asów, którzy zdolni są zakończyć wojnę. Ćwiczą z jakąś nową bronią, ale on sam w to nie wierzy...

– Ciekawe – mruknął Heath.

Pospieszyli z powrotem na salę.

Heath przewodniczył drugiej części obrad, w której Dawid miał zabrać głos. Pierwszy raz występował przed tak dostojnym gronem i chciał, by jego występ wypadł jak najlepiej. Nic dziwnego więc, że zajęty odtwarzaniem tego swego przemówienia, wkrótce zapomniał o całej sprawie.

## IX

Po powrocie z urlopu nie mogli narzekać na brak zajęć. Tibbets wziął się za nich ostro. Na lotnisku czekały już nowe B-29. Zaczęli ćwiczyć z bombami o dwóch różnych kształtach. Jedna przypominała olbrzymie cygaro, druga zaś gigantycznego arbuza. Ważyły po dziewięć tysięcy funtów. W środku oprócz balastu zawierały przyrządy elektroniczne, nieduży ładunek wybuchowy i zapalnik z opóźnionym zapłonem. Cała sztuka polegała na tym, aby z wysokości trzydziestu tysięcy stóp trafić tą bombą w koło o średnicy zaledwie trzystu stóp. Było to diabelnie trudne. Różnica zer mówiła sama o sobie. Te ćwiczebne loty odbywali nad pustynną okolicą niedaleko Salton Sea w południowej Kalifornii. Jediną osadą na tym bezludnym poligonie było małe miasto Calipatria.

W sumie zajęcie było nudne. Nad punktem docelowym zrzucali swoją bombę, zwiększając zaraz szybkość. W maksymalnym dopuszczalnym nurkowaniu kładli jednocześnie samolot w wiraż o sto pięćdziesiąt pięć stopni. Starali się w ten sposób jak najszybciej oddalić od centrum wybuchu.

Nowy B-29 nazwali również "Poteen", oczywiście na cześć słynnej irlandzkiej o'sullivanówki ojca Ricka. Latali w zasadzie w starym składzie, jedynie bez Howarda. Jednak wysłano go na Alaskę. W głębi duszy nie mogli się pogodzić z surowością tej kary i mieli cichy żal do Tibbetsa.

Załoga Ricka szybko pokazała swoją klasę. Ale i im trafiały się pudła. W identycznych warunkach, przy tej samej precyzji bomba potrafiła spaść kilkaset stóp od koła. Trudno było mieć o to pretensje do Glenna, który był świetnym bombardierem. Celownik optyczny Nordena wytwarzany w Zakładach Vanderzaana wmontowany był na stałe i – nigdy się nie zmieniał. Skąd więc to odchylenie? Nie umieli tego zrozumieć.

Dzisiaj miał z nimi lecieć pułkownik Tibbets. Czekali cierpliwie przed frontem samolotu, kiedy nagle Bob trącił Ricka:

– Jezu! Spójrz kto idzie?

Spośród dwóch cywili towarzyszących Tibbetsowi jednego można było

rozpoznać natychmiast. Zwalista sylwetka i nieodłączne cygaro w ustach szybko zdradziły Oscara Vanderzaana.

– Giewał! Zol ich azoj genund zajn! – wykrzyknął Aron. – Szanowny teściunio raczył się objawić?

Zaskoczeni tym spotkaniem czekali, co będzie dalej. Tymczasem Tibbets, nieświadom niczego, zaczął przedstawiać przybyłych:

– Panowie reprezentują Zakłady Vanderzaana. Pan Oscar Vanderzaan, prezes firmy, pan Henderson, główny inżynier, a to dowódca samolotu kapi...

Vanderzaan wziął serdecznie Ricka w ramiona.

– To panowie się znają?

– Kapitan jest moim zięciem, pułkowniku.

Teraz Tibbets oniemiał.

– Jak tajemność to tajemność, szefie – odparł skromnie Rick.

Ze śmiechem weszli do samolotu. Vanderzaan wiedział, że spotka tu Ricka, nie spodziewał się jednak, że będzie z nim leciał.

Kiedy nadeszło z Wendover potwierdzenie o zainstalowaniu na B-29 próbnej serii ich nowego celownika Nordena i zaproszenie do technicznej oceny, skorzystał z okazji i przyjechał do Wendover.

Dla pułkownika Tibbetsa lot ten miał kluczowe znaczenie. Lecieli po raz pierwszy nową "odchudzoną" i "podrasowaną" superfortecą, z której usunięto całe opancerzenie i wszystkie działka z wyjątkiem tylnego. Zwiększało to znacznie szybkość i podnosiło pułap wysokości samolotu, co dla pułkownika było najlepszą gwarancją powodzenia misji. Samolot będzie poza zasięgiem myśliwców japońskich. Niestety to bezpieczeństwo kosztuje. Wraz z prędkością i wysokością wzrastała trudność trafienia w cel. Precyzja nowych urządzeń celowniczych nabiera więc zasadniczego znaczenia.

Sadowiąc się obok Tibbetsa, Oscar Vanderzaan z zaciekawieniem przyglądał się superfortecy. Wolno zapalił cygaro i przesunął je w ustach.

– Nie palić! – usłyszał krótki rozkaz zza steru.

Tu na pokładzie pierwszym po Bogu był jego własny zięć.

– Jedno cygaro wystarczy – Tibbets wskazał luk z bombą – lepiej się z drugim nie wrywać – doradził. Vanderzaan posłusznie zastosował się do rozkazu.

– Gotowi? – odezwał się głos z wieży.

– Gotowi – odparł Rick.

– Pas wolny. Szczęśliwego wiatru w ogon...

Rick zwiększył obroty silników. "Poteen" potoczyła się po pasie startowym, nabierając prędkości.

Pogodę mieli świetną. Niebo bez chmurki. Nad Calipatrią pobili rekord wysokości. Lecieli o pięć tysięcy stóp wyżej niż normalnie. Tibbets zatarł ręce. Teraz

tylko trafić w cel. Glenn przywarł do wizjera. W napięciu obserwował ziemię. Widział, jak nakreślone w dole koło pokrywa się z krzyżem jego celownika.

– Mam go! – uniósł się lekko nad celownikiem. – Bomba w dół!

Odciążony samolot poderwał się w górę. Prawie jednocześnie przechodząc do rutynowego zwrotu o sto pięćdziesiąt pięć stopni w dół i płytkiego nurkowania, Rick wykrzyknął:

– To jest to!

Nie bardzo rozumieli, o co mu chodzi. Kiedy oddalili się o dziewięć mil od punktu docelowego, ekipa naziemna potwierdziła zrzut. Niestety bomba spadła poza koło.

– Co jest, do cholery?! Wszystko było idealnie – zapewniał wściekły Glenn.

– Chyba wiem – rzekł Rick do Boba.

Tibbets zbliżył się do nich.

– Myślę, że przyczyna tkwi w nieznacznym ruchu głową Glenna – wyjaśnił kapitan, który pilnie obserwował bombardiera.

Gdy Glenn zniżał wzrok, by lepiej uchwycić celownik, jego głowa mniej więcej o jeden cal zmieniała kąt w stosunku do wizjera. Z niskiej wysokości nie miałyby to znaczenia, ale z tej ten jeden cal zmienia się w paręset metrów.

Po południu znów polecieli. Tym razem głowa Glenna ani drgnęła. Bomba idealnie trafiła w cel.

Tibbets kazał ekipom naprawczym skonstruować urządzenie umożliwiające mocne osadzenie głowy bombardiera w wizjerze przyrządu celowniczego Nordena. Odtąd wyniki ćwiczeń znacznie się poprawiły.

Na razie zaś wszystkim spadł kamień z serca. Goście byli zadowoleni, że ich nowy aparat przeszedł pomyślną próbę. Rick cieszył się, że udało mu się zabłysnąć przy teściu. Kiedy "Poteen" miękko wylądowała na lotnisku Vanderzaan rzekł do Tibbetsa:

– On ma latanie we krwi, co?

– Yhm. Nawet z piekła wróci – zapewnił go pułkownik.

Oscar Vanderzaan przywiózł obydwu pilotom list i potężne paczki. Mimo że po pamiętnej interwencji Arona kuchnia w bazie poprawiła się "tyż", przysmaki z domu cieszyły bardzo. Obydwie samotne małżonki usychały z tęsknoty. Rick dostał od Betty nową apaszkę, a Bob od Kate pulower własnoręcznie robiony. Wyciągnął też krusze ciasteczka upieczone przez Lilly:

– Tort weselny zjedli bez was, to przynajmniej teraz nadrabiacie – zwrócił się do Stana i Mario.

Przy okazji inni też skorzystali.

Wyjeżdżając z bazy, Oscar Vanderzaan był pewny, że pobity dziś rekord wysokości nie jest ostatnim słowem jego zięcia. Zajdzie wyżej, nie tylko w powietrzu. "Będą z niego ludzie – pomyślał z dumą. – Chociaż nie daje drań palić". –

Zaciągnął się z lubością głębiej cygarem.

## X

Major Kent Sydney był mocno zakłopotany. Przed sformowaniem dywizjonu każdy zgłaszający się ochotnik był badany pod kątem możliwości powiązań z państwami osi, elementem kryminalnym i na osobisty rozkaz Hoovera \* z wszystkimi organizacjami zbliżonymi do partii komunistycznej. Nawet cień podejrzeń z góry eliminował potencjalnego kandydata. Ponadto, podczas sławetnego urlopu, każdy członek zgrupowania miał swojego anioła-stoża, którego zadaniem było poznanie i dokładne zbadanie otoczenia kandydata, stosunków rodzinnych, sprawdzenie jego dyskrecji i wszelkich słabostek, itp.

Edgar J. Hoover – słynny Dyrektor FBI (Federal Bureau of Investigation).

Major Sydney był przekonany, że dokonał stuprocentowej czystki, a tu taka bomba! Jego śniada twarz z blizną na prawym policzku poszarzała ze złości. Leżące przed nim akta nie pozostawiały wątpliwości. Pod nazwiskiem Stana Hudsona ukrywa się morderca warunkowo zwolniony w 1940 roku z więzienia w Kingston w Kanadzie po odbyciu połowy kary. Z akt wynikało, że został skazany w 1934 roku za zabójstwo w afekcie swej narzeczonej, Clair Dubois.

Stan zgłosił się do wojska, gdy komisjom poborowym wystarczyło zwykle prawo jazdy za dowód tożsamości. Rutynowa kontrola rejestru skazanych w Stanach Zjednoczonych nic więc nie wykazała w jego wypadku, a pismo wysłane do RCMP \* dla potwierdzenia pracy i pobytu w Kanadzie, gdzieś zagubiono i dopiero teraz nadeszło.

\*RCMP – skrót od Royal Canadian Mounted Police. Policja Ogólnokanadyjska.

Major nie wiedział, co z tym fantem począć. Gdyby znał sprawę wcześniej, w czasie formowania jednostki, wtedy po prostu odrzuciłby kandydaturę Stana. Ukrywanie przeszłości nie było karalne. Teraz wszystko wyglądało inaczej. Jeszcze raz przejrzał teczkę Hudsona. Kartę bojową miał piękną. Jeden z pierwszych ochotników do służby za oceanem. Uczestnik siedemdziesięciu pięciu lotów bojowych. Wysoko ceniony przez zwierzchników, lubiany przez kolegów, znakomity strzelec. Dwukrotnie ranny i odznaczony za niezwykłą odwagę. Z drugiej strony rozkaz był wyraźny. Każdy członek 397 Dywizjonu, co do którego istnieją podejrzenia, że zataja swą przeszłość ma być natychmiast izolowany do końca wojny w odległej bazie na Alasce.

Kent Sidney czuł, że sam nie rozwiąże tego problemu. Powoli włożył akta do teczki i ruszył do pułkownika Tibbetsa. Zastał go w doskonałym humorze:

– No co tam, mój Sherlocku Holmesie – zażartował, widząc plik papierów w ręce majora. Wysłuchawszy jednak relacji, spoważniał i zapalił papierosa.

– Tak źle i tak niedobrze. Co więc robić? – zapytał wreszcie.

– Nie wiem, panie pułkowniku. Moim zdaniem grzech skazywać drugi raz za to samo i to takiego żołnierza, ale decyzja należy do pana. Ja ze swej strony zastosuję się do niej i uznaję za swoją – dokończył służbiście.

Rick wezwany do Tibbetsa był pewien, że chodzi o ostatni lot. Kiedy zobaczył

twarz dowódcy, zrozumiał, że to coś poważnego.

– Chcę się pana poradzić. Nie taję, że wiele od tego zależy. Proszę to przeczytać – Tibbets podał teczkę Stana.

Rick nie mógł wprost uwierzyć. W końcu latał ze Stanem ponad dwa lata, razem byli w największych opałach, częstokroć zawdzięczali sobie życie.

– Czy to na pewno prawda?

Pułkownik potwierdził skinieniem głowy.

– Nic nie rozumiem. Przecież Stan zgłosił się na ochotnika. Setki razy mógł zginąć, tu też go nie zapraszano. Odbył trzy tury na froncie i mógł się teraz dekować jako instruktor – argumentował z ogniem.

– To prawda. Rozumiem pańskie uczucia, kapitanie. Służba bardzo łączy. Niemniej dowody są niezbite. To samo imię i nazwisko. Miejsce i data urodzenia. Major Sydney twierdzi, że o pomyłce mowy być nie może...

Rick nie lubił tego gliniarza, a teraz opanowała go wściekłość:

– Gdyby pan major sam nadstawiał karku jak Stan...

– Major spełnia swój obowiązek – przerwał mu Tibbets – decyzję pozostawił mnie. Przyrzekł nawet rzecz zatuszować. Niech pan więc trzyma ten swój irlandzki temperament na wodzy. Zapewniam pana, że gdyby nie major Sydney, Stan zawędrowałby na Alaskę...

– Przepraszam – zmitygował się Rick. – Co zamierza pan zrobić, pułkowniku? – zapytał z niepokojem.

– Co zamierzam? Po pierwsze, chcę wiedzieć, czy weźmie pan odpowiedzialność za Hudsona. I to pod każdym względem...

– Oczywiście!

Tibbets zrobił pauzę i uśmiechnął się wymownie:

– W takim razie zakomunikuję sierżantowi Hudsonowi, że ze względu na jego bojową przeszłość gotów jestem przymknąć oko na tę sprawę. Ale lojalnie uprzedzam. Przyjmuję pańską gwarancję dosłownie, kapitanie. Jedno wykroczenie i obydwaj karnie zostaniecie przeniesieni...

– Tak jest, Sir. Dziękuję, panie pułkowniku. Zgadzam się. Czy mogę tę decyzję przekazać Stanowi?

– Nie sędzę – odparł po chwili Tibbets. – Czułby się skrępowany. Wasza załoga mogłaby utracić tę magiczną więź. Lepiej zachować dyskrecję. Sam mu to powiem. Papiery zostaną u mnie, ale po wojnie wyślę je do Kanady z adnotacją, że zaszła jakaś pomyłka – wyjaśnił już dużo pogodniej.

Nazajutrz Stan Hudson wezwany został do pułkownika Tibbetsa. Rick obserwując potem, jak Stan martwo przysłuchuje się ich rozmowom, wyobrażał sobie, jak piekielna męczarnia rozgrywa się teraz w duszy nieszczęsnego kolegi. Nie zdradził się jednak, że cokolwiek wie o jego strasznej tajemnicy.

## XI

Stale te same loty z Wendover do Salton Sea po "mlecznej drodze", jak ją nazywali, mocno ich znudziły.

– Wojna się skończy, a my w kółko będziemy rzucać, w kółko – narzekał jak zwykle skwaszony Glenn Borsuk. Nic więc dziwnego, że nagła wiadomość o wysłaniu części załóg na Kubę wzbudziła ogromną radość. Karnawał na gorącej wyspie bardzo im odpowiadał. Wielu zaopatrzyło się już w hiszpańskie słowniczki. Nawet ostatnio zgaszony Stan poweselał i rażno nucił "La Cucaracha".

– Byle nas tylko nie wydymali – wzdychał Glenn i z nadzieją macał swe mięśnie.

Aron był w siódmym niebie: – Tam są dupy! Cyces! Zol ich azoj gesund zajn! – cmokał ze zjawstwem i w ciemno nabył dwadzieścia paczek ekstra kondomów.

– Przezorny zawsze ubezpieczony. Prawdziwy dżentelmen nie da się zaskoczyć. Jeszcze będziecie u mnie pożyczać – pouczał niedowiarków. Zgromadził też niewiarygodną ilość lamp radiowych, oporników i kondensatorów. Twierdził, że będzie miał na to zbyt i co najmniej dwustuprocentowy zarobek. Skąd posiada te wiadomości, nikt nie wiedział.

Minęło już Boże Narodzenie i Nowy rok, a kolorowa wyspa wciąż pozostawała w sferze marzeń. Już całkiem zwątpili w jej istnienie, gdy Tibbets ogłosił skład dziesięciu załóg, które wraz z nim miały się udać na Kubę. Wśród nich była załoga "Poteen".

Wyruszyli w południe szóstego stycznia 1945 roku. Leciały również ekipy remontowo-naprawcze i specjalny oddział FBI majora Sydneya, który miał czuwać nad bezpieczeństwem całej operacji. Oficjalna wersja brzmiała, że przybywają tu w celu ochrony alianckich konwojów przed atakiem niemieckich łodzi podwodnych. Mieli dalej ściśle przestrzegać tajemnicy. Kod "Srebrnej tacy" na Kubie również obowiązywał.

Mimo kalendarzowej zimy kolorowa wyspa powitała ich wiosenną, ciepłą pogodą. Nie chciało się wierzyć, że parę dni temu było Boże Narodzenie. Na lotnisku Batisty oddalonym od Hawany o dziewięć mil czekały już samochody, które przewiozły ich do bazy. Tu spotkało ich pierwsze rozczarowanie. Tibbets nie zezwolił nawet na wypicie kawy, zanim się nie zakwaterują. Potrwało to do wieczora. Szturm na Hawanę trzeba było odłożyć. Dopiero nazajutrz dostali przepustki. Jak stado sępów runęli w miasto.

Aron dopadł telefonu. Miał tu kolegę z chederu, \* Lejzora, co wyjaśniało jego wiedzę o potrzebach tutejszego rynku. Lejzor okazał się wielce przydatny. Z miejsca wskazał adresy i knajpy. Szybko rozprowadził towar. Interes był wspaniały. Butelka rumu kosztowała na Kubie pięciokrotnie taniej, a gazowe pończochy, nie do zdobycia w Stanach, tu były za bezcen. Skorzystali więc z koniunktury i wkrótce byli krezusami. Najlepsze dziewczyny garnęły się do nich, a występ w klubie "Negrita" przyniósł im sławę.

Cheder – podstawowa szkoła religijna.

Był to popularny lokal nocny, do którego wszyscy chodzili. Śpiewała tu świetna



piosenkarka Consuela, a orkiestra grała bosko. Jediną wadą tego lokalu było to, że okupywali go marynarze. Władzę sprawował tu przystojny bosman, Michaels. Każdą ładniejszą dziewczynę brał jak swoją, a gdy partnerzy próbowali protestować, marynarze wyrzucali ich na zbity pysk. Byli wyłącznymi panami.

Kiedy więc lotnicy przyszli ze swymi dziewczynami, miłymi kreolkami Lucillą i Inez, które naraił im Lejzor, Michaels rzucił się do stolika, a gdy orkiestra zaczęła grać, ładniejszą Lucillę poprosił do tańca. Głupia dziewczyna się zgodziła. W ślad za Michaelsem wystartował inny marynarz, ale Inez okazała się bardziej wierna i dała mu kosza. Ponizony marynarz odszedł, klnąc pod nosem.

Tymczasem Michaels wciąż tańczył z Lucillą i coraz mocniej ją obłapywał. Szczególnie Glenna to denerwowało. Postanowił mu dołożyć.

– Chwileczkę. Nie na papes-chapes – powstrzymał go Aron. – Zaraz załatwimy szmondaka...

Kaplanowicz zaprosił do tańca Inez. Na parkiecie podsunął się do Michaelsa przytulonego namiętnie w argentyńskim tangu. Wystarczył jeden ruch brzytwy w rękę syna "mężczyźnianego" krawca. Spodnie bosmana elegancko rozeszły się wzdłuż szwu. Z krojeniem materiału Aron miał do czynienia od dziecka.

Zapaliły się światła. Biel gatek błysnęła spod spodni bohaterskiego marynarza. Michaels dalej przechadzał się między stolikami krokiem lwa salonowego. Ktoś pierwszy się zaśmiał. Zaczęto go sobie pokazywać palcami. Połapawszy się w czym rzecz, Michaels szybko domyślił się komu to zawdzięcza. Ściągając spodnie pośladkami i dyskretnie zasłaniając ręką gatki, podszedł do ich stolika.

– Który to? – rzucił groźnie.

– Musi jaki pedał – odparł Aron. – Dla łatwiejszego dostępu do twej dupy. Podobasz się...

Tej hucpy było za wiele. Bosman poderwał stół i rzucił się na Arona. Byłby go niechybnie zmiażdżył, ale Stan i Glenn wkroczyli do akcji.

Bitwa między flotą i lotnictwem rozgorzała na dobre. Krzesła fruwały w powietrze. Orkiestra urwała, piosenkarka uciekła z estrady, kelnerzy w popłochu wycofali się pod ściany.

Glenn szedł jak burza i powalał przeciwników jak snopy. Nie darmo był zawodowym bokserem.

Dzielnie sekundował mu Stan Hudson, który niepomny wiszącego nad nim wyroku, parł do przodu niczym czołg. Rozbitą flaszkę zmienił w działko pokładowe. Pedantyczny Regis odżałował mundur i walił, gdzie mógł. Bojowe okrzyki Mario: – Avanti popolo (Naprzód ludy)! – słyhać było na całej sali.

Pierwszą ofiarą bitwy był Aron. Strzelony butelką szampana legł ciężko pod ścianą. Lucilla ofiarnie przedarła się przez front i z czułością ratowała jego zakrwawiony przedziałek. Aron z troską obmacywał swoją głowę:

– Sygit. Kiepełe okay – stwierdził. – I ten "Puryc" tyż – wskazał, znokautowanego przez Glenna, Michaela.

Z chwilą przybycia MP i policji kubańskiej było już po wszystkim. Pole bitwy należało do nich. Niestety zwycięstwo nie zdało się na nic. Obydwie walczące strony

powędrowały do więzienia. O ile jednak marynarze dostali dwa tygodnie koszarniaka, o tyle oni już następnego dnia brylowali w "Negricie". Nie zwycięstwo więc nad flotą przyniosło im sławę, ale właśnie ów bezkarny powrót. Szybko zyskali opinię nietykalnych.

– Nie warto ich ruszać – powtarzano. – Nas wsadzą, a oni się nieźle zabawią naszym kosztem...

Dyskretni i skromni nikomu nie zdradzali, że to "Srebrna taca" czyni takie cuda.

Bob z Rickiem nie brali udziału w "Bitwie o Negritę". Szczęśliwy los sprawił, iż zaistniała możliwość spotkania się z żonami. Stryj Boba, Bramwell Fulton, był ambasadorem w Hawanie. Dzięki temu skontaktowali się z Betty i Kate, które natychmiast oświadczyły, iż uczynią wszystko, aby przyjechać. Wkrótce otrzymali depeszę: "Przyjeżdżamy. Niedziela. Całujemy. Betty. Kate".

Gdy wreszcie nadeszła niedziela, Tibbets wyznaczył dodatkowy lot. Wściekłość ich nie miała granic. Przeklinali Tibbetsa i te bezsensowne ćwiczenia z bombą. Kiedy Betty i Kate schodziły ze statku, oni byli w powietrzu. Liczyli, że nazajutrz uda im się wyrwać z obozu. Co prawda, tego dnia nie wydawano przepustek, ale dzięki pomysłom i kontaktom Arona mogli opuścić bazę jako kucharze. Wóz dostawczy podrzucił ich pod hotel. W pośpiechu zrzucili z siebie kucharskie fartuchy i zdyszani wbiegli do hallu. Żony już czekały. Rzucili się sobie w ramiona. Szybko pobiegli do swoich pokoi.

Betty wyjęła z walizki prezenty, ale Rick nie chciał ich oglądać. Mówiła też, że ma dla niego nowinę, ale żadna nowina nie była teraz ważna. Jak w transie szukał znajomych miejsc i ulegał sile jej ciała. Nie istniało już nic. Tylko ona i radość, że znów może z nią być. Kiedy zmęczony wtulił się w jej piersi, usłyszał, że coś mówi. Z wolna uniósł głowę.

– Nie jesteś ciekaw?

– Jestem – powtórzył mechanicznie i sięgnął po szklanę rumu. Zapalił papierosa i podał go Betty. Odmówiła. Łagodnie wzięła go za dłoń i przyciągnęła do swojej twarzy. Delikatnie przesunęła po policzku i zakończyła krótkim pocałunkiem.

– Jeszcze nie wiesz?

– No nie – przyznał ze wstydem.

– Jestem w ciąży.

Dopiero teraz skojarzył. Spojrzał na pełną szklanę rumu i dymiący papieros, który Betty wymownie wsadziła mu do ust.

– Ależ ze mnie kretyn! Wybacz! – zaśmiał się. Przez chwilę jakby się wahał, nagle wzięła ją na ręce. Z radości podrzucił w górę.

– Uważaj! Nie jestem sama – ostrzegła go.

Wtedy opamiętał się i ostrożnie posadził w fotelu. Położył głowę na jej kolanach. W milczeniu błądziła palcami po jego skroniach, potem z czułością dotknęła włosów. Pogłaskała spokojnie z macierzyńską prostotą.

– To będzie syn – powiedziała. – Nazwę go Rick. Jak ciebie. Richard O'Sullivan Junior... Gwałtownie pocałowała go w usta.

\*

\* \*

Bob był tak oszołomiony spotkaniem z Kate, że na śmierć zapomniał o prezentach, które dla niej przywiózł. Dopiero teraz, gdy weszła do łazienki i przystąpiła do kreślenia czarnych szwów na swych bajecznie zgrabnych łydkach (wybierali się na kolację), przypomniał sobie o torbie rzuconej w kąt pokoju. Szybko wyjął z niej prezent.

– Co to jest? – spytała z zaciekawiona.

– Otwórz. Zobaczysz.

Kiedy rozerwała torebkę, ze środka wysypały się paczki pończoch.

– Jezu! – zapiszczała z radości. Ostrożnie wsunęła dłoń w gazowy tiul, oglądała pod światło z nabożną czcią.

– Jak z mgiełki. "Keysery". Gdzieś ty je dostał?

– Zerwałem z palmy – zażartował.

– Szczęśliwa wyspa, na której rosną pończochowe drzewa. Nie muszę malować szwów – z dumą zaczęła wciągać pończochy na nogi. Z triumfem przejrzała się w lustrze:

– Boże! Jak dawno nie chodziłam w czymś takim – westchnęła.

W "Negricie" Aron wyprawił bankiet na ich cześć. Gdy weszli, orkiestra zagrała marsza. Wszystko było przygotowane. Usiedli przy dużym stole. Aron z hawańskim cygarem wysłuchiwał łaskawie kelnera, który recytował dania specjalnie polecane przez szefa kuchni.

– Dla mnie ma być koszerne. Pamiętaj – przypomniał mu dyskretnie. Kelner był gotów podać samego rabina na tacy, byle tylko dogodzić temu hojnemu sierżantowi. Kaplanowicz zapowiedział mu, że przyjęcie ma być tip-top. Lepsze niż w hotelu "Waldorf-Astoria". Kelner zapalił świece i nastrój był nie gorszy niż na weselu. Barman nalał wino. Przyniesiono pierwsze zakąski. Za chwilę na stole zjawił się wielki "Negrita homar" – specjalit~e de la maisons szefa kuchni. Jego popisowy numer.

Trio gitarzystów podeszło do stolika i głęboko patrząc w oczy fundatorowi, zaczęło śpiewać hiszpańskie piosenki. Niski grubas w szerokim kapeluszu z rondem, o śniadej twarzy starej Indianki zawodził sentymentalnie dziewczęcym głosem. Co i raz przytupywał dziarsko, nogą akcentując słynne "o-le"! Gdy skończył, Aron wsunął mu banknot pańskim gestem.

– Sygit, senores. Grosartik (fantastycznie, cudownie). Muchas gracias...

Orkiestra zagrała słynne "La cumparsita" i nie czekając na deser, zaprosili swe żony do tańca. Grzech byłoby przepuścić takie tango. Consuela śpiewała je bosko. Czując każdy krok Kate na swym sercu, muskając wargami jej puszyste włosy, Bob myślał, że warto się było żenić. Żadna z tych ognistych Kubanek nie mogła równać się z jego żoną. Żadna też nie tańczyła tak jak ona.

Aronowi na bankiecie towarzyszył jego przyjaciel Lejzor, choć nie przywiodła go

rozrywka. Co chwila podchodzili do niego jacyś dziwni faceci i tajemniczo szeptali coś do ucha. Lejzor tłumaczył to z hiszpańskiego na jidisz Aronowi. Kaplanowicz w spokoju wysłuchiwał, po czym najczęściej kwitował to krótko:

– Żaden cymes. Niech zjeżdża. Mamy taniej...

Lejzor znów tłumaczył to na hiszpański i dziwny facet ulatniał się dyskretnie. Mario śmiał się, że Aron jest szefem sycylijskiej mafii.

– Nasz mafiozo. Z Lower East Side – żartował.

Nie było to takie dalekie od prawdy.

W pewnej chwili Aron przeprosił, uregulował rachunek i wyszedł z Lejzorem i Glennem. Przed restauracją stała ciężarówka gotowa do startu. Szybko sprawdzili zawartość skrzyni. Pięćset skrzynek najlepszego białego rumu ukrytych było pod wojskową plandeką. Aron pożegnał się z Lejzorem i usiadł obok szofera. Ostro ruszyli z miejsca.

Przed lotniskiem Batisty wartownik zagroził im drogę. Był to zupełnie nowy chłopak, nie znali go. Po sprawdzeniu przepustek, które były w absolutnym porządku, bezdusznym tonem służbisty zwrócił się do Arona:

– Otwórzcie tył, sierżancie...

Tylko tego brakowało. Aron szybko ocenił sytuację: – Łapówka nie wchodzi w grę, "Srebrna taca" też. Pozostaje tylko hucpa – zadecydował. Nie wysiadając z szoferki z góry kiwnął na żołnierza palcem:

– Pozwólcie bliżej, kapralu. Wasze nazwisko i numer służbowy, proszę – spytał groźnie, sięgając po notes. Żołnierz, nie spodziewając się takiej reakcji, zawahał się:

– Chciałem tylko sprawdzić zgodność ładunku z deklaracją – rzekł już mniej pewnie.

– Sprawdzić?! – ryknął na niego Aron – To sprawdzajcie! Do woli! Tylko uprzedzam. To jest materiał wybuchowy! Jak zaczniecie gmerać, to was na Sądzie Ostatecznym nie pozbierają. Zrozumiano?!

Żołnierz lekko cofnął się od klapy. Aron wykorzystał ten moment.

– Dawajcie szlaban! Raz, dwa, trzy! – natarł na niego.

Wartownik posłusznie wykonał rozkaz. Bez dalszych przeszkód wjechali na lotnisko. Glenn otarł spocone czoło:

– Ale masz pysk. Byłem pewien, że leżymy...

– Przez takiego cymbała?! Żartujesz. A od czego kiepele, kolego...

Glenn patrzył na niego z podziwem.

Zblatowana załoga Dakoty wybiegła im na spotkanie. Wszystko było przygotowane. Błyskawicznie przystąpili do załadunku. Przerzucając skrzynki z rąk do rąk, szybko zapełnili luk samolotu. Każdy taki nalot na Stany przynosił im majątek. Pięćset procent zysku, na jednej butelce.

– To jest bomba, kurwa – mrucał zadowolony Glenn. – A nie to gówno, z którym w kółko latamy...

– To prawda – przyznał Aron. – Poszczególny człowiek jest strasznie głupi. A ludzie jako tacy też – westchnął samokrytycznie.

Szczeniwy pobyt na Kubie powoli się kończył. Trzeciego lutego Tibbets zarządził odwrót. Znów lecieli do Wendover. Z żalem opuszczali wyspę.

Rick z Bobem ciągle myśleli o tych paru dniach szczęścia rodzinnego, za które drogo im przyszło zapłacić. Ludzie majora Sydneya szybko odkryli ich pobyt w hotelu. Major Forebee pod nieobecność Tibbetsa wezwał ich do raportu. Gotowi byli jednak zapłacić każdą cenę, byle tylko odprowadzić Betty i Kate na statek. Nie wiedzieli, kiedy je znów zobaczą. Forebee udzielił im jedynie ostrej nagany.

W nienajlepszych nastrojach wracała reszta załogi. Chociaż luk pełen był towaru, przeważał smutek. Aron na pociechę powiesił sobie majtki-figi Lucilli nad swoim siedzeniem. Tylko ten order podwiązki został mu po szalonych nocach w Hawanie.

– Kolejne narzeczone płaczą po mnie – smętnie poprawił przedziałek. – Zgubią mnie te siksy, cholera – westchnął z żalem.

W najgorszym humorze wracał Mario Lombardi. Twarz miał dziwnie skupioną, a wyraz gorzki. Nic dziwnego. Prezent, który wywoził z Kuby nie mógł cieszyć. Mario złapał trypra. Rwący ból w kroczu nie pozostawiał co do tego wątpliwości.

– Że też mnie musiało dorwać – pomstował na los. – A taka była uczciwa. Katoliczka. Zachciało mi się mulatki, vamaona! – przeklinał własną naiwność. – Ale z drugiej strony dobrze, że nie syf – pocieszał się. – Dopiero miałbym pamiętkę!

Słaba to jednak była pociecha.

– Santa Madonna! Porqua la misseria (co za nieszczęście) – bił się skruszony w piersi. – Każde szaleństwo kończy się grzechem, ale czy on musi być taki bolesny? – pytał nabożnym wzrokiem.

## XII

Na początku marca Rick wezwany został do pułkownika Tibbetsa, który oświadczył mu, że wkrótce przenoszą się na Tinian. \* Pułkownik rozłożył mapę i wskazał niedużą wyspę na południowym skraju archipelagu Mariana ciągnącym się łagodnym łukiem na przestrzeni czterystu dwudziestu pięciu mil wzdłuż Pacyfiku.

Tinian – wyspa na Pacyfiku zdobyta przez Amerykanów w lipcu 1944 roku, i od tego czasu, obok wyspy Guam, stała się główną bazą wypadową dla lotnictwa bombowego w nalotach na Japonię.

– Nareszcie zaczyna się prawdziwa wojna – pomyślał Rick.

Miał serdecznie dość tej nudy w Wendover.

Ich zadaniem wraz z dwiema innymi załogami miało być fotograficzne rozpoznanie wybranych celów, które, jak poinformował go Tibbets, zostały dla nich "zarezerwowane". Pozostałe samoloty Dywizjonu 393, jak i cała reszta 519 grupy specjalnej, w której skład wchodził, miały dołączyć do nich później. Dokładnie za dwa dni opuszczą Wendover. Czasu więc było niewiele.

Rozwinęli gorączkową działalność. Aron do inwazji Tinianu podchodził równie

poważnie, jak do podboju Kuby. Pół luku wypełnił swymi towarami.

Po blisko trzydniowym locie i pokonaniu sześciu tysięcy mil jako pierwsi ze swego zgrupowania ujrzeli koralową wyspę. Jej podłużny kształt odbijał się od modrej wody oceanu. Wyraźnie widać było nitki dróg i pasy lotnisk przecinające zielone morze dżungli. Gdy zeszli niżej, skalisty, poszarpany brzeg z pojedynczymi palmami zarysował się przed ich oczyma.

Głos z wieży skierował ich na środkowy pas Północnego Pola lotniska. Wkrótce "Poteen" miękko dotknęła ziemi. Szybko przewieziono ich do bazy. Znow zobaczyli wysoki kolczasty płot i tablice z napisami ostrzegawczymi. Przyzwyczaili się już do tego, że są najbardziej strzeżoną jednostką w amerykańskiej armii i nie robiło to na nich wrażenia. Podobne chaty Quonseta z falistej blachy wzbudzały swojskie uczucia. Zupełnie jak w Wendover, nawet szczura w baraku nie zabrakło.

Stan Hudson ucieszył się:

– Wiedziałem po co biorę kij basebalowy. Będzie z kim walczyć...

Upał panował niemiłosierny. Nawet w szortach i podkoszulkach zlni byli potem.

Pewnym przyjemnym zaskoczeniem były dla nich znajome nazwy ulic. Odnaleźli tu Broadway, 42 Street, West End i Riverside Drive. Nawet Chinatown też był. Tinian bardzo przypominał swym kształtem Manhattan, a zwycięzcy Amerykanie, gdy tylko go zajęli, nadali ulicom nazwy znanych nowojorskich alei. Aron żałował tylko, że nie uczczono jego Lower East Side.

\* \* \*

Porucznik Saburo Takai i jego dwaj towarzysze, kapral Eizaburo Sasuki i szeregowiec Yuichi Shimada, przyglądali się nowemu i dziwnemu podobozowi, otoczonemu wysokim kolczastym drutem. Mogło się tam pomieścić co najmniej dwadzieścia superfortec. O ile jednak we wszystkich innych częściach Północnego Pola samoloty ustawione były skrzydło w skrzydło – tu ziało pustką. Dopiero trzynastego marca po południu wprowadzono tam trzy B-29, które różniły się nieco od innych samolotów. Obserwując je przez lornetkę, porucznik Takai zauważył, że nie miały przezroczystych kopuł ani na bokach, ani na górze kadłuba.

Saburo Takai miał niczym nie przesłonięty widok na całe lotnisko. Stał na zboczu góry Lasso przed swoją kryjówką – głęboką grotą z doskonale zamaskowanym wejściem. Czasami Amerykanie dosłownie strzäsali popiół z papierosów na ich głowy, nie domyślając się, co kryje się pod spodem.

Ukrywali się tak od pierwszego sierpnia ubiegłego roku, ostatni z garstki ocalałych z samobójczego ataku Banzai. Ich dowódca, pułkownik 50 Regimentu Piechoty – Kaishi Ogata – popełnił harakiri. Przed śmiercią wydał porucznikowi rozkaz, aby dotrwał do kontrataku Armii Imperium albo drogo sprzedał swoje życie. Ten rozkaz był święty. Odwołać go mógł tylko viceadmirał Kakuji Lakuda.

Polowano na nich jak na dzikie zwierzęta. Nie było dnia bez nagonki. Żywili się korzeniami i odpadkami z kuchni wojsk amerykańskich. Dla Saburo Takai, wychowanego w kodeksie Bushido, poddanie się jednak nie wchodziło w grę. Żał mu było, co prawda, młodej żony Keiko i synka Tomoho, którego znał tylko ze zdjęcia,

przysłanego w liście ostatnim samolotem z Hiroszimy. Ale rozkaz był rozkazem.

Tajemniczy podobóz zaintrygował go bardzo. Był dla Amerykanów na pewno ważny. Razem uznali, że sam Bóg dał im szansę zginąć śmiercią samuraja, zadając wrogowi straty większe niż własne życie. Mieli wystarczającą ilość dynamitu, aby zamienić te trzy superfortece w bezwartościową kupę szmelcu. Postanowili tej nocy, mimo pełni księżyca, przekraść się przez druty i wysadzić samoloty. Każdy miał swoją superfortecę.

Po zapadnięciu zmroku Barney Maxwell wyszedł przed barak, spojrzął na mglistosiwe niebo wypełnione srebrem księżyca. Przeciągnął się leniwie, z rozkoszą odetchnął trochę chłodniejszym powietrzem. Aron, grający w karty, wysłał go po skrzynkę rumu. Grzdyl wolnym krokiem poszedł w kierunku "Poteen".

Nagle ciszę przerwał krótki krzyk. Był to głos Barneya.

Pierwszy wyskoczył z baraku Bob. Głos dobiegał od strony "Poteen".

Bob puścił się sprintem. W blasku księżyca ujrzał dwa kotłujące się cienie. Jeden z nich wyciągnął sztylet. Bob błyskawicznie odbił go ramieniem. Barney zręcznie wywinął się spod napastnika. W tym momencie nadbiegła reszta załogi. Obezwładnili Japończyka. Przyduszony Barney ciężko łąpał powietrze:

– Pierdoleni strażnicy. Obiecywali, że mysz się nie prześliznie. I proszę – wysapał wściekle. Wyraźnie był zszokowany. – Gdyby nie Bob...

Dwa potężne wybuchy przerwały jego słowa. To kapral Eizaburo Sasuki i szeregowiec Yuichi Shimada spełnili swój ostatni obowiązek wobec cesarza.

Pierwszy oprzytomniał Stan, który klęczał nad leżącym Japończykiem:

– Jezus Maria! Ich jest tu więcej – wykrzyknął.

Teraz ożył cały obóz. Rozległo się wycie syren wozów przeciwpożarowych. Nadjechał jeep, z którego wyskoczyło czterech żandarmów. Oświetlili ich latarkami.

– Co tu się stało? – zapytał dowódca patrolu?

– Mysz prześliznęła się przez druty – ryknął na niego Barney, wskazując leżącego Japończyka.

Starszy żandarm odpiął kaburę pistoletu:

– To ten żółtek – wycedził przez zęby.

Porucznik Takai był gotów na śmierć. Żałował tylko, że tak tanio sprzedaje swoje życie.

Rick skoczył w kierunku żandarma:

– To jeniec! Zgodnie z Konwencją Genewską...

– Mam w dupie pańską konwencję – przerwał mu dowódca patrolu. – Przeklęty zezol dwa samoloty wysadził w powietrze – ponownie podniósł pistolet.

– Pójdiesz pod sąd wojenny! – Rick stanął między żandarmem a jeńcem. – Dostyc trupów w tej wojnie...

Jego determinacja i fakt, że wokół zgromadziło się sporo świadków, odebrały

pewność sierzantowi. Niechętnie schował pistolet do kabury:

– On by się z panem tak nie cackał – dodał, by wyjść na swoje. Pchnął ostro jeńca w kierunku samochodu.

Saburo Takai nic nie rozumiał z tej rozmowy, wiedział jednak, że temu obcemu oficerowi zawdzięcza życie. W tej chwili pojął, że pomimo kodeksu Bushido chce żyć. Przyjrzał się Amerykaninowi.

Rick tymczasem upewniwszy się, że jeńcowi nic nie grozi, wrócił do kolegów.

– Na jeden dzień wystarczy – ciągnął Barney, wciąż wstrząśnięty tym, co się stało. Gdyby nie Bob...

– Daj spokój. Zrobiłbyś to samo – zlekceważył to Fulton.

– Aleś zasuwał, odsadziłeś się nieźle – pochwalił go Rick.

W baraku Aron stwierdził filozoficznie:

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – jak mówiła ciocia Ryfka. Po rum sam będę chodził. Czasy takie, że nikomu ufać nie można...

To rozładowało nieco sytuację.

Nazajutrz mieli wyznaczony pierwszy lot operacyjny nad Japonię. Ich zadaniem było dokładne sfotografowanie dolotu i punktu docelowego – Niigaty, jednego z czterech miast wybranych do zrzućenia tej ich specjalnej bomby.

### XIII

Napięcie ustąpiło. Zrozumieli, że cudem wyszli z tej katastrofy i nic im nie grozi. Są na ziemi sojuszników. Rosjanie otoczyli ich zwartym kołem. Z ciekawością oglądali meawestki i ekwipunek. Obmacywali materiał. Widać było, że z czymś takim spotkali się pierwszy raz. Sami mieli zniszczone bluzy i worki związane sznurkiem. Brudne, zakurzone twarze. Palili skręty z gazety. Kiedy Amerykanie pokazali im swoje camele, rzucili się na nie łapczywie. Z chęcią brali po parę paczek.

– Isz ich, amierikancow! – klęli z podziwem, zaciągając się z lubością.

– Amerykański Studebacker – Stan wskazał na samochód.

– Nie. Sowiecki Zis – odparł kierowca z dumą.

Twarz miał umorusaną. Musiał grzebać w silniku. Rick próbował wytłumaczyć Rosjanom, że zostali trafieni i zabrakło im paliwa.

– Nam nigdy nie brakuje – rzekł kierowca i wszedł do szoferki. Za chwilę wyszedł, trzymając w ręku kanister. Gestem pokazał, że chce im nalać.

– Benzyną nas raczą? – zaniepokoił się Regis.

Kierowca napełnił im kubki i z rozmachem wypił pierwszy:

– Wodka! Matuszka! – chuchnął zachęcająco i podsunął cuchnący płyn.

Rzeczywiście przypominał bardziej paliwo niż trunek. Nie wypadało jednak



odmówić. Żołnierze wznosili braterskie okrzyki i zapraszali serdecznie.

– Kto komandir? Wy? – zwrócił się do Ricka młody lejtnant o wesołych, niebieskich oczach.

– Ja – odparł Rick.

– Dawaj. Zaznajomić się. Fiodor Dymitrycz Wiazin. Fiedia.

– Kapitan Richard O'Sullivan. Rick – zaprezentował swego dowódcę Aron, który dotąd nie wrywał się ze swoim rosyjskim, ale widząc, że nie sposób się dogadać, wystąpił w roli tłumacza.

– Ty nasz? – zdziwił się Wiazin.

– Nie. Swój – odparł ostrożnie Aron, nie zdradzając bliżej swego życiorysu.

– Gdzie my jesteśmy? – zapytał.

– U swoich – powtórzył za nim lejtnant i objął przyjaźnie. Zaśmiał się z udanego dowcipu.

– Ale dokładniej – dopytywał się Kaplanowicz.

– Nieważne. U nas kraj wielki. Nie bój się. Wy nie szpilki, my nie stóg siana. Nie zginiecie – zapewnił go.

Aron bardzo nie lubił takich odpowiedzi. "Coś nie bardzo to wszystko koszerne" – pomyślał. Z obawą spojrzął na lekko pijanych żołnierzy:

– To ja nie mogłem już spać gdzie indziej? – przeklinał swój pech. – Tylko w szczęśliwej krainie Wujka Joe? Chociaż w Japonii wesoło nie byłoby też – pocieszył się, uśmiechając do nowych przyjaciół.

Rick poprosił o pomoc dla Boba.

Na szczęście wśród Rosjan był lekarz, który obejrzał ranę. Okazał się zwykłym sanitariuszem, ale lejtnant zapewniał, że ich Innokientij lepszy niż profesor. Innokientij znalazł w nodze Boba parę odłamków i jeden z nich postanowił usunąć na miejscu:

– Rebiata! – zakasał rękawy – Pietia! – krzyknął na szofera jak na asystenta i nadstawił ręce.

Pietia wlał mu bimbru na dłonie. "Profesor" część wypił, ostatnim haustem opryskał chirurgiczne szczytce jak z rozpylacza. Wytarł ręce o brudną bluzę i przystąpił do operacji. Trzech Rosjan trzymało Boba. Rick przeraził się tą dezynfekcją, ale było już za późno. Sanitariusz wprawnym ruchem szarpnął, Bob zawył i miękko opadł na ziemię.

– Wsio – stwierdził chirurg i z dumą pokazał zakrwawiony odłamek. – Paszła won swołocz! – cisnął go lekko, soczystym splunięciem podkreślając swoją pogardę.

Bob po tym zabiegu był bliski omdlenia. Strużki potu ściekały mu po twarzy.

– Mołodiec! – pochwalili go wstający z klęczek Rosjanie. Zadawalony z siebie Innokientij poprosił w nagrodę o dodatkową paczkę cameli. Zdrowo łyknął z manierki.

– Wszystko będzie w porządku – uspokoił Ricka, poprawiając bandaż na nodze Boba.

Tradycyjnie pozamieniali się czapkami. Barney zrobił pamiątkową fotografię. Jego Kodak wzbudził sensację. Lejtnant spytał, czy może zrobić zdjęcie. Z podziwem obracał aparat w rękach:

– Wot sztuczka – powtarzał w zachwycie.

Rick przynaglał go. Chciał jak najszybciej odwiedzić Boba do szpitala.

– Mamy czas, miły – uspokajał go lejtnant. – Która godzina? – poządlawie spojrział na zegarek.

Aron w mig się domyślił, że nie o czas tu chodzi. Wyjaśnił to kolegom. Rick bez słowa zdjął swój zegarek i wręczył lejtnantowi. Ten nabożnie przytknął go do ucha, sprawdził, czy cyka. Ze szczęścia objął Ricka.

– Cóż za wspaniały przykład przyjaźni radziecko-amerykańskiej – pomyślał Aron. – Nawet ci durnie z Towarzystwa Pomocy Rosji byłiby wzruszeni...

Po tym akcie braterstwa poszło już jak w zegarku. Zaraz znalazły się nosze, na których ostrożnie ułożono Boba i przeniesiono na ciężarówkę. Rick chciał zabezpieczyć samolot, ale Rosjanie zapewnili, że o wszystko mogą być spokojni. Zrobią to we własnym zakresie. Wyjęli więc tylko najbardziej niezbędne rzeczy. Aron spróbował jeszcze raz połączyć się z łodzią podwodną, ale Wiazin przekonał go, że będzie to mógł zrobić dużo lepiej z ich radiostacji. Zaniechał więc prób. Zajęli miejsca w ciężarówce. Rick usiadł na skrzyni między Glennem a noszami Boba. Patrząc na znikający kadłub samolotu, czuł się trochę jak na pogrzebie.

Rosjanie jechali ze śpiewem. Innokientij okazał się nie tylko "profesorem", ale i głównym zapiewająką. Porwani rytmem czastuszek przytupywali Rosjanom ochoczo. Nie bardzo rozumieli ich treść, a gdy pytali Arona, o czym oni śpiewają, ten wyjaśniał krótko:

– Wiadomo. O dupach i towarzyszu Stalinie...

Wkrótce wyjechali z leśnego duktu. Minęli pierwsze chłopskie wozy na drewnianych kołach. Ciągnęły je chude konie albo krowy, które zamiast chomał miały powyginane w pałak grube draży. Pytali co to jest i Aron wytłumaczył im, że to dziwne chomał nazywa się duga. Przed chatami stały baby w chustach i machały do nich przyjaźnie. Mężczyzn prawie nie było, tylko czasem jakiś staruch o bosych stopach lub w łapciach z łyka grzał się na przyzbie. Przed jedną z chat młoda dziewczyna z długim warkoczem dźwigała dwa wiadra na ciężkim koromyśle. Uśmiechała się do nich zalotnie. Obok stała staruszka otoczona stadem obdartych dzieci. Jeden z żołnierzy cisnął jej bochenek czarnego chleba:

– Na, babuszka! – krzyknął i przesłał całus dziewczynie.

Dzieci podniosły chleb z ziemi i posłusznie oddały babci. Staruszka skłoniła się i uczyniła szeroki znak krzyża w powietrzu. Rickowi przypomniała się jego babcia Rosetta. Odwrócił głowę i spojrział na przyjaciela. Bob leżał z zamkniętymi oczami i słuchał rosyjskich piosenek. Widać było, że ten śpiew przynosi mu ulgę. Rana musiała mu bardzo dokuczać. Miał też chyba gorączkę. Rick postanowił zmierzyć mu puls. Podwinął więc rękaw bluzy Boba, by wziąć jego zegarek. Ujrzał jasny ślad na skórze. Zegarek zniknął jak kamfora. "Operacja" któregoś z asystentów "profesora".

Nie napawało to optymizmem.

Zatrzymali się w mieście Tietjucze, gdzie stacjonował oddział porucznika Wiazina. Jego dowódca, pułkownik Bubnow, przyjął ich ze wszystkimi należnymi honorami. Boba kazał umieścić w lazarecie, a im przydzielił najlepsze kwatery. Uprzednio powyrzucał stamtąd własnych oficerów. Po doświadczeniu z Innokientim Rick postanowił towarzyszyć Bobowi i sprawdzić warunki sanitarne szpitala. Aron i Barney poszli razem z nim. Aron w charakterze tłumacza, a Barney po przygodzie na Tinianie uznał, że nie może Boba opuścić. Kierownik punktu sanitarnego, młody lekarz, obejrzał ranę, i natychmiast wziął rannego na stół. Tym razem już pod narkozą usunął wszystkie odłamki i oczyścił ranę. Nastawił też ruszoną kość. Zapewnił ich, że jeśli nic nie zajdzie, to porucznik Fulton będzie mógł skakać jak koza. Potrzebny mu tylko spokój. Bob spał. Nie byli mu teraz potrzebni. Rick chciał pokazać swój bark lekarzowi, ale uznał, że rana jest tak błaha, iż nie ma co jej ruszać.

Po powrocie do koszar dowódca pułku i jego świta postanowili wydać "wieczorinkę" na ich cześć.

– Przyjęcie przygotował nie nasz kucharz, durak i cham – jak określił go pułkownik Bubnow. – Ale prawdziwa dama, była kupiecka córka, Katkowa, która mówi po francusku i gra na fortepianie. Jak Marfa Kiriłowna zrobi filipowskie pierożki – to palce lizać! Żołądek sam się śmieje – oznajmił z uznaniem. – Czasem niedobitki burżuazji też się przydają – dodał już dużo ciszej.

Mimo chęci ugoszczenia "amierikanców" z całej słowiańskiej duszy, na stole poza nią jedną niewiele było. Niektórych artykułów brakowało, jak choćby masła czy cukru, co ich mocno zdziwiło. Rosjanie tłumaczyli to trudnościami wojny. Przegryzali wódkę razowym chlebem i czerecznią, \* albo po prostu solili i wączali suchą kromkę po spełnieniu toastu. To im całkowicie wystarczało. Natomiast pili pełnymi szklankami. Nawet Rick wzrosły w twardej szkole "Poteen" z trudem dotrzymywał im kroku. Z lękiem patrzył na czerwone twarze kolegów w obawie, że nie wszyscy dotrwią do końca.

Czerecznia – dziki czosnek rosnący najczęściej w tajdze.

Gdy na stole pojawił się barszcz, rzucili się na niego z prawdziwą pasją. Od wyjazdu z Tinianu nie mieli nic gorącego w ustach. Z wdzięcznością poprosili o dokładkę. Marfa Kiriłowna dolewała im z macierzyńskim uśmiechem, wtrącając po francusku:

– Je vous en prie, messieurs. Serves Vous (Proszę panowie. Częstujcie się)!

Aron, chcąc podtrzymać ten Wersal, zapewniał ją swą dziwną francuszczyzną:

– Madame. Votre borszcz jest cyces. Prima sort!

Na co Marfa Kiriłowna kłaniała się i odpowiadała godnie:

– Merci, daragoj, merci. Avec plaisir.

Po skończonym posiłku Rick zapytał pułkownika o obiecany kontakt z amerykańską misją wojskową.

– Wszystko w rękach naczalstwa – rozłożył ręce Bubnow. – Kazali czekać, czekajmy...

– Ale sam wasz lekarz orzekł, że ranny musi być natychmiast przewieziony do

szpitala – zblefował Rick.

– Rozumiem, miły – współczuł mu szczerze – ale cóż ja? Ja zwykły żołnierz. Frontownik. Wierchuszka zadecyduje. Wie o was. Na pewno każe przewieźć do Władywostoku, albo i dalej. A tam i szpitale, i lekarze – zapewniał go dumnie.

Kiedy już dobrze popili, pułkownik zniżył głos i spytał ostrożnie, czy to prawda, że w Ameryce w każdym sklepie można dostać kondomy.

– Nie w każdym, ale prawie – odparł Aron.

– Wot kultura – westchnął z uznaniem pułkownik.

Widząc ten jego głód kulturalny na twarzy, Aron postanowił odpalić mu jedną paczkę ze swego żelaznego zapasu. Bubnow nie posiadał się ze szczęścia. Z radości chciał odznaczyć Arona własnym medalem z wojny ojczyźnianej i już zrywał go z piersi, gdy trzeźwiejszy od niego adiutant szepnął mu surowo:

– To za Stalingrad, Stiepan Wasilicz. Towarzysz Stalin nie byłby rad...

Na dźwięk tego nazwiska pułkownik stężał i dał spokój. Zwierzył się tylko, że tu w mieście ma cud Cyganeczkę, którą chciałby zaatakować, ale z gołymi rękami strach.

– A z tą bronią z "lend-leasu" \* inaczej – zaśmiał się zwycięsko.

Lend-lease – dosłownie: "pożyczka-wynajem". Nazwa ustawy uchwalonej przez Kongres Stanów Zjednoczonych w grudniu 1940 roku pod naciskiem prezydenta Roosevelta – umożliwiająca dostawy przemysłowo-zbrojeniowe oraz żywności, lekarstw i wszelkich niezbędnych artykułów do wszystkich krajów walczących z państwami Osi. Pożyczka ta miała być spłacona po wojnie.

Zapewniał ich, że jutro, najdalej pojutrze, znajdą się we Władywostoku, a może w samej Moskwie.

## XIV

Pułkownik Bubnow dotrzymał słowa. Następnego dnia dowództwo okręgu przysłało po nich specjalny samolot. W kabinie było ciasno, bo oprócz nich leciało jeszcze pięciu nie znanych oficerów. Bob po przebytej operacji czuł się gorzej. Lekarz stwierdził, że to normalne i we Władywostoku będzie lepiej.

Rick nigdy nie widział takiego dwupłatowca, który leciał wolno jak kaczka, za to mógł ponoć lądować w każdych warunkach. Pogoda była podła i rzucało nimi fatalnie. Do tego smród spalin, wnikał do środka i Bob wkrótce dostał silnych torsji. Im też niewiele brakowało. Przelot niecałych dwustu mil zajął blisko dwie godziny.

Na lotnisku czekała już na nich półciężarówka Ford. Boba zabrano do karetki czerwonego krzyża. Tym razem oficer łącznikowy oznajmił kategorycznie, że nie mogą mu towarzyszyć, wszyscy bowiem lotnicy proszeni są do gmachu dowództwa. Rozkaz jest wyraźny i nie może od niego odstąpić. Wywalczyli tylko, że pozwolił im odprowadzić Boba do szpitala. Bob już na noszach pomachał im dziarsko ręką na pożegnanie. Oficer pocieszył ich, że Centralny Szpital wojskowy im. Frunzego we Władywostoku jest jednym z najlepszych w republice i tylko Moskwa może z nim konkurować:

– Wasz towarzysz nie mógł trafić lepiej – zaręczał.

Samo miasto wyglądało ponuro. Czerwone transparenty i flagi porozwieszane krzykliwie na gmachach sprawiały wrażenie, jakby na siłę chciały dodać koloru szarym, zmęczonym murom. Porozbijane nawierzchnie ulic przykryte były grubą warstwą błota. W powietrzu czuć było mdły smród rozkładających się śmieci. Przed sklepami stały niezmiernie długie kolejki, w których przeważały stare kobiety.

"Raj robotników i chłopów" – pomyślał Aron, ale głośno starał się nic nie mówić, czuł pismo nosem.

W sztabie przyjął ich generał Anastas Aramowicz Babadzian, zastępca dowódcy armii, w towarzystwie wyższych oficerów. Wszyscy stali w równym szeregu pod ogromnym portretem Stalina. Wśród Rosjan tylko jeden generał nosił sumiaste wąsy i miał do skóry ogoloną głowę. Świeciła się jak księżyc. W bryczesach i kawaleryjskich butach, z potrójnym rzędem orderów od razu zwracał uwagę. Serdecznie wyciągnął dłoń:

– No są ptaszki. Przyfrunęły. Dawno takich nie było. Witamy – po kolei przedstawił swoich podwładnych. Następnie poprosił wszystkich na skromny, żołnierski poczęstunek.

Na jego znak ordynansi wnieśli tace i postawili na dużym stole.

– No dawaj. Wzmacniać się – generał pierwszy wziął kieliszek. – My ludzie radzieccy znani jesteśmy z tego, że nie opuszczamy przyjaciół w biedzie. Co mamy to mamy. Może bez frykasów, z głębi serca za to! – zaśmiał się. Wraz z nim zaśmiała się reszta oficerów.

Po tym krótkim toaście przystąpiono do jedzenia. W przeciwieństwie do przyjęcia u pułkownika Bubnowa, ten skromny poczęstunek żołnierski oszołomił ich nieco. Stół zastawiony był po królewsku. Zjawiły się wędliny i sery, astrachański kawior, pełno puszek, w których z radością rozpoznali znajome firmy. Nie brakowało też cukru i masła. Podano cytryny, pomarańcze, a nawet figi. Oprócz wódki, na stole stały butelki krymskiego i kaukaskiego wina oraz armeński koniak, który generał pił z wielkim upodobaniem.

– Nasz erewański – chwalił się. Generał był Ormianinem i fakt, iż zacny trunek pochodził z jego ojczyzny, sprawiał mu wyraźną radość. W ogóle był jowialny i prosty. Gdy usłyszał, że Rick nazywa się O'Sullivan, ożywił się:

– Toż ty nasz! – wybuchnął – Petrosjan, Mikojan, O'Sullivan. Ormiańskie nazwisko, bracie... Nie dawał wiary zapewnieniom Ricka, że w rodzinie ma samych Irlandczyków.

– Nie, nie, nie – machał zamazyście ręką – łiesz, brat. Ktoś musiał być z Erewania. Inaczej być nie może – i klepał Ricka jak brata. Nie odstępował go też na krok. Z pokraśniałą łysiną dolewał koniak i opowiadał o swej burzliwej młodości, jak to gnał na taczance burżujów i polskich panów.

Generał służył w słynnej Kon-Armii Budionnego i wielce się tym szczycił. Mówił przy tym tak szybko, że Aron nie nadążał wszystkiego tłumaczyć. Jeden z oficerów porwany braterstwem broni wzniosł toast za bohaterskich lotników amerykańskich. Inny chciał pić zdrowie prezydenta Roosevelta. Już wzniosł wysoko swoją szklankę i ciągnął z zapalem: – "On też, towarzysze, podobnie jak my

nienawidzi Hitlera, i podobnie jak my..." – nagle urwał i głos mu zamarł w połowie. Szybko skończył i z lękiem spojrzął na młodego oficera, który właśnie wszedł do sali. Młody oficer miał błękitne wyłogi na epoletach i był zaledwie kapitanem. Nie przeszkodziło mu to jednak bez meldowania zbliżyć się do generała, który na jego widok stracił poprzednią swadę i wyprężył się służbiście. Oficjalnie przedstawił przybyłego, którym okazał się Grigorij Wasiliewicz Makarow.

Był przystojnym blondynem o jasnoszarych oczach i mocno zarywsonym podbródku. Podczas mówienia lekko wysuwał dolną szczękę, co nadawało mu bardziej stanowczy wyraz. Wrażenie to jednak łagodził miły uśmiech, choć nawet gdy się uśmiechał, jego oczy pozostawały zimne i czujne.

Z miejsca przejął inicjatywę. Zaczął zadawać wiele różnych pytań. Mówił dość słabo po angielsku, wystarczająco jednak, by się dogadać. Szybko zorientowali się, że mimo niskiej rangi, on tu jest główną szarżą. Potwierdzało to zachowanie oficerów i samego generała, który cały czas stał przed nim na baczność i powtarzał ciągle:

– Tak jest, Grigorij Wasilicz. Zgadzam się absolutnie...

Sam Grigorij Wasiliewicz zaś zachowywał się swobodnie, jakby rzeczywiście on tu był dowódcą. Było to dość dziwne.

Aron nie wytrzymał i zapytał stojącego obok pułkownika, kim jest ten człowiek. Pułkownik zniżył głos i szepnął, że Makarow jest dowódcą tutejszego "Smiersza". Nazwa ta nic nie mówiła Aronowi. Dopiero później dowiedział się, że "Smiersz" \* ("Śmierć Szpiegom") ma tutaj dyktatorską władzę, nawet generała może kazać aresztować, a jego przełożeni nie będą mieli nic do gadania.

"Smiersz" – skrót od rosyjskich słów "Smiert Szpionam" (Śmierć Szpiegom). Organizacja powołana do życia w chwili wybuchu wojny z Niemcami w armii radzieckiej. Nominalnie stanowiła część składową sił zbrojnych, praktycznie stała ponad armią, podporządkowana bezpośrednio siłom bezpieczeństwa i ówczesnemu ich szefowi Ławrientiemu Berii.

Makarow oświadczył, że odtąd będzie ich bezpośrednim opiekunem:

– Nie gorszym od Anastasa Aramowicza – dodał zaraz protekcyjnie, wskazując generała. Ten wyprężył się z szacunkiem.

Rick ponowił prośbę o spotkanie z amerykańską misją wojskową. Makarow ze zrozumieniem kiwnął głową, zaraz jednak uprzedził, że mogą być trudności, bo najbliższa placówka dopiero w Moskwie, a to kawał drogi:

– Nasza ojczyzna ogromna, musicie się przyzwyczaić.

– Nasza niemała jest tyż. A takich kłopotów nie ma – odezwał się Aron.

Makarow przyjrzał mu się baczniej, mrużąc powieki. Na uparte pytanie Ricka, czy amerykańskie dowództwo zostało poinformowane o ich pobycie w Rosji, odrzekł stanowczo, że tak.

– W końcu jesteśmy sojusznikami – próbował przywrócić przyjazny nastrój. Wzniósł kolejący toast za braterstwo broni. Zapewniał opiekę.

Rick postanowił skorzystać i jeszcze raz odwiedzić w szpitalu Boba. Sam czuł się nienajlepiej. Zlekceważona rana zaczęła ropieć. Makarow z miejsca ofiarował się zawieźć go do szpitala. Gdy Aron i Barney zgłosili się również, odparł niby

półzartem:

– Wy nie jesteście ranni. A zdrowi powinni się trzymać z dala od szpitala.

Pod tym niewinnym żartem krył się wyraźny rozkaz, który niemile ich dotknął.

– Nie lekko będzie z tym szajgecem \* – westchnął Aron, którego uwadze nie uszedł złowróżbny wyraz oczu Makarowa.

Szejgec – młody innowierca.

Grigorij Wasiliewicz tymczasem odciągnął na bok generała i coś mu ostro tłumaczył. Machał przy tym rękami i groźnie wydymał wargi. Generał przyjmował to z pokorą i posłusznie potakiwał. Po tej scenie, którą mało kto zauważył, Makarow z uśmiechem wrócił do Ricka.

– No to idziemy, kapitanie – zawołał.

Rick, żegnając się z generałem Babadżianem, zauważył, że bez wylewności i niemal sztywno podał mu rękę. Przed szpitalem Makarow zatrzymał samochód.

– Wybaczcie, że wam nie towarzyszę, ale mam pilną naradę – usprawiedliwił się. – Oficer was zaprowadzi. Moja żona jest tu siostrą przełożoną. Zaopiekuje się wami.

– Do Wierzy Andriejewny – rzucił krótko.

Oficer zasalutował i poprowadził Ricka na górę. Gdy znaleźli się w środku, sanitariusze zaczęli ich sobie pokazywać palcami. Mundur Ricka wzbudził sensację. Takiego pilota nigdy nie widzieli. Rick z zakłopotaniem poprawił czapkę i posłusznie szedł za swoim opiekunem.

W wąskim korytarzu, wzdłuż ścian leżeli chorzy, poukładani na siennikach. Sale nie mogły wszystkich pomieścić. Odór karbolu i stęchłej krwi bił w nos mdlącą wonią. Posuwali się wolno, wymijając spacerujących pacjentów. Nieomal wszyscy oglądali się za nimi ciekawie. Wreszcie dotarli do drzwi, które kiedyś były oszklone, a teraz zabito je dyktą. Oficer wsadził głowę do środka i zawołał: – Wiera Andriejewna!

Wyszła smukła szatynka w białym kitlu i czerwonej opasce na ramieniu. Była ładna tą naturalną urodą, która nie wymaga upiększeń. Usta bez szminki miała różowe, a jasna cera na wystających lekko policzkach nie potrzebowała kremów. Orzechowe włosy spięte w duży kok odsłaniały łagodną linię karku. Klasycznie zarysowany nos z lekko rozdętymi nozdrzami nadawał jej twarzy odcień rasowej dumy. Uważnie wysłuchiwała oficera, po czym zwróciła się do Ricka całkiem dobrą angielszczyzną:

– Pan też z tego nieszczęsnego samolotu?

Po tym "też" Rick zorientował się, że zna Boba, i spytał, czy może go zobaczyć.

– Oczywiście. Tylko najpierw musimy obejrzeć pańską ranę...

– Nie jest taka ciężka – zastrzegł z góry.

– To się okaże – rzekła z powagą. – Z ran nie należy kpić. Nie znają się na żartach – otworzyła drzwi zabite dyktą i wprowadziła go do środka.

– Poczekajcie chwilę, Lew Spirydonycz – powiedziała do oficera, który pozostał na korytarzu.

W gabinecie zabiegowym stała ceratowa leżanka, na której Wiera Andriejewna kazała Rickowi usiąść i zdjąć bluzę do pasa. Gdy zaczął się rozbierać ból przeszył mu łopatkę. Skrzywił się.

– Nie jest wesoło, co? Pomożemy ci, zuchu – wprawnymi ruchami zaczęła odpinać resztę guzików. – Najgorzej, że koszula przyschła do rany i trudno ją będzie oderwać. Może boleć...

– Nie szkodzi. Przeżyję – mruknął Rick.

– Spodziewam się – nagłym szarpnięciem oderwała koszulę od ciała. – Przepraszam. Byłam okrutna. Czasem jednak muszę – uśmiechnęła się łagodnie, przesuwając delikatnie palcami po jego plecach.

– Hospodi! – rzuciła po rosyjsku. – Dlaczego przychodzisz tak późno?! Rana zaogniła się. Teraz muszę to wszystko wyczyścić – powiedziała niemal z wyrzutem. Zapaliła maszynkę spirytusową i postawiła na niej narzędzie chirurgiczne. Rick z ulgą stwierdził, że Wiera stosuje solidniejsze środki dezynfekcyjne niż profesor Innokientij.

– Skąd znasz angielski? – spytał.

– Z domu. Moja matka jest nauczycielką angielskiego – odparła, sprawdzając gotujące się narzędzia. – Najgorsze, że zrobię zabieg bez znieczulenia. Wciąż brakuje nam narkozy. Wszystko idzie na front. Jak będzie bolało proszę mówić. Wtedy przerwę...

– Wytrzymam...

– Myślę. Taki kawaler – klepnęła go przyjaźnie i pchnęła plecami do przodu. – Tors jak u rzymskiego wojownika. Prawdziwy Herkules – energicznie dobrała się do jego rany. Poczł pchnięcie rozpalonym żelazem. Wiera zaczęła go pocieszać:

– Wiem, że boli. Ale muszę oczyścić. Inaczej będzie ropieć...

Syknął z bólu, ujrzał białe plamy przed oczyma. Wiera przerwała:

– Dać wody?

– Nie. Dziękuję. Rób do końca – niemal rozkazał.

– Twarda z ciebie sztuka. Prawie jak nasi Sybiracy. Nie wiem nawet, jak się nazywasz?

– Rick. Richard O'Sullivan – wymamrotał.

– Rick? – przeciągnęła śpiewnie. – A imię ojca?

– Harry...

– Harry? No to proszę, Richard Harriowicz. Pomęczymy was jeszcze – zaśmiała się, przystępując do operacji. Musiał przyznać, że uśmiech ma miły. Wiele można jej było wybaczyć. Instynktownie wzbudzała w nim zaufanie.

– Już kończę. Minutoczka – rzuciła po rosyjsku. – Wy w angielskim nie macie takich zdrobnień. A u nas jest minuta, i minutoczka, i minucieńka, jeśli ktoś chce być



bardzo czuły. Ciężko wymówić, co?

– Dlaczego. Minuteńka – powtórzył z trudem.

– Uhm. Minuteńka. I skończyłam. Teraz zawiniemy pięknie bohatera i za minutoczkę zapomni, że był ranny – sprawdziła ścisłość bandaża wokół piersi i podała koszulę:

– To wszystko – Rick Harriowicz.

– Dziękuję, Wiera Ander...

– Andriejewna – poprawiła go. – Skoro znamy swoje imiona możemy się zaprzyjaźnić – wyciągnęła z torby garść cukierków i podała mu serdecznie:

– Są pyszne. Naprawdę...

Rick wołałby się czegoś napić. Zaszło mu w gardle. Wiera podeszła do maszynki i zajęła się parzeniem herbaty.

– Niestety będzie gorzka. Cukierek musi zastąpić cukier...

Spytał, czy mogłaby go teraz zaprowadzić do Boba.

– Jest na zabiegu. Nie wiem czy... – zawahała się.

– Czy co? – podchwycił szybko.

– Nic, nic. Najlepiej sprawdzę. Poczekaj chwilę – zalała wrzątkiem esencję i wyszła z pokoju.

Rick poczuł, że Wiera coś przed nim ukrywa. Zaniepokoił się na dobre.

## XV

Było już dobrze po północy, gdy szef "Smiersza", generał Abakumow, \* otrzymał wezwanie: Stalin pilnie chce się z nim widzieć. Generał natychmiast wezwał kierowcę. Od lat wszystkie najwyższe urzędy w Moskwie dostosowywały swój rytm pracy do bezsennych nocy Gospodarza.

Abakumow – generał radziecki, dowódca "Smiersza", bezpośrednio podległy Berii.

Za parę minut generał był już na Kremlu. Kilkakrotnie sprawdzony i taktownie zrewidowany przez dobrze znanych mu członków ochrony, labiryntem korytarzy wprowadzony został do bocznej komnaty, w której tym razem pracował Stalin. Ze względu na bezpieczeństwo lubił zmieniać pokoje.

Stalin jadł kolację w towarzystwie czterech członków Biura Politycznego: Berii, \* Kaganowicza, \* Mołotowa \* i Chruszczowa. \* Abakumow domyślił się, że wezwano go z powodu amerykańskiego samolotu, o którego przechwyceniu niedawno zameldował Berii. Obecność Mołotowa na to by też wskazywała.

Ławrientij Pawłowicz Beria – członek Biura Politycznego, od 1939 roku szef wszystkich sił bezpieczeństwa, z pochodzenia, podobnie jak Stalin, Gruzin. Druga osoba w państwie. Po śmierci Stalina w 1953 roku odsunięty od władzy, sądzony w tajnym procesie i skrycie zlikwidowany.

Łazar Mojsiejewicz Kaganowicz – jeden z najstarszych i najbliższych współpracowników Stalina, długoletni członek Biura Politycznego, odsunięty od władzy w 1957 roku.

Wiaczesław Michajłowicz Mołotow – (właściwe nazwisko Skriabin). Najbardziej zaufany i znany bliski współpracownik Stalina jeszcze w okresie Rewolucji, ślepo popierający go we wszystkich walkach frakcyjnych. Komisarz, następnie minister spraw zagranicznych oraz premier rządu ZSRR. Wieloletni członek Biura Politycznego. Odsunięty od władzy przez Chruszczowa, podobnie jak Kaganowicz, w 1957 roku.

Nikita Siergiejewicz Chruszczow – członek Biura Politycznego, I sekretarz Ukrainy, po śmierci Stalina I Sekretarz KPZR (1953-1964).

Stalin powitał go serdecznie. Wesóło wymówił jego nazwisko, co świadczyło, że jest w świetnym humorze i będzie skory do żartów. Zlecił kelnerce przynieść dodatkowe nakrycie i wskazał miejsce przy stole:

– Nie pogardzicie naszym skromnym towarzystwem, spodziewam się...

Abakumow usiadł koło Chruszczowa najbardziej oddalonego od Gospodarza. Kelnerka nałożyła mu na talerz barani szaszłyk i przysunęła gruziński chleb w kształcie placka. Stalin uważnie przyglądał się jedzącemu generałowi, po czym z zadowoleniem stwierdził:

– Ten przynajmniej nie jarosz. Jak nasz Beria. Bo nasz Ławrientij Pawłowicz – spojrzął na bladą twarz wszechwładnego szefa MWD \* – samą marchewką żyje. Jak królik. Barana nie tknie. Bydło mu bliższe od ludzi...

\*MWD – skrót od rosyjskiego Ministerstwo Wnutriennych Dieł – Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

Wegetarianizm Berii był częstym przedmiotem żartów Stalina. Wszyscy gruchnęli śmiechem. Najgłośniej śmiał się Chruszczow, najślabiej Beria. Abakumow starał się zachować neutralnie wobec swojego szefa i pochylił się nad talerzem. Nie uszło to uwagi Stalina.

– Macie w nim przyjaciela, Ławrientij Pawłowiczu. – Nie lubi z was żartów. Będę was musiał rozdzielić – Stalin wstał i położył rękę na ramieniu Abakumowa: – Zbyt się skumaliście, Abakumow – wybił śmiesznie jego nazwisko. – No nic. Pijcie – sam nalał mu wina, co było wielkim wyróżnieniem. Usiadł z powrotem i wesóło przyglądał się przedwcześnie nalanej twarzy generała:

– Dobrze wyglądacie. Za dobrze. Trzeba was będzie odchudzić. To nawet niezła myśl – zwrócił się do Berii. – Odchudzimy go w którymś z waszych zakładów. Na Kołymce na przykład? W podbiegunowym kręgu, co? Będzie chłopak jak osa...

Znów wszyscy zaśmiali się. Najgłośniej sam Abakumow, chociaż mróz mu przeszedł po kościach.

– No dobrze, towarzysze. Do dzieła – rzekł poważnie Stalin i wolno zapalił fajkę: – Cóż to za historia z tym samolotem, o którą narobiliście tyle gwałtu?

Abakumow wyjaśnił, że uszkodzony samolot wylądował w okolicach Władywostoku. Jest to bombowiec Boeing-29, najnowszego typu i wydaje się być przeznaczony do specjalnych zadań.

- Jakich? – spytał Stalin.
  - Zrzućenie bomby nowego typu. Owej tajemniczej bomby atomowej, nad którą od dłuższego czasu pracują...
  - I z nami się nie podziela...
  - No właśnie – przytaknął gorliwie Abakumow.
  - Czy nasi eksperci znają sprawę?
  - Ich opinię cytuję – potwierdził generał.
  - Iż jest to samolot specjalny przeznaczony do zrzucenia bomby atomowej – powtórzył wolno Stalin – o której my nic nie wiemy – dokończył z przekąsem.
  - Trochę wiemy, Josif Wissarionowicz – wtrącił Beria. – Od dłuższego czasu otrzymujemy meldunki o zaawansowanych pracach Amerykanów nad bombą. Mamy tam swoich ludzi. Dysponujemy sporą ilością materiałów...
  - Ale nie bombą – przerwał mu Stalin wyraźnie zniecierpliwiony. – Nieprawdą jest, iż dysponujemy sporą ilością materiałów. Natomiast prawdą jest, że nie mamy bomby, albowiem gdybyśmy dysponowali dostateczną ilością materiałów, zbudowalibyśmy własną bombę, nie oglądając się na Amerykanów. I tak stoi sprawa, towarzysze. Inaczej być nie może – dokończył w swej znanej retoryce.
- Wszyscy czekali, co powie dalej. Stalin nabił fajkę i zwrócił się do Abakumowa:
- A jakie korzyści, waszym zdaniem, płyną z tej nieoczekiwanej wizyty?
  - Po pierwsze samolot. Według naszej oceny jest to najnowszy model. Możemy go skopiować i zaoszczędzić parę lat pracy. Po drugie nie wiem, co prawda, co ci lotnicy wiedzą o samej bombie, na pewno jednak wiedzą wszystko o technice zrzutu, przypuszczalnej sile wybuchu itp. Ziarnko do ziarnka i zbierze się miarka – zakończył filozoficznie.
  - I co? Nie chcą mówić? – spytał z chytrym uśmieszkiem Stalin.
  - Na razie ich nie pytamy. Są w garnizonie wojskowym we Władywostoku pod nadzorem naszych ludzi...
  - Z armią?! – obruszył się Stalin. – To bzdura! Skoro mamy pytać, nie możemy się kumać, Abakumow! – wybił złośliwie jego nazwisko. Ślady po ospie mocno mu szczerwieniły. Był już po paru kieliszkach wina.
  - Znaczy mam rozpocząć śledztwo? – spytał niepewnie generał.
  - Z pożytkiem dla naszej nauki. Z pożytkiem – Stalin groźnie pomachał palcem. Mołotow poruszył się na krześle i wtrącił z obawą swym bezbarwnym głosem:
    - Amerykanie podniosą krzyk...
    - Niech krzyczą. Nie musimy ich słuchać. – Stalin przedmuchał cybuch fajki.
    - Może zwrócić im ten samolot – ciągnął ostrożnie Mołotow.
    - Nie zwraca się prezentów zrzuconych z nieba – odparł Stalin.
    - Roosevelt może się zdenerwować...

– Do następnej konferencji mu przejdzie. Roosevelt nie dziecko. Zależy mu na nas. Nie będzie przez głupi samolot łamał umów, z których jest tak dumny...

Zrozumieli, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Stalin przyczesał rzadkie włosy, które na portretach imponowały swą gęstością i patrząc w oczy generałowi, powiedział:

– To do roboty, Abakumow. Niech "Smiersz" też coś zrobi dla naszej nauki. Swoją drogą – zwrócił się do pozostałych – należy się baczniej przyjrzeć stanowi naszych badań. Będziemy musieli temu poświęcić oddzielne posiedzenie Biura. Nie mogą Amerykanie nas tak wyprzedzać. My też mamy głowy. A jak nie mamy, to chcemy je mieć, prawda? – wymownie spojrzął na generała, zaznaczając, że posłuchanie jest skończone.

Abakumow wstał, wyprężył się i pożegnany tą przejrzystą aluzją opuścił salę.

Kiedy zostali sami, Stalin podszedł do patefonu i nastawił płytę. Popłynęła stara melodia kozackiego tańca:

– Nikita Siergiejewicz – zwrócił się do Chruszczowa – siedzicie w tym Kijowie od roku i pasiecie się we własnym tłuszczu. O dostawach z Ukrainy nic nie słyhać. Tym też trzeba się będzie zająć...

Nikt się nie odezwał.

– To przynajmniej zatańczcie nam hopaka, a żywo! – rozładował sytuację.

Nikita Siergiejewicz Chruszczow, I sekretarz Ukrainy, członek Biura Politycznego WKP(b) \* zerwał się ochoczo z krzesła i puścił w tany. Stalin stał przy patefonie, pykał fajkę i przyglądał mu się drwiąco.

\*WKP(b) – (skrót – Wsiechsajuznaja Komunistичесkaja Partia Bolszewikow) nazwa partii obowiązująca do 1952 roku. Na XIX Zjeździe Stalin zmienił ją na KPZR.

\* \* \*

Makarow nie miał sobie nic do wyrzucenia. Natychmiast po meldunku o przymusowym lądowaniu superfortecy przejął sprawę w swoje ręce. Odsunął od niej przedstawicieli armii i włączył do akcji ludzi "Smiersza". Sporządził inwentaryzację samolotu i specjalnym kurierem przesłał do Moskwy. Szybko odgadł, że rzecz jest najwyższej państwowej wagi. Na tym bombowcu można łatwo wzbic się w górę, ale rozbić się również. Dlatego zachował daleko idącą ostrożność. Zabronił generałom dalszego kumania się z Amerykanami i poddał ich łagodnemu nadzorowi. Z niecierpliwością czekał na dalsze instrukcje. Znając zwyczaje Moskwy, rzadko wychodził z biura. Towarzysze z góry cenili sobie pełną dyspozycyjność i podjęcie natychmiast słuchawki przez tych na dole było dobrze widziane. Za wzorem towarzysza Stalina, lubili dzwonić w nocy i jak zastawali człowieka na posterunku mówili: – Ot prawdziwy bolszewik! Czuwa. Nic poza partią dla niego nie istnieje.

Grigorij Wasiliewicz został komendantem "Smiersza" w dramatycznych okolicznościach. Jego poprzednik, major Sarnow, nagle został wezwany do Moskwy i więcej już z niej nie wrócił. Zamiast niego zjawił się wysłannik samego generała

Abakumowa i na pospiesznie zorganizowanej naradzie oświadczył, że Sarnow zawiódł zaufanie partii i towarzysza Stalina. Na jego miejsce zarekomendował młodego Grigorija Wasiliewicza Makarowa, który swą dotychczasową postawą zwrócił uwagę kierownictwa partii:

– Sądzę, Grigorij Wasiliewicz – zwrócił się wprost do Makarowa wysłannik – wykażecie należną czujność i bezpardonowość w walce z wrogiem i nie dacie mu się zwieść, jak Sarnow!

Zabrzmiało to jak ostrzeżenie. Makarow nie wiedział, co uczynił Sarnow, nie chciał jednak podzielić jego losu. Wszystko spadło na niego jak grom z jasnego nieba. Posłusznie podporządkował się linii partii.

W gabinecie sekretarka poinformowała go, że żadnych telefonów z Moskwy nie było. Makarow uznał, że trzeba czekać. Kierownictwo nie lubiło być ponaglane.

Poprawił zdjęcie Wiery na biurku i sięgnął po najnowszą "Prawdę". Tytuły na pierwszej stronie donosiły o zaciskającym się pierścieniu wokół Berlina:

– Dobijamy ich – pomyślał z dumą. – Stalin dotrzymał obietnicy. Zgnieciemy bestię w jej własnym gnieździe. Marny los Hitlera. – Zapalił papierosa i przerzucił następną stronę.

Nagle brzęczyk telefonu przerwał lekturę:

– Moskwa na rządówce – odezwała się sekretarka.

Makarow porwał za słuchawkę.

– Towarzysz Makarow? – usłyszał miły, żeński głos.

– Tak jest! – potwierdził gorliwie.

– Minutoczkę. Towarzysz Abakumow chce z wami rozmawiać...

Makarow znieruchomiał. Tego się nie spodziewał. Nerwowo zgniótł papierosa. Prawa ręka wszechwładnego szefa MWD Ławrientiego Pawłowicza Berii – z szacunkiem spojrzął na portret wiszący obok Stalina – chce z nim rozmawiać. To niebywałe. Odruchowo obciągnął mundur. Po chwili w słuchawce odezwał się młody, ciepły głos:

– Grigorij Wasiliewicz?

– Tak jest, towarzyszu generale – Makarow uniósł się w swym krześle.

– Wspaniale, mój miły. Rad jestem, że was słyszę – ciągnął serdecznie Abakumow. – Jak tam z pogodą na Dalekim Wschodzie?

– Świetna, towarzyszu generale. Słońce...

– Słońce, powiadacie. To z was szczęściarz. Bo u nas leje. Deszcz. Ale i w deszczyk trzeba pracować – westchnął i przeszedł na ton służbowy: – Zbadaliśmy te wasze materiały, Grigorij Wasiliewicz i doszliśmy do wniosku, że kryją klucz do strategii przyszłej wojny. Wy musicie nam dostarczyć ten klucz. I to jak najszybciej.

– To znaczy – zaczął niepewnie Makarow.

– To znaczy rozpocząć śledztwo. Nie muszę was uczyć. W końcu do walki ze szpiegami nas partia postawiła, prawda?

– No tak. Tylko, że...

– Tylko co? Oni nie szpiedzy? Przyjaciele. Którzy urządzają dywersyjne loty na naszych tyłach? Nie bądźcie śmieszni, Makarow. Cud sprawił, że wpadli w nasze ręce. I cud ten trzeba wykorzystać. Nie zwraca się prezentów zrzuconych z nieba. Zrozumiano?

– Tak jest, towarzyszu generale...

– No. Traktować ich z całą surowością prawa. Jak wrogów i dywersantów – głos jego stwardniał.

– Chodzi tylko o to – wtrącił nieśmiało Makarow – że jest tam jeden ranny...

– Ranny też ma język. Bez wyjątku, powiedziałem – w głosie Abakumowa czuć było zniecierpliwienie. Grigorij wiedział, kiedy przestać pytać.

– Dokładny instruktaż w zakresie pytań otrzymacie. Prześlemy wam specjalistów. To wam pozwoli ustalić, na co kładziemy szczególny nacisk. To co, Grigorij Wasiliewicz? Mam nadzieję, że wam nie popsulem słonecznego dnia? – Abakumow znów przeszedł na przyjacielski ton.

– Absolutnie, towarzyszu generale. Zrobię wszystko co w mojej mocy...

– No, pamiętajcie. Czynień was za to odpowiedzialnym. Zatem powodzenia, towarzyszu – Abakumow odłożył słuchawkę.

Makarow odetchnął z ulgą.

– Teraz przynajmniej jest jasność – pomyślał. – Sięgnął po butelkę w szufladzie biurka. Nalał sobie i wypił jednym potężnym haustem. Następnie połączył się ze swoim zastępcą Lwem Spirydonyczem i wydał dyspozycje.

Po chwili do gabinetu wsunęła się starsza kobieta o poczciwym wyglądzie niani i na tacy przyniosła kanapki:

– Świeża herbatka, Grigorij Wasiliewicz. Napijcie się...

– Nie zdążę, Zoja Iwanowna. Dziękuję...

– A cóż to? Zjeść i wypić. Minutoczka...

– Za minutczkę muszę być w szpitalu – Grigorij wstał z krzesła.

– To weźcie przynajmniej na drogę – woźna zdjęła z biurka gazetę i zawinęła w nią kanapki:

– Macie. I pozdróćcie ode mnie Wierę Andriejewną. Nie zapomnijcie...

– Nie zapomnę. – Makarow machinalnie wsunął kanapki do kieszeni i łagodnie objął kobietę ramieniem. Razem wyszli z gabinetu.

– Kiedyż ty, gołąbku, masz czas coś zjeść, pytam? Nic tylko praca i praca – pokiwała głową i odprowadziła znikającego w korytarzu Makarowa ciepłym, matczynym wzrokiem.

## XVI

– Niestety, tak jak mówiłam. Nie możesz się z nim widzieć – powiedziała Wiera, wracając do gabinetu.

– Ależ ja muszę! Zaprowadź mnie! Błagam!

– Kiedy nie mogę. Zrozum!

– Dlaczego! Gdzie on jest?! – dopytywał się dalej.

– Ma ampu... na operacji – poprawiła się szybko.

Rick skoczył jak oszalały.

– Dokąd?! – krzyknęła za nim. – Nie wpuszczą cię!

Rick wypadł na korytarz. Nagle z bocznych drzwi dobiegł go straszliwy krzyk:

– No! No!

Krzyk powtórzył się. Nie miał wątpliwości. To był Bob. Jednym skokiem pchnął drzwi. Ujrzał niesamowitą scenę. Na stole operacyjnym, przytrzymywany Bob szarpał się z dwoma pielęgniarzami. Twarz miał wykrzywioną nie do poznania. Spod zmierzwionych włosów patrzyły ślepe z bólu oczy. Policzki pokrywał granatowy zarost.

Widać dawka narkozy była zbyt słaba. Lekarz kończył właśnie amputację nogi. Rick zobaczył zakrwawione mięso, strzępy ciała i nagą kość uda, na którą lekarz naciągał fałdę skóry.

Bob wyrzucał z siebie nieprzytomnie:

– No! No!

– Co robicie?! – krzyknął ze zgrozą Rick.

Lekarz odłożył narzędzia i spojrzał zdziwiony. Nie rozumiał, co do niego mówi. Bob zmęczony bólem i nową dawką narkozy opadł bez czucia.

– Coś ty zrobił, draniu! – rzucił się w kierunku lekarza.

Ten cofnął się przestraszony.

– Wiera Andriejewna! Wytłumaczcie mu! – zawołał.

– Nie było ratunku! Gangrena! – powtórzyła Wiera.

– Przecież jest lekarstwo! Nie musiał stracić nogi...

– U was. U nas wciąż nie ma wyboru. Albo życie, albo śmierć. Już lepiej żyć bez nogi...

Rick wpadł w rozpacz. Spojrzał na śpiącego przyjaciela. Chciało mu się wyć.

– Wyprowadźcie go stąd, Wiera Andriejewna – rzekł cicho lekarz, poprawiając złote binokle – i powiedzcie, że nie było innego wyjścia...

– Już powiedziałam, Mark Gawryłowicz – powtórzyła jak echo Wiera. Łagodnie wzięła Ricka pod ramię i szepnęła cicho:

– Grunt, żeby żył...

Posłusznie dał się prowadzić. Gdy znaleźli się na korytarzu, podbiegło do nich dwóch żołnierzy "Smiersza", a Lew Spirydonycz był tym razem pełen służbowej gorliwości.

– Wybaczcie, Wiera Andriejewna, ale mam nakaz aresztowania. Brać go! – rzucił do stojących żołnierzy. Podbiegli do więźnia i wprawnie chwycili pod łokcie.

– Precz! – krzyknął Rick i jednym pchnięciem strzepnął ich z siebie. Lew Spirydonycz wyszarpnął pistolet. Z rozmachem, jak młotkiem, uderzył Ricka w głowę ciężką rękojęcią zdobycznego "Lugera".

– Lew Spirydonycz! To ranny! – zawołała przerażona Wiera.

– Ładny ranny. Opór stawia, swołocz – wycedził przez zęby.

Po tym ciosie Rick stracił przytomność i nie czuł, kiedy nałożono mu kajdanki. Z korytarza wymiotło, jakby ktoś dmuchnął w proch. Nikt już nie spacerował, tylko chorzy leżeli spokojnie na swych siennikach. Nieprzytomnego Ricka dźwignięto z ziemi i zaczęto wlec w stronę wyjścia. Nie stawiał oporu. Zszokowana Wiera podniosła z posadzki czapkę i wsadziła mu na głowę:

– To pomyłka. Wszystko się wyjaśni – szepnęła, jakby sama chciała się przekonać.

Ból ocucił Ricka. W głowie czuł szum, a pod łopatką płonące ognisko. Nawet bez kajdanek nie mógł podnieść ręki. Dwóch żołnierzy prowadziło go pod boki, a trzeci z tyłu szturchał go lekko bagnetem. Na tyłach szpitala czekała już więzienna suka. Strażnik otworzył drzwi i wciągnął go do środka. Drugi pchnął kolbą. Gdyby nie czyjaś pomocna dłoń, pewnie by upadł. Żelazne drzwi zamknęły się za nim ciężko. W mroku nie widział nic, czuł jednak, że jest wśród swoich. Po chwili odezwał się ponury głos Arona:

– Witamy w szczęśliwej ojczyźnie Wujka Joe. Szkoda, że ten cadyk z twojego ślubu nie może nas widzieć. Miałby niezły temat do "New York Timesa", choleria. Co z tobą, Rick?

– Ja okay. Tylko Bobowi amputowali nogę...

– Cooo?! – krzyknęli niemal razem.

– Nie było wyjścia. Gangrena – wyjaśnił krótko. – Może jednak lepiej żyć bez nogi, ale żyć... – dopiero teraz zorientował się, że bezwiednie powtarza słowa Wiery.

Zapadła złowróżbna cisza.

Tymczasem Lew Spirydonycz, upewniwszy się, że oporny Amerykanin jest już w więźniarce, wszedł z powrotem na salę operacyjną.

– Mam rozkaz go zabrać, doktorze – rzekł sucho, wskazując na leżącego Boba.

– Ze stołu operacyjnego? On umrze bez opieki lekarskiej – próbował argumentować doktor.

– My też mamy lekarzy. Radzę nie dyskutować, towarzyszu. Proszę zabrać więźnia – przeciął twardo.

Żołnierz podszedł do Boba, chcąc go skuć kajdankami, ale tym razem Lew Spirydonycz machnął ręką, twierdząc, że i tak im nie ucieknie. Pielęgniarsze ułożyli



śpiącego Boba na noszach. Wiera zbliżyła się do oficera:

– Lew Spirydonycz – powiedziała cicho. – On przed chwilą miał amputowaną nogę. Wymaga specjalnej opieki...

– Będzie ją miał. Nie denerwujcie się – zapewnił oficer.

– Czy naprawdę musicie? – wyrwało się jej nagle.

– Przynajmniej wy nie zadawajcie takich pytań, Wiera Andriejewna. Nie wypada. A jeśli już naprawdę macie wątpliwości, to spytajcie o to swego męża. On wam wyjaśni – rzekł nie bez satysfakcji i kiwnął na żołnierzy. Posłusznie dźwignęli nosze w górę. Ruszyli korytarzem.

Siedzeili dalej w więźniarce, jakby wciąż na kogoś czekając. Teraz dopiero w rzednącym mroku zaczęli rozpoznawać swoje twarze. Aron znów przerwał milczenie:

– Jak tak serdecznie pili nasze zdrowie, to już mi nie sztykowało. Ale kiedy własnoręcznie się za nie wzięli, to widzę, będzie sęk. Zol ich azoj... – urwał na zgrzyt otwieranych drzwi.

Oślepiło ich słońce. Dopiero potem spostrzegli nosze z Bobem.

– To on tyż? – pytanie zamarło na ustach Arona.

Nikt z wrażenia nie odpowiedział.

– Jezus Maria! – wyszeptał przerażony Regis. – Rannego z obciętą nogą wyrzucić...

– Nie! – krzyknął histerycznie Barney. – To niemożliwe!

– W tym kraju wszystko możliwe. Musisz się do tego przyzwyczaić – przywołał go do porządku Aron.

Drzwi ponownie zaryglowano. Ogarnęła ich ciemność. Wóz ruszył, podskakując na nierównym bruku. Na zakrętach noszami Boba rzucało od ściany do ściany. Bezradnie próbowali podtrzymywać je skutymi rękami.

– Co on robi?! Tu jest ranny! Nie jesteśmy bydłem! – wybuchnął znowu Barney.

– A szkoda. Bydło tu w cenie – mruknął Aron. – A ludzie... Jest takie rosyjskie przysłowie. Ludzi u nas w nadmiarze. Ile dusza zapragnie. I trzeba to brać dosłownie...

Ponownie zaległa cisza. W ciemności Rick nie widział twarzy kolegów, ale czuł, że każdy myśli to samo. Tym razem w głosie Arona nie było żadnej ironii, tylko zwykle stwierdzenie faktu.

## XVII

Cela przeznaczona była dla czterech więźniów – ich wsadzono dziewięciu, wliczając jednego Rosjanina, którego dodali im dla towarzystwa. Piętrowe kojki nie były w stanie wszystkich pomieścić, więc Stan i Grzdyl spali na ziemi, a ich sienniki w dzień wrzucano na górne prycze. Zakratowane okno zabito blindami, przez które przeświecały wąskie paski nieba.

– To swoisty optymizm też. Wolno patrzeć tylko w górę. Ku świetlanej przyszłości – zakpił Aron.

Boba ułożyli pod oknem, gdzie zaduch był stosunkowo najmniejszy. Kiedy odzyskał przytomność i spostrzegł, że nie ma nogi, przestał mówić. Leżał nieruchomo, wpatrując się w sufit. Rick wiedział, że wszelkie pocieszenia nie zdadzą się na nic. Bob musiał sam w sobie to zgryźć. Stan zlustrował celę. Uważnie opukał ścianę, przyłożył ucho do ziemi. Unosząc w górę pokrywą śmierdzącej paraszy, która przykuta była do ściany krótkim łańcuchem, nie omieszkał zaznaczyć:

– Boją się, żeby ktoś nie przysunął klawiszowi w czapę. Przewody od kaloryferów też wyprowadzili na zewnątrz. W ten sposób mogą podsłuchiwać nasze pukanie. Znają się na rzeczy – pochwalił służbę więzienną.

– A coś ty taki spec? – zdenerwował się Glenn.

– "Większy niż sądzisz" – pomyślał Rick. Tylko on jeden wiedział, że Stan robi teraz porównanie ze swoją kanadyjską celą.

Rosjanin, który siedział z nimi, był drobnym, łysym człowieczkiem o zmiętej twarzy i małych, bystrych oczkach. Mówił świszczącym szeptem, ukazując bezzębne usta. Rozmawiał głównie z Aronem, ale i z nimi próbował na migi. Był inżynierem w jakiejś fabryce i dostał pięć lat za lenistwo.

– Za lenistwo? – zdziwił się Aron.

– No tak. Opowiadaliśmy sobie kawały z kolegą. On opowiedział, ja opowiedziałem. On pobiegł donieść na mnie, ja na niego się poleniłem. Noc, deszcz pada, pójdę jutro, pomyślałem. A jutro już mnie wzięli. Dostałem pięć lat z artykułu 58 paragraf 12 za niedoniesienie. I tak łagodnie. Mogło być więcej – wyznał z prostotą.

Kuzmicz, bo tak nazywał się Rosjanin, dał im wiele praktycznych rad. Szczególnie przestrzegł przed strażnikiem Własenką, którego z racji sadystrycznych praktyk przezywano Iwanem Groźnym. Ten wielki chłop o jednym zezującym oku był swoistym demonem więzienia. W wymyślnych torturach nie znał granic. Uśmiech nie schodził mu z warg i po każdym uderzeniu pięścią jak młot domagał się komplementów:

– Co masz mówić? Dziękować, chuju. Za co? Za to, że nie po jajach. Że jeszcze możesz branzlować... – wychowywał cierpliwie.

Po takim seansie więzień albo szedł do nieba, albo miał trwałą pamiątkę. Władze tolerowały ten sadyzm, używając Iwana jako swoistego straszaka.

Zaraz po przybyciu do więzienia zgodnie z regulaminem kazano im zdać rzeczy i poddano rewizji. Nigdy nie przeżyli czegoś takiego. Strażnicy kazali im się wypinać i rozciągać własne pośladki. Sprawdzali, czy nie ukryli czegoś w odbycie. Gdy Stan zaprotestował, Iwan Groźny skopał go podkutymi butami, a potem na jego rozkaz czterech klawiszy ułożyło Stana na ziemi i Własenko sam skontrolował jego odby, rozciągając go pękiem kluczy. Stan poprzysiągł, że zabije tego skurwiela, choćby miał za to zapłacić życiem.

Po rewizji wydano im więzienne łachy i wtedy ze zgrozą odkryli na nich nowych lokatorów: wszy.

– Wiesz nie człowiek. Całej krwi nie wypije – pocieszał ich Kuzmicz.

Dostawali dziennie małą pajdkę gliniastego chleba i miskę wodnistej zupy, na dnie której znajdowali czasem liść kapusty, lub zgniły kartofel. Czasem dawano im śledzia z beczki, po którym strasznie chciało się pić. Wody jednak nie żałowano. Z początku demonstracyjnie odstawiali miski ze wstrętem.

– Cóż to wy, Amerykanie? Zupką naszą gardzicie? – dziwił się kalefakt. – Głód ojczulek was zmusi. Na apetyt nie masz jak nasz pensjonat – tłumaczył wrednie.

Pierwszy tę ludową mądrość potwierdził Glenn, a potem wszyscy się przeprosili. Tylko Bob nic nie jadł, mimo że starali się wybierać mu najlepsze kąski. Jego stan stale się pogarszał.

Jednocześnie rozpoczęły się przesłuchania. Pierwszy raz odbyło się to tak, że do celi wszedł strażnik i zapytał:

– Który jest na "O"?

Z początku nie bardzo rozumieli, potem domyślili się o co chodzi i Rick podniósł rękę:

– Nazwisko? – rzucił strażnik.

– O'Sullivan – odparł Rick.

– Imię?

– Richard.

– Imię ojca?

– Harry.

– Na przesłuchanie! Ręce w tył! – zakomenderował.

Wyprowadzili Ricka z celi. Szli wolno korytarzem, następnie zaczęli piąć się po schodach. Rick naliczył dwanaście stopni. Po przejściu pięćdziesięciu kroków na górnym piętrze klucznik otworzył drzwi i wprowadził go do środka. Rick stwierdził, że znajduje się w podobnej celi, tylko zamiast pryczy jest biurko, za którym siedzi młody oficer. Towarzyszył mu protokolant. Oficer wskazał krzesło i przez chwilę przerzucał teczkę z papierami. Wreszcie odezwał się niezłą angielszczyzną:

– Nazwisko? Imię?

Po spisaniu personaliów przystąpił do właściwego przesłuchania. Przede wszystkim chciał wszystko wiedzieć o jednostce, w której Rick służył. Interesował go również cel ich zadania. Rick zapytał w jakim charakterze jest przesłuchiwany. Śledczy odparł, że od zadawania pytań jest tu on.

– A jeśli już bardzo chcecie wiedzieć – dodał sucho – to aresztowani jesteście na mocy artykułu 58 paragraf 6, to jest za szpiegostwo, sierżant Kaplanowicz zaś dodatkowo odpowiadać będzie z artykułu 58 paragraf 1, to znaczy za zdradę kraju...

– Zdradę kraju? – zdziwił się Rick.

– Tak jest. Kaplanowicz opuścił ZSRR w wieku lat trzech i nasz rząd nigdy nie pozbawił go obywatelstwa – wyjaśnił krótko.

– O ile wiem, rządy nasze są w sojuszu – wtrącił Rick.

– Rządy tak, ale nie wy. Wy lecieliście z misją szpiegowską i są na to dowody – śledczy potarł szczotkę blond włosów i podyktował coś protokolantowi. Ten po każdym napisanym zdaniu meldował: – Tak jest, Gleb Maksymowicz.

– No słucham. Co macie do powiedzenia? – powtórzył oficer, patrząc na Ricka bladymi oczami. Trudno było w nich dostrzec cień sympatii.

– Skoro macie dowody, to mi je przedstawcie – odparł Rick. Oskarżenie było tak absurdalne, że przez chwilę ludził się, że to jakaś pomyłka.

– Proszę bardzo. Służę – śledczy wyjął z akt zdjęcia precyzyjnych aparatów fotograficznych zamontowanych na "Potteen". – W jakim innym celu niż szpiegostwo znaleźliście się nad terytorium ZSRR z tymi urządzeniami? Wytłumaczcie mi.

Rick już chciał zdradzić prawdziwy cel misji, gdy ugryzł się w język. Do tego przecież dążył śledczy.

– Nie macie ochoty ze mną mówić, widzę – ciągnął dalej. Zatem ja was zapytam. Jaka jest nazwa jednostki? Gdzie byliście szkoleni? Nazwisko dowódcy? Co mieliście fotografować? Dlaczego? Powiecie prawdę, włos z głowy wam nie spadnie...

Rick miał chęć odrzec, że jego zadaniem miało być zbombardowanie Władystoku, pojął jednak, że ten żart potraktowany będzie ze śmiertelną powagą. Wolał więc milczeć.

– Słuchajcie, Richard Harriowicz – śledczy zmienił ton. – My i tak wszystko wiemy. Wiemy o bombie, wiemy o waszej tajnej jednostce...

– Jak wszystko wiecie, to po co mnie pytacie? – wyrzucił z siebie Rick. Ostro wstał z miejsca. Widząc jego zdenerwowanie, śledczy łagodnie wskazał krzesło:

– Rzecz w tym, że my to od was chcemy wiedzieć. Siadajcie, Rick Harriowicz. Porozmawiajmy spokojnie...

– Nie będę rozmawiał spokojnie – rzekł Rick, wybijając każde słowo. – Albowiem nie rozmawiam z ludźmi, którzy rannego z obciętą nogą ściągają ze stołu operacyjnego i wrzucają do brudnej celi, żeby tam zdechł! Żądam natychmiast umieszczenia porucznika Fultona w szpitalu i zawiadomienia amerykańskich władz o naszym losie! Zapłacicie jeszcze za to bezprawie!

– Wy nas nie straszcie, O'Sullivan! I nie dyktujcie co mamy zrobić! – Gleb Maksymowicz wydawał się niemal dotknięty tą wypowiedzią. – My sami wiemy. A to czy zechcecie mówić, czy nie, to też, wybaczenie... – uśmiechnął się z wyższością – od nas zależy. I wkrótce się o tym przekonacie...

Spokojnie nacisnął guzik i przywołał strażnika, który odprowadził Ricka do celi.

Po tym wstępie przesłuchania ruszyły pełną parą, bez żadnej litości. Zastosowano wobec nich pełną gamę wypróbowanych metod. Od gróźb do bicia, od wymyślnych tortur do przyjacielskiej perswazji. Ricka dla zmiękczenia wrzucono do karceru, małego betonowego loszku o oślizłych, mokrych ścianach, gdzie z powodu niskiego sufitu nie sposób się było wyprostować i trzeba było stać po kostki w wodzie. Kiedy i to nie pomogło, przepuszczono go przez tak zwany konwejer, czyli nie kończące się śledztwo. Śledczy się zmieniali, a on nie. Do tego nie pozwolono mu usiąść, musiał cały czas stać. Gdy padał, polewano go kubłem wody i znów stawiano na nogi.

Myliły mu się twarze śledczych i te same do znudzenia pytania. Odkrył, że w sumie mało wiedzą. Stale krążyli wokół tych samych pytań: – Co to za bomba? W jakim kształcie? Gdzie chcieli ją rzucić? Zasięg i udźwig samolotu? Z uporem milczał.

Szczególnie nienawidził śledczego o twarzy jak piłka i skośnych oczach Azjaty. Na jego czekające pytania w ledwie zrozumiałej angielszczyźnie odpowiadał pogardliwym wydeciem ust, co tamtego doprowadzało do szału. Jedynym pocieszeniem było to, że Mongoł, jak go nazywał, też się męczył i pod koniec spotkania krople potu występowały mu na czole, a żółta, pozbawiona zarostu cera była jeszcze żółciejsza.

Gleb Maksymowicz, który po ośmiu godzinach zmienił Mongoła, widząc ślaniającego się na nogach Ricka, zwrócił się z przesadną grzecznością:

– Cóż to? Wciąż stoicie? Siadajcie, proszę – gdy jednak zbliżał się, by usiąść, raptownie odwrócił stólek nogami na sztorc. Był to rutynowy trik, który stosowali inni. Trudno było w tej pozycji długo wysiedzieć, ale nawet ta chwila przyniosła ulgę.

– Wasi koledzy wiele nam powiedzieli...

– Gówno prawda – pomyślał Rick i ostro spojrzał mu w oczy. Wiedział, że Gleb Maksymowicz nie lubi takich pojedynków i po pewnym czasie spuszcza oczy, udając, iż wertuje papiery. "Nie jesteś ty taki kozak" – stwierdził Rick – "I gdybyś był na moim miejscu, dawno byś śpiewał jak kanarek". Po paru przesłuchaniach zdołał go poznać. Przekonał się, że ze wszystkich śledczych ten fanatyczny chłopak, którego wiara w komunizm zdawała się ślepa, był jeszcze najbardziej ludzki. Stosował sztuczki, których wyuczyci go przełożeni, ale w miarę poznania nabierał dla Ricka pewnego szacunku. Często proponował herbatę i papierosy. Zmieniał się w zależności od protokolanta. Gdy był nim miły blondas, który pisząc pomagał sobie językiem, to dawał Rickowi odetchnąć. Tak było właśnie teraz. Gleb Maksymowicz zerknął na protokolanta i ustawił krzesło normalnie. Rick siadł i po dwunastu godzinach stania odczuł coś w rodzaju rozkoszy. Ogarnęła go dziwna błogość. Rozprostował spuchnięte nogi. Powieki opadły mu same, a jasna szczotka śledczego rozplynęła się we mgle. Gleb Maksymowicz udał, że nie widzi i zajął się protokołem. Chodził dużymi krokami i dyktował krótkie zdania. Czasem stawał i szorując dłonią po sterczącym jeżu, zastanawiał się nad kolejną kwestią. Blondas pisał szybko, śliniąc kopiowy ołówek.

Rick zapadł w sen. Widział teraz Betty, jak rozmawia z Kate. Kate skarżyła się, że Bob się przed nią chowa i nie chce jej zanieść na plażę. Rick nie wiedział, jak ma jej wytłumaczyć, że Bob nie może jej wziąć na ręce, bo sam przecież... Ale Kate przerwała mu z żalem: – Wiadomo! On woli jeździć na koniu! – Na jakim koniu! – Na czarnym! Nie cierpię go! I nagle przemówiła głosem matki Boba: Bobusiu! Jak możesz?! Taki duży chłopiec! Fe! Musisz być dżentelmenem. Betty wybuchnęła śmiechem. Z radości zaczęła go szarpać za rękę: Bomba! Ona jest bomba! Czy możecie określić jej kształt? – doleciał go z dala głos śledczego.

Ciężko otworzył oczy. Po raz pierwszy od paru dni odezwał się:

– Jest bardzo piękna. Ma skośne oczy, które płoną złotym blaskiem. Jest tak piękna, że trudno to opisać...

Gleb Maksymowicz nie zdziwił się nawet absurdem tej odpowiedzi, ucieszył się po prostu, że ten tak uparcie milczący kapitan wreszcie przemówił. Uśmiechnął się i pilnie nadstawił ucha:

– No mówcie, Rick Harriowicz, mówcie – zachęcał ciepło. To bardzo interesujące...

## XVIII

Ostatnie od nich wiadomości dostały dwunastego marca. "Spacerujemy sobie po Tinianie – pisał zadowolony Bob. – Tu też jest Broadway. Czekam tylko, kiedy znów się z Tobą zobaczę i pójdę prawdziwym Broadwayem aż do Times Square. Wstąpimy do teatru, a potem w klubie będziemy tańczyć do rana. Jak w Hawanie..."

Kate знаła ten list na pamięć podobnie jak Betty. Na przemian czytały sobie swoje listy. Bob pisał częściej. Jednak regularne wiadomości miały co dwa tygodnie. Gdy więc trzeci tydzień żaden list nie nadchodził, zaczęły się niepokoić. Betty, która dużo gorzej znosiła rozłąkę, wpadła w przygnębienie. Kate pocieszała ją jak mogła.

Pewnego dnia Betty przybiegła roztrzęsiona i oświadczyła, że jest pewna, iż coś się stało.

– Bzdura! – zaśmiała się Kate. – Dlaczego miało się coś stać!

Nazajutrz "bzdura" potwierdziła się. Otrzymały jednakowe listy, w których poinformowano je, że piloci Richard O'Sullivan i Robert Fulton nie wrócili do bazy z lotu bojowego nad Japonię. Brak jednak wiadomości o ich zestrzeleniu. Traktowani więc są jako zaginieni w akcji. Dowództwo obiecało natychmiast zawiadomić rodziny z chwilą nadejścia nowych informacji o losie lotników.

Trudno wyobrazić sobie, co przeżyły. Betty oznajmiła, że bez Ricka nie chce żyć i woli umrzeć. Kate wymyślała jej od wariatek.

– Jesteś w ciąży! Musisz urodzić! – przekonywała ją.

– Po co? Dla kogo? – odpowiadała Betty, wzruszając ramionami.

Zamknęły się w pokoju i nie wpuszczały nikogo. Kate powtarzała w kółko, że nie zostali zestrzeleni, więc żyją. Są tylko zaginieni...

Oscar Vanderzaan niespokojny o stan córki starał się podtrzymać te nadzieje, chociaż sam wątpił w powrót Ricka. Przez parę dni w domu panował grobowy nastrój, gdy raptem Oscar wpadł do salonu i wykrzyknął:

– Cudowna wiadomość! Przed chwilą Hap, generał Arnold – poprawił się zaraz – dzwonił do mnie i zapewniał, że nasi chłopcy żyją! Nie zostali nad Japonią, tylko przymusowo lądowali w Rosji, koło Władywostoku...

– Kłamiesz! – Betty rzuciła mu się na szyję. – Specjalnie tak mówisz, bo chcesz mieć wnuka...

– Wnuka chcę też, to prawda – przyznał szczęśliwy Vanderzaan, ale i zięcia. A wiadomość jest pewna. Podała ją nasza łódź podwodna, która przejęła od nich meldunek już po wylądowaniu w ZSRR...

Obydwie rodziny wydały na to konto bankiet, zapraszając dodatkowo matkę i siostrę Kate. Oscar Vanderzaan przyrzekł, że stanie na głowie, żeby jak najszybciej zdobyć bliższe informacje o Averella Harrimana \* z ambasady w Moskwie i amerykańskiej misji wojskowej. Artur Fulton też postanowił działać.

Averell Harriman – amerykański potentat przemysłowy, związany z administracją Roosevelta. Ambasador Stanów Zjednoczonych w Moskwie w czasie II wojny światowej. Zwolennik ścisłego sojuszu z Rosją.

Betty również nie czekała. Natychmiast zadzwoniła do Davida Dresdnera, z którym od czasu ślubu prawie się nie widziała i poprosiła go o pomoc. Dawid nie miał powodu kochać kapitana O'Sullivana, Betty wiedziała jednak, że dla niej zrobi wszystko.

Spotkali się w tej samej kawiarni, u Gallaghersa. Betty była trochę skrępowana tym stanem i starała się możliwie szybko prześliznąć między stolikami w swym jasnym, luźnym kostiumie. Dawid czekał już na nią, czytając gazetę. Na jej widok poderwał się i jak zwykle tradycyjnie zamówił czekoladowy tort. Przywitali się serdecznie, jakby się wczoraj rozstali. Dawid przyglądał się Betty z wyraźną radością. Przyznawał w duchu, że i w ciąży jest piękna. Cera dalej wspaniała, a lekko spuchnięte wargi były jeszcze bardziej pojętne. Jedyne wysoko niegdyś wcięte biodra teraz zaokrągliły się jak beczułka. Ale i to dodawało jej swoistego uroku. "Nie ma siły na diablicę" – pomyślał z satysfakcją. Po chwili przeszli do właściwego tematu spotkania. Dawid słyszał już o zaginięciu samolotu i szczęśliwym odnalezieniu Ricka.

– Na pewno nie jest miło przymusowo lądować, lepiej jednak zrobić to w ZSRR niż w Japonii – stwierdził ze znaną pewnością siebie. – Są przynajmniej na ziemi sojuszników – delikatnie ujął ją za rękę i przytrzymał dłużej. Betty nie cofnęła jej pochłonięta rozmową. – Nic im nie grozi. Możesz być spokojna – dokończył wolno.

Betty sięgnęła wolno do torebki i wyjęła z niej dużą mapę. Rozłożyła ją na stoliku:

– Nigdy nie wiedziałam, gdzie jest ta Rosja – przyznała się. – A już o istnieniu Władywostoku nie miałam zielonego pojęcia. A dziś to miasto jest mi droższe niż Nowy Jork. Śmieszne – wskazała mały punkt na mapie. – Wciąż tu jestem...

– Władywostok. Znany port. Kolej transsyberyjska. Jak można było o nim nie słyszeć? – zdziwił się jak nauczyciel.

– Można. Nie każdy jest encyklopedią jak ty – odparła z uroczą prostotą. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Dawid bawił się fajką.

– Możesz zapalić. Pozwalam – znów spojrzała na mapę. – Ten Władywostok wcale nie jest tak daleko – rzekła, jakby odkryła Amerykę.

– No pewnie, że nie – roześmiał się ubawiony tym odkryciem. – Rosja nie leży na końcu świata. Mamy z nią stałe kontakty – wyjaśnił profesorskim tonem. – Uruchomię Alberta Heatha z Departamentu Stanu. Heath zna attach~e prasowego ambasady radzieckiej. Sądzę, że wkrótce będzie coś wiedział.

– Naprawdę?! – ucieszyła się. – Nigdy ci tego nie zapomnę – w jej skośnych oczach pojawiły się ciepłe błyski.

– Moje interesy – westchnął Dawid i ponownie wziął ją za rękę. – Ale mówi się trudno i kocha się dalej – spojrzał na nią znacząco. – To kiedy spodziewasz się następcy tronu? – zmienił temat, zapalając fajkę.

– Za dwa miesiące – odparła szybko.

– Za dwa miesiące – powtórzył, wolno wydmuchując dym z fajki. – Mój Boże. Tak niedawno...

Chciał powiedzieć, że tak niedawno jeszcze miał nadzieję, że zostanie jego żoną, a teraz oto przychodzi mu szukać ojca tego nie narodzonego dziecka w dalekiej Rosji. Zaiste dziwny jest los człowieka. Żaden filozof go nie przewidzi.

Po rozstaniu się z Dawidem Betty postanowiła wstąpić do Kate. Zastała przyjaciółkę w strasznym stanie. Usta jej drżały. Betty oczekiwała najgorszego. Widziała już treść depechy. Tymczasem Kate oznajmiła jej grobowym głosem, że właśnie przed chwilą usłyszała komunikat o śmierci prezydenta Roosevelta. Betty wszystkiego się spodziewała tylko nie tego. Prezydent Roosevelt wydawał się wieczny. Był jak opoka. I symbol nadziei. Z wrażenia usiadła na krześle. Wiadomość ta przygnębiła ją, z drugiej strony odetchnęła z ulgą, że to nie Rick, ani Bob. Obydwie wybuchnęły płaczem. Z radia płynęła żałobna muzyka, pogłębiając ten ponury nastrój.

– Nie jest to najlepsza wróżba – szepnęła Kate.

– To ja mam monopol na przesąd – stwierdziła Betty, z trudem próbując się uśmiechnąć.

– No właśnie. Wisi coś widać w powietrzu. Co za rok. Co za przekłety rok! – znowu wybuchnęły płaczem.

\* \* \*

Dawid wkrótce załatwił spotkanie z Albertem Heathem w Departamencie Stanu. Twierdził, że osobiste przedstawienie sprawy robi zawsze większe wrażenie. Heath blisko współpracował z Podsekretarzem Stanu i miał świetne stosunki zarówno w rządzie, jak i w korpusie dyplomatycznym. Znał dobrze ambasadora radzieckiego Gromykę. \* Heath pamiętał Betty i Kate – tym chętniej zgodził się przyjąć obie panie. Razem udali się do Waszyngtonu. Albert Heath wyszedł z gabinetu na ich spotkanie:

Andriej Andriejewicz Gromyko – w czasie akcji powieści ambasador ZSRR w Waszyngtonie, potem stały przedstawiciel przy ONZ, a pod koniec życia Stalina wiceminister spraw zagranicznych. Za rządów Chruszczowa awansowany na pełnego ministra. Pełnił tę funkcję nieprzerwanie od 1957 roku do 1985, po czym wybrany został na przewodniczącego Rady Najwyższej ZSRR. Z tego stanowiska ustąpił dopiero niedawno, pod koniec życia.

– Znam sprawę – rzekł na wstępie. – Dawid jest pani przyjacielem, ja jego, a przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi – zwrócił się kordialnie do Betty, szeroko otwierając drzwi swego gabinetu. Sekretarce surowo przykazał, by nie łączyła go z nikim, chcą bowiem spokojnie porozmawiać.

– Chyba, że prezydent. To wtedy. Lub koniec wojny – zażartował.

Siedli w głębokich fotelach. Heath mimo młodego wieku był mocno otyły i sadowiąc się obok Betty, rzekł z ciężkim sapaniem:

– Świetnie panią rozumiem. Trudny bagaż – spojrzał wymownie na swój brzuszek. – Tylko w przeciwieństwie do pani ja nie mam żadnej nadziei. Nie urodzę –



zaśmiał się jowialnie, ukazując zdrowe zęby. – Dawid zapoznał mnie z historią mężów pań – przeszedł do tematu. – I jeśli istotnie są na terenie ZSRR, nietrudno to będzie sprawdzić...

– Właśnie, że trudno – przerwała mu Betty. – Mój ojciec od tygodnia próbuje i nic nie może wskórać. Dlatego tak bardzo liczymy na pana. Mamy konkretne wiadomości...

– To znaczy jakie? – spytał Heath.

– Meldunek naszej łodzi podwodnej, której przesłali sygnał, że szczęśliwie wylądowali w pobliżu Władywostoku...

– Mówiłem ci o tym – wtrącił Dawid.

– Tak. Rzeczywiście – Heath autorytatywnie wyduł zmysłowe wargi. – Jeśli taki meldunek nadszedł, to pocieszające. Teraz należy się tylko modlić, aby Rosjanie to potwierdzili...

– No właśnie. Dlaczego milczą? – wykrzyknęła Betty.

– Chwileczkę. Jest wojna. Proszę to zrozumieć. Tam toczy się ciężki bój. Takich spraw oni mają tysiące. Trzeba się uzbroić w cierpliwość, drogie panie...

– My nic innego nie robimy – odparła Betty, wyciągając chusteczkę.

– Proszę się uspokoić – zaczął łagodnie Heath. – Pani płacze, a oni tam pewnie wiwatują. Obwożą ich zwycięsko. Ze znaną rosyjską gościnnością. Nie mają czasu nawet napisać...

– Oby – westchnęła Betty – na wszystko się zgodzę...

– Ja bym tak łatwo się nie zgadzał. Rosjanki potrafią być urodziwe. Jak Raisa. Żona attach~e prasowego Gorodenki. Co? Dawid? Nie lekceważyłbym przeciwnika – zażartował, chcąc ożywić atmosferę.

– Na wszystko się zgodzę – powtórzyła Betty, wycierając nos w chustkę. – Byle tylko żył.

– Ja też – wsparła ją Kate. – I musi pan nam pomóc.

– No cóż, drogie panie – Heath poprawił kant swoich sztuczkowych spodni. – Mogę was tylko zapewnić, że jeszcze dziś pchnę kabel do Moskwy i zawiadomię ambasadora Harrimana. Jest również nadzieja, że w związku z otwarciem pierwszej sesji Organizacji Narodów Zjednoczonych minister spraw zagranicznych Mołotow zatrzyma się w Waszyngtonie w drodze do San Francisco. Byłaby to dodatkowa okazja do poruszenia tej kwestii. Nie jest to jednak pewne. Rosjanie wciąż nie wyrażają zgody na swój udział. Śmierć prezydenta Roosevelta mocno skomplikowała nasze stosunki. To też złośliwy żart historii. Na minutę przed zwycięstwem zabrakło nam tego wielkiego przywódcy. Stalin bardzo się z nim liczył i brak jego autorytetu odczuwamy boleśnie. No nic, miejmy nadzieję, że ta śmierć nie zaważy na losach świata. Ani tej sprawy – Heath pochylił się lekko, dając subtelnie do zrozumienia, że audycja jest skończona.

Dawid podał rękę Betty i pomógł jej wstać.

– Bądź dobrej myśli – rzekł czule – Albert zrobi wszystko, co w jego mocy –

zapewnił ją.

– Ma pani w nim wielkiego przyjaciela – przyznał Heath, spoglądając ukradkiem na jej mocno zaokrąglony brzuch. – Sądzę, że pani to docenia...

– O tak – potwierdziła gorąco. – Bez Dawida byłaby klęska – ogarnęła go wdzięcznym spojrzeniem.

Heath odprowadził ich do drzwi:

– Następnym razem postaram się o lepsze wiadomości – rzucił na pożegnanie.

– Dziękujemy panu – odpowiedziały zgodnie i szybko wyszły z gabinetu. Czasu było naprawdę mało. Ostatni pociąg do Nowego Jorku odjeżdżał za pół godziny.

## XIX

Bob po amputacji nogi wysoko gorączkował i jego stan pogarszał się z każdym dniem. Koszmarne warunki w celi i złe odżywianie sprawiły, że zupełnie opadł z sił. Niemniej raz się przemógł i z pomocą kolegów spróbował wstać. Kiedy Rick zobaczył go ze smutnie wiszącą nogawką, ledwie się opanował.

– No co? Pościgamy się? – zakpił Bob i machnął pustymi spodniami.

Rick starał się go pocieszyć:

– W domu ci zrobią protezę i będziesz biegał...

To "w domu" wypadło jeszcze gorzej. Zważyli, że ten dom kiedykolwiek zobaczą.

Piątego dnia po operacji Boba wszedł klawisz i zapytał, który z nich jest na literę "F". Zamarli ze zgrozy. Wreszcie Bob uniósł rękę. Wtedy dwóch strażników podbiegło do niego, próbując zwlec z kojki. Rick zastąpił im drogę:

– Stop! Bo zabiję!

Inni dołączyli do niego i zasłonili Boba zwartym murem. Glenn pchnął strażnika swym wielkim ciałem, aż tamten zatoczył się pod ścianę. Czapka spadła mu z głowy.

– Co to bunt?! Ja was nauczę! Zdrajcy!

Rick natarł na niego z furją. Strażnik cofnął się z kolegami i w strachu zatrzasnął drzwi.

– Ścierwa! – splunął z wściekłością Grzdyl. – Dzicz!

Kuzmich zaczął rwać włosy z głowy:

– Coście zrobili?! To obłęd! On tu zaraz przyjdzie!

– Kto?

– Iwan Groźny – szepnął z lękiem. Miał twarz zaszczutego psa. W obłąkanym strachu miotał się po całej celi.

– Chłopcy! – rzucił krótko Rick. – Nie damy go... – Nie skończył.

Do celi wpadło kilku strażników z Iwanem Groźnym na czele. Iwan trzymał

olbrzymią gumową pałą zakończoną żelazną główką. Uśmiechał się wrednie. Wierzyć mu się nie chciało, że trafia mu się taka gratka:

– Ach wy hitlersy! Faszyci! Krzyk podnosicie? O tego kulawca?! Ja wam zaraz dwie nogi z dupy powyrywam i jeszcze każę tańczyć! Nauczycie się szanować władzę radziecką...

Świsnęła opancerzona nahajka. Jak trafiony kulą, Snajper zwałił się na ziemię. Z ucha trysnęła krew. Wywiązała się krótka, okrutna walka. Nieludzki skrzek klucznika rąbnętego przez Glenna w splot słoneczny zmieszał się z wyciem Iwana Groźnego, któremu Rick rozpląszczył genitalia. Były to jednak tylko dwa drobne zwycięstwa. Wynik walki wyczerpanych głodem więźniów ze spasionymi, uzbrojonymi w pały strażnikami był z góry przesądzony. Zaczęła się jatka. Na wleczonych za włosy lotników spadł grad żelaznych kańczug i podkutych butów. Turlali się po podłodze osłaniając rękami wrażliwe miejsca. Wkrótce na korytarzu leżały zmasakrowane ciała. Zasapani i posiniaczeni strażnicy wlekli jak worki nieprzytomnych lotników do karceru.

Bob zgodnie z rozkazem zaniesiony został na śledztwo. Po tym buncie zmniejszono i tak już głodowe racje. Gdy ponownie spotkali się w celi, każdy z nich przeraził się wyglądem drugiego. Teraz dopiero zrozumieli pierwszą zasadę przetrwania w więzieniu Kraju Rad, którą tłumaczył im ongiś Kuzmicz.

– Nie kręć sam dupą, jak nie ciebie pierdolą...

Przyjęcie tej zasady dawało szansę przeżycia, odrzucenie gwarantowało śmierć. Kuzmicz widząc ich opłakany stan, podwoił swe wysiłki:

– Po co się tak męczyć? Nie lepiej powiedzieć i zachować zdrowie? Przyda się wam w obozie. U nas za nic do więzienia nie wsadzają, więc i tak przyznać się trzeba. Inaczej być nie może...

Słuchali tego w osłupieniu. W tej przewrotnej filozofii wina stawała się pojęciem subiektywnym, natomiast przyznanie się obiektywnie słuszną koniecznością.

– Chcę wam tylko pomóc – zapewniał ich Kuzmicz. – Im szybciej to zrozumiecie, tym lepiej dla was.

Praktycznego Arona przysięgi te jakoś nie zadowalały. Po kolejnym przesłuchaniu wrócił ponury i przysiadł się do Kuzmicza:

– Arkadij Pietrowicz – zaczął cicho. – Chcę się was poradzić. Przedtem jednak musicie mi przysiąc, że nikomu nie powiecie. Przysięgniecie?

– Aron Mojsiejewicz! – walnął się w piersi Kuzmicz. – Na wielkiego Stalina i na śmierć Hitlera klnę się!

Aron wolał lepszych gwarantów, ale po namyśle przystał. W największym sekrecie zdradził Kuzmiczowi, że ma w Rosji rodzinę, którą ukrył przed śledczym, nie chcąc jej narażać. Subiektywnie uważa, że zrobił dobrze, obiektywnie jednak ma pewne wątpliwości.

Nazajutrz Kuzmicz sam zgłosił się do opróżnienia paraszy. Po południu zaś na przesłuchanie wezwany został Kaplanowicz. Mongoł czekał już na niego z protokołantem. Po małym wstępie przeszedł do właściwego tematu:

– Słuchajcie, Kaplanowicz. Jak wam wiadomo, w naszym prawie radzieckim za

zdradę ojczyzny odpowiada nie tylko sam zdrajca, ale jego cała rodzina. Waszą rodzinę, rzecz jasna, my dawno mamy pod kluczem. Chcielibyśmy jednak wiedzieć, kto z waszych krewnych został zwerbowany...

– To wujek Łazar siedzi tyż? – zmartwił się Aron.

– Nie tylko wujek Łazar, ale wszystkie ciocie – potwierdził z satysfakcją Mongoł, patrząc na zaskoczonego Arona.

– To ja się dziwię, że wujek Józef na to pozwolił – rzekł Aron z niedowierzaniem.

– Wujek Józef nie ma tu nic do gadania – przerwał mu śledczy. – A skoro o nim mowa to jakie jego nazwisko?

– Josif Wissarionowicz Stalin. Wujek Józef. My Kaganowicze zawsze go tak nazywaliśmy, traktując marszałka Stalina jak najbliższą rodzinę – wyjaśnił zdębiałemu śledczemu. – I żeby takie coś?! Świat się kończy! – przyglądał swój przedziałek.

Śledczemu aż dech zaparło. Po chwili oszołomienia podjął niepewnie:

– Chcecie powiedzieć, że członek prezydium WKP(b) towarzysz Łazar Mojsiejewicz Kaganowicz jest waszym wujkiem?

– Ausgerechnet (niem. – absolutnie tak) to, panie sędzio – potwierdził Aron. – Ja jestem Mojsiejewicz tyż. A Kaplanowicz to błąd literowy. Powinno być Kaganowicz, co niniejszym prostuję.

Mongoł westchnął i potarł niskie czoło. Był pewien, że ten Żyd kłamie, lecz jeśli nie? Należało zachować ostrożność. Po chwili namysłu odparł groźnym tonem:

– My to sprawdzimy, Kaplanowicz. Jeśli kłamiecie, to marny wasz los...

– A jeśli nie? – zapytał Aron.

Mongoł dość miał tej dyskusji i odetchnął z ulgą, gdy do celi wszedł jego zmiennik Kwarc. "Niech on się teraz z nim męczy – pomyślał. – Dwaj Żydzi to się jakoś dogadają". Szybko przekazał teczkę i wyszedł.

Kwarc świeżo przyjechał z Moskwy i jako specjalista fizyk miał rozpracować techniczną stronę zagadnienia. Wycisnąć z Amerykanów jak najwięcej informacji. Pierwszy raz zetknął się z Aronem i obrzucił go smutnym spojrzeniem ciemnych oczu. Z politowaniem pokiwał głową:

– I jak wam nie wstyd Aron Mojsiejewicz – zaczął po przyjacielsku. – Służyć imperialistom. I występować przeciw własnej ojczyźnie.

– Co to znaczy własnej? Ona nie jest moja. Ona jest szczęśliwą ojczyzną proletariatu...

– Otóż to. Sami powiedzieliście – uradował się Kwarc. – Drogi Aronie Mojsiejewiczu – ciągnął dalej w serdecznym tonie.

– A jak pańskie imię? Skoro mamy tak miło rozmawiać...

– Moje? Salomon Issakowicz Kwarc – przedstawił się śledczy.

– Mazel tov (co za szczęśliwy los)! – wykrzyknął Aron i przeszedł na jidisz. – Wreszcie wspólny język! Nie trzeba się męczyć po rosyjsku. Jak miło spotkać rodaka

na tak odpowiedzialnym stanowisku – zakpił w oczy.

Kwarc z niepokojem spojrział na protokolanta, który uniósł głowę nic nie rozumiejąc. Nerwowo przesunął teczkę i chłodno odparł po rosyjsku:

– U nas problem narodowy dawno rozwiązaliśmy. Nie ma różnic. Rosjanin, Żyd, Gruzin czy Kazbek...

– Każdy siedzi – dokończył Aron.

– Wszystkie narody równe!

– A niektóre równiejsze – stwierdził Aron wciąż w jidisz.

– Nie tak jak u was! – podniósł głos Kwarc. – Gdzie Murzynów męczą na plantacjach coca-coli!

– Jak ja bym chciał być takim Murzynem. Męczonym – westchnął tęsknie Aron.

– Przestańcie mówić w jidisz! – zdenerwował się Kwarc.

– Z powodu równości?

– Z powodu tego, że jest to przejaw ciasnego szowinizmu! Nie dość, że jesteście amerykańskim szpiegiem i zdrajcą narodu, to jeszcze żydowskim szowinistą! W chwili, gdy Związek Radziecki prowadzi śmiertelny bój z faszyzmem, ratując od zagłady miliony Żydów Europy, wy Żyd wbijacie nam nóż w plecy!

– Komu nam, pytam?! – zawołał Aron.

– Nam! Nam! I mnie Żydowi wstyd za was! – wykrzyknął z ogniem w oczach.

– Oj-oj-joj, Salomon – westchnął Aron. – Ja się o ciebie poważnie boję. Ty jesteś zakochany. Ty jesteś zakochany w ten komunizm. Ja słyszałem richtig to samo od Żydów w Nowym Jorku, ale Żydzi w Nowym Jorku są głupi jak but i kochają się w ciemno. Ale ty przecież widzisz. Znasz tę panienkę. Żyjesz z nią. Widzisz, że to żadna dziewica, tylko straszna kurwa! Zimna, krwiożercza kurwa! Jak można się w takiej kochać?!

– Dość! – rąbnął w stół Kwarc. – Ja ci daję ostatnią szansę, zdrajco! – opanował się i spokojnie już zaczął przesłuchiwać:

– Wiemy – rzekł sucho – że bomba, z którą lataliście, była dużo większa od innych. Czym się różniła? Opiszcie mi ją...

– U nas wszystkie bomby równe – stwierdził Aron. – Myśmy ten problem dawno rozwiązali...

– Ty bydlę! Swołocz! – Kwarc w furii nie znajdował słów. – Ty mnie nie doprowadzaj do szału!

– Internacjonalistyczny Żyd nie powinien dostawać szału – pouczał go w jidisz Aron. – On powinien się cieszyć, że jest wolny i szczęśliwy i że może przesłuchiwać drugiego Żyda po rosyjsku. W języku międzynarodowego proletariatu. A teraz sza, szloma! Ja chcę złożyć ważne oświadczenie. Towarzyszu! – zwrócił się po rosyjsku do protokolanta. – Zanotujcie proszę. Oświadczenie oskarżonego Arona Kaplanowicza. Dyktuję...

Protokolant spojrział pytająco na śledczego.

– Piszcie – przyzwolił obojętnie Kwarc. – Może wreszcie coś powie...

– Ja chciałbym oświadczyć – zaczął uroczyście Aron – że przyznaję się do winy. Brałem udział w spisku syjonistyczno-imperialistycznym wymierzonym przeciw ZSRR. Moim zadaniem było wkradnięcie się w szeregi armii, którą zdradziłem już w trzecim roku życia. Po wylądowaniu miałem wejść w kontakt z agentem numer sześć, który działał pod pseudonimem Borys. Właściwe nazwisko tego Borysa brzmiało...

– No jak? – zapytał żywiej Kwarc.

– Jego nazwisko – Aron przerwał i zwrócił się do protokolanta. – Piszecie, towarzyszu? – upewnił się.

Ten kiwnął głową.

– Salomon Issakowicz Kwarc – wyznał z całą powagą.

Kwarc zerwał się i na odlew zdzielił Arona w twarz. Kaplanowicz zwałił się z krzesła i przez pewien czas nie dawał znaku życia. Po chwili uniósł się i trudem, obmacując obolałą głowę.

– Ty zdrajco! – szalał nad nim Kwarc. – Prowokatorze! Żarty sobie robisz?! Z prawa naszego kpisz! Ja cię zaraz zabiję! Żywy stąd nie wyjdiesz! Zabrać gada! – w furii nacisnął guzik.

Dwaj klucznicy wywlekli Arona z celi. Kwarc zapalił papierosa i już dużo spokojniej zwrócił się do protokolanta:

– I jak z nim łagodnie? Sami widzicie. Trzeba wygnieść jak wszy...

– To prawda, Salomon Issakowicz – zgodził się protokolant. – Ja nic nie notowałem – dorzucił skwapliwie.

– Myślę – wybuchnął Kwarc. – Mnie oskarżać?! Co za hucpa! Co za wstrętna żydowska hucpa! – powtarzał wściekle, wciąż nie mogąc się z tym pogodzić.

Kiedy zobaczyli Arona wrzuconego jak worek do celi, zaraz zrobili mu miejsce. Troskliwie ułożyli na kojce. Przez chwilę nikt nic nie mówił. Wreszcie Glenn odezwał się pierwszy:

– Tak cię przesłuchiwali?

– Nie. Ja ich – zaprzeczył Aron i zwycięsko powiódł szparą w lewym przekrwionym oku.

## XX

Betty nigdy nie przypuszczała, że Dawid zachowa się tak wspaniale. Nie tylko bez przerwy do niej dzwonił, ale występował wciąż z nowymi inicjatywami. To on wpadł na pomysł urządzenia spotkania z Margaret Truman, którą znał jego kolega z działu kulturalnego. Margaret kończyła konserwatorium i rozpoczynała karierę śpiewaczki. Akurat była w Nowym Jorku i doszło do krótkiego spotkania. Margaret przejęła się losem lotników i obiecała, że natychmiast przekaze to swemu ojcu.

Co prawda Oscar Vanderzaan twierdził, że prezydent wie już o całej sprawie od generała Arnolda, Betty jednak uważała, że taka rodzinna interwencja nigdy nie

zaszkodzi.

– Jej głos więcej się liczy niż generała. Ty też chętniej coś zrobisz dla mnie niż dla swego dyrektora – argumentowała.

Oskar Vanderzaan nie chciał gasić w niej tej wiary, uznając, że w jej stanie każde działanie jest lepsze od smutku i apatii.

Właśnie zadzwonił Dawid z nowiną, że Rosjanie zdecydowali się w końcu wziąć udział w uroczystej pierwszej sesji ONZ i Mołotow w drodze do San Francisco zatrzyma się w Waszyngtonie. Wydany będzie bankiet na jego cześć w ambasadzie radzieckiej i on, Dawid, ma nawet zaproszenie.

– Jadę więc z tobą – zdecydowała Betty.

– Zaproszenie jest tylko dla mnie – uprzedził ją.

– Nie szkodzi. Wystąpię jako twoja żona. Nie chcesz mieć żony z gotowym dzieckiem? – zażartowała.

Dawid nie wiedział co odpowiedzieć. Z góry się zastrzegł, że Rosjanie są wielkimi rygorystami i mogą jej nie wpuścić. Nie będzie to jego wina.

– Dam sobie radę – odparła Betty z wrodzoną pewnością siebie.

Całą noc myślała o tym spotkaniu. Instykt podpowiadał jej, że samo wręczenie prośby nic nie da. Mołotow ma ich wiele. Wrzuci po prostu do kosza. Trzeba znaleźć sposób na przykucie jego uwagi. Nad ranem wydało się jej, że taki sposób znalazła.

Spotkali się z Dawidem na dworcu. Był ciepły, kwietniowy dzień. Betty ubrana w luźną suknię, spod ciemnego kapelusza wystawały jasne, długie włosy. Wyglądała bajecznie. Dawid przez chwilę nie żałował, że ją wziął. Był po prostu szczęśliwy.

Pod ambasadą radziecką dostrzegli liczne straże policji amerykańskiej, ale w samym gmachu nie natrafili na opór. Po okazaniu przez Dawida zaproszenia dołączono ich do gęstego szpaleru ludzi, którzy wolno zbliżali się do witającego w hallu ambasadora.

Dawid tylko dwukrotnie rozmawiał z ambasadorem Gromyką i mocno się zdziwił, gdy ten wymienił jego nazwisko. Takiej pamięci się po nim nie spodziewał. Szybko wprowadzono ich do sali recepcyjnej, gdzie wśród gości dostrzegli Alberta Heatha. Zanim jednak zdążyli się z nim przywitać, podbiegł do nich młody człowiek z grzywą blond włosów opadających niesfornie na czoło.

– To attach~e prasowy Gorodenko – zdążył jej szepnąć Dawid.

Gorodenko na ich widok szeroko rozwarł ramiona:

– Miło powitać. Naprawdę – gorąco uściśnął im ręce. Zwracając się do Betty, z zalotnym uśmiechem dodał natychmiast. – Dawid nie chwalił się, że ma tak piękną żonę. Teraz się wydało...

Dawid nie sprostował tej gaffy. Betty też jakoś nie wypadalo. Gorodenko szybko wyjaśnił, że wszyscy czekają na ministra Mołotowa, który właśnie przyleciał z Moskwy. Samolot się trochę spóźnił.

Dawid bardzo był ciekaw, jak wygląda człowiek, którego nazwiskiem ochrzczono butelki z benzyną rzucane na pojazdy pancerne. O słynnych cocktailach Mołotowa

pisał nieraz w swoich artykułach. Zniszczyły niemało czołgów. Stały się symbolem bohaterstwa narodu rosyjskiego w walce z wrogiem. I teraz oto miał go zobaczyć. Przez salę przeszedł radosny pomruk. Wszystkie oczy skierowały się ku wejściu, gdzie niski, krępy mężczyzna w binoklach i z małym, siwiejącym wąsikiem wprowadzany był ze wszystkimi honorami. Z jednej strony towarzyszył mu asystent sekretarza stanu, Dean Acheson, z drugiej ambasador radziecki Gromyko. Ten młody brunet o głęboko osadzonych oczach i lekko ukośnych ustach był wschodzącą gwiazdą dyplomacji radzieckiej. Zastąpił na tym stanowisku słynnego Maksyma Litwinowa. O inteligencji Gromyki i jego świetnej znajomości języków opowiadał Dawidowi Heath.

Mołotow zatrzymał się na środku sali. Błysnęła magnezja. Gromyko powitał wszystkich krótko i oddał głos dostojnemu gościowi. Mołotow wyraźnie zmęczony po podróży wygłosił kilkadziesiąt zdań cichym, bezbarwnym tonem. Mówił o bliskiej klęsce faszyzmu i nadziei na trwałe pokój, który przyniosą światu wszystkie demokratyczne kraje złączone w antyfaszystowskiej koalicji. Wyraził przekonanie, że sojusz rozpoczęty przez prezydenta Roosevelta i marszałka Stalina będzie kontynuowany.

– Są siły – dodał jednak, które chciałyby ten sojusz rozbić. Daremne są ich wysiłki. Nie dopuści do tego postępową część świata, nie dopuszczą progresywne siły samej Ameryki!

Przerwano mu oklaskami. Na samym końcu zerwała się owacja. Dziennikarze okrążyli go z aparatami.

Za chwilę kurtyna rozsunała się i ambasador Gromyko zaprosił gości do stołu, uginającego się pod ciężarem tradycyjnych dań rosyjskich. Albert Heath w towarzystwie znakomitego publicyście amerykańskiego Waltera Lippmana podszedł z kieliszkiem do Mołotowa:

– Udało się wam wyprodukować nie tylko cocktail Mołotowa, ale i świetny koniak – pochwalił trunek armeński.

– Obydwa walnie przyczyniły się do klęski Hitlera – wtrącił krótko Gromyko.

Na surowej twarzy Mołotowa pojawił się dawno nie widziany uśmiech.

Betty uznała, że nadszedł właściwy czas. Z dziwną lekkością wskoczyła na krzesło i kierując kieliszek w stronę Mołotowa zawołała:

– Teraz ja pragnę wznieść toast! Za zdrowie naszych lotników, którzy od chwili wylądowania na sojuszniczej ziemi rosyjskiej pod Władywostokiem nie dali znaku życia! Jestem żoną dowódcy tego samolotu, kapitana Richarda O'Sullivana – tu Betty rozwinęła duży portret Ricka, by wszyscy mogli go widzieć. – I zwracam się do pana Mołotowa z gorącym apelem o natychmiastowe ich uwolnienie zgodnie z duchem sojuszu, w który tak głęboko wierzy... – to mówiąc, zeskoczyła z krzesła i wręczyła list Mołotowowi. Wszyscy zaniemówili.

Mołotow w pierwszej chwili stał sztywno, ale gdy rozległy się oklaski, zdecydował się wziąć list z rąk Betty. Tłum dziennikarzy natychmiast zareagował, posypały się pytania czy to prawda? Mołotow z kamienną twarzą odparł:

– Gdyby samolot taki rzeczywiście wylądował, coś bym wiedział. Niemniej sprawę postaram się wyjaśnić...



Reporterzy otoczyli Betty, prosili o zdjęcie Ricka. W podnieceni pośpiesznie udzielała odpowiedzi. Kiedy ją wreszcie odstępili, Dawid spojrział z podziwem:

– Jesteś bohaterką wieczoru. Większą niż Mołotow...

– O to mi chodziło – odparła szczęśliwa. – Teraz musi odpowiedzieć. Za dużo świadków...

Dawid bardziej liczył na Alberta Heatha, a przede wszystkim na jego rozmowę z Mołotowem, ale stwierdził jednak, że występ Betty na pewno pomoże.

Tymczasem Heath przechadzał się w ogrodzie z attach~e prasowym Gorodenką, któremu tłumaczył, jak dobrze się stało, że w swoim czasie powiadomił go o sprawie samolotu:

– Sami widzicie. Trudno tę rzecz zatuszować. Może nabrać niebezpiecznych rozmiarów – ostrzegął.

Gorodenko, w istocie pułkownik MGB, zapewnił go, że przekazał wszystko władzom w Moskwie i uprzedził o ewentualnej interwencji Harrimana. Podziękował też za cenne informacje o specjalnej jednostce lotniczej trenującej z nową bombą.

– Dane przekazane nam przez Harry Silvera z Los Alamos w pełni to potwierdziły. Centrala wam gratuluje. Wracając zaś do rzeczywistości – ciągnął dalej. – Mamy dla was ciekawą propozycję...

Heath nadstawił uszu. Gorodenko uśmiechnął się miło:

– Nasz rząd uznał, że na czele nowej Organizacji Narodów Zjednoczonych powinien stanąć ktoś na poziomie. Inaczej być nie może. A któż bardziej do tego się nadaje jak nie wy? Pomyślcie o tym. Będziemy gorąco popierać waszą kandydaturę – to mówiąc wprowadził Heatha z powrotem na salę.

Nazajutrz Oscar Vanderzaan zapukał do drzwi córki. Zmęczona podróżą Betty spała po południu. Położył na kołdrze plik gazet.

– Wspaniały z ciebie szef reklamy, moja córko. Powinienem cię zatrudnić...

Betty spojrzała na pierwszą stronę. Wielki tytuł bił w oczy:

"Córka Vanderzaana pyta o los swego męża!

Zaskoczony Mołotow milczy!

Czy naprawdę nasi lotnicy są w ZSRR?"

Vanderzaan z uśmiechem przyglądał się córce:

– Nieźle nabroiłaś – mruknął wreszcie.

– Grunt, że napisali! – krzyknęła z triumfem. – Teraz się już nie wyprą!

## XXI

Chociaż Makarow odpowiadał za wyniki śledztwa, sam nie badał więźniów. Szykował się do drugiego etapu przesłuchań. Na razie prowadzili je specjaliści z Moskwy. Byli to wytrawni fachowcy, świetnie zorientowani w technicznej stronie

zagadnienia. W większości mówili po angielsku. Mimo pełnej gamy środków stosowanych zwyczajowo wobec wrogów ludu, Amerykanie trzymali się nad podziw dobrze. Makarow bez trudu zauważył, że z obywatelami radzieckimi szło dużo łatwiej. Szczególnie członkami partii. Można się było odwoływać do ich sumienia komunisty i żądać poświęcenia dla dobra partii. W tym wypadku taki apel odpadał. Żaden z więzionych lotników nie zdradzał sympatii lewicowych. Grigorij dokonał szybkiej oceny. Do grupy inicjatywnej zaliczył O'Sullivana, Kaplanowicza i Hudsona. Porucznika Fultona ze względu na stan zdrowia wyłączył ze śledztwa. Wzywał na przesłuchania tylko sporadycznie. Za bardziej miękkich uznał Mario Lombardiego i Regisa Cardwella. Ich też odizolował i poddał większej presji.

Moskwa obiecywała dostarczyć ze Stanów szczegółowych danych personalnych dotyczących przeszłości każdego z lotników, informacji o prywatnym życiu. Czasem to bardzo się przydawało.

Makarow zdawał sobie sprawę w czym uczestniczy. Telefony z Moskwy nie zostawiały pod tym względem żadnej wątpliwości. Na głowie stawał, by nie zawieść pokładanego w nim zaufania. W domu prawie nie nocował. Cały czas spędzał w biurze. Prowadził odprawy i ustalał taktykę śledztwa na następny dzień. Pociuszającą rzeczą był fakt, że z wytypowanych przez niego "miększych" załamał się wreszcie Regis Cardwell. Na wszystkie pytania zaczął odpowiadać możliwie wiernie. Jego zeznania pełne były jednak sprzeczności, uników i wahań. Wielki strach całkiem go paraliżował. Chociaż w śledztwie nie bito go, trząsał się jak galareta. Czasem nie był w stanie pozbierać myśli. Fałszywa wiadomość o śmierci matki dobiła go. Płakał jak dziecko. Z jego chaotycznych zeznań wynikało jednak niezbitnie, że mają do czynienia z załogą specjalnie szkoloną do zrzucenia pierwszej bomby atomowej. Radarzysta Cardwell nie zdawał sobie sprawy co prawda w czym uczestniczy, dostarczony przez niego zestaw informacji porównany z wiedzą, którą dysponowali dotychczas, wyraźnie na to wskazywał.

Właśnie dzisiaj, w przeddzień święta pracy, Amerykanin zrobił im miłą niespodziankę pierwszomajową. Sporządził bowiem dokładne rysunki obu bomb, z którymi trenowali. Badając ich kształt, Salomon Issakowicz Kwarc, były student Piotra Kapicy \* i Igora Kurczatowa \* najwybitniejszych radzieckich fizyków jądrowych, doszedł do wniosku, że chodzi tu o dwie różne metody osiągnięcia masy krytycznej, a co za tym idzie, niekontrolowanej reakcji łańcuchowej, czyli w języku zwykłych śmiertelników, wybuchu bomby atomowej. Te dwa różne kształty bomb mogłyby wskazywać na użycie dwóch różnych materiałów rozszczepialnych o odmiennych charakterystykach. Kwarc uznał, że jeden to na pewno Uran 235. O istnieniu drugiego pierwiastka w stanie naturalnym, który mógłby być użyty w bombie atomowej, nic nie słyszał. Przypomniawszy sobie jednak teoretyczną pracę Kapicy, stwierdzającą możliwość stworzenia sztucznego transuranowca do tych celów. Czyżby Amerykanie opanowali już ten proces na skalę przemysłową? Jeśli tak, nie było minuty do stracenia. Ta śmiała hipoteza wymagała błyskawicznego sprawdzenia. Kwarc, nie czekając na dalszy wynik śledztwa, sporządził oddzielny raport, który Makarow wysłał specjalnym kurierem do Laboratorium Numer 2, czyli radzieckiego Los Alamos.

Piotr Kapica – wybitny radziecki fizyk jądrowy, najsłynniejszy uczeń Ernesta Rutherforda, laureata Nobla, pierwszego człowieka, który rozbił atom.

Igor W. Kurczatow – radziecki fizyk jądrowy, kierownik Laboratorium Nr 2 (radziecki odpowiednik Los Alamos), twórca bomby atomowej mający podobne

zasługi dla ZSRR co Robert Oppenheimer dla Stanów Zjednoczonych.

Gleb Maksymowicz miał również sukcesy. Udało mu się wyciągnąć z Cardwella dane o pobycie załogi w Wendover i na Tinianie. Zdobył numer jednostki, nazwisko dowódcy Zgrupowania i dokładny opis treningu. W sumie nie było więc źle. Naprawdę mieli się czym pochwalić przed Moskwą. I Moskwa to szybko doceniła. Słowa zachęty najlepiej o tym świadczyły.

Makarow pierwszy raz od dwóch tygodni wyspał się całe pięć godzin. Postanowił też z okazji 1 Maja wydać u siebie przyjęcie. Zaprosił na nie najbliższych współpracowników, gości z ekipy śledczej z Moskwy oraz przedstawicieli lokalnych władz. Nastrój był prawdziwie świąteczny. Każdy czuł, że to szczególny maj. Maj zwycięstwa. Wiosna pokoju unosiła się w powietrzu. Czteroletnia Wielka Wojna Ojczyźniana dobiegała końca. Stalin w swym przemówieniu na Placu Czerwonym przyrzekł światu pokój. Pili więc za niego pełni nadziei. Jakby dla dopełnienia szczęścia odezwał się telefon z Moskwy. Sam generał Abakumow złożył na ręce Makarowa najlepsze życzenia dla całego zespołu. Gratulował wyników. Lepszego prezentu Grigorij nie mógł oczekiwać. Natychmiast otoczył go wianuszek wiernych przyjaciół i nawet Karpiuk, II sekretarz Komitetu Miejskiego, z którym często darli koty, teraz krzyczał najgłośniej: – Grisza! My dwaj jak dęby! Filary partii! – i po bratersku brał go w ramiona. Z tym braterstwem różnie bywało, ale obecna jego wylewność najlepiej świadczyła o wschodzącej gwiazdzie Makarowa.

Nic więc dziwnego, że Grigorij wracał do domu w świetnym nastroju. Wiózł ze sobą teczkę z łakociami, które uratowała dla niego z bankietu niezawodna Zoja Iwanowna. Przed domem zwolnił kierowcę.

– Nie będziecie mi dziś potrzebni – serdecznie uścisnął mu dłoń. Zawsze przestrzegał tej formy. Cieszył się, że cały wieczór spędzi z żoną. Rzadko mu się to udawało. Wiera miała o to do niego żal: – Kochasz tylko partię. Z nią się powinienes ożenić! – mawiała rozgoryczona. Mimo kłótni kochali się bardzo. Na przekór różnicom jakie ich dzieliły.

Wiera wzrosła w innej tradycji. Jej matka, Tamara Lwowna, pochodziła ze starego arystokratycznego rodu, z którego wyszedł zarówno słynny kompozytor rosyjski Skriabin, jak i obecny komisarz spraw zagranicznych, Mołotow. Pod tym bowiem rewolucyjnym pseudonimem kojarzącym się z młotem ukrył swoje rodowe nazwisko. Tamara Lwowna była jego stryjeczną siostrą. Temu pokrewieństwu zawdzięczał może Makarow to, że ziemiańskie pochodzenie żony nie zaszkodziło mu w karierze. Niektórzy twierdzili nawet, że pomogło. Co prawda Tamara Lwowna nie utrzymywała bliższych kontaktów ze swym moźnym bratem, pokrewieństwo jednak gdzieś skrzętnie odnotowano.

Sama Tamara Lwowna była klasycznym przykładem płacziwej inteligentki wysadzonej z siodła. Tak ją określał Makarow. W strachu przed nową rzeczywistością schroniła się w świat sztuki. Wykładała języki obce w Instytucie Literatury i tłumaczyła postępowe utwory Dickensa, Balzaca i Teodora Dreisera. Grigorij nigdy jej nie trawił i cieszył się, że mieszka aż w Moskwie. Uważał, że ma zgubny wpływ. To dzięki matce Wiera nie wstąpiła do partii i zachowała wiele wstecznych poglądów. Dotąd na przykład wierzy w Boga. I nie można z niej tej wiary wypłenić. Nie entuzjazmowała się też sukcesami partii, a przemówień towarzysza Stalina często nie znała, i dopiero on musiał je jej czytać. Grigorij bardzo nad tym cierpiał. Zważył jednak, czy uda mu się ją przekształcić. Coś było w jej duszy takiego do czego nie miał dostępu. Pogłębiało się to z biegiem czasu. Była zupełnie inna

kiedy się poznali przed laty. On kończył Instytut Marksizmu-Leninizmu, ona zaczynała anglistykę. Potem on jako przodujący student skierowany został do Akademii NKWD na Wydział Zagraniczny, ona po trzech latach przerwała Uniwersytet. Wybuchła wojna i zaprowadziła go do "Smiersza". Wiera nie była zachwycona jego nową funkcją, nie mówiła jednak o tym głośno. Zbyt dobrze ją znał, by tego nie wyczuć.

Odgraniczył więc zupełnie życie prywatne od zawodowego. Nie było to może miłe, ale wygodne. Oszczędzało wiele nerwów. Dopiero sprawa z Amerykanami naruszyła ten układ. Wiera nagle zaczęła go pytać o to, o co nigdy nie pytała. Doszło w końcu do awantury. Przez parę dni nie rozmawiali. Prawdę mówiąc nie było kiedy. Brutalne aresztowanie lotników wywarło na Wierze wielkie wrażenie. Makarow wyrzucał sobie, że niepotrzebnie posłał Amerykanów do szpitala żony. Ale kto mógł przewidzieć? Chciał im zapewnić lepszą opiekę. Telefon Abakumowa spadł jak grom z jasnego nieba i przekreślił wszystkie wysiłki. Do tego Lew Spirydonycz niezręcznie wykonał rozkaz. Narobił hałasu przy aresztowaniu. Twierdził, że wobec oporu nie mógł inaczej. Wieczorem już całe miasto grzmiało o tym. Musiał nawet zamknąć paru plotkarzy za rozsiewanie fałszywych wiadomości.

Teraz wierzył, że w tak szczęśliwie zaczętych dniach szybko dogada się z Wierą. Liczył, że smakowite rzeczy bardzo mu w tym pomogą. Wiera była wielkim łasuchem i za czekoladę dałaby się zabić. Cieszył się, że może jej dogodzić, i że cały wieczór będą wreszcie sami. Otworzył radośnie drzwi.

– W pieriod! – krzyknął jak mały chłopiec. Wiera czytała książkę, łagodnie wzięła ją w ramiona. Nie opierała się, co było dobrym znakiem.

– Zobacz, co przyniosłem! – pochwalił się. Triumfalnie wysypał stos zagranicznych skarbów. Były tam puszki szynki, kakao, pudling, kawa, skondensowane mleko, pomarańcze i wiele tabliczek czekolady.

– Jezu?! Grisza?! – Wiera z podziwu otworzyła usta.

Grigorij zamknął je pocałunkiem.

– Twój mąż cały jest twój i pozdrawia cię ze świętem majowym! – rzekł uroczyście, sadowiąc się przy stole.

– Ty już je uczciłeś – popatrzyła krytycznie na jego maślane oczy.

– No, niestety – przyznał się pokornie. – Nie było wyjścia. Ale herbatki mi chyba dasz?

Wiera wniosła samowar, ustawiła na stole. Z kredensu wyjęła starą cukiernicę i szklanki w platerowych podstawkach. Rozłożyła nakrycia.

– W rodowym srebrze na pierwszego maja! To się nazywa świadomość klasowa! – zakpił szczerze.

Wiera wysypała cukierki i pokroiła pudling. Połamała czekoladę. Nalała z samowara herbaty i usiadła obok męża. Makarow czule pogładził ją po włosach:

– Jak mi dobrze. Nawet nie wiesz jak mi dobrze – westchnął.

Wiera wzięła go za rękę i patrząc w oczy łagodnie zapytała:

– Griszeńka. Ty mi wciąż nie odpowiedziałeś...

Makarow udał, że nie rozumie.

– Gdzie są piloci?

– Mówiłem ci. W bezpiecznym miejscu – rzekł niechętnie. – Musieliśmy ich odizolować – głośniej siorbnął herbatę.

– Dlaczego kłamiesz? – rzuciła z wyrzutem. – Wiem, że kazałeś ich aresztować. Jednego wzięli wprost ze stołu operacyjnego. Z amputowaną nogą...

– Wojna, Wieroczka – rozłożył bezradnie ręce. – Siła wyższa...

– Ale my przecież z nimi nie wojujemy. To nasi sojusznicy. Jemy nawet ich puding i czekoladę...

– Jak smaczna. To czemu nie? – zażartował.

– Czy mają przynajmniej należytą opiekę?

– Bądź spokojna – zapewnił ją gorąco.

– Więc dlaczego nie mogę tam pójść? – spytała naiwnie.

– Wieroczka! – rzekł jak do dziecka. – Przecież ci mówiłem. Z Moskwy kazali ich odizolować. Zaufaj mi i skończmy z tym – spojrzał niemal błagalnie.

Wiera przecząco pokręciła głową:

– Nie, Grisza – rzekła dziwnie twardo. – Jeszcze raz proszę cię, żebyś mnie tam zaprowadził...

Makarow poczuł, że cały świąteczny nastrój wziął w łeb i nic nie zostanie z tak pięknie rozpoczętego dnia. Próbował jednak walczyć.

– Mamy swoich lekarzy – tłumaczył. – Przestań się o nich tak troszczyć. Bo to śmieszne...

Wiera machnęła ręką, jakby się chciała opędzić od tych kłamstw. Odkąd tam w szpitalu wyrwało się jej to nieszczęsne: – "Czy naprawdę musicie?", a Lew Spiridonycz zbył ją pogardliwą wzmianką o mężu, coś się w niej przerwało. Poczula do siebie wstręt. Wiedziała, że nie ustąpi. Po prostu nie wytrzyma tak dalej:

– Jak mnie nie zaprowadzisz, sama pójde...

– Nie pójdziesz, bo cię tam nie wpuszczą – odparł z wyższością.

To na dobre wyprowadziło ją z równowagi:

– Właśnie, że pójde! – upierała się. – Choćby mnie twoi ludzie mieli skopać na śmierć! Jak tego biedaka! I zapowiadam ci. Zapowiadam! – krzyczała w furii – że jeśli Lew Spiridonycz przekroczy ten próg, własnoręcznie spuszczę go ze schodów! Dopóki jestem twoją żoną! Rozumiesz?!

Łzy wściekłości ugrzęzły jej w gardle. Makarow zdumiony patrzył na żonę. W takim stanie jej jeszcze nie widział. Panicznie rzucił się do radia i włączył je na cały regulator. Gruchnęła muzyka. Wiedział, że w tym momencie Wiera zupełnie nie liczy się ze słowami. A za ścianą mieszkali pracownicy "Smiesza". Wiera, widząc jego strach, wybuchnęła głośnym, histerycznym śmiechem:

– To jest właśnie śmieszne! To! – wskazała go szyderczo, gdy błady bezradnie podciągał szelki.

## XXII

Mołotow, spotykając się po raz pierwszy z nowym prezydentem Stanów Zjednoczonych, liczył, że ujrzy człowieka niepewnego, onieśmiałego mitem swego poprzednika, słabo zorientowanego w wielkiej polityce. Tymczasem Harry Truman wcale nie sprawiał takiego wrażenia. Rozmowę prowadził pewnie, jakby zasiadał w Białym Domu od paru lat, a nie od dziesięciu dni. Był miły, ale z rezerwą, skupiony jak jastrząb i to skupienie widać było na jego ascetycznej, ptasiej twarzy. Nic nie miał z wielkiej wylewności i czaru prezydenta Roosevelta, nic też, co Mołotowa bardziej zmartwiło, z idealizmu i marzycielstwa, na które tak łatwo dawał się nabrać jego wielki poprzednik. Truman był zimnym graczem w pokera. Piękne wizje nie urzekwały go, gładkie frazesy odbijały się jak piłki. Uparcie domagał się faktów i tylko fakty go interesowały.

– Mam sporo spraw odziedziczonych po prezydencie Rooseveltcie – rozpoczął. – I chciałbym znać pański pogląd na ich temat...

Chodziło głównie o umowy jałtańskie, z którymi prezydent dopiero teraz się zapoznał.

– Nie chcę wnikać w ich treść – ciągnął dalej. – Interesuje mnie tylko wykonanie tych zobowiązań. Sprawa ta budzi mój najwyższy niepokój. Co innego podpisywaliście, co innego robicie. Ilość naruszeń z waszej strony jest olbrzymia. I to w podstawowych kwestiach – prezydent potrząsał plikiem papierów. – Dotyczy to zarówno wspólnych działań wojennych jak i nowego ładu w Europie. Wszędzie, gdzie wkroczyliście panuje terror. W Polsce sytuacja jest krytyczna. Aresztujecie i wywozicie wybitnych przywódców demokratycznych związanych z emigracyjnym rządem w Londynie i wysokich oficerów Armii Krajowej. Bagnetami narzucacie swój system. Czy mam wam czytać do czego zobowiązaliście się w Jałcie?

Mołotow nie spodziewał się takiego ataku. Również sekretarz stanu Stettinius i ambasador w Moskwie, Harriman, obecni przy rozmowie, zdziwieni byli ostrym tonem prezydenta. Mołotow liczył, że skieruje rozmowę na temat Organizacji Narodów Zjednoczonych, ukochanego dziecka prezydenta Roosevelta, dla którego narodzin wiele był gotów poświęcić. Tymczasem Truman zachowywał się jak ojczym. Mało go to dziecko obchodziło. Natomiast stawiał wciąż bardziej niewygodne pytania. Mołotow poczuł się jak podsądny. Powoli żelazny spokój, z którego sływał, opuszczał go i wewnątrz zaczął kipieć. Drażnił go ten sklepikarz, który ledwie został prezydentem już tak sobie pozwalał. Opanował się jednak i słuchał dalej.

– A oto jeszcze jeden kwiatek. Drobny na pozór – Truman uśmiechnął się, ale nie był to uśmiech miły. – Wiem, że nasza superforteca B-29 uszkodzona nad Japonią zmuszona została szukać schronienia na waszej ziemi. Chciałbym czegoś się od pana dowiedzieć, panie ministrze...

– Nie dysponuję żadną informacją – odparł sucho Mołotow. – Wszystko razem na miłą pracę fantazją...

– Nie jestem fantastą – obruszył się Truman. – Nasza łódź podwodna przejęła od nich meldunek z okolic Władywostoku...

– Łódź też się myli. Gdyby taki fakt miał miejsce, coś bym o nim słyszał. Skoro nie słyszałem, jest to bajka celowo sfabrykowana. Ktoś chce rzucić cień na nasze stosunki i storpedować powstanie Organizacji Narodów Zjednoczonych!

Mołotowa rozdrażnił już ten głupi samolot, który nagle przesłonił inne sprawy. Najpierw ta baba krzyczała na niego w ambasadzie, teraz ten Truman nie ma już większych zmartwień. "Głupi ci Amerykanie – pomyślał – nie odróżniają wielkich celów od małych. Dlatego przegrają." – Tę propagandę, panie ministrze – usłyszał w zamian – proszę schować na wasze partyjne wiece. Ja mam dowody! Co to znaczy, żeby brać do niewoli sojusznicznych żołnierzy! Przed wojną toście złapanych niemieckich lotników z honorami odstawiali do granicy! Widać pakt z Ribbentropem był panu bliższy, panie ministrze – wtrącił zgryźliwie.

Mołotow demonstracyjnie wstał z krzesła:

– Nikt nigdy tak w życiu do mnie nie mówił! – zaprotestował.

– Dotrzymujcie umów, a nikt nigdy nie będzie musiał tak do was mówić – uciał krótko Truman nic nie speszony tą demonstracją.

Mołotow poczuł, że z tym fabrykantem szelek pójdzie trudniej niż z wielkim prezydentem Rooseveltem. Po chwili wahania usiadł, i jak gdyby nigdy nic, zwrócił się do Trumana:

– Panie prezydencie. Jeszcze raz powtarzam, że sprawa samolotu wydaje mi się mistyfikacją. Niemniej na pańskie życzenie – ciągnął z uczuciem, głęboko patrząc na oczy Trumanowi – rzecz osobiście zbadam. Ręczę własnym honorem, że jeśli wasi lotnicy są u nas, to włos z głowy im nie spadnie. A winni zatajenia całej sprawy przykładowo zostaną ukarani...

Truman skinieniem głowy dał do zrozumienia, że przyjął to do wiadomości i przeszedł do następnego punktu porządku dziennego.

\* \* \*

Betty położyła na biurku ojca najnowszy numer moskiewskiej "Prawdy" z dużym artykułem zakreślonym czerwonym ołówkiem:

– Czytaj! – powiedziała.

– Co to jest? – spytał Vanderzaan.

– Odpowiedź Rosjan na moje pytanie. I spotkanie z Mołotowem – odparła krótko.

– Skąd to masz?

– Albert Heath przesłał to właśnie do redakcji z prośbą o szybkie przedrukowanie w "New York Times". Uważa sprawę za wyjaśnioną. Tu jest tłumaczenie. Czytaj –

nerwowo zapaliła papierosa.

– Co ty robisz?! W czerwcu rodzisz! Chcesz zabić to dziecko?! – skarcił ją.

– Nieważne. Czytaj! – ponaglała go.

Vanderzaan przebiegł oczyma tekst. Rosjanie w ostrych słowach zaprzeczali lądowaniu jakiegokolwiek amerykańskiego samolotu. Uznali to za podłą napaść. "Komu służy ta sprawa? – zapytywali. – I to w chwili, gdy zjednoczone demokracje powaliły Hitlera i stoją u progu prowadzenia wspólnej wojny z ostatnim państwem faszystowskiej osi, japońskim imperium. Jest to albo tragiczna pomyłka, albo świadoma próba zburzenia gmachu zbudowanego z takim trudem przez Marszałka Stalina i zmarłego prezydenta Roosevelta. Gmachu scementowanego krwią, wspólnie przelaną w walce z faszyzmem". Na poparcie tezy o ewentualnej pomyłce redaktor "Prawdy" przytacza wypowiedź zastępcy dowódcy Dalekowschodniego Okręgu Wojskowego generała Anastasa Babadziana, który kategorycznie zaprzecza o jakimkolwiek pobycie Amerykanów na terenie Władywostoku. Jednocześnie jednak ujawnia meldunek kapitana radzieckiego kontrtorpedowca "Kirow", który był świadkiem strącenia podobnej superfortecy przez myśliwce japońskie pięćdziesiąt mil na południe od wybrzeży ZSRR. Może ten tragiczny fakt stał się powodem tej przykrej i niepotrzebnej afery" – kończył redaktor "Prawdy" podpisany literkami B. R.

– Co ty na to? – spytała ojca Betty.

– No, cóż – westchnął Vanderzaan z niepokojem patrząc na córkę. Nie bardzo wiedział co powiedzieć.

– Koniecznie chcę mnie zrobić wdową – zaśmiała się nerwowo. – A ja dziwnie nie wierzę...

Oscara zaskoczyła ta reakcja. Wolał już to niż rozpacz. Chętnie podtrzymał tę opinię...

– Niby nie ma powodu wątpić, z drugiej strony jednak generał Arnold nie informowałby prezydenta, gdyby nie miał pewności, że meldunek jest prawdziwy. Kapitan łodzi w dalszym ciągu upiera się, że o pomyłce mowy być nie może...

– No, właśnie – podchwyciła tę myśl Betty. – I ja tak sądzę. Nawet jeśli otrzymam oficjalny telegram o śmierci Ricka i tak będę czekać...

Oscar głośno przyznał jej rację, w duchu natomiast nie żywił większej nadziei. Oświadczenie Rosjan mocno nim zachwiało.

– A co na to Dawid? – Spytał córkę.

– Dawid też twierdzi, że oświadczenie "Prawdy" nie równa się aktowi zgonu. W przeciwieństwie do Heatha, na przykład, uważa, że Rosjanie mogą się mylić i należy dalej szukać...

– To bardzo ładnie z jego strony. Zważywszy jego poglądy, i to, że... chciał zaznaczyć jakoś stosunek Dawida do Betty. – Nie ma powodu kochać Ricka, a jednak zachował się z klasą – dokończył z uznaniem.

– No właśnie. Dawid się naprawdę sprawdził. Czego nie mogę powiedzieć o innych...



Oscar świetnie wiedział o kogo chodzi. Niestety zarówno Debbie jak i Peter dużo mniej się angażowali w sprawę Ricka. Debbie nigdy nie była zachwycona tym małżeństwem i teraz odczuwała coś w rodzaju satysfakcji, że jednak miała rację. Na pewno inaczej by się zachowywała, gdyby o jej własnego syna chodziło. Peter zaś po prostu był o Ricka zazdrosny. Na pozór współczuł siostrze, Betty czuła jednak, że jest to nieszczerze i bardzo nad tym bolała. Wiedziała, że tylko na ojcu i Dawidzie, oraz Kate i rodzinie Fultonów może naprawdę polegać. O ile matka przejmowała się przynajmniej jej ciężką, to Peter nawet tego nie zauważał. Jego swoiste rady doprowadzały ją do furii. Dlatego w cięższych momentach po prostu go unikała. Teraz jak na złość wszedł i złamanym głosem oświadczył:

– Wiecie już o Ricku? – a gdy nic nie odpowiedzieli, dodał ponuro – słyszałem właśnie w radio. Straszne...

– Nie widzę w tym nic strasznego – przerwała mu Betty.

– No jak to? – spojrzał na nią zdziwiony – Rosjanie chyba dość wyraźnie stwierdzili...

– Że co? Że ich nie ma? To jeszcze nie dowód – odparła szorstko.

– No nie wiem. Trudno się w tym wypadku łudzić. Ja rozumiem – poprawił się zaraz – że ty się z tym nie możesz pogodzić, ani nikt z nas...

– Myślę, że wydajesz przedwczesny wyrok. I Betty ma całkowitą rację – poparł córkę Vanderzaan. Był wyraźnie zdegustowany nietaktem syna. Ten jakby tego nie zauważył i brnął dalej.

– Przynajmniej ojciec mógłby na to spojrzeć trzeźwiej...

– To znaczy jak?! Pochować go? – zniecierpliwił się Vanderzaan.

– Broń Boże! – zaprzeczył Peter. – Tylko takie uparte negowanie faktów niczemu nie służy. W wypadku Betty jest to zrozumiałe...

– Wiesz co?! Odczep się, dobrze?! – rozzłościła się.

– Ależ o co ci chodzi? Czy ja coś powiedziałem?!

– Więcej niż trzeba. I wynoś się! Nie mogę na ciebie patrzeć! – krzyknęła wzburzona.

– No wiecie państwo – Peter spojrzał na ojca, szukając w nim oparcia, ale Oscar milczał uparcie. – Nie miałem nic na myśli – usprawiedliwił się.

– No dobrze. Nie tłumacz się. Wyjdź – rzekła już nieco spokojniej.

– Ona na jego punkcie ma fijoła. Ja naprawdę lubię tego biednego Ricka i bardzo bym chciał, żeby wrócił. A że nie wraca, to nie moja wina – wypadło to fatalnie. Betty zatkała uszy i w skrajnej hysterii krzyknęła: – Wynoś się! Wynoś!

– Wyjdź, Peter. Nie drażnij jej – rozkazał krótko Vanderzaan.

– No jasne. Ojciec tak zawsze. Bierze jej stronę. Mnie nigdy nie widzi – i z miną obrażonego chłopca wyszedł z pokoju.

– Świnia – rzuciła Betty i sięgnęła po swego papierosa.

Gdy próbowała zapalić, ostry ból przeszył jej dół brzucha. Skrzywiła się i

mocniej ścisnęła zapalniczkę.

– Co ci jest? – zaniepokoił się Vanderzaan.

Musiła zmienić się na twarzy, bo podbiegł do niej szybko:

– Nie wolno ci się tak denerwować! I palić! – upomniął ją delikatnie, wyjmując papierosa z jej ręki. – Musisz więcej myśleć o sobie! – czule pocałował ją w czoło.

Betty spojrzała na niego z lękiem:

– Chyba nie rodzę? To by było za wcześnie – kurczowo chwyciła ojca za ramię.

– Na pewno. Najlepiej się połóż – doradził jej.

Betty próbowała wstać, ale nie mogła. Czowała, jakby ją ktoś wziął w kleszcze. Z trudem łapała oddech. Ze zdumieniem spojrzała na ojca:

– O Boże?! Tatku. To boli – poskarżyła się jak małe dziecko.

– Zaraz przejdzie. Zaraz – pocieszał ją Vanderzaan. Nie ma powodu do obawy...

Szybko wezwał Fitzgeralda:

– Dzwoń po doktora. I niech Frank czeka w aucie – zadysponował. Cały czas trzymał dłoń córki w swojej potężnej dłoni i powtarzał z uporem: – Wszystko będzie okay. Nie martw się...

– O Jezus! Tatku! To chyba to? – pytająco spojrzała na Vanderzaana.

– Nie wiem, kotuś – odparł bezradnie. – Nigdy nie rodziłem. Ale nawet jeśli to jest to, to będzie to świetny dzieciak. Zobaczysz. Jeszcze wszyscy będziemy z niego dumni...

## XXIII

Po nagłym wybuchu Wierzy Makarow jakby się zmienił. Stał się dużo łagodniejszy i okazywał jej więcej serca. Nie wracali więcej do tego tematu i Grigorij z ulgą pomyślał, że z wolna wszystko wraca do normy. Wiera zachowywała się naturalnie, rozmawiała z nim jak dawniej i nawet zaproponowała wspólne pójście do teatru. Makarow całkiem się uspokoił: – Skoro myśli o teatrze to już dobrze. Trzeba jej będzie poświęcić więcej czasu – uznał. Łatwiej powiedzieć, trudniej wykonać. Roboty było huk!

Moskwa po ostatnim sukcesie z Regisem Cardwellem nabrała większego apetytu, którego Makarow nie był w stanie zaspokoić. Inni więźniowie, niestety, nie byli tacy skorzy do zeznań. Na pewno dowódca samolotu O'Sullivan wiedział najwięcej, ale okazał się nadzwyczaj twardy. Gleb Maksymowicz twierdził, że łatwiej go zabić niż złamać. Tylko psychologiczny chwyt mógł na niego podziałać. Gorzej, że materiały dostarczone ze Stanów nie zawierały nic szczególnego. Ożenił się bogato z córką magnata przemysłowego Vanderzaana, żona w ciąży, brat w wojsku, ojciec robotnik w stalowni. Nie było o co zahaczyć. Jedynie może to dziecko. Makarow gorączkowo szukał klucza.

Do tego Abakumow osobiście nadzorował śledztwo, co nie ułatwiało zadania. Kiedy Grigorij ostrożnie powiadomił go o złym stanie zdrowia więźniów, szczególnie

porucznika Fultona, spotkał się z cierpką uwagą: – Nie są w pensjonacie. Jak przemówią i zdrowie im wróci. – Brzmiało to jednoznacznie. Makarow był coraz bardziej niezadowolony z tego, że musi w tym brać udział. W duchu przyznawał rację Wierze, że ci lotnicy nie zasłużyli na taki los. Z drugiej strony nie wątpił jednak w słusność śledztwa. Wiedział, że w grę wchodzi najwyższa racja stanu. I dobro partii. Osobiście nie przesłuchiwał lotników, ale zdalnie kierował całą akcją. Przeglądał raporty i ustalał generalną taktykę śledztwa.

Dla Wierzy zaś dotarcie do więźniów stało się jakąś obsesją. Swoistym nakazem moralnym. Nie zastanawiała się, dlaczego tak jest, czuła, że musi tam pójść. Od kierowcy męża dowiedziała się, w którym są więzieniu. Dostanie się tam nie było rzeczą łatwą. Los jednak jej sprzyjał. Przypadek sprawił, że na oddziale w szpitalu leżał naczelnik tego więzienia, Gromkin, który świetnie znał Makarowa. Chcąc widać sprawić jej przyjemność, wychwalał go pod niebiosa:

– Grigorij Wasiliewicz! Toż to brylant! To niżsi od niego rangą obsobaczą człowieka jak psa, od kpów zwymyślają, a on nie. Rękę poda. Ukłoni się. Niezwykły towarzysz...

Kiedy więc Gromkin wyzdrowiał, Wiera postanowiła skorzystać z okazji. Udała się do więzienia i okazując legitymację służbową, zażądała widzenia z naczelnikiem. Strażnik na bramie natychmiast ją połączył. Gdy Gromkin odezwał się, Wiera najspokojniej oświadczyła, że mąż zlecił jej zbadać jednego z Amerykanów. Gromkin skrzywił się, że Makarow sam go nie powiadomił, ale do głowy mu nie przyszło kwestionować słów żony komendanta "Smiersza". Bez przeszkód wpuścił ją do środka i z honorami przyjął w swojej kancelarii. Po chwili zjawił się oddziałowy:

– Słuchajcie Popko – rozkazał strażnikowi – zaprowadźcie towarzyszkę Makarowową do Amerykanów...

Popko wyprężył się i powiódł Wierę długim korytarzem. Gdy schodzili na niższe piętro, strażnik walnął pękiem kluczy w poręcz. Odpowiedział mu podobny brzęk. To drugi strażnik dawał znać, że prowadzi więźnia. Po zbliżeniu się do nich klucznik kazał odwrócić się więźniowi do ściany. Dopiero jak przeszli, ruszył z nim dalej.

– To tak zawsze? – spytała Wiera.

– Więźniom nie wolno nikogo mijać na korytarzu...

Przed celą Amerykanów oddziałowy najpierw zajrzał do środka przez wizyterkę, a potem otworzył żelazne drzwi. Straszny fetor uderzył ją w twarz. Przywykła do mdlącej woni szpitala, ten jednak nie był do zniesienia. Po prostu dławił.

W mroku ujrzała więźniów stłoczonych w małej celi. Ich nędzne, zarośnięte twarze wydawały się jednakowe. Wszystkie nosiły ślady po biciu. Kiedy rozglądała się bezradnie, nagle z boku odezwał się głos:

– Gewalt! Panowie! Co za dama?!

– Milczeć! – ryknął oddziałowy Popko, chcąc się popisać swą surowością przed żoną komendanta "Smiersza". Dopiero teraz Wiera odróżniła na dolnej pryczy porucznika Fultona, a w półtrupie siedzącym obok rozpoznała przystojnego kapitana, któremu zrobiła opatrunek.

– Hospodi! Rick! – szepnęła w strachu. – Co oni z tobą zrobili?

Sama zdziwiła się, że tak od razu zwróciła się do niego po imieniu. Rick wolno zwłóknął się z kojki.

– Ja jestem okay – odparł sucho. – Ale on – wskazał leżącego na pryczy.

Wiera pochyliła się nad nim. Boba trawiła gorączka i był zupełnie wyczerpany. Na jej widok uniósł się nerwowo na łokciach.

– Czy myślisz, że to jest – wbił w nią pytający wzrok.

– Zaraz zobaczymy – odparła cicho i ostrożnie zaczęła odwijać bandaże. To co ujrziała przeszło jej oczekiwania. Przed sobą miała ostatnie stadium gangreny. Kikut był cały w ropie, bił od niego smród gnijącego ciała. W celi panował półmrok, więc Wiera poprosiła strażnika o latarkę. Jeszcze raz sprawdziła ranę. Nie miała wątpliwości. W świetle widać było brunatne pasma martwicy. Proces ogarnął dół kikutu i posuwał się w górę. Zaatakował węzły chłonne. Zaczerwienienie sięgało pachwiny.

– Jak mogli do tego dopuścić? – przeraziła się.

Ranny wymagał niezwłocznej pomocy, chociaż na ratunek było chyba za późno.

– Przecież jest tu lekarz, do diabła?! Krzyknęła.

– Musowo jest. Ilia Dmitrycz – poświadczył Popko i ze wstrętem odwrócił głowę.

– I co on robi?!

– Przepisuje aspirynę i mówi, że do wesela się zagoi, łotr! – wyjaśnił Rick. – Najgorsze, że ja już nic nie mogę. Wszystko zrobiłem. Groziłem, krzyczałem, błagałem. Mogę jeszcze tylko bić głową o mur, ale i tak to nikogo nie wzruszy...

– Dziki kraj. Dziki – mruczał ponuro Glenn.

– Ty tam nic na władzę nie mów – ostrzegł go Popko, który co prawda nie rozumiał po angielsku, ale domyślił się, że nie są to komplementy.

– Gdzie jest ten lekarz? – spytała Wiera.

– Jutro będzie – odparł Popko.

– Dlaczego nie skierował do szpitala?

– Pewnie by skierował. Ilia Dmitrycz też człowiek. Ale cóż ja, mówi. Jak nawet skieruję, nic nie da. Rozkaz to rozkaz – wzruszył ramionami.

– Najgorsze, że tak rwie. Że tak strasznie rwie – skarżył się Bob. Wiera sięgnęła do torby. Nie miała przy sobie żadnych zastrzyków tylko silne środki przeciwbólowe, które zaraz podała rannemu.

– Może choć trochę ulży – powiedziała.

Bob połknął pastylki łapczywie.

– Żeby przynajmniej zasnąć – zajęczał.

Wiera podała mu jeszcze brom i silną dawkę sulfamidów. Zmieniła opatrunek. Rana wymagała chirurgicznej interwencji. Usunięcia martwych złożeń i amputacji nogi aż do pachwiny. Zabieg drakoński, ale tylko on jeszcze mógł uratować życie

lotnikowi. Wiera i tego nie była pewna. Silna gorączka wskazywała na zaawansowanie procesu, a skrajne wycieńczenie organizmu nie rokowało wielkich nadziei.

Bob po zmianie opatrunku cierpiał jeszcze bardziej. Pot wystąpił mu na czole i z bólu zaciskał pięści. Mruczał cicho, co jakiś czas jęcząc głośniejsze. Wiera za wszelką cenę chciała mu ulżyć. Kazała oddziałowemu zaprowadzić się do więziennej apteki i wraz z dyżurnym sanitariuszem przeszukała jej zawartość. Nic tam nie znalazła. Tylko w jednej z szuflad natrafiła na pudełko morfiny. Zdecydowała podać ją rannemu, żeby choć trochę oszczędzić mu cierpień.

Po zastrzyku Bob poczuł się lepiej. Mógł wreszcie usiąść i pierwszy raz od wielu dni przestać myśleć o bólu. Z wdzięcznością spojrzął na Wierę.

– Może nie będzie tak źle? – rzucił z nadzieją.

– Na pewno – przytaknęła, chociaż łzy napłynęły jej do gardła.

– Najważniejsze, że nie rwie – westchnął ciężko. – Nie macie pojęcia co to za ból. Wrogowi nie życzę. Nawet tobie, Popko – rzekł do strażnika, który z uśmiechem potrząsnął kluczami. – Może jednemu Iwanowi. Żeby trochę pocierpiał, gad...

– Temu draniowi to tak. Przydałoby się – potwierdził mściwie Stan. – Ja go jeszcze dopadnę – odgrażał się.

Rick na gwałt szukał ratunku. Nie mógł pogodzić się z gangreną Boba:

– U nas jest nowe lekarstwo. Penicylina... – tłumaczył Wierze. – Wystarczy parę zastrzyków i byłby zdrowy...

Wiera bezradnie kiwała głową.

– Ale skąd je wziąć?! – miotał się dalej. – Trzymacie nas jak zbrodniarzy! Odciętych od świata! Nawet Hitler byłby już lepszy! – krzyknął z goryczą.

Wierze zrobiło się wstyd. Nie wiedziała, co odrzec. W dodatku czuła, że w tym wszystkim bierze udział jej mąż. Było to nie do zniesienia. W milczeniu wyjęła z torby kanapki i ciasto, które w domu przygotowała i nieśmiało położyła na brzegu pryczy. Pierwszy rzucił się na nie Glenn. Jadł łapczywie, zwierzęco. Po tym przekonała się, jak bardzo był głodny. Za nim podążyli inni. Przez chwilę zuli w skupieniu.

– Co za ciasto – westchnął Bob. – Nelly piekła takie. Pamiętasz, Rick?

Kiwnął głową. Wszystko wydawało się snem. Odległą baśnią.

Wiera musiała już iść. Z ciężkim sercem opuszczała celę. Kiedy szła długim korytarzem, odprowadzana przez tego samego strażnika, była zdecydowana zrobić wszystko, by uratować tych lotników. Nawet gdyby jej przyszło zapłacić za to własnym życiem.

\* \*

\*

Wiera była wstrząśnięta. Wiele rzeczy podejrzewała, lecz nigdy nie zetknęła się z jawną zbrodnią. Rick miał rację. Skoro tak robimy, czym różnimy się od Hitlera? To porównanie z Hitlerem bardzo ją zabolowało. Nie wolno tak postępować, nawet z

wrogami. A czy oni są wrogami? Miała poważne wątpliwości. Najgorsze było to, że Grisza w tym uczestniczy. Uważała go za uczciwego człowieka. Był fanatycznym komunistą, to prawda. Wiedziała jednak, że pewnych rzeczy nie zrobi. Nie skrzywdzi rannego, nie zbije kobiety... Teraz nie była tego taka pewna. Matka ostrzegła ją przed ślubem: "Pamiętaj, Wieroczka – on jest komunistą. A komunizm to straszna rzecz..." Nie rozumiała wtedy tych słów, kładła je na karb urazów matki.

Podczas rewolucji, dziadków Wiery okrutnie zamordowali bolszewicy. Młodą Tamarę uratowała stara niania. W ostatniej chwili uciekły na strych i ukryły się za starym kufrem. Była to odległa historia, która nagle ożyła.

Wiera wciąż łudziła się, że może Lew Spirydonycz robi to wszystko sam i Grisza nie ma z tym nic wspólnego. Domyślała się jednak, że jakiś udział w tym ma. Tylko jaki? Chciała od razu porozmawiać z Giszą, ale wrócił bardzo późno, spała już, a rano wyszedł przed nią.

Tego dnia mieli iść do teatru. Po południu zadzwonił z pracy i powiedział, że przyjdzie wprost do teatru. Prosił, by czekała na niego w hallu.

Przyszła 15 minut wcześniej. Kiedy teraz stała przed lustrem w swej bordowej, najpiękniejszej sukni, myślała, jak zacznie.

Wyjęła szminkę.

Nie chciała go zalać potokiem słów i chaotycznych oskarżeń, pragnęła dojść prawdy. Modliła się, żeby Grisza był niewinny i by wstrząśnięty jej relacją zaczął działać.

Pomalowała usta, wrzuciła pomadkę do torby.

Do przedstawienia brakowało kilku minut. Była to sztuka Pogodina "Człowiek z karabinem". Dotyczyła pierwszych dni Rewolucji.

Rozległ się drugi dzwonek, a Griszy wciąż nie było. Wiera zaczęła się denerwować. Hall z wolna opustoszał. Większość widzów udała się na salę.

W ostatniej chwili nagle wbiegł zdyszany Makarow. Chwycił ją za rękę i szybko wpadli do foyer. Portierka wręczyła im program i wskazała miejsca.

– Miałem szczęście – uśmiechnął się Makarow. – Kogo tu mamy? – rozejrzał się po sali. Paru osobom ukłonił się.

Przed kurtynę wszedł dyrektor teatru i powitał zebranych:

– Towarzysze, dzisiejsza premiera – rzekł uroczyście – dedykowana jest naszej zwycięskiej Armii Czerwonej, która właśnie wkracza do Berlina!

Publiczność wstała z miejsc. Zerwały się oklaski. Kiedy się wreszcie uciszyło, dyrektor dokończył podniosło:

– W roli towarzysza Stalina wystąpi zasłużony artysta ZSRR Konstantin Czaureli, zaś główną postać sztuki kreować będzie znakomity artysta moskiewskiego MCHAT-u, Andriej Nikołajewicz Samojłow...

Dyrektor ukłonił się i zszedł ze sceny. Wielki, kryształowy żyrandol powoli zaczął przygasać.

Wiera spytała cicho, dlaczego dyrektor nie wymienił aktora kreującego Lenina,

Grisza odparł, że pewnie Lenin nie gra tu głównej roli. Nie spostrzegł absurdu tej odpowiedzi.

Kurtyna poszła w górę i ujrzeli pałac w Smolnym. Wypełniony był czerwonoarmistami w spiczastych czapkach. Wśród nich rej wodził prosty chłopiec, ów człowiek z karabinem, którego niespodziewany los historii zetknął z wielkimi wodzami Rewolucji: Leninem i krocącym wiernie u jego boku Stalinem. Samojłow świetnie wcielił się w postać tego żołnierza-analfabety. Kiedy nie mógł odczytać gazety i wściekły wyrwał kawałek moskiewskiej "Prawdy", aby skrócić w nią swoją machorkę, był wręcz wspaniały.

W czasie przerwy Wiera chciała pomówić z mężem, ale podszedł do nich generał Babadżian z żoną, miłą skromną kobietą.

– Ja co prawda wtedy w Smolnym nie byłem – wyjaśnił – ale Lenina widziałem w osiemnastym. I powiem wam, że ten aktor mocno przesadził. Nadęty, jucha, jak w cerkwi. Włodzimierz Ilicz wcale taki nie był – skrytykował rzecz po żołniersku. Po chwili zbliżył się do nich sekretarz Karpiuk:

– No jak sztuka, towarzysze? – spytał i nie czekając na odpowiedź, sam odpowiedział: – Wspaniała. A Stalin genialny. Prawie nie mówi, ale w każdym geście czuć jak dźwiga ciężar Rewolucji. Nie dziwię się, że za tę rolę dostał nagrodę. Czytaliście w programie?

Przytaknęli zgodnie. Generał przestał krytykować Lenina. Kiwał głową z uznaniem. Karpiuk zwrócił się do niego półzartem:

– A nasz Anastas Aramowicz, co?! Jak zważniał. Odkąd wypowiedział się w "Prawdzie". Żartuję – przybrał teraz oficjalny ton. – Bardzo ważna wypowiedź. Pryncypialna. Szczególnie to świadectwo z "Kirowa", które cytowaliście. Spadli nad Japonią i twierdzą, że u nas. I po co to?! Zagrywka przed Konferencją Pokojową?! Chcą nam wyrwać palmę zwycięstwa? Jak myślicie – spojrzał na generała. Babadżian potarł łysinę i gorliwie przyświadczył.

– W każdym razie dobra robota – pochwalił go Karpiuk. Generał podziękował skromnie. Nie zdradzał już, że sam ze zdumieniem przeczytał tę wzmiankę o sobie. Nie udzielał żadnego wywiadu. Nie prostuje się jednak "Prawdy". Powołują się na człowieka, znaczy tak trzeba. Nie każdego spotyka taki zaszczyt. Z radością przyjmował gratulacje i wkrótce uwierzył, że sam to powiedział.

Wiera nie bardzo rozumiała o co chodzi i spytała o to Karpiuka:

– Mowa o amerykańskim bombowcu – wyjaśnił – który według ich propagandy spadł u nas. I my go mamy przetrzymywać we Władywostoku. Towarzysz generał dał odpór tej bzdurze...

Wiera spojrzała na generała. Już chciała coś powiedzieć, ale rozległ się dzwonek. Na scenie pojawili się znów ci sami krasnoarmiejcy, a człowiek z karabinem wciąż rozmawiał z Leninem, który mu długo coś tłumaczył. Gdy Lenin nie znajdował odpowiedzi, zwracał się o pomoc do Stalina. Ten w mig rozwiązywał problem, nie przestając pykać swej fajeczki.

Wiera myślami krążyła wokół samolotu i słów, które przed chwilą usłyszała.

Po zakończeniu sztuki wracali do domu na piechotę. Była chłodna, majowa noc. Pierwsze pąki nieśmiało pękały na drzewach. Makarow czule objął żonę i ciągnął

melancholijnie:

– Cóż za piękny zawód. Artysta! Inżynier ludzkich dusz – westchnął smętnie.

Wiera знаła już tę śpiewkę. Każdy spektakl podobnie się kończył.

Natura obdarzyła Griszę pięknym głosem. Mógł być wielkim śpiewakiem. Niestety. Dla partii zrezygnował z tej kariery. Wybrał inną. Wiera spojrzała na błękitne epelety. Uznała, że nadszedł właściwy czas.

Grigorij rozważał, jaką to wielką drogę przeszli od pierwszych strzałów "Aurory", gdy powiedziała cicho:

– Ja tam byłam, Grisza...

Myślał, że chodzi o pałac w Smolnym i roześmiał się.

– Gdzie, kochanie?

– U Amerykanów. Których według generała Babadziana nie ma...

Makarow puścił rękę żony. Zatrzymał się w miejscu.

– Naprawdę tam byłaś? – rzucił z niedowierzaniem.

– Tak Grisza – potwierdziła. – I to co ujrzałam było straszne...

– Chwileczkę, jak się tam dostałaś?

– Powołałam się na ciebie – wyznała krótko.

– Chyba oszalałaś?! Wiesz, czym to grozi?!

– Nie wiem – odparła naiwnie. – Wiem tylko, że im trzeba pomóc. Są w strasznym stanie. Jeden umiera...

Grigorij robił wrażenie, jakby nie słyszał. Machinalnie odsalutował dwóm żołnierzom, którzy na jego widok wyprężyli się na baczność.

– Przecież to nie są nasi wrogowie... – doszły go słowa żony.

– Są czy nie, to też zagadka, Wieroczka. Nie muszę ci tłumaczyć. Twój wujek podpisał pakt o nieagresji z Ribbentropem, a za chwilę Niemcy rzuciły się na nas. Z tymi paktami różnie bywa. Pamiętaj, że to są kapitaliści. Nie kochają nas – pospiesznie zapalił papierosa. Był poruszony. Wiera nie przypuszczała, że wiadomość ta zrobi na nim takie wrażenie.

– Wiem, że to straszne – spojrzął na nią. – Nie byłem tam, ale wyobrażam sobie, jak to musiałaś przeżyć. Więzienie to zawsze koszmar... – urwał i ze współczuciem pogładził ją po włosach. – Ale znów ci piloci – podjął dalej – też tacy święci nie są. Jak wykazało nasze śledztwo, wieźli na pokładzie bombę. Gdyby spadła, nie byłoby nas...

– Jednak nie spadła – zaprzeczyła.

– Fakt, że tę bombę mieli.

Wiatr zaszeleścił papierem po pustej ulicy. Odwrócił się z niepokojem.

– Musimy być bardziej ludzcy. W tym nasza siła... – upierała się.



– Nasza siła w stalinowskiej formule partii – przerwał jej – którą ja właśnie dla ciebie złamałem. I za to zapłacę – rzekł fatalistycznie.

– Przecież nic nie zrobiłeś?!

– Zdradziłem tajemnicę. Wystarczy...

– Jestem twoją żoną! – zawołała.

– Żonom się też nie mówi. Tym bardziej bezpartyjnym. Podwójnie zgrzeszyłem – wyznał jak na spowiedzi. – Nie mam tej stalowej woli co inni towarzysze. Jestem mięczak. Po nocach nie śpię. Ręce mi drżą. Nie nadaję się do tej roboty...

– A co ty właściwie robisz? – spytała z niepokojem.

Usiedli na ławce. Przechodnie zniknęli całkiem, tylko czasami mijał ich milicyjny wóz lub wojskowy gazik.

– Ten ranny ma gangrenę – rzekła znów. – Umiera. Oni wszyscy poumierają...

– Oni już umarli – przerwał jej. – Słyszałaś. Wpadli do morza. I taka jest prawda – skrzywił się z ironią.

Dopiero teraz Wiera uświadomiła sobie ogrom tragedii:

– Ich po prostu żywcem pogrzebali. Jak w średniowieczu. I to tam. Na samej górze – przeraziła się.

Zaczęła rozumieć położenie męża.

– Powinniśmy jednak coś zrobić, Grisza – ponaglała go.

– Co? – spytał chłodno.

– Przenieść Fultona do szpitala. Natychmiast...

– Nie mogę. Abakumow by mnie zabił. To jego rozkaz...

Zapalił nowego papierosa. Dłoń mu drżała. Nie było tego przedtem. Wierze zrobiło się go żal.

– Co za system – westchnęła. – Matka miała rację – przyznała w duchu.

– To nie system – bronił swej wiary Makarow. – Ludzie podli. Wszystko popsują. Jedno co ci mogę obiecać – rzekł szeptem – to przenieść go na więzienną izbę chorych. Ty tam przyjdiesz z doktorem i zrobisz zabieg. Wyrobię ci przepustkę. Tylko pamiętaj – zawahał się – będziesz tam w charakterze nie tyle siostry, co towarzyszki. No, rozumiesz. Złożysz parę informacji. Sporządzimy raport. Czysta formalność. Zamknę u siebie w biurku.

– Mam być prowokatorką? – oburzyła się.

– Ależ skąd. Mówię o podkładce. Jak uzasadnić twoje wizyty tam – wskazał palcem w górę. – Gdyby chcieli sprawdzić. Zwykła asekuracja. W końcu mnie też mogą spytać. A trafić do celi bez przepustki jest dużo łatwiej niż myślisz. Nie trzeba być Amerykaninem – stwierdził gorzko, przypominając sobie los swego poprzednika Sarnowa.

Obciągnął mundur i wolno wstał z ławki:

– Pora iść. Późno – zdecydował. Delikatnie wziął żonę pod rękę. Wiera czuła się dziwnie. Z jednej strony była szczęśliwa, że mąż odkrył przed nią wreszcie część swej duszy, z drugiej przeraziło ją, że jest tak straszliwa. Przypomina piekło, do którego właśnie wchodzili.

## XXIV

Jedyną nadzieję na uratowanie Boba widział Rick w tej dziwnej Rosjance, która nie wiadomo dlaczego okazała im tyle serca. Kiedy jednak nie przysłała, ogarnęło go zwątpienie. Bob znów gorączkował i cierpiał strasznie. Zastryk, który dała mu Wiera, przestał działać. Na wszystkie protesty Ricka władze więzienne reagowały jednakowo: – Wiemy o nim – powtarzali. – Przyjdzie czas zabierzemy go. "Widać skazano go na śmierć. Tylko dlaczego tak męczeńską?" – zastanawiał się.

Jak na złość na dyżurze był Iwan Groźny, który tylko czyhał na śmierć Boba. Cierpienie rannego sprawiało mu rozkosz. Wciąż wchodził do celi i sprawdzał wesoło:

– No co? Nie zdechł jeszcze? – rytmicznie dzwonił mu nad głowę kluczami. – Brzydko tak smrodzić kolegom, kochasiu. A śmierdzi, cap?! Jak skunks! Fuj! – z niesmakiem zatykał nos.

Nie rozumieli co mówi, gest jednak był dostatecznie wymowny. Bezsilnie zaciskali pięści i czekali, kiedy wyjdzie. Na szczęście wkrótce zmienił go Popko, który po wizycie Wiery stał się bardziej ludzki. Od razu sprowadził Ilię Dmitrycza. Ten bez badania Boba stwierdził:

– No cóż. Operować by trzeba. A ja nie mam środków. To poważny zabieg...

Rick podejrzewał, że nigdy by takiej operacji nie umiał przeprowadzić. Wyglądał na felczera. Ilija Dmitrycz przyłożył dłoń do czoła rannego, dał piramidon i bezradnie rozłożył ręce.

Po jego wyjściu Ricka znów wezwano na śledztwo. Tym razem pogodny Kwarc odczytał mu zeznanie Regisa, w którym Cardwell dokładnie opisał ich ćwiczenia w Wendover. Na zakończenie podał mu szkic dwóch bomb własnoręcznie narysowanych przez Regisa:

– I co wy na to? – spytał z dumą. – Inni jednak mówią. Zrozumieli, że i tak się dowiemy. Każdy chce żyć – stwierdził filozoficznie i przyjaźnie wyciągnął papierosa. Rick się nie ruszył.

– Dbacie o zdrowie. Ja tylko muszę się męczyć – rzucił okiem w stronę protokolanta. Był nim ten sam miły chłopak, który pisząc pomagał sobie językiem.

– No co, Rick Harriowicz? Nic nie dodacie do tego? – potrząsnął kartką. – Jako dowódca musieliście dowiedzieć się czegoś więcej od pułkownika Tibbetsa? – puścił smakowity kłęb dymu.

Rick uczuł straszny głód papierosa. Palił tylko skręty słomy z siennika i czasem szczyptę machorki, którą łaskawie odstąpił mu Popko.

– No cóż. Będę was musiał oddać w ręce surowszych towarzyszy – westchnął. – A oni nie żartują. Wrzucają do kabaryny ze szczurami i cześć. Czy to ma sens? – rzekł

ze współczuciem.

Gdy Rick dalej uparcie milczał, dorzucił mimochodem:

– A tu dziecko w drodze. Żonka rodzi. Warto by ich jeszcze zobaczyć.

Rick drgnął. Nigdy dotąd nie było mowy o ciąży Betty. Kwarc patrzył badawczo, spostrzegł, że zrobił wrażenie i spokojnie ciągnął dalej:

– Tak, tak. Nie myślcie sobie. My wszystko wiemy...

Zaczął dokładnie opisywać willę Vanderzaanów, a potem dom rodziców w Pittsburgu:

– Ojciec zdrowy – informował. – Pędzi dalej swój bimber. Tylko matka chora. Martwi się o was, chłopie...

Rick był bliski załamania. Już chciał poprosić o papierosa. Wszystko, co dawno pogrzebał, zbliżyło się nagle z wielką mocą. Matka stanęła mu w oczach. Kwarc widząc, że zdołał go wreszcie poruszyć, dostał skrzydeł. Jak magik wyciągał nowe asy z rękawa. Tasował drobne szczegóły domowe i zręcznie nimi zonglował. Nie były to ważne sprawy, niemniej Ricka zaskoczyło, że tyle o nim wiedzą.

"Zależy wam na mnie, dranie, skoro się tak staracie" – pomyślał. Głośno zaś dodał. – Nie będę z wami rozmawiał, dopóki nie umieścicie porucznika Fultona w szpitalu – zażądał.

– To wiemy – rzekł rozczarowany Kwarc – mówiliście już...

– I więcej nie powiem. Wolę gnąć ze szczurami – rzucił wyzywająco.

Kwarc wiedział, że w tym miejscu przegrał. Zbyt dobrze znał tego upartego kapitana. Niemniej dzisiejszy dzień natchnął go otuchą.

"Nie jest taki twardy. Prędzej czy później skruszeje. Trzeba go tylko bić w te czułe miejsca" – zdecydował.

Kwarc przypomniał sobie słowa Makarowa, które powtarzał na licznych odprawach: – Nie oddaje się prezentów zrzuconych z nieba... I Salomon Issakowicz w żadnym wypadku nie miał zamiaru go oddać.

Po przyjsciu do celi Rick zastał przy pryczy Boba Wierę i doktora, którego już widział. Towarzyszył im Ilia Dmitrycz, który powtarzał w popłochu:

– Ja meldowałem. Nikt mnie nie słuchał...

Oni go jednak ignorowali zajęci badaniem rannego. Rzucali urywki zdań po rosyjsku i łacinie, których Rick nie rozumiał. Z min wywnioskował, że stan Boba jest bardzo ciężki. Arona nie było w celi i wszyscy czekali, co powie Wiera. Ona tymczasem tłumaczyła coś lekarzowi, wyraźnie chcąc go przekonać. Ten kiwał bez entuzjazmu głową i wciąż wskazywał nogę Boba. Najwidoczniej podejmowali decyzję. Wreszcie Wiera podeszła do Ricka i oświadczyła z ulgą:

– Będzie operował. Chociaż proces jest tak zaawansowany, że nie daje żadnych nadziei. Przekonałam go jednak...

Doktor podszedł do nich i gładząc swą kozią bródkę, rzekł po francusku:

– Cest un extremement defficile cas. Mais... (franc. – To jest niezwykle trudny

przypadek. Ale...) – rozłożył bezradnie ręce.

– Spróbujmy! – zachęcała go Wiera.

Strażnicy wnieśli nosze.

– Gdzie go będziecie operować? – zapytał Rick.

– Niestety tu. W izbie chorych. Ale nie ma to znaczenia. Wzięliśmy ze sobą wszystkie instrumenty i narkozę. Mark Gawryłowicz jest jednym z naszych najlepszych chirurgów. Jeszcze sprzed Rewolucji – dodała jakby na znak reklamy.

Wspólnie ułożyli Boba na noszach. Z bólu miał zmienioną twarz. Wiera łagodnie pogłaskała go po włosach:

– Będzie okay. Zobaczysz. Zaraz ci dam narkozę i skończy się męka...

Rick mocno uściśnął dłoń przyjaciela. Bob próbował się uśmiechnąć:

– Wszystko już lepsze od tego... – wskazał nogę, machając ręką.

– Głowa do góry Bob! – pocieszył go Barney.

Bob z wysiłkiem uniósł dwa palce na znak zwycięstwa.

– Do zobaczenia, chłopcy – dokończył swym basem.

Strażnicy podnieśli nosze. Odprowadzili go zgodnie wzrokiem, dopóki ciężkie, żelazne drzwi nie zatrzasnęły się za nim.

## XXV

Bóle były tak silne, że Oscar Vanderzaan zdecydował się sam zawieźć córkę do szpitala. Betty w skrajnym lęku ponagliła ojca: – Tato! Szybciej! Na miły Bóg! Vanderzaan gnał Franka, który pędził jak pogotowie na sygnale, gwałcąc wszelkie przepisy.

Poród już się zaczął. Doktor Hillman, właściciel kliniki, natychmiast skierował Betty na salę porodową. Zarządzono pełne pogotowie. Poród był mocno przedwczesny i zachodziła poważna obawa, czy uda się uratować dziecko. W końcu córka samego Vanderzaana nie rodziła codziennie i szczęśliwy poród stał się sprawą prestiżu zawodowego luksusowej kliniki doktora Hillmana.

Zdenerwowany Vanderzaan niecierpliwie zaciskał dłonie. Doktor Hillman zaprosił go na drinka do małego saloniku mieszczącego się w bocznym skrzydle kliniki.

Vanderzaan debiutował dopiero w roli dziadka i musiał przyznać, że nie spodziewał się, iż tak to będzie przeżywał. Chora na grypę Debbie została w domu.

Doktor Hillman poszedł na salę porodową, a Vanderzaan wyszedł do poczekalni. W saloniku nie mógł wytrzymać. Przechadzał się tam i z powrotem, wpatrując się we wzory perskiego dywanu.

W pewnym momencie zauważył syna wchodzącego z kwiatami. Peter po kłótni z siostrą wybiegł z domu i dopiero teraz, dowiedziawszy się o wszystkim, przybiegł skruszony:

– O Boże, tato. Co ja zrobiłem?! Czuję się zbrodniarzem...

– Gówniarzem – poprawił go Vanderzaan. – I czas, byś z tego wyrósł. Wujkiem zostaniesz, jak wszystko dobrze pójdzie – strofował go.

Peter przyjmował wszystko z pokorą, najwyraźniej przejęty stanem siostry.

– Ja ją naprawdę kocham – zapewniał.

– Dziwne, gdyby było inaczej – odburknął Vanderzaan.

W głębi korytarza pojawił się doktor Hillman i oznajmił, że wszystko przebiega pomyślnie:

– Młoda, zdrowa pierwiastka – pochwalił Betty. – A że się trochę pospieszyła? No cóż. Miała swoje powody. Za trzy godziny powinno być okay.

Oscar z Peterem postanowili przejść się po parku. Spacerując łatwiej się czeka, no i zapalić można, co w wypadku Vanderzaana było rzeczą istotną.

\*

\*

\*

Na sali porodowej Betty robiła wszystko, czego żądał od niej lekarz, byle tylko urodzić.

– Oddychaj i przyjm mocno! – powtarzał jej ciągle.

Nie wytrzymywała i wyła z bólu.

– Nie przejmuj się. Wyj i przyjm! A będą z tego ludzie... Już włoski widać – zachęcał.

Betty skowyczała jak dzikie zwierzę. Nic nigdy nie bolało ją tak bardzo. Traciła siły. W pewnej chwili doktor nacisnął mocno na brzuch... Jak przez watę doszedł ją jego głos:

– Mamy go. Jest. Chłopak. Ma pani syna! – pogratulował jej pierwszy.

Czuła tak wielką słabość, że nawet nie zareagowała. Miała wrażenie, że leci w dół. Łzy radości zmieszane z kroplami potu spływały jej po twarzy. Chciała coś powiedzieć, ale nie mogła. Podbródek jej się trząsał i słowa grzęzły w gardle. Patrzyła tylko na lekarza swymi skośnymi oczami, a on pokazywał jej coś drobnego i zakrwawionego, co miało być jej synem.

\*

\*\*

Oscar Vanderzaan czekał z niepokojem na wynik. Kiedy wreszcie ujrzał doktora Hillmana, rzucił się mu naprzeciw. Z przerażeniem nie dostrzegł w jego twarzy radości:

– Matka żyje. Nie ma powodu do obaw – uspokoił go.

– A dziecko?! Co z dzieckiem?! – dopytywał się.

– No cóż. Nie taję, że jest bardzo słabe. Leży w inkubatorze...

– Niech mi pan powie prawdę! – domagał się Oscar.

– Nie jestem w stanie. Najbliższe dni wykażą. Gdyby to była dziewczynka rokowania byłyby lepsze. Dziewczynki zazwyczaj są mocniejsze – odparł z wielką powagą.

– Boże! Dałbym cały majątek, żeby to dziecko żyło!

– Niestety – westchnął doktor. – Obydwa wiemy, że nie od pieniędzy to zależy. Córka w każdym razie jest w dobrym stanie. Zasnęła.

– Dla niej byłby to straszny cios. Najpierw mąż, teraz syn. Nie wiem jakby to wytrzymała – rzekł zdruzgotany Vanderzaan.

– Zdaję sobie sprawę z sytuacji. Zrobimy wszystko co w naszej mocy – zapewnił doktor. – Wolę być jednak pesymistą – zastrzegł się. – Potem jest zawsze mniej rozczarowań – dokończył ze smutkiem.

Wracali w ponurych nastrojach. Frank jechał wolno jak na pogrzebie, tym razem zatrzymując się wzorowo na wszystkich światłach. Gdy dojechali do 42 ulicy, dostrzegli dziwne podniecenie i ruch. Przechodnie rzucali się sobie na szyję, a wokół gazeciarza wykrzykującego słowa dodatku nadzwyczajnego zebrał się tłum. Ludzie wrywali mu gazety z ręki.

– Co tam się stało? – mruknął Peter i uchylił szyby samochodu.

Wtedy podleciał do nich młody żołnierz i w skrajnym podnieceniu zawołał:

– Pokój w Europie! Niemcy bezwarunkowo skapitulowały! Koniec wojny!

– Nie dla mnie – burknął Vanderzaan i pomyślał, że los jest jednak złośliwy. Właśnie w tym dniu, na który tak bardzo czekał, i jakąś swoją cegiełkę do tego zwycięstwa dołożył, nie ma się z czego cieszyć. Nie chce mu się nawet przeczytać gazety. Co prawda został dziadkiem, ale nie ma wcale pewności, że wnuk wyżyje. Jeszcze mniejsza nadzieja na powrót Ricka.

Albert Heath zadzwonił do Vanderzaana rano i oznajmił, że po dementi Rosjan nie ma większych szans na odnalezienie lotników. Departament z bólem musi uznać ich za zaginionych. Nie mówił o tym Betty i wołał nie myśleć, jak na to zareaguje. Nic dziwnego więc, że ze złością poluzował krawat i cierpko zwrócił się do kierowcy.

– Jedź już, Frank. Chcę być w domu. Za dużo klęsk jak na jeden dzień zwycięstwa – pomyślał.

## XXVI

Królestwo Ilii Dmitrycza trudno było nazwać szpitalem i Wiera mocno przesadziła twierdząc, że będą tu mieli warunki do operacji. W dwóch małych celach leżeli chorzy. W gabinecie zabiegowym stał tylko stary fotel dentystyczny i stół zarzucony papierami. Ilia Dmitrycz biegał przy nich usłużnie, wciąż tłumacząc się gęsto:

– Sami widzicie. Nie jest to jak należy – z szuflady wyjął reprezentacyjny biały

ręcznik, nowy kawałek mydła i uroczyście wręczył doktorowi. Mark Gawryłowicz, wkładając fartuch, rzucił z ironią:

– No tak. Sala kliniczna to nie jest. Ale jak mus to mus – włożył ręce pod ledwie ciekący kran. Starannie mył je z nawyku.

Ilia Dmitrycz niczym lokaj cierpliwie trzymał przed nim ręcznik. Wiera tymczasem wyjęła z autoklawu narzędzia i zaczęła je sterylizować. Doktor Garmontow zbadał ogólnie Boba, wysłuchał serca i kiwnął na Wierę:

– Możemy zaczynać...

Bob zdjął z szyi znaczek identyfikacyjny, który zwykli nazywać "psim medalikiem" \* i wręczył stojącemu nad nim doktorowi:

"Psi medalik" – woryginale "Dog Tag". Indywidualny znak identyfikacyjny obowiązujący w armii amerykańskiej do dziś.

– Proszę to dać moim kolegom... Gdybym się nie obudził.

Mark Gawryłowicz bezwiednie wsunął go do kieszeni i zaczął nakładać gumowe rękawiczki. Wiera postawiła obok sterylizator z narzędziami:

– Spokojnie. Obudzisz się – zapewniła go, mocno ściskając za rękę. Z napięciem spojrzała na doktora: – Zaczynamy?

– Tak jest. Proszę podać narkozę – zadysponował.

Po chwili Bob zapadł w sen. Doktor Garmontow zbliżył się do pacjenta: – Nie wiem, po co go męczymy. Chyba dla spokoju sumienia...

– Czasem zdarza się cud – zachęcała go.

– Nie w tym stadium gangreny, dziecko – odparł miękko i rutynowym ruchem wznosił dłonie do góry. Wyglądało jakby się modlił.

Na wynędzniałej twarzy Boba malował się spokój. Grymas bólu rozplynał się. Spał teraz twardo. Nie reagował na słowa, ani na ukłucia. Przywiązali go mocno pasami i Wiera ostrożnie odwinęła ranę. Smród ropy i odór gnijącego ciała zawisł znów w celi. Ilia Dmitrycz cofnął się szybko. Dla człowieka nie obytego z chirurgią widok był rzeczywiście straszny. Doktor Garmontow poprawił maskę i przystąpił do operacji.

Ropa zmieszana z krwią ściekała żółto-szarą smugą. Kikut był cały w wybroczynach naczyń krwionośnych. Nagie żyły wypełzły na wierzch jak robaki. "Tak wyglądają rany trędowatych" – pomyślała Wiera równie porażona tym widokiem, mimo że z nędzą ludzkiego ciała stykała się na co dzień. Podziwiała teraz kunszt doktora i jego spokój. Ilekroć asystowała mu przy operacji, uderzała ją niezwykłą biegłością jego rąk. Każdy ruch miał swój sens powiązany z następną czynnością. Nie było zbędnych działań. Wszystko precyzyjne, odmierzone jak w zegarku. W tym wypadku jednak nawet doktor Garmontow wydawał się bezsilny. Co jakiś czas bezradnie patrzył na Wierę, wskazując wzrokiem, że i ta radykalna amputacja nic nie da, bo zakażony jest już cały organizm. Śledziona i wątroba powiększone. Wysięk nastąpił najpewniej w płucach i otrzewnej.

Po blisko godzinnych zmaganiach spocony Mark Gawryłowicz zdjął maskę z twarzy:

– Wyciąłem co mogłem – powiedział. – Obawiam się jednak, że to tylko zbędna tortura – zmęczony siadł w dentystycznym fotelu. – Każdy chirurg jest po trosze rzeźnikiem, ale gdy krajanie traci sens, jest to nadzwyczaj przykre. Bardzo tego nie lubię. Inni go dość wymęczyli – ze współczuciem spojrzeli na Boba. – No cóż. Spóźniliśmy się. Spóźniliśmy się, niestety, kolego – wstał i wymownie odwrócił się plecami do Ilii Dmitrycza. Słowo "kolega" zabrzmiało jak obelga. Ilia Dmitrycz zamrugał oczami i nic nie odparł.

– Więc nie ma ratunku? – Wierze przypomniał się lek, o którym wspomniał Rick.  
– Amerykanie ponoć coś mają...

– Może i mają. Lecz cóż?! Choć on Amerykanin i tak mu nie dadzą – urwał, czując, że za dużo powiedział.

– Przenieść go na izbę chorych? – zapytał Ilia Dmitrycz.

– Możecie. To i tak bez znaczenia. Kwestia dni, obawiam się – doktor Garmontow powoli spakował swoje narzędzia. – To co? Idziemy? – zwrócił się do Wierze.

– Ja jeszcze trochę zostanę, jeśli wolno – poprosiła.

– Ależ oczywiście. Przykro mi tylko, że nic nie mogłem pomóc – pogłodził swą kocią bródkę.

– Wiem. Przecież was znam, Mark Gawryłowicz. Dlatego to takie straszne – odparła zgnębiona.

– Co robić. Życie – doktor Garmontow wziął autoklaw i nie podając ręki Ilii Dmitryczowi, wyszedł z gabinetu.

Wiera odprowadziła go do końca korytarza. Doktor zatrzymał się nagle, jakby coś sobie przypominając:

– Wiera Andriejewna. Ten Amerykanin dał mi jakiś medalik. Chciał pewnie, żeby przekazać to rodzinie. Oddajcie go, proszę, jego kolegom. Oni na pewno będą wiedzieli, co z tym zrobić – to mówiąc, wyjął "psi medalik" Boba i wręczył go Wierze.

Wiera zawinęła go w chusteczkę, schowała i pożegnała się z doktorem. Po chwili wróciła do izby chorych. Bob nie obudził się jeszcze. Poprosiła Ilię Dmitrycza, by zawiadomił ją, jak ranny odzyska przytomność. Sama zaś w towarzystwie strażnika weszła do celi Amerykanów.

Otoczyli ją zwartym kołem. W napięciu czekali, co powie.

– Jest gorzej niż myślałam – rozpoczęła.

– To znaczy? – spytał Rick.

– No... – zawahała się. – Chyba nie ma ratunku. Niestety...

– Naprawdę nic nie da się zrobić?! – wybuchnął Barney.

– Tylko ulżyć w męce. I to obiecuję. Nie będzie cierpiał...

Rick wciąż nie wyobrażał sobie życia bez Boba. W końcu stykał się ze śmiercią, przed każdym nalotem nie wiedział, czy wróci, wielu kumpli ginęło w akcji, ale było



to co innego. Bob nie zasłużył na taką śmierć. Mógł żyć.

Wiera czuła, co myśli. Co myślą wszyscy ci lotnicy. Stała, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Wreszcie Rick przerwał ponurą ciszę:

– W takim razie przenieśmy go – zaproponował. Nie ma sensu, by konał samotnie. Lepiej wśród swoich...

– Oczywiście – zgodziła się chętnie. – Spróbuję. Będzie pod waszą opieką. A ja codziennie postaram się go odwiedzić – wyszła ze strażnikiem załatwić wszelkie formalności.

Bob zobaczył nad sobą Kate. Robiła sweter na drutach i kolorowe nitki miękko łachotały go po twarzy.

– Co robisz? – spytał zdziwiony.

– Ubranko dla synka Betty – odparła cicho.

– To Betty ma syna?! – krzyknął.

– Naturalnie – mruknęła obojętnie. Dalej robiła na drutach, jakby nic się nie stało.

– Muszę mu to powiedzieć! – poderwał się.

– Nie musisz – rzekła sucho. – On i tak wie. Siedzi tu obok...

– Widzisz co jest? – zamachał pustą nogawką.

– Och, Bob. – Przez ciebie pomyliłam oczka.

– Ależ Kate! – zawołał. – Ja nie mam nogi!

Zdało mu się, że wolno przykrywała go kolorowymi nitkami. Próbował je z siebie rzucić. Były ciężkie jak sztaby. Gniotły pierś. Spostrzegł, że są z kolczastego drutu. Dławił się. Jęknął i otworzył oczy.

We mgle dojrzał twarz Ricka: – No widzisz. Wróciłeś – doleciał go głos przyjaciela. Było to tak straszne, że znów zamknął oczy. W rozpaczy chciał powiedzieć Kate, że są w Rosji, ale jej już nie było. Twarda rzeczywistość znów królowała w celi. Nie w pełni przytomny przypomniał sobie nowinę, którą od niej usłyszał i postanowił się nią podzielić:

– Masz syna – wymamrotał słabo.

Rick nie bardzo zrozumiał i gładził go łagodnie po ramieniu.

– Masz syna – powtórzył głośnie.

Rick spojrzał na niego zdziwiony:

– Co ty mówisz?

– Urodził ci się syn. Bardzo się cieszę – znów zamknął powieki. Zacisnął z grymasem usta.

– Skąd wiesz? – spytał oszołomiony.

– Wiem – odchrząknął. – Kate mi przed chwilą powiedziała – wyrzucił.

W gardle mu całkiem zaschło. Poprosił o szklanekę wody. Stojąca obok Wiera

podawała mu kubek herbaty. Wypił łączywie:

– Znów okropnie rwie – poskarżył się.

– Zaraz przejdzie – pocieszyła go i szybko zrobiła mu zastrzyk z morfiny.

Po zastrzyku poczuł się lepiej i podjął przerwany wątek:

– Gratuluję ci, Rick – z trudem uniósł głowę. – I pamiętaj, że ja byłem pierwszy...

To "byłem" zabrzmiało jak zza grobu. Rickowi zrobiło się słabo. Radosną wieść o narodzinach syna usłyszał z ust konającego przyjaciela. Wiera spostrzegła jego zmieszanie i spytała, co się stało.

– Mam syna – powtórzył biernie. – Ale to chyba niemożliwe. Za wcześnie – dodał po chwili.

– Nie wiedziałam – rzekła bezwolnie i dotknęła rozpalonego czoła Boba. Gorączkę musiał mieć dużą. Poruszał ustami jak w malignie.

– Może majaczyć – uprzedziła ich z góry.

Rick wciąż rozmyślał o tym, co przed chwilą usłyszał. Może to też była halucynacja? Chociaż z drugiej strony ludzie w momencie śmierci często mają jasnowidzenia.

Na dziedzińcu rozległy się strzały.

– Co to jest? – mruknął Bob.

– Rosjanie świętują koniec wojny. Podobno się skończyła – wyjaśnił Rick.

– Wesoło im, psom – skomentował to krótko Glenn.

Stał najbliżej okna i obserwował niebo przez wąskie prześwity blindy.

– No proszę – westchnął Bob z wysiłkiem unosząc się na łokciach... – Więc mamy pokój...

– Raczej celę – sprostował go Aron.

– Chciałbym zobaczyć – poprosił cicho. – Dajcie mi rzucić okiem...

– Nie ma na co – powstrzymał go Stan. – Ciesz się, łotry. Nam to i tak nic nie da...

– Ja jednak chciałbym zobaczyć – upierał się Bob. – Pozwólcie mi...

Wnet wypełnili jego prośbę. Delikatnie podsadzili do małego, zakratowanego okna. Wybuchy były coraz częstsze. Pojedynczym strzałem towarzyszyła daleka artyleryjska kanonada.

– Widzisz? – zapytał go Grzdyl.

Bob długo nie odpowiadał. Patrzył na barwne fajerwerki, które rozrywały się w niebie. Łzy wolno ściekały mu po twarzy.

– Tak. Dziękuję – odparł wreszcie.

Chcieli go znów ułożyć na prycy, gdy nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem. Do celi wszedł pijany, rozradowany Iwan Groźny. Upojony był zwycięstwem.

– No co, Amerykańcy?! – ryknął wściekle. – Wasz Hitler kaput! Koniec wojny! Na, pijta! – z triumfem wyciągnął kubek samogonu.

Nikt go nie tknął, tylko Kuzmich zbliżył się przymilnie.

– Ty glizdo, won! Amerykańcy mają pić. Za nasze zwycięstwo. Za mir, bo gnaty poprzetracam – groźnie zadzwonił kluczami. Ze śmiechem podszedł do Boba:

– Ten skunks żyje?! – zdziwił się – To na! Pij! Łatwiej pójdziesz do nieba! – chamsko przystawił mu kubek do zębów. Dopiero teraz spostrzegł Wierę.

– Ooo?! Towarzyszka Makarow – zatoczył się z szacunkiem.

– Precz – rzuciła Wiera.

– Ja? – beknął zdziwiony.

– Ty! – krzyknęła w furii. – Bo jeszcze dziś każę cię rozstrzelać! W dniu zwycięstwa!

Iwan Groźny z miejsca wytrzeźwiał i wyprężył się na baczność. Do jego pijanego łba nagle dotarło, że ma przed sobą żonę komendanta "Smiersza".

– Wybaczcie, towarzyszko Makarow – sapnął ciężko, a w jego świńskich oczkach pojawił się wyraz bezgranicznego oddania. – Ja tylko chciałem tym faszystom...

– Won! – warknęła znowu.

Własenko służalczo zgięty w pół wycofał się na korytarz. Po jego wyjściu z powrotem ułożyli Boba na pryczy. Przez chwilę leżał bez ruchu z zamkniętymi oczami. Oddychał z trudem. Następnie uniósł powieki i wodząc po nachylonych nad sobą kolegach, szepnął jakby do siebie:

– Głupio tak, panowie... Zdychać w sam dzień zwycięstwa...

Rick próbował zaprzeczyć, ale Bob uśmiechnął się z wyższością.

– Daj spokój. Wiem...

Znów zamknął powieki. Wyczerpała go widać ta wędrówka do okna.

– Słabo mi... – poskarżył się. – Słuchaj! – zaczął jakby w strachu, że nie zdąży – Powiedz Kate, że nie zbłądziłem się, no i że... kochałem ją do końca – zatrzymał się na moment. – Tak jakoś wyszło... Tylko nie mów mojej matce, że ja w ten sposób zdychałem – dotknął swej pryczy. – Kod "Srebrna Taca" – uśmiechnął się ledwie widocznie. – No i gdybyście stąd cudem wyszli... – znów zrobił pauzę – to weźcie mnie stąd. Nie chcę gnić tu na wieki. Rozumiesz? – ostatnią sylabę zaznaczył niemo.

Z trudem wciągnął powietrze. Pusty syk wysączył mu się z ust. Mała bańka pękła i spłynęła wąską strużką śliny. Cień wiecznego uspokojenia legł na jego twarzy. Czy Boba nie widziały już nic.

Patrzyli skamieniali. Rick nachylił się i domknął mu powieki. Z wolna osunął się na kolana i bezwiednie zaczął mówić pacierz:

– Ojcze nasz, któryś jest w niebie święć się imię Twoje... przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja... jako na niebie tak i na ziemi...

Towarzyszył mu cichy płacz kolegów i Wiery szepczącej rosyjskie słowa

modlitwy, a także jęk Arona, który kiwając się monotonicznie, zmawiał Kadisz za umarłych.

## XXVII

Pierwsze dni po porodzie były dla Betty okropne. Szybko się domyśliła, że życie jej syna wisi na włosku. Był bardzo mały. Leżał cały czas w inkubatorze. Betty dopiero na drugi dzień mogła go obejrzeć. Nie miał nawet paznokci. Jego skórka przezroczysta była jak pergamin: – Boże, żeby wyżył! – modliła się. Z dnia na dzień był jednak silniejszy. Płakał coraz głośniejszym głosem, co było najlepszą oznaką zdrowia. Kiedy więc po dwóch tygodniach ważył prawie sześć funtów, doktor Hillman stał się optymistą.

Oscar Vanderzaan szalał z radości. Obsypywał prezentami całą klinikę, doktor Hillman otrzymał złotą papierošnicę z brylantami i pięknie wygrawerowanym monogramem. Betty traktowano jak królową. Jej pokój tonał w kwiatkach. Największe kosze otrzymała od rodziców i Dawida. Harry O'Sullivan przysłał telegram: "Gratulujemy młodego O'Sullivana. Pijemy na przemian dżin i potęen za wasze zdrowie. Dziadkowie".

Betty dostała kwiaty od Alberta Heatha i szefa sił powietrznych, generała Arnolda. Co ją jednak najbardziej zaskoczyło, to depesza od attach~e prasowego ambasady radzieckiej Anatolija Gorodenki. W imieniu własnym i żony gratulował szczęśliwych narodzin syna. Takiego dowodu sympatii Betty się nie spodziewała. Było to dziwne, skąd wiedzieli, dlaczego się nią interesowali.

Betty rwała się do syna, nie mogąc doczekać się, kiedy pozwolą go karmić. Jej pełne piersi pękały z nadmiaru pokarmu. Twarz dziecka ciągle przypominała jej Ricka.

Kiedy odwiedził ją Dawid, z dumą odczytała mu tekst depeszy Gorodenki.

– Widziałeś?! I skąd oni wiedzą?

– Jesteś osobą publiczną. Szczególnie po występie w ambasadzie – zażartował.

Sam jednak zaczął się zastanawiać, od kogo Gorodenko mógł tak szybko się dowiedzieć: – Najpewniej od Heatha – stwierdził.

– Wolałabym od nich dostać inną depeszę – ciągnęła dalej Betty. – Czy uważasz, że ich naprawdę tam nie ma? Ale przecieź ten kapitan łodzi podwodnej kategorycznie twierdzi, że wyraźnie przejął meldunek z Rosji...

– Niestety tylko on jeden się przy tym upiera – odparł ostroźnie Dawid. – Gdybyśmy mieli inne dowody, byłoby łatwiej...

– Na pewno. Niemniej nie mam powodu bardziej wierzyć Rosjanom niż jemu – powtórzyła swój stary argument. – Nie twierdę, że kłamią, ale mogą dobrze nie wiedzieć...

– Nie zaprzecza się tak kategorycznie, dobrze nie wiedząc – przyparł ją swą wrodzoną logiką.

– W każdym razie ja nie myślę się poddać – oświadczyła.

– Twoje prawo. Zawsze możesz na mnie liczyć – zaofiarował się. Szybko zmienił temat. – Jak królewicz?

Twarz Betty rozjaśniła się:

– Nie masz pojęcia, jaki to straszny żarłok – rzekła z matczyną dumą. Była piękna w swym macierzyństwie.

Swobodnie wyciągnęła się na łóżku. Pomógł jej przykryć się pledem, łagodnie pocałował w rękę. Siostrzanym ruchem pogłaskała go po głowie:

– Siadaj – wskazała krzesło. Dawid z westchnieniem usiadł. Przez chwilę wpatrywał się w nią z uporem.

– Co tak patrzysz? – spytała niewinnie.

– Wiesz sama – odrzekł z prostotą.

Zapadła cisza. Betty odgarnęła włosy i zapaliła lampkę. Rozmawiali. W pokoju zaczęło zmierzchać. Wtem rozległ się dzwonek i siostra spytała, czy może wejść pani Fulton.

– Jasne. Co za pytanie?! – ucieszyła się Betty.

Kate odwiedzała ją stale. Była w świetnym nastroju.

– Ślicznie wyglądasz – pochwaliła ją Betty. – Wybacz, że nie wstaję, ale właśnie się położyłam – przeprosiła.

– Ależ leż – Kate była dziwnie podniecona. Mówiła szybciej niż zwykle. – Po pierwsze, czy to ci się podoba? – wyciągnęła wełniany sweterek.

– Cudny! – Betty wyrwała go z rąk – będzie mu w nim wspaniale! Dziękuję – z wdzięczności wyściskała Kate.

– A z tej wełny zrobię jeszcze czapkę – Kate położyła dwa kłębki na piersiach Betty i pociągnęła nitki, demonstrując zestaw kolorów.

– W ten sposób Rick będzie najelegantszym mężczyzną...

– Rick?! – zdziwił się Dawid – Tak o nim myślisz, że ze wszystkim ci się już kojarzy...

– Oczywiście, że Rick – zaperzyła się, a w jej oczach błysnęła przekora. – Będzie się nazywał Richard O'Sullivan Junior. Nie wyobrażam sobie inaczej. Zresztą jest jego kopia – rzuciła dumnie.

Dawid zamilkł. Zrobiło mu się trochę przykro, ale nic nie odrzekł. Kate zgarnęła kłębki wełny i powiedziała, że jej ojciec właśnie wrócił z Europy i dobrze zna generała Harry Vaughana, serdecznego przyjaciela prezydenta Trumana. Byłaby to więc świetna okazja do kolejnej interwencji. Dawid przypomniał, że prezydent już raz rozmawiał na temat samolotu z ministrem Mołotowem i jedyną reakcją Rosjan było ostre dementi.

– Ale próbować trzeba – wtrącił. Nie chciał gasić entuzjazmu Kate, która z nich wszystkich najbardziej wierzyła w powrót chłopców. Teraz też snuła szerokie plany:

– Jak Bob wróci, zaraz kupujemy dom – sięgnęła po druty. – Już mam upatrzony

– nie tracąc czasu, zabrała się za robótkę.

Betty zazdrościła jej tego optymizmu.

Niebawem Dawid pożegnał się. Czekало go zebranie Towarzystwa Pomocy Rosji. Albert Heath bardzo prosił, żeby przyszedł. Narzekał na pogarszające się stosunki amerykańsko-rosyjskie i nieodpowiedzialne wysoki prasy, która w pogoni za sensacją gotowa wszystko zniszczyć:

– Kiedy my tu w departamencie z trudem budujemy mosty i wciągamy Rosjan do wojny z Japonią, te głupki kłują ich szpileczkami...

– Dlaczego Rosjanie reagują na nie?

– Trzeba ich znać – rzekł z uśmiechem Heath. – Są diabło podejrzliwi. Wciąż byli w okrążeniu. Od paru lat zaledwie są w orbicie demokracji.

Na zebraniu większość mówców apelowała o przełamanie kordonu nieufności wobec rosyjskich sojuszników: – Uratowali Europę, dźwigają cały ciężar wojny itp. – Znał te argumenty na pamięć. Zaskoczył go natomiast atak na prasę i urąganie, że jest reakcyjna, fałszywie przedstawia radziecką rzeczywistość.

Nagle jeden z mówców zaatakował aferę z amerykańskim samolotem:

– Należy dać odpór tej faszystowskiej propagandzie! Hitler byłby dumny z takiego artykułu. Są wśród nas dziennikarze! – wołał oburzony – dlaczego nie reagują na tę hańbę?!

Był to starszy pan w muszce. Jak się potem okazało, profesor z uniwersytetu Columbia. Dawid zabrał głos:

– Nie widzę w tym żadnej hańby. Każdy dziennikarz ma prawo pytać o los naszego samolotu. I nie jest to faszystowska propaganda. Co najwyżej tragiczne nieporozumienie. A na pokładzie tego samolotu – zwrócił się wprost do przedmówcy – znajdowało się dziewięciu naszych lotników, których znałem osobiście i pozwolę sobie ich panu wymienić po nazwisku...

– Szczegóły nie są w tej chwili istotne! – odkrzyknął godnie starszy pan.

– Nie wiem, czy życie ludzkie jest szczegółem, może dla pana – odciął się Dawid. – Jestem pewien, że gdyby znajdował się tam pański syn, miałby pan inne zdanie...

Rozległo się szemranie i protesty. Przemówienie Dawida zostało bardzo źle przyjęte. Na przerwie podszedł do niego Heath i rzekł z ironicznym uśmiechem:

– Nie podejrzewałem cię o ten nadmiar szlachetności.

– Bo co? – zdziwił się Dawid.

– Mówmy szczerze – Heath objął go serdecznie. – Ich powrót nie leży w twoim interesie, stary. Nie oszukujmy się – mrugnął do niego porozumiewawczo.

– To nie ma nic do rzeczy – zaprotestował Dawid.

– Zgoda – przyznał Heath. – Dlatego mówię, że cię podziwiam. Stanałeś ponad własnym interesem. Chyba że... – zaśmiał się cynicznie – zamierzasz w ten sposób zdobyć dodatkowe punkty. To też nie głupie. Panie to bardzo lubią – dodał ze znawstwem.

## XXVIII

Po śmierci Boba najważniejszą rzeczą stała się sprawa jego pogrzebu. Rick za wszelką cenę chciał wypełnić ostatnią wolę przyjaciela. Nie było to jednak takie proste. Największą nadzieję pokładał w Wierze. Wtedy gdy pobożnie klęknęła i uczyniła znak krzyża na czole zmarłego, zrozumiał, że w tym wielkim, okrutnym kraju tylko ona może im jeszcze pomóc. I uczepił się tej myśli jak ostatniej deski ratunku.

– Może stąd nie wyjdziemy – szeptał jej do ucha. – Ale póki żyjemy, chciałbym go pochować po ludzku – błagał ją.

Kiwała głową, w głębi bała się jednak, że jest to praktycznie niemożliwe. Nie wystarczy umrzeć, żeby być wolnym. Ciało dalej pozostaje własnością państwa. Grób jest śladem życia, a chodzi przecież o to, aby udowodnić, że ich tu nigdy nie było. Wiera wiedziała, że nikt jej nie wyda ciała. Pierwszy Grisza przerazi się. Zlikwidują wszystkich po cichu i koniec. Obiecała jednak, że się tym zajmie. Przy okazji przypomniała sobie o medaliku, który otrzymała:

– Przed operacją zdjął to – rozwinęła go z chustki. – Pewnie chciał, żeby przekazać rodzinie...

Rick wziął "psi medalik" Boba. Zgodnie z regulaminem należało go teraz odesłać do macierzystej jednostki. – Nic prostszego – zaśmiał się ironicznie w duszy. Im odebrali jeszcze przy rewizji, o Bobie jakoś zapomnieli. Wsunął znaczek wraz z innymi pamiątkami po Bobie w siennik.

Wiera kazała wynieść ciało do kostnicy. Pod pretekstem dokonania sekcji zwłok poprosiła Gromkina o przetrzymanie ciała. Zgodził się chętnie: – I tak czekam na rozkaz – odparł szczerze. – Więzień specjalny...

Kiedy wróciła do domu, Grigorij wiedział już o wszystkim. Zdażył powiadomić Moskwę o śmierci Boba. Abakumow przyjął to zwyczajnie, polecił tylko załatwić rzecz bezśladowo:

– Sami rozumiecie. Najwyższa racja stanu. W tym aspekcie szczególnie ważne – podkreślił.

Gdy Makarow spytał, czy dalej ma traktować więźniów w przyjętym trybie, odparł szorstko:

– Coś za często pytacie – rzucił zgryźliwie.

Abakumow był w złym nastroju i przedłużanie rozmowy mogło się skończyć niedobrze. Makarow zastosował się do dyrektyw i z ulgą odłożył słuchawkę.

W domu zastał zgnębiającą Wierę. Nigdy nie sądził, że weźmie sobie tak do serca sprawę tych Amerykanów. Nie wiedział jednak, jak ją od nich oderwać. Kiedy więc nagle oznajmiła, że chce jechać na urlop do matki, ucieszył się bardzo: – Nawet Tamara Lwowna lepsza od tych wizyt w więzieniu – pomyślał.

– To wspaniały pomysł – dodał głośno.

Wiera była zaskoczona. Normalnie o każdy wyjazd do matki toczyły się boje. Grisza był zazdrosny i chronił ją przed zgubnym wpływem "tej reakcjonistki". Do

urlopu brakowało jeszcze dwa tygodnie, mieli więc czas wszystko ustalić. Wiera myślała bez przerwy, jak wyrwać zwłoki Boba z więzienia:

– A co robicie z ciałem – spytała męża.

– Bo co? – zaniepokoił się.

– Nic. Tak pytam – rzekła obojętnie. – Po prostu ciekawy przypadek. I Mark Gawryłowicz chciał dokonać sekcji – skłamała szybko.

– Niestety, Wieroczka. Tych z artykułu pięćdziesiątego ósmego nie zwracamy rodzinie. Tylko kryminalnych. A po nich przeważnie nikt się nie zgłasza – machnął lekceważąco ręką.

W głowie Wiery zrodził się nagle plan: – Zamienić ciała... – Trzeba było wciągnąć w to kierownika kostnicy i więziennej kancelarii. Mogła się o to zwrócić do Gromkina, ale uznała, że lepiej załatwić wszystko na samym dole. Szansa łapówki dużo większa. Postanowiła udać się do Popki. Wydawał się najmniej groźnym poczciwcem. Gdy ostrożnie go zapytała, ucieszył się prawie:

– Chcecie widzieć trupiarza? Nic prostszego. To mój kumpel. Drań, ale bardzo porządny człowiek. W kotłowni pracuje. Zaprowadzę was – zaofiarował się. Po drodze wyjaśnił, że Jowicz, trupiarz znaczy się, jest palaczem, a dodatkowo zajmuje się trupami. – Przykry zawód, ale on sobie chwali. Wesoły. Tyle, że zawsze pijany – uprzedził z góry. Wiera ucieszyła się: – Z pijanym zawsze łatwiej – pomyślała.

Jowicz rzeczywiście pracował głęboko. Szli do niego w nieskończoność po żelaznych schodach. Musieli zejść dwa piętra w dół, nim wreszcie dotarli do trzeciego poziomu podziemi. Tu, w niskiej piwnicy, mieściła się kotłownia. Jowicz właśnie remontował piec. Na ich widok odłożył narzędzia, wytarł ręce o kombinezon i roześmiał się szczerze. Był to starszy grubas o szerokiej rosyjskiej twarzy. Perkaty nos miał w sadzach:

– Ho, ho?! Co za zaszczyt! Samo naczałstwo zstąpiło z góry! I to w jakim składzie?! Uważaj, lalko, na suknię – ostrzegł ją po ojcowsku. – Tu nie wyższe piętra. Można się fest uświnić. I będziesz jak ja – wycharczał wesoło. Wionęło od niego wódką i stęchłą wilgocią.

– Co cię sprowadza, wujek? – zwrócił się do Popki.

– Towarzyszka Makarowowa ma do ciebie sprawę – wyjaśnił sucho i służbiście podciągnął pas.

– Do mnie?! To miło, że takie lalki mają do mnie sprawę – zarechotał głośno. – Mów, skarbie – splunął soczyście dla zachęty.

– Żadną sprawę – zbagatelizowała rzecz Wiera. – Po prostu muszę wejść do kostnicy. W celu oględzin. Nie zdążyłam nanieść do protokołu...

– A co tam nanieść?! Wynieść trzeba! – zdenerwował się. – Jak trup w lecie zalega, to wściec się można! Smród i zaraza – poskarżył się. – Bumazkę masz? – wyciągnął rękę po pismo.

– Pracuję tu – wyjaśniła Wiera.

– Każdy pracuje. Do mnie trzeba mieć "propusk". Trupi rewir. Nie każdy żywy może tu wejść – charknął z odcieniem dumy.



– To gdzie to dają? – zapytał Popko.

– Coś ty? Obudził się?! U was!

– Oj, Boże, Jowicz – westchnął Popko, któremu nie chciało się iść na górę. – Nie jesteśmy z lasu. W końcu wiesz, kto to jest towarzysz Makarow...

– No wiem... Ale przepis to przepis...

– Nie baw się w biurokrację. Cyrk robisz...

– Cyrk – zachrypiął Jowicz. – I w cyrku trzeba mieć bilet, nie? No, dobra. Poczekajcie. Pójdę po klucze...

– To rozumiem – pochwalił go Popko.

Za chwilę wrócił, zamknął kotłownię i poprowadził ich wąskim korytarzem. Znow zeszli pół piętra w dół i stanęli przed betonowym bunkrem. Jowicz powoli otworzył żelazne drzwi. Pierwszy wszedł do środka i zapalił mdłe światło.

– Włazcie – mruknął.

Uderzył ich ponury widok. Na cementowej posadzce leżały dwa rzędy trupów. Kilkanaście ciał. Niektóre zmasakrowane, o obitych, zmienionych twarzach. Przy jednym była zaschnięta kałuża krwi:

– No widzicie – żalił się Jowicz. – Ten prawie w ciąży – kopnął butem wzdęty brzuch trupa. – Mieli go wynieść i zacuchnął się, ścierwo – wskazał resztki lodu w trocinach. – Lato to lato. A oni tego nie rozumieją – splunął soczyście.

Wiera zauważyła, że zwłoki Boba ułożono oddzielnie. Przy palcu u nogi przyczepiono kartkę. Ze zdziwieniem odczytała rosyjskie nazwisko: Więc on nie wie, że to Amerykanin – ucieszyła się.

– Ja do niego – rzekła cicho.

– Ach, tak – głos Jowicza zadudnił w betonowych ścianach. – Jakiś ważniejszy. Ma iść na proch. Spalą go – wyjaśnił.

Popko nie wytrzymał trupiego odoru i wyszedł z bunkra. Wiera odetchnęła. Teraz mogła swobodnie porozmawiać z palaczem. Przez chwilę udawała, że dokonuje oględzin i notowała coś na kartce:

– A w krematorium to już nie wy? – spytała.

– Nie. Ale mam tam kumpla. Też palacz. Kraskow – zapalił papierosa. – Człowiek jak kret w tej norze. Nic tylko kotły i trupy – użalił się znów.

– Nie dałoby się w tym krematorium zgarnąć tych prochów do jakiejś skrzyneczki?

– Może i dało. Ale na chuj?! zdziwił się.

– Widzicie – podjęła powoli. – Znam jego matkę. Nie chcieli jej wydać ciała. Błagała mnie na klęczkach, staruszka – kłamała jak z nut.

– Znaczący lepszy wróg ludu – orzekł Jowicz.

– Może i wróg – przyznała. – Ale dla matki zawsze syn. Szczególnie po śmierci...

– To prawda – zgodził się.

Wiera wyciągnęła pół litra specjalnie w tym celu przygotowane. Podala Jowiczowi:

– To dla was. Powiedziała, że każdego ozłoci, kto dla niej to zrobi...

Jowicz westchnął głęboko i wsadził flaszkę do kieszeni.

– Ozłoci, powiadacie? – wgniół peta w posadzkę. – Na chuj złocić? Flachę niech da. Kraskow też człowiek. Matce nie odmówi – sapnął mocniej.

– Zrobilibyście to dla niej? – upewniła się.

– A jak?! – dla potwierdzenia strzyknął żółtą śliną. – Spalimy go, skarbie. A prochy zgarniemy pięknie do skrzyneczki – wycharczał z uczuciem. – Wy oddacie je matce i wsio. Macie rację, zawsze syn – rzekł z przejęciem. Niech się, kurwa, cieszy.

\* \* \*

Po zgonie Boba zrozumieli, że skazano ich na śmierć. Sadyzm z jakim potraktowano Boba nie pozostawiał żadnych złudzeń.

– Wszystkich nas wykończą. Kwestia czasu – dumali ponuro.

Nawet Arona ogarnęła apatia. Regis, który przeniesiony został do innej celi, teraz wrócił w towarzystwie Iwana groźnego:

– Jest zguba – burknął Glenn Borsuk.

– A rusz mi go który – Iwan groźnie potrząsnął kluczami. Przez chwilę badał ich reakcję, po czym zadowolony wyszedł z celi.

Zapadła długa cisza. W milczeniu patrzyli na Regisa, a on stał wśród nich niepewny, schludny i ogolony, w świeżo zmienionym ubraniu. Na twarzy wyglądał lepiej.

– Gratuluję – mruknął Stan.

– Ja naprawdę nic nie zrobiłem – zapewnił.

– Tylko się zesrałem... – dokończył Glenn.

Regis wyciągnął paczkę papierosów. Serdecznie skierował ją w stronę kolegów. Nikt się nie ruszył, tylko Kuzmich podbiegł skwapliwie. Glenn podszedł do Regisa i kiedy ten z ulgą ją podsunął, splunął mu pod nogi:

– Zawsze mówiłem, żeś wszarz. Z elegancji sypnął. Jak se portki odprasował, to odżył. Tobie by nogę uciąć. O jeden kant byłoby mniej – wycedził z pogardą.

– Nie sypnąłem – przysiągł Regis. – Oni i tak wiedzieli...

– Od ciebie – wtrącił Mario, który właśnie wrócił z przesłuchania. – Wciąż dają cię za przykład...

– Nic ważnego nie powiedziałem...

– Jasne. Przechytrzyłeś ich – roześmiał mu się w twarz Mario. Większość milczała. Korzystając z tej ciszy, Regis próbował się bronić:

– Bohatera warto rżnąć, jak jest sens. A bez sensu? Kto się o nas upomniał?! Dawno spisali nas na straty...

– Skąd wiesz? – przerwał mu Rick.

– Aron wysłał przecież meldunek. Potwierdzili odbiór i co?! Uznali nas za poległych. Po co narażać sojusz o jeden głupi samolot! Wyższe racje się liczą. A pionki niech zdychają. Tylko ja nie chcę! Nie chcę, rozumiecie?! – uniósł się. – Czy wy myślicie, że Rosjanie nie mieliby tych informacji bez nas?! Panowie! Oni ujawnili mi takie fakty, o których ja nie miałem zielonego pojęcia – wyznał z podziwem.

– A ciebie kto zwolnił z przysięgi?! Jak się ze strachu zesrałeś, to nie dorabiaj do tego ideologii. I stul pysk. Jeśli ci lżej palić w naszym towarzystwie, pal, a nam pozwól zdychać bez sensu – obciął go Rick.

Znowu zapadła cisza. Niby zgadzali się z Rickiem, słowa Regisa jednak trafiły w czuły punkt. Każdy z nich myślał podobnie. Wciąż zastanawiali się, dlaczego ich nie bronią? Co robi dowództwo! Ambasada? Misja wojskowa? Jak można do tego dopuścić? Zaiste trudno się było z tym wszystkim pogodzić. I pokornie ginąć jak było.

– Regis ma rację – przyznał po chwili Mario. – Wiedzą sporo... Mogłem się dziś przekonać...

– Gdyby wszystko wiedzieli, to by nas nie pytali – krzyknął Rick.

Brzmiało to może logicznie, lecz mało przekonywająco. Mieli dość przesłuchań. W duchu zazdrościli Regisowi. Zdradził, bo zdradził, ale przynajmniej przeżyje. Ma szansę. Pali sobie fajki. A oni?! Czy ktoś kiedyś upomni się o nich?! Dowie się o ich bohaterstwie na tej przeklętej ziemi?! Mocno wątpliwe.

Regis jakby odgadł ich myśli, bo znów spróbował się usprawiedliwić:

– Ja i tak ich oszukałem. Nie będą mieli wiele zysku z moich zeznań...

Rick już chciał dodać, że rysunki były całkiem wierne, gdy Aron przerwał mu nagle:

– Ja powiem ci coś – zwrócił się do Regisa. – Była raz panna młoda, która dostała dwie nocne koszulki w prezencie ślubnym. Nie wiedziała co z tym fantem zrobić i udała się po poradę do uczonego rabina. – Rebe – mówi. – Jeśli włożę tę koszulkę od męża i zobaczy to rano moja teściowa, to będzie jej przykro. "Włóż od teściowej" – radzi jej Rebe. "Nie mogę też" – mówi, bo wtedy mężowi będzie przykro". I wiesz co uczony rabin jej odpowiedział? On odpowiedział jej tak: – Nie przejmuj się, drogie dziecko. Którąkolwiek koszulkę włożysz i tak cię wypierdolą. Pamiętaj o tym Regis. I nie przywiązuj zbytniej wagi do koszulki, którą ci dali. Może cię pochowają w oddzielnym grobie, takim dla przechrztów, a nas wrzucą do wspólnego dołu dla wrogów ludu, ale i tak cię wypierdolą. Interes toś ty zrobił, że głowa puchnie.

Po tej przypowieści zrobiło im się trochę lżej na duszy. Regis nabrał nadziei, że po tym żarcie o wspólnym losie koledzy mu jakoś odpuszczą. Ponownie wyciągnął papierosy, ale tylko Kuzmicz wziął.

– Ten to się opali – rzucił zawistnie Glenn.

Do celi wszedł Iwan Groźny i wprowadził Wierę:

– Który ma "K" – wywołał.

Kuźmicz i Kaplanowicz podnieśli ręce.

– Kuźmicz! Zapieprzaj na przesłuchanie, trąbo – zwrócił się elegancko. Po ostatniej przygodzie z Wierą wołał nie ryzykować. Kuźmicz podążył za nim posłusznie.

Wiera przyniosła z sobą trochę jedzenia, na które rzucili się łapczywie. Szczególnie pieróg z kapustą przeżuwali z rozkoszą. Nigdy nie jedli czegoś takiego. Prawdziwa delicja. Nawet dania w hotelu "Waldorf-Astoria" tak im nie smakowały. Rick pożerał całe kawały. Czuł, jak sama błogość przenika jego ciało. Wiera obserwowała to ze współczuciem:

– Boże! Jaki on głodny! – myślała ze smutkiem. Głośno zaś dorzuciła: – Spełniłam twoją prośbę, Rick. Udało mi się pochować Boba na miejscowym cmentarzu. Po ludzku. Jak chciałeś...

– Naprawdę? – Twarz Ricka rozjaśniła się. – Nie wiem, jak ci dziękować...

– Nie trzeba – odpowiedziała miękko i korzystając z okazji, szepnęła: – Jadę do Moskwy.

Spojrzał na nią zdziwiony. Wiera mrugnęła znacząco. Z wrażenie oniemiał. Wszystko graniczyło z cudem. – Na samym dnie upadku taka propozycja? A jeśli się uda? Tylko kto jej uwierzy? Musi mieć dowody. Żelazne dowody, że tu są...

Nagle błysk olśnienia: – "Mam! "Psi medalik" Boba! Cóż lepszego niż znaczek identyfikacyjny z numerem jednostki? Wystarczy pokazać go w ambasadzie. Ale jak go jej dać? Co prawda Kuźmicz wyszedł, jest jednak Regis..."

Postanowił zaryzykować i zagrać z nim va bank:

– Słuchaj – powiedział do radarzysty. – Jeśli mnie sygniesz, dostaniesz najwyżej dziesięć paczek fajek od Mongoła. Wybieraj!

Regis, szczęśliwy, że znów znalazł się w kręgu zaufania, bez namysłu przyrzekł, że nie piśnie słowa. Rick sięgnął do siennika. Wyciągnął węzełek z pamiątkami po Bobie. Wyłuskał z niego niewielką blaszkę i podał ją Wierze:

– Gdybyś mogła przekazać to naszym – wyszeptał szybko.

Wiera bez słowa schowała znaczek do kieszeni:

– Spróbuję, Rick Harriowicz – odparła ciepło. W jej szarych, dużych oczach pojawił się błysk otuchy.

– Dlaczego to robisz? – szepnął.

Wiera spojrzała na niego.

– Nie wiem. Może dlatego... – urwała, bo do celi wszedł Własenko – Żebyś nie myślał, że wszyscy są tacy... – wskazała na bydlęcą twarz Iwana Groźnego.

Rick wyczuł, że Wiera chciała mu powiedzieć dużo więcej...

## XXIX

Chrzest małego Ricka odbył się pod koniec czerwca, kiedy dziecko miało ponad sześć tygodni. Harry i Molly jak zwykle zamieszkali w domu Vanderzaanów. Harry na wstępie kazał pokazać sobie wnuka. Gdy Betty uniosła go w górę, zarządził:

– Rozwiń go. Chcę zobaczyć w całości draba...

Mały Rick z wrażenia ze spotkania z dziadkiem siknął w górę beztroską fontanną:

– Piękny szczył. Siusiak jak maczuga. Sullivanowski...

– Fuj, tatuś! Co też ty?! Przeokropność świata – skarciła męża Molly.

Nikt nie uznał tego za nietakt, wręcz przeciwnie. Uwaga podniosła ogólny nastrój. W dobrych humorach zasiedli do stołu. Oprócz rodziny byli tylko Fultonowie i Dawid. Harry przywiózł oczywiście poteen wyprodukowaną na cześć wnuka:

– Takiej pępkówki jeszcze nie piliście – zachwalał własny towar.

Jedynie Mary Fulton nie brała udziału w ogólnej radości. Wciąż myślała o synu. Jej przygnębienie nie uszło uwagi Harrego. Skierował ku niej szklaneczkę, krzycząc wesoło:

– Wróć! Jak wyszli to wróć!

– Daj Boże – wyjęła chusteczkę. – Człowiek rodzi, męczy się, a potem... – załkała cicho.

Oscar, chcąc zmienić temat, zwrócił się do Dawida:

– Sądysz, że Rosjanie przystąpią do inwazji Japonii?

– Wszystko rozstrzygnie się w Berlinie. Na spotkaniu Wielkiej Trójki – odparł.

Kate wtrąciła, że w podróży do Europy towarzyszyć będzie prezydentowi Trumanowi jego przyjaciel, generał Harry Vaughan. Mają się niedługo z nim spotkać w sprawie chłopców.

Po deserze Dawid przystąpił do robienia pamiątkowych fotografii. Ostatnio nie rozstawał się ze swoim "Kodakiem". Dzięki niemu Betty miała wspaniałą serię zdjęć syna i kilka świetnych własnych portretów.

Nazajutrz Dawid miał dziwne spotkanie. Do redakcji przyszedł młody człowiek, którego był poznał w Towarzystwie Pomocy Rosji. Klucząc niejasno oświadczył, że jak się zdołał zorientować, Dawid interesuje się losem lotników i on mógłby udzielić pewnych informacji. Jego przyjaciel bowiem służył na łodzi podwodnej, która przejęła meldunek z samolotu. Otóż przyjaciel ten twierdzi, że bombowiec spadł na terenie Mandżurii i został przechwycony przez Japończyków. Z początku zdawało się im, że to Rosja i posłali mylny meldunek.

– Jak to możliwe?! Gdzie Mandżuria, gdzie Władywostok?!

– No, jednak. Bywa – przyznał z ironią przybysz. – Potem ciężko się z tego wycować. Każdy kapitan pierwszy po Bogu. Dbą o swój mostek. A ten kapitan Courtland wyjątkowo czuły. I trochę wariat – rzucił z pogardą.

Nieznamy sam był marynarzem i nie miał najlepszej opinii o dowódcach. Dawid spytał go, dlaczego teraz z tym przychodzi.

– Jak usłyszałem na zebraniu o tych rodzinach – tłumaczył – to pomyślałem, powiem. Mojego brata storpedowano w konwoju do Murmańska. I matka twierdziła, że najgorsza była ta niepewność. Czasem już lepsza straszna prawda...

Nie wyglądał na oszusta. Niemniej jego opowieść zrobiła na Dawidzie dziwne wrażenie. Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy Albert Heath przedstawił mu podobną wersję. Właśnie Departament Stanu otrzymał wiadomość, że superforteca B-29 spadła na terenie Mandżurii w połowie marca. Wszystko się więc zgadzało. Heath zainteresował się tą sprawą głównie ze względu na Dawida. Wiedział, jak bardzo jest w tę sprawę zaangażowany. Słyszając o chrzcie małego O'Sullivan, spytał Dawida, jak wypadła cała ceremonia. Po wysłuchaniu entuzjastycznej relacji zagadnął, czy nie ma jakichś zdjęć. Dawid sięgnął do teczki i wyjął fotografie, które świeżo wywołał. Heath zaczął oglądać z ciekawością:

– Jak ma na imię? – spytał niedbale.

– Richard Oscar – odparł Dawid.

– Po ojcu – mruknął Heath. – Rzeczywiście cały tata. Jak go pamiętam. I ty mu teraz ojcujesz? – wtrącił jowialnie. – Nie dziwię się. Skoro ma taką piękną mamę. Zaiste, boskiej urody kobieta. Jak Rita Hayworth – obrócił w palcach zdjęcie Betty. – Wiesz co? – rzucił nagle – mam myśl. Daj mi to zdjęcie. Nic tak bardzo nie wzrusza ludzi jak macierzyństwo. Będę jeszcze rozmawiał z ministrem w sprawie tego samolotu. Podsunę mu to. Taki rodzinny akcent dobrze robi. Może go zdopinguje...

– Ależ oczywiście. Chętnie – zgodził się Dawid i podziękował Albertowi za to, że wciąż pamięta o tej sprawie.

– Muszę – odrzekł ze śmiechem. – Choćby przez wzgląd na ciebie warto wyjaśnić rzecz do końca. Inaczej zmarniejesz. A chciałbym i twoje dziecko oglądać, stary – klepnął Dawida przyjaźnie w plecy.

\* \* \*

Harry Silver bardzo się z tej fotografii ucieszył. Centrala bombardowała go wciąż o szczegóły z życia tych lotników. Zdobycie fotografii syna dowódcy załogi, O'Sullivan, którego sam kapitan jeszcze nie widział, uznał za duży sukces. Dawid Greenspan dostarczył mu również rysunki z Los Alamos potwierdzające w pełni zastosowanie metody implozji w bombie, która zawierała nowy pierwiastek transuranowy. Szczegółowych informacji udzielił mu Klaus Fuchs.

Harry Silver miał powody do dumy. Cekał teraz tylko na wiadomość z Los Alamos o terminie operacji "Trójca". \* Pod tym kryptonimem krył się pierwszy próbny wybuch nowej bomby. Na tym jego rola by się skończyła. Miał rozszyfrować "Project Manhattan" i udało mu się to w pełni. Przypomniawszy sobie słowa swoich dwóch pierwszych radzieckich zwierzchników, Gaika Ovakimiana i Wasyla Zublina, którzy zapewniali go, że w każdej chwili na własne żądanie może być przeniesiony do Moskwy. Od dawna o tym marzył. Uważał, że po latach niebezpiecznej służby i takich sukcesach należy mu się nagroda. I lepsze życie. A gdzie je znajdzie jak nie

tam, w szczęśliwej ojczyźnie międzynarodowego proletariatu? Silver postanowił, że natychmiast po dostarczeniu ostatniej informacji o operacji "Trójca" zwróci się do Anatolija Gorodenki o przeniesienie do Moskwy:

"Trójca" – w oryginale "Trinity". Kod pod którym krył się pierwszy próbnny wybuch bomby atomowej na poligonie w Alamogordo.

– Tak zrobię – zdecydował i z większą ufnością spojrzął w przyszłość.

### XXX

Wiera opuszczała Władywostok u progu pięknego lata. Zapowiadał się upalny dzień. Na dworcu kłębiło się od ludzi. Chociaż nastał pokój, tu trwała wojna. Wagony były obleżone jak twierdze i zdobywane w walce wręcz przez szary tłum z tobołami. Wielu śmiazków wdzierało się przez okna. Ściągali ich konduktorzy i straż dworcowa.

Wiera nie dostałaby się nigdy do pociągu, gdyby nie magiczny "propusk" Makarowa i "putiowka", którą dla niej załatwił. Miała podróżować w specjalnym wagonie dla wyższych oficerów oraz funkcjonariuszy rządu i partii. Był to ostatni wagon pociągu, odcięty od tłumu przez silny kordon milicji. Grigorij niósł jej walizkę. Przepuszczona z honorami przez strażników weszła do pustego przedziału. Do odjazdu pociągu było trochę czasu, więc wyszli na korytarz. Grigorij zapalił papierosa i czule objął żonę:

– Pamiętaj, Wieroczka – spojrzął na nią znacząco.

Wiera wiedziała, o co mu chodzi. Tuż przed wyjściem z domu, kiedy zgodnie ze starym rosyjskim zwyczajem usiedli, by w milczeniu podumać o szczęśliwym powrocie, Grigorij wstając zaklinał ją jeszcze, żeby pod żadnym pozorem nie mówiła nic matce:

– Ty wiesz, czym to grozi – powtarzał złowieszczo.

W sumie miał pewność, że żona nie zdradzi. Inaczej nigdy by jej nie puścił. Przez chwilę stali na korytarzu wagonu, po czym Makarow uściskał żonę:

– No, miła – pocałował ją w usta. – Bądź mi zdrowa. I wracaj szczęśliwie – rzucił na pożegnanie.

Wiera podeszła do okna i patrzyła, jak idzie energicznym krokiem, nie oglądając się za siebie. Kiedy zniknął w tłumie, ogarnął ją lęk. Przy nim zawsze czuła się bezpieczniej. Usiadła i wzięła do ręki książkę. Nie mogła jednak czytać. Myślała o matce.

Nie widziały się od czterech lat. Matka po śmierci ojca żyła już tylko jej życiem. Wyjazd córki z Moskwy był dla niej wielkim ciosem. Pisały do siebie niemal co tydzień. Wiera dopiero w czasie tej rozłąki w pełni zrozumiała, czym dla niej jest matka, i że nikt nigdy w życiu jej nie zastąpi.

Nie spostrzegła nawet, kiedy pociąg ruszył. W przedziale jechał jeszcze starszy generał i pułkownik MWD. W ostatniej chwili wsiadło dwóch cywilów. Jeden ubrany był zwyczajnie, drugi na miłą trącił cudzoziemcem. Zdradzał go zarówno wytworny nesesor, jak i zagraniczny ubiór. Żaden Rosjanin nigdy nie włożyłby takiej muszki w

strachu, że zaraz będzie posądzony o hołdowanie zgniłym, burżuazyjnym gustom.

Konduktor zaproponował herbatę. Przystali chętnie. Podróż dopiero zaczynała się i każdy był rad, że może skorzystać z jego podręcznego bufetu. Czekala ich długa droga. Mieli jechać słynną linią transsyberyjską zbudowaną jeszcze za cara, łączącą dwa odległe krańce cesarstwa rosyjskiego. Wiodła przez niezmierzone przestrzenie, a nieliczne mijane miasta były jak wyspy w tym zielonym morzu syberyjskiej tajgi. Dłuższy postój mieli tylko w Irkucku, Tomsku, Omsku, Nowosybirsku i Swierdłowsku. Podróż do Moskwy planowano na dwanaście dni. Czasu więc było dość. Pasażer w muszce okazał się brytyjskim dziennikarzem. Towarzyszył mu korespondent "TASS". Anglik mówił trochę po rosyjsku, ale w trudniejszych kwestiach przechodził na angielski. Opiekun Rosjanin musiał być bywalcem zagranicznym. Z rozmowy wynikało, że obydwaj panowie znają się z Londynu. Z naiwności pytań Anglika Wiera domyśliła się, że jest w Rosji od niedawna. Aż dziw, że nie spostrzegł tłumu na dworcu i zachwycony pulmanem, w którym jechali, zapytywał, czy we wszystkich wagonach w Rosji są takie dywany, lampy i pluszowe zasłony. Rosjanin ze spokojem kiwał głową.

– Fantastycznie. I bilet taki tani – zdziwił się Anglik. – Zaledwie parę funtów. Każdy może sobie na to pozwolić...

– Rozumie się – rzekł z wyższością korespondent "TASS". – W państwie robotniczo-chłopskim inaczej być nie może. Normalne...

Anglik szybko obliczył, że jest to odległość jak z Londynu do Nowego Jorku i u nich taki przejazd kosztowałby nieporównywalnie drożej:

– No i w jakich luksusowych warunkach – dodawał z uznaniem.

Rozmawiali swobodnie. Wiera nie przyznawała się, że zna angielski. Tak zawsze bezpieczniej. Konduktor przyniósł herbatę i słoik konfitur z czarnej porzeczki. Nic za to nie policzył, co jeszcze bardziej ujęło Anglika. Wyjął notes i zanotował: "Lunch w ramach biletu". Po godzinie jazdy Rosjanin wyszedł z przedziału, a obydwaj wojskowi zasnęli w najlepsze kołysani rytmem pociągu. Anglik zagadał do Wiery swym łamanym rosyjskim. Odparła mu z uśmiechem. Nawiązała się miła konwersacja.

Wierę korciło, by sprostować błędne sądy Anglika i otworzyć mu oczy, ale bała się. Był liberałem i ostatnie zwycięstwa Kraju Rad wprowadziły go w zachwyt. Zwierzał się, że po powrocie ogłosi cykl artykułów, które przełamiają fałszywe uprzedzenia:

– Musimy wspólnie pracować nad zbliżeniem naszych narodów – ciągnął z zapałem. – Sasza ma absolutną rację!

– Kto to Sasza?

– Musicie go znać. Aleksander Siergiejewicz Nowikow. Jego opowiadania właśnie drukowałem w Londynie – wyjaśnił. Wiera dopiero teraz skojarzyła, kim jest towarzysz Anglika.

– Boże?! Więc to jest ten słynny Nowikow?! Autor "Stalowych Serc"? Cała Rosja zna je na pamięć. Teraz właśnie robiono film. Z Samojłowem.

Kiedy Nowikow wrócił do przedziału, spojrzała na niego innym okiem. Nie mogła uwierzyć, że ten drobny mężczyzna w okularach, o łagodnej twarzy był na



pierwszej linii frontu. W okopach Stalingradu. Wszędzie tam, gdzie było najciężej. I pisał tak pięknie. Pamięta, jak płakała nad śmiercią Matrosowa. I Zoji Kosmodiemiańskiej. Nie omieszkała mu tego powiedzieć. Przyjął to ze skromnym uśmiechem. Zwyczajnie. Zaczął opowiadać. Był świetnym gawędziarzem. Sypał anegdotkami z życia kolegów, słynnych pisarzy: Erenburga, Tolstoja, Szołochowa. Znał Majakowskiego, Pasternaka.

– Bo ja też pisałem wiersze – zwierzył się. – Niestety nie okazałem się Puszkinem. Imiona tylko te same. Aleksander Siergiejewicz – kpił sam z siebie.

Wiera słuchała z zapartym tchem:

– Pogodina też znacie? – spytała z podziwem.

– I Pogodina i Katajewa. Razem jadamy w stołówce...

Przyznała się, że właśnie widziała sztukę Pogodina w teatrze. Kiwnął głową. Zaczął się dzielić wrażeniami z podróży po Stanach:

– I jak tam w tej Ameryce – zainteresował się pułkownik. – Jest szansa na rewolucję?

– Na pewno. Tylko nie w najbliższym czasie. W dalszej perspektywie. Towarzysz Stalin bardzo popularny. Nazywają go Wujkiem Joe – wyjaśnił.

– No, proszę – ziewnął niechętnie pułkownik. – Wujkiem nazywają, a nie pomogą. Sami musimy wszystko dźwigać. Na własnych barkach – odruchowo obciągnął bluzę i rozprostował zdrętwiałe nogi.

Nowikow sięgnął do walizki i wyjął z niej ostatnią swą książkę. Spytał o nazwisko i z rozmachem zadedykował: "Wierze Makarowowej na pamiątkę wspólnej podróży gdzieś w sercu tajgi – Aleksander Siergiejewicz Nowikow". Wręczył szarmancko. Wiera podziękowała wzruszona. Spostrzegła, że bardzo się pisarzowi podoba. Przyzwyczajona była do hołdów mężczyźni, kiedy jednak robił to tak sławny autor, stawało się szczególnie przyjemne. Nowikow podał Wierze swój telefon w Moskwie i prosił, by koniecznie zadzwoniła. Podobną wizytówkę ofiarował jej Anglik. Nazywał się Sean MacDermont i zaczynał pracować w Moskwie. Obydwaj z Nowikowem wysiadali w Nowosybirsku, bo pisarz chciał mu pokazać stolicę Syberii. Generał wtrącił, że to jego rodzinne miasto.

– My Sybiracy to twarda nacja! Najmężniejsze dywizje w tej wojnie – rzekł z dumą.

W drugim dniu podróży wszyscy się już ze sobą zżyli i nawet surowy z pozoru pułkownik okazał się miłym kompanem. Generał przyznał się Wierze, że zna jej męża i jest starym przyjacielem generała Babadżiana. Jeszcze z czasów Konnej Armii Budionnego.

– To niezwykły towarzysz – mówił. – Bez reszty oddany Rewolucji. Nie wiem, czy wiecie, że w sierpniu osiemnastego roku Anastas Aramowicz był na ulicy Sierpuchowej. I wraz z kierowcą Gilem osłonił własną piersią Lenina przed strzałami Tani Kaplan. Podczas zamachu w zakładach Michelsona. Był nawet lekko ranny. A może dzięki niemu towarzysz Lenin wyszedł cało...

Wiera słuchała tego jak bajki. Przypomniała sobie generała, jak w teatrze krytykował aktora, który grał Lenina:

– Nic o tym nie mówił – rzekła z podziwem.

– No właśnie. To cały Anastas Aramowicz. O swych wielkich czynach słówkiem nie piśnie. Prawdziwy, stary bolszewik...

Wiera miała wrażenie, że to ostatnie zdanie generała skierowane było pod adresem pułkownika. Ale może się jej tylko zdawało.

W Irkucku zatrzymali się na parę godzin. Zmieniano ponoć lokomotywę. Zdążyli się przejść wokół dworca i obejrzeć najbliższe okolice. Wiera ze wzruszeniem oglądała żółte, drewniane domy, jakie czasem spotykała w starej Moskwie. Irkuck cały tkwił w tej epoce drewnianego renesansu. Generał, prowadząc ich, wspominał, że tu na wzgórzu nad rzeką Angarą rozstrzelany został admirał Kołczak:

– Mimo że wróg, umierał mężnie. Nie dał sobie zawiązać oczu. Patrzył śmierci prosto w twarz – dokończył z uznaniem.

Wierze spodobało się to odważne zdanie generała. Taki niezależny sąd o białych rzadko można było usłyszeć. Spojrzała na niego z sympatią. Obok Nowikowa okazał się najmiłszy. Dzięki tej kompanii czas dalszej podróży szybko zleciał.

Do ostatniego przedziału wsiadł nowy pasażer. Był nim żołnierz, inwalida wojenny. Nie miał nogi, za to pierś całą w orderach. Jak się tu dostał, Bóg raczy wiedzieć. Konduktor musiał go znać i wpuścił na lewo. Z początku siedział cicho w służbowym przedziale. Potem się ośmielił, widząc, że nic mu nie grozi. Wyjął z tobołka harmonię i zaczął grać. Miał ładny głos, grał też z wielką wprawą. Wszyscy słuchali z przyjemnością. Przed wojną ponoć chodził do konserwatorium. Żołnierz skakał na jednej nodze od przedziału do przedziału i koncertował. W nagrodę dostawał kanapki i częstowano go wódką. Gdy dotarł do ich przedziału, długo nie chcieli go puścić. Sean MacDermont był nim oczarowany. Pułkownik poprosił żołnierza o zaśpiewanie słynnego walca Błatnera "W przyfrontowym lesie". Zgodził się chętnie. Rozległy się smutne słowa o pożółkłych liściach, z których spływał jesienny tren. Pułkownik słuchał wzruszony, patrząc w okno. Oczy mu się lekko zaszkliły. Widać z tym walcem łączyły go jakieś wspomnienia. Kiedy żołnierz skończył, uściśnął mu dłoń i w nagrodę nalał szklanekę wódki. Zgodnie wypili za jego zdrowie.

I wszystko skończyłoby się dobrze, gdyby miły żołnierz się nie upił. Nagle zaczął kłać straszliwie. Konduktor na próżno starał się go uciszyć:

– Wania! Opanuj się! – apelował. Ku przestrodze przyjaźnie rąbnął go w szczękę. To zamiast otrzeźwić biedaka jeszcze bardziej go rozjuszyło. Dostał po prostu amoku:

– Ścierwa! Burzuje! – wygrażał kulą – to ma być równość?! Was by wszystkich jak wszy! Paszły won! Na mojej krwi karmione!

– To już za wiele, towarzysze – oburzył się jakiś grubas. – Bez przepustki i jeszcze ubliża...

– Na, tobie przepustka! – Wania dumnie podskoczył, potrząsając orderami. – Jeszcze ci mało, wszarzu?!

Grubas stracił cierpliwość:

– Wypraszam sobie! – ryknął jak indor. – Ja jestem odpowiedzialnym pracownikiem KC! Tu nie chlew! Wagon specjalny! Jak się nie umie zachować, to z

bydłem jeździć!

– Tobie z bydłem, wieprzu! – Wania pchnął go szcudłem – I pod mur! Kropnąć cię, sobaka...

– No, nie! – grubasa aż zatkało – I co na to towarzysze z bezpieczeństwa?! – zwrócił się do pułkownika. Żądam natychmiast wylegitymowania tego osobnika! I sprawdzenia jego dokumentów podróży! To skandal! Skandal!

Wywołany pułkownik poczuł się w obowiązku zareagować:

– Skierowanie ma? – zwrócił się sucho do konduktora.

– No nie – odparł zakłopotany. – Inwalida...

– Jak to?! Dowód proszę! – skierował się wprost do żołnierza.

– Gówno ci dowód! Ty też lepszy drań! W tył głowy tylko potrafisz strzelać. Za frontem. Znam ja was, dekonników...

Zapadła głęboka cisza. Nawet Wania spostrzegł, że przesadził.

– No proszę – ucieszył się grubas. – Nie tylko mnie obraził...

– Wysadzić go – rzucił krótko pułkownik.

– Ależ towarzyszu pułkowniku? – próbował oponować konduktor.

– Wysadzić na pierwszej stacji. Zrozumiano?! I cieszcie się, że nie pytam, jak się tu znalazł – dodał groźnie.

– Przecież to inwalida wojenny – wtrąciła Wiera.

– Inwalidów też obowiązuje prawo. I zachowanie...

– Sami daliście mu wódkę – przypomniała mu Wiera.

– Towarzysko! Nie wtrącajcie się – upomniał ją chłodno.

Twarz jego stała się bledsza. Nie przywykł widać do takich uwag. Wiera bezradnie rozejrzała się, szukając pomocy u innych. Ale nikt jej nie poparł. Nowikow w panice odciągnął Anglika na bok i coś mu tłumaczył. Po chwili zniknęli na korytarzu. Generał wcześniej przezornie się zmył. Wania siedział skulony na ławce i w kółko powtarzał jak błędny:

– Czy tak Stalin każe? Ludzie?! Czy tak, kurwa, każe?! – Łzy pijackie ciekły mu po twarzy.

Po chwili weszło dwóch z ochrony pociągu i bez słowa ujęło go pod pachy. Nie stawiał oporu. Posłusznie spakował swój tobołek i z przerzuconą przez ramię harmonią pokuśtykał wolno. Gdy ją zakładał, wydała z siebie pusty dźwięk. Dwaj strażnicy podążali za nim wąskim korytarzem. Pasażerowie rozeszli się do swych przedziałów.

Tego samego dnia pociąg przyjechał do Nowosybirsk i większość towarzyszy podróży Wiery wysiadła. Odetchnęła z ulgą. co prawda, Nowikow do końca był dla niej bardzo miły i bawił ją swoimi anegdotami, ale ona go nie słuchała. Wciąż przed oczyma miała tego żołnierza inwalidę. Bohatera wojny, o którym tak pięknie pisał.

## XXXI

Wiadomość o zaginięciu "Poteen" zastała pułkownika Tibbetsa w drodze z Wendover do Waszyngtonu. Był to dla niego wielki cios. W ponurym nastroju opuścił samolot i udał się na naradę. Natychmiast poinformował o tym generała Groovesa. Kiedy jednak wkrótce nadeszła radosna wieść, że żyją i są w Rosji, wydał na ich cześć bankiet w kasynie.

Po paru tygodniach milczenia zaczął się niepokoić. Nie mógł zrozumieć, dlaczego nie dają znaku życia. Na wszystkich naradach poruszał tę sprawę, z uporem domagając się od generała Groovesa zdecydowanych kroków:

– Muszę ich mieć. Dla dobra operacji. Takiej załogi nie jestem w stanie odtworzyć – tłumaczył.

Generał przyznawał mu rację i przysięgał, że poruszał tę sprawę z generałem Marschallem, \* który obiecał powiadomić o tym prezydenta:

George C. Marschall – amerykański generał pięciogwiazdkowy, szef sztabu amerykańskiej armii w czasie II wojny światowej, późniejszy Sekretarz Stanu, twórca słynnego, noszącego jego imię, planu pomocy ekonomicznej dla zrujnowanej wojną Europy.

– Rosjanie wiedzą, że ich szukamy. Ambasador Harriman otrzymał w Moskwie szczegółowe instrukcje – uspokajał zniecierpliwionego pułkownika.

Wkrótce po stanowczym dementi Rosjan, korzystając z pobytu na Tinianie, Tibbets postanowił osobiście sprawdzić treść meldunku i spotkać się z komendantem łodzi podwodnej "Swordfish" – kapitanem Geraldem Courtlandem. Obecnie łódź znajdowała się w remoncie w Pearl Harbor. \* Mimo dużej odległości pułkownik zdecydował się tam lecieć.

Pearl Harbor – największa baza floty amerykańskiej na Pacyfiku. Miejsce słynnego i nagłego ataku japońskich bombowców 7 grudnia 1941 roku. Atak ten zapoczątkował udział Stanów Zjednoczonych w wojnie przeciw państwom Osi.

Spotkanie z Courtlandem podniosło go na duchu. Zarówno on, jak i radiotelegrafista twierdzili z całą mocą, że o pomyłce mowy być nie może. Kapitan zaś, bardzo przyjemny młody człowiek w dyskrejji napomknął, że sprawa ta wydaje się nader dziwna:

– Ja w każdym razie nie mam zamiaru się wycofywać – zaznaczył twardo. – Mimo że... i to Tibbetsa najbardziej zaskoczyło – są czynione na mnie różne naciski z naszej strony...

Po powrocie do Stanów, kiedy na naradzie Komitetu Tymczasowego pod przewodnictwem ministra wojny Stimsona obradowano nad wyznaczeniem miejsc zrzućenia pierwszej bomby atomowej, Tibbets podzielił się swymi obawami z generałem Groovesem. Generał był tym poruszony:

– To rzeczywiście dziwne – przyznał. – Szczególnie w świetle ostatniej noty ambasadora Malika. W tajnym szyfrze z Tokio doniósł nam, że Japończycy przechwycili nasz bombowiec w Mandżurii. Ta gorliwość Rosjan w udzielaniu nam informacji jest zastanawiająca.

Grooves w pełni doceniał niebezpieczeństwo:

– Jeśli Japończycy lub Rosjanie mają w rękę nasz samolot, część tajemnicy jest mocno zagrożona. Najgorsze, że Departament Stanu lekceważy tę sprawę myśląc, że jest to zwykły bombowiec.

Po naradzie, w której brali udział również czterej uczeni z Los Alamos, Robert Oppenheimer poinformował, że pierwsze trzy bomby będą gotowe już za parę tygodni. Jedną z nich przeznaczają na próbny test, pozostałe dwie do operacyjnego użytku.

Najważniejszym zadaniem więc było teraz skuteczne wykorzystanie tej strasznej broni. Chodziło przecież o jak najszybsze zmuszenie Japonii do kapitulacji. Najbardziej optymistyczne bowiem prognozy zakładały, że inwazja wysp japońskich kosztować będzie co najmniej życie pół miliona amerykańskich żołnierzy. Po długiej dyskusji wybrano cztery miasta: Kioto, Hiroszimę, Jokohamę i Kokurę. Najwięcej sporu wywołało Kioto. Było to centrum kulturalne i narodowe, tradycyjne miejsce kultu Shinto. Święta kolebka Imperium. Dyskusja nie była łatwa. Niektórzy bronili starych zabytków. Pomimo tych głosów, pod koniec maja Kioto wciąż figurowało wśród czterech miast wyznaczonych do pierwszego ataku.

Zebrani podsumowali swoje uwagi. Miały one ułatwić prezydentowi Trumanowi ostateczną decyzję.

– Po pierwsze – bomba użyta musi być jak najszybciej.

– Po drugie – powinna być zrzucona na urządzenia wojskowe gęsto skupione w łatwopalnych zabudowaniach.

– Po trzecie – należy ją zrzucić bez uprzedniego ostrzeżenia wroga.

Ten trzeci punkt – moment pełnego zaskoczenia – był mocno podkreślany. Ponadto Robert Oppenheimer prosił, by powiadomić prezydenta, że pierwszy próbny wybuch bomby planowany jest za siedem tygodni na poligonie Alamogordo w Nowym Meksyku. W tej sytuacji wytypowanie samolotu, który ma tę bombę zrzucić, stało się dla pułkownika Tibbetsa sprawą palącą. Tym boleśniej odczuwał brak załogi kapitana O'Sullivan.

## XXXII

Po blisko dwutygodniowej podróży Wiera czuła się już bardzo zmęczona. Gdy wjechali na peron, stanęła w oknie i nerwowo rozglądała się za matką. Wreszcie zobaczyła ją. Stała w słomkowym kapeluszu z kwiatami w ręku. Mimo że pociąg spóźnił się trzy godziny, czekała wiernie.

– Kochana – westchnęła Wiera i zamachała do niej ręką.

Tamara Lwowna rzuciła się w jej kierunku. Po chwili były już razem. Matka czule gładziła ją po twarzy i swoim zwyczajem nieznacznie skreśliła znak krzyża:

– Bóg wysłuchał moich prośb – szepnęła wzruszona. Wiera dawno nie słyszała tych słów, i cieplej zrobiło się jej na sercu. Spojrzała na matkę z wdzięcznością:

"Jakaż ona wspaniała. I inna" – pomyślała z dumą.

Szybko wyszły z dworca. Wiera na szczęście nie miała dużego bagażu. Matka mieszkała w najpiękniejszej dzielnicy miasta. Na starym, cudnym Arbacie, który Wiera kochała od dziecka. Zjechały w dół, na stacji "Komsomolskaja" przeszły obok napisu nabitego w granitowej ścianie literami z brązu: "Moskiewskie metro imienia Łazara Mojsiejewicza Kaganowicza".

Niebawem były w domu. Wiera ze wzruszeniem oglądała stare kąty. Matce udało się utrzymać mieszkanie, co w warunkach moskiewskich graniczyło z cudem. Do trzech pokoi dokwaterowano jej zaledwie jednego lokatora. Normalnie w takich mieszkaniach gnieździły się po trzy rodziny.

W dużym pokoju, salonie jak go nazywała Tamara Lwowna, stał fortepian, na którym matka udzielała lekcji dzieciom swoich przyjaciół. Traktowała to honorowo dla własnej przyjemności. Twierdziła, że kontakt z dziećmi odmładza i oczyszcza. Odrywa od smutnej rzeczywistości. Od lat starała się stworzyć sobie bezpieczny azyl, i to ciche mieszkanie było jej schronieniem i przystanią. Przypominała bohaterów Czechowa i Grigorij miał rację, gdy złośliwie twierdził, że w rozmowie z teściową brak tylko wiśniowego sadu. Cała reszta w zasadzie jest.

Wiera rozpakowała walizki i wyjęła prezenty, które przywiozła dla matki. Było tam sporo smakołyków z amerykańskich paczek, świetna kawa i herbata, której Tamara Lwowna była wielką amatorką. Puszki wędlin i papierosy, wszystko co zdołała zaoszczędzić z przydziałów męża. Oprócz tego podarowała matce wieczorową suknię z żorżety. Tamara Lwowna ucieszyła się jak dziecko:

– Wieroczka! Duszeńko! Tyś oszalała! Co ja z tym zrobię?!

Wiera wiedziała, że matka zaraz to włoży.

– Lubię stroje. Co ja zrobię – mówiła z niewinną miną, która niejednemu jeszcze mogła zawrócić w głowie. – Jestem kobietą – przejrzała się w lustrze – ostatnią może w tym kraju urawniłowki. Bo teraz u nas nie ma kobiet. Są baby, Wieroczka, baby, które dostąpiły zaszczytu noszenia męskich spodni, buciorów i kufajek. I pracowania tam, gdzie nawet car by ich nie posłał. Przy dźwigach, w hutach, na torach kolejowych...

Tamara Lwowna gorąco ucałowała córkę: – Bóg ci zapłaci, serce, że myślisz o matce. Zaraz coś zjemy.

Wiera wołała jednak najpierw wykapać się po podróży. Woda, co prawda, była, ale zimna. Matka podgrzała ją w kotle i wlała do wanny. Wiera moczyła się z rozkoszą.

Kolacja okazała się królewska. Tamara Lwowna przygotowywała się do niej od miesiąca. Cały swój przydział kartkowy zbierała dla córki. Z tej okazji napiły się też po kieliszku wiśniówki z kryształowej karafki, którą tak lubił ojciec. Wiera pamiętała karafkę od dziecka. W ogóle niewiele się w tym domu zmieniło. Wszystko jakby zastygło w czasie. Wierę ogarnął wczorajszy nastrój. A gdy wyłączono światło i matka zapaliła lampę naftową i świece w starym lichterzu, było zupełnie jak za dawnych czasów.

Wiera zaczęła wyrzucać z siebie strzępy wrażeń z podróży i dzielić się z matką ostatnimi przeżyciami. Szybko doszła do sprawy Amerykanów. Tamara Lwowna na wszelki wypadek zamknęła drzwi na korytarzu i słuchała w skupieniu. Co jakiś czas wzdychała głośno:

– Coś takiego?! Wierzyć się nie chce...

Wiera nie wspomniała, rzecz jasna, o roli Makarowa w tej sprawie. Matka uważała go wciąż za zwykłego oficera sztabowego. O jego pracy w "Smierszu" nic nie wiedziała.

– I co ty na to, mamoczka? Przecież trzeba im pomóc. Dać przynajmniej znać, że żyją...

– Ba! – Tamara Lwowna zaciągnęła się głębiej papierosem. – Ty wiesz, co znaczy kontakt z cudzoziemcem. Od razu jest się szpiegiem. Pamiętasz, co było z Pierre Luis...

To prawda. Matka podczas wojny poznała pilota z francuskiej brygady "Normandie-Niemen" \* i wycierpiała się z tego powodu strasznie. Wielokrotnie wzywano ją na przesłuchania i grożono eksmisją z Moskwy. Obydwie wiedziały, że bezpośrednia wizyta w ambasadzie amerykańskiej jest szaleństwem. Równa się samobójstwu. Trzeba było szukać pośrednich dróg, mniej ryzykownych.

Normandie-Niemen – w ramach porozumienia między rządem generała de Gaulle w Londynie a Stalinem utworzony został na terenie ZSRR samodzielny francuski pułk lotniczy Normandie, który po bitwie nad Niemnem przekształcił się w brygadę i przyjął nazwę Normandie-Niemen.

– U mnie w Instytucie jest jeden Duńczyk...

– Może by on? – zaproponowała Wiera.

– A skąd! Durak. Kocha Ojca Narodów bardziej niż własną matkę. Z miejsca by mnie wydał...

Tamara Lwowna w zamyśleniu obracała w dłoni "psi medalik" Boba, który pokazała jej Wiera.

– I tak się męczył, mówisz?

– Bardzo – przyznała.

– Co za świat! Co za nieludzki świat, że nawet o śmierci nie można zawiadomić. A twierdzą, że człowiek to brzmi dumnie, szubrawcy – rzekła z wyrazem gniewu. – Już większych kłamców trudno znaleźć – wstała, by nalać herbaty.

Po chwili dosiadła się znów do córki:

– Niby jest ten mój Wiatik – rzuciła z niesmakiem. – Ale cóż on... – machnęła z pogardą ręką.

Wiera wiedziała, że chodzi o brata stryjecznej matki, Mołotowa.

– Już ona lepsza. Była tu u mnie niedawno. prosiła, by przeegzaminować córkę. Nawet miła dziewczynka. I zdolna. Cóż dzieci winne – westchnęła, kładąc znaczek Boba na białej serwecie. – Zapraszała nawet – ciągnęła dalej. – Wpadnij, mówi. Wiaczesław Michajłowicz tak się ucieszy. Zapomniał już, jak wyglądasz. Dziwny człowiek ten Wiatik. Po tym co mu nagadałam, dawno powinien się obrazić. A on nie. Udaje, że nie słyszy...

– Dyplomata. Co mama chce – wtrąciła Wiera. – Poza tym kochał się w mamie...

– E tam, kochał. Kiedy to było, Wieroczka...

– Ale było – potwierdziła Wiera.

– To prawda. Przyjechał do nas na wakacje. Nie był jeszcze wtedy Mołotowem. Ukrywał się we dworze Papy i dla zmylenia "Ochrany" zrywał polne kwiatki, grał na fortepianie i wzdychał do młodszej kuzynki – zaśmiała się serdecznie. – Wciąż mówił mi o świetlanym jutrze, i o tym co to będzie za raj, jak przyjdą bolszewicy. W trzy lata przyszli. Dwór spalili, rodziców bestialsko zamordowali...

Wiera знаła już tę opowieść. Matka często do niej wracała. Dziadek Wiery był przyjacielem gubernatora Petersburga i pomógł wyciągnąć młodego Skriabina z aresztu. Dzięki temu późniejszy Mołotow uniknął zsyłki.

– Może się teraz odwdzięczy – pomyślała naiwnie. – A on by nie pomógł? – rzuciła głośno.

– Wątpię – odparła Tamara Lwowna. – Ale będę o tym myślała. Zawsze zrobię to lepiej niż ty. Ty już dość się naraziłaś – wskazała wzrokiem medalik.

Rozmowę przerwało wejście lokatorów. Wiera szybko schowała znaczek. Tamara Lwowna przedstawiła córkę. Było to młode małżeństwo. Sprrowadzili się stosunkowo niedawno. On wrócił świeżo z wojny, a ona studiowała ekonomię:

– Mili, spokojni, ale czort ich wie?! – zwierzała się córce. – On nawet niby przejrzał na oczy. Klapki mu trochę opadły po wyprawie na zachód. Z zachwytem opowiada o pobycie w Polsce i Niemczech. Bardzo psioczy na naszych. Ale prowokator też psioczy. Czasem więcej niż my – dodała nauczona smutnym doświadczeniem.

Tego dnia późno poszły spać. Musiały sobie wszystko opowiedzieć. Nazajutrz przy śniadaniu, kiedy znów były same, matka oświadczyła jej, że do tej misji najlepiej nadaje się mąż Luby. Wiera też o tym myślała. Rozmowę przerwał telefon. Dzwonił Sean MacDermont. Wiera dała znak, że jej nie ma. Nie miała ochoty spotkać się z nim, ciągle pamiętając, jak się zachował w pociągu wobec biednego żołnierza. Matka zanotowała telefon w hotelu "Metropol".

– No popatrz – rzekła, odkładając słuchawkę. – Czy to nie głos opatrności?! Ledwie, zaczęłyśmy mówić o Lubie, odezwał się hotel "Metropol". Ona przecież też tam mieszka...

Tamara Lwowna była przesądna i uznała to za dobry omen. Luba była jej siostrzenicą i podczas wojny wyszła za mąż za Amerykanina Sama Martensa. Miał tu swoje przedstawicielstwo. Handlował futrami. Zajmowali duży apartament w "Metropolu", gdzie mieszkała większość cudzoziemców. Sam był bardzo sprytny i w mig poznał tutejszy system. Połowę urzędników miał w kieszeni. Starał się wywieźć Lubę do Ameryki, a dopóki się dało, handlował w Moskwie. Prowadzili bogate życie towarzyskie, a w ich domu spotykało się wielu artystów i gości zagranicznych. Teraz właśnie zbliżała się ich trzecia rocznica ślubu, na którą serdecznie zapraszali. Tamara Lwowna wolałaby się z nimi widzieć gdzie indziej. Sztuczny ich świat mocno ją drażnił. Uznała, że bezpieczniej będzie, gdy na przyjęcie do Martensów pójdzie sama. Wiera powiedziała jej dokładnie, o czym ma mówić i wręczyła "psi medalik" Boba:

– Pamiętaj – powtarzała. – Nazywa się Robert Fulton. On jeden umarł. Reszta żyje...



– Nie bój się. Pierwszy raz jestem tajnym agentem, ale dam sobie radę – poprawiła w lustrze wieczorową suknię z żorżety, którą dostała od córki. – Trochę stara ta Mata Hari, ale jara. Da Bóg spełni swą misję – przeżegnała się. Wciąż wyglądała pięknie i młodo.

W hotelu "Metropol" poszło lepiej niż myślała. Martensowie wydali przyjęcie w restauracji, a nie u siebie na górze. Dzięki temu uniknęła "baby piętrowej", cerbera, który wszystko notował. W restauracji był tłok, w którym każdy ginął. Wiadomo, pod latarnią jest najciemniej. Tamara żałowała, że nie wzięła ze sobą Wiery i była może zbyt ostrożna..

Po kolacji z szampanem zmuszono słynnego pieśniarza Aleksandra Wertyńskiego, \* który wrócił niedawno z emigracji, do koncertu na deser. Wertyński zaśpiewał kilka swoich znanych pieśni: "Magnolia", "Do domu", "Mołdawskie stopy". Był znów legendą starej Rosji. Migotliwy blask świec odbijał się w czarnej płycie fortepianu. Na bis Wertyński wykonał słynny romans "Princess Irene". Zadedykował go Tamarze Lwownej z wymownym ukłonem.

Aleksander Wertyński – słynny kompozytor i pieśniarz, autor niezwykle popularnych romansów w przedrewolucyjnej Rosji. Długo przebywał na emigracji, m.in. w Warszawie, Paryżu, Nowym Jorku i Szanghaju. Prowadzony przez niego kabaret "Niebieski Ptak" ("Siniaja Ptica") cieszył się ogromnym powodzeniem w przedwojennej Warszawie. Płyty z piosenkami Wertyńskiego wydawane są do dziś.

Znali się z dawnych, dobrych czasów. Zrobił to tak szarmancko, że na końcu pieśni obydwój dostali brawa. Tamara Lwowna poczuła się jak w Paryżu. Ten mag w czarnym stroju Pierrota z bladą kredową twarzą potrafił dokonać cudów. Po tym udanym koncercie, podniesiona na duchu przez mistrza, tym bardziej nie chciała zawieść córki.

W stosownym momencie odciągnęła Sama Martensa na bok i szepnęła, że ma mu coś ważnego do powiedzenia i to w największej dyskrecji. W mig zrozumiał w czym rzecz. Wszystko zaaranżował tak, że znaleźli się w bezpiecznym miejscu z dala od reszty towarzystwa. Stali za filarem. Hałas był tak wielki, że szepcząc do ucha, szczególnie po angielsku, można było być względnie swobodnym.

Kazała mu przysiąc, że nikomu nie powie, nawet Lubie. Przyrzekł chętnie coraz bardziej zaintrygowany. Dopiero wtedy wyjawiała mu wszystko o samolocie i lotnikach.

– Dowódca nazywa się Richard O'Sullivan! Pamiętaj! – szeptała pospiesznie – I wszyscy żyją. Prócz jednego. Porucznik Robert Fulton zmarł na początku maja. Po amputacji nogi. W wyniku ogólnej gangreny i wyczerpania. Na dowód prawdy daję ci to – wsunęła mu dyskretnie "psi medalik" Boba.

W miarę jak mówiła, Sam tracił swą beztroską pogodę. Przestał się uśmiechać, zacisnął mocniej szczęki.

– Tamara – rzekł cicho, jakby składał przysięgę, pocałował ją przy tym w rękę, czego nigdy nie robił – możesz być pewna. Jutro dowie się o tym ambasador Harriman, a pojutrze cała Ameryka! – rzekł uroczyście – I dziękuję ci za to w jej imieniu.

\* \* \*

Dopiero po wyjeździe Wiery zrozumieli czym dla nich była. Kiedy zabrakło jej wizyt, poczuli, że gaśnie ich ostatnia nadzieja. I nie chodziło tylko o to, że dawała im proszki i jedzenie. Wnosiła z sobą coś ludzkiego, wiew czułości i współczucia z innego świata, który zdawał się już nie istnieć. Brak Wiery był tym bardziej dojmujący, że nic nie zmieniało się na lepsze. Wręcz odwrotnie. Po zeznaniach Regisa śledczy doszli do przekonania, że z każdego mogą coś jeszcze wycisnąć i cisnęli, prześcigając się w podstępnie i podłości. Każdy środek był dobry, byle prowadził do celu.

Rick z początku uznał naiwnie Gleba Maksymowicza za bardziej ludzkiego, ale gdy ten wrzucił go do karceru, zrozumiał, że nie jest lepszy od innych. Ślepo wykonał każdy rozkaz swych przełożonych. W tym duchu został wychowany. Tym bardziej podziwiał więc inność Wiery i jej odwagę.

– Dlaczego to robi? – zastanawiał się. – I czy zrobi?

Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, z tego jak wielkie podjęła ryzyko. Czekali na nią z utęsknieniem, każdy dzień odliczając kreską na ścianie:

– Ja bym się nawet z nią ożenił – zaofiarował się Aron. – Mój typ...

– A który nie twój? – burknął Glenn – tak zgłodniałeś w tej ciurmie, że po powrocie pół Stanów przerznieś...

– Niewykluczone – przyznał skromnie Kaplanowicz.

– Panowie! O czym wy śnicie? – wymamrotał Stan, który ledwie mógł mówić. Wczoraj Iwan Groźny wybił mu dwa zęby. A poszło o szczura. Stan swoim zwyczajem upolował jednego i wykrył to Własenko:

– Kto pozwolił?! – spytał groźnie – Ty nie wiesz, że szczur pod ochroną?! Królewskie zwierzę?! – z czułością wziął za ogon szczura – Zabić taki słodki pyszczek?! – i wyrznął Stana pękiem kluczy w twarz.

Snajper upadł i po chwili wypluł dwa zęby. Iwan stał nad nim i machając szczurem jak dzwonem, klął strasznie:

– Już ja cię wykończę! Nie przeżyjesz ty jego, chuju! Przysięgam! – i niosąc szczura troskliwie, powoli wyszedł z celi.

– Mit dem meszugenem (z tym wariatem) ciężko będzie. Całkiem oszalał – rzucił za strażnikiem Aron.

Po chwili wszedł Popko:

– Który na "Ka"? – A gdy Aron i Kuzmicz podnieśli ręce, dorzucił – Na przesłuchanie! – i wyprowadził Kaplanowicza szybko.

– Będzie miał swój typ, marzyciel – stęknął Glenn.

Za stołem czekał już, rytmicznie bębniąc ołówkiem Salomon Issakowicz Kwarc:

– Witamy! – rzekł z przesadną grzecznością. – Żart, niestety, nie wyszedł. Nie

jesteście żadnym krewnym towarzysza Łazara Mojsiejewicza Kaganowicza, Kaplanowicz – wybił z pogardą jego nazwisko. – A tylko podłym kłamcą! I odpowiecie za to. Nie wolno bowiem kpić z członków najwyższego kierownictwa! – rzucił z głębokim szacunkiem.

– Znaczy wujek Łazarz mnie się wyparł – westchnął z żalem Aron. – No, cóż. Nie pierwszy raz w biedzie poznaje się prawdziwych przyjaciół. Przeżyję i to...

– Obawiam się, że nie – stwierdził Kwarz z mściwym uśmiechem.

W głębi duszy coraz bardziej nienawidził tego bezczelnego Żyda. Uznał go za klasyczny okaz szowinizmu, który należy wypalić gorącym żelazem:

– Widzę dla was jedyny ratunek, Kaplanowicz – rzekł po chwili.

– Jaki? – spytał niewinnie Aron.

– Mówić. Mówić. I jeszcze raz mówić – podkreślił twardo.

– Znaczy nie ma dla mnie ratunku – wyznał zwyczajnie Aron.

– Tym lepiej. Nie myślę się z wami cackać. Pójdiesz do łoży, kochasiu. A potem cię powiesimy. Szkoda bowiem nawet kuli dla takiego parszywca jak ty. Ale najpierw się trochę pomęczysz, ścierwo...

Aron wiedział, że łożą nazywa Kwarz karcer. Rick siedział już tam dwa razy i opowiadał o tym koszmarze. Wzdrygnął się ze zgrozą. Wściekłość na tego drania była jednak tak wielka, że przemogła nawet strach. Postanowił przed wyjściem przynajmniej mu wygarnąć: – Jak cierpieć to za coś – pomyślał:

– Ty głupi, ślepy, czerwony Żydzio! – rozpoczął po rosyjsku, żeby protokolant mógł zrozumieć – Może ja nie przeżyję, ale ty zdechniesz też! I powiesz cię za jaja ci sami towarzysze, którym tak wiernie służysz. A jak będziesz już dyndał, Kwarz, to ci sami komuniści-internacjonałści powiedzą: – Ot, Żyd! Co za parszywy Żyd! I nikt za ciebie nawet nie zmówi Kadisz, zaprzańcu!

Ku zdumieniu Arona Kwarz ani nie walnął go w pysk, ani nie strzelił, ani nawet nie wrzasnął. Zerknął tylko na protokolanta, który uśmiechał się dziwnie, i rzucił przez zaciśnięte zęby:

– Dwa tygodnie karceru z połową racji żywnościowej. Zabrać więźnia...

### XXXIII

Po wielu oporach i wahaniach Tamara Lwowna zdecydowała się pójść do Mołotowa. Była pewna, że odmówi, ale dla spokoju sumienia postanowiła zaryzykować. Wiedziała, że Wierze na tym bardzo zależy. Sercem matki wyczuła, że za tą chęcią pomocy kryje się coś głębszego. Zbyt często padało to samo nazwisko. Wiera najwyraźniej była pod urokiem tego kapitana. "No cóż. Nie jest zbrodnią kochać nie-Rosjanina" – pomyślała, przypominając sobie własną miłość. Zapłaciła za nią drogo, to prawda, ale tylu niezwykłych chwil nie udało się jej już przeżyć nigdy. Nawet ze swoim mężem, Miszą nie była tak szczęśliwa. "On też jest lotnikiem – spostrzegła zdziwiona. – Historia lubi się powtarzać. Byle Wiera nie miała tych przykrych przejść" – pomyślała z trwogą.

Odszukała w kalendarzu zastrzeżony telefon kuzyna i wykręciła numer. Odezwała się ich córka Swietłana. Powiedziała, że rodziców nie ma w domu, ale po powrocie zaraz im powtórzy. Późnym wieczorem zadzwonił sam Mołotow i, ucieszony znakiem życia od niej, serdecznie zaprosił Tamarę na niedzielę.

– Potem wyjeżdżam do Niemiec – tłumaczył. – I to jedyna okazja, Maroczka, spotkania się z twoim starym bratem – dokończył kokieteryjnie.

Umówili się na siódmą. Punktualnie o szóstej czterdzieści pięć zjawił się kierowca i oznajmił, że Wiaczesław Michajłowicz czeka łaskawie w domu. Tamara Lwowna szybko zbiegła w dół. Przed domem czekał czarny "Zis". Kierowca otworzył drzwi i wskazując tylne siedzenie, rzucił uprzejmie: – Proszę, towarzyszeko... Siadajcie...

Tamara pierwszy raz znalazła się za żółtymi firankami. Kierowca wiedział, że jest kuzynką szefa i starał się być dla niej nadzwyczaj miły. Zwierzał się z dumą, że jeździ z towarzyszem Mołotowem dwadzieścia lat i jest najstarszym kierowcą na Kremlu.

– Wiaczesław Michajłowicz wciąż mówi: – Ty, Josia, zawsze zdążysz na czas, nawet jak diabeł stanie na drodze. I teraz też zdążymy co do minuteczki – zachwalał się chytrze.

Wjechali w ulicę Granowskiego, a w chwilę potem znaleźli się przed domem Mołotowa. Kierowca otworzył drzwi i pomógł wyjść Tamarze z wozu. Następnie podprowadził ją do portierni i przekazał dyżurnemu. Ten sprawdził jej nazwisko, dyskretnie zrewidował i upewnił się telefonicznie, czy może wpuścić gościa. Po uzyskaniu zgody wprowadził ją do windy i towarzyszył na samą górę. Dopiero jak drzwi mieszkania Mołotowa otworzyły się, uspokojony zjechał na dół.

Do obszernego przedpokoju wpuściła ją służąca, ale zaraz zjawiła się Swietłana:

– Witaj ciociu! Tym razem oboje rodzice wyjątkowo są! – zażartowała.

Za chwilę wyszedł sam gospodarz wraz z małżonką:

– No jesteś! – rozwarł serdecznie ramiona – Jak zwykle zabójcza. Tylko my się starzejemy – uściskał ją z powagą. Z prawdziwą przyjemnością przyglądał się jej przez moment:

– Naprawdę, Maroczka, jesteś cudem natury. Nic się nie zmieniasz – stwierdził szczerze.

Obejmując ją ramieniem, wprowadził do dużego salonu. Cekał już tam nakryty stół:

– Coś z nami przekąsisz – wskazał miejsce obok siebie. – Będzie to co jadłem u was kiedyś we dworze. I nie dokończyłem. Pamiętasz?

Tamara w żaden sposób nie mogła sobie przypomnieć.

– Bliny z kawiozem – odparł z satysfakcją. – Pokłóciłem się wtedy z twoim papą i wuj w furii rąbnął talerzem w stół. Wstał i wyszedł. Dyplomatycznie wyszedłem też, chociaż bardzo mi było żal tych blinów. Moje ulubione danie. Ale cóż zrobisz?! Dopiero teraz spokojnie możemy je dokończyć – zachichotał smutno.

Tamara dawno zauważyła, że jak kuzyn się śmieje, to górna część jego twarzy

zawsze pozostaje martwa. Tylko świst powietrza wskazuje, że jest to śmiech. Mołotow wstał i nalał do trzech kieliszków. Córka nie piła.

– Swietłana ma czas – mruknął sucho. – Nie widzieliśmy się niemal od śmierci Miszy – podjął znowu. – Jak to się stało?! – zdziwił się.

– My z Tamarą się widzimy – sprostowała Paulina. – Ty nigdy nie masz czasu dla najbliższej rodziny...

– To prawda. Zawód mam nierodziny – przyznał samokrytycznie.

Dopytywał się o Wierę i jej męża, a gdy opowiedziała, wtrącił mimochodem:

– Ten Makarow dzielnie sobie poczyna we Władywostoku. Zuch...

Tamara nie pytała o szczegóły. Po kolacji poprosił, żeby coś zagrała:

– Najlepiej naszego kochanego Skriabinuszkę – zaproponował. – To naprawdę wielki kompozytor. Nie gorszy od Czajkowskiego. Wszędzie go grają. Największy w naszej rodzinie...

– Prócz ciebie – wtrąciła Swietłana.

– Mnie nikt z muzyką nie kojarzy. Co najwyżej z butelką benzyny. Cocktail Mołotowa – zaśmiał się, popijając wódkę. – Na szczęście ten grzech nie pójdzie na konto rodziny Skriabinych...

– Sam wybrałeś – przypomniała mu.

– No właśnie. Dla Rewolucji poświęciłem dobre nazwisko – westchnął z ironią.

– Nie wiadomo, czy było warto – bąknęła Tamara.

Mołotow udał, że nie słyszy. Wprowadził ją do sąsiedniego pokoju, gdzie stał fortepian. Uniósł w górę klawisz:

– Najlepiej jak zagraż moją ukochaną Etiudę numer 1 – postawił przed nią nuty.

Znała ten utwór na pamięć. Zaczęła grać. Cała rodzina Mołotowych słuchała w skupieniu. Nawet służąca wyjrzała z kuchni. Wiaczesław Michajłowicz trwał w bezruchu z zamkniętymi oczami. Jego krępa sylwetka zastygła jak posąg, tylko palce lewej ręki przebierały po poręczach fotela. Gdy skończyła, pierwszy zaklaskał:

– Brawo! Nie na darmo byłaś ukochaną uczennicą Neuhaus. Prosimy o jeszcze. Może "Smutną piosenkę".

Ten sławny drobiazg Czajkowskiego często grała. Kojarzył się z Pierre Luis. I ich rozstaniem. Przed wyjazdem do Francji prosił, by zagrała mu to na pożegnanie. Teraz, przypominając sobie ten moment, wlała w utwór Czajkowskiego całą swą duszę. Zabrzmiął tragicznie. Gdy ucichła ostatnia nuta, nikt się nie odezwał. Mołotow uniósł binokle i dyskretnie otarł chustką oczy. Wstał i wzruszony położył obie ręce na jej ramionach. Delikatnie pocałował w czoło:

– Słuchając ciebie, Mara, przypomina się młodość ... – ujął ją pod rękę i zaprosił na wino i owoce.

– To ja zaparzę herbaty – oznajmiła Paulina Żemczugina \* i oddaliła się do kuchni.

Paulina Żemczugina – żona Mołotowa, w ostatnich latach rządów Stalina więziona w łagrach za rzekome uczestnictwo w spisku syjonistycznym. W tym samym czasie Mołotow nadal pełnił funkcję ministra spraw zagranicznych i był członkiem Biura Politycznego.

Korzystając z tego, że są sam na sam (Swietłana wyszła do swego pokoju), Tamara postanowiła działać. Nieśmiało zwróciła się do kuzyna:

– Mam prośbę, Wiatik – rozpoczęła cicho, poprawiając niesforny lok. – Dosyć ważną...

– Słucham, Maroczka – odparł uprzejmie, wkręcając korkociąg do zielonej butelki.

– Nie zrobisz ze mnie wroga ludu, sądzę? – zażartowała ostrożnie.

– Jak dotąd nie zrobiłem, to nie zrobię – napiął mięśnie, wyciągając korek z plaśnięciem. – Pyszne winko. Zobaczysz. No, śmiało – zachęcał ją. – Tyle w życiu nabzdurzyłaś, że starczyłoby na dobre parę lat w sanatorium Ławrientiego Pawłowicza. A jednak siedzisz tu, a nie... – zrobił wymowny gest na północ.

Musiała mu przyznać rację. Wyjątkowo tolerował jej poglądy.

– Jeśli masz kłopot z lokatorami, to mów. Wyrzucimy ich zaraz – nalał uważnie do kieliszków.

– Nie, nie. Są bardzo mili – zaprzeczyła szybko. – Nie o mnie tu chodzi – wyjaśniła – ale o naszych przyjaciół. Chciałam się o nich upomnieć, Wiatik – zaczęła ostrożnie.

– Przyjaciół? – zdziwił się, podając jej kieliszek.

– Tak. Naszych amerykańskich przyjaciół, z którymi jesteśmy w sojuszu – potwierdziła.

– Rozumiem – odparł ubawiony – ale dlaczego ty, u licha, masz się o nich upominać?! Bez ciebie dadzą sobie radę – zachichotał z sykiem.

– Obawiam się, że nie. Są bowiem w więzieniu...

– Amerykańskim?

– Nie. Naszym. We Władywostoku – dokończyła niemal niemo.

Mołotow przesadnie stuknął w kieliszek i wykrzyknął:

– No, to twoje zdrowie, Maroczka! – ostrzegawczo przytknął palec do ust. Grymasem dał znać, że tu nie mogą rozmawiać. Kaszląc głośno i wciąż mówiąc o herbatce, którą za chwilę poda niezrównana Paulina, ostrym ruchem pociągnął ją do łazienki. Dokładnie zamknął drzwi, otworzył wszystkie krany, puścił wodę do wanny i umywalki. Dla pewności szarpnął za rączkę rezerwuaru w klozecie. Woda grzmotnęła jak z wodospadu. Utwierdziwszy się, że nikt ich nie słyszy, wyszeptał złowieszczo:

– Tamara! Nie wnikać w to, skąd to wiesz i kto przekazał ci tę bzdurę! Jedno wiedz! Nie mieszaj się do tego – zrobił krótki gest wokół szyi. – Sam Gospodarz bowiem... – urwał i mocno chwycił ją za łokieć. – No. Zapomnij o tym i bądź

rozsądna – wysapał z sympatią.

Zakreślił wszystkie krany, odkasznął i jak gdyby nic wyprowadził ją z łazienki:

– Są lody! – krzyknął do żony. – No, proszę. Nasza niezrównana Linoczka i o tym pomyślała – z radością klasnął w dłonie.

Ta groteskowa i tragiczna scena przeraziła ją na dobre. Zrozumiała bowiem jasno, że w tej sprawie sam Stalin maczał palce. I gdyby się o tym dowiedział, marny byłby jej los. Nie o nią tu jednak chodziło. W najwyższym strachu pomyślała o córce. Jak ją uchronić przed jego mściwą, okrutną ręką.

\* \*

\*

Po wyjściu z łoży Aron wyjaśnił kolegom, skąd się wzięła ta dziwna miłość Iwana do szczurów. Wpadł on na szatański pomysł szkolenia tych "królewskich zwierząt". Odpowiednio głodząc je i tresując, postanowił pierwszy raz wypróbować te "słodkie pyszczki" na ludziach. Podstępnie wpuścił jednego z nich do celi, licząc na świetną zabawę. Tymczasem Stan okazał się szybszy i zatłukł kadrowego zawodnika. Iwan Groźny dostał szału. Zaprzysiągł zemstę. Iwan wiedział, że jego szczury najlepiej sprawdzą się w bunkrze. W ciasnym loszku karceru bez światła więzień jest praktycznie bezbronny. Nie ma szans. Szczęśliwie Aron dostał skierowanie do łoży i ucieszony Własenko z niego pierwszego chciał zrobić królika doświadczalnego. Radośnie chwycił swe pudełko i nic nie mówiąc więźniowi, poprowadził go do karceru.

Aron, wciąż rozmyślając o rozmowie z Kwarcem, nie spostrzegł nawet, kiedy podrzucono mu dwa szczury. Dopiero gdy uczył pierwsze ukąszenia, zdał sobie sprawę w czym rzecz. Na próżno usiłował z nimi walczyć. Były nieustraszone i wcale niepłochliwe. Z obrzydzeniem strząsał je z siebie. Z rozpaczą wierzgał nogami. Kiedy ujrzał smugę światła w judaszu, pojął, że stał się ofiarą żartów okrutnego strażnika. Iwan obserwował jego podskoki jak najlepszy mecz. Wodził latarką po loszku, krzycząc z satysfakcji:

– Alem ci dogodził, Żydu! Wreszcie masz sądny dzień – rechotał ze szczęścia, klepiąc się po udach.

Aron wrócił z tego meczu pokąsany i cały w ranach. Słuchali jego relacji ze zgrozą. Dotychczas nikt z nich nie został poddany takiej chińskiej torturze. Kuzmicz doradzał, żeby zgłosić to kierownictwu:

– U nas nie stosuje się takich metod – zapewniał.

– Tylko trzyma sadystów – rzucił przez zęby Stan.

Rozmowę przerwało wejście Popki, który wezwał Ricka na przesłuchanie. Za stołem powitał go uśmiechnięty Kwarc:

– Siadajcie – rzekł rzyjaźnie i wyciągnął ku niemu paczkę papierosów. Rick nie zareagował. Salomon Issakowicz przywykł do tego i nie zwrócił na to uwagi. Sam zapalił i zaciągnął się smakowicie. Powoli przerzucał papiery:

– No tak – mruknął wreszcie. – Długo się nie widzieliśmy. To Gleb Maksymowicz próbował z wami konwersować – ujął to delikatnie – bez rezultatu, niestety – odsunął teczkę. – No nic. Sądzę, że dziś pójdzie nam lepiej. Mam bowiem

dla was dobre wiadomości – stuknął ołówkiem w blat stołu.

Rick udał, że śpi.

– Zaraz się obudzicie – chrząknął Kwarc i rzucił radośnie: – Otóż wasza dzielna małżonka, przyjacielu, urodziła wam syna. Co wy na to?!

Rick otworzył oczy.

– Mówiłem! – odparował – że nie prześpicie tego momentu! Cieszę się, że jako pierwszy mogę wam to zakomunikować i złożyć szczere gratulacje – uroczyście wychylił się zza biurka.

Rick uzmysłowił sobie nagle, że Kwarc wcale nie jest pierwszym, który mu o tym mówi. Przypomniał sobie słowa konającego Boba. Kiedy śledczy dorzucił, że syn urodził się w maju, akurat w Dzień Zwycięstwa, po prostu uszom nie wierzył. Czuł jak wewnątrz dygoce. Do bólu ścisnął dłonie. Resztkami sił zmusił się, by nie krzyknąć. Kwarc odgadł jak celnie trafił i z satysfakcją ciągnął dalej:

– Syn był wcześniakiem, jak się domyślacie, ale wyżył. Czy wy zaś wyżyjecie, drogi przyjacielu, to już całkowicie zależy od was – dodał od niechcienia.

Wyjął zdjęcia i wolno obracał je w palcach. Przyglądał się im uważnie. Co raz spoglądał na Ricka jakby porównując. Dokładnie zgniótł niedopałek w popielniczce i rozproszył dym ręką:

– Piękna ta wasza żona... Trzeba przyznać – zawyrokował. – I chłopak też piękny. Cały tata – spojrzał na twarz kapitana. – I wszystko na nic. Że też ludzie sami komplikują sobie życie – westchnął filozoficznie. – Czy to ma sens?

Gdy Rick nie odpowiedział, Kwarc zagadnął go znowu:

– Pewnie ciekawi jesteście, jak ma na imię? Służę. My wszystko wiemy. Otóż wyobraźcie sobie, że nazywa się tak jak wy, mój drogi. Też Richard. To miłe, co?! Że pamiętali o was. A może po prostu uznali za zmarłego i w ten sposób zapragnęli uczcić. Zachować tradycję, że tak powiem – rozważał łagodnie. – W każdym razie miło. Na drugie ma Oscar. Po dziadku – pochwalił się swoją wiedzą. Potrzęsnał fotografiami: – Tego nie odmówicie chyba? To nie papierosy – kusząco przesunął zdjęcia w stronę Ricka.

Ostatkiem sił kapitan powstrzymał się, by nie sięgnąć ręką. Wiedział jednak, że tego chce Kwarc. Śledczy zawiedziony jego reakcją wolno rozłożył zdjęcia na biurku:

– Spójrzcie. To nic nie kosztuje – rzekł wspaniałomyślnie.

Rick kątem oka spojrzał na biurko. Dostrzegł uśmiechniętą twarz Betty, która trzymała na ręku niemowlę. Coś zawyło w nim strasznie. Poczul, że nie wytrzyma. Szybko odwrócił głowę. Kwarc uśmiechnął się. Wreszcie upokorzył tego przekłętego kapitana. Zaraz rozplacze się przed nim jak dziecko. Salomon Issakowicz długo czekał na ten moment. Zapalił papierosa i w napięciu obserwował jego twarz: "Nie, nie, nie! Nie dam mu tej satysfakcji!" – i sam nie wiedząc kiedy, zagwizdał straceńczo.

Pierwsza fala wzruszenia odpłynęła jakby i poczul, że oderwał się od przeciwnika. Zgubna chwila słabości odleciała w nicość. Teraz wiedział, że Kwarc z nim nie wygra. Choćby samego diabła miał wyjąć z rękawa.



## XXXIV

Nieoczekiwana depesza z Moskwy od ambasadora Harrimana, potwierdzająca, że załoga superfortecy B-29 przebywa na terytorium ZSRR, zaskoczyła Departament Stanu. Uznano ją za zaginioną i nikt nie liczył, że biedni lotnicy jeszcze żyją. Niektórzy wojskowi czasem się przy tym upierali, żądając dalszych poszukiwań, ale nie mieli w ręku żadnych argumentów. Powoli i oni dawali za wygraną.

Nic dziwnego więc, że Albert Heath, który pierwszy przejął szyfrówkę, postanowił natychmiast skontaktować się z Gorodenką.

– Reakcja może być bardzo ostra – uprzedzał z góry attach~e prasowego. – Musicie się liczyć z interwencją Harrimana u marszałka Stalina i sporymi komplikacjami, które ta na pozór błaha sprawa może wywołać...

Gorodenko w pełni zgodził się z tym stanowiskiem i podzielał podobny niepokój. Obiecał niezwłocznie powiadomić o tym władze w Moskwie. Prosił, by Heath mógł w miarę możliwości przetrzymać u siebie nieszczęsną szyfrówkę przynajmniej parę dni. Heath odparł, że jest to niemożliwe. Wszystko co może zrobić to jeden dzień. Dla Gorodenki i to było dobre. Doceniał w pełni wagę sytuacji. Wiedział, że w sprawę samolotu zaangażowany jest autorytet centralnego organu partii i najwyższe kierownictwo. Zaskoczenie władz przez Amerykanów mogłoby mieć dla niego opłakane skutki, szybka reakcja zaś odnotowana będzie na pewno życzliwie.

Nie czekając więc na powrót ambasadora Gromyki z Nowego Jorku, własnymi kanałami nadał wiadomość specjalnym szyfrem o najwyższej randze ważności, zaznaczając, że ma być doręczona do rąk własnych samego szefa bezpieczeństwa, towarzysza Berii.

Przeciek informacji uznał za duży skandal. Nie mógł pojąć, jak towarzysze w Moskwie mogli dopuścić, by fakt tej miary przekazany został Amerykanom:

– Niebywałe. No, cóż. W końcu ich kłopot – zdecydował, popijając whisky. – A swoją drogą nie chciałbym być w ich skórze – uśmiechnął się, nie bez przyjemności wyobrażając sobie, jaką wściekłość wywoła jego depesza u samego Gospodarza.

– Ktoś za to poleci. To pewne. Inaczej być nie może – zawyrokował, powoli odstawiając szklanę.

Tymczasem Albert Heath po nieznacznym przetrzymaniu szyfrówki przekazał ją swym przełożonym z odpowiednim komentarzem. Sugerował, by nie poddawać się zbyt dużym emocjom:

– Śmierć jednego pilota jest na pewno przykra – stwierdził z żalem. – Nie wiem jednak, czy dobrze z nią wychodzić tuż przed spotkaniem Wielkiej Trójki – dyskretnie ostrzegł ministra.

Sekretarz stanu był poruszony tą sprawą i odparł, że musi natychmiast skonsultować się z prezydentem w celu ustalenia dalszego postępowania.

W tej sytuacji Heath uznał, że zrzęcniej będzie, jak on sam powiadomi o tym Dawida Dresdnera niż miałby to zrobić ktoś inny. Na przyjaźni Dawida bardzo mu zależało. Korzystając z jego krótkiego pobytu w Waszyngtonie, zaprosił go do biura. Po małym wstępie, trzymając przed sobą treść depeszy, podzielił się z nim tą dobrą i

zarazem złą nowiną:

– Wciąż nie rozumiem, jak to się stało – tłumaczył zawile. – Niemniej fakt pozostaje faktem. Harriman się przecież nie myli – dla pewności pochylił się nad depeszą. – No tak. Są na terenie ZSRR – oświadczył.

– Więc jednak! – wykrzyknął z satysfakcją Dawid.

– Internowani we Władystoku – dodał ostrożnie.

– Internowani? – zdziwił się Dawid.

– No wiesz. Pewnie siedzą w domowym areszcie. Do chwili wyjaśnienia sprawy – zlekceważył to Heath.

– Coś długo wyjaśniają – rzucił z przekąsem Dawid.

– No, właśnie. Też się dziwię. Myślę, że padli ofiarą wielkiej polityki. Jak zwykle cierpią na tym mali ludzie. W każdym razie żyją. Prócz jednego – spojrzął ze smutkiem na Dawida.

– Kogo? – zapytał z niepokojem.

– Otóż to. Wiem, że się zmartwisz – rozpoczął. Zrobił dużą pauzę.

Dawid był pewien, że chodzi o Ricka. Krew odpłynęła mu z głowy. Z napięciem czekał na wyrok.

– Nie, nie. Kapitan O'Sullivan żyje – usłyszał.

– Więc kto?! Bob? – krzyknął w strachu.

– No, właśnie – potwierdził Heath. – Porucznik Fulton zmarł z ran odniesionych w walce z Japończykami...

– To niemożliwe! Jesteś pewien?!

– Pomyłki zawsze się zdarzają – westchnął Heath. – W tym wypadku jednak depesza nie pozostawia żadnych wątpliwości – jakby na dowód dotknął papieru na biurku.

– Straszne – wymamrotał Dawid. – Że też jego to właśnie spotkało.

Z przerażeniem pomyślał, jak przyjmie to Kate. Tak święcie wierzyła w jego powrót. On zresztą też. Z rozpaczą zgniótł tytoń w fajce. Heath przyglądał mu się ze współczuciem, po czym dodał:

– No tak. Cóż robić. Możesz to przekazać rodzinie – rzekł wymownie.

– Porzucając jednak wątek osobisty – zmienił temat Heath – należy się liczyć z nieprzytomnym atakiem hearstowskiej prasy, która zechce wykorzystać ten ubolewania godny incydent do swoich antyrosyjskich celów. I warto, abyś zareagował... Swym niezależnym piórem... – namawiał go.

Dawid mało się tym przejmował. Uznał to nawet za pewien nietakt. Śmierć Boba nie była dla niego "ubolewania godnym incydentem", ale osobistym ciosem, nad którym nie umiał jeszcze zapanować. I niewiele go obchodziła w tej chwili reakcja hearstowskiej prasy, nad którą tak ubolewał jego przyjaciel Heath.

## XXXV

Całe popołudnie Josif Wissarionowicz spędził nad materiałami do konferencji Wielkiej Trójki, które przedstawił mu Mołotow. Do konferencji tej przygotowywał się niezwykle starannie, tym starannie, że po raz pierwszy miał się na niej spotkać z prezydentem Trumanem, którego nie znał. To nie Roosevelt, którego można było oczarować postępową wizją świata. Ten handlarz szelek gotów się targować o byle co i trzeba będzie się z nim nieźle handryczyć, żeby nie dać sobie odebrać owoców zwycięstwa. Żołnierz radziecki zbyt drogo za nie zapłacił.

Stalina najbardziej niepokoił problem podziału Europy i zabezpieczenia strefy wpływów. Wiedział, że sojusznicy domagać się będą niezawisłych rządów w Polsce, Czechosłowacji i na Węgrzech oraz utrzymania monarchii w Bułgarii czy Rumunii.

– Żądają od nas gwarancji i te gwarancje trzeba im dać – pouczał swoich współpracowników. – W duchu demokratycznym, rzecz jasna. Chcą go mieć, niech mają. Na duchu nikt jeszcze nie stracił. Nie bójmy się go – ciągnął jowialnie. – Przyjdzie czas, a ten demokratyczny duch ulotni się, wyzionie ducha, a na jego miejsce przyjdzie nasz socjalistyczny rząd.

Zgodnie z materializmem historycznym i nieubłaganą dialektyką dziejów. Weźmy przykład... – urwał na chwilę – w dwudziestym roku nie udało się nam dojść do Warszawy, a dziś jesteśmy w Berlinie. W tym samym Berlinie, o którym marzył Włodzimierz Iljicz Lenin i nazywał go światowym oknem Rewolucji. My w tym oknie stoimy, towarzysze, za demokratycznymi firankami i paktujemy cierpliwie. Nie znaczy to jednak, że zapomnieliśmy, do czego ono służy. W odpowiednim momencie odsłonimy firanki i wystawimy przez nie nasz czerwony sztandar Rewolucji. Pójdziemy godnie wypełnić testament Lenina. Inaczej być nie może...

Josif Wissarionowicz wstał od biurka i podszedł do okna. Spojrzał na złote kopuły Kremla lśniąca w promieniach lipcowego słońca: "Mój Boże. Jaką zwycięską przeszliśmy drogę – pomyślał. – A cztery lata temu wydawało się, że wszystko stracone" – puścił kłęb dymu i znów usiadł za biurkiem.

Miał dziś ciężki dzień. O szóstej czekała go audyencja Harrimana, a przedtem chciał się naradzić z Mołotowem i Kaganowiczem. Uważał, że nie należy odsłaniać kart i wyciągnąć możliwie najwięcej od pocziwego Harrimana, który zawsze kocha mediować. Trzeba mu dać tę szansę. Żądać więcej, a potem łaskawie ustąpić. Niech ma swój kompromis. Będzie myślał, że coś wytargował, nie wiedząc, gamoń, że wszystko było z góry ukartowane. "Ach ci kochani dyplomaci w sztuczkowych spodniach. Wykształcone to to, wszystkie rozумы pozjadało, tylko jednego nie ma. Zwyczajnego, chłopskiego" – stwierdził z pogardą, wytrzepując popiół z fajki.

Dla oddechu sięgnął po scenariusz, który właśnie przysłano mu z "Mosfilmu". Dotyczył zdobycia Berlina i Stalin był jednym z bohaterów, których Josif Wissarionowicz musiał ocenić. Zawsze z ciekawością czytał utwory o sobie i wносił cenne poprawki. Autorzy byli mu wdzięczni i zabiegali o jego współpracę. Tak było z Szołochowem czy Tołstojem. Co prawda scenariusz, który wziął do ręki, nie dorównywał tamtym, ale niektóre sceny miał całkiem nieźle. Szczególnie prości żołnierze, frontowcy udali się autorowi. Takich zuchów pamiętał pod Carycynem:

"Gdyby jeszcze ten Stalin miał więcej życia, to już w ogóle byłby Puszkina –

uśmiechnął się pod wąsem, patrząc na nazwisko autora – Aleksander Siergiejewicz tylko nie ten. Nowikow" – westchnął z ironią.

W sumie Stalin uznał, że ten Stalin od biedy ujdzie. Jak go jeszcze wesprze dobry aktor, to nie będzie źle. W dialogach tylko, wszędzie tam gdzie Nowikow pisał "wielki", Stalin zamienił na "genialny":

– Tak będzie prościej – zdecydował.

Na oddzielnej kartce skreślił szybko, że jego prywatnym zdaniem, jako zwykłego radzieckiego czytelnika, Nowikow zasługuje na tegoroczną nagrodę stalinowską za swoje opowiadania wojenne, ale nie śmie jurorom narzucać swego sądu, pozostawiając rzecz do ich uznania: "Jesteście ode mnie bardziej kompetentni, towarzysze, w sprawach sztuki" – zakończył skromnie i złożył swój podpis.

W tym momencie wszedł jego osobisty sekretarz, Podskrybyszew, i oznajmił, że Ławrientij Pawłowicz prosi o natychmiastowe przyjęcie.

– Wpuścić – rozkazał krótko.

Wiedział, że Beria bez powodu nie zawraca głowy. Po chwili zjawił się wszechwładny szef MWD, a na jego ziemistej twarzy widać było oznaki niepokoju:

– Josif Wissarionowicz – jako jeden z nielicznych miał prawo w ten sposób zwracać się do Stalina – przed chwilą otrzymałem meldunek z Waszyngtonu – rozpoczął po gruzińsku – z którego wynika, że Amerykanie wiedzą o sprawie samolotu i będą prawdopodobnie...

– Jak to możliwe? – przerwał mu Stalin.

– No właśnie. Sam się dziwię. W końcu wszystko miał w ręku Abakumow, który nie jest nowicjuszem – zaasekurował się zrećźnie.

– Dawać go – rzucił Stalin.

Stawili się wezwani wcześniej Mołotow i Kaganowicz. Stalin poinformował ich o całej sprawie. Patrzył gniewnie. Ślady po ospie ściemniały mu, co wróżyło ostry wybuch.

Wszedł Abakumow.

– No, popisałeś się, Abakumow! Gratuluję. Na czele czego ja cię postawiłem!? Mów?! – rzucił Stalin.

– Na czele "Smiersza" – odparł niepewnie Abakumow.

– Świetnie! To co znaczy ten "Smiersz"? Wyjaśnij nam – wezwał obecnych na świadków.

– Śmierć szpiegom – wyjąkał przerażony już generał.

– Brawo! – zaśmiał się szatańsko Stalin. – A ty coś z niego zrobił?! Raj! Raj szpiegom urządziłeś. Wszelkiego rodzaju swołocz panoszy się u ciebie. Wrogowie i aganci rozplenili się jak wszy. A ty nic. Klasową czujność wyrzuciłeś za burtę i zadowolony. Kto doniósł Amerykanom o tym samolocie, którego ja kazałem strzec jak żrenicy oka?! Mów!

Abakumow spuścił pokornie głowę, nie śmiąc spojrzeć w oczy Stalinowi:

– Kto, pytam?! Może ty?! Może ty, Abakumow, skumałeś się po cichu z wrogiem – wycedził przez zęby.

– No, jakżesz ja? Towarzyszu Stalin – na samą myśl o tym absurdzie uśmiechnął się głupio.

– Ty się tak nie śmieję, zuchu – Stalin podszedł i dotknął jego generalskich pagonów – bo ja cię zaraz mogę pierwszego rozstrzelać, jeżeli ty mi w zębach nie przyniesiesz tego agenta. W zębach, zrozumiałeś?! – ostatnie słowo wybił, cybuchem fajki stukając o biurko.

Zaczął się przechadzać po gabinecie tam i z powrotem. Nikt się nie odezwał. Wszyscy w napięciu czekali, co będzie dalej.

Stalin zwrócił się nagle do zmartwiałego generała głosem miłym i spokojnym:

– A czy przynajmniej jest jakaś korzyść z tych lotników?

– Olbrzymia – odparł Abakumow, szczęśliwy, że Stalin chce z nim rozmawiać. – Laboratorium Numer 2 uznało, że informacje są bezcenne. Profesor Kurczatow twierdzi, że dane, które zdobyliśmy, przyspieszą znacznie nasze prace nad bombą. Wycisnęliśmy z nich bardzo dużo...

– Właśnie. Tak cisnęliście, orły, że aż jeden umarł. I co ja teraz zrobię? Mam powiedzieć Amerykanom, że z żądy wiedzy ukatrupiliście chłopaka? Coś jednak muszę powiedzieć. Skoro wy szpiegom pozwalacie biegać po swoim biurze. A reszta lotników jak?

– W porządku. Żyją – zapewnił Abakumow.

– Nie wykończyliście ich dla dobra nauki? Oj, Abakumow! – wybił szyderczo jego nazwisko. – Wy nigdy nie znacie miary. Albo przerabiacie ludzi na mięso, albo wpuszczacie wroga do środka. Żyją więc, powiadacie?

– Tak jest!

– To róbcie tak, żeby nie umarli. Bo jak przyjdzie ich, nie daj Boże, wypuścić, to będę miał same trupy. A trupami nie ma się co chwalić...

– Znaczący zawiesić śledztwo? – spytał nieśmiało generał, cały czas w pozycji na baczność.

– Trzymać tak, żeby nadawali się do wyjścia. Czuję, że cała gra nie warta była świeczki? – spojrzął na Mołotowa, jakby szukając u niego odpowiedzi.

– Na pewno nie – potwierdził Wiaczesław Michajłowicz zadowolony z upokorzenia Abakumowa i jego możnego protektora.

Nadgorliwość Berii często psuła mu szyki i utrudniała prowadzenie międzynarodowej gry. Sprawa samolotu była tego najlepszym przykładem. Teraz też ciężko się będzie wymigać. Stalin postanowił oddalić Abakumowa i przejść do właściwej narady. Pogroził mu więc tylko palcem na pożegnanie i dodał:

– A amerykańskiego agenta z Władywostoku w zębach! Pamiętaj!

– Włączę się w tę sprawę – wtrącił chłodno Beria, który dopiero teraz postanowił wesprzeć swego faworyta. – Agent na pewno się znajdzie – zapewnił z całą mocą.

– Czasem lubi być na samej górze. O tym też wiemy – rzekł Stalin, podejrzliwie lustrując stojących przed nim członków Biura Politycznego.

Mołotow przypomniał sobie rozmowę z Tamarą i zimny pot oblał mu czoło. Miał wrażenie, że Stalin patrzy na niego szczególnie.

Po odejściu Abakumowa już w spokojniejszej atmosferze zaczęli rozważać sprawę samolotu. Mołotow przewidywał, że stanie się ona jednym z głównych punktów wizyty Harrimana. Co gorsze, może zdominować inne, ważniejsze sprawy, do czego w żadnym wypadku nie należy dopuścić. Przed bliską Konferencją takie zaostrzenie stosunków nie byłoby wskazane. Stalin całkowicie się z nim zgadzał. Ostatecznie zdecydował, że przyjmie ambasadora amerykańskiego tylko w obecności Mołotowa. Pozostali towarzysze mają czekać w pogotowiu. Z tym się rozstali.

Czasu było niewiele, bo godzina wizyty zbliżała się. Josif Wissarionowicz wziął pod rękę swego ministra spraw zagranicznych i gościnnym ruchem gospodarza poprowadził do sali recepcyjnej:

– No nic, Wiaczesław Michajłowicz? Znowu my dwaj będziemy musieli zjeść tę zabę – mrugnął do Mołotowa, łaskawie zrównując go ze sobą. – Nasz miły Averieluszka czeka już pewnie na nas wzburzony. Inaczej być nie może – zaśmiał się cicho.

I jak zwykle miał rację, bowiem słynne kuranty kremlowskie wybiły właśnie godzinę szóstą, a ambasador Averell Harriman czekał w hallu gotów do audiencji.

\* \* \*

Po rozmowie z Samem Martensem, który przekazał dokładne szczegóły o losie lotników, ambasador Harriman poczuł się osobiście dotknięty. Zawsze był gorącym zwolennikiem ścisłego sojuszu z Rosją i wiele dla niego zrobił. Wierzył w nowe, powojenne oblicze Rosji. Pełen dobrej woli w imię tego wszystkiego, przyjął zapewnienie Mołotowa, że samolot nigdy nie wylądował na terenie ZSRR. A tu nagle otrzymał niezbitę dowody nowej prawdy.

Harriman poczuł się, jakby mu ktoś dał w twarz i zakpił sobie z niego w żywe oczy. Na tyle poznał system, by wiedzieć, że wszystko to nie mogło się odbyć bez wiedzy Stalina. Z tym większą ciekawością szedł na to spotkanie, próbując sobie wyobrazić, jak na to wszystko zareaguje jego rozmówca.

Punktualnie o godzinie szóstej drzwi sali recepcyjnej otworzyły się i Harriman stanął przed obliczem Stalina. Towarzyszył mu skromnie z boku minister Mołotow i tłumacz.

Stalin kordialnie otworzył ramiona i powitał gościa serdecznie.

Harriman, zawsze kiedy spotykał Stalina, był zaskoczony jego niskim wzrostem. Widocznie i on z wolna ulegał mitowi wielkiego Stalina. Z zakłopotaniem patrzył na niego z góry.

Stalin nie lubił być niższym. Prasa знаła tę jego słabość i na przykład wszystkie zdjęcia z generałem de Gaullem ukazywały ich obu siedzących.

Teraz Stalin też szybko wyrównał wzrost i zaprosił Harrimana do miękkich foteli. Był nadzwyczaj miły, zalił się, że w związku z Berlinem będzie musiał opuścić Rosję, czego bardzo nie lubi.

– Nie jestem podróżnikiem. Ostatni raz byłem w Niemczech za cara i wystarczy – zwierzał się ambasadorowi. – Nigdy bym tam nie pojechał, gdyby nie Konferencja. Ale cóż?! – przesadnie rozłożył ręce. – Jak się wygrało wojnę, trzeba cierpieć – spojrzał szelmowsko, a w jego wąskich oczach zjawily się chytre błyski. Tłumacz szybko przełożył żart. Wszystkim spodobał się ten paradoks Stalina.

Ambasador cieszył się w duchu, że za chwilę zburzy ten nastrój, rzucając swą bombę. Wyobrażał sobie, jak wielkie wywoła wrażenie. "Zaskoczę was – myślał z satysfakcją. – Tego się, panowie, po mnie nie spodziewacie..." – Czekał tylko na właściwy moment.

– To kiedy ta Konferencja? – zapytał Stalin.

– Szesnastego lipca w pałacu w Poczdamie – podrzucił szybko Mołotow.

– Znaczący przejdzie do historii jako poczdamska – zawyrokował Stalin. – Inaczej być nie może. Mój Boże – westchnął z żalem – jaka ta historia złośliwa. Prezydent Roosevelt, który wraz ze mną budował to zwycięstwo, nie dożył tej szczęśliwej chwili. Z kim innym przyjdzie mi rozmawiać – zrobił lekką aluzję do prezydenta Trumana i zaczął uskarżać się na pogarszające się stosunki amerykańsko-radzieckie.

Harriman uznał, że nadszedł jego czas:

– My też mamy powód do narzekań, panie marszałku – rzekł z udaną mocą.

– Mianowicie? – zainteresował się Stalin.

– Z przykrością muszę stwierdzić, że zapewnienia ministra Mołotowa i oświadczenie dziennika "Prawda" mijają się z prawdą. Nasz samolot B-29 znajduje się na terytorium ZSRR, a załoga przetrzymywana jest bezprawnie w więzieniu we Władywostoku. Lotnicy siedzą w straszliwych warunkach i traktowani są jak przestępcy wojenni. Jeden z nich, co-pilot porucznik Fulton, na skutek braku pomocy lekarskiej zmarł w więzieniu na początku maja. Mój rząd zapytuje, jak ma dalej traktować wiarygodność waszych oświadczeń, panowie?

Harriman skierował te słowa do Mołotowa, który słuchał wszystkiego bez emocji, jakby nie jego to dotyczyło. Stalin wyraźnie obruszył się i spojrzał zdziwiony na Mołotowa:

– O jakim oświadczeniu mowa?

– Chodzi o ten nieszczęsny bombowiec, który rzekomo ma być przez nas przetrzymywany – wyjaśnił sucho Mołotow.

– Nie rzekomo, tylko na pewno – sprostował Harriman zdenerwowany tą jego obojętnością. – I ja mam na to dowody! – wykrzyknął.

– Jakie? – zapytał Mołotow.

– Takie – odparł Harriman i wyciągnął z teczki niedużą blaszkę. – Znaczek identyfikacyjny porucznika Roberta Fultona. Przekazany nam z więzienia we Władywostoku. Nie ma wątpliwości, że o niego tu chodzi – demonstracyjnie położył blaszkę na stole.

Stalin z zaciekawieniem wziął ją do ręki i obracał przez chwilę w dłoni:

– Zabawne. W carskiej armii były podobne. To takie macie?

– Takie – odparł cierpko Harriman.

– Nie podrobiliście aby? – próbował żartować.

Harriman spojrział z niesmakiem.

– No, no, żartowałem przecież... – załagodził sprawę Stalin.

– Nie jest to przedmiot do żartów, panie marszałku. Ten człowiek zmarł w waszym więzieniu.

– Na pewno naszym?

– Bezwarunkowo. Żądam w imieniu mojego rządu natychmiastowego wyjaśnienia tej sprawy. Jest to niedopuszczalny akt naruszenia wzajemnych stosunków, pogwałcenie sojuszków, absolutny skandal, w który trudno uwierzyć! Ja zostałem podstępnie oszukany i nie mam zamiaru tego dłużej tolerować! – rzekł podniesionym głosem.

– Wiaczesław Michajłowicz?! On na mnie krzyczy! Widzicie do czego doprowadziliście?! No, dobrze – wstał z miejsca i po ojcowsku położył rękę na ramieniu Harrimana. – Uspokójcie się, przyjacielu. Zaraz wszystko wyjaśnię. Jeśli to prawda, to zapewniam was, że winni zostaną ukarani. Znaczyć to bowiem będzie, że ja również zostałem oszukany, a tego bardzo nie lubię.

Stalin podszedł do telefonu i rozkazał krótko:

– Z Berią i Abakumowem, proszę. I Łazarz Moisiejewicz niech też przyjdzie – dorzucił szybko. – Kaganowicz nadzoruje komunikację i jest odpowiedzialny za rejon Dalekiego Wschodu. Zaraz zobaczymy, co będą mieli do powiedzenia – oznajmił wzburzony.

Gdy wezwani posłusznie zjawili się przed nim, ustawił ich rzędem na dywanie i natarł groźnie:

– Doniesiono mi przed chwilą, że na terenie ZSRR, konkretnie we Władywostoku, przebywa amerykańska załoga samolotu B-29, i w dodatku załoga ta jest bezprawnie więziona?! Co wiecie na ten temat?! Słucham! – potoczył po nich surowym wzrokiem nauczyciela.

– Gdyby nawet była, to nie w więzieniu. To absurd – wyjąkał poblady Beria.

– A jednak nie! Ambasador Harriman twierdzi, i ja mu wierzę, że więzimy ich, towarzysze! I to ponoć w straszliwych warunkach! Ma na to dowody! Oto one. Identyfikacyjny znaczek zmarłego pilota. Przekazany z więzienia we Władywostoku! Przekazany, rozumiecie?! To się w głowie nie mieści! Kto śmiał ich uwięzić i przekazać to! – grzmiał Stalin, machając przed nosem wezwanych znaczkami Boba. Tym drugim faktem był teraz naprawdę święcie oburzony.

Abakumow bąknął, że nic mu o tej sprawie nie wiadomo, ale sprawdzi natychmiast.

– Czasem lokalni dowódcy lubią być nadgorliwi – tłumaczył się.



– Wobec kogo?! Czy wyście poszaleli?! – wołał Stalin – Sojusz chcecie mi zniszczyć! Żebym ja się dowiadywał od mojego przyjaciela Harrimana o waszych sprawkach?! I musiał się za was wstydzić?! Sprawa ma być załatwiona! Wszyscy trzej za to odpowiadacie! – dokończył groźnie.

Abakumow chciał zachować znaczek do wglądu, ale Harriman szybko domyślił się w czym rzecz i nie wyraził zgody. Kiedy wezwani wyszli, Stalin długo nie mógł się uspokoić i wciąż powtarzał:

– Coś takiego. Coś takiego. Dobrze, że mi powiedzieliście – dziękował Harrimanowi. – Oni naprawdę chcieli mnie oszukać. I z kim tu robić demokrację? – spojrział zgnębiony na ambasadora. – Sami widzicie. Rosji tak łatwo się nie zmieni. Niestety...

Harriman musiał przyznać, że Stalin go zaskoczył. Takiej reakcji się po nim nie spodziewał. "On jednak jest pełen dobrej woli – pomyślał. – Tylko kraj ma niezwykle trudny. Bez tradycji demokratycznych" – i zadowolony z osiągniętego rezultatu raźnie przystąpił do spraw merytorycznych.

## XXXVI

Po wizycie u Mołotowa Tamara Lwowna błagała córkę, żeby więcej nie angażowała się w tę sprawę: "Im nie pomożesz, a siebie zgubisz" – ostrzegała.

Wiera przyrzekła, że zachowa wszelką ostrożność, nie mogła się jednak uwolnić od myśli o lotnikach. Trudno też było jej zaprzeczyć, że ze wszystkich Amerykanów jeden Rick naprawdę ją obchodzi.

W dwa dni po spotkaniu w hotelu "Metropol" zadzwonił Sam Martens i oświadczył, że futro zostało świetnie sprzedane i zrobiło wielkie wrażenie. Zrozumiały, że misja się powiodła.

Tuż przed wyjazdem Wiery wpadła, niezapowiedziana, ciotka Paulina Żemczugina. Była rówieśnicą Tamary Lwownej, a wyglądała na jej matkę. "Widać życie z Mołotowem nie jest łatwe" – pomyślała Wiera.

Żemczugina przyszła niby przypadkiem, podtrzymać więź rodzinną. Przyniosła ze sobą olbrzymią bombonierę "Sucharda" i francuski koniak:

– Boże! Jak ja dawno czegoś takiego nie jadłam! – wykrzyknęła Tamara Lwowna, obracając bombonierę z dwoma białymi kotkami na wieczku – C'est magnifique! – pogłaskała kotki ze smakiem i nabożnie otworzyła pudełko.

– Wiedziałam, że jako rasowa dama nie odmówisz tych burżuazyjnych przeżytków – zaśmiała się Żemczugina.

Ten ironiczny żart dziwnie zabrzmiał w jej ustach. Matka szybko zrobiła herbatę, podała konfitury i ciasto. Spokojnie siadły przy stole. Paulina pytała o Grigorija i życie we Władywostoku. Po koniaku rozluźniła się i dopiero wtedy wyjawiała właściwy cel wizyty:

– Wiatoczek wrócił wczoraj bardzo zdenerwowany. I kazał ci powtórzyć, żebyś pod żadnym pozorem nie mieszała się do tej sprawy, unikała jak ognia, bo to grozi... – zrobiła straceńczy gest i rozejrzała się niepewnie. – Nie wiem, o jaką sprawę chodzi

– dodała szeptem – ale ty ponoć wiesz – spojrzała na Tamarę.

Przez chwilę milcząc, jadła konfitury.

– Jedno jest pewne – podjęła znów – skoro Wiatoczka tak mówi, znaczy, jest źle. On nie jest panikarzem...

Tamara podziękowała i obiecała, że na pewno zastosuje się do tych rad.

– A warto – mruknęła Żemczugina. – Trudno Wiatoczce odmówić trzeźwości umysłu i piekielnej inteligencji. Nawet wrogowie mu to przyznają.

Po jej wyjściu w pełni doceniły ogrom niebezpieczeństwa:

– Jesteś w oku cyklonu, Wieroczka. Oni teraz na głowie stają, żeby wykryć, kto doniósł Amerykanom! Błagam cię! Uważaj! Zgubisz i siebie i Griszę...

Co prawda Tamara Lwowna nie wielbiła zięcia, ale w końcu on też był zagrożony. Wiera przysięgła matce, że nie będzie się narażać.

– Pamiętaj! Zrobiłaś i tak aż nadto dla tych Amerykanów – uspokajała jej sumienie.

Tuż przed odjazdem córki Tamara zapaliła świece i klękły przed starą ikoną. Wiera dawno nie modliła się głośno i teraz te proste słowa staro-cerkiewno-słowiańskie przyniosły jej wielką ulgę.

– Boże ize jesi na niebiesiech – szeptała wraz z matką.

Dużo spokojniejsza opuszczała Moskwę.

– Uważaj na siebie – Tamara Lwowna skreśliła znak krzyża na czole Wiery.

Były to ostatnie słowa matki, jakie usłyszała. Pociąg ruszył z wolna. Tym razem włókł się niemiłosiernie. Co chwila stawał i przepuszczał transporty wojskowe: "Czyżby znów wojna?" – zaniepokoiła się.

Żołnierze siedzieli na działach i z platformy machali do nich przyjaźnie:

– Dalej będą umierać za Stalina i Rosję, a jak któryś nie daj Boże straci nogę, to go wyrzucą z wagonu – pomyślała z goryczą.

Żołnierze ufni w swój los, zwycięsko, ze śpiewem ciągnęli na wschód.

\* \*

\*

Po przesłuchaniu u Kwarca Rick został wrzucony do łoży: Iwan Groźny nie odmówił sobie rozkoszy pastwienia się i podobnie jak Aronowi, jemu też wpuścił do towarzystwa swoich drapieżnych wychowanków.

Raz dziennie wrzucano mu pajdkę czarnego chleba i jednego słonego śledzia. Po tym chciało mu się strasznie pić, ale wodę wstrzymano. Tylko wieczorem dostawał pół kubka mętnej cieczy. Wargi miał spękane do krwi, język sztywny, obolały, brakowało mu śliny. Stał półzgięty, oparty o oślizłą ścianę. Gdy się osuwał, szczury rzucały się natychmiast z podwójną zaciekłością. Musiał się znów podrywać i opędać, bo zagryzłyby na śmierć. To ich bolesne szczurze kąsanie sprawiało jednak, że wciąż wracał do przytomności. Mówił głośno, żeby nie zwariować. Obrazy

mieszały mu się, rany paliły nieludzko. Powoli tracił rachubę czasu i wiarę, że kiedykolwiek stąd wyjdzie.

Pewnej nocy obudził go krzyk i szamotanina na korytarzu. Po chwili włączono "bąka", głośny wentylator doprowadzający powietrze do lochów. Normalnie włączano go tylko rano i wieczorem. Nigdy w nocy. Przywarł uchem do drzwi. Poprzez hałas wentylatorów usłyszał tupot podkutych butów, a potem mrozący krew w żyłach krzyk: – Niet!! – zmieszany niemal z hukiem wystrzału.

Inaczej wygląda śmierć w powietrzu. Pokonana wołą walki, pulsującą złością do wroga. Włosy zjeżyły mu się na głowie.

Wyłączono "bąka". Zapadła grobowa cisza. Długo jeszcze czatował przy drzwiach, z łomotem serca czekając, że wróca.

Dni i noce zlewały mu się w jedno. Ciemność stawała się nieskończonością. Gdy go wreszcie wypuszczono, nie wiedział gdzie jest. Światło korytarza było ostre jak rozżarzony nóż. Z bólu zamknął powieki.

Znów znalazł się w celi przesłuchań. Tym razem badał go nowy śledczy, świeżo przybyły z Moskwy. Był brutalny i chamski. Nie bawił się w ceregiele. Kiedy Rick nie odpowiedział, wstał i nagłym sierpem rąbnął Ricka w skroń.

Ocknął się obłany wiadrzem wody. Mokrego posadzono go na krześle. Oficer palił papierosy, uważnie przyglądając mu się zwięzonymi oczami:

– No, oskarżony O'Sullivan. Ostatni raz pytam. Będziecie mówić?!

Widząc, że Rick milczy, zaciągnął się głębiej papierosem:

– Pięknie. Sami chcieliście. Dotąd się z wami cackali, u mnie każdy śpiewa – pochwalił się i nacisnął guzik.

Do celi weszło dwóch strażników.

– Rozebrać go! – rozkazał – I rozciągnąć na posadzce...

Strażnicy zdarli z niego ubranie i usiedli na nim okrakiem. Jeden na nogach, drugi na szyi, przytrzymując całym ciężarem jego ręce:

– Teraz sobie pogadamy – śledczy stanął nad nim z grubą nahajką długości trzech stóp.

Rick nie spostrzegł nawet, kiedy zamachnął się i zadał mu raz w kość ogonową. Ból przeszył ciało i rozpękł się w mózgu. Był tak straszny, że sparaliżował nawet krzyk.

– Dwa, trzy, cztery – dobiegł go głos. – Będziecie mówić?

Ocknął się ponownie w karczerze. Leżał na brzuchu. Ciałem jego wstrząsały dreszcze. Miał najwyraźniej gorączkę. Był cały mokry. Spróbował się przewrócić. Rozległ się dziki skowyt, który był jego własnym krzykiem. Leżał jak porażony. Nie czuł nawet ukąszeń szczurów. Dopiero po dwóch dniach udało mu się wstać i oprzeć o zimne, śliskie ściany. Przyniosło mu to ulgę.

W nocy włączono "bąka". Tym razem kroki zatrzymały się pod jego drzwiami:

– No, to koniec – wyszeptał bezgłośnie.

W myślach pożegnał się z Betty i synem. Nie stawiał oporu. Nie wiadomo dlaczego przypomniał mu się nagle Japończyk z Tinianu.

Dwóch strażników skuliło mu ręce z tyłu i wyprowadziło z lochu. Powiedli go wąskim korytarzem do jakiegoś zaułka. Postawili pod ścianą. Była podziurawiona kulami i poplamiona krwią.

– O'Sullivan – usłyszał za sobą głos.

Odwrócił się niemal bezwiednie. Przed nim stał Gleb Maksymowicz w asyście Iwana Groźnego. Własenko trzymał w ręku pistolet.

– Słuchajcie dobrze. Waszą sprawą nie ja się już zajmuję. Zostaliście skazani na karę śmierci na mocy artykułu 58 paragraf 6 za szpiegostwo. Wyrok jest prawomocny i podpisany przez władzywostocką "trójkę"...

Wyjął z górnej kieszeni jakiś papier, na którym widniały trzy podpisy i duża okrągła pieczęć:

– Użyłem całego mojego autorytetu, żeby wam dać jeszcze jedną szansę. Jeśli natychmiast złożycie zeznanie i przerwiecie sabotaż śledztwa, mogę wstrzymać wyrok i przesłać do ponownego rozpatrzenia. Wybierajcie. Życie albo śmierć...

Zabrzmiało to jak strzał. Mimo tortur, upodlenia, bólu, na samym dnie duszy gorąco chciał żyć. Otwierał już usta, by przystać na warunki, gdy nagle usłyszał słowa ojca: "W życiu liczy się honor. I kark. I my O'Sullivanowie nigdy go przed nikim nie zginaliśmy..."

Ricka ogarnął spokój i całkowita jasność. Poczul, że wydobywa się z otchłani. Nie zareagował nawet, gdy usłyszał coś o żonie i synu. I nawet wtedy, gdy zawiązano mu oczy czarną wstążką. Nie przerażała go zakrwawiona ściana. Stał u progu nicości, z rezygnacją czekając na swój los.

– To wasze ostatnie słowo?

Nie odezwał się.

– Rozstrzelać – usłyszał głos Gleba Maksymowicza.

Szczęknął zamek. Iwan groźny zarepetował pistolet. Czas zatrzymał się w miejscu. Gruchnął strzał. Ale on dalej stał.

Po chwili rozległ się chamski rechot Iwana Groźnego: – Nie tak prędko, chuju. Jeszcze się trochę pomęczysz...

Dopiero teraz zrozumiał, że był ofiarą okrutnego żartu. Przeszedł przez najcięższą próbę. Spojrzał bestii w oczy. I wygrał. Kopniak, po którym stracił przytomność był tego najlepszym dowodem.

Ocknął się na swojej kojce, a Mario Lombardi podawał mu kubek zbożowej kawy. Był tak wyczerpany, że nie miał sił mówić. Ponaglany przez kolegów Popko wezwał Ilię Dmitrycza. Ten opatrzył rany Ricka, które zaczęły już ropieć i dał proszki od bólu głowy:

– I po co tak wojować? – rzekł ze współczuciem. – Mało to jeden w raj? – zrobił aluzję do śmierci Boba.

Rick leżał na brzuchu. Był spocony, miał rozpalone całe ciało. Chodziły po nim

muchy, które Barney cierpliwie spędzał monotonnym ruchem, a one jak samoloty z uporem lądowały dalej. Koledzy stanęli nad jego pryczą.

Ogarnęła ich rozpacz. Nie wyobrażali sobie życia bez tego twardego, upartego Irlandczyka.

\*

\*

\*

Dla Makarowa stało się jasne, że śledztwo utknęło w martwym punkcie. Więcej materiałów z lotników wycisnąć się nie da. Tego samego zdania była większość śledczych. Najbardziej doświadczeni z nich, Kwarc czy Gleb Maksymowicz, po cichu przyznawali mu rację. Makarow nie mógł tego powiedzieć wprost, naciski z Moskwy bowiem nie ustawały. Bał się, że kolejny więzień może mu lada dzień umrzeć.

Na własną rękę zakazał stosowania karceru, a gdy doniesiono mu o praktyce ze szczurami, wezwał osobiście strażnika Własenkę i udzielił mu nagany.

– Szczury zostawcie Chińczykom – pouczył go ostro.

Po wyjeździe Wiery nie wychodził prawie z biura i w domu był rzadkim gościem. Bez Wiery dom był pusty. Podlewał więc tylko kwiatki, tak jak obiecał, i po przyjściu walił się spać. Częściej nocował w biurze.

Było już dobrze po jedenastej, gdy zadzwonił telefon. Na linii był Abakumow. Grigorij z pierwszych słów odgadł, że stało się coś strasznego. Generał nie przywitał się nawet i z miejsca przeszedł na ty. Był wściekły.

– Na czele czego ja cię postawiłem? – pytał, a gdy Grigorij odparł, że na czele "Smiersza", wykrzyknął w szale:

– A ty coś z niego zrobił?! Raj! Raj dla szpiegów uczyniłeś! Pozwoliłeś wykraść z więzienia znaczek identyfikacyjny tego porucznika Fultona i przekazać go Amerykanom! Ja widziałem ten znaczek, Makarow – zagrzmiał groźnie. – Ty wiesz, co to znaczy?!

Grigorij nie próbował nawet wyjaśniać, wiedział bowiem, że to by jeszcze bardziej rozwścieczyło generała. W pokorze znosił atak.

W pewnym momencie Abakumow zmienił ton i nieco łagodniej zapytał: – A żona wasza na urlopie?

Makarow poświadczył.

– W Moskwie?

– Tak.

– No właśnie. W Moskwie – powtórzył z naciskiem.

Grigorij zadrżał.

– Wszystko więc jasne – rzucił krótko. – Ja jej jeszcze nie oskarżam, Makarow, i nie aresztuję, ale ty wiesz, że ja jestem pryncypialny. Jak trzeba, nikogo nie oszczędzam, jeśli mam dowody... Chyba, że ty mi dostarczysz lepsze. Udowodnisz, że twoja żona niewinna, a inna swolocz to zrobiła. Rozumiesz?!

– Jak najbardziej, towarzyszu generale – wyjąkał głucho.

– To się cieszę – odparł Abakumow i niespodziewanie zapytał o zdrowie więźniów. Makarow zbaraniał i nie wiedział co powiedzieć.

– Pewnie ich zamęczyłeś jak tamtego, co? Jednego utrupiłeś i teraz próbujesz innych. A co ja ci mówiłem?! – rzucił gniewnie.

Makarow nie chciał już przypominać, że sam generał kazał mu cisnąć bez względu na okoliczności.

– Masz ich wypuścić. Słyszysz?! – rozkazał krótko. – I doprowadzić do ładu, żeby wyglądali na ludzi. Jasne?!

– Wypuścić z więzienia? – powtórzył niepewnie.

– Oczywiście, że wypuścić – potwierdził generał – tylko ani na moment nie spuszczać z oka. I dziwię się, że dotąd nie wpadłeś na ten pomysł. Brak ci giętkości. I głębszego zrozumienia spraw międzynarodowych. A tak, skandal! Skandal! – rozwścieczył się znowu. – Jak ty mi w zębach nie przyniesiesz tego agenta... W zębach! – groził mu – to ja ci żonę każę na Kołymę posłać, a ciebie, ciebie... – generałowi nie starczało słów w złości.

– Masz trzy dni. Pamiętaj! – wściekle rzucił słuchawkę.

Makarow skamieniał. Chciał zapalić papierosa, ale nie mógł. Ręka odmawiała mu posłuszeństwa. Płomień wciąż gasł. W pierwszym odruchu chciał biec i ratować Wierę. Głównie chodziło mu o nią. O siebie prawie nie myślał. Widział ją już w areszcie i w dalekich śniegach Kołymy. "A może ona naprawdę zdradziła? – przeraził się – nie, nie. To bzdura – uspokoił się. – Ktoś to jednak zrobił. Tylko kto?! – zastanawiał się – I skąd ja mu wezmę agenta w trzy dni?! Przecież to nonsens... A może to pretekst?! – przeraził się – Szuka na mnie pretekstu?! – zdołał wreszcie zapalić papierosa i zaciągnąć się dymem. – Chce mnie wykończyć. Niewątpliwie – rozważał dalej. – Jak Sarnowa! – przypomniał sobie twarz swego poprzednika. – Wezwie do Moskwy i wykończy. Ślad po mnie zaginie – skonstatował ponuro. – Cóż za pułapka!"

Zabrzączał telefon. Makarow był pewien, że to znów Abakumow z okropną wieścią. Usłyszał jednak energiczny głos Lwa Spirydonycza, który chciał mu zdać raport z wyników dzisiejszego dnia. Grigorij słuchał tępo, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi. W popłochu widział go już za swym biurkiem i błysk olśnienia przeszedł mu przez mózg:

– No tak. To on. Nie na darmo Wiera go tak nie cierpiała. Odegrał się, gad.

Uzmysłowił sobie, że tydzień temu miał z nim ostrą rozmowę. Teraz automatycznie potakiwał swemu zastępcy. Dopiero jak Lew Spirydonycz wtrącił, że jeden z więźniów jest w ciężkim stanie i należy się liczyć z jego zgonem, ocknął się i zareagował. Przypomniał sobie rozkaz Abakumowa:

– Przeniesiemy go do naszej kliniki – wybąkał.

Lew Spirydonycz uznał, że się przesłyszał i powtórzył, że chodzi o pilota O'Sullivanana.

– No tak – wymamrotał Makarow. – Wszystkich ich przeniesiemy, żeby mogli

ewentualnie odlecieć...

– Rozumiem. Znaczą do nieba – zaśmiał się krótko.

– Jakiemu nieba?! Zwariowaliście?! Macie ich przygotować do wyjścia. Łaźnia, przegląd lekarski, nowe sorty. Kuchnia jak dla naszego aktywu. Zrozumiano?!

Lew Spirydonycz zaniemówił. Nie wiedział, kto tu zwariował.

– To niemożliwe – wybełkotał wreszcie. – A co z naszym śledztwem?!

– Nie ma śledztwa – uciał krótko Makarow. – Kogo innego będę pytał. I od was w pierwszej kolejności zacznę – rzucił groźnie.

Zdążył już ochłonąć i z ulgą przelewał złość na swego zastępcę. Po jego reakcji Makarow zorientował się, że Abakumow nie wprowadził Lwa Spirydonycza w przebieg sprawy, a więc jemu dał szansę wykrycia spisku. I Grigorij postanowił skorzystać z tej szansy.

Nigdy nie lubił swego zastępcy. Drażniła go jego pycha i brak skrupułów. Po trupach dążył do kariery. Ale tym razem się przeliczył: "Wciąż zarzucał mi zbyt łagodne traktowanie Amerykanów, i proszę?! Zbaraniał. Gdybym go słuchał, nie byłoby kogo przenosić" – pomyślał z satysfakcją.

Czuł jak przeraził swego zastępcę i to dodało mu sił.

Lew Spirydonycz zamilkł i zrobił się całkiem mały:

– Jutro porozmawiamy – dokończył. – Głową odpowiecie mi za ten skandal – z trzaskiem rzucił słuchawkę.

Telefon ten postawił go na nogi. Doszedł do wniosku, że nie wszystko stracone.

Do drzwi zapukał kierowca i przypomniał, że niedługo przyjeżdża pociąg z Moskwy. Z tego wszystkiego całkiem zapomniał o Wierze. Dotąd żył tą chwilą. Wczoraj wysprzątał mieszkanie i przygotował powitalną kolację. Kwiaty stały w wazonie, a prezent leżał na łóżku. Teraz nie miał sił nawet się cieszyć. Z niepokojem myślał, co jej powie.

Wstał od biurka i nalał kieliszek wódki. Wciąż nie mógł się pozbyć uczucia strachu. I osaczenia. Nerwowo spakował papiery i wrzucił do teczki. Czuł, że musi się ruszać, bo zwariuje.

Wezwał kierowcę i kazał się wieźć na dworzec. Tu znów chodził jak oszalały po poczekalni dworca, w zamyśleniu potrącając podróżnych. Ocknął go dopiero ochryply głos megafonu zapowiadający przyjazd pociągu z Moskwy. Z bijącym sercem wybiegł na peron. Z daleka ujrzał czarny kształt lokomotywy. W kłębach buchającej pary zbliżała się do niego nieubłaganie: "A jeśli jej tam nie ma?! I mnie zaraz wezmą?" – z trwogą rozejrzał się na boki. Nikogo podejrzanego nie zauważył, tylko tłum falował wzburzony. Pasażerowie machali radośnie z okien. Powoli zaczął się przeciskać do tylnego wagonu. Zatrzymany przez straż okazał legitymację. Przepuszczono go bez słowa.

Spojrzał w okna wagonu. Nikt na niego nie machał ręką. Wiery nie było. "Więc jednak?" – pomyślał i nogi ugięły mu się w kolanach. Znieruchomiał.

Nagle w drzwiach wagonu ukazała się postać żony. Rzucił się jak szalony:

– Wieroczka! – gwałtownie porwał ją w ramiona. – Jesteś! Jesteś! – szeptał, jakby nie wierząc własnemu szczęściu. Łzy radości napłynęły mu do oczu.

Wszyscy pasażerowie dawno wyszli, a oni stali na peronie przytuleni jak para narzeczonych.

– Co z tobą? Grisza? – zapytała wreszcie wzruszona tym nagłym wybuchem męża.

– Nic, nic – powtarzał bezwiednie, z tkliwością gładząc ją po twarzy. W głowie huczała mu, dudniąc jak koła pociągu, tylko jedna jedyna myśl: "Muszę wykryć tego agenta. Muszę. Muszę. Nie mogę jej przecież stracić..."

Wiera patrzyła na niego zdziwiona. Mimo wszystko nie przypuszczała, że Grisza przez jeden miesiąc mógł się aż tak za nią stęsknić.

## XXXVII

– Richard Oscar spożywa właśnie lunch – oznajmił godnie Fitzgerald, dając do zrozumienia Dawidowi, że będzie musiał chwilę poczekać, bo Betty karmi dziecko.

Dawid rozgościł się w salonie i czekał cierpliwie na koniec lunchu.

Przyszedł powiedzieć Betty o spotkaniu z Heathem. Miał dobre nowiny i jej pierwszej chciał powiedzieć. Radość Betty musi jednak zaraz zatruć wiadomością o śmierci Boba.

Próbował sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby musiał teraz mówić o śmierci Ricka. Trudno się było oszukiwać. Heath miał rację. "Powrót kapitana O'Sullivana nie leży w moim interesie. Jest moją klęską. I nawet rola pocieszyciela mi nie zostanie" – kpił z siebie bezlitośnie, wolno wyjmując fajkę.

Te posępne myśli przerwało swobodne wejście Betty. Wesoło przytuliła twarz na powitanie do jego policzka, odgarnęła z czoła pęk włosów i spytała czego sobie życzy.

– Najchętniej ciebie – odparł z prostotą – albo... coś zimnego, na ostudzenie – przesadnie wydmuchał kłęb dymu.

Przygotowała mu drinka. Usiadła w fotelu i podwinęła nogi. Oparła głowę na dłoni.

Gdy Betty siedziała tak tuż przy nim, rozterki mijały – znów był szczęśliwy. Ujął dłoń Betty i spytał niespodziewanie:

– Czy jak Rick wróci, zechcesz mnie jeszcze widzieć?

– Co za pytanie? – odparła zdziwiona. – A skąd ci to przyszło do głowy?

Wtedy uroczyście powiedział to zdanie, które dawno miał przygotowane, czekał tylko na właściwą chwilę.

– Wiedz zatem, że on żyje i jest w Rosji, kochanie...

– Nie?! – spojrzała na niego nie wierząc.



– Tak! – potwierdził. – I mam na to dowody...

Betty rzuciła mu się na szyję:

– Kocham cię, Dawid! – krzyknęła i wycisnęła na jego ustach gorący pocałunek. Radośnie wtuliła się w niego, przywarła mocno, tak że czuł teraz każde uderzenie jej serca. Oczy nie widziały nic. Spazm szczęścia wstrząsnął ciałem.

Dawid skorzystał z okazji i odpłacił jej równie gorącym pocałunkiem, który wcale nie był taki braterski. W szale radości nie spostrzegła go nawet. Wszystko poszło na rachunek odnalezionego kapitana O'Sullivana.

Gdy nieco oprzytomniała, pospiesznie zaczęła pytać o szczegóły. Musiał dwukrotnie powtarzać rozmowę z Heathem i dokładnie cytować treść depechy Harrimana.

– Boże! Więc żyją! Żyją! – wykrzykiwała.

Dawid nie miał sumienia psuć jej tego święta i postanowił nieco odczekać. Wyczuła jednak coś i nagle spytała:

– A Bob?! Co z Bobem?!

Gdy zwlekał z odpowiedzią, szepnęła bezwiednie:

– Nie żyje?

Dawid przytaknął.

– Zmarł ósmego maja. W dniu zakończenia wojny z Niemcami... – dorzucił.

– A Kate? Wie?

– Nie sądzę – odparł wstrzemięźliwie. – Nim przyjdzie oficjalne powiadomienie, to jeszcze potrwa. Chyba, że jakiś nadgorliwiec się z tym wyrwie...

– Niemniej ktoś to musi zrobić. I lepiej już jak my niż urzędowy druk. Szok będzie zbyt wielki. Kate może to jakoś przetrzyma, ale rodzice, szczególnie matka. Wolę o tym nie myśleć...

Betty wstała i naląła whisky:

– Już teraz nie chce się jej żyć – mówiła dalej o Mary Fulton. – A co potem? Po prostu przestanie wstawać z łóżka...

Zaczęli się naradzać, jak najmądrzej złagodzić ten cios i wszystkie wyjścia były jednakowo złe. W takich wypadkach nie ma dobrych.

– No, popatrz. Rick żyje, a on nie. Straszne. Nie wiadomo, co powiedzieć. Głupio...

– Nie przesadzaj! Nie twoja wina. Los tak chciał – tłumaczył.

– Los! Wiesz, co ona teraz poczuje?! Tak zazdrościła mi dziecka. Nawet dziecko jej po Bobie nie zostanie...

– Może i lepiej. Ból nie trwa wiecznie. Kate jest młoda. Ułoży sobie jakoś. Gorzej z matką...

– Nie wiem. Nie wiem – krążyła bezradnie. – Kate załatwiła to spotkanie z

generałem Vaughmem, który ma towarzyszyć prezydentowi Trumanowi do Europy...

– Spotkanie jest dalej aktualne – upewnił ją.

– Nie dla niej. Po śmierci Boba straciło sens – zapaliła papierosa.

– Ale inni żyją. Interwencja prezydenta tym bardziej jest potrzebna, skoro wreszcie odnaleźli się. I są w areszcie – argumentował.

– Nie musisz mnie przekonywać. Chodzi mi o Kate. Co ona czuje – z rozpaczą wzruszyła ramionami. Bezwolnie opadła na fotel.

Ostatecznie ustalili, że Betty ostrożnie zawiadomi Kate, a potem wspólnie będą przygotowywać powoli Mary Fulton do przyjęcia tego straszliwego ciosu.

Stało się jednak inaczej. Nazajutrz nagle zjawiła się Kate. O wszystkim już wiedziała. Betty przeraził spokój przyjaciółki. Kate nie płakała. W czasie rozmowy nie uroniła ani jednej łzy. Mówiła niechętnie, odpowiadając jedynie na pytania. Na widok małego Ricka stężała jakby.

Betty szybko wyniosła dziecko. Kiedy podsunęła jej myśl, żeby gdzieś wyjechała, Kate zaprzeczyła głową i sama zaczęła mówić o spotkaniu z generałem Vaughmem.

– Łatwiej mi będzie prosić. Jako wdowie – rzuciła sucho. – Kiedy nie mam już własnego interesu – poprosiła o szklankę wody i połknęła garść jakichś proszków.

Betty przestraszyła się, że Kate chce popełnić samobójstwo.

– Nie bój się. Jeszcze nie teraz – odparła, jakby odgadując jej myśli. – Może potem. Kiedy sprowadzę zwłoki Boba do kraju. To teraz najważniejsze. Dobrze też – westchnęła głębiej – że przynajmniej ta straszna śmierć Boba stała się znakiem życia dla innych. Teraz nie mogą zaprzeczać, że tam ich nie ma. W tej Rosji – dodała z uśmiechem.

Betty odczuła to jako wyrzut. Z rozpacz rozplakała się, co było tym gorsze, że Kate stała przed nią z suchymi oczami. Jakby nie ona była wdową. Patrzyła tylko dziwnie. Błaznawym, zimnym wzrokiem. Po chwili niespodziewanie oświadczyła, że musi już wyjść. Nie zgodziła się, żeby Betty ją odwiozła.

– Wolę być sama – oznajmiła – wtedy mogę swobodnie z nim rozmawiać – zwierzyła się z dziwnym błyskiem, w którym Betty dostrzegła cień czegoś dziwnego.

W trzy dni później Kate wraz z ojcem, Irwinem Stanfordem, spotkała się z generałem.

Henry Vaughm był wesołym, rubasznym człowiekiem, który kochał życie i życie jego kochało. Był znakomitym kompanem i Harry Truman miał do niego słabość jeszcze z czasów I wojny światowej. Dużo i chętnie z nim przebywał. Wypoczywał w jego towarzystwie.

Na widok młodej, surowej wdowy generał spochmurniał i stracił swój zwykły humor. Z powagą wysłuchiwał jej przejmującej opowieści. Nawet przestał pić wino. Wyjął kartkę i notował ważniejsze fakty. Ta piękna, młoda wdowa prawdziwie go wzruszyła. Sam był na froncie i znał wojnę. Jej słowa trafiały mu do serca:

– Mój mąż zmarł w maju. Dziś jest lipiec. Jak długo wytrzymają?! Są wciąż w

więzieniu...

Generał przyrzekł, że zrobi wszystko, aby przypomnieć prezydentowi o całej sprawie, zarówno w podróży, jak i na miejscu w Berlinie.

– Dziękuję, panie generale – mruknęła cicho Kate i ku jego najwyższemu zdumieniu nagle pocałowała go w rękę. Wyrwał ją zmieszany. Było w tym coś przerażającego. Obydwaj mężczyźni spojrzeli po sobie. Kate chrząknęła i dodała:

– Przepraszam. Czasem nie wytrzymuję. Bo to tak boli, tak strasznie boli.

Generał Vaughan dotrzymał słowa. Płynąc od siódmego lipca krążownikiem "Augusta" do Europy, nie zapomniał o prośbie młodej wdowy. Korzystając z pięknej pogody i wspólnego leżakowania na pokładzie, wrócił do tej sprawy. Prezydent znał z depeszy Harrimana i rozmów z sekretarzem stanu najnowsze relacje o sytuacji lotników. Jednak gdy usłyszał je z ust zawsze pogodnego, a teraz tak wzburzonego przyjaciela, stały się tragedią bliską i przejmującą.

– Nie można się tak dawać, Harry – agitował prezydenta generał. – Przecież oni igrają sobie z nami jak kot z myszką. To nasi chłopcy, do cholery! Żebyś ty widział tę dziewczynę... Ona mnie w rękę pocałowała...

Truman wstał z leżaka. Poprawił kapelusz i wolno podszedł do balustrady. Przechylił się mocno za burtę:

– Poruszę to ze Stalinem – oświadczył krótko, a jego ptasi profil stał się jeszcze ostrzejszy. – Czasem w takiej małej sprawie przegląda się sens życia. I wszystkich naszych działań – spojrzał w głąb oceanu, obserwując jak przecinana przez dziób okrętu fala układa się w dwa spienione skrzydła.

## XXXVIII

Nazajutrz po przyjeździe Wiera miała jeszcze jeden dzień wolny i Grigorij zaproponował, żeby się przeszli rano po parku. Kierowcę zamówił później. Wiera domyśliła się, że chce jej powiedzieć coś ważnego, a w domu się boi.

W parku o tej porze było pusto, tylko gdzieniegdzie młode matki spacerowały wolno z wózkami.

Makarow poprowadził żonę w boczną aleję. Upewniwszy się, że nikt ich nie śledzi zaczął szybko:

– Wieroczka. Stała się rzecz straszna – wyszeptał z rozpaczą. – Ktoś zdradził. Doniósł o lotnikach. I przekazał Amerykanom dowód...

– Jaki?

– Numer identyfikacyjny porucznika Fultona. Znak, że tu był. I umarł. Ty chyba tego nie zrobiłaś?

Wiera wzruszyła ramionami.

– Nie mogłaś tego zrobić. Wiem – odetchnął z ulgą. – Niemniej podejrzenie pada na ciebie. Musisz sobie z tego zdać sprawę... Musisz. Dopóki nie wykryję zdrajcy, jesteś bezpośrednio zagrożona. Mogą cię obserwować. Mnie zresztą też – nerwowo rozejrzał się i urwał na widok zbliżającego się żołnierza, który mijając ich

zasalutował wzorowo.

– Wielkie szczęście – ciągnął dalej – że nie wykonałem do końca dyrektyw Moskwy i na własną rękę złagodziłem reżim. Dzięki temu można teraz wszystko odkręcić...

– Co?

– Przenieść ich w lepsze warunki – wyjaśnił krótko.

– To coś nowego? – zdziwiła się, z trudem maskując radość.

– W rzeczy samej – przyznał cierpko. – Mała rewolucja. Ale nie ma się z czego cieszyć – zastrzegł z góry. – Dla nich lepiej, dla nas gorzej – przyciągnął żonę bliżej i szepnął do ucha: – Abakumow szaleje! Jak nie znajdę szpiega, to będzie naprawdę źle...

Wiera nie miała złudzeń, że do tego szaleństwa mocno się przyczyniła. Była już bliska wyznania wszystkiego, ale się powstrzymała. Wiedziała, że byłby to dla niego wielki cios. Uznałby to za zdradę ojczyzny. Wychowany w ślepej wierze przeżyłby moralny wstrząs. Może by ją wydał? Kto wie? Wydał, a potem sam się zastrzelił? Naprawdę nie wiedziała, jakby postąpił. Instynkt podpowiadał jej tylko, że lepiej milczeć.

Mimo wewnętrznego strachu odniosła dziwną satysfakcję, że oto ona, jakaś tam Wiera Andriejewna, dokonała takiego trzęsienia ziemi na samych szczytach. "A więc można – pomyślała. – Tylko ludzie się boją. Mama ma rację..."

Uspokojony zachowaniem żony, Makarow nie wracał już do tej sprawy. Powoli wyszli z parku.

Wiera bardzo chciała zobaczyć Ricka, ale w tej sytuacji byłoby to szaleństwo. Zajęła się gruntownym sprzątnięciem mieszkania.

W biurze Makarow natychmiast wezwał swego zastępcę. Widząc jego pokorę, mimo zgryzot, Grigorij uśmiechnął się do siebie. Lew Spirydonycz nigdy nie był tak przerażony i Makarow postanowił go jeszcze bardziej przerazić. Powodów miał wiele. Przede wszystkim chciał go wyłączyć ze śledztwa. Jego obecność mogła niebezpiecznie zagrozić Wierze. Zbyt dobrze znał nadgorliwość swego zastępcy i przesadną czujność. Wolał się sam tym zająć, a jego energię skierować na inne tory. W tej trudnej sytuacji zyskał nagle nad nim wielką przewagę. Lew Spirydonycz bowiem był zawsze zajadłym zwolennikiem twardej linii, a teraz Makarow miał w rękę silną kartę. Rozparł się więc pewnie za biurkiem i, wciąż trzymając na baczność swego zastępcę, rozpoczął groźnie:

– No, gratuluję ci, Spirydonycz! Krzyczałeś, że mało cisnę Amerykanów. Więcej chciałeś. Raporty na mnie pisałeś, co? Przyznaj się!

– Ależ skąd?! Grigorij Wasiliewicz?! – zaprzeczył gorąco struchlały Lew Spirydonycz.

To gorące zaprzeczenie jeszcze bardziej utwierdziło Makarowa, że ma rację. Wolno wycedził przez zęby:

– A więc wiedz, mój sokole, że gdybym się ciebie posłuchał, to dziś obydwu nas generał Abakumow kazałby rozstrzelać za nadużycie władzy, a tak szczęśliwie może skończy się na tobie...

Po tym oświadczeniu Lew Spirydonycz przestał przypominać nie tylko dumnego stalinowskiego sokoła, za jakiego się dotąd uważał, ale nawet zwykłego wróbla, bo zwykły wróbel miał w tej chwili więcej hartu w oku niż zastępca komendanta "Smiersza" we Władywostoku.

– Ja wiem – znęcał się nad nim dalej Makarow – że byłeś w zмовie ze strażnikami i chciałeś wszystkich Amerykanów wykończyć. Udało ci się tylko Fultona. I będziesz teraz za to odpowiadał, bo Moskwa chce mieć ich wszystkich żywych. Zrozumiałeś?!

– Tak jest, Grigorij Wasiliewicz – potwierdził błady jak ściana Lew Spirydonycz.

Makarow wolno wstał zza biurka i podszedł do wyprężonego zastępcy:

– Daję ci ostatnią szansę, Spirydonycz – dotknął niemal jego munduru. – Masz się nimi zająć tak, żeby szybko stanęli na nogi. W razie czego możesz korzystać z naszych rezerw i Komitetu Miejskiego partii. Mają wyglądać jak ludzie. Bardziej chorych kurować w naszej klinice, pozostałych przenieść do willi "Słońce Kaukazu"...

– Już to zrobiłem – doniósł z ulgą Lew Spirydonycz.

– I robić dalej. Jutro sam sprawdzę – pogroził mu palcem, dając znak, że rozmowa skończona.

Lew Spirydonycz wypadł jak z procy. Makarow uśmiechnął się zadowolony. Wiedział, że lepszej niańki dla Amerykanów nie znajdzie. Był teraz pewien, że przerażony Lew Spirydonycz własną piersią gotów ich karmić, byle tylko raczyli się poprawić.

\*

\*

\*

Ilia Dmitrycz przerażony stanem Amerykanina i nauczony historią jego poprzednika na własną rękę przeniósł Ricka na izbę chorych. Kapitan był skrajnie wyczerpany. Na plecach i pośladkach utworzyły się czyraki wielkości śliwki, z których ropa ciekła jak z tuby. Ilia Dmitrycz miał na to tylko maść ichtiolową. Wiedział, że pomoże ona tyle co umarłemu kadzidło, był jednak bezsilny. Do tego więzień stracił zupełnie chęć do życia. Nie odpowiadał na pytania. Najwyraźniej wydawało mu się, że wciąż jest przesłuchiwany, uparcie mrucał: nie, nie. Nic nie powiem!

Doktor po cichu przepisał mu zupeł dla personelu i wystąpił do kierownictwa o wkładkę mięsną. Naczelnik więzienia Gromkin przestrzegł go po koleżeńsku: – Uważaj Ilia. Tu nie pensjonat. Nie usiłuj zmieniać przepisów. Umrze to umrze. Trudno...

Po tej przestrodze Ilia Dmitrycz zrezygnował z dalszej walki.

Siedzący w celi Amerykanie całkiem zwątpili. Byli pewni, że Rick podzieli los Boba.

– Ciekawe, który następny? – zagadywał ponuro Glenn – Wszyscy tak skończymy. Zobaczycie. Może jedynie ten ciul Regis się uchowa – krakał uparcie.

– To idź do niego! – zdenerwował się Stan Hudson.

– Sam idź, kurwa – odgryzł się Glenn i z rozpaczy zaczął robić przysiady.

– Wykuca się, to mu przejdzie. A swoją drogą nudnik ten Borsuk to jest – przyznał Aron, patrząc na ćwiczenia skwaszonego osiłka.

Jedyną pociechą, i pewną zmianą na lepsze, było to, że od pewnego czasu przestali ich przesłuchiwać:

– Sprzykrzyły im się nasze buźki – skomentował to Aron, ale i jemu powoli przeszła ochota do żartów.

Ze strachem rozpamiętywał słowa Mongoła, które często powtarzał w śledztwie, patrząc na niego swymi skośnymi, wytrzeszczonymi oczami:

– Pożyć, to ty może pożyjesz, Kaplanowicz, ale pojechać to nie pojedziesz. Odechce ci się...

Aron ze zgrozą stwierdził, że Mongoł miał rację. W jego słowach odbiła się głęboka mądrość Wschodu. Nawet sliczne Kubanki, Lucilla i Inez, nie nawiedzały go już więcej we śnie. Przestały się nim interesować. A on nimi też. Co gorsza Aron przestał się interesować sobą. Nie oglądał się nawet w dnie miski.

– To już śmierć – skonstatował. – Skoro piękna płeć nie bawi mnie tyż, znaczy umieram – głucho bębnił palcami po wystających żebrach. – Zachciało się Żydowi latać samolotem. To i ma. Paratyfus i wroga ludu. Zamiast spokojnie latać spodnie z tata, biednym krawcem mężczyźnianym, to ja... Ech, tate, tatele. Gdzież tyś jest?

Oddychali ciężko, dyżurując przy szparze w oknie. Tylko monotonne mruczenie Ricka przerywało tę ciszę. Miał gorączkę i tak jak Bob majaczył.

Nagle drzwi celi otworzyły się i do środka wszedł Iwan Groźny i dwóch nieznanych mężczyzn. Zerwali się odruchowo, ale jeden z przybyłych powstrzymał ich łagodnie: – Nie trzeba. Siadajcie – i szepnął coś do Własenki.

Iwan Groźny przestał być groźny i zakomunikował im przez tłumacza:

– Proszę spakować rzeczy, panowie Amerykanie i udać się za mną. Idziemy do łaźni...

Mężczyźni wycofali się na korytarz rażeni smrodem celi. Kuzmicz poderwał się również.

– Ty co? Amerykaniec?! Won na miejsce... – osadził go Iwan krótko.

Wszystko razem wyglądało nad wyraz podejrzanie. Nigdy przedtem o tej porze nie wiedli ich do łaźni. Pakowanie też nie było dobrym znakiem. Przywykli do zmian na gorsze i z niepokojem wietrzyli podstęp:

– Nic tylko nas rozwałą. A przedtem każą umyć nogi – zakpił ponuro Stan.

Prosilili Arona, by wybadał nieco Własenkę, ale ten na wszystkie pytania odpowiadał tak samo uprzejmie:

– Chuj wie, panowie. Naprawdę nie wiem – i ten "chuj" brzmiał nutą największego zatroskania.

Całym swoim zachowaniem Iwan sprawiał wrażenie, jakby chciał zmasać

wszystkie swoje dotychczasowe grzechy. Nie tylko nie wrzeszczał i nie poganiał, ale nawet niektórym pomagał zbierać rzeczy, co zakrawało już na mały obłęd.

– Obywatelu Iwan. Pan jesteś coś zbyt grzeczny – bąknął zszokowany Aron.

– Co robić – wyjaśnił z gracją strażnik. – Chujem drzewa nie przerąbiesz – i w wymuszonym uśmiechu pokazał dwa żelazne zęby.

Aron podejrzewał, że albo strażnik zwariował, albo wujek Łazar ponownie przyjął go na łono rodziny. Pachniało to bowiem wysoką protekcją.

W rezultacie wylądowali nie w ohydnej norze, gdzie z kranów ledwie kapą, ale w prawdziwej łaźni z prysznicami i ciepłą wodą. Przed wejściem łaźiebny w białym kitlu podał im czyste ręczniki i pachnące, toaletowe mydło, którego nie widzieli od czterech miesięcy. Łaźnia była bosko nagrzana parą:

– Santa Madonna! – wykrzyknął Mario. – To chyba nie dla nas?!

I nie mylił się, łaźnia przeznaczona była wyłącznie dla personelu więziennego.

Z radością weszli pod prysznic. Skóra, domywana z warstw brudu wżartego jak rdza, bolała nieludzko, szczególnie tam, gdzie natrafili na wrzody i stany zapalne. Trudno to było odskrobać. Mydło odbijało się od odstających kości. Z przerażeniem oglądali swoje nędzne, żalosne ciała. Nawet potężny Glenn przypominał zwiędły cień dawnego Borsuka. Skóra wisiała na nim jak na nosorożcu. Pomarszczona i stara.

Nikt ich nie poganiał. Mogli się pławić do woli w ciepłej wodzie. Dawno nie przeżywali takiej rozkoszy. Z błogością zamykali oczy i poddawali się rajskiej strudze prysznic.

Po wyjściu ten sam łaźiebny podał im śnieżnobiałą bieliznę i płaszcze kąpielowe. Pomaszerowali w nich do sąsiedniego pomieszczenia, w którym magazynier zaczął im zwracać ich własne mundury i inne skonfiskowane rzeczy. Wszystko było świeżo odprasowane, a bluzy prosto z pralni. Nawet buty błyszcząły przykładnie:

– Wygląda, że szykują nas do defilady – zażartował Stan.

Bez sprawdzania machinalnie podpisywali odbiór. Tylko Aron, widząc, że magazynier pcha mu coś bez wskazówek zamiast jego zegarka, zaprotestował ostro. Oświadczył, że nie podpisze.

– Co ty?! Nie widzisz, że zegarek – zdziwił się magazynier.

– Może i zegarek, ale nie mój. Mój był szwajcarski marki "Omega", a ten Szwajcarii nawet nie widział...

– Oj, Amerykaniec, nie grymaś. Bierz jak dają – przekonywał go magazynier.

– Będę musiał zapodać, żeś mi ukradł – rzekł spokojnie Aron.

Do rozmowy wtrącił się Lew Spirydonycz, który właśnie wszedł skontrolować przeprowadzkę więźniów. Zorientowawszy się w sytuacji, groźnie syknął przez zęby:

– Dawaj co masz, swołocz, bo zastrzelę...

Przerażony magazynier poleciał na zaplecze i za chwilę wyłożył na stół garść drobiazgów, wśród których był nie tylko złoty zegarek Arona, ale i portmonetka

Stana, pamiątkowy sygnet Barneya i zapalniczka Mario. Wertując uważnie protokół, Aron mruknął do kolegów:

– No proszę. I złodzieja można nauczyć uczciwości też. Byle dokładnie wytłumaczyć. Sygit, towarzyszu. Okay. Teraz jesteśmy kwita – i z rozmachem złożył swój podpis. – Kochajmy się jak bracia, liczymy się jak Żydzi – pouczył jeszcze na koniec struchlałego magazyniera.

W zwróconych mundurach było ich o połowę mniej. Mieli uczucie, jakby sami wisieli na wieszaku. – Tak nas przeniecowali, że mój tatuś w zwężaniu spodni miałby spory ruch – dorzucił znowu Aron.

Czystych i przebranych przewieziono do kliniki MWD, gdzie poddano ich natychmiast szczegółowym badaniom lekarskim. Przepisano im zastrzyki i lekarstwa. Następnie wsadzono znów do autobusu i wywieziono za miasto.

Po dłuższej podróży zajechali przed luksusową willę, na której widniał napis "Słońce Kaukazu". Aron zaraz im przetłumaczył nazwę. Przy bramie wartownik oddał im honory wojskowe. Wprowadzeni zostali uprzejmie przez oczekujący ich personel. Każdemu przydzielono oddzielny, elegancki pokój. Poczuli się jak w pensjonacie. Tą zmianą poruszeni byli do głębi.

Ledwie się rozlokowali, a już rozległ się gong wzywający na posiłek. Z ciekawością zbiegli na dół.

W przestronnej jadalni ujrzeni najpierw na ścianie olbrzymi obraz z górami Kaukazu i domem w Gori, przed którym stał młody Stalin, dopiero potem uroczyście nakryty stół. Z uśmiechem poproszono ich o zajęcie miejsc.

Lew Spirydonycz w imieniu gospodarzy powitał ich serdecznie i życzył miłego wypoczynku. Mały, bystry tłumacz, którego dotąd nie znali, tłumaczył wszystko zwięźle. Nie padło ani jedno słowo przeprosin czy choćby wyjaśnień. Zupełnie tak, jakby dziś przyjechali w gości.

Po tym dziwnym przemówieniu kelnerki, ubrane w gruzińskie stroje ludowe, zaczęły roznosić potrawy.

– Jezuu! Skonam! – jęknął na widok prawdziwej polędwicy zgłodniały Borsuk.

– Uważaj, żebyś nie wykitował naprawdę – przestrzegł go Stan. – bo kichy masz jak bibułka. Radzę powoli zacząć od chlebka.

Nie każdy miał jednak jego wolę.

Bardziej może od tego wspaniale zastawionego stołu cieszył ich wiew wolności. Wpadał wesoło, w szumie zielonych drzew przez te jasne, niezakratowane okna, pełen nadziei.

Kelnerki uśmiechały się do nich zalotnie i zerkały obiecująco:

– Gewalt – westchnął Aron. – Zol ich azoj gesund zajn – i odruchowo poprawił dawno zaniedbany przedziałek. – Da Bóg, że Mongoł się pomylił. I ja jeszcze te siksy... – z otuchą spojrzął na rozłożystą blondynkę, która właśnie wносиła zupę.

Z rozkoszą żując bułkę z szynką, Kaplanowicz poczuł, że dobry Jehowe (Bóg) z wolna przywraca go do życia.



## XXXIX

Jakież było zdziwienie Ilji Dmitrycza, gdy do jego skromnej izby chorych wpadł naczelnik więzienia Gromkin i zdenerwowany zawołał:

– Jak tam Amerykanin?

Doktor bez słowa wskazał leżącego Ricka.

– A mówiłem karmić! Karmić, kurwę! Mięso dostał?!

Ilia Dmitrycz wybałuszył wodniste oczy i nim zdążył odpowiedzieć, Gromkina już nie było. Po chwili wrócił, prowadząc z szacunkiem zastępcę komendanta "Smiersza" w asyście młodszego oficera. Lew Spirydonycz surowo zapytał o stan chorego. Gdy Ilia Dmitrycz dawał niejasne odpowiedzi, kazał wezwać karetkę i natychmiast przewieźć pacjenta do szpitala:

– Trudno by wyżył w waszej umieralni – oświadczył cierpko, z pogardą lustrując żalosse wnętrze gabinetu doktora. Wkrótce dwóch sanitariuszy wyniosło Ricka do karetki i na sygnale odwiozło do lecznicy MWD.

Kapitan był tak osłabiony, że nie wiedział, co się z nim dzieje. Chwilami tracił świadomość.

Kiedy Rick z honorami opuścił więzienną izbę, naczelnik Gromkin otarł pot z czoła i zwrócił się do doktora:

– No, Ilia. Nie chciałbym być w twojej skórze, jak ten as umrze. I mnie się przez was dostało – dodał z wyrzutem, tak jakby nie on zabronił dawać mięso i nie ostrzegał, że więzienie to nie pensjonat. Ilia Dmitrycz nic już nie rozumiał. W duszy przeklinał tylko tych Amerykanów:

– Czort ich nadał, cudzoziemców! Żyją źle, umrą jeszcze gorzej. O ileż prościej z naszymi radzieckimi obywatelami – myślał z goryczą.

Wydawało się, że burza szczęśliwie minęła, a tu zjawił się znów Gromkin, tym razem w towarzystwie samego komendanta "Smiersza". Makarow uśmiechnął się do niego i poprosił o chwilę rozmowy. Ilia Dmitrycz omal nie zemdlał. Błady z przerażenia, wprowadził go do swego gabinetu i wskazał miejsce przy biurku. Komendant wolał usiąść w dentystycznym fotelu. Mimo że był nadzwyczaj miły i zapewniał, że rozmowa ma charakter czysto prywatny, doktor nie mógł opanować drżenia powieki i zamiast cukru z wrażenia podał sól do kawy. Znał te rozmowy i wiedział, czym się kończą.

Makarow ciekawie rozglądał się po wnętrzu i niewinnie zapytał, czy tu właśnie operowany był Amerykanin.

– Zaczyna się – drgnął lekko Ilia Dmitrycz. – Teraz się już nie odcepią – stwierdził w rozpacz.

W popłochu uświadomił sobie, że w zabiegu brała udział żona Makarowa i komendant doskonale wprowadzony jest w sprawę. Specjalnie ją pewnie nasłał. W panice zaczął tłumaczyć, że nie on robił operację.

– Wiem – odparł Makarow. – Wszystko wiem... Jesteście zapewne niewinny...

To jeszcze bardziej przeraziło doktora.

– O tego lekarza mi właśnie chodzi – ciągnął serdecznie. – Co możecie o nim powiedzieć – wyjął paczkę "Trojki" ze złotym munsztukiem.

Ilia Dmitrycz w zasadzie nie palił, ale nie śmiał odmówić temu gestowi tak wielkiej łaskawości, tym bardziej że Makarow sam podał mu ogień. Wziął więc papierosa, zaciągnął się niewprawnie.

– Garmontow znany lekarz. Ceniony...

– To wiem – przyznał Makarow – Chodzi mi o szczegóły. Czy przed operacją Amerykanin miał na szyi taką blaszkę? Znaczek identyfikacyjny – spojrzał na doktora uważnie. – Przypomnijcie sobie...

Ilia Dmitrycz nie musiał sobie przypominać. Pamiętał świetnie:

– Miał. Oczywiście. Na takim łańcuszku. Przed operacją dał ten medalik Markowi Gawryłowiczowi – poświadczył skwapliwie – Garmontowowi, znaczy się...

– Jesteście pewni?

– Tak jest. Mark Gawryłowicz wziął tę blaszkę i schował do kieszeni. Pamiętam to jak dzisiaj. Zaraz potem Wiera Andriejewna podała narkozę...

– No tak. No tak. Świetnie – przerwał mu Makarow i pospiesznie dopił kawę. Serdecznie uściśnął dłoń. Wyraźnie był zadowolony.

– Wasze świadectwo jest niezwykle ważne – oznajmił. – Nawet nie wiecie jak – i poprosił, aby do wyjaśnienia nic nikomu nie mówił. – Pod żadnym pozorem – ostrzegł go surowo. Ilia Dmitrycz ani myślał to robić, szczęśliwy z tak pomyślnego zakończenia sprawy.

Wychodząc z gabinetu, Makarow doszedł do wniosku, że towarzysz Stalin jednak miał rację. Nie na darmo nawołuje do czujności:

– Taki solidny lekarz. I proszę...

Grigorij nie miał wątpliwości, że wpadł na właściwy trop. Kłopot polegał tylko na tym, że ten trop przebiegał niebezpiecznie blisko Wiery.

Zaraz po przyjściu do biura kazał natychmiast zatrzymać lekarza. Zlecił, by zrobiono to dyskretnie, najlepiej nie w szpitalu.

Tymczasem Mark Gawryłowicz nagle wezwany został do oddziału zamkniętego kliniki MWD w sprawie świeżo przywiezionego Amerykanina. To był już drugi Amerykanin, z którym się zetknął. Ten jednak był w dużo lepszym stanie. Poza ostrą flegmoną, skrajnym wyczerpaniem i lekkim zapaleniem płuc nic nie stwierdził. Życiu pacjenta nie zagrażało bezpośrednio niebezpieczeństwo:

– To nie tamten nieszczęśnik – przypomniał sobie operowanego pilota. Do dziś z przykrością o tym myślał. Mimo że nie czuł się winny, jakiś wielki wyrzut sumienia prześladował go ciągle. Tym bardziej ucieszył się, widząc jego kolegę w tak komfortowych warunkach. Wielki gwałt z jakim go tu wezwano na konsultację wskazywał, że ktoś tu chce naprawić błąd:

– Może i wypuszczą. Daj Boże – z uśmiechem spojrzał na wynędzniałego lotnika.

Jego zapadłe policzki były teraz jeszcze bardziej wklęsnięte po świeżym goleniu:

– Tout va bien, mon amis. Courage (wszystko będzie dobrze, mój przyjacielu. Odwagi)! – pocieszył go po francusku i poklepał przyjaźnie po plecach.

Rick spojrział z wdzięcznością na tego lekarza, który już w więzieniu okazał się taki ludzki. Jego kozia bródka i złote binokle wydawały się z innego świata. Przypominały stare czasy. Rick nie rozumiał słów, ale instynktownie wyczuł w jego smutnych oczach tę żywą troskę tak potrzebną każdemu choremu. Bezwolnie uległ sile spokoju bijącej z tego doktora i odprężył się całkiem.

Doktor przykazał dobrze odżywiać chorego:

– Rosół z kury lepiej zrobi niż zastrzyk – oznajmił siostrze.

Rick chciał go spytać o Wierę, ale nie wiedział jak. "Wróci i sama mnie znajdzie. Zdziwi się, jak mnie tu zobaczy" – uśmiechnął się do siebie, poprawiając głowę na śnieżnej poduszce.

Doktor Garmontow podyktował coś jeszcze siostrze i łagodnie wyciągnął dłoń:

– Good bye – powiedział na pożegnanie.

Gdy wychodził z izolatki rażnym, młodzieńczym krokiem, Rickowi nie przyszło do głowy, że widzą się po raz ostatni.

Tego dnia Mark Gawryłowicz skończył wcześniej i był w domu już przed czwartą. Powitał go radosny pisk jego psa Zbója, który tańczył przed nim w dzikich podskokach. Rok temu dostał go od wdzięcznego pacjenta i ten piękny, rasowy wyżeł stał się jego wielką radością. Razem chodzili na długie spacery. Doktor był zatwardziałym starym kawalerem i praca w szpitalu wypełniała mu całe życie. Była jego jedyną namiętnością. Dom od wielu lat prowadziła ciocia Akulina, staruszka, która pracowała u niego jeszcze przed Rewolucją i traktowała jak syna. Dzięki jej niespożytej energii zawsze czekał na niego obiad, nawet wtedy gdy wracał bardzo późno.

Teraz, wchodząc do mieszkania, zdziwił się, że Akulina jest zapłakana. Gdy wszedł głębiej, dwóch mężczyzn wstało od stołu i jeden poprosił go o dowód. Po sprawdzeniu dorzucił:

– Pozwólcie zatem z nami, obywatelu...

Akulina zaczęła prosić, żeby przynajmniej dali doktorowi zjeść obiad:

– Widzicie! Prosto z pracy. Zmęczony! – argumentowała.

– Nie szkodzi. Zje u nas – odparł oschle porucznik i dał do zrozumienia, że nie życzy sobie dalszej dyskusji. Młodszy, bardziej ludzki widać, nachylił się i szepnął doktorowi, żeby wziął ze sobą coś cieplejszego i jakieś przybory, bo zanoszą się na dłuższy pobyt. Kiedy jednak Mark Gawryłowicz zaczął pakować swą starą brzytwę, uśmiechnął się wyrozumiale i doradził, żeby brzytwy nie brał, bo i tak mu zabiorą.

Doktor zorientował się, że sprawa jest poważna. Przed jego przyjściem dokonano dokładnej rewizji, a teraz trzeci funkcjonariusz wynosił jeszcze książki i pudła z korespondencją.

Zaniepokojony pies ujadł wściekle.

– Weźcie go, bo zastrzelę – ostrzegł porucznik, sięgając po pistolet.

Mark Gawryłowicz zamknął psa w pokoju. Biedny Zbój drapał i wył rozpaczliwie. Wszystko razem było tak przygnębiające, że doktor Garmontow postanowił wyjść jak najszybciej. Akulina nie wytrzymała i zaczęła krzyczeć na żołnierzy:

– Macie wy serce?! Takiego człowieka?! Za co?! To kryształ!

– No, babuszka, ty nie krzycz. Jak kryształ to wróci. Kryształów nie zabieramy – uspokoił ją żołnierz.

Doktor ucałował staruszkę w rękę, a ona skreśliła nad nim szeroki znak krzyża:

– Bóg z tobą, gołąbku. Wracaj cały i zdrow...

Rozpacz wgniotła ją w krzesło. Trzeci funkcjonariusz wciąż wertował papiery i odkładał je skrzętnie na bok kocim, dokładnym ruchem. Miał wprawę.

Porucznik Radionow, bo jego to wybrał do tej misji Makarow, dał znak, że robota jest skończona. Staruszka, widząc, że naprawdę zabierają jej ukochanego doktora, zaczęła złorzeczyć, tym razem już nie przebijając w słowach. Wszelki strach z niej nagle opadł:

– Łotry! Szubrawcy! Żebyście dnia sądnego nie doczekali! Piekła dla was za mało! Diabły!

– Ty, stara, uważaj! – warknął na nią porucznik Radionow. – Bo i ciebie możemy zabrać...

– A bierz mnie, bierz Antychryście! Tylko jego, gołąbka oszczędź, bezbożniku!

Porucznik Radionow uznał, że nie ma się co handryczyć z ciemną babą i wymyślając jej od reakjonistek, wyprowadził doktora z mieszkania. Tam czekał samochód, którego doktor, wracając do domu, w swej świętej naiwności w ogóle nie zauważył.

\* \* \*

Grigorij dokładnie studiował akta doktora Garmontowa wydobyte z wydziału personalnego. Znalazł wiele zaskakujących faktów. Okazało się, że Garmontow miał brata, pułkownika białej armii, który zginął w 1920 roku. Drugi brat, Fiodor, przebywał na emigracji w Paryżu i doktor, o dziwo, utrzymywał z nim kontakt aż do 1937 roku, to znaczy do chwili, gdy został wezwany i ostrzeżony. Dopiero wtedy, pod wpływem groźby aresztowania, poniechał korespondencji z bratem. Notatka z tego przesłuchania była też wymowna. Wynikało z niej, że w 1941 roku, tuż po wybuchu wojny z Niemcami, Garmontow znów zmanifestował swą wrogą postawę. W najcięższych dla ojczyzny chwilach bronił mianowicie doktora Neuratha, nadwożańskiego Niemca, którego skazano na śmierć i publicznie rozstrzelano na dziedzińcu szpitala za szpiegostwo. Teraz, studiując papiery skonfiskowane przez porucznika Radionowa, Makarow odkrył nagle dwie kartki od brata, przesłane tym razem z Nowego Jorku w marcu i maju tego roku. W świetle sprawy Fultona nabrały one szczególnego znaczenia. Brat niewątpliwie mógł go zwerbować.

Polityczna ocena doktora była zła: "Dobry fachowiec starej daty o poglądach wstecznych. Typ wysoce aspołeczny, daleki od naszych pozycji. Do partii nie wstąpił. Dwa razy groził mu paragraf pięćdziesiąt osiem, ale od wyroku uratował go trudny moment na froncie i ogólny brak lekarzy. Uważać!" – podkreślone dwukrotnie czerwonym ołówkiem.

– No, niezły gagatek – pomyślał Makarow i zatarł ręce. – Jednak klasowy instynkt mnie nie mylił...

Zamknął teczkę i postanowił natychmiast przesłuchać aresztowanego doktora bez udziału protokolanta. Nie chciał mieć żadnych świadków.

Mark Gawryłowicz trafił do celi zwolnionej przez Amerykanów. Tylko Kuzmicz biegł po niej niespokojny. Kiedy ujrzał doktora, złapał się za głowę:

– Wy też?! Świat się kończy...

Doktor jak przez mgłę przypomniał sobie tego gadatliwego człowieczka, który już wtedy, podczas pierwszej wizyty wydał mu się zanadto wścibski. Skapo odpowiadał na jego pytania pogrążony w smutnych myślach. Wszystko wskazywało na to, że zanoszi się na coś niedobrego. Zachodził w głowę, czego mogą od niego chcieć. Czuł się absolutnie niewinny. Na tyle jednak znał życie, że wiedział, iż nie ma to najmniejszego znaczenia:

– Zechcą ze mnie zrobić szpiega, to zrobią. Kto im zabroni? Akulina? – uśmiechnął się na wspomnienie determinacji, z jaką staruszka go broniła. – Nie każdego na to stać. W dzisiejszych, podłych czasach – pomyślał z uznaniem.

Po chwili wszedł strażnik i wrzasnął coś, czego doktor nie był w stanie zrozumieć. Kuzmicz wyjaśnił mu, że klawisz wywołuje więźnia na "G" i chodzi zapewne o niego. Gdy doktor wymówił swoje nazwisko, Iwan pchnął go mocno i wyprowadził na przesłuchanie. Wkrótce znaleźli się w dużej celi z zakratowanym oknem.

Za biurkiem siedział kapitan, w którym Mark Gawryłowicz ze zdumieniem rozpoznał Makarowa. Znali się przelotnie i doktor wiedział, że mąż Wiery jest komendantem "Smiersza". Unikał jej z początku z tego powodu, potem jednak przekonał się do niej i polubił. Wiera częstokroć publicznie go broniła i temu pewnie zawdzięczał, że wiecznie czujny dyrektor szpitala przestał go wreszcie nękać. Widząc w jak dobrej jest komitywie z Wierą, bał się wysokiej interwencji komendanta "Smiersza". Doktor orientował się nieco w prywatnym życiu Wiery i czuł, że w głębi duszy wcale nie jest szczęśliwa z budzącego strach zawodu męża (zwierzała mu się parę razy z tego dyskretnie), ale samego Makarowa nie udało mu się dotąd poznać bliżej. I oto teraz niespodziewanie znalazł się w jego rękach.

Garmontow w pierwszym odruchu chciał się przywitać i już wyciągnął dłoń, ale Makarow zachował urzędową sztywność. Oschle wskazał miejsce przed sobą i udawał, jakby się nigdy przedtem nie widzieli. Po sprawdzeniu personaliów, przeszedł do właściwego przesłuchania. Już w pierwszym zdaniu oskarżył doktora o zdradę kraju i współpracę z obcym wywiadem. Oslupiały Garmontow słuchał tego jak bajki. Dopiero z dalszych wywodów wyłuskał, że zarzuca mu się szpiegostwo na rzecz Stanów Zjednoczonych:

– Przekazaliście materiały o pobycie Amerykanów w naszym więzieniu. Jak do tego doszło? Kto was zwerbował i kogo wy zwerbowaliście?! Fiodor?!

Makarow potrząsnął skonfiskowaną kartką od brata. Doktorowi nawet nie chciało się odpowiadać na tak absurdalne pytanie. Nie widział brata ponad dwadzieścia lat, a jego kartka poza życzeniami świątecznymi nic szczególnego nie zawierała. Pod tym względem miał naprawdę czyste sumienie. Makarow z pasją nacierał i stawał się coraz bardziej agresywny:

– Nasz świadek zeznał, że operując w więzieniu porucznika Fultona, przed zabiegiem otrzymaliście od niego znaczek identyfikacyjny wraz z instrukcją, którą to następnie w sobie wiadomy sposób przekazaliście do rąk ambasady amerykańskiej. Chcę wiedzieć, na czyje zlecenie działaliście?!

Sytuacja była tak absurdalna, że gdyby nie groźba chwili, należało się z tego śmiać. Jedynym bowiem współnikiem, na którego zlecenie działał, była żona Makarowa i jej to oddał znaczek Fultona. Chcąc więc zeznać zgodnie z prawdą, ją powinien oskarżyć i wydać w ręce własnego męża.

– "Historia zaiste jak z farsy – pomyślał doktor i z zakłopotaniem skubnął swą kocią brodkę. – A jeśli to prowokacja?! I oni działali wspólnie?" – zrobiło mu się mniej wesoło.

Nie podejrzewał o to Wiery. Podświadomie bronił jej przed tym oskarżeniem i wciąż nie wymieniał nazwiska. Makarow jednak jakby sam do tego dążył. Nacierał coraz wścieklej i domagał się pełnej listy współpracowników. Węszył gigantyczny spiszek.

W swej wielkiej naiwności Mark Gawryłowicz pomyślał, że może nie będzie tak źle, jak ten szalony inkwizytor usłyszy nagle nazwisko swojej żony. Może to nieco ostudzi jego zapał i powstrzyma od dalszego urządzania polowań na czarownice. Kiedy więc Makarow po raz dwudziesty zadał to samo pytanie: – "Kto was zwerbował?! Mówcie?" – poprawił binokle i odparł zwięźle:

– Wasza żona, towarzyszu...

Zapadła martwa cisza. Mark Gawryłowicz słyszał własne słowa dudniące obco jak w gramofonie:

– Wiera Andriejewna prosiła mnie, abym ratował życie tego lotnika, a potem jej osobiście wręczyłem ten znaczek, który was tak bardzo interesuje – dokończył zgodnie z prawdą.

Makarow zbladł i wymamrotał dziko: – Łżesz. Łżesz jak pies...

Spojrzał na doktora tak, jakby miał przed sobą bestię. Ogarnęła go nagle wściekłość na tego inteligenta, który w tak bezczelny sposób próbuje wplątać jego żonę.

– Niedoczekanie twoje, zdrajco – zasyczał złowieszczo. – Odpowiesz mi za to...

Mark Gawryłowicz nigdy nie widział twarzy tak pełnej wielkiej nienawiści i po raz pierwszy w życiu naprawdę się przeraził. Wzdrygnął się.

Makarow przerwał śledztwo. Wezwał strażnika i kazał wyprowadzić więźnia. Jednocześnie zlecił mu, żeby ponownie się zameldował. Z radością bowiem rozpoznał w nim strażnika, któremu niedawno udzielił nagany za stosowanie praktyk ze szcurami wobec Amerykanów.

Wciąż w szoku, wstał i wypił szklankę wódki. Luźne myśli nabrały mocy

postanowienia: "On musi zginąć. Inaczej pociągnie za sobą Wierę... Zgubi ją i mnie..." Sam się zdziwił, że ten wyrok przeszedł mu tak łatwo. Kiedy wszedł Własenko, był już zupełnie spokojny. Przyglądając się uważnie temu prymitywnemu typowi, utwierdził się, że do tej roli nadaje się doskonale.

"Jest na tyle głupi, aby się nie połapać i dostatecznie okrutny, by taki wypadek przy pracy mu się zdarzył. Trzeba go tylko mądrze poinstruować" – zdecydował.

Iwan Groźny stał wyprężony, pokornie czekając na rozkazy. Makarow przybrał surowy wyraz twarzy:

– Pamiętacie ostatnią naszą rozmowę, Własenko?...

– Jak najbardziej, towarzyszu kapitanie – zaraportował potulnie Iwan, a w jego bydlęcej twarzy malował się wyraz najwyższej służbowej gorliwości.

– No to wiedzcie – rzekł z naciskiem – że teraz się nie pogniewam, jeśli zbyt mocno przyciśnięcie wroga – wskazał palcem teczkę doktora Garmontowa. – Nie zechce gadać, to go... – zrobił okrutny ruch ręką. – Nie będzie nieszczęścia...

W twarzy Iwana dwa metalowe zęby błysnęły radośnie. Upewnił się tylko, czy chodzi o więźnia, którego właśnie odprowadzał, a gdy Makarow potwierdził, zapewnił ochoczo:

– Możecie na mnie bynajmniej liczyć, towarzyszu kapitanie. W tym aspekcie. Już ja go przepytam. Żywy, kurwa, nie wyjdzie...

Makarow nie powściągnął tym razem jego zapału i zbyt może prostackiej formy, ucieszony, że zadanie zostanie spełnione. Klepnął go tylko przyjaźnie w plecy i dokończył z sympatią:

– To dobrze. Jutro chcę mieć raport. Zameldujcie się u mnie. Pomyślimy o jakiejś premii. No i traktujcie to jako supertajne. To chyba jasne...

Iwan Groźny wyprężył się ze zrozumieniem i odmaszerował.

Makarow pospiesznie zebrał papiery Garmontowa. Musiał teraz wszystko ułożyć w logiczną całość.

\* \* \*

Mark Gawryłowicz znalazł się znów z Kuzmiczem, który nachalnie dopytywał się, kto go przesłuchiwał i o co. Gdy usłyszał, że sam Makarow, świsnął bezzębnymi ustami:

– Duża ranga, duży wyrok. Współczuję doktorze.

Zaraz jednak wszedł Iwan Groźny i Kuzmicz urwał. Własenko był dziwnie podniecony. Radośnie podzwaniał kluczami. Spojrzał na Marka Gawryłowicza i rzekł z przesadną grzecznością:

– No, doktorku. Naoperowałeś ty się w życiu, robaczku, pozwól teraz innym w kościach pogmerać...

Dał znak, żeby się zbierał.

Mark Gawryłowicz uściśnął dłoń Kuzmiczowi i zabrawszy swój węzełek, w eskorcie Iwana Groźnego wyszedł na korytarz. Doszli do schodów i zaczęli się nimi spuszczać w dół. Kolejne stopnie wydawały się prowadzić w nieskończoność. Doktor czuł oddech strażnika na swoim karku i słyszał brzęk jego kluczy. Z parteru zaczęli schodzić do piwnic. Kroki dudniły głucho. Doktor Garmontow obliczył, że minęli już drugi poziom tych lochów i wciąż dalej szli w dół. Tylko tym razem kamienne schody zmieniły się w żelazne. Trwało to wieki. Doktorowi przypomniał się nagle Hades i kręgi piekielne Dantego. "Zaiste komedia. Z piekła rodem" – pomyślał gorzko. Miał przykre uczucie, że idzie po tych schodach po raz ostatni. Obejrzał się na strażnika, ale ten pogwizdywał pod nosem i zachowywał się tak, jakby wybierali się na spacer.

"Może mnie nie zabije? – osądził z nadzieją. – A jeżeli, byle tylko nie męczył. Strzelił i już" – modlił się w duszy.

W kotłowni jakiś umorusany palacz wychylił się z tych czeluści jak piekielna zjawa i wycharczał na powitanie:

– Nie żal ci deptać takiego pajączka, Iwan? I warto to było tyle czytać, wujek? I, coś ty w tych mądrych książkach wyczytał? – wbił w oczekiwaniu pijany wzrok w złote binokle doktora, a gdy ten milczał, sam sobie udzielił odpowiedzi: – Nic. Kompletnie nic. To już ciemny Jowicz lepszy. Bo cię przeżyje – z wyższością splunął na posadzkę. Wyciągnął klucze w kierunku strażnika: – Na. Ty Iwan też wygodny. Na moim rewirze wszystko załatwiasz...

– A gdzie? – zarechotał bydlęcą Iwan. – Tylko u ciebie, trupiarzu...

Wziął klucze od palacza i poprowadził doktora jeszcze pół piętra w dół. Otworzył żelazne drzwi i wepchnął do niewielkiego bunkra, ni to lochu, ni piwnicy. Mdła żarówka na nagim drucie stanowiła jedyne oświetlenie. Doktor rozejrzał się w półmroku i ze zgrozą stwierdził, że jest w kostnicy.

Rząd ciał leżących na betonie nie budził żadnej wątpliwości. Ogarnęła go nagle złość, że tak łatwo daje się zabić: "On rzeczywiście traktuje mnie jak pająka. Glizdę." – Spojrzał na strażnika, który spokojnie zamykał drzwi. Nie miał broni tylko pęk kluczy i dwie nagie, czerwone pięści. "Tymi pięściami chce mnie zatłuc" – pomyślał doktor i postanowił się bronić. Umrzeć jak człowiek. W rozpaczy napiął swe wątle mięśnie. "Czekaj, bestio! Wbiję ci palce w oczy. Pająk zamieni się w skorpiona..."

Stali naprzeciw siebie. Mały doktor wyglądał teraz jak Dawid przy tym olbrzymim, okrutnym Goliacie. Iwan przed wykonaniem wyroku postanowił należycie pouczyć swoją ofiarę:

– Ty szpiegu – rzekł z godnością. – Zachciało ci się zdradzać rodzinę wolnych narodów i wielkiego Stalina?! To teraz Iwan się tobą zajmie, śmierdzielu.

Doktor przezornie zdjął okulary. Iwan Groźny zaczął go zaganiać do narożnika.

– Jazda! – wykrzykiwał. – Na kolana. Lizać mi. Lizać mi buty, kurwa. Doktor mi jeszcze tego nie robił...

Mark Gawryłowicz zrozumiał, że ma do czynienia z sadystą. Rozpaczliwie odepchnął się od ściany i zamachnął na niego z całej swej mocy. Iwan odbił go jak piłkę i żelazną garścią schwycił za włosy. Z wściekłością rzucił o ziemię:



– Ty gnojku! Zatlukę – rzekł wolno.

Doktor z takim zezwierżeniem zetknął się po raz pierwszy. Jak młodzik zerwał się z ziemi i z całej mocy grzmotnął strażnika w pysk, aż służbowa czapka spadła mu z głowy. Wiedział, że przegra, ale walka ta była dla niego kwestią honoru, policzkiem wymierzonym bydlęcej stronie ludzkości. Tak doktor przynajmniej to pojmował, i lżej mu było umierać.

Rozjuszony Iwan chwycił go w pól i jak taranem uderzył o mur, aż szary beton spurpurowiał. Walił potem tak, jakby tym żywym ciałem chciał rozwalić ściany więzienia.

Z koziej bródki doktora spłynęła krew. Mark Gawryłowicz stracił przytomność. Wściekły Iwan bił go jednak dalej, jakby nie było kary dla tego zdrajcy, który w swej bezczelności śmiał podnieść rękę na jego władzę. Dysząc ciężko, sięgnął po czapkę. Przeczyścił ją rękawem i godnie nasadził na głowę. Wytarł ręce o mundur i otworzył żelazne drzwi. Ciężkim krokiem wszedł na schody i wolno sapiąc, wrócił do kotłowni.

Jowicz siedział na stołku i obrabiał metal pilnikiem. Na brudnym warsztacie stała butelka wódki. Własenko z pogardą rzucił mu klucze na blat i westchnął z niechęcią:

– Daj łyka, draniu. Duszno w tej twojej trupiarni – a gdy Jowicz mu podał, dorzucił. – Trzeba wezwać doktora. Żeby go spisał...

– Serducho? – mruknął Jowicz, nie przerywając pracy.

– Ano – odburknął Iwan. – Mam dziwne szczęście do sercowych – zarechotał i przechylił ostro butelkę. Zabulgotało głośno. Grdyka strażnika przesunęła się jak cyngiel pistoletu.

Przywołany wkrótce lekarz, Ilia Dmitrycz, stwierdził zgon pacjenta. W zmasakrowanym ciele więźnia nie domyślił się szlachetnej twarzy Marka Gawryłowicza, dopiero gdy strażnik rzucił jego nazwisko, że zgrozą rozpoznał po zakrwawionej bródce. Widok był równie odrażający jak ten podczas operacji Amerykanina. Wrażliwy na krew Ilia Dmitrycz ze wstrętem odwrócił głowę i szybko wyszedł z kostnicy. Za drzwiami nie mógł się pozbyć wrażenia, że obecny swój stan doktor Garmontow zawdzięcza w jakimś sensie jemu i tej prywatnej rozmowie, którą odbył niedawno w swoim gabinecie z komendantem "Smiersza".

Ilia Dmitrycz zamyślił się smutno.

\* \* \*

Nazajutrz Grigorij miał już wszystkie potrzebne papiery na biurku. Zeznania świadków i akt zgonu głównego przestępcy. Jak stwierdził lekarz dyżurny, oskarżony zmarł na atak serca w swojej celi. W tej sytuacji Makarow mógł śmiało połączyć się z Moskwą. Sprawa znaczka porucznika Fultona została definitywnie wyjaśniona. Grigorij niezwłocznie poinformował o tym Abakumowa, który wysłuchał go z wielką uwagą:

– Garmontow otrzymał to przed operacją, mówicie? – powtórzył, notując jego nazwisko. – I co? Przyznał się?

- Jak najbardziej – potwierdził Makarow.
- Ciekawe. Ze starej białej agentury, mówicie?
- Tak jest. Zwerbował go brat Fiodor, obecnie w Nowym Jorku...
- To by się zgadzało – mruknął Abakumow.
- Jedyna przykrość, towarzyszu generale – ciągnął ostrożnie – że ten zdrajca zmarł nagle na serce podczas przesłuchania.
- Mała strata. I tak byśmy go powiesili – zaśmiał się Abakumow. – No, ładnie, Grigorij Wasiliewicz – przeszedł na dawny, familiarny ton. – Nie zawiodłem się na was. W takim razie prześlijcie mi te materiały natychmiast. I nie zwlekajcie, błagam. To ważne, mój drogi. Bywajcie – odłożył miękko słuchawkę.

Makarow poczuł, że jest zbawiony. Jego pryncypialna postawa sprawdziła się. Z wdzięcznością spojrzął na posąg towarzysza Stalina, który tym razem zdawał się w pełni aprobować jego postępowanie. Grigorij jakby nawet słyszał jego głos, i słynne słowa:

"Wrogów należy niszczyć z całą bezwzględnością i niszcząc ich pamiętać stale, że są wrogami. Tylko w ten sposób jesteśmy w stanie wykuć nowy ład. I nowe, socjalistyczne jutro. Inaczej być nie może..."

– To prawda – westchnął Grigorij i zamknął teczkę doktora Garmontowa. – Inaczej być nie może – powtórzył cicho i po raz pierwszy od dwóch dni odetchnął głębiej pełną, swobodną piersią.

## XL

Wiera dawno nie widziała męża w tak dobrym humorze. W łazience, goląc się śpiewał głośno arię Oniegina, co mu się rzadko zdarzało. Przy śniadaniu zagadnęła wesoło, że warto by się było razem gdzieś wybrać. Z jego zachowania wywnioskowała, że główne niebezpieczeństwo minęło. O szczegóły nie pytała.

Bardzo była ciekawa, jaki będzie dalszy los Amerykanów. Wiedziała, że przebywają w willi "Słońce Kaukazu", a Rick poddany jest intensywnej terapii w klinice MWD. Od jej powrotu z Moskwy wszystko więc odmieniło się całkowicie, jak za pociągnięciem czarodziejskiej różdżki.

Jedyną rzeczą, która ją niepokoiła, było zniknięcie Marka Gawryłowicza. Nikt nic nie umiał jej powiedzieć. Kiedy zadzwoniła do jego domu, spłakana Akulina oznajmiła, że doktora nie ma.

– Jak to nie ma? – spytała zdziwiona.

– Przyszło trzech Antychrystów i zabrało mego gołąbka. Jak wzięli tak i nie wrócił – zaszlochała na dobre.

Wiera szybko odłożyła słuchawkę tknięta złym przeczuciem, że może to mieć związek ze znaczkami porucznika Fultona. Grigorij wiedział przecież, że doktor go operował. Pytał nawet o to w parku. Postanowiła natychmiast to sprawdzić:

- Grigorij – zaczęła wolno – Garmontow został zatrzymany...
- Wiem – przerwał sucho Makarow, nie przestając pić herbaty.

– To straszne. On jest całkowicie niewinny! – krzyknęła ze zgrozą.

– Po pierwsze, był – poprawił ją z naciskiem. – Po drugie zaś, nie twierdziłbym tego z taką mocą. Na twoim miejscu – spojrzał na nią wymownie.

– Jak to był? – wybąkała zmieszana.

– Był, albowiem umarł. Podczas śledztwa – wyjaśnił chłodno, jakby to chodziło o całkiem obcego człowieka, a nawet rzecz.

Ten ton jeszcze bardziej ją przeraził.

– Na miłość boską, Grigorij! Nie mogę w to uwierzyć – z rozpaczyny złapała się za głowę.

– Nie żałuj go tak – rzekł tym samym tonem – bo nawet gdyby żył, też by umarł. I tak skazalibyśmy go na śmierć. Okazał się bowiem starym szpiegiem. Od lat pracującym dla obcego wywiadu...

– Kto! Mark Gawryłowicz?! – rzuciła z niedowierzaniem.

– Ten sam. Śledztwo w pełni to potwierdziło. Zresztą sam się przyznał – dokończył cicho.

Wiera była zdruzgotana. Znała doktora. Nie taił swych poglądów i braku entuzjazmu dla nowej władzy. Był zawsze szczery. Może nawet nazbyt szczery, ale nigdy nie bawiłby się w szpiegostwo. To bzdura!

– Czy to ma jakiś związek z tą sprawą? – spytała szeptem mocno zaniepokojona w swym sumieniu.

– Jaką sprawą? – odparł Grigorij przesadnie głośno. – Jeśli masz na myśli Amerykanów, to niewątpliwie tak. Maczał w tym palce. Bo jeśli nie on, to kto?! Nie widzę nikogo innego – spojrzał na nią szybko.

Odwróciła wzrok i poprawiła serwetkę na stole.

– Ja wiem, że cię to zaskoczyło – ciągnął dalej. – Mnie zresztą też. Wyglądał nadzwyczaj szlachetnie. Ale gdyby wszyscy zdrajcy mieli na czole wypisaną zdradę, nie mielibyśmy tych kłopotów i tak wielu przykrych niespodzianek, kochanie – dołał sobie herbaty.

Wiera nie mogła się pozbyć uczucia, że biedny doktor zginął za nią. "No tak. To ja namówiłam go do operacji. Stał się kozłem ofiarnym".

Była przerażona i bliska przyznania się do winy, ale uświadomiła sobie, że w gruncie rzeczy nic to nie da. Nie wskrzesi przecież biednego doktora. Spojrzała z wyrzutem na męża. Ale i jego w zasadzie nie mogła winić. Działał w jej obronie. Wyraźnie to powiedział. Poza tym pewnie uwierzył, że Garmontow rzeczywiście jest szpiegiem. "Inaczej powinien mnie aresztować. Oj, Boże, Boże. Jacy jesteśmy podli, nawet wtedy gdy chcemy być dobrzy. Zawsze za naszą dobroć ktoś płaci..."

Bezsilnie obracała obrączkę. Targana wątpliwościami ważyła w sobie decyzję. Grigorij najwyraźniej nie podzielał jej wahań. Wiara w partię rozgrzeszyła go szybko. Spokojnie dopił herbatę i oznajmił, że musi wyjść, ale wieczorem na pewno wcześniej wróci i będą mogli razem wybrać się do kina.

Wierze nie w głowie było kino. Szczęśliwa, że Grisza wreszcie wyszedł i może

być naprawdę sama, z ulgą rzuciła się na tapczan i wybuchnęła głośnym, przeciągłym płaczem.

Lew Spirydonycz poinformował Makarowa, że stan Amerykanów jest dobry, przybierają na wadze i humor im wraca. Kapitan O'Sullivan też się poprawił i lekarze twierdzą, że wkrótce będzie mógł opuścić klinikę. W tej sytuacji Makarow uznał, że powinien przed wyjściem złożyć mu kurtuazyjną wizytę.

– "O'Sullivan jest niewątpliwie jednostką przywódczą, nadaje ton całej grupie, nie zaszkodzi więc pozyskać go sobie na przyszłość – pomyślał.

Błogosławił w tej chwili swą wielką przezorność, że w śledztwo nie wmieszał się osobiście i działał zza kulis. Mógł teraz śmiało wystąpić w nowej roli bez żadnych obciążeń. Ostatni raz widział Amerykanina przed szpitalem, gdy odwoził go na opatrunek wprost z przyjęcia u generała Babadżiana.

Był zaskoczony jego wyglądem. Twarz miał wychudłą i oczy zapadały się w naciągniętej skórze czaszki. Postarzał się bardzo. "Niezlądaliśmy mu szkołę – pomyślał z cieniem uznania – skoro mimo poprawy wciąż wygląda na trupa..."

Z uśmiechem podszedł do łóżka chorego.

– Cieszę się, że was widzę. Poznajecie mnie chyba? – wyciągnął serdecznie dłoń.

Rick na moment zawahał się, ale uznał, że nie ma co robić tanich demonstracji, tym bardziej że nie miał żadnych dowodów, na ile mąż Wiery osobiście zamieszany był w ich śledztwie. Może działał dla ich dobra? Podobnie jak Wiera?

Uśmiechem więc odparł na uśmiech i przyjął wyciągniętą dłoń. Makarow mówił po angielsku z wysiłkiem, ale można go było zrozumieć. Najpierw po rosyjsku zamienił parę słów z lekarzem, najwyraźniej dopytując się o stan chorego. Potem zwrócił się do Ricka:

– Przykro mi za to wszystko. Staralem się jak mogłem. Ale cóż. Teraz będzie lepiej. Zrobimy wszystko, żebyście szybko stanęli na nogi – zapewnił przyjaźnie.

Wyjaśnił następnie, że pozostali koledzy znajdują się w świetnych warunkach i niczego im nie brakuje:

– Są w naszej willi, do której i wy się przeniesiecie. Może nawet jeszcze dziś, bo lekarka jest z was bardzo zadowolona – nerwowo poprawił włosy, które niesfornie opadły mu na czoło.

Rick musiał przyznać, że Wiera ma przystojnego męża. Był męski i sprawiał wrażenie silnego. Z oczu biło mu zdecydowanie i zarazem jakaś uduchowiona wiara. Był szczególnie miły, gdy się uśmiechał. Przypominał wtedy małego chłopca. Rick nabrał do niego nawet pewnej sympatii. Zdawał sobie sprawę, że mąż Wiery traci bardzo, nie mogąc się swobodnie wysłowić po angielsku. Zdażył już polubić jego rosyjski akcent, ten sam, który miała Wiera:

– Rzeczywiście czuję się dobrze – zgodził się z Makarowem. – I gdybym tu zaraz trafił, moje wrażenia z Rosji byłyby inne. No i porucznik Fulton mógłby żyć...

– No, tak. Tego jednego nie sposób naprawić – przyznał Makarow i wyciągnął w kierunku Ricka paczkę papierosów.

Rickowi ten gest przypominał odruch śledczych, którzy równie chętnie raczyli go

papierosami, ale tym razem, oczywiście, przyjął. Dawno już nie palił.

– Całkiem dobry – przyznał po chwili – prawie jak nasz... Znacząca jest szansa, że wrócimy znów do roli sojuszników – zażartował puszczając kłęb dymu.

– Byłoby to moje największe pragnienie – odparł Makarow i zapewnił, że najcięższy okres mają za sobą.

Rick chciał dorzucić, że w tym najcięższym okresie najwięcej zawdzięczają jego żonie, ale w porę ugryzł się w język.

– "Nie wiadomo jak tam między nimi jest..."

Makarow posiedział jeszcze chwilę. Na odchodnym zaznaczył, że następnym razem spotkają się na pewno w jeszcze lepszych warunkach.

– Oby nie w więzieniu – zakpił Rick.

– Ależ skąd! – obruszył się Makarow. – Jeśli zdarzy się niewielki nadzór, to będzie to przyjemna opieka. Jak sojusznika nad sojusznikiem – podchwycił żart kapitana i zostawiając mu paczkę "Trojki", które tak smakowały Amerykyninowi, opuścił szpitalną izolatkę.

W domu zastał spłakaną Wierę. Nie miała ochoty nigdzie wyjść. Wciąż przeżywała śmierć Garmontowa i Grigorij nie był w stanie jej pocieszyć. Wypiła parę kieliszków wódki. Oświadczyła, że przed chwilą dzwoniła do Akuliny, i starszka poskarżyła się, że nikt jej nie chce wydać ciała:

– Jak to jest?! – wykrzykiwała. – Kobieta pragnie pochować go z Bogiem i tego jej nawet zabraniać?! To nieludzkie! Nieludzkie – zawodziła.

Grigorij, bojąc się niekontrolowanych krzyków żony, starał się za wszelką cenę ją ułagodzić:

– Wieroczka! Uspokój się! Jutro wwszystko załatwię! Pochowa go! – przyrzekał jej – Mimo że ciało politycznych zdrajców nie wydajemy, pochowa go! Z Bogiem, popem, i cerkwią świętą! Jak sobie życzy. Tylko nie rycz! Nie rycz, błagam, bo oszaleję. Czy to moja wina, że on był wrogiem?! I musiał zginąć. No musiał, rozumiesz?! – potrząsnął nią. – Bo inaczej... – urwał i do bólu ścisnął jej rękę. – Inaczej być nie może – dokończył, podświadomie cytując słowa swego wodza, który był jego wielką niekłamaną miłością.

\*

\*

\*

Wkrótce po wysłaniu raportu ze "Sprawy Garmontowa" Makarow otrzymał oficjalne potwierdzenie z Moskwy i pełną akceptację swoich poczynań. Przedstawione materiały i dowody w pełni zadowolili dowódcę "Smiersza" i najwyższe kierownictwo partii.

Abakumow dał mu wolną rękę w sprawie rehabilitacji Amerykanów:

– Kurujcie ich, mój miły – pouczał ciepło – aby wszystkie rany się zabiły. Niech się rozerwą chłopcy. Pobawią. Nic tak nie działa jak kobiety. Są jak balsam – zaśmiał się w słuchawce. – Nie żałujcie im. Dziewczynki dobra rzecz...

Makarow kazał więc jeszcze bardziej uatrakcyjnić pobyt w willi "Słońce Kaukazu", organizować lotnikom wyjazdy, wycieczki na plażę, pokazy filmowe, żeby nie czuli się więźniami.

Spełnił też prośbę Wiery i rodzinie wydano zwłoki doktora Garmontowa. Nabral nadziei, że Wiera się trochę rozpogodzi. Wtrącił też parę słów o wizycie u kapitana O'Sullivana:

– Uprzejmy Amerykanin. Nawet mój angielski zrozumiał – zakpił, wiedząc, że tym rozbawi żonę. Angielski Griszy był częstym przedmiotem jej żartów.

– I co z nim? – spytała obojętnie, choć czuła narastający niepokój i podniecenie.

– Trochę mizerny, ale okay. Wkrótce doszłuszuje do innych...

Zdjął służbową bluzę i był teraz w samej koszulce gimnastycznej. Rozprostował z ulgą plecy i klepnął się w umięśniony tors:

– Miechy jak organy – zaśmiał się dumnie. – Można wyć – pociągnął parę nut z arii Leńskiego. Podszedł do żony i przycisnął ją czule:

– Co z tobą, kotku? – zapytał z troską, dotykając sinych kręgów pod jej oczyma. – Coś nie tak?

– Wydaje ci się – zbyła go krótko, wywijając się z jego ramion.

Tego też nie umiała zrozumieć. Im był miłszy, tym większą wzbudzał w niej złość:

– Dawniej tak nie było – przeraziła się. – Nie mogę wszystkiego zwać na "Smiersz". Wiedziałam o tym. I co? Nagle przejrzałam na oczy. Pod wpływem Amerykanów? Śmieszne" – wzruszyła ramionami.

Dreńczyło ją to bardzo. Ani przez chwilę jednak nie żałowała, że przekazała znaczek Fultona i gdyby nie tragiczna śmierć Garmontowa, byłaby wręcz szczęśliwa, natomiast gnębił ją fakt zatajenia wszystkiego przed mężem. "Jestem durna. Zachowuję się, jakbym go zdradzała".

Wzmianka o Ricku sprawiła, że kręciła się teraz bez sensu w kuchni, trzeci raz zapalając ten sam palnik.

"Zupełnie oszalałam, przecież teraz nic mu nie grozi. Mama ma rację. Muszę z tym skończyć" – przyrzekała sobie i od razu czuła, że to nic nie da. Coraz bardziej chciała go zobaczyć. Trzasnęła mocniej przykrywką od garnka, aż Grigorij spytał, czy nic się nie stało.

– Nic, nic. Oparzyłam się – wyjaśniła.

Wszedł do kuchni i rzucił niespodziewanie:

– Właściwie mogłabyś ich odwiedzić.

– Kogo?

– Amerykanów.

– Zabroniłeś mi przecież – przypomniała mu. Z wrażenia rozlała zupę.

– No tak. Ale teraz jest już inna sytuacja. W pełni wyjaśniona. Nie widzę więc

powodu. Chyba, że nie chcesz – podszedł do zlewu napełnić konewkę wodą.

– Dlaczego? Mogę – odparła możliwie spokojnie. – Jeśli tak sobie zyczysz...

– Nie ja – roześmiał się. – Chodzi mi o ciebie. Tobie to dobrze zrobi – lekko dźwignął konewkę. – Poćwiczysz angielski, a przy okazji odpoczniesz w parku. Tam jest naprawdę pięknie – wyszedł wolno na balkon.

Wiera patrzyła, jak nachylony nad skrzynkami dokładnie podlewa każdy kwiatek. Oszołomiona nagłą propozycją nie była w stanie zebrać myśli.

– W każdym razie jutro jadę, to mogę cię zabrać – spokojnie odstawił konewkę.

Jutro miał jednak konferencję i zadzwonił z biura, żeby jechała sama. Zawahała się, ale przerwał jej szybko, że wysłał już kierowcę.

Kiedy stała przed lustrem w swej najpiękniejszej sukni, czekając, że może coś się odmieni i w ostatniej chwili wejdzie Grigorij i powie: nie jedź, wtedy by nie pojechała. Ale Grigorij nie wszedł. Zamiast niego zjawił się szofer i Wiera wolno zeszła ku swemu przeznaczeniu.

Po drodze cały czas myślała o tym, jakie to życie jest dziwne i jak jeden wielki przypadek nim rządzi.

Willa, do której zajechali przypominała pałacyk w stylu myśliwskim zbudowany na przełomie wieków. Należała do bogatego kupca Morozowa, zanim przeszła w ręce innych właścicieli. "Zaiste rewolucyjna zmiana" – westchnęła Wiera, myśląc nie tyle o samym pałacyku, co o losie umieszczonych tam lotników.

Po przejściu przez straż przy bramie, siwy portier, najwyraźniej należący, podobnie jak pałacyk, do dawnych czasów, skłonił się jej nisko i oświadczył z przesadną dykcją, iż szanowni goście Amerykanie udali się na krajoznawczą wycieczkę i wrócą circa za trzy godziny – dla podkreślenia dokładności czasu wyjął z kamizelki srebrną cebulę na złotej dewizce.

Nie mogła ukryć swego rozczarowania. Portier zaraz jednak dodał w równie zwolnionym tempie, iż jeden Amerykanin, gość, który przybył do pałacu circa onegdaj, jest w swoim pokoju na górze i jeśli szanowna towarzyszka sobie życzy, może natychmiast zaprowadzić.

Wiera z ulgą kiwnęła głową. "Przypadek?" – pytała samą siebie, wspinając się po marmurowych schodach przykrytych czerwonym chodnikiem. Zbliżyli się do dębowych drzwi. Portier z maestrią zastukał. Nikt w środku się nie odezwał. Wtedy zrobił to jeszcze raz i nie uzyskując odpowiedzi, dyskretnie nacisnął klamkę.

Drzwi ustąpiły i Wiera ujrzała obszerny salon z czteroskrzydłowym oknem na całą ścianę. Ricka nie było w środku. Zaraz jednak spostrzegła go za oszklonymi drzwiami. Leżał na balkonie i opalał się. Nie słyszał ich i dopiero gdy portier znacząco chrząknął, obejrzał się za siebie. W pierwszej chwili nie dostrzegł nic przez szybę i przytknął dłoń do czoła. Kiedy ją rozpoznał, uśmiechnął się szybko.

– Wiera! – z radości potracił leżak.

Portier taktownie wycofał się, zostawiając ich samych.

– Już zwątpiłem, że przyjdiesz – podbiegł do niej i chwycił za rękę. Jakby pod wpływem tego impulsu, w ślepych odruchu oddania z ulgą położyła mu głowę na

piersi. Zaraz jednak zawstydzona chciała się cofnąć, ale przygarnął ją po bratersku i przytulił do swego wychudłego ciała. Zaczęła głaskać go po plecach, natrafiając wciąż na świeże rany i blizny.

– Boże?! Co oni ci zrobili?!

Dopiero teraz, w świetle dnia, patrząc i dotykając go, przekonała się, co przeszedł. Wpatrywała się w niego bez ruchu, a potem jakby chcąc zatrzeć wszystkie blizny, zaczęła łagodnie muskać je miękkimi opuszkami swych palców. Rick ze strachem spojrzał na Wierę. Łzy ściekały jej po twarzy.

– Udało się, Rick Harriowicz – w powietrzu nakreśliła "psi medalik" Boba.

– Wiem – odparł wzruszony. – Wiem, że to wszystko ty. I tobie to zawdzięczamy, kochanie...

Chciał jeszcze mówić, ale w strachu zatkała mu usta. Zalęknionym wzrokiem wskazała ściany. Zrozumiał. Rozejrzał się bezradnie. Czy w ogóle znalazłby słowa zdolne wyrazić wdzięczność i podziw, jaki dla niej odczuwał? Gdyby nie ona, pewnie by nie żył. Inni też. I teraz nawet głośno nie może o tym powiedzieć. Cóż za przeklęty kraj! – z nienawiścią rozejrzał się dookoła.

Nie chciała wdzięczności, chciała jego. Czekala na pierwszy gest. Rick zamknął oczy i lekko dotknął jej warg. Wchłonęły go z pasją. Pojął, że dotknął wulkanu. Był tylko człowiekiem. Z wolna poddawał się pieszczotom, którymi Wiera chciała mu wynagrodzić wszystkie chwile nędzy i upodlenia.

Szeptala mu różne zaklęcia śpiewną, rosyjską mową. Nie rozumiał ich, ale wiedział, że są o miłości. Z tych obcych słów wyławiał tylko jedno, które powtarzało się w różnym kształcie i zabarwieniu – własne imię – Rikońka.

Wiera pierwsza zdecydowała się. Bez słowa przekreśliła klucz i zaciągnęła żółte story. Gwałtownie zrzuciła sukienkę i z całych sił objęła go swym nagim ciałem. Wszystko było tak naturalne, jakby się znali od wieków. Zatykała usta w strachu, żeby nie krzyknąć, a gdy się uspokajał, z jeszcze większym strachem zaklinała:

– Idi, dusza maja.

Rick czuł każdy puls jej ciała.

W pokoju było bardzo cicho i wydawało się, jakby czas stanął, jakby w ogóle byli poza czasem, mimo że zegar na ścianie tykał miarowo i uporczywie. Wiera znów wodziła w zapamiętaniu palcami po jego plecach i całowała, a kiedy obrócił się na wznak, wtuliła głowę w jego pachę i wyznała niemal głośno:

– Nigdy nie będzie mi tak dobrze...

Zabrzmiało to jak pożegnanie. Obydwoje zdawali sobie sprawę z bezsensu chwili i tragizmu własnej słabości:

– Żałujesz? – spytała pierwsza – Bo ja nie. Dałeś mi życie – dodała przesadnie serio.

Może chciała wyrazić to inaczej, ale tak jej się po angielsku wymówiło.

– To raczej ty dałaś mi życie – powtórzył i poczuł, że jest dużo bliższy prawdy. Bo w jakimś sensie jej to życie zawdzięczał.



Wtuliła się w niego jeszcze mocniej. Pragnął jej i to nie z wdzięczności. Zaraz znów był w niej. Wsłuchiwał się w jej głos z takim zapamiętaniem, jakby chciał na zawsze utrwalić go w sobie i przypieczętować nim ten szalony związek, który zaczął się na samym dnie ludzkiej nędzy, a kończy się na szczycie ekstazy.

I było to jakieś zadośćuczynienie, ciche zwycięstwo nad okrucieństwem losu. W oddaniu tej cudownej kobiety miał teraz największą nagrodę.

Kiedy potem ubierał się, zupełnie nieoczekiwanie pomyślał o Betty i ta myśl zmroziła go na chwilę. Lecz nagle kątem oka znów ujrzał radosną twarz Wiery. Zbliżył się do niej i pogłaskał wierzchem dłoni jej policzek. Wiera uśmiechnęła się. Patrzyła szeroko i ufnie. Rick ucieszył się. Nabrał cichej nadziei, że Bóg wybaczy mu ten grzech, widząc "minutoczkę" szczęścia na tej nieludzkiej ziemi.

## XLI

"Little Boy" \* – pod tym niewinnym kryptonimem kryła się straszna siła pierwszej bomby atomowej, którą zamierzano zrzucić na Japonię. Przedtem należało wypróbować jej działanie. Na tę operację objętą kodem "Trójca" uczeni w Los Alamos czekali od dawna. Robert Oppenheimer nazywał ją największym eksperymentem w dziejach fizyki doświadczalnej.

"Little Boy" – (Mały Chłopiec) – kod pierwszej bomby atomowej opartej na rozszczepieniu Uranu 235, użytej w nalocie na Hiroszimę.

Ostatecznie wybrano na ten cel region odległy sześćdziesiąt mil na północ od Alamogordo, położony między Rio Grande a Sierra Oscuta, znany od hiszpańskich czasów jako Joranda del Muerto – Podróż Śmierci.

Teraz trzeba było przygotować to dziewicze miejsce do przyszłej operacji. Stare rancho znajdujące się pośrodku zamieniono w polowe laboratorium. Na północ od niego wyznaczono "Punkt Zero", czyli miejsce wybuchu bomby. W odległości około pięciu mil od "Punktu Zero" na wschód, zachód, północ i południe zbudowano cztery betonowe schrony. W schronach tych, przeznaczonych dla obserwatorów, zainstalowano aparaturę badawczą.

Południowy S-10000 był głównym punktem obserwacyjnym. Wzgórze Compania odległe o dwadzieścia mil od miejsca wybuchu wykorzystano jako dodatkowy punkt obserwacyjny.

W "Punkcie Zero" zbudowano wieżę, na której miała być umieszczona bomba. Konstrukcja tej wieży wpuszczona była dwadzieścia stóp w głąb ziemi i wystawała nad powierzchnię sto stóp. Na szczytowym dębowym podeście zainstalowano dźwignię, która łączyła wszystkie przewody i uruchamiała system zapłonowy bomby.

Czasu mieli niewiele, zdeterminowani wielką polityką – spotkaniem w Poczdamie wyznaczonym na szesnastego lipca – musieli się zmieścić w tym terminie. Prezydent Truman w rozmowie ze Stalinem chciał mieć mocne argumenty. Stawali więc na głowie, żeby zdążyć.

W pierwszej dekadzie lipca dostarczono na poligon najcięższe elementy bomby. Nowy trans-uranowy pierwiastek, nazwany plutonem, właściwe serce bomby, znalazł się na rancho w sobotę rano czternastego lipca. Z najwyższą ostrożnością

przystąpiono do jego montażu.

O pierwszej po południu zmontowany rdzeń bomby przewieziono ciężarówką pod wieżę. Teraz nastąpiła najtrudniejsza część operacji – wmontowanie mechanizmu do obudowy bomby i wciągnięcie jej na wieżę.

Robert Oppenheimer w szerokim kapeluszu ze świńskiej skóry osobiście nadzorował operację, z niepokojem zaglądając do szerokiej tuby bomby, w którą Norris Bradbury wsunął się z głową, instalując stofuntowy rdzeń zdolny znieść z powierzchni całe miasto. Oppie obserwował to jak poród własnego dziecka.

Po paru godzinach przystąpili do windowania całego urządzenia na wieżę. Był to jeden z największych paradoksów tej operacji. Bombę, mającą dokonać rewolucji technicznej w świecie wciągano metodą starożytnych Egipcjan: za pomocą dźwigni i kołowrotka.

Drżeli ze strachu nie tyle przed groźbą przedwczesnego wybuchu, ile uszkodzeniem tego bezcennego prototypu. Wreszcie bomba została umieszczona na wieży i ustawiona w takiej samej pozycji, z jakiej jej operacyjny bliźniak miał być zrzucony z superfortecy.

I wtedy przyszedł najcięższy moment. Z Los Alamos nadszedł meldunek, że próba mechanizmu detonującego nie powiodła się. Cała wina spadła na Georga Kistakovsky'ego, głównego konstruktora urządzenia, mimo że od początku protestował przeciw tej próbie twierdząc, że jest przeprowadzana na innym materiale. Nawet Oppenheimer stracił pewność siebie i bąknął w chwili słabości, że wszystko może się okazać jednym wielkim fiaskiem. Kistakovsky obstawał jednak przy swoim i rzucił na szalę całą swoją miesięczną pensję przeciw dziesięciu dolarom Oppenheimera. Zrozpaczony Oppie przyjął zakład. Cóż to jest dziesięć dolarów wobec dwóch bilionów, które dotychczas pochłonęła operacja "Trójca".

Piętnastego lipca, w niedzielę przygotowania były zakończone. Teraz wszystko zależało od pogody. Prognoza była fatalna. Główny meteorolog, Jack Hubbard, zapowiadał wiatry i burze. Mimo to Groves wyznaczył termin wybuchu na jutro, to znaczy poniedziałek szesnastego lipca o godzinie 5.30. W tym dniu rozpoczynał się Poczdam.

W niedzielę przed wieczorem Oppenheimer po raz ostatni wszedł na wieżę spojrzeć na swoje dzieło. Zawieszona bomba ukazała się w całej swej grozie.

Oppenheimer w wolnych chwilach przetłumaczył kiedyś z sanskrytu starożytny poemat religijny "Bhagavad-Gita". Tam też występowała trójca. Trójca bogów: Hindu, Brahma i Shiva. Oppenheimer przypomniał sobie przetłumaczoną przez siebie strofę: "W boju, lesie, na skraju przepaści, w ciemnościach morza, wśród strzał i włóczni, we śnie, konfuzji i na dnie wstydu dobre uczynki zostaną po nas".

"Czy będzie to dobry uczynek? I przysługa dla świata" – zapytywał siebie.

O godzinie 11.00 wieczorem Donald Hornig uzbroił bombę. Był ostatnim człowiekiem, który opuścił w nocy wieżę. Na dole powitał go szum wichury.

Silne burze przeszły przez Joranda del Muerto. Jakby sama matka natura piorunowała z nieba przeciwko próbie wydarcia swoich tajemnic: – Co robisz, człowieku?! Opamiętaj się! – Ale człowiek ufny w swe siły nie miał zamiaru się cofnąć.

Nikt tej nocy nie spał, napięcie sięgnęło szczytu, gdy o godzinie 3.30 wichura zniosła namiot w Bazie. Na szczęście, nad ranem burza uspokoiła się i około 5 na punkty obserwacyjne zaczęli schodzić się pierwsi goście.

Oppenheimer zamierzał oglądać wybuch z głównego schronu wraz z generałem Farellem, Hornigiem i Kistakovskym. Groves w ostatniej chwili zdecydował, że bezpieczniej będzie ich rozdzielić. Siła wybuchu była nieznana i mogła ich wszystkich dosięgnąć.

Wsiadł więc do swego jeepa i pojechał do Bazy. Największy tłum gości miał obserwować wybuch ze wzgórza Compania Hill, najbardziej bezpiecznego, oddalonego dwadzieścia mil od "Punktu Zero". Wśród nich znajdował się Edward Teller, Hans Bethe i Klaus Fuchs.

Przez głośniki nadano komunikat zalecający położenie się na ziemi i nałożenie specjalnych hutniczych okularów.

Teller oświadczył, że tego nie zrobi, a na uwagę Fuchsa, że to nierozsądne odparł:

– Chcę bestii spojrzeć prosto w oczy.

O 5.25 rakieta poszła w górę. Do detonacji zostało pięć minut. Nie przypuszczali, że sekundy mogą trwać tak długo.

Oppenheimer ledwie łapał powietrze. Bezwiednie mruknął:

– Boże. Jakie to ciężkie...

Kistakovsky nie wytrzymał i wyskoczył z bunkra na zewnątrz. Obliczył, że siła wybuchu tu nie sięgnie.

Ostatnie minuty należały do Donalda Horniga. On bowiem w ręku miał przerywacz i mógł w każdej chwili wstrzymać test. Myślał nawet o tym, patrząc na przesuwające się wskazówki stopera: 3... 2... 1... 0...

Leżeli z głowami przy ziemi. Liczyli ziarnka piasku. Chłód poranka dawał się im we znaki.

O godzinie 5.25\* de\*\* obwód został zamknięty. Trzydzieści dwa punkty detonacyjne symultanicznie odpaliły.

Promienista kurtyna stokrotną pręgą piorunów przeszła niebo. Ogarnęła ich przerażająca jasność. Błysk kosmicznego ognia oślepił całkiem. Gdy ponownie odzyskali wzrok, w miejscu gdzie stała wieża, wybuchł czerwony krąg, pęcherz żaru, który rósł błyskawicznie, dając blask tysiąca słońc. Wstrząsany wewnętrznymi wybuchami mienił się w złotych, szkarłatnych i zielonych błyskach. Przeciągły grzmot przetoczył się przez dolinę odbity przez góry nie kończącym się echem. Jednocześnie fala gorąca uderzyła ich w twarz, jakby rozpalona magma objęła ich swym żarem. Po chwili w środku purpurowej kuli zaczął się formować ognisty słup, który piał się szybko w górę, by nagle u swego szczytu rozpęknąć się w kształcie kapelusza. Przypominało to gigantyczny grzyb.

Po fali gorąca zerwał się straszliwy huragan. Chmury w pierzastym świetle ognia tańczyły jak piórka. Wydawało się, że ziemia wchłonie ich żywcem. Oniemieli patrzyli w oko kosmosu, który ukazał im swą piekielną moc. Miało to w sobie coś z końca świata i Apokalipsy.

Jednak udało się – była to pierwsza reakcja Oppenheimera. Kiedy wyszedł z bunkra, spostrzegł, że niektórzy płaczą, większość zaś stoi w milczeniu porażona tym, co ujrzeli. Wiedzieli, że od tej chwili świat nie będzie już taki sam. Ogarnęło ich uczucie lęku. Demon, którego istnienie teoretycznie przewidywali, urzeczywistnił się.

Oppenheimer przypomniał sobie werset z "Gity": "Oto stałem się śmiercią, burzycielem świata..." – i zrobiło mu się nieswojo.

Wkrótce nadjechał generał Groves i złożył pierwsze oficjalne gratulacje. Jedynym uczuciem, które zawładnęło generałem Grovesem była ogromna radość z faktu, że się powiodło. Teraz był przekonany, że wojna jest skończona. Wystarczy dwie takie bomby i Japonia padnie na kolana. A to przecież bezwarunkowe zwycięstwo było celem "Projektu Manhattan". Generał poczuł się teraz jak Blondin po przejściu po linie nad wodospadem Niagara. Tylko Blondinowi zajęło to kilkadziesiąt minut, a jemu blisko trzy lata...

Kistakovsky trącił zamyślonego Oppenheimera: – Wygrałem, Oppie. Dawaj mi dychę...

Oppenheimer sięgnął do portfela. – Zwrócę ci potem. Będziesz musiał poczekać. Nie mam – rzucił z roztargnieniem.

Enrico Fermi i Herbert Anderson \* postanowili podjechać pod "Punkt Zero" w dwóch czołgach. Po przejechaniu jednej mili czołg Fermiego popsuł się i uczoney musiał zawrócić. Anderson podsunął się bliżej. To, co zobaczył przez peryskop, przeraziło go.

Herbert Anderson – amerykański fizyk jądrowy.

Z wysokiej wieży, stalowych masztów, betonowej konstrukcji nie zostało nic. Wszystko wyparowało. Wokół "Punktu Zero" rozwierał się szeroki krater szklistej lawy przezroczysty jak jadail.

Energia wyzwolona w procesie rozpadu plutonu obliczona została na siłę równą osiemnastu tysiącom sześciuset ton dynamitu.

Tylko Edward Teller nie był tym przerażony. Myślą wybiegał daleko w przód. Był już przy syntezie atomów wodoru, gdzie wybuch podobnej bomby spełniać miał rolę zapalnika. Jego teoretyczny plan bomby tysiącrotnie silniejszej od atomowej znany już był pod kryptonimem "Super". Celowość jednak tych dalszych badań stała się teraz przedmiotem zażartych dyskusji.

W ferworze sporu Oppenheimer nie zauważył nawet siedzącego obok kolegi, który w swych charakterystycznych okularach w oprawce z pancerza żółwia milcząco czytał gazetę. Oppie spieszył się, by skończyć dokładny raport dla prezydenta Trumana. Prezydent czekał przecież na to w Poczdamie.

W gazecie donoszono na pierwszej stronie o konferencji. Klaus Fuchs spojrzął na fotografię marszałka Stalina – siedział pokojowo uśmiechnięty między Trumanem i Churchillem – i zadrżał. Dopiero teraz uświadomił sobie, jaka groźba zawisła nad światem i jego najbardziej postępową częścią ludzkości. Oto ideały, którym służył przez całe życie może nagle rozwiązać jeden taki wybuch. Przerażony tą straszną wizją, Fuchs postanowił jeszcze ofiarniej działać.

## XLII

Udana próba "Trójcy" w Alamogordo nagle stworzyła prezydentowi zupełnie nową sytuację. Posiadanie tej potężnej broni stwarzało szansę uniknięcia krwawej inwazji wysp japońskich. Zmuszało cesarstwo do bezwarunkowej kapitulacji. Udział Rosji w wojnie stawał się mniej ważny, a nawet zbędny.

Truman zdołał poznać wilczy apetyt Stalina w Europie i nie miał zamiaru zetknąć się z nim w Azji. Już wstępne żądania dotyczące Korei, Mandżurii i Wysp Kurylskich były groźne. Prezydent obawiał się jednak, że Stalin widząc, iż pragnie się go wyeliminować z wojny, tym gorliwiej się w nią włączy.

Oświadczenie szefa sztabu, Antonowa, donoszące, że Armia Czerwona gotowa jest przekroczyć granicę mandżurską tuż po piętnastym sierpnia, a nawet wcześniej, najlepiej o tym świadczyło. Stalin przestał grać na zwłokę i zaniepokojony tanim łupem wymykającym mu się z rąk, jak najszybciej chce przystąpić do wojny. A sojusznik jest to uparty i trudny. Jeszcze trudniejszy za stołem konferencyjnym niż na froncie, nie ustępującym ani na krok, forsującym bezwzględnie swoje racje. Wszystkie próby kompromisu w sprawie wspólnej okupacji Niemiec czy też składu osobowego rządu w Polsce spełzły na niczym. Spotkały się z krótkim twardym "nie".

Prezydent Truman nie chciał drugiej Jałty w sprawie Japonii.

Pałacym zadaniem więc było sformułowanie wyraźnego ultimatum do rządu w Tokio, wzywającego go do natychmiastowej kapitulacji. W razie odmowy prezydent gotów był użyć bomby atomowej bez ostrzeżenia przeciwnika o jej straszliwej sile niszczącej.

Pozostawała teraz sprawa zręcznego poinformowania o tym rosyjskiego partnera. Prezydent długo się namyślał i zdecydował wreszcie pod koniec plenarnej sesji porozmawiać o tym ze Stalinem na osobności.

Usiedli w rogu królewskiej sali pałacu Cecylienhof i prezydent rozpoczął ostrożnie:

– Panie premierze. Chciałem pana powiadomić, że jesteśmy w posiadaniu nowej broni o niespotykanej dotąd sile wybuchu...

Stalin słuchał tego spokojnie, nie przerywając ssać ustnika fajki.

Parę dni temu przeszedł lekki atak serca i lekarze zabronili mu palić. Nie zastosował się do ich rad, rzadziej ją jednak nabijał. W końcu jego fajka, podobnie jak wąsy, stała się już symbolem.

Z powodu ataku jego specjalny pociąg pancerny przybył z opóźnieniem na zburzony dworzec w Berlinie. Nikt jednak o ataku nie wiedział. Wódz międzynarodowego proletariatu wydawał się w Poczdamie jeszcze bardziej nieśmiertelny. Bóg okazał się dla niego łaskawszy niż dla prezydenta Roosevelta.

Ku wielkiemu zdziwieniu Trumana Stalin nie wykazał zainteresowania nową bronią. Zbył wszystko zdawkowo:

– To pięknie. Bardzo się cieszę. Mam nadzieję, że zrobicie z niej dobry użytek przeciw Japonii...

Truman przytaknął i widząc, że Stalin nie zadaje pytań, uznał rozmowę za skończoną.

Josif Wissarionowicz wiedział już o udanej próbie "Trójcy", mógł sobie pozwolić na taką grę.

Nazajutrz spędzili zmudny dzień nad ustalaniem reparacji wojennych. Stalin domagał się całkowitego demontażu przemysłu niemieckiego. Ze swojej strefy już wywoził całe fabryki w głąb Rosji. Truman z Churchillem twierdzili, że nie można narodu w środku Europy cofnąć do ery kamienia łupanego. Stalin w pełni odrzucał to stanowisko.

– Trzeba pruskiej bestii wyrwać kły, by nigdy już więcej nie próbowała kąsać! – przekonywał.

Na marginesie tej sprawy poruszono kwestię kolaborantów. Stalin z Mołotowem domagali się wydania wszystkich byłych obywateli ZSRR, którzy znaleźli się na terytorium alianckim, w ich ręce:

– Musicie, panowie, zrozumieć – tłumaczył cierpliwie Stalin – skoro z całą surowością prawa mamy zamiar karać hitlerowskich przestępców, nie możemy oszczędzić naszych własnych rodaków. Byłoby to niemoralne. Zdradzili własną ojczyznę i własna ojczyzna musi ich osądzić. Inaczej być nie może – argumentował w znanej sobie retoryce.

– Nie mamy zamiaru przechowywać waszych przestępców. Gorzej, gdy wy przetrzymujecie naszych żołnierzy, panowie. I to sojuszników – Truman przypomniał Mołotowowi rozmowę odbytą w Waszyngtonie. Uznał, że nadszedł właściwy moment poruszenia sprawy lotników.

– Chociaż dysponujemy niezbitymi dowodami – podjął twardo – że nasi chłopcy przebywają na terenie ZSRR, wciąż nie mamy od nich żadnych wiadomości. Mimo przyrzeczeń z waszej strony!

Stalin poruszył się w fotelu. Wsunął kciuk pod szynel, a serdecznym palcem uderzał rytmicznie o guzik.

– Panie prezydencie – rozpoczął, głęboko patrząc w oczy Trumanowi – sprawa jest dla mnie wyjątkowo przykra, albowiem rzuca cień na nasze dobre stosunki. Rozmawiałem już na ten temat z ambasadorem Harrimanem i rzecz wyjaśniłem. Mołotow świadkiem. Nie mam niezbitych dowodów jak pan, że oni u nas są, ale jako praktyk i marksista nie wykluczam takiej możliwości. Taki cud mógł się zdarzyć, mimo że w cuda nie wierzę – uśmiechnął się. – Teoretycznie mogło się zdarzyć – powtórzył z naciskiem – iż zagubieni w bezkresie naszej ziemi błądzą gdzieś w tajdze lub podejmowani są przez lokalnych dowódców tak serdecznie, że zapominają o rodzinie. Jak powiedziałem, sprawę wyjaśnię i jeśli są u nas, zwrócę ich wam ze wszystkimi honorami należnymi sojusznikom...

– Wolałbym mniej honoru, więcej skutku – przerwał cierpko Truman. – Sprawa trwa ponad cztery miesiące. To są ludzie. Ich rodziny czekają. Liczą dni do powrotu...

– Daj Boże, żeby się doczekali – westchnął z nadzieją Stalin, wcale nie zrażony tą złośliwością. – Jeżeli ich tylko znajdziemy, zwrócimy natychmiast prawowitym właścicielkom. Nawet wbrew ich woli i ku rozpaczom naszych rosyjskich dziewcząt – zażartował. Był w doskonałym humorze. – Przyrzekam panu, panie prezydencie.

Rzecz wyjaśnię – na dowód prawdy położył dłoń na sercu.

Trumanowi nie pozostawało nic innego, jak przyjąć tę solenną obietnicę.

Mołotow nie wytrzymał i zapytał Stalina, gdy znaleźli się sam na sam:

– Naprawdę chcecie ich wypuścić?

– Nie sądzę, by do tego doszło. Na razie trzeba ich trzymać ciepło, a potem... potem nasi przyjaciele zapomną. Do następnej konferencji zaś daleko. Zresztą niewiele od nich potrzebujemy. Co mogli to już nam dali – nawiązał do zdobyczy ostatnich dni. – A jak na dobre zapomną, to oczywiście zlikwidujemy ich. Z bólem serca, ale zlikwidujemy. Nie stać nas bowiem na mnożenie wrogów. A przyjaciół ZSRR to my z nich nie zrobimy, co? Wiaczesław Michajłowicz? Nawet przy największych staraniach Abakumowa – zmrużył chytrze oczy. – Muszą zniknąć. Taki jest nakaz chwili i dialektyczne jądro sprawy. Inaczej być nie może – westchnął ciężko i po raz trzeci w tym dniu zapalił fajkę.

## XLIII

Oscar Vanderzaan oznajmił Betty, że Artur Fulton zaprasza ich do siebie na weekend. Chce urządzić małe przyjęcie z okazji dwudziestolecia swojej firmy.

– No, dobrze. Ale co z małym? – zapytała.

– Weźmiemy go.

– Ty wiesz... Jego obecność może źle wpłynąć na matkę Boba... i Kate – rozpozczęła.

– Nie zwracaj głowy – przerwał jej Vanderzaan, któremu nie mieściło się w głowie, że jego wnuk może komuś zaszkodzić. – Jesteś przewrażliwiona. Bzdura...

Pojechali więc na Rockway Reach całą rodziną. Peter prowadził wóz. Pogoda była wspaniała, Betty cieszyła się, że wkrótce znajdzie się na plaży.

Jak zwykle drzwi otworzyła Lilly, która od śmierci Boba ubierała się na ciemno. Była bardzo przywiązana do młodego pana. Mecenas trzymał się dzielnie, tylko siwizna na jego skroniach świadczyła, jak mocno przeżył utratę syna. Mary Fulton wyglądała lepiej niż myśleli. Nie miała już tak podkrążonych oczu i nawet chciało się jej dawnym zwyczajem wydawać rozkazy Lilly i mężowi. Daleka jednak była od formy swojej teściowej, boska Mimi wyglądała kwitnąco.

Najgorzej rzecz się miała z Kate. Stała obok swej siostry Shirley i niby brała udział w rozmowie, ale było to tylko złudzenie, w istocie była nieobecna.

Peter swoim zwyczajem próbował zabawić panie, opowiadając najnowsze kawały.

Wkrótce przyjechał Dawid. Wręczył matce Boba piękne kwiaty, a mecenasowi pamiątkowy album.

Wbrew obawom Betty mały Rick wcale nie wzbudził smutnych skojarzeń. Wręcz przeciwnie. Stał się ozdobą towarzystwa. Ledwie obudził się z drzemki, a już obległy go wszystkie panie. Powodzenie miał wielkie.

Po obiedzie usiedli na tarasie i patrząc na przeświecający przez liście ocean, kończyli powoli deser. Mecenasa otworzył francuski szampan ofiarowany mu z okazji jubileuszu przez Oscara Vanderzaana i wznosząc swój kieliszek w górę powiedział krótko:

– Dziękuję, kochani. Dziękuję, że pamiętacie. Zawsze to lżej, gdy się wie, że jesteście z nami...

– Za następne dwadzieścia lat, Art! – krzyknął Vanderzaan, chcąc podnieść nastrój.

Potem rozmawiali leniwie, podświadomie unikając tematu, który mógłby urazić gospodarzy. Nie było zresztą nic nowego oprócz wiadomości, że Truman rozmawiał ze Stalinem.

Peter zaproponował spacer nad morze i kąpiel. Zgodzili się chętnie, tylko Kate trochę się ociągała. Słońce nie grzało tak silnie i lekki wiatr dął od oceanu. Woda była ciepła.

Betty z Kate siadły na piasku, a Shirley z Peterem od razu runęły do wody, chlapiąc się beztrosko. Zanurzeni po pas nadstawiali się pod silne uderzenia spienionych fal. Białe grzywy z łomotem waliły ich po plecach.

Kate smutno patrzyła na siostrę. Shirley bawiła się beztrosko. Peter popisывał się przed nią i stając na głowie wysuwał z wody nogi.

Dawid podążył w ich ślady, ale o ileż stateczniej. Przezornie zdjął okulary i mrużąc oczy, wolno zbliżył się do brzegu. Wybadał temperaturę wody, następnie ostrożnie zaczął polewać białe plecy i przyzwyczajając je do nagłego kontrastu, rozcierał i masował piersi. Wreszcie wszedł głębiej, bohatersko kucnął i wydając z siebie okrzyk zgrozy i ulgi, zamoczył się po szyję:

– Łał! Teraz jestem okay – i energicznym crowlem, którego nikt by się po nim nie spodziewał, zaczął płynąć w głąb oceanu.

Betty przypomniała sobie nocny rajd Boba i Ricka. Jak wiele od tego czasu się zmieniło. Od tamtej szalonej kąpieli nie minął nawet rok, a oto Bob już nie żyje, Kate jest sama, a ona z trzymiesięcznym synem czeka na męża bez żadnej nadziei. Teraz siedzą na brzegu jak dwie żałobne wdowy i nie umieją wykrzesać z siebie entuzjazmu.

Kate przyglądała im się trochę, po chwili wstała i zaczęła przechadzać się wzdłuż brzegu. Czasem pochylała się i wyciągała muszlę z wody. Po jej odejściu Betty poczuła się swobodniej.

Peter i Shirley wyszli z wody i zmęczeni z radością rzucili się na piasek. Leżeli teraz nieruchomo, susząc się w słońcu.

Wkrótce wyszedł na brzeg i Dawid. Troskliwie zaczął się wycierać.

Gdy tak stał w płaszczu kąpielowym, podeszła wolnym krokiem Kate i z najwyższym spokojem oświadczyła:

– Dawid! Ty masz serce na zewnątrz. O, tu – dotknęła pustego miejsca w powietrzu. – Nie widzisz? Tak śmiesznie bije...

Początkowo myśleli, że żartuje i ucieszyli się nawet z tego, ale potem, gdy



powtórzyła to z całą mocą, spojrzeli na nią uważniej. Shirley chciała przytulić siostrę, ale Kate odepchnęła ją z taką furją, że biedna Shirley omal nie upadła. Następnie wzięła za rękę Betty, odciągnęła ją na bok i w największym sekrecie zaczęła się zwierzać z grożącego jej niebezpieczeństwa:

– Ona chce mnie zabić, rozumiesz? Otruć...

– Kto?

– Matka Boba – zasyczała ze złością.

A kiedy Betty zaprotestowała, dodała pospiesznie:

– Nie przekonasz mnie. Od dawna przejrzałam jej plan – zachichotała wściekle. – Wiem, że was wszystkich w to wciągnęła. Może tylko ciebie nie... – spojrzała na nią podejrziwie.

Kiedy przerażona Betty próbowała jej przetłumaczyć, że jest w błędzie, uśmiechnęła się z wyższością:

– Nie oszukasz mnie. Wiem lepiej. To spisek.

Po chwili jednak, jakby ten wybuch sprawił jej ulgę, Kate uspokojona, dołączyła do reszty towarzystwa.

W milczeniu wracali z plaży.

Już pod domem wyszedł im naprzeciw Oscar Vanderzaan i wołał podniecony:

– Bomba! Wybuchła nasza najnowsza bomba! O niebywalej sile mocy. Zrzucona została na jakieś japońskie miasto! Teraz muszą się poddać! Nie mają wyjścia...

Dawid podbiegł do telefonu, by zdobyć więcej szczegółów. Nerwowo połączył się z redakcją. Redaktor dyżurny potwierdził wiadomość – pierwsza na świecie bomba atomowa zrzucona została na miasto Hiroszimę z superfortecy B-29 wczesnym świtem ósmego sierpnia. Praktycznie zrównała z ziemią całe miasto. Miała siłę większą od tysiąca razem wziętych bomb, które dotąd zrzucono...

Gdy ochłonęli z pierwszego wrażenia, Dawid nachylił się do Betty i rzekł półgłosem: – Teraz rozumiesz? – a kiedy nie bardzo wiedziała, o co mu chodzi, wyjaśnił krótko: – Tę bombę zrzucili koledzy Ricka. Teraz więc jasne dlaczego Rosjanie tak długo ich trzymają. Interesują się tym samolotem...

Betty musiała przyznać, że Dawid nie jest daleki od prawdy.

## XLIV

Nie mogli teraz narzekać. Nazwa Willi pokrywała się wreszcie z rzeczywistością. Słońce naprawdę zaświeciło na ich ulicy.

Kierownik domu, Daunadze, wesoły jak świerszcz Gruzin, starał się im nieba przychylić.

– No jak tam orły? Okay – pytał raźnie i sam odpowiadał. – Jasne, że okay. Inaczej być nie może. Skoro my, Gruzini, wzięliśmy się za was – mrugnięciem dawał do zrozumienia, czym to jest rodakiem.

Codziennie higienista Prokop stawiał ich na wagę i z satysfakcją przesuwał odważnik na skali. Z troską pytał, czy im nic nie dolega.

Dentystka Wala z zapalem ratowała i plombowała, co się da. Zgłaszali się do niej tym chętniej, że dziewczyna była ładna i warto się było chwilę pomęczyć. Najwięcej wizyt składał jej Stan z powodu dwóch zębów, które raczył mu wybić pękiem kluczy Iwan Groźny w odwet za szczura. Teraz ten pech owocował.

Czułny Glenn Borsuk mruczał zazdrośnie:

– Ten ma szczęście, kurwa. Sam odżałowałbym dwa klawisze, żeby mieć takie przymiarki – wzdychał ponuro, a gdy Stan wyszedł wreszcie z nowym garniturem zębów, rzucił złośliwie: – Ale mu Wala dogodziła? Spójrzta! Nawet mój sedes w domu tak się nie świeci...

– Ty się odwal od Wali! I spuść wodę – przestrzegał go Stan, sprawdzając w lusterku swój nowy uśmiech.

Jedzenie było wspaniałe. Wiele dań do wyboru. Można też było brać dokładki. Zawsze podawano koniak i wino. Królową kelnerek była Zina – przypominała nieco Ritę Hayworth. Miała tak samo bajeczne nogi i powłóczyisty wzrok. Uśmiechała się tajemniczo. Najszybciej wystartował do niej Mario Lombardi, ale nie osiągnął upragnionego celu. Widząc jego niezgrabne umizgi, Aron złapał się za głowę:

– Aj-ja-jaj! Cóż za fuszer! Toż to kobitka, nie makaron. A on by chciał ciach na widelec i okręcić. Nie ma tak. Tu potrzebne fachowe podejście. I niezłe kiepele...

Pilnowani byli w tej willi dużo mniej. Starano się im stworzyć pozory wolności. Tylko na bramie i z tyłu parku krążył wartownik. Tłumaczono to względami bezpieczeństwa: – Odpowiadamy za was. Jesteście naszymi gośćmi... W razie czego, rozumiecie? – wyjaśniali serdecznie.

Co prawda pojedynczo poza teren ich nie puszczali, ale grupowo organizowano im wiele wycieczek i spacerów. Parę razy byli na plaży, zwiedzali też Władystok. Mogli w parku grać w piłkę, korzystać z basenu, uprawiać wszelkie sporty. Dostarczano im gazety. Z zagranicznych był niestety tylko organ komunistów brytyjskich "Daily Worker".

Rick łączywie nadrabiał zaległości. Dowiedział się o konferencji w Poczdamie i wezwaniu Japonii do bezwarunkowej kapitulacji.

Codziennie w imieniu gospodarzy odwiedzał ich Lew Spirydonycz i z troską pytał, czy nie mają jakichś specjalnych życzeń.

– Kiedy nas wypuście? – wołał Aron.

– A tu wam źle? – odpowiadał pytaniem na pytanie Lew Spirydonycz. – Nie ma się co spieszyć. W kapitalizmie gorzej – ciągnął z przekonaniem.

– Jasne, że gorzej – przyznawał mu Aron – ale ja już wolę to gorzej. Trudno. Niech tam będzie moja krzywda – poświęcał się.

Kiedy tłumacz to przetłumaczył, wszyscy ryknęli śmiechem. Lew Spirydonycz spieszył się nieco ich reakcją i dodał mniej pewnie: – Wyjdziecie. Spokojnie. A teraz wypoczywajcie. I nabierajcie sił – zakończył po koleżeńsku.

Wiera nie pokazywała się więcej. Rick domyślił się, że nie może i nie chce się

narażać. Dręczyły go wyrzuty sumienia w stosunku do żony, ale wszystko było tak piękne i nieoczekiwane, że nie miał sił tego żałować. Z tkliwością wspominał tę "minutoczkę" zapamiętania, która przywróciła go do życia i dała wiarę we własną moc. Dużo chodził po parku. Najczęściej w towarzystwie Barneya, Arona i Stana. Ten ostatni bardzo do niego przyłgął i otworzył przed nim swoją rogatą, nieufną duszę. Pewnego dnia Rick usłyszał z ust Stana jego historię:

– Byłem jeszcze szczeniakiem – zaczął – miałem szesnaście lat, kiedy rodzicom zlicytowali farmę. Nie było co jeść. Samo dno depresji, trzydziesty drugi rok. Uciekłem z domu, do Buffalo. Tam spotkałem chłopaków, którzy szmuglowali whisky z Kanady. To była cała mafia. W Montrealu poznałem destylatora i już po trzech miesiącach zarobiłem więcej niż moi starzy przez całe życie...

Rick przypomniał sobie swojego ojca, świetnego destylatora i jego słynną poteen, na której nie zarobił jednak ani grosza. Przez całe swe życie ciężko harował w stalowni...

– Wydawało mi się, że złapałem samego Pana Boga za nogi, gdy poznałem Clair Dubois. Pracowała na ulicy. Mało mnie to obchodziło. Zakochałem się. Ona twierdziła, że też. Dałem jej forszę na spłacenie alfonsa, jak mówiła. Mieliśmy się pobrać. Kiedyś wróciłem z Buffalo wcześniej i nakryłem ją w łóżku z tym właśnie gachem. Wyjąłem spluwę. On prysnął przez okno, a ona zaczęła krzyczeć, żebym się wynosił. Najpierw ubliżała mi od głupich gówniarzy, a potem zaczęła wrzeszczeć "Ratunku! Złodzieje!" Wtedy strzeliłem. Potem sam zgłosiłem się na policję. Dostałem dwanaście lat, wypuścili po sześciu. To wszystko. Teraz już wiesz... – dokończył ponuro.

Rick nie zdradził się słowem, że znał tę historię. Starał się go pocieszyć:

– Jak stąd wyjdziemy, wszystko nam odpuszczają. Odpokutowaliśmy za nasze grzechy. Kanonizują cię, stary... – żartował.

Powoli zaczęli zapominać o koszmarnych przejściach. Kiedyś, gdy spacerowali po parku we trzech, Aron powiedział:

– Nie wiadomo, co w życiu się przyda. Czasem cierpienie potrzebne jest też... Jak z zębami Stana. Gdyby ich Iwan nie wybił, Stan nie miałby z czym przychodzić do Wali. Dus geszeft gut ajngegeben! (ten interes ci się dobrze opłacał) – przekonywał go.

Romans z Walą Stan traktował coraz poważniej. Od historii z Clair w zasadzie unikał kobiet. Ledwie jednak ujrzał Walę, wiedział, że wpadł. Nie rozumiał, co mówi, a mógł jej słuchać godzinami.

Pewnego dnia po prostu oświadczył się Wali przy pomocy Arona. Miał naprawdę poważne plany. Ona jednak zachowywała się dziwnie i wciąż dawała niejasne odpowiedzi. Nie rozumiał tego zupełnie.

Teraz też. Siedział w dentystycznym fotelu i znów ją o to zapytał. A ona bez słowa włączyła borek.

Na pociechę gładziła go po włosach, a nawet parę razy lekko pocałowała w głowę. Biedny Stan jęczał z bólu nie tyle z powodu zębów, co własnej bezsilności. Nic z tego ciągle nie rozumiał.

Pomimo tych przeszkód ich czysty związek był jednym z piękniejszych, jakie

udało się Rickowi zaobserwować. Trudno się było nie uśmiechnąć, widząc Stana, który nigdy dotąd nie splamił się lekturą książki, jak pilnie studiuje rosyjski słownik pod starym kasztanem w parku. Był to jeden z większych cudów tego świata, który zdarzył się w tej słonecznej willi.

W najgorszym położeniu z całej załogi znalazł się Regis Cardwell. W zasadzie wybaczyli mu, ale nie było już tak jak dawniej. Sam Regis przestał przypominać dawnego Regisa. Ze słynnego glancusia niewiele zostało. Nawet pomięte spodnie bez kantów mu nie przeszkadzały. Snuł się jak widmo i wionęło od niego wódka. Z rozpachy zaczął pić, czego dawniej nie robił. Wyglądał coraz bardziej szmatławo. Rick starał się przekonać kolegów, żeby okazali mu więcej serca. Najdłużej ignorował go Glenn:

– Ja tej kurwie ręki nie podam – odgrażał się. – Nie wymagajta tego ode mnie...

Rick wreszcie się wściekł i wykrzyknął, żeby nie rznął świętego: – Nie bądź ty taki bohaterski Pulaski, Borsuku! Kto płakał, że wszyscy zdechniemy, jeden Regis przeżyje?! Już nie pamiętasz?! Jak zazdrościłeś mu jego mądrości?! Więc skończ ten sąd, bo to śmieszne! – zwymyślał go.

Wkrótce Rick zauważył z zadowoleniem, że Glenn z Regisem dyskutują wesoło przy barze.

Najlepiej zgłębił miejscowe stosunki Aron i on był ich głównym informatorem. Od niego dowiedzieli się, że szefem komercji w willi jest kucharz Wasia, a najgroźniejszym człowiekiem masażysta Prokop. Mimo niewinnej funkcji higienisty w istocie był oficerem MWD i nawet sam kierownik Daunadze bał się go jak ognia. W jego obecności natychmiast stawał się gorliwy, a partyjne skrzydła rosły mu u ramion.

Aron szybko odkrył, że w szczęśliwej krainie Wujka Joe nawet na partyjnych szczytach dają się zauważyć bolesne braki artykułów, które na Lower East Side są niemal w każdym sklepie. Postanowił w miarę swych skromnych możliwości wypełnić tę lukę. Pomogły mu w tym walnie rzeczy odzyskane z depozytu, szczególnie zaś złoty zegarek, który stał się przedmiotem marzeń zarówno kucharza Wasi, jak i kierownika Daunadze. Obydwaj płonęli do niego dziką namiętnością i prześcigali się w cenie. Aron się jednak nie spieszył i spokojnie licytował. Kiedy błagali go: – Sprzedaj! – odpowiadał: – Pamiątka rodzinna – czym jeszcze bardziej podsyczał ich pożądliwość. Wreszcie zdesperowany kierownik Daunadze nie wytrzymał i zdecydował się upić upartego radiotelegrafistę i w ten sposób z pijanym dobić targu. Pech jednak chciał, że sam upił się pierwszy. Przy okazji doszło do zwierzeń:

– Arońka, mordo – wyznawał czule – ty nawet nie wiesz, jak ja cię kocham, pizdo. Dlaczego ty nie jesteś Gruzin?!

– Bo jestem Żyd – odpowiadał Aron.

– Jaki ty Żyd – machał z pogardą Daunadze. – Żydy są tu. Tu jest ta swołocz. A ty jesteś prawdziwy towarzysz. Jak nasz Łazar Kaganowicz – zawołał z dumą.

– To mój wujek – wtrącił skromnie Kaplanowicz.

– Wujek?! – ucieszył się. – No proszę! Wiedziałem, że ty z tej rodziny! Dlatego ja cię tak kocham. Wielki towarzysz Stalin ma swego Łazara Kaganowicza, a ja ciebie, pizdo! Daj mordę, najdroższy! A mechaje (cudo) – powtarzał ulubione słowo

Arona w jidisz i nadstawił swego stalinowskiego węża.

Aron zręcznie wywinął się od jego pieszczot, zdecydowanie preferując inną płć:

– Jak ty mi sprzedasz ten zegarek – ciągnął wzruszony Daunadze – to ja ci dam wszystko. Będziesz miał kobiety, wino i śpiew! Do Gruzji cię wywiozę – zawołał z zapalem.

– Wolę do Stanów – zaproponował Aron.

– Do Stanów? – zastanowił się Daunadze. – Niech będzie do Stanów – zgodził się. – Tylko Ameryka nie to... Stalina nie wydała – wskazał z dumą wielki portret na ścianie.

– Goteniu! Jeszcze tego by brakowało – przeraził się Kaplanowicz.

Daunadze miał już mocno w czubie i Aron coraz bardziej badał swego przyjaciela:

– A ty tam na mnie nie donosisz?!

– Na ciebie nigdy. Przysięgam! – przesadnie bił się w piersi.

Aron wiedział, że w tym dziwnym kraju jest rzeczą normalną, że tacy mili kumple donoszą, nie przestając szczerze kochać.

Daunadze znów zaczął błagać Arona, żeby mu sprzedał zegarek. Kaplanowicz jednak sprytnie zmienił temat i wrócił do sprawy kobiet. Dał tylko na chwilę potrzymać.

– Co za zegarek! – wzdychał namiętnie Daunadze, próbował dolać wina Aronowi, ale nie trafił w kieliszek i rozlał po serwecie. Czujny Aron odebrał pamiątkową "Omegę" i spytał o Zinę. Tajemnicza kelnerka coraz bardziej go irytowała. Daunadze zdecydowanie odradzał:

– Nie dla ciebie ta bladź, Arońka. Innej niewiasty ci trzeba... – czule beknął. – Ceni się, suka, nie daje. Ma narzeczonego w rajkowie i dlatego... – ziewnął z pogardą.

Znów chciał nalać Aronowi "winca", ale już nie dał rady. Zarył nosem w stół. Aron też czuł, że za chwilę padnie. Kiedy zobaczył, że Stalin gubi płaszcz i macha na niego groźnie: ostrzegając w jidisz: – Chilul Haszem! (obraza boska) – postanowił wstać.

Daunadze spał z głową na stole i chrapał jak wieprz. Ręka wpadła mu w salaterkę. Aron ruszył chwiejnym krokiem i nagle poczuł, że spada. Zjechał ze schodów prosto w ramiona portiera Pantaleja.

– I warto tak pić, panie Aron? – usłyszał głos pełen współczucia – Z takim chamem. To przecież cham. Bydlę – wyszeptał, akcentując wykwinnie to "ę". – Jak circa wiadra wódki nie wyżłopie, to twierdzi, że nie pił. Żadnej kultury. Dzicz – zamruczał z najwyższą pogardą.

Godnie dźwignął oporne ciało Kaplanowicza. Szli znów zgodnie w górę. Na każdym stopniu Aron osuwał się i łapiąc się za głowę wpadał w okropny lament:

– Gewalt! Jak ja przeżyję tę przyjaźń?! Nie wiem...

– Przeżyje pan, panie Aron – uspokajał go Pantalej. Pan się przyjaźni z nimi circa parę dni, a ja całe trzydzieści lat. I jakoś żyję. Te schodki też zdobędziemy. Powoli. Skończą się. Wszystko się skończy, miły – mrugnął do niego mściwym okiem i razem, po bratersku, pokonali najwyższy stopień.

## XLV

Bomba zrzucona na Hiroszimę wstrząsnęła murami Kremla. Josif Wissarionowicz pospiesznie zwołał naradę i zlecił Mołotowowi natychmiastowe wypowiedzenie wojny Japonii. – Czas nagli. Nie wolno zwlekać ani minuty – uznał.

W niedzielę ósmego sierpnia Wiaczesław Michajłowicz wezwał do siebie ambasadora japońskiego i zimnym głosem odczytał mu notę informującą rząd cesarza Hirohito, iż Armia Czerwona przekroczyła na całej długości granicę japońską. Następnie, poprawiając binokle, nie podał mu ręki i oznajmił, że wizyta jest skończona.

Dla ambasadora Naotake Sato \* był to cios. Do końca wierzył, że uda mu się zachować neutralność Rosji. Ten sam Mołotow zapewniał go jeszcze niedawno, że rząd radziecki nie żywi żadnych wrogich zamiarów wobec Japonii. Teraz wyszedł z gabinetu zdruzgotany. Wiedział, że to koniec Imperium. Przeciw takim trzem potęgom, jak Rosja, Ameryka i bomba atomowa walczyć nie sposób.

Postać autentyczna.

Tymczasem Josif Wissarionowicz po wydaniu tej brzemiennej w skutki decyzji kazał sobie przedstawić wszystkie materiały dotyczące wybuchu bomby. Szczegóły, które właśnie nadeszły, przeraziły go wręcz. Siła wybuchu przeszła jego najgorsze oczekiwania.

– I co my na to? – zapytał. – Jaka jest nasza odpowiedź, towarzysze?

Wezwani członkowie Biura milczeli. Stalin przechadzał się po gabinecie, wreszcie wyskandował:

– Nasza odpowiedź może być tylko jedna. Moralna – dla podkreślenia zatrzymał się. – Musimy uderzyć na alarm. Wystąpić przeciw tej strasznej broni wszelkimi dostępnymi środkami. Ukazać jej zbrodniczy i imperialistyczny charakter. My, komuniści – wybijał twardo, jakby układał odezwę – którzy mamy i mieliśmy zawsze dobro człowieka i jego najwyższe humanistyczne wartości na względzie, inaczej postąpić nie możemy. Skoro takiej bomby jeszcze nie mamy – powiódł po zebranych wzrokiem i sięgnął po fajkę. – Może należy zorganizować światowy kongres pokoju? Zobaczymy. To w dalszej perspektywie. Strategia. Wróćmy do taktyki. I co wyście mi opowiadali o zaawansowaniu naszych prac? Że nasi naukowcy nie gorsi od Amerykanów? Nie gorsi, tylko dali się wyprzedzić, co? Nie pomogli nasi ludzie w Stanach, którzy podobno tak walnie nas wspierali – spojrzał z wyrzutem na Berię. – Widzicie jak wspierali – stuknął fajką w stół, pokazując materiały z Hiroszimy. – I po co była ta cała heca z samolotem?! Funta kłaków nie warta. Sam kłopot. Truman mi tylko głowę zawraca. Musiałem cuda wymyślać – burknął niezadowolony.

– Rzeczywiście – poparł go szybko Mołotow. – Gdyby nie genialna dyplomacja towarzysza Stalina, byłoby naprawdę fatalnie – delikatnie skierował piłeczkę w stronę Berii.

– No właśnie – podjął Stalin – teraz, gdy znów weszliśmy w wojenny sojusz z Aliantami, ta drobna na pozór sprawa może nam stanąć kością w gardle. Czasem taki głupi incydent więcej waży w stosunkach wzajemnych niż wielkie fakty. Nie muszę was uczyć dialektyki dziejów?! – powiódł po zebranych surowym wzrokiem nauczyciela – w tej sytuacji – zastanowił się chwilę – proponuję z tym skończyć. Zamknąć sprawę tego nieszczęsnego samolotu, towarzysze – przestał chodzić i usiadł przy stole. – Zamknąć, to znaczy wystąpić ofensywnie. Zaatakować samemu. Wiadomo bowiem, że atak jest najlepszą formą obrony – zacytował zdanie ze swej słynnej teorii o strategii wojny.

Nie bardzo wiedzieli, o jaki atak Stalinowi chodzi.

Josif Wissarionowicz sięgnął po zapalki i zaczął przypalać zgasłą fajkę. Gdy wreszcie z tym się uporał, rzekł nieoczekiwanie:

– I my rzucimy tę bombę. Bombą odpowiemy na bombę – uśmiechnął się chytrze.

– W jaki sposób? – zapytał Kaganowicz, który nie bardzo pojmował ten cały wywód.

– Odnajdziemy szczęśliwie tych lotników, towarzysze – zbył to pytanie Stalin. – Odnajdziemy, kochani, w japońskim więzieniu w nowo wyzwolonej Mandżurii. Pośle się tam sprytnego zucha w rodzaju Erenburga czy Nowikowa, i niech ci on opisz, jak ich tam okrutnie torturowano, męczono, jednego nawet zakatowano na śmierć... No i... – Stalin uśmiechnął się – jak bardzo są nam wdzięczni za wyzwolenie. To ważne. Podkreślenie aspektu braterstwa. W tej sytuacji sprawa znaczka po zabitym poruczniku automatycznie się wyjaśni. Typowa prowokacja japońska. Podrzucili go nam przez swego agenta do amerykańskiej ambasady w Moskwie. Już oni to ubarwią. Od tego są literatami – Stalin wesoło pyknął fajeczką.

– No, dobrze. A co potem? – przerwał zaskoczony Mołotow, który świetnie pamiętał rozmowę w Poczdamie. – Nie będziemy przecież mnożyć wrogów – zacytował Stalinowi jego własne słowa.

– Oj, Wiaczesław Michajłowicz – westchnął z politowaniem Stalin. – Za kogo wy mnie macie, mój drogi – skarcił go łagodnie. – Nic nie kojarzycie. Po prostu nie słuchacie, co mówię, ot co! Otóż każemy wsadzić ich do samolotu – ciągnął z niezmaconym spokojem. – I odeślemy ze wszystkimi należnymi honorami. Tak jak obiecałem Trumanowi. Niech wie, że Stalin dotrzymuje słowa... – urwał czekając, który pierwszy z nich zgadnie.

– Rozumiem – rzekł olśniony Beria i zachichotał złośliwie.

– Ano właśnie – potwierdził zadowolony Stalin. – Muszę przyznać, towarzysze, że jeden Ławrientij Pawłowicz słucha uważnie. I wyciąga prawidłowe wnioski – pochwalił swego szefa bezpieczeństwa. – Zapamiętał bowiem, co powiedziałem na wstępie...

– Że bombą odpowiemy na bombę – wyrwał się jak prymus Beria, szczęśliwy, że może pognębić kolegów. Tą bombą odbił piłeczkę Mołotowa.

– No właśnie – mruknął z aprobatą Stalin. – Techniczną stroną zagadnienia zajmie się już Abakumow. Nawarzył tego piwa, niech pije. Może trzeba będzie ponieść jakieś ofiary w związku z tym? To poniesiemy. Trudno. Inaczej być nie może. Skoro w grę wchodzi honor partii. Nie mówię już o moim. Bo mój, co tam! –

machnął lekceważąco ręką – o honor partii idzie. Nie możemy narażać go na szwank – dokończył z całą mocą i rozejrzał się po twarzach zebranych. Odczekał chwilę i podjął już bardziej formalnie:

– Czy przyjmujecie zatem wnioski? A może poddamy go pod głosowanie? Żeby wymogom statutu stało się zadość?

– Po co?! – zaprotestował Chruszczow. – Każdy z nas się naturalnie zgadza – odparł ze szczerym uśmiechem za wszystkich.

Poparli go głośno, zgodnie kiwając głowami.

– Tym lepiej. Przynajmniej nie jestem sam. Nie ja jeden dźwigam tę ciężką decyzję. Wspólnie ją dźwigamy. Zawsze w kolektywie raźniej – zażartował.

Korzystając z przychylniej atmosfery wokół siebie i niedawnej pochwały Stalina, Beria nie omieszkał zapewnić, że nad przebiegiem akcji będzie czuwał osobiście:

– Aby ocean ich bezwiednie wchłonał, nie rzucając smugi cienia – jak się wyraził nieco górnolotnie we wschodnim stylu. Potem dodał parę zdań po gruzińsku. Stalin kiwnął głową i odpowiedział po rosyjsku, wstając od stołu:

– Oczywiście, że tak. Dlaczego im bronić? Niech sobie chłopcy używają życia. Kiedy to mają robić, jak nie dziś? – chrząknął dobrotliwie, nakładając na spodeczek swoje ulubione konfitury z zielonych włoskich orzechów. Następnie ponownie zajął miejsce za stołem i przeszedł do spraw najważniejszych. W końcu wojna z Japonią się rozpoczęła i Josif Wissarionowicz miał zamiar ją równie zwycięsko zakończyć. Układał już w głowie listę przyszłych, bliskich zdobyczy.

\*

\*

\*

Abakumow znów zadzwonił do Makarowa i zawiadomił o tym, że sprawa lotników dojrzała do generalnego rozwiązania:

– Nie mamy się co kryć przed światem – rzekł pogodnie – i w związku z tym wybiera się tam do was Aleksander Siergiejewicz Nowikow. Z ramienia TASS. Znacie go, mam nadzieję?

– Nie osobiście – odparł z szacunkiem Makarow – ale z twórczości. Jestem entuzjastą jego pióra...

– Wszyscy jesteśmy – przyznał generał. – Otóż Aleksander Siergiejewicz pomoże wam ustalić właściwą wersję odnalezienia tych lotników, możliwą do przyjęcia zarówno przez nas, jak i naszych sojuszników. Rozumiemy się chyba?

– Oczywiście, towarzyszu generale – zapewnił Makarow.

– Liczę więc, że ułatwicie mu kontakt z lotnikami i wprowadzicie we wszystko. Jednocześnie, wraz z nim leci mój specjalny wysłannik, pułkownik Orłow. Wprowadzi was w pewne plany. Ale to już na miejscu. No i jak tam Amerykanie? – zmienił temat – poprawili się?! Można ich już pokazać?! – zapytał z troską.

– Jak najbardziej. Tyją w oczach, towarzyszu generale. Jak zdrowe wieprzki – stwierdził z dumą.



– No widzicie. Każdemu potrzebna zmiana. Służy im nasz klimat. Na razie niech się bawią. Niech się bawią chłopcy. Może urządzić im jakiś bal? Na cześć wspólnej wojny z Japonią, co? Jak myślicie? To świetna okazja. I znakomity temat do reportażu. Ale to już z Nowikowem. On wie lepiej, co mu potrzeba – to mówiąc generał podał dokładny czas przylotu do Władywostoku obydwu delegatów. – Daję im mój samolot – zaznaczył. – To co, Grigorij Wasiliewicz? Muszę kończyć, bo towarzysz Beria na linii. Bawcie się dobrze i trzymajcie rękę na pulsie. Tak jak dotąd – pochwalił i odłożył słuchawkę.

"O ileż przyjemniejsze są takie rozmowy? Czynienie dobra ludziom leży bardziej w mojej naturze" – pomyślał Grigorij, wstając od biurka.

Wesoło pogwizdując, wezwał do siebie Lwa Spirydonycza. Mimo iż nie miał złudzeń co do parszywości jego charakteru, postanowił być dla niego miły. Tym bardziej, że chłop się starał. Nie mógł mu nic zarzucić.

Wysłuchał więc najpierw dokładnego raportu z pobytu Amerykanów w willi "Słońce Kaukazu", a potem udzielił instrukcji.

– Domagają się korespondencji – referował Lew Spirydonycz. Ich listy chowam na razie u siebie do dalszej decyzji. Stosunki z personelem świetne. Aż za dobre. Chłopcy nie żałują sobie – uśmiechnął się dwuznacznie.

– Macie na myśli afery sercowe? – zapytał Makarow.

– Sercowe i handlowe – odparł Lew Spirydonycz. – Szczególnie jeden Żyd jest wyjątkowo aktywny na tym polu. Ale przymykamy na to oko. Kierownik Daunadze go kontroluje. I zabezpiecza wszystko. Po przyjacielsku, rzecz jasna – zastrzegł się z góry.

– To dobrze, Lew Spirydonycz. Widzę, że czuwacie. Chciałbym was teraz powiadomić, mój drogi, że jutro przyjeżdża do nas znany pisarz i korespondent TASS, Aleksander Nowikow. Generał Abakumow mi go polecił. Nowikow będzie pisał o naszych Amerykanach. W nowym, serdecznym duchu... – dokończył z emfazą Grigorij.

Lew Spirydonycz nie wiedział, co bardziej podziwiać: awans jego szefa, imię sławnego pisarza, polecenie generała Abakumowa czy ów nowy, serdeczny duch. Na wszelki wypadek wyprężył się na baczność i zadeklarował:

– To dla nas wielki zaszczyt, Grigorij Wasiliewicz. Postaram się stanąć na wysokości zadania...

– No właśnie. Starajcie się... – Makarow kiwnął głową i wyciągnął w jego stronę papierosy. – Otóż w związku z tym przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Nie byłoby źle, gdybyśmy urządzili przyjęcie połączone z wieczornicą. Taki mały bal braterstwa. Na cześć wspólnego wysiłku zbrojnego w walce z Japonią. Taka impreza poza propagandowym wydźwiękiem ma jeszcze ten dodatkowy plus, że stworzy naturalną bazę spotkania Nowikowa z lotnikami. Wszystko nie będzie miało sztywnego charakteru wywiadu. Rozluźni się. A i dla czytelników taki bal dużo ciekawszy...

– Genialny pomysł, Grigorij Wasiliewicz – poświadczył Lew Spirydonycz. – Bardzo ułatwiający...

– Zajmijcie się tym – zlecił mu Makarow. – Uatrakcyjnijcie. Zorganizujcie

występy. Sprowadźcie paru solistów opery i baletu. Jakiś cyrkowiec czy iluzjonista nie zawadzi. Oczywiście orkiestra. Przemyslcie to. Daję wam w tym względzie inicjatywę. Myślę, że w sobotę będzie w sam raz – spojrzął na kalendarz. – Nowikow przylatuje jutro wieczorem, więc jutro odpada. Tak jest. Sobota wygląda realnie – zdecydował.

Lew Spirydonycz obiecał, że natychmiast uruchomi ludzi i odmeldował się pospiesznie.

Makarow posiedział jeszcze w biurze i po załatwieniu kilku spraw kazał się wieźć do domu. Był pewien, że wszystko ucieszy Wierę. Wciąż była w dziwnym nastroju, melancholijna, narzekała na ciągłe bóle głowy. Krótki wyjazd za miasto niewiele jej pomógł. Chodziła smutna i osowiała. Zupełnie nie ta sama. Grigorij już nie wiedział, co myśleć. Wydawało mu się, że teraz naprawdę nie ma powodu do smutku. Miał miejsce, co prawda, ten przykry incydent z Garmontowem, ale to dawno powinno minąć.

Cieszył się, że teraz będzie mógł ją zaskoczyć czymś nowym. Szybko umył ręce w łazience i siadając do stołu, uroczyście zakomunikował:

– Zgadnij, kochanie, kto jutro przyjedzie?

– Skąd mogę wiedzieć – odparła cicho, stawiając talerze.

– Wyobraź sobie, że sam Aleksander Siergiejewicz Nowikow! – wybił z triumfem.

Wzruszyła ramionami.

– Sądziłem, że się ucieszysz? – rzekł rozczarowany.

– Nieszczególnie. Jeśli mam być szczerą – postawiła wazę z resztką zupy. – Możesz zjeść całą. Ja nie chcę. Nie jestem głodna – sięgnęła po kwas chlebowy.

– Przecież byłaś jego wielbicielek. Kochałaś się w bohaterach "Stalowych serc"?!

– Ale się odkochałam. Straciłam serce do tych "Stalowych serc" – rzuciła z przekąsem.

– Możesz przynajmniej zdradzić powód? – dopominał się.

– Nie warto – zbyła go krótko.

Nie miała ochoty opowiadać mu sceny w pociągu. Pewnie by nie uwierzył. Albo bronił Nowikowa. Skończyłoby się na niepotrzebnej awanturze. Książki z dedykacją nawet nie przywiozła. Zostawiła w Moskwie. Nie chciało jej się dźwigać.

– Dziwne – skonstatował Grigorij i z westchnieniem przystąpił do jedzenia zupy.

Wiera w zamyśleniu popijała kwas. Wydawała się nieobecna.

"Co się z nią dzieje u licha? Zupełnie wariuje" – pomyślał. Zniechęcony jej pierwszą reakcją, bez specjalnego entuzjazmu zakomunikował jej drugą część nowiny. Że szykuje się bal dla Amerykanów.

– Bal?

Grigorijemu wydawało się, że jakby drgnęła.

– Bal. Bal braterstwa, kochanie. Na cześć wspólnie przelanej krwi – zakpił lekko.  
– Uważasz, że to źle?

– Wspaniale – rzekła, dopijając kwas. Zasłoniła twarz ręką. – Należy im się trochę zabawy. Po tym co przeszli – zauważyła i szybko wyszła do kuchni.

– I ja tak myślę – rzucił za nią. – Wyjątkowo się zgadzamy. Pod tym względem – wtrącił z ironią.

Wiera ledwie się opanowała. Gwałtownie zaczęła krzątać się po kuchni, machinalnie przestawiając naczynia. Trochę to jej pomogło. Roztrzasała wciąż usłyszaną nowinę. "Gdyby znał, co to za braterstwo, pewnie by tak nie żartował – pomyślała z mieszaniną strachu i rozbawienia. – Co za paradoks?!"

Gorączkowo zaczęła nakładać na talerz. Kiedy nieco ochłonęła, weszła znów do pokoju. Postawiła przed Griszą drugie danie. Nawet nie zauważył, pochłonięty lekturą "Prawdy".

– To co? Nie cieszysz się? – rzucił znad gazety.

– Ależ cieszę...

– Widzę, że nie sposób ci dogodzić – odłożył gazetę i z entuzjazmem przysunął talerz.

– Wręcz przeciwnie – rzekła możliwie normalnie. – Z rozkoszą pójdę na ten bal. Jeśli mnie tylko zabierzesz?! – dodała ironicznie.

– Kompletnie ignorujesz chłopstwo. Przynajmniej w łóżku – ze smakiem połknął mięso.

– Oj, Boże, Grisza – westchnęła. – Tobie tylko to jedno w głowie. Nie rozumiesz, że czasem mogę być chora...

– Rozumiem. Rozumiem. Aż nadto – otarł usta serwetką. – Dlatego sobie tak dużo pozwalasz, ty jędo – rzucił półzartem. – Masz szczęście – powiedział. – Chłop jestem, ale miękki. Uległy rab wobec jaśniepaństwa.

– Oj, przestań – jęknęła z grymasem.

– Okay. Okay. Jak mówią nasi bracia Amerykanie. Na bal zabiorę. Tym bardziej że ostatni rywal odpadł...

– Znaczy kto? – zaniepokoiła się.

– Nowikow! Ale skoro stwierdziłaś, że się odkochałaś, to możemy śmiało iść! – zawyrokował.

– To kiedy ten bal? – spytała obojętnie.

– W sobotę. W sobotę, skarbie. – Leniwie przeciągnął się na krześle. – I masz się ładnie ubrać, słyszysz? Niech ludzie wiedzą, cholera, że komendant "Smiersza", Makarow, ma najpiękniejszą babę w mieście. Najpiękniejszą i najgorszą. Ale to tajemnica służbowa – przytknął palec do ust. – I chyba mnie nie zdradzisz, co? – badawczo spojrzał jej w oczy.

## XLVI

Spotkanie z Nowikowem było dla Makarowa naprawdę wielkim przeżyciem. Wreszcie spotkał pisarza, którego książkami zaczytywał się, a reportaże wojenne traktował jak świętość. Grigorij przypomniał sobie, że wyszedł nawet specjalny rozkaz zabraniający używania artykułów Nowikowa drukowanych w "Prawdzie" do skrętów machorki. Chodziło o to, żeby żołnierze na froncie mogli je sobie podawać z rąk do rąk. Nawet bez rozkazu czytane były powszechnie i szanowane niezwykle. Szczególnie korespondencje Nowikowa z oblężonego Stalingradu cieszyły się olbrzymią sławą. "Trudno się w nim nie zakochać" – pomyślał i dziwił się Wierze, że straciła do niego serce.

Towarzyszący mu pułkownik Siemion Ignatiewicz Orłow przedstawił się jako specjalny wysłannik generała Abakumowa i na wstępie przeprosił, że nie będzie im towarzyszył, bo jest trochę zmęczony. Umówił się z Makarowem nazajutrz.

Nowikow mimo późnej pory tryskał energią i pełen wrażeń zapraszał do baru. Grigorij nie dał się ubiec, poprowadził pisarza do specjalnej salki zarezerwowanej tylko dla wybitnych gości. Tu wybór trunków był dużo większy, znajdowały się też zagraniczne artykuły deficytowe, takie jak papierosy, czekolada, owoce cytrusowe.

Zapraszając tu Nowikowa, Grigorij wiedział, że nie będzie się musiał wstydzić. Kelnerka od razu podbiegła usłużyć. Nowikow nie chciał nic jeść, zamówił tylko kawę i mały tort. Wzięli też po kieliszku koniaku:

– No wspaniale – pochwalił barek pisarz. – Kawa lepsza niż w Moskwie – orzekł ze znanstwem. – A ja coś o tym wiem, bo bez paru kaw z rana nie funkcjonuję. Niskie ciśnienie – zwierzył się.

Po paru minutach przeszedł do zasadniczej sprawy:

– No tak, Grigorij Wasiliewicz. Bardzo się cieszę, że mnie przypadł w udziale ten trudny temat. I rozmowa z Amerykanami...

– Na pewno nie będzie łatwa – delikatnie ostrzegł go Grigorij.

– No właśnie. Generał Abakumow mi mówił. Jak wiele przeszli. Całkiem niewinnie – westchnął ze smutkiem. – Nie są jeszcze w najlepszej formie, co? Trudno się dziwić. W ludzkich warunkach przebywają niedługo...

– No tak. W zasadzie tak – zgodził się Grigorij.

– Podobno byli w koszmarnym stanie. Półtrupcy. Ledwie przeżyli. A jeden umarł w celi. Fulton, zdaje się? – sięgnął po notes – Tak jest. Porucznik Robert Fulton. Zmarł z ran mimo naszych wysiłków. Po amputacji nogi – zamknął zeszyty z żalem.

Makarow z uznaniem stwierdził, że Nowikow jest świetnie wprowadzony w sprawę. "Czy on naprawdę zamierza o tym pisać? To niebywałe..." – pomyślał ze strachem.

I kiedy podziwiał odwagę pisarza, Nowikow nagle wtrącił:

– Miejscowość to jest Hanchun? Gdzie ich odnaleziono?

Grigorij zbaraniał. W pierwszej chwili myślał, że Nowikow żartuje, ale on dalej

ciągnął z poważną miną:

– Zgadza się. Generał dokładnie mi podał. Jakies pięćdziesiąt kilometrów od naszej granicy – schował notes do kieszeni. – Swoją drogą mieli niezwykle szczęście, że na nas trafili. Gdybyśmy ich w porę nie odbili – zginęliby. W ostatniej minucie dosłownie. Japończycy znani są z okrucieństwa – stwierdził, zapalając papierosa.

Grigorij słuchał tego wszystkiego oniemiały. Nie wiedział zupełnie, co o tym sądzić. "Albo on zwariował, albo kazali mu zwariować – myślał pośpiesznie. – Skoro jednak Abakumow podał mu więzienie w Hanchun, nie ma powodu upierać się, że to było we Władywostoku. Dopiero taki upór jest szaleństwem – kalkulował – widać chcą zwalić wszystko na Japończyków i nie jest to wcale takie głupie – uznał. – Tylko jeśli Japończycy to zrobili, to za co zginął doktor Garmontow? Był niewinny. I ja go niesłusznie zabiłem" – zrobiło mu się słabo i czuł, że musi wstać, bo za chwilę zemdleje.

– Co z wami? – spojrzał na niego Nowikow.

– Nic, nic. Duszno tu trochę – usprawiedliwił się i pospiesznie dopił koniak. Z miejsca zamówił drugi.

– "Dobrze, że nie ma świadków – rozważał dalej – Tylko ten strażnik Własenko..." – z wrażenia huczało mu w głowie.

Nowikow coś mówił do niego, ale on nic nie rozumiał. Siedział jak na torturach i marzył, żeby Nowikow wreszcie skończył. Ale ten jak na złość tokował, opowiadał teraz jakieś anegdoty. W końcu dotarły do niego słowa pisarza:

– To co? Czas chyba. Jutro czeka nas ciężki dzień...

Nie zaprzeczał i czym prędzej uregulował rachunek. Odprowadził Nowikowa do pokoju. Z ulgą opuścił hotel.

Spał źle. Co chwila zjawiał się doktor Garmontow i głaszcząc swą kozią bródkę zapytywał:

– Chciałeś mnie zabić? – Zionęło od niego trupem. A gdy chciał go dotknąć, krzyknął.

Otworzył oczy.

Rano w okropnym stanie ruszył do biura. I tu czekała go znów niespodzianka. Przywieziony z hotelu pułkownik tym razem przedstawił się dokładniej:

– Siemion Ignatiewicz Orłow. Dyrektor Departamentu VII do zadań specjalnych – wyjaśnił krótko.

"Znaczy od mokrej roboty" – uzmysłowił sobie Makarow. Tak bowiem potocznie nazywano ten departament. Teraz już wiedział, że nic dobrego go nie czeka. Starał się jednak opanować i nie okazać zdenerwowania. W napięciu czekał, co powie pułkownik. On tymczasem zaczął referować sprawę tak, jakby rozgrywał partię szachów. Miał nawet w sobie coś z szachisty. Jak chciał dokładniej coś wyjaśnić, to ustawiał zapalniczkę i pudełko papierosów i przesuwał nimi jak pionkami po szachownicy.

– Oficjalną wersję znacie. Wraz z naszym odlotem do Władywostoku ukazało się oświadczenie TASS o szczęśliwym odnalezieniu lotników w Mandżurii. W ślad za

tym przewiezieni zostali tutaj, gdzie udzielą pierwszego publicznego wywiadu. W tym wystąpieniu towarzyszy Abakumow życzy sobie, by wzięli udział oprócz Amerykanów, świadkowie z naszej strony. Najlepiej jak to będą ci żołnierze, którzy witali ich pierwsi na naszej ziemi. Możecie do nich dotrzeć?

– Postaram się – odparł Makarow. – Jeśli tylko nie są na froncie japońskim – zastrzegł się.

– Świetnie. Ułatwi to niezwykle zadanie towarzyszowi Nowikowowi. I wzbogaci jego relację. Sprawa druga. Generał prosi was osobiście, abyście zaagitowali Amerykanów do jak najszybszego pisania listów...

– Już pisali, ale wstrzymałem się z wysyłką z braku dyrektyw... – wyjaśnił Makarow.

– Teraz dyrektywy takie są i należy wykonać je prędko. Sami rozumiecie. Lotnicy własnoręcznie muszą potwierdzić wiarygodność naszych oświadczeń. To chyba jasne. Niech rodziny wiedzą, że żyją. To ważne – stuknął pudełkiem papierosów, stawiając je na sztorc. – Rozumiemy delikatność sprawy. Po tych wszystkich zaszłościach. Ale cóż – spojrzął na Makarowa – będzie to test dobrej woli wobec nas. Tylko neutralne i przychylnie nam listy przepuścimy. Muszą to zrozumieć. Wytłumaczcie im...

– Postaram się – przyrzekł Makarow.

– I teraz trzecia sprawa. Podstawowa. Dotycząca już bezpośrednio mnie i mojego departamentu – Orłow zrobił pauzę i wstał zza biurka. Uroczyście zbliżył się do Makarowa.

– Generał zdecydował się wprowadzić was w tę sprawę. Jest to dowód niezwyklego zaufania. Rzadko zdarza się nam wtajemniczać towarzyszy z innych wydziałów w bieżący tok prac naszego departamentu. Generał uczynił wyjątek. Mam nadzieję, że doceniacie ten fakt...

– Tak jest – potwierdził Makarow, wyprężając się na baczność. W głębi duszy wolałby uniknąć tego zaszczytu. Wiedział, czym to pachnie.

– Zdajecie sobie sprawę – ciągnął pułkownik, zniżając głos – że o tym, co powiem, nie może wiedzieć nikt. Nawet wasz zastępca. Odpowiadacie za to głową – zlustrował go surowym wzrokiem, oczekując czegoś w rodzaju przysięgi.

– Rozumie się, towarzyszu pułkowniku – stuknął w odpowiedzi obcasami Grigorij.

Uspokojony Orłow zezwolił mu teraz usiąść i przystąpił do szczegółowego referowania planu.

– W świetle powyższego jasne jest, że na obecnym etapie stosunków wzajemnych z Ameryką nie stać nas na żaden skandal. A takim skandalem niewątpliwie byłaby sprawa lotników. W tej sytuacji najwyższe kierownictwo postanowiło rozwiązać ten problem tak, by najmniej godził w dobre imię naszej partii. Techniczną stronę zagadnienia powierzyło mnie i mojemu departamentowi – rzucił z odcieniem dumy.

Makarow słuchał w najwyższym napięciu.

– Domyślcie się, o czym mówię?

– Mniej więcej – odrzekł niepewnie Grigorij.

– Przedstawię to jaśniej – uśmiechnął się Orłow i zrobił ruch zapalniczką w przód. – Mówiąc szczerze, lotnicy ci wystartują, ale nie dolecą. Zginą w katastrofie. W sumie sprawa jest prosta, albowiem lecieć będą naszym samolotem. Operacja więc nie będzie trudna. W odpowiednim momencie mechanizm wyłączy się – pułkownik pstryknął zapalniczką – i ocean wchłonie ich łagodnie, nie zostawiając cienia – powtórzył w zmienionej formie słowa Berii.

– A nie wzbudzi to podejrzeń? – wtrącił Makarow przerażony tą akcją.

– Na pewno – przyznał pułkownik. – I w tym właśnie celu dajemy gwarancje. Nasi ludzie też będą lecieć tym samolotem. My też poniesiemy straty – zdmuchnął płomień zapalniczki. – Nazwiska tych gwarantów podamy, rzecz jasna, w ostatniej chwili. Z wiadomych względów. Jest to najbardziej przykry moment całej operacji. Ciałami naszych towarzyszy musimy zaświadczyć wiarygodność akcji. Ale co robić – westchnął z żalem – ofiara to konieczna. Nie pierwszy raz przychodzi nam poświęcać życie na rzecz partii. Dla nas, bolszewików, to nie nowość. Przykład Matrosowa i bohaterów ostatniej wojny świadczy o tym – argumentował.

"Tylko oni zginęli w walce z faszyzmem, a ci padną z rąk własnych towarzyszy. Nie chciałbym być takim gwarantem. I żywą bombą" – pomyślał ze zgrozą i mróz przeszedł mu po kościach.

– W każdym razie – kończył Orłow – o dalszym stanie akcji poinformuję was osobiście, bądź przez moich ludzi, którzy przybędą tu niebawem. Liczę na waszą pomoc, szczególnie na odcinku Amerykanów...

Żegnając się dodał jeszcze: – A swoją drogą dobrze, że wpadli w nasze ręce. Inaczej przecież to oni zrzuciliby tę bombę na Hiroszimę. Nie muszę wam tłumaczyć. Przesłuchiwaliście ich. Straszne. Straszne... Tylu niewinnych ludzi poniosło śmierć. Najgorsze zaś, że ta potworna broń jest wyłączną własnością imperialistów. My jej jeszcze nie posiadamy. Tym bardziej więc musimy się bronić. I być czujni. Oni nas wciąż do tego zmuszają.

## XLVII

Rick z kolegami byli bardzo zdziwieni, gdy Lew Spirydonycz oświadczył im z uśmiechem, że w najbliższą sobotę czeka ich niezwykła uroczystość: bal braterstwa. W pierwszej chwili myśleli, że tłumacz Lonia coś przekreślił, ale Aron potwierdził wierność jego tłumaczenia:

– Na bal ten – ciągnął dalej Lew Spirydonycz – przybędą reprezentanci najwyższych władz partii i armii, a także zaproszeni goście z Moskwy oraz przedstawiciele prasy. Będą się oni chcieli bliżej poznać i porozmawiać...

W związku z tym wydarzeniem willę "Słońce Kaukazu" poddano nerwowym zabiegom. Specjalna ekipa monterów poszerzyła estradę w sali kinowej i zamontowała nową kurtynę. Po obu rogach sceny zawieszono flagi amerykańskie i radzieckie. Znalaziono nawet gdzieś portret prezydenta Trumana i powieszono obok

Stalina. Pantalej w nowej liberii wyglądał prawie tak jak za cara. Sprzątaczkę pośpiesznie myły okna i zmieniały firanki. Sufit przyszłej sali balowej tonął w lampionach, łańcuchach i girlandach kwiatów.

Aron nie mógł się powstrzymać, by nie pochwalić swego przyjaciela Daunadze:

– Gwałt?! Dżodzo! – wykrzyknął. – Ja nie wiedziałem, żeś ty został dyrektorem cyrku...

Kierownik Daunadze nie miał jednak czasu na takie żarty. Moskwa patrzyła na nich.

Godzinę przed rozpoczęciem wzmocniono warty. Dwóch wartowników przechadzało się teraz na bramie, a i z tyłu pojawili się jacyś uparcie krążący cywile. Tłumaczono to względami bezpieczeństwa. Najwyższe kierownictwo miało być na balu.

Rick zastanawiał się, czy Makarow przyjdzie z żoną. Nie widział się z Wierą od ich "minutoczki". Przechadzał się po parku, z zainteresowaniem obserwując przygotowania. Rany mu się zagoiły, przybrał na wadze i w nowym mundurze zaczął znów przypominać dawnego kapitana O'Sullivana z bazy lotniczej w Wendover.

W ostatniej chwili rozciągnięto czerwony chodnik od bramy ogrodu do schodów willi. Przyjęcie miało wypaść po królewsku, jak za carskich czasów. Pantalej ustawiał stoły, korygował służbę, sprawdzał ułożenie nakryć. Był wreszcie człowiekiem na właściwym miejscu.

Wojskowy autobus przywiózł orkiestrę i artystów, którzy mieli uświetnić ten wieczór. Stroiciel regulował struny fortepianu. Monotonne dźwięki dolatywały przez uchylone okna pałacu.

Rick wsłuchiwał się w nie, gdy wolno przechadzał się alejami. "Życie mnie nie oszczędza. Dba o atrakcje. Ciekawe co nowego wymyśli? Najgorsze, że zawsze muszę być głównym aktorem" – medytował w duszy.

Powoli zaczęli się schodzić pierwsi goście. Rick nerwowo poprawiał czapkę, wypatrując Wiery i Makarowa. Nagle podszedł do niego Pantalej i poprosił uprzejmie, aby łaskawie zechciał wejść do środka, albowiem uroczystość rozpocznie się circa za pięć minut – sprawdził na swojej cebuli – i kierownictwo życzy sobie mieć wszystkich panów Amerykanów w komplecie. Ustawiono już w tym celu małe podium pod dwiema palmami. Rodzaj trybuny honorowej.

Tłumacz Lonia, w towarzystwie kierownika Daunadze i Lwa Spirydonycza dokonywał prezentacji każdego z nich, przedstawiając jednocześnie przybyłych. Ze szczególnym naciskiem wymienił nazwisko sekretarza WKP(b) we Władywostoku, Dworcewa i jego zastępcy, Karpiuka, gości z Moskwy, pisarza Nowikowa (ten zagadał do nich w świetnej angielszczyźnie, co ich mocno zdziwiło) oraz pułkownika Orłowa.

Orłow każdemu z nich mocno uściśnął dłoń, gratulując szczęśliwego spotkania. Równie silnie zaakcentował Lonia przybycie szefa okręgu wojskowego, Lebidiewa i jego zastępcę, generała Babadziana, którego już poznali.

Anastas Aramowicz na widok Ricka rozpromienił się cały i szeroko rozwarł ramiona:



– O'Sullivan! – wykrzyknął, pamiętając jego amerykańskie nazwisko. – Jakżem rad, mój miły! Naprawdę – potrząsał dwiema jego rękami. Pierś miał całą w orderach, a łysina błyszczała mu jeszcze godniej na tle czarnych, sumiastych wąsów.

Wśród pierwszych gości byli Makarowowie. Rick odetchnął. Wiera wyglądała wspaniale. Każdy zwracał na nią uwagę. Makarow kroczył obok dumny jak paw w odświętnym, galowym mundurze. Uśmiechał się miło. Gdy zbliżyli się do Amerykanów, zerwały się brawa. Pierwszy zaczął klaskać Stan albo Grzdyl.

Makarow pomyślał, że to na jego cześć i ucieszył się, ale potem z zaskoczeniem odkrył, że ta mała owacja przeznaczona jest dla jego żony. "Racja. Przecież ich odwiedzała – przypomniał sobie...

Powitanie Wiery było jedynym akcentem prawdziwego braterstwa, pod którego hasłem odbywał się ten bal.

Rick przestraszył się, że Wiera może mieć potem przykrości. To samo pomyślał Grigorij, który pośpiesznie odciągnął żonę na bok. Bał się szczególnie Orłowa.

Rick nie zdążył nawet zamienić z Wierą słowa, bo zbliżyła się nowa grupa gości.

– Tych towarzyszy już znacie, prawda? – rzekł z dumą Lew Spirydonycz, wskazując krępą sylwetkę pułkownika Bubnowa.

Stał w otoczeniu porucznika Wiazina, sanitariusza Innokientija i Marfy Kiryłownej. Z początku go nie poznali w nowym, odświętnym mundurze, ale gdy Marfa Kiryłowna odezwała się do nich swą dumną francuszczyzną: – Comment allez-vous, messieurs? – nie mieli już wątpliwości.

– Gewalt! – wykrzyknął Aron. – Zol mir azoj gezond zajn! To ta madame, która nas tak podejmowała pierwszego wieczoru. A ten szajgec (młody innowierca) to sanitariusz, który opatrywał Boba. I buchnął mu zegarek – przypomniał kolegom godną sylwetkę "profesora" Innokientija.

Rzeczywiście teraz go rozpoznali. Śpiewał czastuszki na ciężarówce, kiedy jechali do miasta.

Przywitali się z nimi serdecznie. Błysnęła magnezja. Fotograf szturchnięty we właściwym momencie przez Nowikowa utrwalił to na kliszy. Aleksander Siergiejewicz pilnie notował nazwiska w swoim notesie.

Przeszli do sali kinowej. Posadzono ich w pierwszym rzędzie. Po odegraniu hymnów obu państw przez orkiestrę na trybunę wszedł sekretarz Dworcowe, który rozpoczął swe przemówienie słowami:

– Drodzy przyjaciele! Nasi mili goście Amerykanie!

I zaczął mówić dużo o wspólnej walce z japońskim imperializmem. Jednym zdaniem prześlizgnął się nad tym co przeżyli, co wycierpieli, ale to zawsze zdarza się na wojnie. Ceni ich za miłość do ojczyzny, za to, że godnie znieśli swój żołnierski los, i że tym goręcej chcą im umilić pobyt przed szczęśliwym powrotem do ich Ameryki. Tu tradycyjnie wzniosł okrzyk na cześć Stalina i prezydenta Trumana.

Zszedł ze sceny żegnany burzą oklasków. Amerykanie przyłączyli się chętnie, głównie ten szczęśliwy powrót do ojczyzny oklaskując. Trudno, by się nie ucieszyli.

Po Dworcowie wszedł na mównicę Nowikow. Po paru rosyjskich zdaniach

zwrócił się do nich po angielsku. Mówił, że dla niego, pisarza, Ameryka była wielkim przeżyciem.

– Odkryłem tam – ciągnął ze swadą – że są tam wspaniali ludzie! Podobni do naszych. Bo ludzie na całym świecie są podobni. Nienawidzą wojny i chcą pokoju. I my Rosjanie, jak i wy, Amerykanie mamy teraz ten sam cel. Powstrzymać świat od wojny. Nie dopuścić, aby nasze dzieci przeżyły nowy Stalingrad, i Pearl Harbor! Nie dopuścić, aby bomba tak straszna, jak ta, która spadła na Hiroszimą, kiedykolwiek jeszcze była zrzucona. Pokój! Pokój! Mir! Peace! Nigdy więcej wojny! – zawołał w uniesieniu.

Wszyscy wstali z miejsc i skandowali, równymi brawami podchwytyjąc hasło pisarza. Od niego po raz pierwszy usłyszeli o Hiroszynie. Byli bardzo poruszeni. Podczas przerwy zamierzali dowiedzieć się od Nowikowa czegoś bliżej.

Na razie zaczął się koncert. Wciągnął ich bardzo. Dawno nie widzieli tak wspaniałych artystów. Szczególnie zachwycili ich tancerze w ludowych strojach. Zdawali się fruwać w powietrzu.

W świetnych humorach przeszli do stołów, które uginały się od jedzenia i picia. Przestali się już na nie rzucać. Nawet wiecznie głodny Borsuk przejeżdżony kawiozem i łososiem, jak smakosz wybierał tylko co przedniejsze kąski.

– Dajta spokój – wzdychał – nie przerobię tego. Pęknię...

Byle szynki już nie tknął.

Makarow podszedł do Ricka i prezentując żonę, powiedział:

– Znacie się już trochę, prawda? Nie myślałem tylko, że aż tak... – nawiązał do niedawnych oklasków.

Nie przypuszczał, jak bliski był prawdy. Wiera zmieszała się lekko i sięgnęła do torebki. Grigorij myślał, że znów chce zażyć proszek na swoją migrenę i upomniał ją dobrotliwie:

– No, nie na balu, Wieroczka. Nie wypada. Tylu pięknych kawalerów czeka – szarmancko wskazał stojącego Ricka.

Reprezentacyjna orkiestra "Smiersza" zaczęła grać do tańca. Rick miał zamiar skorzystać z zachęty, ale nagle podszedł do nich Nowikow i na widok Wiery wykrzyknął:

– My się przecież znamy! Z pociągu! Dedykowałem wam moją książkę – pochwalił się z miejsca.

Makarow spojrzał zdziwiony na żonę.

– Nic mi o tym nie mówiłaś...

– No widzicie! – cieszył się dalej Nowikow. – Odkryłem was. Mam zawodową pamięć do twarzy. Bez tego trudno pisać...

Wierę drażnił ten pyszałek. Patrzyła na niego niechętnie. Tę niechęć pogłębił niezwykle przypadek, że właśnie orkiestra zaczęła grać walca Błanterera, tego samego walca o jesiennych, smutnych liściach, którego grał w pociągu żołnierz Wania. Wiera postanowiła popsuć nieco dobre samopoczucie pisarza:

– Skoro tak – uśmiechnęła się – to i tego walca powinniście świetnie pamiętać? Grał go przecież ten, którego tak dzielnie broniliście? Jako pisarz i humanista. A swoją drogą warto o tym napisać, co? – dokończyła już z jawną drwiną.

Nowikow zbladł, nic nie odpowiedział. Wiera zaś spokojnie zwróciła się do męża:

– Masz rację Grisza. Nie wypada stać. Skoro tylu kawalerów czeka... Pozwolisz, że zatańczę z kapitanem? – zapytała uroczo.

Makarow zaskoczony tą całą sceną łaskawie kiwnął głową. Wiera wzięła Ricka za rękę i poprowadziła w stronę parkietu. Kiedy się oddalili, zamyślony Aleksander Siergiejewicz rzucił w zadumie:

– Piękną macie żonę. Piękną i wrażliwą – raptownie przechylił kieliszek wódki. – Ma rację. Powinienem o tym napisać.

Makarow nie wiedział, co wielki pisarz powinien napisać, ale kiwał potakująco głową.

Wiera i Rick wirowali wzdłuż sali w miarowym rytmie smutnego walca.

Znów czuł bliskość jej ciała. Poddawała się lekko, podążając za nim posłusznie. Przyciągnął ją mocniej. Jej serce uderzało gwałtownie o jego mundur. Rozwiane włosy muskały łagodnie policzek. Przywarł do nich wargami i wirując wytrwale, wchłaniał ich zapach. Na szczęście ginęły w tłumie i nikt tego nie widział. Na parkiecie mignęła sylwetka Stana tańczącego z Walą i Arona z kelnerką Ziną. Nawet wstydlivy Grzdyl znalazł schronienie w ramionach wytwornej Marfy Kiryłownej.

Ricka nagle ogarnęło straszne pragnienie ujrzenia Betty. "Jak ona wygląda? I ten mały. Ten mój mały Rick..." – wzruszył się na dobre.

– Co? Co Rikońka? – przywołała go Wiera.

– Nic, nic kochanie – westchnął.

– Już niedługo. Niedługo, dusza moja – szepnęła czule i kurczowo wtuliła się w niego, jakby chciała zatrzymać ten walc. Niestety skończył się i musieli wracać na miejsce.

Wiera z niepokojem zauważyła, że mąż pije za dużo.

Nowikow podszedł do Amerykanów i dokładnie wypytywał o wrażenia:

– Jak bał?

– Teraz okay – odpowiadali – Ale bywało gorzej... – a Aron, przypominając sobie swój taniec ze szczurami w loży Iwana Groźnego, nie omieszkał dodać: – Chińskich tortur niezczędzono nam tyż, towarzyszu – rzucił z przekąsem – On był teivel! Teivel! Prawdziwy diabeł! – wzdrygnął się na myśl o Własence i by oderwać się od tej zgrozy, pogłaskał czulej opalone plecy kelnerki Ziny.

– To rzeczywiście okrutne i straszne – przyznał Nowikow. – O tym bestialstwie też należałoby napisać... A ich spotkaliście najpierw? – wskazał porucznika Wiazina, Innokientija i Marfę Kiryłownę.

– O tak. To wielki nasz holdupnik – przyznał Aron, klepiąc po przyjacielsku profesora Innokientija. – Pierwszy opatrzył naszego kolegę i bawił nas czastuszkami

w drodze do miasta. A potem ta madame podała nam barszcz i najlepsze w świecie pierożki. Nigdy już takich nie jadłem – skłonił się z uznaniem przed dostojną damą.

– Je vous en prie (proszę cię), daragoj. Je vous en prie – odparła wzruszona Marfa Kiriłowna.

Fotograf zrobił zdjęcie. Generał Babadżian podszedł do Ricka i znów mu przypomniał:

– Oj, O'Sullivan! Ty musisz być nasz! Z Erewania! – i przepijał do niego serdecznie.

Wiera uprzytomniła sobie, że to przecież ten sam generał Babadżian pierwszy zaprzeczył istnieniu Amerykanów. Przypomniała sobie rozmowę w teatrze. Teraz nie mogła wprost uwierzyć, patrząc jak szczerze się raduje z ich odnalezienia.

Zaczęli wypytywać Nowikowa o Hiroszimę. Nakreślił im straszny obraz. Całe miasto zniszczone. Ponad sto tysięcy zabitych. Kobiety, starcy, dzieci. Koszmar. I nie ma końca tej śmierci, bo ludzie umierają od jakichś promieni tej nowej broni. Całe powietrze jest skażone. Opis ten zrobił na nich wielkie wrażenie:

– Macie szczęście, że nie wy zrzuciliście tę bombę – pocieszył ich na końcu.

– No tak. Powinniśmy wam być wdzięczni – zakpił Aron – zawsze mówię, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Jak powiada ciocia Ryfka – powtórzył swe ulubione przysłowie.

Orkiestra znów zaczęła grać i poszli tańczyć.

Nagle Lew Spirydonycz skoczył na estradę, przerwał grę orkiestry i w najwyższym podnieceniu wykrzyknął: – Koniec wojny, towarzysze! Mir! Przed chwilą Japonia bezwarunkowo skapitulowała! Ostatnie państwo faszystowskiej osi padło! Hurra! Niech żyją nasze bohaterskie armie! Za sojusz i zwycięstwo! – jednym haustem wypił szklankę i z rozmachem roztrzaskał ją o ścianę.

Wrzask zerwał się straszny. Zaczęli się ściskać i krzyczeć. Trębacz dmuchnął fanfarę i orkiestra zagrała marsza. Był to rosyjski marsz, którego nie znali. Wszyscy śpiewali go głośno, jak oni "Good bless America". \*

Good bless America – w oryginale: "Boże pobłogosław Ameryce!" Początkowe słowa pieśni ułożonej przez Irwina Berlina w okresie I wojny światowej. Obecnie druga po hymnie USA patriotyczna pieśń Amerykanów.

"To już drugie zwycięstwo, które mam zaszczyt obchodzić – pomyślał Rick – Miejmy nadzieję, że będzie lepsze" – przypomniał sobie tragiczną śmierć Boba.

Z otuchą trącili się kieliszkami z Wierą i Makarowem. Podszedł do nich pułkownik Orłow, generał Babadżian i sekretarz Dworcew i złożyli na ręce Ricka oficjalne gratulacje z powodu wspólnego zwycięstwa:

– No to teraz wróćcie do domu w lepszych humorach! – rzucił dobrodusznie Dworcew, nie mając oczywiście pojęcia, o czym mówi.

Grigorij odruchowo spojrzął w oczy pułkownikowi. Tylko oni dwaj znali straszną pawdę. I pojęli niezamierzoną ironię tego zdania. Orłow spuścił wzrok i wtrącił z uśmiechem:

– Na razie panowie, nie musicie się spieszyć. Tu też nie jest źle... – zabrzmiało to

jednak równie fatalnie.

Grigorij w żaden sposób nie mógł sobie wyobrazić kapitana O'Sullivana rozerwanego na drobne szczątki.

Myśl, że uczestniczy w morderstwie, nie dawała mu spokoju. Może dlatego pił dziś więcej.

– No to za Amerykę! I wspólne zwycięstwo nad żółtkami! – wznosił toast Orłow i powoli zaczął się żegnać.

Grigorij po jego wyjściu poczuł się swobodniej. Podeszedł do baru opić wspólne zwycięstwo. Zapraszał go tam serdecznie Daunadze i generał Babadżian.

Dla Stana Hudsona bal ten był naprawdę zwycięski. Przez cały czas tańczył z Walą. Stwierdził, że Wala jest zupełnie inna niż Clair i z nią może być naprawdę szczęśliwy...

I nagle w środku tego szczęścia higienista Prokop odwołał Walę i porozmawiał z nią. Wala wróciła zgaszona i oświadczyła, że musi iść:

– Już?! To niemożliwe! – krzyczał zrozpaczony. – Nie zrobisz mi tego?! W dniu zwycięstwa!

– Muszę – odparła smutno.

Pogłaskała go po policzku. Nie pomogły zakłęcia i błagania. Stan wiedział, że opuszcza bal pod jakimś przymusem. Odprowadził ją do bramy i w parku pocałowali się jeszcze raz.

Stan wrócił wściekły i postanowił się upić. Nie było to trudne, bo wódka na balu lała się strumieniami. Zabrakło już jej co prawda na bocznych stołach, ale w barze dawano bez ograniczeń. Gdy dotarł do baru, gruchnął strzał. To generał Babadżian wypalił do butelki. Rozprysła się w drobny mak. Po nim mierzył Makarow. Ręka mu lekko drgnęła i chybił. Generał klepnął go na pocieszenie:

– Nie przejmujcie się, Grigorij Wasiliewicz. Ze starym Babadżianem nikt nie wygrał! W całej Kon-Armii... – zwycięsko podkreślił węża i przetarł ręką spoconą łysinę.

Stan po wypiciu jednej wódki przyciągnął tłumacza Lonię i kazał mu powiedzieć, żeby wyjaśnił Rosjanom, że jak się chcą zmierzyć naprawdę z mistrzem, to niech jemu dadzą postrzelać:

– Nie na darmo przezywają mnie Snajper – powtarzał.

– Snajper? – ucieszył się generał. No to dawaj, Snajper! Posnajperujemy. Zobaczysz, jak starzy bolszewicy strzelają! – rzucił chełpliwie i zaproponował wyjść na taras. – Tu nie ma zabawy. Jak pukać to w ogrodzie, chłopcy! – objął ich po ojcowsku i pociągnął za sobą.

Wypili jeszcze jedną rundę za braterstwo i zgarniając z baru potrzebną liczbę butelek, przeszli na tyły pałacu.

Tu zaczęły się zawody radziecko-amerykańskie. Na kamiennej balustradzie tarasu zaczęli instalować swoją podręczną strzelnicę.

– Najpierw na dziesięć metrów – zaproponował Babadżian i ustawił butelkę

armieńskiego koniaku.

– Okay – mruknął Stan i krokami odmierzył odległość.

Pierwszy strzelał Grigorij, drugi Babadżian, trzeci Stan z pistoletu Makarowa. Wszyscy trzej trafili bez pudła. Butelki pękły z hukiem. Grigorij zadowolony ze swojego trafienia postanowił przesunąć granicę do dwudziestu metrów. Zgodzili się chętnie, wypijając pod dalszy ciąg zawodów.

Po pierwszych trzech strzałach zaniepokojony wartownik odezwał się z głębi ogrodu:

– Wszystko w porządku komendancie?!

– Tak jest. Dziękuję towarzyszu. Świątujemy zwycięstwo – uspokoił go Grigorij.

– Myślałem wojna?! Taka kanonada – zaśmiał się ochryple i wycofał na swój posterunek.

"Jezus Maria! – Stan nie wierzył własnym oczom – To przecież Iwan Groźny. No tak... – przyjrzał mu się dokładniej – w grobie bym go poznał..."

Serce ze szczęścia zabiło mu mocniej. Takiej nagrody od Boga się nie spodziewał. Z miejsca zaproponował przesunięcie butelki do pięćdziesięciu metrów.

– To szaleństwo! – zaprotestował Makarow. – Z takiej odległości nikt nie trafi!

– Starzy bolszewicy trafią – przerwał mu Babadżian i podjął rękawicę.

Stan podbiegł teraz do balustrady i przestawił butelkę tak, żeby mieć strażnika mniej więcej na linii strzału. Odległość była ogromna, ale i szansa wielka. Strzelali w tej samej kolejności – pierwszy Grigorij, drugi Babadżian, trzeci Stan. Jeszcze raz upewnił się, czy butelka stoi tam, gdzie powinna.

Ciężki, zwalisty Iwan przechadzał się wolno tam i z powrotem.

Grigorij nie trafił i z rezygnacją machnął ręką:

– Bez sensu. Wrony straszyć z tej odległości – na pociechę kropnął łyk wódki. Był już mocno pijany.

Babadżian długo mierzył na rozkraczonych nogach. Parę razy opuszczał zmęczoną rękę. Dla kurażu spluwał między swoje błyszczące, kawaleryjskie buty. Wreszcie strzelił. Butelka rozprysła się srebrzyście.

– Hurraa! – krzyknęli obaj na cześć swojej drużyny.

– Ale macie oko – mruknął z podziwem Grigorij.

– Mówiłem – smarknął z fasonem Anastas Aramowicz i łyknął ze szklanki. – No, wal Amerykaniec. Pokaż klasę. Jak takiś snajper – klepnął go protekcyjnie i otarł wąsa. Był absolutnie pewien swego zwycięstwa.

Stan wziął pistolet od Makarowa. Długo mierzył. Czekał. Wreszcie głowa Własenki jaśniej wychyliła się z głębi parku. Strzelił.

– Pudło! – krzyknął triumfalnie Babadżian.

Generał z dumą wskazał butelkę: – Stoi! – wykrzyknął.

– Ale nie on – rzekł Stan, wolno opuszczając pistolet.

Dopiero teraz zrozumieli, co się stało i pędem pobiegli na miejsce wypadku.

Własenko leżał na wznak, a z jego głowy wyciekała wąska strużka krwi. Potrzęsali nim mocno. Nie ruszał się. Był martwy.

– W samo czoło – mruknął z podziwem generał Babadzian i przytomniejąc naraz zawołał – I coś ty zrobił, człowieku?!

– Ja mu to dawno w duszy obiecałem – odparł spokojnie Stan. – Tylko pamiętajcie, że z waszej broni strzelałem – snajper z satysfakcją zwrócił pistolet Makarowowi.

Grigorij spojrział na Babadziana w nim szukając ratunku.

Sprawa rzeczywiście była paskudna. Klął w tej chwili moment, kiedy za dobrą służbę przesunął Własenkę do ochrony tej willi. Z drugiej strony z ulgą stwierdził, że z chwilą śmierci strażnika, ostatni świadek w sprawie Garmontowa znika z powierzchni ziemi.

– To też się liczy – westchnął olśniony.

Z szacunkiem spojrział na Amerykanina. "Strzelać umie – pomyślał. – Ale i tak zginie" – uświadomił sobie. Fakt ten nieco go uspokoił.

– Anastas Aramowicz – zwrócił się teraz do generała. – To był wypadek. Strażnik nie może bawić się bronią, pełniąc służbę. Strzelił na wiwat i gotowe – to mówiąc nachylił się nad nieruchomym ciałem Własenki i włożył mu w rękę swój pistolet. Z kabury Iwana Groźnego wyjął identyczny.

Generał Babadzian zawahał się przez moment, po czym skinął głową. Dla pewności trącił trupa czubkiem swego kawalerskiego buta.

– Macie rację. Wypadek przy pracy – zgodził się. – Każcie uprzątnąć... I tak miał piękną śmierć. Na służbie – wybełkotał z wysiłkiem.

Chwiejnym krokiem zgodnie ruszyli przez park w stronę odświętnie jarzących się świateł.

Bal braterstwa dobiegał końca. Ostatnie pary tańczyły jeszcze na parkiecie. Kiedy Stan znalazł się na sali, pojął nagle, że nie mógł lepiej uczcić dnia zwycięstwa nad Japonią i pomścić własnych krzywd: "Jednak zabiłem kurwę – myślał z satysfakcją. – Znaczy Bóg jest na ziemi!" – i z tą wiarą, pobłyskując w uśmiechu nowymi zębami, zbliżył się do rozbawionych kolegów, by obwieścić im tę radosną nowinę.

## XLVIII

W szpitalu Wiera o mało nie zemdląca. Musiała oddać koleżance narzędzia i wyjść na korytarz. Po wypiciu szklanki wody i małym odpoczynku poczuła się lepiej. Od dawna nękały ją zawroty głowy i mdłości. Zupełnie straciła apetyt. Tylko rzeczy ostre i pikantne jej smakowały.

Doktor potwierdził jej przypuszczenia. Była w ósmym tygodniu ciąży.

– Gratuluję. Nareszcie dobra wiadomość, co? – doktor uśmiechnął się. Wiedział,

że Wiera od dawna chce mieć dziecko. Widząc jednak jej lekkie zakłopotanie, dodał konfidencyjnie – Zawsze można... Jest jeszcze na to czas – zapewnił.

Wiera gwałtownie zaprzeczyła:

– To nie wchodzi w grę, doktorze... Po prostu wszystko stało się tak nagle, że jestem zaskoczona. Nie wierzyłam już w to – i tym razem była to prawda.

– Zawsze mówiłem, że bez podstaw. I na moje wyszło – ucieszył się lekarz, zadowolony ze swojej diagnozy.

Wiera opuściła gabinet doktora zaszokowana i pełna obaw. Nie wiedziała, co począć. Z jednej strony sen, o którym marzyła spełnił się. Jest w ciąży, ale to nie jest dziecko Griszy. Tego była pewna. To owoc tamtej szalonej wyprawy. W końcu Grisza nie musi o tym wiedzieć. "Chciał mieć dziecko, będzie miał! Nie, to sama wychowam – postanowiła. – Powinnam mu wyznać prawdę. A potem niech się dzieje, co chce". – Zaraz jednak zrozumiała, że to i tak nic nie da. Nawet gdyby Grisza wybaczył jej i uznał dziecko, zawsze zostanie w nim jakiś uraz.

Wszystko razem nie było łatwe.

Grigorij pochłonięty swoimi sprawami nie zauważył jej stanu. Po nieszczęsnym balu sam był zgnębiony. "Absolutne szaleństwo... Coraz więcej wokół mnie śmierci – odkrył z przerażeniem. – Najpierw Garmontow, potem Własenko, teraz ci Amerykanie... Cóż za tragiczny splot wydarzeń".

Pozycję miał wciąż mocną – Abakumow go cenił. Był przekonany, że incydent z Własenką nie zaważy na jego karierze. Chodziło mu o moralny aspekt. Uważał się za ideowca i brzydził się takimi sprawami.

– Ale co robić – westchnął.

Lew Spirydonycz jako pierwszy ofiarował się sporządzić natychmiastowy akt zgonu strażnika. – Typowy wypadek. Chłop wypił sobie i postrzelił się. Zniesie się go z ewidencji i spokój. Żaden problem, Grigorij Wasiliewicz – zapewnił przyjaźnie.

Od pewnego czasu był tak nienaganny i oddany, że Grigorij nabierał do niego większej sympatii: – "Może się myliłem? I niesprawiedliwie go oceniałem" – zastanawiał się.

Wiera wciąż zwlekała z wyjawieniem swego stanu. Tego dnia też nie miała zamiaru nic mówić o tym mężowi, ale sam ją niechcący sprowokował. Kiedy znów zaczął szydzić z jej "dworskiej choroby", nazywając to pańskimi wydumankami, nie wytrzymała.

– Już tak mnie traktujesz, że do głowy ci nie przyjdzie, że mogę się zmienić.

– W jakim sensie?

– Być w ciąży.

Sama przeraziła się tego, co powiedziała. Ale było za późno. Grigorij spojrzał na nią zdziwiony:

– O czym ty mówisz? Wiera?

Z wrażenia wybiegła do kuchni. Grigorij rzucił się za nią i chwycił mocno za rękę.



– Poważnie? Poważnie jesteś? – gwałtownie domagał się odpowiedzi.

– Jestem – jęknęła zrezygnowana i końcem fartucha otarła łzy. Było jej teraz wszystko jedno.

Makarow usiadł na krześle.

– To niebywałe – wymamrotał. Z niedowierzaniem patrzył na żonę. Wreszcie wykrzyknął: – I dlaczego mówisz to tak obojętnie, do diabła?! Ja nie rozumiem?! Przecież to wspaniałe! – zerwał się z miejsca.

Wiera już była gotowa wyznać mu całą prawdę, jeśli tylko zapyta, ale on nie pytał. Z radości porwał ją w ramiona:

– I dopiero teraz mi to mówisz! Czarownica! Jak mogłaś?! – wołał z prawdziwym wyrzutem.

– Właśnie wróciłam od lekarza – skłamała pośpiesznie. Rozbrojona jego reakcją, nie wiedziała już, co powiedzieć. Makarow nie mógł się uspokoić:

– To bomba! Bomba! – krzyczał w zachwycie. – Będę miał syna! Grigorij Wasiliewicz będzie miał syna! – skandował z triumfem, bohatersko waląc się w piersi.

– Skąd wiesz? Może córkę? – hamowała jego entuzjazm.

– E tam! – machnął z pogardą – My chłopci płodzimy tylko chłopów! Do pługa! Taka nasza chamska natura!

Szybko podbiegł do kredensu i wyciągnął flaszkę wódki. Od ostatniej przykrej przygody na balu unikał alkoholu.

– Wasze zdrowie, kochani. Twoje i jego! – wznosił w górę kieliszek.

– Tylko nie zapesz – westchnęła, pamiętając swoją poprzednią ciążę.

– Nie bój się. Tym razem będzie wszystko okay. Jak mówią nasi bracia Amerykanie – zapewnił ją dumnie.

Był naprawdę szczęśliwy. W tym łańcuchu śmierci, który osaczał go zewsząd, nagle pojawił się zwiastun życia. I to będzie jego własny syn, na którego ciągle czekał. Wzruszony tulił żonę. Wszystko stało się nieważne. Objął ją serdecznie. Wiera spojrzała przez jego ramię na tytułową stronę "Prawdy". Ze zdjęcia patrzyła na nią twarz Ricka, który w otoczeniu innych lotników uśmiechał się do niej zwyczajnie.

\* \*

\*

Nie mogli ochłonąć z wrażenia. Aron trzykrotnie musiał tłumaczyć im oświadczenie agencji TASS, zanim cokolwiek zrozumieli.

– Więc mówisz, że nas wyzwolili z japońskich rąk? – pytał z niedowierzaniem Glenn.

– Widzisz przecież – potrząsnął gazetą Aron. – Stoi jak byk! Czarno na białym. Byłeś w więzieniu Hanchun, cymbale!

– Pierdolisz. Nie mogli tak napisać – upierał się Glenn, który w żaden sposób nie

chciał tego przyjąć do wiadomości.

– Dajta spokój! – powtarzał. – Prasa to prasa. Nie może robić takich cyrków...

– Chaim Jankel! – zdenerwował się Aron. – Co by mi zależało?! – i na dowód prawdy walił w zdjęcia na pierwszej stronie, gdzie stali uśmiechnięci obok swoich wyzwolicielei. Na głównej kolumnie w środku gazety zamieszczony był artykuł z ich wywiadami. Nosił tytuł "Bal Braterstwa" i napisał go ten sam pisarz, który tak miło z nimi rozmawiał.

– Przecież on, kurwa, znał angielski! Nie sposób żeby nie zrozumiał! – argumentował Stan.

Aron najbardziej żałował swoich słów nieopatrznie wypowiedzianych do Nowikowa. "(Chińskich tortur też nam nie oszczędzono" – zwierzył mi się amerykański lotnik – przekazując wstrząsającą relację o nieludzkim strażniku, który dręczył swoje ofiary, wpuszczając do lochu specjalnie tresowane szczury. "Japończyk patrzył na moją męczarnię i rechotał ze śmiechu..."

– Goteniu! Mam rechotanie! Bóg mi rozum odebrał! – klął własną głupotę.

Podawali sobie z rąk do rąk gazetę ze zdjęciami z balu, na których tańczyli ze swymi rosyjskimi dziewczynami albo rozmawiali z nowymi przyjaciółmi.

– Tu też, cholera – westchnął Aron, tłumacząc kolegom tekst zamieszczony pod zdjęciem.

"Im zawdzięczamy wszystko. Porucznik Wiazin, który z narażeniem swojego życia wyzwolił nas z japońskiego więzienia w Hanchun i Marfa Kiryłowna, która raczyła nas swoimi filipowskimi pierożkami. W życiu takich nie jadłem" – stwierdził radiotelegrafista Aron Kaplanowicz, trzeci z lewej na zdjęciu..."

– Żebyś ty się udławił tymi pierożkami, kłamco – pomstował Aron, przeklinając własną głupotę. – Co za gojski łeb! Paskudnik! – nie znajdował odpowiednich słów pogardy dla Nowikowa.

Mimo tej japońskiej wersji szczęśliwego wyzwolenia cieszyli się.

– Niech se piszą, co chcą, grunt, że my są bliżej domu – zawyrokował Glenn Borsuk. – Oficjalnie przyznali się przed światem, że żyjem, chłopcy! A to najważniejsze – z satysfakcją zrobił parę głębokich przysiadów.

Po tym anonsie prasowym Lew Spirydonycz poczuł się w obowiązku wyjaśnić im stanowisko swojego rządu.

– Padliście ofiarą tragicznej pomyłki, panowie. Wasze cierpienia...

– Z rąk Japończyków! – przerwali mu szyderczo, wymachując gazetą.

– Chwileczkę! – próbował ich uspokoić. – Jestem sam. Łatwo mnie przekrzyczeć. Pozwólcie mi skończyć, panowie – apelował do ich demokratycznych uczuć. Kiedy się uciszeli, kontynuował. – Stała się wam straszna krzywda. Przyznaję. Z waszego subiektywnego punktu widzenia macie pełną rację. Możecie się czuć zawiedzeni, a nawet oszukani treścią komunikatu. Jeśli jednak spróbujecie wznieść się ponad własne emocje i doświadczenia i obiektywnie spojrzycie na fakty, biorąc pod uwagę interesy obu naszych demokratycznych państw, wtedy rzecz przedstawi wam się nieco inaczej. Zgodzicie się bowiem ze mną, że na obecnym etapie stosunków

międzynarodowych wyjawienie waszej subiektywnej prawdy nie będzie służyć dobrze naszej wspólnej sprawie. Natomiast tą nadrzędną obiektywną prawdą jest dla was niepodważalność naszego sojuszu i powojenne kształtowanie zrębów świata! – wykrzyknął z patosem.

– Dla tych zrębów nie mam zębów! Okay. Rozumiem. Teraz wszystko jasne! – wtrącił ponuro Stan.

Gruchnęli śmiechem. Mimo kpin fakt pozostał faktem, że swym płomiennym przemówieniem Lew Spirydonycz ich prawie przekonał. Gdyby sami tego nie przeżyli na własnej skórze, gotowi byli uwierzyć w tę teorię "dwóch prawd". W każdym razie Lew Spirydonycz złagodził mocno ich gniew, a gdy jeszcze w imieniu kierownictwa gorąco ich przeprosił za wszelkiego rodzaju nieprawości, które niewinnie przeszli, bliscy byli puszczenia wszystkiego w niepamięć.

W ślad za tym ogólnym apelem nastąpił drugi, na który dużo bardziej czekali.

Lew Spirydonycz oświadczył im mianowicie, że nadszedł czas na korespondencję.

– W tej sytuacji wasze rodziny od nas powinny się dowiedzieć, że tu jesteście. Nie tylko z prasy. Dlatego nie leńcie się, panowie, tylko bierzcie za pióra. Ja za was tego nie zrobię – zażartował.

– Przecież już pisaliśmy! – zaprotestowali zdziwieni.

– Zgoda! – uspokajał ich. – Ale tamte listy poszły normalną pocztą. To może trwać wieki. Z tego względu kierownictwo, chcąc wyjść wam naprzeciw, postarało się o specjalny samolot, który już jutro weźmie wasze listy do Moskwy. Stamtąd natychmiast przekazane zostaną do ambasady amerykańskiej, ambasada zaś zapewniła nas, że również specjalną drogą powietrzną przetrzeje je do Stanów, gdzie bezzwłocznie doręczone będą waszym rodzinom – dokończył z triumfem.

Ostatnie zdanie wywołało zrozumiałą radość. Lew Spirydonycz zaznaczył jednak z góry, że treść listów musi być zgodna z treścią komunikatu i nie może w żadnym wypadku podważać podstaw sojuszu: – To jedyna skromna koncesja jakiej się domagamy. Poza tym możecie pisać o wszystkim. Najlepiej o rzeczach miłych, panowie. Po co martwić wasze rodziny...

– Czyli mówiąc jaśniej – przerwał mu Aron – mamy sami się wykastrować. Inaczej zrobicie to za nas...

– Po cóż tak ostro stawiać sprawę – obruszył się Lew Spirydonycz. – Treść po prostu musi być zgodna z naszym oficjalnym oświadczeniem. Inaczej być nie może...

To ich trochę zmroziło. Lew Spirydonycz miał jednak w zanadrzu największą bombę, którą chował na zakończenie:

– Możecie też w tych listach napisać – dorzucił niewinnie – że odlatujecie z Władywostoku już dwudziestego ósmego sierpnia...

Gdy Lonia przetłumaczył, zerwał się huragan oklasków.

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, pośpiesznie zabrali się za pisanie listów. Czasu było niewiele.

Aron ze Stanem zdziwili się, że Rick nie chwyta za pióro, tylko przechadza się

ponuro. Spytali go, o co chodzi. Bez słowa wziął ich pod rękę i wyprowadził z sali. Gdy znaleźli się w parku, zaczął zniżonym głosem:

– Coś mnie niepokoi.

– Co coś Rick?! Co za konspiracja? – zakpił Aron.

– A tobie nic tu nie śmierdzi?! – spojrzał na niego twardo.

– U nich nigdy nie jest koszer, ale skoro się przyznali, że nas mają, muszą wypuścić...

– Muszą? A ty byś wypuścił? – potrząsnął nim lekko.

– Oj, tatenyu! Co za aj-Waj?! – zniecierpliwił się Aron.

– Taki aj-Waj, że na mój skromny nos wystartujemy, ale nie wylądujemy. Nie mamy prawa. Sama logika na to wskazuje. Pomyśl i postaw się w ich położeniu. Czy im zależy na powiedzeniu prawdy? A co cię powstrzyma w Stanach? Lew Spirydonycz?! Sam będziesz pierwszy krzyczał! Nie dopuszczą do tego...

– Zatem ty myślisz, że oni... – spojrzeli zaskoczeni.

– A niby dlaczego nie?! Mało miałeś przykładów ich pomysłowości? – zaśmiał się kostycznie.

– To co proponujesz? – spytali oszołomieni.

– Musimy uprzedzić naszych. Niech zabezpieczą przelot. Inaczej grób. Mówię wam. Wszelkie znaki na to wskazują. Są za słodcy. Zbyt gorliwie nas wypychają do domu...

– No dobrze. Ale jak? – mruknął Stan.

– Trzeba tak napisać, żeby cenzorzy się nie kapnęli. Przekażcie to chłopakom – Rick po swoim poprawił czapkę.

Nic mądrego nie przychodziło im do głowy.

– Aza broch (co za matnia) – drapał się w przedziałek Aron. – Najlepiej napiszę w jidisz i już. Może cenzor się nie połapie – zdecydował. – Napiszę im, że czuję się tak jak faraon na Pasover... \* – zaproponował kolegom.

Pasover – Wielkanoc. Religijne święto żydowskie upamiętniające wyprowadzenie Żydów przez Mojżesza z niewoli egipskiej.

– To co to znaczy? – zapytał Rick.

– Oj-jo-joj, chociaż ty chrześcijanin, Biblii nie znasz też. Na Pasover Żydzi przeszli suchą nogą przez Morze Czerwone, a faraona zalała woda. Jak mój tatele to przeczyta, to on już będzie wiedział. Lepszego szyfru mu nie potrzeba.

Uznali to za niezły pomysł. Stan cały czas bezsilnie gryzł ołówek. Wreszcie oznajmił, że nie jest w stanie nic wymyśleć. Wspólnie zaczęli się głowić. Nagle Rick, olśniony, walnął go w plecy.

– Mam! Tylko ty, stary, możesz to zrobić, chyba możesz – zawahał się chwilę. – Przepraszam cię Stan, ale to nasza jedyna szansa! Użyjemy do tego twojej Clair!

Stan myślał, że Rick zwariował, zaczął przyglądać mu się podejrzliwie. Ale on

objął go po przyjacielsku i wyprowadził go do ogrodu.

– Posłuchaj. Wystarczy, że zakończysz swój list tak: "Pozdrówcie ode mnie Clair – wybijał każde słowo. – Powiedzcie jej, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planami naszych gospodarzy, to już wkrótce się zobaczymy". Wystarczy. Więcej nie trzeba – spojrzał zwycięsko.

– Coś ty?! Clair nie żyje! – zaoponował Stan.

– No właśnie. Na tym polega cały szpas – zaśmiał się Rick.

Do Stana wreszcie dotarło.

– I myślisz, że moja matka zrozumie?

– Matka może nie, ale FBI na pewno. Każdy nasz list oglądać będą pod lupą. Zapewniam cię. Twoją kartotekę znają. Rosjanie nie. Jest więc szansa... Otarł czoło. Spojrzał pytająco na Stana.

– To nie jest złe – zgodził się. – Spróbuję.

– Spróbuj. Nic lepszego nie znajdziesz? Siadaj i pisz – rozkazał mu niemal.

Stan zabrał się do roboty. Dla siebie Rick nie mógł znaleźć tak dobrego pomysłu. Medytował nad tym jak wpleść to jedno krótkie zdanko, które uczuliłoby swoich na grożące im niebezpieczeństwo. "Musi to być coś – rozmyślał – co tylko my wiemy..."

Nic mu nie przychodziło do głowy. Zdenerwowany i wściekły cisnął czapką o ziemię. I w tym momencie go olśniło. "Moja wariacka kąpiel w nocy!"

Mozolnie zaczął układać to zdanie.

Po wielu wahaniach i korektach zdecydował się w końcu na następującą wersję: "Mam nadzieję, że obecna moja przygoda skończy się równie szczęśliwie jak ta w nocy, kiedy cię poznałem". "Chyba się domyśli? – pocieszał się. – Mocno się wtedy wystraszyła..."

Chciał jeszcze dla jasności dopisać plażę, ale bał się, że może zwrócić uwagę cenzora. W sumie nie był to szyfr tak czytelny, jak Stana, liczył jednak, że Betty go odczytuje.

Jeszcze tego samego dnia oddali listy kierownikowi Daunadze.

Nazajutrz przyszedł Lew Spiridonycz i złożył im gratulacje: – Dziękuję, panowie. Wykazaliście wyjątkową dojrzałość. I zrozumienie sprawy. Dlatego wasze listy odleciały do Moskwy. W zasadzie bez większych problemów...

Odetchnęli z ulgą. Tylko Aron zastanawiał się, co znaczy to nieszczęsne "w zasadzie". Wkrótce rzecz się wyjaśniła.

Niepostrzeżenie złożył im wizytę śledczy Kwarc, który nie pojawiał się w tej willi. Jak upiór przemknął przez salę i widząc Arona, dyskretnie odwołał go na bok.

– Przykro mi, Aron Mojsiejewicz – rzekł z obłudnym uśmiechem – ale wciąż bierzecie nas za idiotów. Nie mogłem niestety przepuścić waszego listu. Wybaczcie – i z satysfakcją wręczył mu z powrotem kopertę.

– Dziękuję, Salomon Issakowicz – odparł mu przesadnie grzecznie Aron. – I cieszę się, że jako stary internacjonalista nie zapomnieliście jidisz. To napawa mnie

optymizmem. Wierzę bowiem, że kiedyś fundesent wegen (pomimo wszystko), w tym głupim łbie przejrzycie na oczy i odkochacie się w towarzyszu Stalinie. Ale wtedy nie liczcie na mnie. I nie piszcie do mnie listów, Kwarc. Bo ja wam i tak na pewno nie odpiszę.

## XLIX

Sensacyjna wiadomość o odnalezieniu amerykańskich lotników przez zwycięskie wojska radzieckie w mandżurskim mieście Hanchun wywołała zrozumiałą radość w Departamencie Stanu.

Albert Heath przeżywał swój wielki dzień.

Przed nim leżało dokładne tłumaczenie oświadczenia Agencji TASS i artykuł Aleksandra Nowikowa. Nowikow nie był dla niego kimś obcym. Zdołał go poznać w czasie jego krótkiego pobytu w Stanach i wystąpienia w Towarzystwie Pomocy Rosji. Był to sławny pisarz, którego książka o Stalingradzie właśnie się ukazała, zyskując mu wśród amerykańskich czytelników wielkie uznanie.

Heath od początku reprezentował pogląd, iż należy zaufać sojusznikom i wstrzymać się od pochopnych komentarzy. Teraz jego teza w pełni się potwierdziła. Nawet przykry incydent ze znaczkami porucznika Fultona, który tyle krwi napsuł, w świetle obecnych faktów nabrał zupełnie innego znaczenia. Nowikow w pełni to wyjaśnił. Padli ofiarą zręcznej prowokacji japońskiej.

Rosyjski pisarz dokładnie opisywał więzienie, w którym przebywali lotnicy i zamieścił nawet jedno zdjęcie okrutnych strażników japońskich, którzy niebawem staną przed radzieckim sądem za zbrodnie ludobójstwa.

Nic więc dziwnego, że Heath zbierał gratulacje od kolegów i dowody uznania. Szczęśliwi z zakończenia przykrej sprawy wdzięczni mu byli za trzeźwy sąd i rolę moderatora, jaką niewątpliwie odegrał. Nawet jego przeciwnicy z najbliższego otoczenia sekretarza stanu, Byrnese, \* musieli przyznać mu rację:

Postać autentyczna.

– Uniknęliśmy zbędnych napięć. Duża w tym twoja zasługa, Albert – powtarzali.

– A jak mówiłem, że chłopcy się dobrze bawią w Rosji, toście mi nie wierzyli. I proszę – wskazywał zdjęcie z "Balu Bratersrtwa".

Wkrótce nadeszła najbardziej wiarygodna wiadomość. Listy chłopców przesłane pocztą dyplomatyczną z Moskwy. Ambasada prosiła, aby przed wręczeniem rodzinom na wszelki wypadek je przejrzeć. Heath nie znalazł w nich nic szczególnego i już chciał wydać dyspozycje, aby wyekspediować je pod wskazany adres, gdy zadzwoniło FBI z prośbą o małą zwłokę: – Nasz człowiek zgłosił się do was jutro dla dokonania kontroli – oświadczył urzędnik z Biura Hoovera.

Heath uznał to za lekką przesadę i typowe zboczenie zawodowe, ale lojalnie zastosował się do ich życzenia. Głośno to tylko wyśmiewał i nie krył się ze swą dezaprobatą: – Przez tych idiotów rodziny będą musiały znów czekać, jakby się mało dotąd naczekały – narzekał.

Człowiek, który się do niego zgłosił, przedstawił się jako Kent Sydney z FBI i twierdził, że znał tych lotników. Służył ponoć z nimi przez pewien czas w tej samej

jednostce. Kazał sobie okazać korespondencję i z profesjonalną flegmą przystąpił do lektury. Mozolnie wczytywał się w treść i wgryzał dosłownie w każde zdanie. Heatha śmieszyło to jego celebrowanie i talmudyczny wysiłek. Udostępnił mu więc gabinet, a sam zszedł z kolegami na kawę. Czuł, że to potrwa trochę dłużej i nie miał zamiaru partycypować w tych kretyńskich, policyjnych czynnościach. Zwykła strata czasu.

Sydney tymczasem ze wzruszeniem czytał listy. Przed oczyma pojawiały mu się twarze tych chłopców. Co prawda, z chwilą wyjazdu Zgrupowania na Tinian, odwołany został znów do Centrali, ale pamiętał ich przecież świetnie z Wendover i Kuby. Trudno było nie pamiętać załogi "Poteen". Byli to ukochani chłopcy pułkownika Tibbetsa. Zawsze ich bronił. Przypomniawszy sobie dyskusję na temat Stana Hudsona. Niektórych znał bliżej, jak choćby porucznika Fultona, z którym grał w piłkę i karty.

– Od niego, niestety, listu nie ma – westchnął. Wiedział już o jego tragicznej śmierci. Znał też ostatnią, szczęśliwą wersję odnalezienia reszty lotników w japońskim więzieniu. Miał na ten temat swój prywatny pogląd, pozostawiał go jednak dla siebie. Z tym większym zaangażowaniem wglębiał się w treść tych pospiesznie pisanych kartek i listów.

Uderzył go jeden fakt. Wszystkie były niemal jednakowe i zawierały podobnie pogodną treść. Jak refren powtarzało się zdanie: "Jest okay i mamy się dobrze...". Ani słowa zaś nie było o ich przeżyciach i cierpieniach. Ten urzędowy optymizm mocno zastanowił Sydneya, podobnie zresztą, jak brak listu od sierżanta Kaplanowicza. Żył przecież i nawet udzielił wywiadu do prasy. A tu nagle milczy. Dziwne. Nie pasowało to do wszędobylskiego i ruchliwego radiotelegrafisty. Zanotował sobie ten fakt i jedno zdanie z listu kapitana O'Sullivan. Niby nic nie zawierało, ale obudziło jego zawodową czujność.

Bez specjalnego nabożeństwa zasiadł do odcyfrowywania gryzmołów tego gagatka Hudsona. Tak jak przypuszczał, niczego ciekawego w tych kulfonach nie znalazł i już dochodził do końca listu, gdy nagle nadział się na zdanie, które go zelektryzowało. Aż gwizdnął przez zęby i zdjął okulary.

Wstał od biurka i gwałtownie zaczął się przechadzać. Próbował sobie odtworzyć sprawę Hudsona. Był niemal pewien, że sądzono go za zabójstwo w afekcie. Dziewczyna, za którą siedział, nazywała się Clair. Clair Dubois. To francuskie nazwisko mu utkwilo. W tych sprawach zresztą miał fotograficzną pamięć.

– Nie mogę się mylić – dywagował. – On ją przecież zabił. I nagle pozdrawia?! No nie! Albo ja zwariowałem, albo jest to szyfr...

Zaczął powtórnie odczytywać to zdanie: "Pozdrowcie ode mnie Clair – ciągnął głośno. – Powiedzcie jej, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planami naszych gospodarzy to już wkrótce się zobaczymy..."

– Czyli z nieboszczką! – wykrzyknął – No tak! Bo ta Clair nie żyje. Gospodarze planują wyprawić ich do nieba!!! Jaśniej nie można! Hudson cynkuje nam, iż podejrzewa, że Rosjanie coś szykują. Prosi o ratunek. Baa!

Sydney spojrzawszy na podaną w listach datę odlotu z Władystoku. Do dwudziestego ósmego sierpnia brakowało zaledwie siedmiu dni.

Zgarnął notatki i w pośpiechu skierował się do wyjścia. W drzwiach zderzył się z Heathem.

– No i co?! Znów fałszywy alarm.

– Zwykła rutynowa kontrola – odparł Sydney i poprosił o wysłanie tej korespondencji do rodzin lotników. – Nic nie znalazłem – rzucił na odchodnym.

– Z góry było wiadomo. Chociaż znajdowanie to wasze raisons d'être. Racja bytu – z wyższością przełożył mu ten zwrot z francuskiego. – Gdybyście nie weszli, nie byłibyście policjantami – dodał z pogardą.

Ten Sydney tego już jednak nie słyszał. Za bardzo spieszył się do Centrali.

## L

Po przybyciu pułkownika Orłowa Grigorij zauważył, że schodzi na drugi plan. Orłow przejął całkowicie kontakt z Moskwą i generał tylko przez niego wydawał dyspozycje. Nawet pochwały generała Grigorij wysłuchiwał teraz z ust jego specjalnego wysłannika. Szef "Smiersza" z nim samym osobiście, niestety, nie rozmawiał. Prawdę mówiąc, byłoby to nawet dość trudne, albowiem gabinet Makarow też miał zajęty. Orłow zainstalował się w nim na dobre i zamienił na swój własny sztab generalny. Tu przyjmował ludzi ze swego departamentu, których ściągnął z Moskwy, jakby nie ufając miejscowym pracownikom. Nie krył się z tym zresztą, wciąż powtarzając, że operacja wymaga najwyższej klasy fachowców. Nie może być spaprana przez amatorów.

Tymi amatorami mieli być oni. Lokalni pracownicy "Smiersza". Nie było to zbyt przyjemne.

– Waszym zadaniem – rozkazywał mu wprost – jest utrzymanie Amerykanów w kwitnącej formie, by dziarsko wmaszerowali na pokład samolotu. Z pompą i paradą. Sam fajerwerk zostawcie nam – oznajmił z wyższością, podrzucając zapalniczkę.

Makarow wcale się nie palił do tej mokrej roboty, niemniej ten ton pogardy mocno go drażnił. Tym bardziej że pułkownik pokazał zęby i dowiódł, że nie na darmo jest pełnomocnikiem najwyższego kierownictwa partii. Raz wyszło to przy okazji pochwały.

Orłow z uśmiechem przekazał mu zadowolenie Szefa (tak zawsze nazywał Abakumowa) z efektów balu:

– Odbiór "wersji mandżurskiej" – jak to ujął – przeszedł nasze oczekiwania. Amerykanie przełknęli wszystko gładko. Artykuł Nowikowa przyjęto wręcz z entuzjazmem. Listy lotników w pełni uwiarygodniły naszą tezę. W Stanach z radością oczekują ich powrotu. Bez słowa udostępnili nam swoje bazy i dali zielone światło na przelot. W tej sytuacji, Grigorij Wasiliewicz – Orłow odkasznął lekko – start nastąpi zgodnie z planem, dwudziestego ósmego sierpnia o godzinie siódmej zero zero. Sam incydent zaś obliczony jest równo w godzinę później już nie na naszych wodach terytorialnych – pułkownik wolno wgniół niedopałek w popielniczkę i rozproszył dym dłonią. – Wraz z Amerykanami – kontynuował – zginie niestety i nasza załoga oraz dwie wysoko postawione osobistości, których śmierć uwiarygodni naszą akcję i wykluczy wszelki cień podejrzenia. Ich nazwiska, z wiadomych względów, poznać tuż przed startem. Prywatnie wam zdradzę, że wybór tych dwóch gwarantów jeszcze nie nastąpił. To trudna i odpowiedzialna decyzja. Odpowiednich kandydatów nie ma wielu...



Grigorij stęzał. Miał tylko nadzieję, że nie on będzie tym gwarantem. Pułkownik znów wrócił do strony propagandowej imprezy, całą oprawę pozostawiając w jego rękach:

– To już wasza sprawa, Grigorij Wasiliewicz, aby cała ceremonia wypadła jak najlepiej. Ufamy wam. Pamiętajcie, mój drogi. Przewidujemy dekoracje Amerykanów. Wykaz odznaczeń otrzymacie. Oczywiście orkiestra, prasa, kompania honorowa, to się rozumie samo przez się – pułkownik zabębnił palcami jak na defiladzie. – Na tej maskaradzie się znacie. Nie muszę was uczyć. Bał wypadł świetnie. Świetnie, jak powiedziałem – zaciągnął się papierosem. – A, że tam ktoś nie trafił do butelki?! Mój Boże. Zdarza się w najlepszej rodzinie. Szczególnie jak ten ktoś... – Orłow znacząco walnął się w szyję, wskazując na nadmiar spożycia alkoholu. – Ludzka rzecz, mój drogi – spojrział twardo na Makarowa.

Grigorij zamarł: "Jednak doniósł – pierwsze co pomyślał. – Zbyt pochopnie mu zaufałem..."

– Wszystko w sferze żartów – uspokoił go pułkownik. – Szef jest z was zadowolony, jak już mówiłem, a tego snajpera i tak nie ukarzymy. Sam pójdzie do nieba – zaśmiał się łagodnie.

Grigorij jednak wiedział, że nie o Hudsona tu chodzi i w każdej chwili on również może polecieć. Po to przecież zostało to powiedziane. Pułkownik daje mu cynk. Żeby wiedział, że nie jest aniołem i pilnował się. Pomimo tego zmobilizował się i uśmiechnął, najszczerzej jak tylko potrafił:

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, towarzyszu pułkowniku. Zgodnie z instrukcją. Możecie na mnie liczyć...

– To właśnie chciałem usłyszeć – powiedział wesoło Orłow, tak jakby przedtem niczego nie powiedział. – A chłopcy niech się bawią... Do samego końca, mój drogi – wstał i dał do zrozumienia, że rozmowa jest skończona. Grzecznie wyprosił Makarowa z jego własnego gabinetu i przystąpił do narady ze swymi ludźmi.

Grigorij zszedł do stołówki w minorowym nastroju. Mimo tylu smutnych lekcji życia wciąż pozostał niepoprawnym optymistą. Pysznił się swoją władzą i ludził, że go chroni. Wydawało mu się, że po ostatnich sukcesach i pochwałach Abakumowa jego pozycja jest niezagrożona, a podwładni czują do niego respekt. I są w pełni lojalni. "Proszę jacy lojalni. Z miejsca donieśli..."

W pierwszej chwili przyrzekł sobie zniszczyć tę żmiję, Lwa Spirydonycza, ale potem doszedł do wniosku, że nie musi to być wcale on. "Mógł Babadżian!? Albo Daunadze?! Dla własnego bezpieczeństwa nie polenili się tylko pobiegli. Podczas gdy ja, głupiec, liczyłem na ich lojalność. Jestem głupiec i zginę jak głupiec! – pomyślał w desperacji. – Powinienem wyc w operze. Śpiewak byłby ze mnie lepszy" – stwierdził szyderczo.

Wpadł w tak zły humor, że niemal był pewny, iż w sprawie Garmontowa też na pewno mają na niego haczyk. Tylko czekają. Mimo że ostatni świadek nie żyje, nic to nie znaczy. Przed śmiercią na pewno zdążył donieść. Albo zza grobu. Taki to kraj przeklęty. Przypomniawszy sobie ironiczny uśmieszek Orłowa. "To może ja mam być? Tym gwarantem. Niby dlaczego nie?! Kto lepiej może zaświadczyć o czystości naszych zamiarów, jak nie komendant "Smiersza" we Władywostoku? Towarzysz Grigorij Wasiliewicz Makarow!? Zginął na posterunku – napiszą. I świadek z głowy. Niszczy się Amerykanów, niszczy się i ich opiekuna. I tak za dużo wiem – przeraził

się logiką swego wyводу. Najpierw sam urządzę sobie uroczystość pogrzebową, a potem wejdę do samolotu. To by było dobre – szydził z siebie. Kto mieczem wojuje od miecza ginie" – zawyrokował w końcu.

Z tych desperackich myśli wyrwała go babuszka Zoja Iwanowna, która wbiegła do stołówki i zawiadomiła go, że żona czeka przy telefonie. Pobiegnął na górę do sekretariatu.

Postanowił wziąć się w garść. Przypomniawszy sobie, że jest odpowiedzialny za dwie najbliższe osoby. "Powołałem na świat nową, niewinną istotę i muszę ją zabezpieczyć. Nie mogę już u progu życia pozbawić jej ojca i skazać na bezdomność – wzdrygnął się. – Nie wolno być głupcem.

Wiera w zasadzie nic do niego nie miała. Chciała go tylko powiadomić, że wzięła tygodniowy urlop, który się jej jeszcze należał i w związku z tym wraca wcześniej do domu. Zamierzała potem może gdzieś wyjść.

– Czy czujesz się dobrze? – zaniepokoił się.

– Tak. Teraz dużo lepiej. Nie martw się – zapewniła go.

– Uważaj na siebie – przestrzegł ją.

Rozmowa z żoną i myśl o dziecku wzmocniły go i przywróciły dawny spokój. Gdy odkładał słuchawkę, do sekretariatu wszedł Lew Spirydonycz i gorliwie się zameldował. Przyzwyczał się, że jego szef częściej przebywa teraz poza gabinetem i łatwo go odnalazł.

Grigorij przyglądał mu się uważnie, obserwował, jak stoi posłusznie wyprężony i czekając pokornie na pierwsze jego słowo, wiernie patrzy mu w oczy. Te oczy wydawały się dziś jeszcze wierniejsze i bardziej oddane. Makarow zawahał się: "Możliwe, żeby to on?! – I zaraz karcąc swoją naiwność pomyślał: – Oczywiście, że on. Inaczej być nie może" – i biorąc go serdecznie pod pachę, przystąpił do omawiania ostatnich przygotowań do odlotu Amerykanów.

## LI

Telefony urywały się. Betty dopiero teraz zrozumiała, ilu ma oddanych sobie przyjaciół. Oddanych i bezinteresownych. Ludzie dzwonili jak nieprzytomni. Czasem zupełnie obce osoby, byle tylko powiedzieć, jak bardzo się cieszą i są szczęśliwe. Było to nadzwyczaj miłe.

Potem posypały się kartki. Nagle okazało się, że za nią stoi cały naród i teraz dopiero gorąco daje o sobie znać.

Tę lawinę serdeczności wyzwolił nie tylko przedruk oświadczenia Agencji TASS i reportaż Nowikowa, ale również artykuł Dawida na pierwszej stronie "New York Times" zatytułowany: "A jednak nie zginęli".

Dresdner opisał w nim całą martyrologię lotników, śmierć porucznika Fultona, dzieje poszukiwań, interwencję rządu i niezachwianą wiarę rodzin, że ich odnajdą. Najbardziej wzruszyły Betty słowa, które Dawid umieścił na końcu:

"Witamy was! Gdziekolwiek przyszło wam cierpieć, pamiętajcie, że czekaliśmy na was i czekamy, jak jedna rodzina..."

Potem zaczęły nadchodzić oficjalne gratulacje. Od prezydenta Trumana, ministrów Byrnesa i Stimsona, a także generała Grovesa i dowódcy sił powietrznych, generała Arnolda, który oprócz tego zadzwonił do Betty osobiście. Dzwonił także generał Vaugham, któremu Betty podziękowała za pomoc, jaką okazał. Nadeszła depesza z ambasady radzieckiej od radcy prasowego Gorodenki, który już dwukrotnie dał Betty dowody swej pamięci.

Oscar Vanderzaan doznał podobnych uczuć sympatii. Niespodziewanie w jego gabinecie pojawiła się delegacja i w imieniu Zakładów Vanderzaana wręczyła na jego ręce prezent dla kapitana O'Sullivan. Była to wspaniała kopia superfortecy B-29 ze srebrnym napisem "Poteen". Model trochę odbiegał od oryginału, ważna jednak była sama spontaniczność uczuć i wysiłek, jaki w tę pracę włożono. Oscar Vanderzaan bardzo to sobie cenił.

Betty знаła na pamięć reportaż Nowikowa i wszystkie cytowane w nim wypowiedzi. Całowała fotografie z Rickiem. Wycięła je i oprawiła. Stały teraz nad jej łóżkiem. Na jednym z nich Rick znajdował się wśród kolegów i Rosjan, którzy ich wyzwolili. Zdjęcie było niewyraźne i Betty ledwie go poznała. Na drugim, dużo lepszym, tańczył z jakąś Rosjanką, bardzo ładną zresztą. Betty czuła się tak szczęśliwa, że nie miała siły być nawet zazdrosna. Wciąż pochylała się nad wózkiem i pokazywała zdjęcie synowi. Mały Rick uśmiechał się i wesoło fajtał nóżkami.

Niebawem przyszedł pierwszy list, na który czekała od pięciu miesięcy. W uniesieniu zaraz zadzwoniła do Dawida i Kate. Potem zorientowała się, że niechcący zrobiła przyjaciółce przykrość. Ale Kate była pogodna, rozmawiały spokojnie. W pewnej chwili Kate przerwała i wtrąciła melancholijnie:

– Tak, tak. Znakomicie. Wkrótce zobaczą się z Bobem...

Betty zamurowało. Nie wiedziała, co o tym myśleć. Powtórzyła rozmowę matce i Peterowi przestraszona zachowaniem przyjaciółki. Widywały się rzadziej i za każdym razem Betty odkrywała w Kate niepokojące zmiany. Uważała, że powinna iść do lekarza, ale nie śmiała tego zaproponować przyjaciółce.

Po pewnym czasie przyjechali zaalarmowani szczęśliwą wiadomością Oscar Vanderzaan z Dawidem. Betty natychmiast przystąpiła do głośnej lektury listu. Gdy skończyła Dawid rzucił półżartem:

– To nieźle musieliście szaleć tej nocy. Skoro tak dobrze pamięta...

Ku jego zdziwieniu Betty zamiast uśmiechnąć się spoważniała stropiona: – No właśnie. Tego jednego nie rozumiem...

Wybuchnęli śmiechem:

– Widać nie była to noc tak szalona. Rick przesadza – zakpił.

– Nie, nie. Poważnie – zastanawiała się – nie śmiejcie się. Jeśli on myśli o tej przygodzie na plaży, to rzeczywiście...

– Nie wiemy, co było na plaży, kochanie – wtrącił Dawid, wciąż ubawiony jej zachowaniem.

– Bo on wtedy udawał, że się topi – wyjaśniła z powagą.

– Topi? – podchwycił Dawid – Ejże. Pokaż no – wziął od niej list i podniósł okulary. Mrużąc powieki, z uwagą przysunął kartkę do oczu. Mrużąc zaczął

odczytywać powoli: "Mam nadzieję, że moja obecna przygoda skończy się równie szczęśliwie, jak ta w nocy, kiedy Cię poznałem..."

Dawid powtórnie przeczytał tekst i zaczął analizować.

– Dajcie spokój! – przerwał zniecierpliwiony Vanderzaan – Nie bawmy się w kryminologów – miał zamiar oblać tę cudowną nowinę. – Jak dobrze pójdzie, wkrótce będziemy go mieli z powrotem. Wierzyć się nie chce...

– Pozwól mu dokończyć, tatusiu! Więc jak to rozumiesz? – spojrzała wyczekująco na Dawida.

– Nie wiem – nasunął z powrotem okulary. – Jeśli jednak wtedy, jak mówisz, udawał, że się topi, to znaczy, że on w tym zdaniu sygnalizuje nam o pewnym niebezpieczeństwie, które mu grozi. Inaczej mówiąc, ma nadzieję, że jego pobyt w Rosji nie zakończy się utonięciem. Wyraźnie to stwierdza.

– Eeee, co ty pleciesz? – obruszył się Vanderzaan – Szukasz już dziury w całym...

– Może – przyznał Dresdner. – Logika jednak na to wskazuje – dokończył z profesorską pewnością i sięgnął po kieliszek, który mu podał Vanderzaan.

Betty jednak wierzyła w diabelski umysł Dawida i jego piekielną inteligencję. Przestraszona tym co powiedział, zaczęła nawoływać, żeby coś zrobili:

– Ale co? – spytał Vanderzaana, który sceptycznie odniósł się do całej sprawy.

– Nie wiem. Nie wiem – potrząsnęła głową – ale nie mogę go stracić. Zwłaszcza teraz – powtarzała w skrajnej panice.

– Nie histeryzuj. Nie po to to powiedziałem – przerwał jej Dawid. – Jak masz zamiar tak wariować, to zadzwonię do Departamentu Stanu i sprawdzę. Oni powinni coś wiedzieć...

Betty schwyciła się tego jak ostatniej deski ratunku. Nastawała, żeby zaraz przy niej zadzwonił. Dość szybko uzyskali połączenie z Waszyngtonem i sekretarka Heatha obiecała, że zaraz poszuka dyrektora, który właśnie wyszedł z gabinetu. Po chwili odezwał się ciepły głos Alberta.

– No co tam u ciebie nowego?

Dawid szybko powtórzył swoje niepokoje i spytał, czy w związku z tym nie mają jakichś sygnałów.

– Sygnałów? – zdziwił się Heath. – Wiesz, co? To już przybiera rodzaj fobii, mój drogi. Naprawdę – roześmiał się w słuchawkę. – I ty jej powoli ulegasz. Nawet w twoim artykule, bardzo pięknym zresztą, znalazłem te pewne prztyczki i docinki... Broń się przed tym, stary. Taka chorobliwa nieufność wyniszcza. Zostaw to policjantom. To ich metier. A ty pisz. Pisz jak dawniej. Obiektywnie. Rzeczowo. Na miarę swego talentu...

Dawid jeszcze raz wrócił do sprawy listu i spytał, czy nie ma powodu do strachu.

– Najmniejszego – odparł Heath. – Był tu przed chwilą dzentelmen z FBI i nawet on nie znalazł nic szczególnego. Nie bądź więc lepszy od glin i przestań się bawić w Sherlocka Holmesa – rzucił na pożegnanie.

– No widzisz – rzekł do Betty Dawid, odkładając słuchawkę. – Nawet FBI nic nie

znalazło. Nie chcę z nimi konkurować i dlatego poddaję się – podniósł dwie ręce w górę.

Betty to jednak wcale nie przekonało. Stwierdziła krótko, że dziwnie nie dowierza temu Heathowi, wiecznemu optymiście, szczególnie w wypadku Rosjan. Zażądała, żeby zadzwonił do FBI.

– Skoro badali te listy, niech sami potwierdzą – upierała się.

Dawid uznał to za przesadę. Nie bardzo mógł już dzwonić, bo spieszył się do redakcji. Wkrótce też wyszedł.

Teraz Betty z uporem zaczęła przekonywać ojca. Kiedy podszedł do telefonu, rozległ się dzwonek. Mężczyzna przedstawiający się jako agent FBI poprosił o chwilę rozmowy z panią O'Sullivan. Zupełnie jakby uczestniczył w ich rozmowie odczytał jej przez telefon zdanie z listu i zapytał, czy mogłaby coś o tym bliżej powiedzieć. W najwyższym niepokojem odparła, że zdanie dotyczy wariackiej kąpieli męża, który chcąc ich nastraszyć w nocy, udał, że się utopił.

– Utopił? – powtórzył oficer – Jest pani pewna?

– Jak najbardziej – potwierdziła. – I właśnie nad tym samym z ojcem się teraz zastanawiamy... Mieliliśmy nawet do panów dzwonić...

Oficer poprosił do telefonu pana Vanderzaana. Betty szybko oddała ojcu słuchawkę:

– Moje nazwisko Kent Sydney, specjalny agent FBI – przedstawił się major. – W swoim czasie służyłem w Wendover wraz z kapitanem O'Sullivanem i chłopcami – wyjaśnił. – Miałem też przyjemność ochraniać pana prezesa w czasie krótkiego pobytu w naszej bazie – zaśmiał się.

Oscar w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć nazwiska ani twarzy Sydneya, ale słuchał go w najwyższym skupieniu.

– Ponieważ znam zięcia i chłopców – ciągnął dalej major – sprawa jest mi osobiście bliska i nie traktuję jej tylko jako służbowego obowiązku... Uważam niestety, panie prezesie – mówił bez ogródek Sydney – że im grozi śmiertelne niebezpieczeństwo...

– Sądzi pan tak na podstawie listu zięcia? – zapytał przestraszony Vanderzaan.

– Nie tylko. W innych powiedziane to jest znacznie wyraźniej. Niemniej list zięcia jeszcze bardziej upewnił mnie, że mamy do czynienia z szyfrem. Chłopcy proszą nas o ratunek...

– Ratunek? – powtórzył jak echo Vanderzaan.

– Tak jest. Ratunek – potwierdził z całą mocą Sydney. – Jest to swoiste SOS, panie prezesie, i nie mam co do tego wątpliwości. Niestety, osobiście jestem bezradny. Znając inercję moich zwierzchników, wiem, że nie uda mi się ich przekonać w tak krótkim czasie. Dlatego dzwonię do pana. Rosjanie już za parę dni planują odlot. Naprawdę nie ma minuty do stracenia...

– Rozumiem – mruknął Vanderzaan i zagryzł mocniej cygaro. – Nie musi mnie pan przekonywać, majorze. Proszę mi zostawić swój numer telefonu. Już uruchamiam wszystkie moje kontakty. I dam panu znać...

– Okay – ucieszył się Sydney. – Wiedziałem do kogo dzwonić – podyktował swoje biurowe i domowe numery. – Jestem do pana dyspozycji. I jak się pospieszymy, to może sprawa nie będzie do końca przegrana – rzucił na pożegnanie.

Oscar nie chciał martwić córki, ale Betty domyśliła się, że sprawa jest bardzo poważna...

– Więc Dawid miał jednak rację? To był szyfr?

– Na to wygląda – odparł łagodnie Vanderzaan i zapalił nowe cygaro. Bez słowa sięgnął po notes. Wybierając numer, poprosił operatora o natychmiastowe połączenie ze sztabem sił powietrznych i przywołanie do aparatu osobiście generała Henry Arnolda. Na szczęście była to jeszcze godzina urzędowania i Hap mógł być w biurze.

– Jeśli nigdzie nie wyjechał, to żyjemy – rzucił do córki.

Po dłuższej chwili nerwowego wyczekiwania odezwał się dzwonek i telefonistka połączyła ich z Waszyngtonem. Ku wielkiej uldze Vanderzaana sekretarka oznajmiła, że generał jest na naradzie u generała Marschalla i wróci mniej więcej za godzinę. Vanderzaan poprosił, żeby przekazała generałowi, iż ma do niego sprawę najwyższej wagi. – Życia i śmierci – jak się wyraził. Sekretarka przyrzekła, że generał po powrocie natychmiast oddzwoni.

Po niecałych dwóch godzinach zaniepokojony generał zapytał, co się stało.

– Słuchaj Hap – wyjaśnił mu Vanderzaan. – Sprawa dotyczy oczywiście Ricka i chłopców w Rosji. Mam poważne sygnały z FBI, że ich powrót jest mocno zagrożony. Tylko ty możesz mi pomóc...

– Okay – przerwał mu generał. – Proponuję zatem spotkanie jutro o dziesiątej. Do tego czasu zbadam sprawę od swojej strony i zastanowię się... Jeśli będę mógł coś zrobić, zrobię. Bądź dobrej myśli, stary – uspokoił go.

Vanderzaan uprzedził przyjaciela, że na spotkaniu zjawi się z oficerem FBI, który dokładnie naświetli mu swoje wątpliwości.

O świcie wyjechali z Frankiem do Waszyngtonu. Przed gmachem dowództwa sił powietrznych czekał już na niego Kent Sydney. Dopiero teraz Oscar przypomniał sobie, że zna tę twarz o śniadej cerze z lekką blizną na policzku.

Generał Arnold przyjął ich serdecznie w swoim gabinecie o wyznaczonej porze. W skupieniu wysłuchał argumentów Sydneya, który w logiczny sposób przekonywał go o groźbie zamachu na życie lotników i całkowitej swej bezsilności:

– Nasze prawo jest takie głupie, panie generale – skarżył się – że często mam ewidentnych szpiegów na muszce i nie mogę ich tknąć, bo nie zostali złapani na gorącym uczynku...

– No dobrze. Ale co pan proponuje w tej konkretnej sprawie – przerwał mu generał.

– Co proponuję? – Kent Sydney westchnął głęboko. – Proponuję trzy rzeczy, panie generale. Po pierwsze, wysłać po nich nasz samolot. Po drugie, samolot ten w pełni zabezpieczyć. Szczególnie na terenie Rosji. Po trzecie, sprawić, bym ja mógł się znaleźć w tym samolocie...

– Mimo grożącego niebezpieczeństwa? – uśmiechnął się generał.

– Właśnie dlatego. Sądzę, że jak ja tam będę, to niebezpieczeństwo będzie mniejsze. Nikt nie lubi ginać w powietrzu. Już ja tak sprawdzę, że mucha nie siada. We własnym interesie – zapewnił gorliwie.

Generał zaczął przechadzać się po gabinecie.

– Z naszej strony nie widzę przeszkód. Rosjanie mogą utrudniać, ale jesteśmy w tym szczęśliwym położeniu, że niemal w tym samym czasie mamy podpisać wspólny traktat z Japonią. Rosjanom na tym traktacie bardzo zależy. Postaram się uzyskać zgodę prezydenta Trumana, by upoważnił generała MacArthura do przyciśnięcia delegacji radzieckiej w tej sprawie. Jak znam generała, to da sobie z nimi radę. Nie będzie go trzeba długo prosić. Tym bardziej, gdy w grę wchodzi tacy chłopcy. Wyślemy więc po nich nasz czteromotorowiec C-54 o zasięgu, którym Rosjanie jeszcze nie dysponują. To też będzie dodatkowy pretekst w rozmowach. Trasę Władywostok – San Francisco transportowiec ten pokona zaledwie z jednym lądowaniem, gdy tymczasem samoloty rosyjskie muszą co najmniej trzykrotnie korzystać z naszych baz. Argument więc czysto techniczny będzie świetny. Kiedy tylko ten nasz C-54 opuści obszar powietrzny ZSRR, dodamy mu do towarzystwa eskortę mustangów, żeby nie było żadnej wątpliwości, jak wielką wagę przywiązujemy do tego przelotu. Sądzę, że w tym układzie chłopcy nasi dolecą cali i zdrowi, a wraz z nimi i pan, majorze – zwrócił się do Sydneya, któremu więcej nie było trzeba. To właśnie chciał usłyszeć.

Również Oscar Vanderzaan był wyraźnie podniesiony na duchu. Serdecznie podziękował swemu przyjacielowi.

Generał wezwał adiutanta i oficera łącznikowego do zadań specjalnych i polecił im majora. Kent Sydney krótko zreferował sprawę i wspólnie przystąpili do wykonania powierzonego im zadania.

Sam zaś generał Arnold po wyjściu Vanderzaana kazał się połączyć z gabinetem prezydenta Trumana i z szefem FBI, J. Edgarem Hooverem.

## LII

Ostatnie dni pobytu we Władywostoku wypełniono im po brzegi. Wciąż czekały ich nowe atrakcje. Czasu wolnego dla siebie prawie nie mieli. Autobus woził ich tam i z powrotem na spotkania z zakładami pracy, delegacjami robotników i wojska, które spontanicznie ich podejmowały. Od nadmiaru tej serdeczności ledwie żyli. Zrezygnowanie z jakiegoś punktu programu przyjmowane było przez gospodarzy z głęboką urazą: – Wasza wola – mówili. – Nie musicie. Ale ludzie się nastawili. Czekają. Będą bardzo rozczarowani...

Czasem niektórym z nich udawało się wykręcić, ale odbywało się to zazwyczaj kosztem kolegów, co nie było zbyt fair. W sumie te spotkania były nawet miłe, ale w stanowczym nadmiarze. Za trzy dni odjeżdżali, a czekał ich jeszcze cyrk, jeden wieczór w teatrze, pożegnalny bankiet u sekretarza Karpiuka i w dowództwie armii. Za wszelką cenę chciano im też pokazać starożytny Biały Monastyr położony wysoko w górach.

Klasztor ten wykuty w skałach tworzył naturalne warunki obronne. W środku znajdowała się zabytkowa cerkiew Świętego Mikołaja i źródło o cudownej, uzdrawiającej mocy. Biały Monastyr przez wiele lat był zamknięty i otwarto go

ponownie pod naciskiem ciężkiej sytuacji na froncie. Wtedy Stalin przeprosił się z Cerkwią i rzucił hasło świętej wojny ojczyźnianej przeciwko faszystowskiemu najeźdźcy. Mieszkało tam wciąż kilkunastu mnichów, którzy odprawiali nabożeństwa i wiedli na poły pustelniczy żywot. Widok z wysokiej dzwonnicy na okoliczne dzikie góry był podobno jedyny w swoim rodzaju.

– Raz tylko można takie cudo zobaczyć – zachwalał klasztor kierownik Daunadze.

Rick nie miał specjalnej ochoty tam jechać, ale poprzedniego dnia w Operze Wiera szepnęła mu, że pojedzie z nimi i będą mogli wreszcie cały dzień spędzić razem. Była to więc dostateczna zachęta. I szansa swobodniejszej rozmowy. A także ich pożegnanie. Wątpliwe bowiem było, czy kiedykolwiek się jeszcze zobaczą.

Od chwili balu nie udało im się przez moment być samym. Wierze niemal zawsze towarzyszył mąż i otaczał ją troskliwą opieką.

Daremnie szukała kontaktu z Rickiem. W operze specjalnie przesiadła się, by choć na przedstawieniu mieć go bliżej. Siedzieli we troje, Wiera pośrodku. Ciągłe na niego zerkania i dyskretnie dotykała jego dłoni. Obydwoje nie bardzo wiedzieli, co się dzieje na scenie i nawet potężny bas Borysa Godunowa nie docierał do nich.

Car śpiewał, siedząc na wspaniałym siwym koniu. Chór bojarów grzmiał groźnie z mrocznych czeluści sceny. Rick obawiał się, że opera może się skończyć poważnym skandalem: "A ja powiększę grono trupów i tak gęsto ścielących się na scenie" – pomyślał ubawiony.

Makarow jednak absolutnie nie zwracał uwagi na to, co dzieje się pod jego bokiem. Całkowicie pochłonięty był operą. Nie słyszał nawet głosu swojej żony, która nie wytrzymując wciąż coś szeptała do ucha swego sąsiada. Uznał, że tłumaczy mu treść opery.

Kiedy przechadzali się potem wspólnie po foyer, a Wiera wciąż rzucała na Ricka zakochane spojrzenia, ukradkiem biorąc go za ramię, Rick zachodził w głowę, jak jej mąż, ten bystry oficer śledczy, może nie zauważyć dziwnego zachowania żony. "Ślepy by spostrzegł. Widać Bóg odebrał mu klasową czujność" – myślał z ironią.

Byłby fałszywy, gdyby negował, że to ciche, podstępne zwycięstwo nad pewnym siebie komendantem "Smiersza" nie sprawia mu przyjemności.

Teraz też Rick o tym myślał, jadąc razem z Wierą do Białego Monastynu. Zastanawiał się, jak udało się jej zwieść zawodową czujność męża. "Spryt zakochanych kobiet nie ma granic. Nawet policję zwycięży" – doszedł do wniosku.

Z radością patrzył na Wierę, jak wychyla się przez okno w swojej jedwabnej, przewiewnej bluzce. Po drodze zdradziła mu, że specjalnie wzięła urlop, żeby być z nim razem tę ostatnią minutoczkę. Ta minutoczka stała się ich skrytym kodem.

Zaraz za nimi siedział Aron, który wciąż przeżywał rozstanie ze swoim zegarkiem. A wszystkiemu winien był Stan i jego miłość do Wali.

Zaraz po pamiętnym balu Wala nie zjawiała się w pracy. Po dwóch dniach nieobecności jej gabinet zajął jakiś młody dentysta. Gdy Stan zapytał o Walę, udzielono mu krótkiej odpowiedzi, że doktor Wolner jest na urlopie i wróci za miesiąc.



– Za miesiąc czyli nigdy – stwierdził zrozpaczony Stan.

Był pewien, że jest to zemsta Rosjan za śmierć Iwana Groźnego i Wala pośrednio padła tego ofiarą. Szalał, żeby się z nią zobaczyć. Nie znał jej adresu, a telefonu Wala nie miała. Mordował Arona, żeby sprawę zbadał i pomógł mu.

Aron wreszcie zlitował się i poszedł na koniak z kierownikiem Daunadze. Ten w pełni potwierdził tezę Stana.

– To odwet za Własenkę – bełkotał w sekrecie mocno już pijany. – A ponadto, uważasz, Prokop porachował się z Walą. Bo on bestia, też kiedyś do niej pruł, nie wyszło mu, no to tego, rozumiesz? – czknał wymownie. – A teraz widzi, że ona z twoim Amerykańcem, to zawrzał gniewem. A z Prokopem, Aronuszka, to wybaczyć, ja wojować nie będę. Mimo że on swołocz tylko skromny higienista, odważniki na wadze przestawia, a ja dyrektor domu, to co MWD to MWD – spojrzął na Arona bezradnie. – Nie wymagaj ty od swego przyjaciela Dżodzo, żeby łeb za tę błądź nadstawiał...

Chęć jednak posiadania złotego zegarka przemogła nawet strach przed MWD. Stanęło na tym, że za odpowiednią listę towarów plus ułatwienie spotkania z Walą bezcenny zegarek "Omega" zmieni właściciela.

Biały Monastyr nie zawiódł oczekiwania. Położony na urwistym szczycie, zdawał się wisieć w chmurach. Rzeka wijąca się u jego stóp, wzburzoną kaskadą wodogrzmotów, z białym szumem przeciskała się przez wąski kanion. Aby dotrzeć na szczyt, trzeba było mozolnie pięć się w górę ostrymi serpentynami. Stary autobus często stawał. Cofał się i ze stęknieniem ruszał znowu. Przylepieni do stromej ściany ostrożnie brali zakręty tuż nad przepaścią. Wiera ze strachem spoglądała w dół i mocno trzymała się ramienia Ricka. "Jak zginąć to we dwoje" – myślała.

Przed starą, dębową bramą monastynu siedziało dwóch dziadów cerkiewnych i grzało się w promieniach ostrego, górskiego słońca. Długie, siwe brody sięgały im prawie po pas.

– Trzeba ich wesprzeć, koledzy – zdecydował Aron. – Albowiem tylko te dwa siwe orły zdołały się jeszcze oprzeć czarowi Wujka Joe i dalej żebrzą. Jak za cara. Na, of jom tew (na święto) – rzucił im parę kopiejek do czapki.

Lew Spirydonycz, który im towarzyszył nie wytrzymał i wtrącił:

– Nie ma co wspierać stary zabobon, panowie...

– Lepszy stary niż nowy – odparł mu Aron. – Wolę żebraka od szmacciarza – pomyślał, patrząc na gorliwego oficera.

W cerkwi trwało właśnie nabożeństwo. Z daleka usłyszeli już chór. Zdawało się, że nic nie dotarło do tego zakłętą zakątką ziemi. Wojny, Rewolucja, zbrodnie ludzkości. Wszystko trwało jak dawniej. Sam na sam z Bogiem i naturą. Zwabieni śpiewem weszli do środka. Towarzyszący im Rosjanie przezornie zostali na zewnątrz i przechadzali się po obronnych murach klasztoru, podziwiając stare car-puszki.

Mdlący zapach kadzidła uderzył słodko. Grube, woskowe świece płonęły przed złotym ikonostasem i drgały lekko. Chór kilkunastu mnichów wzbijał się w górę aż pod niebieską kopułę, gdzie patron klasztoru, święty Mikołaj, z rozpostartymi, złotymi skrzydłami brał ich dobrotliwie pod swoją obronę. Klękali zgodnie wszyscy bez względu na obrządek. Syn Judy też klęczał między nimi. Patrząc na udreżoną

twarz Chrystusa, własną wspominali Golgotę, dziękując za cudowne ocalenie. Stan oparł głowę o ławkę, Mario bił się w piersi, potężny Glenn płakał jak dziecko.

Z Rosjan tylko Wiera odważyła się wejść i uczestniczyć w nabożeństwie. Nie bacząc na dalsze konsekwencje i donos Lwa Spirydonycza, uznała, że jest to jedyny moment wspólnego pomodlenia się o zdrowie ich dziecka.

– "W rodzinnej trójcy. Tak jak Bóg przykazał – pomyślała. – Może to szaleństwo – wolno dławiała swój lęk – ale gdybym tego nie zrobiła, nie darowałabym sobie nigdy. Nigdy" – upewniła się.

Kątem oka spoglądała na Ricka. "Za chwilę go stracę" – myślała i mróz kamiennej posadzki podchodził jej do serca. Czuła lodowaty puls w skroniach. Modliła się, prosząc Boga, by pozwolił jej jak najdłużej pozostać z ukochanym i błogosławił go na dalszej drodze: "Niech wraca, Hospodi, niech wraca. Trudno. I tak go będę kochała. Na wieki, wieków amen! – przyrzekła sobie, żegnając się trzykrotnie.

Wstali pobladli i jacyś inni. Rick czuł, dlaczego Wiera płakała, nie odgadł jednak prawdziwej istoty jej bólu. Łagodnie ujął ją pod rękę i wolno opuścili cerkiew. Silny blask uderzył ich znowu. Musieli zmrużyć oczy. Mroczny, podniosły nastrój cerkwi nagle zniknął, zgaszony ostrą jaskrawością dnia.

Teraz poprowadzono ich do cudownego źródła. Szło się do niego stromą ścieżką. Po krótkiej, męczącej wspinaczce byli u celu. Brodaty mnich wręczył im cynowy kubek. Źródło obudowano wysoką studzienką i chcąc z niej zaczerpnąć, trzeba się było mocno nachylić. Woda biła z samego serca ziemi. Była lodowato zimna. Pili ją z rozkoszą jak stare wino. Mnich wyjaśnił im, że ta cudowna, święta woda niejednego chorego uzdrowiła i nawet ślepiec przejrzał na oczy.

– A cholerie (cholera), przydałoby się. – Westchnął Aron, patrząc jak Lew Spirydonycz pije ją łapczywie. – Ale aż w taki cud nie wierzę. Zol ich azoj gezond... – cmoknął ze smutkiem.

Na dnie studzienki pełno było miedziaków. To wierni zgodnie z przesądem wrzucali je w nadziei, że tu kiedyś wrócą. Wiera sypnęła garść kopiejek: za siebie i Ricka.

Amerykianie woleli nie ryzykować.

Zakonnicy zaprosili ich do zwiedzania starych piwnic. Oprócz małego skarbcza klasztoru i galerii ikon w podziemiach tych była również piwniczka mszalnego wina. Starzy mnisi pędzili je od lat. Częstowali chętnie i zapraszali do degustacji co zacniejszych roczników. Wino to, podobnie jak święta woda ze źródła, miało cudowne właściwości, tylko szybko uderzało do głowy.

Gospodarze zaproponowali teraz wyprawę na kopułę dzwonnicy, skąd rozciągał się najpiękniejszy widok na okolicę. Trzeba się było na nią drapać po krętych schodach, a nie wszystkim się chciało. Rick z Wierą nie zrażeni zaczęli się wspinać pierwsi. Wkrótce znaleźli się na małej, obronnej dzwonnicy. Po wąskim podejściu hulał wiatr. Byli bardzo wysoko.

Rick wychylił się przez barierkę i spojrział w dół. Brakowało mu tego. Poczul się w chmurach. Z radością ogarnął ziemię.

Wiera smutno oparła głowę o dzwon. Wisiał martwo. "Ze mną będzie tak

samo..." – pomyślała.

Była bliska płaczu. By uniknąć łzawych scen, sięgnęła po torebkę. Wyciągnęła z niej zdjęcia z balu. Jedno zdjęcie szczególnie jej się podobało. Poprosiła Ricka o dedykację. Podała mu pióro. Przez chwilę stał wychylony w przestrzeń, jakby tam szukał natchnienia. Wiatr targał jego włosy. Jasny profil odbijał od ciemnej zieleni gór.

"Mój orzeł" – Wiera zapamiętywała zachłannie.

Rick zamasyżuje skreślił: "Cudownej uzdrowicielce mojej, Wierze, w podzięce za zmartwychwstanie – kapitan Richard O'Sullivan. Biały Monastyr. 25 sierpień 1945. Pod sercem dzwonu".

Byli teraz sami. Może po raz ostatni? Przywarli do siebie. Głaskał ją po włosach w milczeniu.

Na dzwonnice wdrapywał się zziębnięty kierownik Daunadze wraz z Aronem. Rozmawiali o czymś głośno po rosyjsku. Rick z Wierą odskoczyli od siebie. Powoli zaczęli schodzić. W połowie drogi, w mrocznym wykuszu baszty dopadli jeszcze raz swoją minutoczkę.

Na dziedzińcu klasztorным usiedli na ławce. Jastrząb krążył nad nimi wysoko w górze i szybując ponad dzwonnica, zniknął za skalnym szczytem. Pod kasztanem kury dziobały ziarno, które im rzucił stary mnich.

Rick westchnął i wrócił do smutnego tematu. Poprosił Wierę, by w związku z bliskim odlotem spróbowała jakoś dostarczyć urnę z prochami Boba.

– Przynależę mu to przed śmiercią – wyjaśnił – i nie mogę bez niego wrócić...

Wiera już wcześniej o tym myślała i poczyniła nawet pewne kroki, by bezpiecznie odkopać ją z miejscowego cmentarza. Umówili się, że albo dostarczy urnę do willi, a jeśli nie zdąży, przyniesie prosto na lotnisko.

– Jest mała i łatwo ją ukryć – zapewniła.

Powoli wycieczka zbliżała się do końca. Mnisi obdarowali ich beczką mszalnego wina. Nastrój w autobusie był wesoły, a kierowca brał zakręty z kawaleryjską fantazją.

Wiera późno wróciła do domu. Chociaż zbliżała się jedenasta, Grigorija nie było. Ucieszyła się nawet. Wołała być sama. Chciała spokojnie zebrać myśli.

Grigorij wrócił po północy w okropnym stanie. Bez słowa sięgnął po kieliszek. Wypił w milczeniu. Gdy zapytała, co się stało, odparł ponuro:

– Nic. Zmienili termin, cholera. Odlatują już pojutrze...

– Kto?!

– Amerykanie. Moskwa przyspieszyła odlot. I on mi dopiero teraz raczył o tym powiedzieć?! Jak ja zdążę?! – kłął Orłowa, nie zważając na podsłuch.

– Nie wiem – powtórzyła zdruzgotana.

Wściekły Makarow nalał sobie drugi kieliszek i wtedy odezwała się jak echo:

– Mnie też, Grisza. Proszę – było jej wszystko jedno.

– Zwariowałaś?! – oburzył się – Chcesz zabić dziecko?! To jedyny jasny promień w moim całym zaszranym życiu. Jedyny, rozumiesz?! I jeśli mi go zniszczysz przez własną głupotę, to ja cię... – zacisnął pięści i Wiera pierwszy raz dostrzegła bezmiar nienawiści w jego twarzy.

– Żartowałam, Grisza – wybuchła straszliwym płaczem.

Makarow rzucił się na kolana i zaczął ją przeproszać.

– Cham jestem. Bydlę. Wybacz, Wieroczka – kajał się w rozpacz.

– To ja, to ja, Grisza... – powtarzała szlochając, a on, nic nie rozumiejąc, na próżno starał się ją pocieszyć.

### LIII

Rozmowy z Rosjanami o wysłaniu amerykańskiego transportowca do Władywostoku wcale nie były łatwe. Generał Arnold uzyskał zgodę Trumana na zwrócenie się o pomoc do generała MacArthura i na twarde rokowania z Rosjanami. Prezydent miał już dość "cudów" z lotnikami i chciał wreszcie mieć ich żywych nawet "za cenę pewnych zadrażnień".

Szef FBI, Hoover, chętnie przystał, by jego podwładny sprawował pieczę nad bezpieczeństwem lotu. Kent Sydney mógł więc działać swobodnie i w swoim stylu. Do akcji włączył swych najlepszych współpracowników jeszcze z Wendover. Wszystko zapięto na ostatni guzik.

Transportowiec C-54 czekał na lotnisku w Los Angeles. Był pod ścisłą ochroną. Zaufana ekipa monterów i mechaników czuwała nad sprawnością silników. Mogli wystartować w każdej chwili, nie mieli tylko zgody na lądowanie.

Tymczasem Rosjanie nie mówili wyraźnie nie, ale nie dawali też pozwolenia. Tłumaczyli się nieodpowiednim lotniskiem, trudnościami nawigacyjnymi, brakiem wpływu na urażone dowództwo we Władywostoku, itp.

Wreszcie attaché prasowy, Gorodenko, powiadomił, że Moskwa gotowa jest się zgodzić, ale z Władywostoku nadeszła wiadomość, że lot musi być przyspieszony ze względu na pogarszające się warunki atmosferyczne. Wszystko razem wyglądało na kpinę.

Zirytowany generał MacArthur postanowił natychmiast działać. Jeszcze tego samego dnia w trybie nagłym wezwał do siebie przewodniczącego delegacji radzieckiej. Rosjanin stawiał się niezwłocznie. Generał lejtnant Kuźma Derewianko, \* wiedział, że akt bezwarunkowej kapitulacji Japonii ma być wkrótce podpisany na pancerniku "Missouri". Przypuszczał, że chodzi o ustalenie protokołu.

Postać autentyczna.

Sprawa lotników zaskoczyła go zupełnie. Pierwszy raz o niej usłyszał i nie wiedział, co robić. Żadnych instrukcji nie otrzymał.

Tymczasem MacArthur postawił ultimatum: – Jeśli nasz samolot nie uzyska zgody na lądowanie, wy nie uzyskacie zgody na podpisanie kapitulacji. Nie dopuszczę was do tego...

Kuźma Nikołajewicz Derewianko na wszelki wypadek spróbował się zdenerwować i czerwony z oburzenia, jak swoje galowe lampasy, zaprotestował gorąco. Ale na MacArthurze nie zrobiło to wrażenia i tonem nie znośnym sprzeciwu rozkazał niemal:

– Powtarzam, generale. Jeśli wy nas nie wpuścicie na lotnisko, ja was nie wpuszczę na okręt. Podpiszemy bez was. My wojowaliśmy z Japonią blisko cztery lata, a wy zaledwie czternaście dni. Proporcja więc jasna i może nie być o czym gadać – przypomniał brutalnie i nie wyjmując z ust bambusowej fajki, oznajmił cierpko, że audycja jest skończona.

– Ależ to jest normalny szantaż?! – zaprotestował Derewianko.

– Z wami inaczej nie można. Niestety. Czekam na odpowiedź, generale. I to szybko – skinął głową na pożegnanie.

Kuźma Nikołajewicz wybiegł szybko i natychmiast połączył się z Moskwą. Gwałtownie domagał się instrukcji. Był oszołomiony wagą, jaką przywiązują Amerykanie do lądowania jednego głupiego samolotu.

Skrajnie zdenerwowany próbował wytłumaczyć to swoim zwierzchnikom. Zdołał już poznać tego dumnego amerykańskiego generała! Cezara, jak go w duchu nazywał i wiedział, że po prostu zerwie rozmowy.

– To szaleństwo, towarzysze – alarmował – stracimy wszystko... Akt kapitulacji mam podpisać już drugiego września... Dosłownie za parę dni!!!

Alarm potraktowano na Kremlu niezwykle poważnie. Wkrótce otrzymał odpowiedź: "Oczekujemy na amerykański samolot we Władywostoku. Podpisujcie traktat". Odetchnął. Uspokojony znów widział siebie na pancerniku "Missouri".

Rozpromieniony zjawił się w kwaterze MacArthura i z szerokim uśmiechem oświadczył:

– Panie generale. Zaszło jakieś tragiczne nieporozumienie. Z największą radością powitamy wasz samolot na naszym lotnisku we Władywostoku! Inaczej być nie może...

– I ja tak myślałem – uśmiechnął się kącikiem ust MacArthur.

Mimo otaczającej go romantycznej aury był w głębi duszy chłodnym pragmatykiem. W pełni zgadzał się z Napoleonem Bonaparte, że Bóg stoi po stronie wielkich batalionów. Nie miał wątpliwości, że znany pragmatyk na Kremlu również docenia to zdanie. A bomba atomowa była naprawdę dużym batalionem...

W tym samym czasie do Departamentu Stanu w Waszyngtonie i do dowództwa sił powietrznych nadeszło jednobrzmiące oświadczenie, stwierdzające iż rząd ZSRR zgadza się na lądowanie transportowca C-54 we Władywostoku w terminie dogodnym dla obu stron.

Natychmiast po tej depeszy generał Arnold zadzwonił do swego przyjaciela, by powiadomić go o wspaniałej nowinie:

– Dziękuję ci, Hap – powtarzał wzruszony Vanderzaan. – Zaraz powtórzę córce...

Radość była ogromna.

Ostatecznie datę odlotu wyznaczono na dwudziestego dziewiątego sierpnia.

Siedząc w samolocie i słuchając jak cztery potężne motory nabierają mocy, Kent Sydney poruszył się nieznacznie. Miał powody do dumy. To, co wydawało się niemożliwe, dokonało się. Lecą.

Spojrzał na swoich chłopców z FBI, wysokiej klasy specjalistów od wykrywania groźnych niespodzianek.

## LIV

Grigorij całą noc nie spał. Orłow wyznaczył mu nowy, wariacki termin pożegnalnych uroczystości i wciąż nie chciał ujawnić gwarantów lotu.

Grigorij nie mógł się pozbyć myśli, że w każdej chwili Orłow wymieni jego nazwisko. Swoją strach tłumaczył przemęczeniem, ale lęk nie ustępował i sprawiał, że wiercił się, niecierpliwie czekając świtu. Zmory z pogranicza snu i jawy nękały go ciągle. Zrywał się wtedy i widząc, że jest w domu, ocierał pot z czoła.

Wstał i wypił parę kieliszków, ale i to nie pomogło. Dopiero przed świtem usnął na chwilę, ale zaraz obudził się znów.

Na palcach wszedł do łazienki i z niesmakiem spojrzał w lustro:

– Wykańczam się – ziewnął ciężko.

Szybko namydlił się i przystąpił do golenia. Odchylił nos i naciągnął górną wargę. Te rutynowe czynności uspokoiły go nieco. Gdy wychodził z łazienki, był już całkiem opanowany.

W kuchni ugryzł kęs chleba i popił kwaśnym mlekiem, czuł jeszcze wczorajszy dzień i dobrze mu to zrobiło.

Do pracy szedł dziś na piechotę. Ostatnio tyle przebywał w biurze, że postanowił dla zdrowia od czasu do czasu się przejść. Z rozkoszą wdychał poranne powietrze. Dzień był rześki i chłodny. Pierwsze żółte liście na klonach zwiastowały wczesną jesień. Czuło się ją już w zimnych promieniach słońca.

Nie zauważył nawet, kiedy znalazł się przed gmachem. Nikogo jeszcze nie było poza strażnikiem w biurze przepustek i oficerem dyżurnym na piętrze. Nawet babuszka, Zoja Iwanowna, zwykle ranny ptaszek, jeszcze nie urzędowała w swej kuchennej wnęce. Jednakże w jego gabinecie pułkownik już był. "Nocował – orzekł Makarow. – Czekał na telefon z Moskwy" – i gdy taktownie zamykał drzwi, Orłow w rozpiętej koszuli przywołał go serdecznie. Zaprosił na wspólne śniadanie. Pogwizdywał pod nosem i był w znacznie lepszym humorze. Oświadczył z miejsca, że jutrzejszy odlot jest odwołany.

Grigorij odetchnął.

– W Waszyngtonie coś zwęszyli i chcą przysłać własny samolot – oznajmił spokojnie Orłow – a ponieważ zapewniłem Szefa, że zmiana ta nie wpłynie na przebieg akcji, zaręczyłem nawet za to własną głową – uśmiechnął się z wyższością – kierownictwo w Moskwie wyraziło zgodę i samolot ten przyleci do nas, Grigorij Wasiliewicz – Orłow wskazał kalendarz – ostatniego dnia tego miesiąca, a wyleci nazajutrz, czyli pierwszego września. Na ten dzień zatem wyznaczam uroczystość

pożegnalną – nalał z termosu herbaty i przysunął bliżej talerzyk. – Jedźcie, mój drogi – zachęcił, pierwszy wziął kanapkę. – Z jednej strony więc nastąpiło drobne utrudnienie, zawsze to ich samolot, i dostęp do niego będzie cięższy, z drugiej jednak... – gryzł przez chwilę ze smakiem – akcja nasza zyskała na wiarygodności i prawdzie... To ich samolot będzie miał defekt i ich chłopcy tragicznie zginą – głośno łyknął herbatę. – Co też nie jest złe. Ocaleją nasi towarzysze. Panowie Amerykanie ich zastąpią. Chcą, mają. Nie będziemy im przeszkadzać, prawda? – uśmiechnął się, przelękając ostatni kęs.

Z kieszeni bluzy wyjął papierośnicę. Skierował ją w stronę Makarowa. Grigorija zaskoczyła jego pewność. "Musi mieć genialny plan" – pomyślał, biorąc papierosa.

– Przedstawiłem rzecz całą Szefowi, był zadowolony. Taak – rzucił w zamyśleniu. – Kosztowało to nas niemało trudu, ale rozwiązanie jest bezbłędne – pokiwał z podziwem głową. – Zrezygnowaliśmy ostatecznie z mechanizmu zegarowego, stosując czujnik minibaryczny umieszczony w próżni – tłumaczył. Wyzwoli się automatycznie pod wpływem zmiany ciśnienia; kiedy samolot osiągnie pułap trzech tysięcy stóp, wtedy nastąpi eksplozja. Proste – pstryknął zapalniczką dla podkreślenia efektu. – Genialnie proste – wydmuchał wąską smużkę dymu, jakby już widział pióropusz ciągnący się za samolotem. – A ich kolubryna, mój drogi, zazwyczaj lata powyżej dziesięciu tysięcy stóp. Margines tolerancji więc duży. Kiedy sobie panowie Amerykanie zażyczą osiągnąć ten pułap, pozostawimy do ich uznania. W tym wariacie to bez znaczenia. W końcu błąd w sztuce ich pilota – dokończył, nalewając sobie jeszcze herbaty.

Grigorij chciał zapytać o gwarantów, ale Orłow sam to poruszył:

– W tej katastrofie jednak musimy ponieść ofiary. Zredukowaliśmy je teraz do dwóch osób. Dwóch, ale znacznych – podkreślił. – Powiadomimy je sami. Poznacie ich dopiero na lotnisku. Z wiadomych względów – spojrzał ostro, co znów niemiło uderzyło Makarowa, ale nie dał po sobie poznać. – Natomiast sama uroczystość pożegnalna, za którą jesteście osobiście odpowiedzialni, nabiera w tym wariacie kluczowego znaczenia. Nie jest to już zwykła ceremonia, ornament, ale istotny składnik planu. Kiedy bowiem będzie się rozgrywać, moi ludzie podrzucą prezencik. Wszystko musi być jak w zegarku. Rozumiemy się? – ostrzegł go i sięgnął po duże pudło, które trzymał pod biurkiem. Zawierało ordery dla Amerykanów przysłane z Moskwy i dokładny osobowy rozdzielnik. Odznaczenia były zróżnicowane. Najwyższe otrzymał pośmiertnie porucznik Fulton, najniższe – tylny strzelec pokładowy Stanley Hudson. Mimo zabójstwa strażnika Własenki i o nim nie zapomniano. – Dekorować ich będzie armia... Pod waszym bezpośrednim kierownictwem jako głównego szefa ceremonii. Ustalcie już z nimi kto i co...

– Tak jest, towarzyszu pułkowniku – wziął pudło i postawił obok siebie.

Teraz Orłow wręczył mu spis podarunków, jakie Moskwa przewidziała dla Amerykanów od społeczeństwa radzieckiego. Znajdowały się tam piękne kozuchy, specjalnie uszyte przez kołchoźników z Kazachstanu, dagestańskie szable, czerkieskie barwne papachy i serdaki oraz gruzińskie ozdobne pasy. Wśród licznych prezentów były również albumy z życia ZSRR w edycji angielskiej i portret towarzysza Stalina pędzla słynnego malarza radzieckiego, Gierasimowa. Orłow poinstruował także Makarowa, w jaki sposób podejmować przybyłych ze Stanów lotników transportowca C-54, dla których też będą prezenty.

Grigorij opuścił swój gabinet w nieco lepszym nastroju, chociaż lęk całkiem nie

ustąpił. Przynajmniej był pewny, że zdąży na czas.

Kiedy powiadomił o zmianie terminu żonę, ożywiła się bardzo. Dawno nie widział jej w takim stanie. Aż przyjrzał się jej zdziwiony.

– No wiesz, Wieroczka? Zaczynam podejrzewać, że zakochałaś się w tym kapitanie – zażartował.

– Prawie, Griszeńka, prawie – wyrwało się jej niechcący.

Mimo że Makarow pierwszy raz usłyszał prawdę, nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Uznał to za niewinny żart, poza tym zbyt był pochłonięty zadaniem, które powierzył mu pułkownik Orłow.

## LV

We wczesnych godzinach popołudniowych ostatniego dnia sierpnia amerykański transportowiec C-54 z podwójną załogą i ekipą specjalną FBI pod dowództwem Kenta Sydneya wylądował na lotnisku wojskowym we Władywostoku. Wprowadzony przez radziecką obsługę naziemną, podążał wolno za odkrytym gazikiem, który holował go pod główne wrota hangaru. Nigdy przedtem lotnisko we Władywostoku nie gościło takiego kolosa, który ledwie mieścił się na pasie startowym. Rozpiętość skrzydeł budziła zrozumiały podziw. Przypominał wielki srebrny gmach z wolna toczący się na kółkach.

Na ściśle strzeżonym lotnisku oczekiwały już delegacje gospodarzy z pułkownikiem Orłowem i kapitanem Makarowem na czele. Dziewczęta z pobliskiej szkoły niosły im kwiaty, a orkiestra grała powitalnego marsza. Co prawda wśród witających nie było lotników, po których przylecieli, ale gospodarze zaraz wyjaśnili, że nie znali dokładnego czasu przylotu, nie chcieli ich niepotrzebnie trzymać na lotnisku:

– To są ich ostatnie godziny. Mieszkają za miastem. Mają mnóstwo spraw przed odlotem – tłumaczyli z uśmiechem.

Makarow gorąco zaprosił całą amerykańską załogę na krótki spacer po mieście i wspólny uroczysty obiad. Dowódca ochrony samolotu serdecznie podziękował i ku zaskoczeniu Grigorija część ludzi pozostawił na miejscu.

– Musimy dokonać przeglądu maszyny i zatankować paliwo – wykręcił się uprzejmie.

– Nasi to zrobią. Nie bójcie się. Nie można chłopców dyskryminować – zażartował Makarow.

– Potem się wymienimy – oznajmił krótko dowódca.

– To nieludzkie, panowie. Należy im się chwila oddechu – upomniał się o pokrzywdzonych Orłow.

Za wszelką cenę chciał skłonić Amerykanów do opuszczenia samolotu. Amerykanin był jednak nieprzejednany i upierał się przy swoim. Było jasne, że ma zamiar ubezpieczać samolot non stop i nie ufa miejscowej załodze. Orłow liczył się z tym wariantem, nie był aż tak naiwny, niemniej fakt ten mocno go rozzłościł. Jeszcze bardziej dociskał Makarowa i domagał się, by jutrzejsza uroczystość wypadła



dokładnie według jego instrukcji: – Ani minuty opóźnienia. Pamiętajcie. Głową odpowiadacie – powtarzał.

Kent Sydney osobiście dopilnował rozstawienia straży. Ciekaw był, jakie dalsze próby podejmą Rosjanie w celu dostania się do samolotu, bo że podejmą, co do tego nie miał żadnej wątpliwości. Jeszcze raz zapowiedział wszystkim i każdemu z osobna, że Rosjanin nie ma prawa zbliżyć się do maszyny.

– Wszystkie czynności mają być wykonane przez nas. Każda rzecz dostarczona na pokład musi być sprawdzona. Nawet paczka papierosów. Źle sprawdzicie, wylecicie w powietrze. Proste – ostrzegali ich.

Nic dziwnego, że wobec tej perspektywy nawet przy tankowaniu paliwa zaglądali Rosjanom do węży. Nie dali się też zwieść syrenim głosem kelnerek, które podchodziły i serdecznie zapraszały do miejscowego bufetu. Chętnie na osłodę dawali im gumę do żucia i czekoladę, którą te brały z piskiem radości. Sami jednak od nich nie przyjmowali nic. Taki mieli rozkaz.

Pod wieczór Sydney planował opuścić samolot, by spotkać się z chłopcami z "Poteen". Chciał im wręczyć osobiście prezenty i listy od rodzin. Cieszył się na to spotkanie i z niecierpliwością czekał na powrót chłopców z załogi, którzy mieli ich zmienić. Niestety ku jego przerażeniu wrócili w takim stanie, że absolutnie nie nadawali się do przejścia służby. Byli za weseli.

Sydney odesłał ich do hotelu i zapowiedział, że jeżeli za sześć godzin nie stawią się smutni, w nienaganej formie, to ich osobiście rozstrzela.

Przestraszony kapitan samolotu zapewnił przy okazji, że jego załoga pilotująca już udała się na spoczynek i jutro będzie gotowa do startu. On też idzie spać.

Sydneyowi nie pozostało nic innego jak podziękować kapitanowi i samemu czuwać na posterunku.

– Pijane mordy – siadł przy oknie i zapalił papierosa. Rosjanie krążyli wokół samolotu.

– Jak szakale. Jeszcze się boją... ale zaatakują o świcie – przewidywał.

Jeszcze raz sprawdził chłopców na warcie.

Tymczasem w sztabie pułkownika Orłowa trwały ostatnie przygotowania. Inżynier dokonywał przeglądu ładunku. Jeszcze raz dokładnie sprawdził czujnik, nastawił go na wysokość trzech tysięcy stóp, ostrożnie dokręcił tabliczkę. Całość wstawił w nieduże pudełko i zamknął w skórzanym futerale.

Makarow do wieczora zajmował się wraz z generałem Babadżianem Amerykanami z transportowca. Nie widzieli się od ostatnich "zawodów" strzeleckich. Generał był niezwykle serdeczny:

– Pohulaliśmy, Grigorij Wasiliewicz, ale co tam! Póki człowiek hula, znaczy dusza króla! – wesoło otarł łysinę. Przyjaźnie trącił się szklanką. – Strasznie was lubię, Griseńka, miły. Jak syna! – zadeklarował się.

Grigorij uważał z pić, wiedział bowiem, że go czeka jutro trudny dzień. Wiera prosiła go przed wyjściem, żeby ją zabrał ze sobą, ale odmówił. Uznał, że i tak zbyt często pokazuje się w towarzystwie Amerykanów. Może to być źle widziane, tym bardziej że inni towarzysze z reguły występują bez żon:

– Pożegnasz ich na lotnisku – przekonał ją. – To w zupełności wystarczy...

Z dużym wahaniem ustąpiła. Ostatnio grymasiła jak dziecko i z byle powodu płakała. Często miała mdłości i napady złego humoru. Grigorij znosił to mężnie. W tym jednak wypadku nie uległ i postawił na swoim.

Babadzian wygłosił do Amerykanów świetne przemówienie. W gorących słowach podziękował im za końcową przyjaźń, która zwyciężyła pierwszą wrogość:

– To tak jak na froncie, kochani. Dobre w końcu wypiera złe. Człowiek zapomina o wszach, ranach, poniewierce, a pamięta o wspólnej żołnierskiej doli, która zawsze jest dobra, jak się dobrze kończy, prawda? Za ten bliski koniec więc, dobrą pamięć o nas i szybkie spotkanie! Wasze zdrowie, panowie Amerykanie! – wzniosł kieliszek wysoko i po kawaleryjsku, zamasyżył wypił. Puste szkło rozbił o ścianę.

Radośnie podjęli ten toast. Teraz naprawdę czuli się już jedną nogą w domu. A widząc chłopców, którzy po nich przylecieli, nie wątpili, że Ameryka jest tuż tuż. Mogli dotknąć ręką jej wysłanników i dowiedzieć się przy okazji, co działo się w kraju podczas ich długiej nieobecności.

Grigorij podszedł do Amerykanów.

Rick wiedział, że Makarow będzie sam. Wiera uprzedziła go o tym. Dzwoniła zdenerwowana i z płaczem oświadczyła, że nie mogą się dziś, niestety, spotkać, ale przyjdzie na pewno jutro na lotnisko i przyniesie wszystko, o co prosił. Domyślił się, że chodzi o urnę z prochami Boba.

Uprzejmie wypił z Makarowem i Babadzianem, który na jego widok wykrzyknął jak zwykle: – O'Sullivan! Ty nasz! Musisz być z Erewania! – co już w pewnym stopniu stało się hasłem przewodnim ich każdego spotkania. Tym razem podochocony generał, mocno podbudowany swoim udanym przemówieniem, dorzucił jeszcze chełpliwie: – No dawaj. Zmierzyć się na szklanki. Podobno w całej armii ty najtwardszy łeb, a ja w Kon-Armii. Zobaczymy, która armia lepsza, brat!

Makarow, widząc, że szykują się nowe zawody, nauczony już smutnym doświadczeniem, pohamował krewkiego generała:

– Wystarczy, Anastas Aramowicz. Już raz z butelkami był kłopot – przypomniał mu.

– Racja. Racja! – wybuchnął śmiechem Babadzian. Był w świetnym nastroju. Humor wprost tryskał z jego łysiny.

Aron przechadzał się bez zegarka, za to z plikiem załatwionych spraw. Z chwilą, gdy Stan zawiadomił go, że spotkał się z Wałą, doszło do ostatecznego dobiecia targu. Daunadze wręczył Aronowi walizkę towaru, a ten oddał mu z bólem bezcenny zegarek. Kierownik, już gratis, od siebie dorzucił na pamiątkę skrzyknę kaukaskich win i oprawną w skórę narodową epopeję największego gruzińskiego poety, Szota Rustaweli \* "Witeż w tygrysięj skórze".

Szota Rustawelli – największy narodowy poeta gruziński.

– Czytałeś?

– Nie – wyznał ze wstydem Kaplanowicz.

– Teraz sobie przeczytasz w samolocie. Geniusz! Co prawda, Rosjanie układają o

nim wredne żarty w rodzaju: szota pili, szota jeli, Szota Rustaweli, ale ty im nie wierz. Zazdrozczą go nam. Bo on większy niż Puszkini! Ukochany autor mój i towarzysza Stalina. I niech ci służy! – zachwalał swój towar.

Nie była to najlepsza rekomendacja, ale nie wypadało odmówić. Szczęśliwy Daunadze z zegarkiem na ręku nie odstępował go na krok. Z podwiniętym rękawem ukazującym w całym złotym blasku swą zdobycz klepał go po przyjacielsku: – Ech, Aronuszka, bracie. Żal, że odjeżdżasz. Brak mi ciebie będzie, mordo – powtarzał, wciąż przystawiając zegarek do ucha:

– Ty tak nie sprawdzaj, Dżodzo – zdenerwował się Aron – bo mój towar nie szajs. Ciebie przeżyje – zapewniał.

Dzięki temu zegarkowi Stan zobaczył się z Walą. Aron przedtem pouczył go w jidisz:

– Az men szmirt niszt furt men niszt – "kto smaruje ten jedzie".

Tak podniesiony na duchu Snajper wszedł do wozu kierownika Daunadze, który osobiście podwiózł go pod sam dom Wali i dyskretnie czekał za rogiem.

Stan otworzył furtkę i znalazł się w małym obejściu, po którym szwendał się chudy jak szkielet pies. Biała koza pasła się na trawniku. Wyminął stertę śmieci i wszedł do zupełnie ciemnej klatki. Na schodach śmierdziało moczem. Zapalił zapalniczkę, by sprawdzić numer mieszkania. Ponieważ go nie znalazł, zapukał do pierwszych drzwi. Otworzyła mu starsza kobieta w chustce. Spytał o doktora Wolnera. Kobieta panicznie zaprzeczyła głową. Widać było, że się boi. Na szczęście w przedpokoju zjawiła się Wala i widząc go, szybko wciągnęła do środka. Potem wyrzuciła na klatkę i sprawdziła, czy nikt go nie widział. Kobieta w chustce okazała się jej matką.

Wala speszona tą nagłą wizytą zaczęła mu tłumaczyć swą łamaną angielszczyzną, że nie może go zaprosić do pokoju, bo tam ojciec śpi po nocnej zmianie, a młodszy brat się uczy. Muszą więc zostać w kuchni. Matka akurat gotowała bieliznę w dużym kotle i zapach mydlin unosił się w powietrzu. Dom był nieskanalizowany. Stana bardzo zdziwiły warunki, w jakich mieszka Wala. U nich w Ameryce dentystom żyło się bardzo dobrze.

Po chwili matka wyszła na podwórko po wodę i wreszcie mogli być sami. Łagodnie wziął ją za rękę i jeszcze raz zapewnił, że wszystko będzie okay. Nieśmiało wsunął jej pierścienek na palec.

– Kocham cię, Walu – oświadczył uroczyście – i gotów jestem choćby dziś wziąć ślub.

Wala nic nie odrzekła.

Zaczął ją błagać: – Jako pani Hudson łatwiej wyjedziesz! Obywatelce amerykańskiej nic nie zrobią! – przekonywał ją.

Biedna Wala dopiero teraz się przestraszyła:

– Chcesz mnie zgubić?! Ty nic nie rozumiesz! Nic! – powtarzała z lękiem. – Nawet nie wiesz, co przesłama. Zostaw mnie w spokoju jeśli mi dobrze życzysz – szeptała.

Stan jednak ani myślał. Gwałtownie przysięgał, że ją stąd wywiezie: – Będziesz

w Stanach, Łala – powtarzał z dziwnym akcentem jej imię.

Wala patrzyła na niego swymi smutnymi, ciemnymi oczami i kiwała z politowaniem głową:

– Rebionok. Niczego cię nie nauczyli – głaskała go z czułością po twarzy.

– Rok, słyszysz?! A przez rok wszystko załatwię!

Zgodziła się, kiwając głową z niedowierzaniem. Dała mu swoje zdjęcie, które pośpiesznie wyciągnęła z szuflady: – Tylko im nie pokazuj. Błagam!

Kiwnął głową i przyrzekł, że zaraz po przylocie napisze do niej długi list. Wala znów się przeraziła i prosiła, żeby pod żadnym pozorem tego nie robił: – Zostawmy to w naszych sercach, Stan. Bez świadków – szeptała z płaczem, kładąc mu głowę na piersi.

Na korytarzu rozległ się brzęk wiader. Do kuchni weszła matka. Odwołała na stronę córkę i coś jej krótko powiedziała. Po chwili szepnęła, żeby już poszedł. Odprowadziła go na korytarz. Tam w ciemnej sionce, gdzie matka Wali trzymała kartofle, pocałowali się jeszcze raz. Przyłgnęła do niego całym swym drobnym ciałem, a jej prostymi jak struna plecami wstrząsał dreszcz.

– Bye, bye, Łala. Nie zabymaj mienia – szepnął na pożegnanie w dwóch językach i mężnie oderwał się od zapłakanej dziewczyny.

Nie oglądając się za siebie, szybko wypadł na podwórko. Z rozmachem przesadził rynsztok, który zdążył wezbrać mętną wodą i płynął teraz czarnym potokiem. Padał deszcz i glina lepiała się do butów. Zmierzchało. Zacinał ostry wiatr. Ręką musiał przytrzymać czapkę. Chudy, żółty pies szczekał za nim zajadle i tylko on odprowadzał go do końca. Wskoczył do auta, otrząsając się z deszczu.

Ruszyli wolno, podskakując na kocich łbach. Wóz trząsł się na źle brukowanej ulicy: "Wyrwę ją! Wyrwę! Żeby nie wiem co!" – przysięgał Stan.

Daunadze palił papierosa i mruczał jakąś melodię. Po szybach auta ściekały krople. Stan patrzył na drewniane rudery oblepione czerwonymi plakatami i miał wrażenie, że wychynęły z jakiejś koszmarniej nierzeczywistości, a mrugające gazowe latarnie nigdy się nie skończą.

## LVI

Od wczesnego świtu na lotnisku panował ożywiony ruch. Robotnicy okładali czerwonym płótnem podest, z którego miano żegnać odlatujących Amerykanów. Wciągnięto już na główny gmach czterogłowy emblemat klasyków marksizmu: Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina oraz oddzielnie portret marszałka Stalina i prezydenta Trumana. Flagi radzieckie i amerykańskie powiewały na masztach. O siódmej przybyła orkiestra i reprezentacyjna kompania honorowa dalekowschodniego okręgu wojskowego.

Kiedy żołnierze w białych rękawiczkach stali teraz przed swoim dowódcą, a on przechadzał się z szablą połyskującą w słońcu przed ich równym szeregiem, serca wzbierały dumą.

Ciężarówki dowoziły już pierwszych przedstawicieli zakładów pracy i młodzież

szkolną. Mimo słonecznego dnia ten wczesny, wrześnieowy poranek wcale nie był ciepły. Czuło się chłód jesieni. Na trawie pojawił się pierwszy szron, a zimne mgły unosiły się nad betonową taflą lotniska. Do uroczystości dopuszczono prasę i sprowadzonych z Moskwy korespondentów zagranicznych. W swych eleganckich tweedowych marynarkach wyróżniali się w tłumie.

Makarow od początku był na posterunku podobnie jak pułkownik Orłow. Razem przybyli niemal o świcie. Prezent przekazano już niczego nieświadomym organizatorom i miał być uroczyście wręczony podczas dekoracji lotników wysokimi odznaczeniami państwowymi.

Orłow z napięciem czekał na ten moment. Z chwilą, gdy "prezencik" zostanie przejęty i załadowany na pokład samolotu, jego zadanie będzie skończone. Reszta to tylko kwestia czasu i wysokości: "Im wyżej tym lepiej" – pomyślał, paląc papierosa.

Kent Sydney też nie próżnował. Od szóstej postawił już w stan ostrego pogotowia wszystkich swoich ludzi. Najbardziej niebezpieczny moment miał według niego nastąpić w chwili wchodzenia lotników na pokład. W radosnym rozgardiaszu i pośpiesznym pożegnaniu, w masie prezentów, które na pewno otrzymają, najłatwiej coś podrzucić. Dlatego na ten moment najbardziej uczuła swoich chłopców.

– Nie ulegać panice, panowie. Spokojnie dziobać. Osobista kontrola każdego. Będą nas poganiać, nie przejmować się. Najwyżej odlecimy później. Trudno. Tyle się wysiedzieli, wysiedzą i to – instruował.

Wiera przyjechała na lotnisko później niż Grigorij, ale dużo wcześniej niż Amerykanie. Ci mieli być dowiezieni dopiero przed godziną ósmą. Widząc tłum ludzi, uspokoiła się.

W takiej ciszy łatwiej będzie podać Rickowi paczkę – uznała.

Sama urna nie była duża. Wiera przeznaczyła do tego niewielką platerową kasetkę, w której matka kiedyś trzymała fotografie. Nie chciała, by Rick zobaczył obskurną puszkę po oleju, którą wręczył jej więzienny palacz.

Niespodziewanie najwięcej kłopotów miała z odkopaniem puszek. W dzień kręciło się tam wielu ludzi i dyżurnych milicjantów, a w nocy cmentarz opanowywany był przez różnych bandziorów, którzy w starych grobowcach pili wódkę, urządzali libacje. Nocna wyprawa była więc zbyt niebezpieczna. Wiera wolała to zrobić w dzień.

Zakopała urnę w obcym grobie. Było to dodatkowe utrudnienie. Musiała dwa razy jeździć na cmentarz. Za pierwszym razem, kiedy miała już kopać, jak spod ziemi wypłynęła starucha i zaczęła się jej podejrzliwie przyglądać. Baba była tak wstrętna, że łatwo można było uwierzyć, iż wyszła z jakiegoś grobu. Czując, że się od niej nie odczepi, zrezygnowała z dalszego kopania. Postanowiła przyjść nazajutrz. Na szczęście lot odwołano i miała czas.

Za drugim razem poszło już lepiej. W alei było pusto. Zaczęła kopać. Kiedy łopata uderzyła o puszkę, odetchnęła z ulgą. Wreszcie ją miała. Schowała pośpiesznie do torebki. Oparła się o drzewo. Słyszała bicie własnego serca, jak tłucze głucho o stary, omszały pień. Przypomniła jej się nagle ten Amerykanin i jego niski, basowy głos. Patrząc na to, co po nim zostało, rozplakała się ze smutku, ze strachu i z tego, że świat jest taki podły.

– Bandyci! Nie dość, że zamordowali, to jeszcze muszą się przed nimi kryć –

westchnęła z goryczą.

W drodze powrotnej trafiła na milicjanta, który na szczęście jej nie wylegitymował, tylko zdziwiony zapytał, co robi tak wcześnie na cmentarzu.

– Przecież ty nie z tych wesołych panienek, które tu w nocy balują? – rzekł dobrotliwie.

Odparła, że odwiedza grób męża wcześnie, żeby zdążyć na czas do pracy.

– To ładnie, towarzyszeko – pochwalił ją.

Gdy teraz patrzyła na podnieconą twarz Griszy, jak stał w galowym mundurze w grupie najwyższych oficerów, sama zdziwiła się, że go tak lekko uśmierciła.

Tłum nagle zaszemrał i zafalował. Transparenty poszły w górę. Wśród powszechnej owacji autobus z Amerykanami wjechał na płytę lotniska. Powoli zaczęli wysiadać, zwycięsko machając rękami. Orkiestra zagrała marsza, a młodzież radośniej potrząsnęła chorągiewkami i szturmówkami.

Prowadzeni przez Lwa Spirydonycza lotnicy zbliżyli się do kompanii honorowej. Kiedy znaleźli się przed jej frontem, gruchnęła ostra komenda. Rozległ się szcęk karabinów. Bagnety błysnęły w słońcu. Kompania jak jeden mąż zaprezentowała przed nimi broń. Oszołomieni tą manifestacją uczuć przytknęli palce do daszków i maszerując posłusznie za wyprężonym jak struna Lwem Spirydonyczem, który salutując bezbłędnie, rznął obcasami o beton równym, defiladowym krokiem, sami powoli zaczęli wierzyć w swą wielkość.

– Uś, Kaplanowicz. Tyś jest prawie prezydent. Tylko Wujek Joe mógł cię tak uszanować. On jest jednak gaon (geniusz). An absoluter Kiszufmacher (absolutny czarodziej) – cmoknął z podziwem, oddając sprawiedliwość geniuszowi Stalina.

Obleżeni przez tłum fotoreporterów weszli na trybunę. Burza braw przeszła w huragan. W najśmielszych snach nie przypuszczali, że będą tak żegnani.

Zrozpaczona Wiera nie mogła dopchnąć się do trybuny. Zwarty kordon milicji oddzielał ją od zaproszonych gości. Na szczęście Rick ją dostrzegł. W szarozielonym mundurze odbijał mocno od jaskrawej czerwieni podestu. Charakterystycznym gestem poprawił czapkę, zsuwając ją lekko na czoło. W dość bliskiej odległości od niego stał Grigorij i generał Babadżian.

Ze strachem pomyślała, co to będzie, jeżeli Amerykanie z miejsca ruszą do samolotu i nie zdoła zobaczyć się z Rickiem. Jak na złość Grisza nie dał jej żadnej przepustki, i kordon jej nie przepuści. To był błąd. Straszny błąd. Powinna go o to poprosić. Liczyła teraz tylko na to, że sami do niej podejda, jak przepchnie się bliżej i zacznie głośno wołać.

Po licznych przemówieniach nastąpiła oficjalna dekoracja odlatujących lotników. Spiker głośno wyczytywał przez megafon nazwiska Amerykanów, a dowódca okręgu wojskowego, generał armii Konstantin Lebediew, w towarzystwie swego zastępcy, Anastasa Babadżiana, dekorował ich najwyższymi odznaczeniami.

Kapitan Richard O'Sullivan uhonorowany został orderem z Gwiazdą Bohatera Związku Radzieckiego. Obydwaj generałowie mocno ściskali mu dłoń, a zgromadzeni na lotnisku nagrodzili burzliwymi oklaskami. Każdego z nich czekał równie podniosły moment. Nie zapomniano, rzecz jasna, o zmarłym w "japońskim"

więzieniu porucznika Robercie Fultonie. Otrzymał pośmiertnie najwyższe odznaczenie: Order Wojny Patriotycznej I Klasy. Generał Lebediew z najwyższą czcią przypiął go do czerwonej, pluszowej poduszki. Ostrożnie złożył na okrytej czerwonym kirem urnie. Kiedy generał przyłożył dłoń do daszka, kompania honorowa oddała trzykrotny salut w powietrze. Zapanowała cisza, po której odezwała się muzyka pogrzebowa. Orkiestra zagrała marsza żałobnego Piotra Czajkowskiego. Dowódca kompanii skinął szablą. Z szeregu wyszło dwóch żołnierzy i zbliżyło się uroczyście do trybuny. Generał podał im odznaczoną urnę, a oni ponieśli ją z powrotem przed czoło kompanii. Dowódca dał rozkaz dwuszereg w tył i zwłoki porucznika Fultona odprowadzone równymi czwórkami przez radziecką kompanię honorową ruszyły w swą ostatnią drogę. W tłumie zapanowało wzruszenie. Wiele kobiet płakało.

Wiera patrzyła na to oniemiała. Wciąż nie mogła uwierzyć w to, co teraz ogląda. Ona jedna w tym tłumie знаła potworną prawdę. Prawdziwe szczątki porucznika Fultona znajdowały się w jej torebce. Z niesmakiem patrzyła na tę maskaradę.

Równie zdziwiony był Rick, jedyny spośród kolegów orientował się w rzeczywistej sytuacji.

Grigorij, który prawie nie znał Amerykanina, także był wzruszony. Mimo że nie miał pojęcia, skąd się wzięły prochy Fultona, zazwyczaj bowiem je rozsiewano.

Urnę z rąk radzieckich żołnierzy przejęła teraz amerykańska obsługa i z najwyższą czcią wniosła na pokład samolotu. Wielu chłopców płakało. Drzwi dolnego luku zatrzasnęły się.

Pułkownik Orłow odetchnął.

Uroczystość oficjalna była skończona.

Po tym smutnym akcencie nastąpiło radosne wręczanie prezentów. Otrzymali je od instytucji państwowych i osób prywatnych, które zbliżały się gorliwie, by wyrazić im swoją sympatię. Często prosili o przyjęcie skromnej pamiątki na szczęście. Jakaś kobieta w czarnej chustce zbliżyła się do nich.

– Moich dwóch synów zginęło na wojnie. Jeden też był lotnikiem, jak ten wasz biedny towarzysz. Przyjmijcie to więc od matki – i każdemu wręczyła haftowaną serwetkę.

Uznali, że jednak wypada podziękować za te dary. Ten trudny obowiązek spadł na Arona.

– Zaczęło się bardzo źle. Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło – zacytował ciocię Ryfkę. – I ja wam tego dobrzy ludzie życzę tyż! Życzę wam – tu wskazał zbiorowy emblemat czterech wodzów marksizmu – aby ci dżentelmeni, którzy tak pięknie wymyślili dla was to szczęśliwe jutro, pozwolili wam dzisiaj żyć raczej lepiej niż gorzej, i żeby to gorzej obróciło się na lepiej. Tego ja wam kochani ludzie życzę, wracając do tej strasznej, reakcyjnej Ameryki, która, co prawda nie ma tak pięknej teorii jak wy, ale w praktyce żyje całkiem nieźle. Bo co człowiek potrzebuje? On potrzebuje jedno: – Zol'n mir azoj genund zajn! Czyli: – Żebyśmy tylko zdrowi byli! No, nie? Mam rację? Zatem good luck! I bye, bye, towarzysze! – wznosił palce na znak wiktorii.

Tłum osłupiał. Przywykły od lat do skandowania haseł i wznoszenia sloganów na cześć wodza, Rewolucji, i przyszłego promiennego jutra usłyszawszy to proste,

ludzkie zdanie, oszalał z radości. Nawet milicjanci w kordonie uśmiechali się.

Kiedy po zejściu z trybuny koledzy mu gratulowali, odparł zdziwiony: – Też coś? Wiadomo. Każdy chce być zdrow. Wielkie mecyje. Oni mi bili brawo nie za przemówienie, tylko za całokształt mojej działalności...

Na pożegnanie otrzymali tyle prezentów, że nie mogli ich unieść. Kaplanowicz przygnieciony tą serdecznością wykrzyknął: – Szybciej panowie, bo zginiemy pod ciężarem tych suvenirów – i pierwszy skierował się do samolotu.

Jego przyjaciel Dżodzo machał mu na pożegnanie zakasaną lewą ręką, na której lśniła w porannym słońcu złota, bezcenna "Omega". Aron odmachwał mu smętnie i wzdychając: – Czego się nie robi dla tej pleć – poddał się posłusznie rewizji chłopców Kenta Sydneya.

Kordon milicji zelżał i Wierze udało się podejść bliżej trybuny. Tam dojrzał ją Grisza i kazał przepuścić ochronie. Podeszła do męża, który stał w towarzystwie Ricka. Nie mogli swobodnie rozmawiać. Wiera patrzyła na niego smutno. Trudno jej było uwierzyć, że za chwilę go nie będzie. Niespodziewanie zbliżył się do nich generał Babadzian i zamiast z Rickiem zaczął się żegnać z nimi.

– Co wy, Anastas Aramowicz? Wybieracie się w podróż? – spytał Makarow.

– No właśnie – odparł uszczęśliwiony Babadzian. – Wczoraj spadła na mnie ta wielka nowina! Nie mówiłem wam, bo byłem zobowiązany partyjnym słowem, ale teraz się mogę pochwalić. Zostałem mianowany attach~e wojskowym w Waszyngtonie i mnie przypadł w udziale zaszczyt odprowadzenia Amerykanów! – klepnął z wigorem Ricka w plecy. – A przy okazji zobaczy się tę waszą Amerykę, panowie! – dumnie podkreślił wąsa.

Makarowowi zrobiło się ciemno przed oczyma – "Więc na niego wypadło?" – Nie mógł wprost uwierzyć. Generał zajęty układaniem swego bagażu spojrzął na niego z roztargnieniem. Rozmawiali o czymś w oddali.

Wiera szybko wsunęła Rickowi paczkę. Natychmiast schował ją do chlebaka. Czasu mieli niewiele.

– Rikońka – zaczęła nieśmiało – będziemy mieli dziecko – mocno ścisnęła go za rękę.

Spojrzał na nią zdziwiony. Nie wiedział, co powiedzieć. Zrobiło mu się strasznie głupio:

– Wybacz – szepnął w pierwszym odruchu.

– Za co?! – obruszyła się. – Jest to najwspanialszy prezent – zapewniła go. – A kiedy dalej stał oszołomiony, dodała: – Nie martw się. Wychowam go na człowieka. Wracaj do swoich szczęśliwie. I niech cię Bóg prowadzi. – Pośpiesznie nakreśliła znak krzyża, tak jak czyniła to matka. Stali nieruchomo. Ten moment trwał wieki.

– Niestety – westchnęła – nasza minuteczka się kończy – uśmiechnęła się przez łzy. Odwróciła się i zaczęła iść w kierunku męża.

Rick stał wciąż skamieniały. Wreszcie z rozmachem zarzucił chlebak i nie oglądając się za siebie, ruszył do samolotu.

Makarow tymczasem nawet nie zauważył nadejścia żony. Stojąc przed



uśmiechniętym Babadżianem, walczył ze swoim sumieniem.

– Anastas Aramowicz – powtarzał zbielełymi wargami. – Wy naprawdę leccie?!

– Rozumie się, brat! – odparł rozradowany Babadżian, który duszą już był w samolocie.

Z roztargnieniem patrzył na swego rozmówcę.

– To straszne. Straszne – mamrotał Makarow, nie mogąc wykrztusić z siebie prawdy. W strachu spojrzął na Orłowa, który sto metrów dalej stał wśród swoich. Uprzytomnił sobie, że tamten może go oskarżyć o zdradę tajemnicy i szybko zaczął się żegnać: – Zatem szczęśliwej podróży, Anastas Aramowicz – wyjąkał zmieszany.

Babadżian chwycił go w ramiona i wyściskał jak syna:

– Nie zazdrość mi, Grigorij Wasiliewicz, nie zazdrość! Ty też kiedyś polecisz! Partia czuwa. Uszy do góry, synok! – pocieszył go.

Nie wiedział, biedak, jak straszne powiedział słowa. Grigorij spoconą ręką otarł czoło. Szczęśliwy generał pomachał mu, ale on nie miał sił odpowiedzieć. W tym stanie bezwładu uświadomił sobie nagle, że z chwilą odlotu generała ostatni świadek śmierci Własenki zniknie z horyzontu, ale nie miało to już znaczenia. Donos i tak wpłynął.

Amerykanie dawno już byli w samolocie, ale pilot nie ruszał. Mechanicy wciąż coś sprawdzali. Wreszcie cztery motory zawyły i transportowiec wolno potoczył się po pasie. Tłum zafalował. Orkiestra przestała grać.

Grigorij nie wytrzymał i szepnął wzburzony do żony:

– Anastas Aramowicz poleciał z nimi!

– No to co? – bąknęła obojętnie, zasłaniając twarz chustką.

– Jak to co? Przecież oni za chwilę... – urwał.

Wiera spojrzała na niego i zrozumiała. Poczula nagle, że ziemia ucieka jej spod nóg. Nie wiedziała już czy białe chmury, czy czarny maszt z flagą leci na nią. Wszystko się zakreśliło. Kurczowo chwyciła się męża. Podtrzymał ją machinalnie.

Samolot z Amerykanami ciężko wzbijał się w powietrze.

## LVII

Patrzyli na znikające pod nimi lotnisko i pudełka domów rozrzuconych w zieleni ogrodów. Znów byli w powietrzu. Oderwali się od udręczonej ziemi, która dała im poznać smak męczeństwa i wielkich uniesień. Nie wiadomo, czego było więcej. Męczono ich bardzo, ale i pożegnano po królewsku. Nawet najwięksi malkontenci nie mogli narzekać.

Na pokładzie samolotu obok generała Babadżiana leciał jeszcze stary, zasłużony bolszewik, który znał Lenina z pobytu w Szwajcarii i uznawany był za wybitnego teoretyka marksizmu. Nazywał się Żarow-Łazarowski. Generał Babadżian wyrażał się o nim z najwyższym uznaniem. Żarow miał objąć stanowisko konsula generalnego w Waszyngtonie. Był to typowy intelektualista, który nawet w samolocie nie

przestawał czytać i pochłonięty był tylko lekturą. Świat na zewnątrz nie obchodził go nic. Obydwaj Rosjanie więci zostali na pokład samolotu na specjalną prośbę rządu ZSRR, który chciał skorzystać z nadarzającej się okazji i wysłać swych przedstawicieli szybszym, bezpośrednim lotem.

Babadzian nie lubił latać samolotem, z wrażenia był cały spocony. Wciąż ocierał błyszczącą łysinę i nerwowo wyglądał przez okno: – Pewniej w siodle. Z kobyły niżej – zwierzał się do brodu.

Dali mu whisky, co wyraźnie zmniejszyło lęk przestrzeni starego kawalerzysty.

Kent Sydney dopiero teraz naprawdę przywitał się z załogą "Poteen". Dotychczas był zajęty kontrolą samolotu. Po krótkiej rozmowie i usłyszeniu strasznej prawdy, ponownie nakazał dokładne sprawdzenie ładunku, nie wyłączając urny.

Radość spotkania ze swoim gliną z Wendover była ogromna. Mimo że nie wszyscy z nich mieli miłe wspomnienia, teraz cieszyli się bardzo. Tym serdeczniej, gdy się dowiedzieli, iż to właśnie on odkrył ich szyfr w listach.

Wypili więc zaraz zdrowie sprytnego gliniarza, widząc ile mu zawdzięczają.

– Czy ty załatwiłeś ten samolot? – spytał Rick.

– Raczej twój teść – odparł Sydney. – Bez niego nie dałbym rady. On uruchomił generała Arnolda. A to, że Rosjanie zgodzili się w końcu na nasz przylot, to już zawdzięczacie, panowie, ostrej interwencji generała MacArthura...

Rick gwizdnął przez zęby: – No proszę. Tyle zachodu i na nic. Nie uważacie, że to dziwne?

Zgodzili się, że jest w tym pewien brak logiki i może być podejrzanym, ale uspokojał ich fakt obecności dwóch wybitnych Rosjan na pokładzie.

– Nie robiliby takiej hecy – mruknął Stan.

Sydney zapewnił, że wszystko dokładnie zostało sprawdzone:

– Nawet urna z prochami – dorzucił.

– Ale nie Boba. Prochy Boba mam tu – Rick wskazał torbę – a co jest w urnie, którą tak fetowano na lotnisku, nie wiem.

– Sprawdzono – zapewnił Sydney. – Nie jestem przecież takim durniem, żeby uwierzyć w ich żalobę po Bobie...

– A ja w to, że nas tak łatwo wypuszczą – wtrącił Rick. – Ale skoro wszystko sprawdziliście, okay...

Lecąc wciąż na niskim pułapie, minęli granicę ziemi z morzem. Ciągłe znajdowali się jeszcze na wodach terytorialnych ZSRR.

Generał Babadzian przysiadł się do Ricka i z dumą pokazał moskiewską "Prawdę": – W dyplomacie dali, cholera – podkreślił zamaszyście wąż.

Awans był równie zaskakujący jak sławetny wywiad, którego kiedyś udzielił, ale tym razem bardziej pokrywał się z prawdą i cieszył generała. Ze zdumieniem odkrył, że jego los dziwnie ostatnio związał się z tymi Amerykanami:

– Kto wie, czy to nie za ich sprawką towarzysze na Kremlu przypomnieli sobie o

mnie, skromnym Ormiaszce. W końcu posada nie w kij dmuchał! Reprezentuję całą Czerwoną Armię, psia mać! – rozmyślał dumnie, na próżno głowiąc się, komu na górze zawdzięcza ten wielki awans. – Może rodak i imiennik Mikojan tak o mnie zadbał? – zastanawiał się. W każdym razie stan euforii był tak duży, że krewki generał musiał dać upust swej kawaleryjskiej fantazji:

– O'Sullivan! – klepnął w kolano Ricka. – Dawaj zmierzyć się na szklanki! Lej to wasze łyski, brat!

Ten kapitalistyczny trunek szybko mu przypadł do smaku. Chętnie by nawet postrzelał i wziął odwet na Amerykańcu, gdyby wolno było strzelać w samolocie.

Rick uwolnił się wreszcie od tego męczącego towarzysza. Chciał w spokoju przeczytać list od Betty. Sydney dopiero teraz mu go dał, z góry przepraszając za zwłokę. Ze wzruszeniem oglądał zdjęcie syna.

Potem odłożył list na bok i wyjrzał przez okno. Lecieli wciąż na niskiej wysokości, oczekując widać, aż pułap chmur się nieco podwyższy.

– Ma teraz jakieś dwa tysiące stóp. Może więcej – oceniał z wprawą. Cały czas myślał o ich nagłym, niespodziewanym odlocie. – "Co za sens tworzyć wariant japońskiego więzienia, wypuszczając koronnych świadków prawdy? Przecież my zaraz zdementujemy ich kłamstwo!"

Przypomniawszy sobie, jak Rosjanie zabiegali, by w listach niczego złego nie pisać. Przypomniawszy także, z jaką pompą żegnali Boba. "Byłaby to zwykła farsa? Maskarada, za którą nic się nie kryje? Tylko fałszywe prochy nieboszczyka? Może, może..." Zapalił nerwowo papierosa:

– "Jeśli Sydney uległ tej mistyfikacji i sprawdził urnę nie do końca?"

Myśl ta nie dawała mu spokoju.

Postanowił działać. Rozejrzał się za Sydneyem. Nie było go w pobliżu, musiał być w kabinie pilotów. Wstał i zdecydował się z nim porozmawiać. Pogoda była zła i trudno było liczyć na podniesienie pułapu chmur. Gęsta wata utrudniała widoczność.

– Trzeba się pchać w górę – zdecydował pilot. Na zegarze miał dwa tysiące trzysta stóp.

– Słusznie oceniałem – pomyślał Rick, spoglądając na przyrządy.

Odciągnął na bok Sydneya i z lekką samoironią powiedział: – Może jestem ciężki wariat, ale myślę, że nie zaszkodzi jeszcze raz sprawdzić urnę. Nie daje mi spokoju...

– Mnie też – roześmiał się Sydney. – Cieszę się, że nie ja jeden mam manię prześladowczą. Weźmiemy tylko narzędzia. Koledzy Rosjanie nieźle ją skręcili, jak sobie przypominam...

Ponownie wyciągnęli urnę, rozłożyli gazety i przystąpili do pracy. Koledzy patrzyli na to z niesmakiem. Chociaż wiedzieli, że urna nie zawiera prochów Boba, grzebanie się w cudzych szczątkach uznali za profanację.

Chłopcy Sydneya również twierdzili, że to bezsens:

– Sprawdziliśmy ją, szefie – zapewniali.

– Nie szkodzi – mruknął major, napinając mięśnie przy odkręcaniu śruby. Rick

przytrzymał urnę. Szło im niesporo, bo samolotem rzucało i wpadał często w dziury powietrzne.

Maszyna pięła się ostro w górę. Pilot najwyraźniej chciał się przebić przez zwarte zwały chmur. Jeden Żarow-Łazarowski nie zwracał na nic uwagi, odcięty od zewnętrznego świata głębią teorii Engelsa. Pograżony w niej bez reszty, czasem tylko poprawiał mleczone włosy, które przy wstrząsach spadały mu na czoło.

Wreszcie odkręcili wszystkie śrubki i dłużkiem podważyli ściśle dopasowane wieczko urny. Starali się nie uszkodzić. Forniowane i błyszczące, koloru ciemnego orzecha było prawdziwym cackiem sztuki stolarskiej. Gdy w końcu zdjęli, oczom ich ukazał się przykry widok szarych prochów, nędznej garstki popiołu, w którą zamienia się człowiek.

Niektórzy odwrócili oczy.

Rick ostrożnie odłożył pokrywkę i w obie ręce ujął urnę.

– Daj spokój! Co robisz? – protestowali.

On jednak uparł się i przesypał prochy na rozłożoną gazetę. W chwili gdy to robił, rozległ się suchy trzask. Zamarli. To z mosiężnej tabliczki na wieczku, z pięknie wygrawerowanym nazwiskiem porucznika Fultona, nie zostało nic. Rozprysła się w drobny mak. Na szczęście "prochy" leżały bezpiecznie, wysypane na gazecie. Rick nachylił się i wziął garść prochu do ręki. Powąchał go i roztarł na dłoni. Nie było wątpliwości. Mieli do czynienia z odpowiednio spreparowaną mieszanką dynamitu.

Musieli przyznać, że pomysł był szatański. Nie mogli mieć pretensji do chłopców z FBI, że tego nie odkryli. Oślupiali patrzyli po sobie.

Aron, który przed chwilą kpił z Ricka, teraz stał z lekko rozdziawioną gębą. Wyglądał jak idiota. Rick nie mógł się pohamować, by mu nie dociąć:

– No i co? Gdyby nie ja, to byś był tam, cwaniaczku! – pokazał palcem niebo – I nawet nie miałby kto cię przesypać...

Kaplanowicz nic nie odpowiedział.

Generał Babadżian przypominał zdechłego suma. Wąsy mu opadły i mrucał coś do siebie martwym głosem. Czerwone placki wystąpiły mu na czole. Tarł je pięścią gwałtownie.

Żarow-Łazarowski odszedł od teorii Engelsa i drobnym kroczkiem włączył się w rzeczywistość. Nerwowo poprawił druciane okulary. Babadżian w jego świątłym umyśle szukał teraz oparcia:

– Jakżeż to, towarzyszu?! – mrucał ogłupiały. – Oficjalnie odznaczyliśmy go. I bomba w trumnie? – Łapał zasłużonego towarzysza mocno za kłapy.

Żarow-Łazarowski był teraz bielszy od swych mleczych włosów i bezradnie je tylko głaskał dłonią. Gorzkie zmarszczki w kącikach ust lekko mu drżały.

Rick podniósł się z kolan i wolno otrzepując ręce, zwrócił się do stojących obu Rosjan: – Spisali was na straty, panowie. Podobnie jak nas. I taka jest prawda...

Cofnęli się przed nią. Chwilę postali, po czym wolno odeszli do swego kąta. Woleli być sami. Wspólna, niedoszła śmierć, nie połączyła ich wcale. Rosjanie

chcieli pomówić oddzielnie. I nic dziwnego. Cały ich świat nagle runął. I to na oczach obcych ideowo świadków. Było o czym rozmyślać. Rickowi nagle zrobiło się żal tych biedaków: "Cokolwiek zrobią, są martwi – pomyślał. – Ten zamach pozbawił ich sensu życia. Odpłacono im za wieloletnią, żarliwą służbę..."

Z tych ponurych rozważań wyrwał go radosny głos dowódcy samolotu:

– Mustangi, panowie!

Rzucili się do okien. Dwanaście myśliwców w szyku bojowym pruko im na spotkanie. Równo jak na wojskowej paradzie. Znajome znaki widniały na skrzydłach. Szał radości ogarnął ich wszystkich. Nagle pojęli, że żyją! I lecą do domu.

Babadzian, rozmyślając o swym losie, przypomniał sobie twarz Makarowa, jak przerażony pyta, czy leci tym samolotem:

– Musiał coś wiedzieć, drań! – doszedł do przekonania. Teraz było dla niego jasne, dlaczego mimo jego usilnych próśb nie pozwolono mu zabrać córki i żony:

– Zlitowali się nad nimi, Turcy! – mamrotał. Żal z gniewem targał jego prostą, żołnierską duszą.

– I za co? Za co nas to spotkało?! – pytał w kółko Żarowa.

– Za to, że obydwaj znaliśmy Lenina – odpowiadał tamten krótko.

Żarow od dawna był w niełasce u Stalina i ze starej gwardii pozostał niemal sam. Czasem dziwił się wprost, że jeszcze żyje. Większość jego przyjaciół zginęła. Nagłą nominację przyjął z rezerwą, ale podporządkował się linii partii. Miał sporo wątpliwości. Ten zamach wcale go nie zaskoczył. Od dawna wszystkiego się po Stalinie spodziewał. Nienawidził go w głębi duszy. Nie krył swej pogardy dla tego "Iszaka", Osła, jak go nazywali starzy bolszewicy.

Babadzian z przerażeniem słuchał tego, co tamten mówi i powtarzał z pokorą: – No dobrze, towarzyszu? Ale co dalej? Co dalej? Jakie wyjście z tej matni?! Stoczyć się na pozycje wroga? Po czterdziestu latach walki?! Nie. Nigdy. Lepsza śmierć, brat! – wołał z desperacją.

W Waszyngtonie na ocalałych lotników czekały tłumy. Zdawało się, że cały naród wyszedł na spotkanie. Prezydent Truman osobiście witał ich na lotnisku. W morzu głów z niecierpliwością wyglądali swoich bliskich.

Rick z daleka dojrzał złotą grzywę swojej żony i coś małego, co trzymała w ręku. Z triumfem unosiła to w górę.

– Mój syn. Mój rodzony syn – szeptał, nerwowo poprawiając czapkę. Rzucił się szybko w ich kierunku, bojąc się, że za moment się obudzi. Wkrótce miał ich w ramionach. Nierealny sen stał się rzeczywistością. Betty patrzyła na niego w zachwycie, powtarzając jak w transie: – Jesteś... Jesteś... Jesteś...

On trzymał ją kurczowo, by nigdy nie stracić.

Gruchnęła salwa honorowa.

Przypomniał sobie dzień zwycięstwa w więzieniu. Ten jednak jest prawdziwy.

Vanderzaan z dumą patrzył na zięcia. Cygaro lekko drżało mu w ustach.

Harry O'Sullivan walił w kark swego starszego draba i, co i raz, pouczał zapłakaną Molly: – I co matka?! Mówiłem. Jak wyjdzie, to wróci. I wrócił.

Sam bliski był płaczu i pociągając purpurowym nosem, gołnął dla kurażu łyk świeżo wyprodukowanej poteen.

Rick serdecznie przywitał się z Dawidem. Podziękował mu gorąco. Dawid uśmiechnął się blado. Patrząc na oszalałą ze szczęścia Betty, nie miał wątpliwości, że jego rola jest skończona.

– Albert miał rację – westchnął z goryczą.

Heath też był na lotnisku. Składając im gratulacje, wtrącił, że mimo wszystko cieszy się, że to nie oni rzucili bombę atomową na Hiroszimę. Identyczne zdanie słyszeli od Nowikowa. Teraz, powtórzone niemal dosłownie przez wyższego urzędnika Departamentu Stanu, niemiło ich zaskoczyło. Szybko jednak o tym zapomnieli.

Rick przekazał Fultonom pamiątki po Bobie mówiąc, że był on najmężniejszym z mężczyzn. Zdziwił się, że nie zastał Kate na lotnisku.

Ona tymczasem przechadzała się po dużym parku szpitalnym i głośno rozmawiała z Bobem. Opowiadał jej o swoich przeżyciach w Rosji, a ona bezradnie machała do niego rękami. Czasem wybuchała głośnym śmiechem, gdy mówił coś weselszego. Szalonym wzrokiem błędziła po niebie, w chmurach szukając ukochanej twarzy męża. Lekarz smutno kiwał głową. Nie dawał większych szans.

Do stojących na lotnisku Rosjan podeszli zaraz pracownicy ambasady radzieckiej, którzy gorąco ich powitali i pogratulowali zaszczytnej nominacji. Ku ich zdziwieniu Żarow-Łazarowski nie podziękował im nawet, tylko sucho oświadczył, że po tym, co przeżył, nie ma zamiaru objąć nowej placówki.

Kiedy Gorodenko odciągnął go na bok i zaproponował powrót do Moskwy, kategorycznie odmówił. Zaskoczony tym Anatolij Iwanycz, który od dziecka znał nazwisko tego sławnego bolszewika, zapytał go: dlaczego?

– Dlatego – odparł Żarow – że nie chcę być kolejną ofiarą Stalina. Ten łotr już dość wyrznął starych bolszewików. Możecie mu to powiedzieć. Możecie mu to powiedzieć, towarzyszu, że stary leninowiec Żarow-Łazarowski, który do partii wstąpił przed nim, już w 1892 roku, uważa go za skończonego łajdaka i grabarza Rewolucji. Łajdaka i grabarza! – wykrzyknął starczym falsetem i oddalił się drobnym kroczkiem w stronę Amerykanów. Gorodenko dziękował Bogu, że nikt oprócz nich nie słyszał tych strasznych słów.

Żarow-Łazarowski radził Babadżianowi zrobić to samo, ale generał wahał się. Zostawił w Moskwie żonę i córkę. Na argumenty Żarowa, że Stalin go zgładzi, odpowiedział z chłopską pokorą: – Niech zgładzi. Pies go jebał. Bez partii nie życie...

Kiedy zdecydował się w końcu wsiąść do czarnej limuzyny z Gorodenką, Żarow wiedział, że ten stary żołnierz Rewolucji sam na siebie wydał wyrok. I mężnie idzie pod mur. Pomachał mu na pożegnanie kapeluszem. Babadżian uśmiechnął się smutno.

W tydzień po szczęśliwym powrocie odbył się uroczysty pogrzeb porucznika Fultona na cmentarzu Arlington \* w Waszyngtonie. Żołnierze piechoty morskiej szli przed armatnią lawetą, na której spoczywała urna z prochami Boba i równym,

marszowym krokiem nieśli rozciągniętą na płask amerykańską flagę. Tym razem prochy były prawdziwe. Pozostawiono je w starej kasetce, którą włożono do nowej, amerykańskiej już urny.

Arlington – słynny cmentarz w Waszyngtonie.

W tej smutnej chwili Rick miał tylko drobną pociechę, że dotrzymał słowa i nie zawiódł przyjaciela. Wywiózł go z obcej, nieludzkiej ziemi. Będzie leżał wśród swoich, tak jak chciał wtedy, umierając w tej straszliwej celi.

Patrząc na tłum na cmentarzu, Rick pomyślał, że wśród żegnających Boba mało kto wie, iż wraz z nim w zasadzie chowana jest jego młoda żona, Kate, zamknięta w domu bez klamek. I nie może nawet zobaczyć hołdu, jaki Ameryka pośmiertnie składa jej mężowi. Może lżej by jej było z nim rozmawiać. Ale zawsze jest tak. Zawsze jest tak, że bohaterstwo żołnierzy na froncie jest bardziej widoczne od ofiary płaconej przez ich rodziny, a cena wystawiona małym ludziom większa od największych idei tego świata.

Z tych ponurych myśli wyrwały go końcowe słowa generała Arnolda, który, odznaczając pośmiertnie Boba, powiedział gorzko:

– Nie ma właściwie dla niego medalu. Nie ma bowiem w całej naszej armii, panowie, medalu za hart, niezłomność i męstwo wykazane wobec aliantów...

Zabrział ostatni capstrzyk.

Epilog

W dwudziestą ósmą rocznicę Wielkiej Rewolucji Październikowej ukazała się w "Prawdzie" zwięzła notatka. TASS informował, że przebywający na krótkim urlopie w Moskwie attaché wojskowy z Waszyngtonu, generał lejtnant Anastas Aramowicz Babadżian, zmarł nagle na serce w wieku lat sześćdziesięciu jeden.

Prezydium Rady Najwyższej ZSRR w uznaniu wybitnych zasług tego nieustraszonego żołnierza Rewolucji postanowiło nadać mu pośmiertnie Order Lenina i pochować w murach Kremla.

Czytając tę notatkę w małym bistro przy 65 East Street na Manhattanie, nowy emigrant, Dimitri Żarow-Łazarowski, uśmiechnął się gorzko:

– Niestety. Inaczej być nie może...

Z westchnieniem odłożył gazetę, do której kiedyś sam pisał. W swym zapiętkłym żalu nie spostrzegł nawet, że niechcący powtórzył ukochane zdanie tak bardzo przez siebie znienawidzonego dyktatora.

W tym samym dniu u laureata Nagrody Nobla z dziedziny fizyki jądrowej, Enrico Fermiego, przebywającego na badaniach w klinice uniwersyteckiej w Chicago stwierdzono pierwsze objawy białaczki.

Niezbadany jest bowiem oślepiający blask grozy i jego kusząca siła przyciągania. Trudno pozostać nieskażonym, patrząc bestii w oczy.

(opracowanie:

Krzysztof Topolski